

Kontynuacja sprzedanego w 10 milionach egzemplarzy kultowego dzieła
ŚLADY PALCÓW BOGÓW

GRAHAM HANCOCK

Nowe sensacyjne dowody na poparcie rewolucyjnej
hipotezy o początkach naszej cywilizacji

MAGOWIE
BOGÓW




AMBER

GRAHAM HANCOCK

MAGOWIE
BOGÓW

Przekład
dr hab. KAMIL KURASZKIEWICZ



Redaktor serii
Zbigniew Foniok

Projekt okładki
Na podstawie projektu Coronet

Tytuł oryginału
Magicians of the Gods

Copyright © Graham Hancock, 2015

All rights reserved.

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Żadna część tej publikacji nie może być reprodukowana
ani przekazywana w jakiegokolwiek formie zapisu
bez zgody właściciela praw autorskich.

For the Polish edition

Copyright © 2016 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 978-83-241-7548-2

Warszawa 2021. Wydanie III

Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.

www.wydawnictwoamber.pl

Konwersja do wydania elektronicznego
P.U. OPCJA

Dla Santhy, mojej bratniej duszy

Wprowadzenie

PIASEK

Dom zbudowany na piasku zawsze będzie groził zawaleniem.

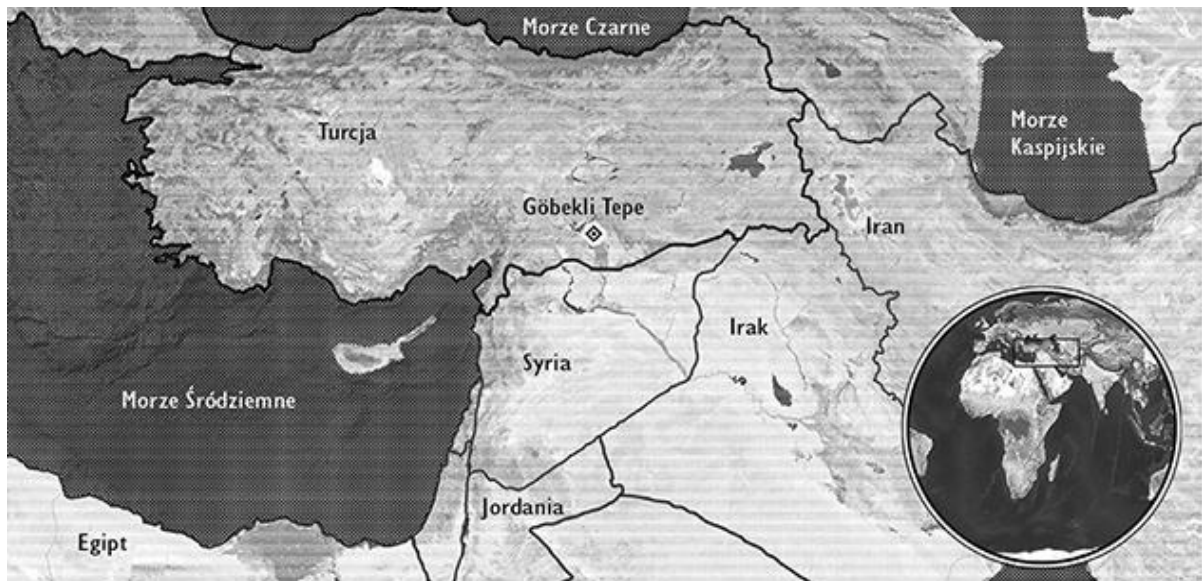
Coraz więcej dowodów wskazuje, że choć sama konstrukcja jest solidna, gmach naszej przeszłości wzniesiony przez archeologów i historyków stoi na wadliwych i niebezpiecznie niestabilnych fundamentach. Katastrofa na skalę globalnej zagłady nawiedziła Ziemię między 12 800 a 11 600 lat temu. Wydarzenie to miało konsekwencje o światowym zasięgu i wywarło potężny wpływ na ludzkość. Ponieważ dowody naukowe na to, że rzeczywiście ono wystąpiło, zostały znalezione dopiero w 2007 roku, i ponieważ jeszcze nie wszyscy historycy i archeolodzy uwzględnili wnioski, jakie z nich wynikają, musimy brać pod uwagę możliwość, że wszystko, czego nas uczono o początkach naszej cywilizacji, jest nieprawdą.

Przede wszystkim musimy przyjąć jako rozsądną hipotezę, że znane na całym świecie mity o złotym wieku zakończonym przez potop i ogień mówią prawdę i że w ciągu tych 1200 tragicznych lat między 12 800 a 11 600 lat temu został wymazany cały rozdział w dziejach ludzkości – rozdział zapisany nie przez prymitywnych łowców i zbieraczy, lecz przez wysoko rozwiniętą cywilizację.

Czy ta cywilizacja – jeżeli rzeczywiście istniała – pozostawiła jakieś ślady, które moglibyśmy dzisiaj zidentyfikować mimo upływu czasu? A jeśli tak, to czy jej zagłada ma dla nas jakiegokolwiek znaczenie?

Ta książka stanowi próbę znalezienia odpowiedzi na te pytania.

I. ANOMALIE



Il. 1. Położenie Göbekli Tepe na Bliskim Wschodzie.

1. „TO WSZYSTKO JEST BARDZO TAJEMNICZE...”

Göbekli Tepe jest najstarszym na całym świecie dziełem monumentalnej architektury, jakie zostało dotychczas odkryte, a w każdym razie najstarszym uznanym za takie przez archeologów.

I jest potężne.

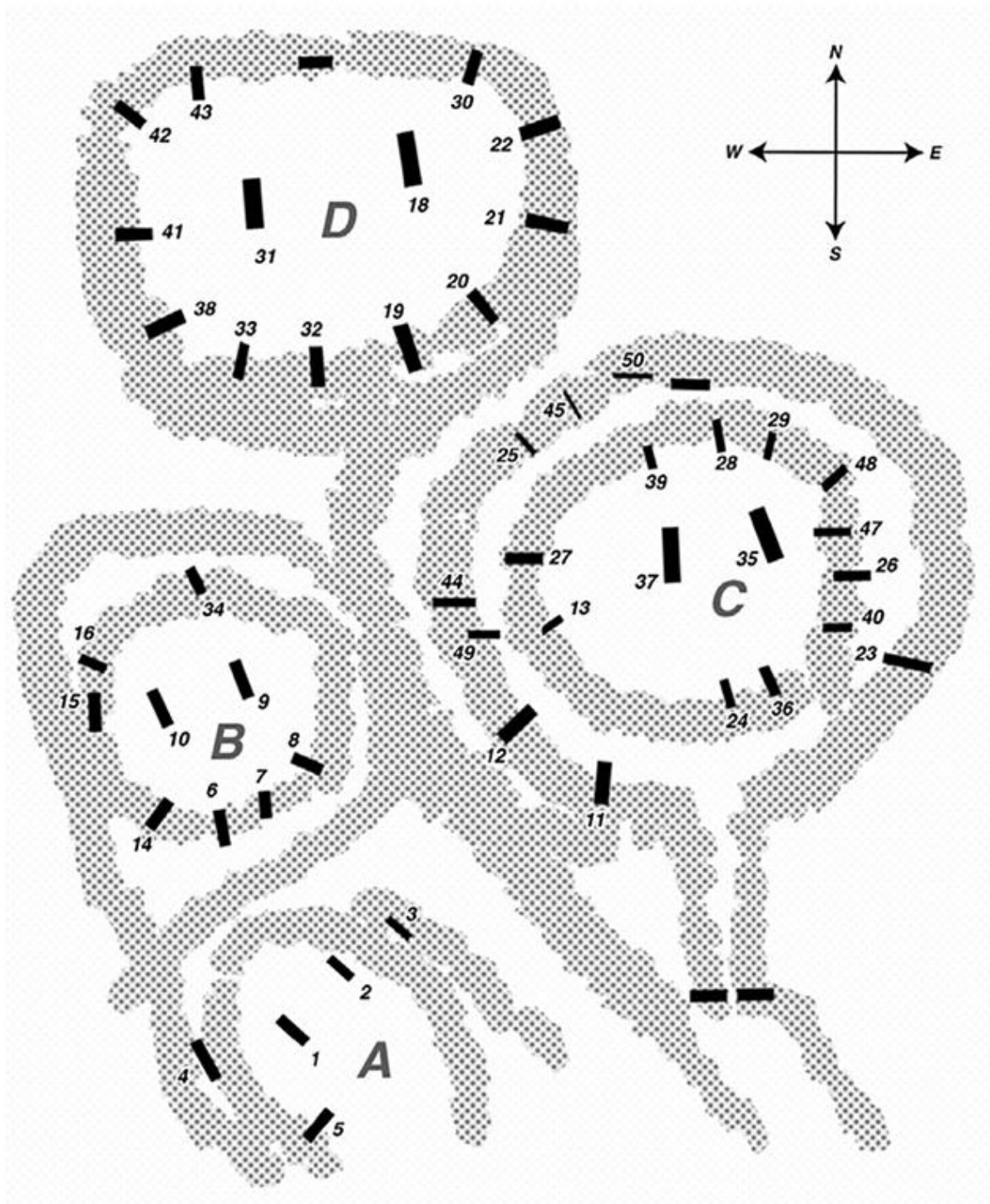
Niesamowite, wspaniałe, tajemnicze, oszałamiające – te przymiotniki, niestety, nie wyrażają wszystkiego. Od kilku godzin spacerowałem po tym stanowisku wraz z człowiekiem, który je odkopał – profesorem Klausem Schmidtem – i miałem zamęt głowie.

– Jakie to uczucie – spytałem go – być odkrywcą świątyni, która zmusza do napisania historii od nowa?

Schmidt, rumiany niemiecki archeolog o potężnej piersi i siwej brodzie, nosi wypłowiałe dzinsy, niebieską dzinsową koszulę z plamą od błota na rękawie i stare sandały na bosych, brudnych stopach. Jest wrzesień 2013 roku, trzy miesiące przed jego sześćdziesiątymi urodzinami. Żaden z nas jeszcze o tym nie wie, ale za niecały rok nie będzie go już wśród żywych.

Zastanawiając się nad moim pytaniem, ociera pot z czoła. Jest jeszcze wcześniej, ale tutaj, w południowo-wschodniej Anatolii, na niebie nie ma ani jednej chmury i góry Taurusu, wśród których stoimy, są gorące jak piec. Nie ma wiatru, powietrze jest zupełnie nieruchome i nigdzie nie da się znaleźć cienia. W 2014 roku zostanie zbudowane zadaszenie chroniące stanowisko, ale w 2013 roku były tylko jego fundamenty i stoimy w pełnym słońcu, na prowizorycznym drewnianym chodniku. Pod nami znajduje się seria na wprost podziemnych, mniej więcej kolistych, otoczonych murami struktur i tuzin wielkich, megalitycznych filarów o kształcie litery T, które wydobył na światło dzienne Schmidt i jego koledzy z Niemieckiego Instytutu Archeologicznego. Zanim rozpoczęli prace, to miejsce było niepozornym zaokrąglonym wzgórzem – nazwa Göbekli Tepe znaczy „Wzgórze Pępka”^{1[1]}, czasem jest też tłumaczona jako „Brzuchate Wzgórze”² – ale w wyniku wykopalisk większa część jego oryginalnego profilu została usunięta.

– Oczywiście nie możemy powiedzieć, że Göbekli Tepe to świątynia w ścisłym znaczeniu – odpowiada w końcu Schmidt, starannie dobierając słowa. – Nazwijmy je sanktuarium na pagórku. I nie twierdzę, że wymaga pisania na nowo historii. Powiedziałbym raczej, że dodaje nowy rozdział do już napisanej historii. Sądziliśmy, że przejście od myśliwych i zbieraczy do rolników było powolnym, stopniowym procesem, ale teraz zdaliśmy sobie sprawę, że był to okres, w którym powstawały niesamowite monumenty, jakich się nie spodziewaliśmy³.



Il. 2. Centralna grupa odkrytych okręgów – A, B, C i D – w Göbekli Tepe. Wszystkie filary zostały dla ułatwienia ponumerowane przez zespół Niemieckiego Instytutu Archeologicznego.

– I nie tylko monumenty – podpowiadam. – Początkowo miejscowa ludność zajmowała się łowiectwem i zbieractwem i nie ma żadnych śladów rolnictwa.

– Nie – przyznaje Schmidt. – Żadnych.

Szerokim gestem wskazuje na kręgi filarów.

– Ale ludzie, którzy przybyli do Göbekli Tepe i którzy wykonali całą tę pracę, wynaleźli rolnictwo! A więc istnieje związek między tym, co zdarzyło się tutaj, a późniejszym pojawieniem się neolitycznych społeczności zależnych od rolnictwa.

Zastrzygłem uszami na dźwięk słowa „wynaleźli”. Chciałem mieć pewność, że wszystko prawidłowo zrozumiałem.

– A więc twierdzi pan wręcz, że ludzie, którzy zbudowali Göbekli Tepe, wynaleźli rolnictwo?

– Tak, tak.

– Powie pan coś więcej?

– Ponieważ właśnie w tym regionie znaleziono pierwsze świadectwa udomowienia, zarówno zwierząt, jak i roślin. To stało się w tej okolicy. To byli ci sami ludzie.

– A więc pana zdaniem to były pierwsze, najstarsze uprawy na świecie?

– Pierwsze na świecie. Tak.

Wyczuwam, że Schmidta zaczyna niecierpliwić to, że drążę ten temat, ale ja mam swoje powody. Odkopany do tej pory obszar Göbekli Tepe liczy prawie 12 000 lat, co znaczy, że jest (według ortodoksyjnej chronologii) ponad 6000 lat starszy od innych megalitycznych stanowisk – takich jak Ġgantija i Mnajdra na Malcie, Stonehenge i Avebury w Anglii czy piramidy w Gizie w Egipcie. A jednak wszystkie te stanowiska należą do tej fazy rozwoju ludzkiej cywilizacji, którą archeolodzy nazywają neolitem (epoką kamienia), kiedy rolnictwo i organizacja społeczeństwa według hierarchicznych struktur były już dość zaawansowane, co umożliwiło pojawienie się wykwalifikowanych specjalistów, którzy nie musieli sami produkować żywności, ponieważ mogli się utrzymać z nadwyżek wytwarzanych przez rolników. Göbekli Tepe natomiast należy do schyłku górnego paleolitu, starszej epoki kamienia, kiedy nasi przodkowie byli łowcami i zbieraczami, koczownikami żyjącymi w małych, mobilnych grupach, a wszelkie zadania, wymagające długoterminowego planowania, złożonego podziału pracy i umiejętności zarządzania, były poza ich zasięgiem.

Schmidt i ja staliśmy w takim miejscu chodnika, z którego widać było okręgi C i D, a z moich wcześniejszych poszukiwań wiedziałem, że właśnie tu na jednym z filarów jest wyrzeźbiony zagadkowy wizerunek. Zamierzałem poprosić archeologa, by pozwolił mi zejść do Okręgu D i obejrzeć dokładniej

ten relief, ale najpierw chciałem poznać jego opinię na temat początków rolnictwa i związków z megalityczną architekturą. W Okręgu C, największym z czterech głównych dotychczas odkopanych zagłębień, dominują dwa wielkie centralne filary, oba złamane. Pierwotnie miały ponad 6 metrów wysokości i ważyły około 20 ton. W mur wokół nich wbudowano tuzin kolejnych filarów. Są nieco mniejsze, ale i tak imponujące. To samo dotyczy Okręgu D – również tutaj pierścień mniejszych filarów otacza dwa potężne centralne, w tym przypadku oba nienaruszone. Ich szczyty w kształcie litery T, nieco nachylone do przodu, nie mają żadnej dekoracji, jednak w jakiś niesamowity sposób przypominają gigantyczne ludzkie głowy – to wrażenie pogłębiają delikatne zarysy zgiętych w łokciach rąk wyobrażonych na bokach filarów i zakończonych starannie wyrzeźbionymi ludzkimi dłońmi.

– To wszystko – mówię – megality, ogólna koncepcja i plan stanowiska, szczerze mówiąc, sprawia wrażenie projektu równie wielkiego, jak Stonehenge w Anglii, a jednak Stonehenge jest znacznie młodsze. Więc jak to, co znaleźliście w Göbekli Tepe, pasuje do waszego wyobrażenia społeczności myśliwych i zbieraczy?

– Było znacznie bardziej zorganizowane, niż przypuszczaliśmy – przyznaje Schmidt. – Widzimy tu myśliwych i zbieraczy, którzy najwyraźniej stosowali już podział pracy, ponieważ tworzenie megalitów to specjalistyczna praca, nie dla każdego. Ci ludzie byli w stanie transportować ciężkie kamienne bloki i ustawiać je, co znaczy, że musieli mieć jakąś wiedzę inżynierską, jakiej również nie oczekiwaliśmy po myśliwych i zbieraczach. To naprawdę jest pierwsza architektura, i to architektura o monumentalnej skali.

– Więc jeśli dobrze rozumiem, profesorze Schmidt, mówi pan, że stoimy w miejscu, gdzie została wynaleziona i monumentalna architektura, i rolnictwo.

– Tak, to prawda.

– A jednak nie widzi pan w tym nic rewolucyjnego? Uważa pan to za proces, który można wpasować w istniejące ramy historii?

– Tak. W istniejącą historię. Ale ten proces jest znacznie bardziej fascynujący, niż się spodziewaliśmy. Zwłaszcza że to, co mamy w Göbekli Tepe, należy raczej do świata myśliwych i zbieraczy niż do społeczności rolników. To był schyłek okresu łowiecko-zbierackiego, ale jeszcze nie początki neolitu.

– A więc to jest okres przejściowy. Moment zmiany. A może coś więcej? Na podstawie naszej rozmowy i tego, co pokazał mi pan na stanowisku dziś rano, odnoszę wrażenie, że Göbekli Tepe było czymś w rodzaju prehistorycznego think-tanku albo ośrodka innowacji, być może kontrolowanego przez osiadłą tu elitę. Czy zgadza się pan z tym?

– Tak, tak. To było miejsce, gdzie ludzie się spotykali. Tutaj się gromadzili, i to była niewątpliwie platforma służąca rozpowszechnianiu wiedzy i innowacji.

– Włączając w to umiejętność obróbki kamienia na wielką skalę i znajomość rolnictwa. Czy nazwałby pan ludzi, którzy kontrolowali to miejsce i rozpowszechniali idee, kimś w rodzaju kapłanów?

– Kimkolwiek byli, niewątpliwie nie praktykowali prostego szamanizmu. Tworzyli raczej coś jakby instytucję. A więc tak, byli na prostej drodze do stania się kapłanami.

– A skoro Göbekli Tepe było używane nieprzerwanie przez ponad 1000 lat, czy to by oznaczało, że jedna kultura ze swoimi instytucjami, z tymi samymi ideami i warstwą kapłańską zarządzała tym miejscem przez cały ten czas?

– Tak. Ale, co dziwne, z biegiem czasu daje się zauważyć wyraźne oznaki upadku. Naprawdę monumentalne struktury znajdują się w starszych warstwach; w późniejszych konstrukcje są mniejsze i zauważalnie gorszej jakości.

– A więc najstarsze jest najlepsze?

– Tak, najstarsze jest najlepsze.

– I nie uważa pan, że to zastanawiające?

Klaus Schmidt wygląda na niemal skruszonego.

– Cóż, mamy nadzieję, że w końcu odkryjemy jeszcze starsze warstwy i zobaczymy skromne początki, których się spodziewamy, ale jeszcze nie znaleźliśmy. Potem nastąpiła faza monumentalna i w końcu upadek.

Przychodzi mi do głowy, że kluczowym słowem w tym, co powiedział profesor, jest „nadzieja”. Przywykliśmy do tego, że najpierw jest coś prostego i skromnego, co potem się rozwija – ewoluuje – i staje coraz bardziej skomplikowane i wyrafinowane. Dlatego spodziewamy się znajdować świadectwa takiego rozwoju na stanowiskach archeologicznych. Przypadki takie jak Göbekli Tepe, które jest doskonałe na początku, a potem ulega powolnej degeneracji, aż staje się cieniem samego siebie, zaburzają nasze starannie budowane wyobrażenie tego, jak powinny ewoluować, rozwijać się i dojrzewać cywilizacje.

To nawet nie sam proces degeneracji budzi nasz sprzeciw. Wiemy, że cywilizacje przeżywają okresy upadku. Spójrzmy choćby na cesarstwo rzymskie czy imperium brytyjskie.

Nie, problemem w Göbekli Tepe jest nagłe, niespodziewane pojawienie się – niczym Ateny wyskakującej w pełnym rynsztunku z głowy Zeusa – cywilizacji tak zaawansowanej, że już w chwili swoich narodzin „wynajduje” rolnictwo i monumentalną architekturę.

Archeologia nie potrafi tego wyjaśnić, tak samo, jak nie potrafi wyjaśnić, dlaczego najwcześniejsze zabytki, dzieła sztuki, rzeźby, hieroglify, matematyka, medycyna, astronomia i architektura starożytnego Egiptu są doskonałe od samego początku, bez żadnych śladów ewolucji od rzeczy prostych do skomplikowanych. Równie dobrze możemy zapytać o Göbekli Tepe tak, jak mój przyjaciel John Anthony West pytał o starożytny Egipt:

Jak może powstać cywilizacja od razu w pełni rozwinięta? Spójrzmy na samochód z lat pięćdziesiątych i porównajmy go ze współczesnym. Nie sposób nie zauważyć procesu „rozwoju”. Ale w Egipcie nie ma niczego podobnego. Wszystko jest na miejscu od samego początku.

Rozwiązanie tej zagadki jest oczywiste, ale odpychające dla dominującego nurtu współczesnego myślenia, dlatego rzadko brane pod uwagę. Egipska cywilizacja nie była wynikiem rozwoju, lecz spadkiem⁴.

Czy tak samo mogło być i w Göbekli Tepe? Klaus Schmidt nie ma czasu na myślenie o zaginionej cywilizacji, która była przodkiem wszystkich późniejszych, więc kiedy naciskam, powtarza, że większa część Göbekli Tepe nie jest jeszcze przebadana.

– Jak już powiedziałem – wycedził – przypuszczam, że kiedy dotrzemy do wcześniejszych warstw, znajdziemy świadectwa ewolucji.

Być może ma rację. Jedną z niesamowitych rzeczy w Göbekli Tepe, które było badane nieprzerwanie już od 18 lat, kiedy Klaus Schmidt oprowadzał mnie po stanowisku w 2013 roku, jest to, że tak wiele jest jeszcze pod ziemią.

Ale jak wiele?

– Trudno orzec – mówi Schmidt. – Prowadziliśmy badania geofizyczne, przy użyciu georadaru, i mogliśmy się przekonać, że co najmniej 16 dużych okręgów czeka wciąż na odkopanie.

– Duże okręgi? – pytam. – Takie jak ten? – Wskazuję potężne megality Okręgu D.

– Tak, takie jak ten. I jest ich co najmniej szesnaście. Na niektórych obszarach badania geofizyczne nie dały pewnych wyników i nie widzimy, co jest pod ziemią, ale przypuszczamy, że jest ich znacznie więcej niż 16. Może okaże się, że jest ich dwukrotnie więcej. A może nawet 50.

– Pięćdziesiąt!

– Tak. Pięćdziesiąt dużych okręgów, każdy z 14 lub więcej filarami. Ale nie jest naszym celem odkopanie wszystkiego. Tylko niewielkiej części, bo wykopaliska niszczą. Chcemy zachować większą część stanowiska w stanie nienaruszonym.

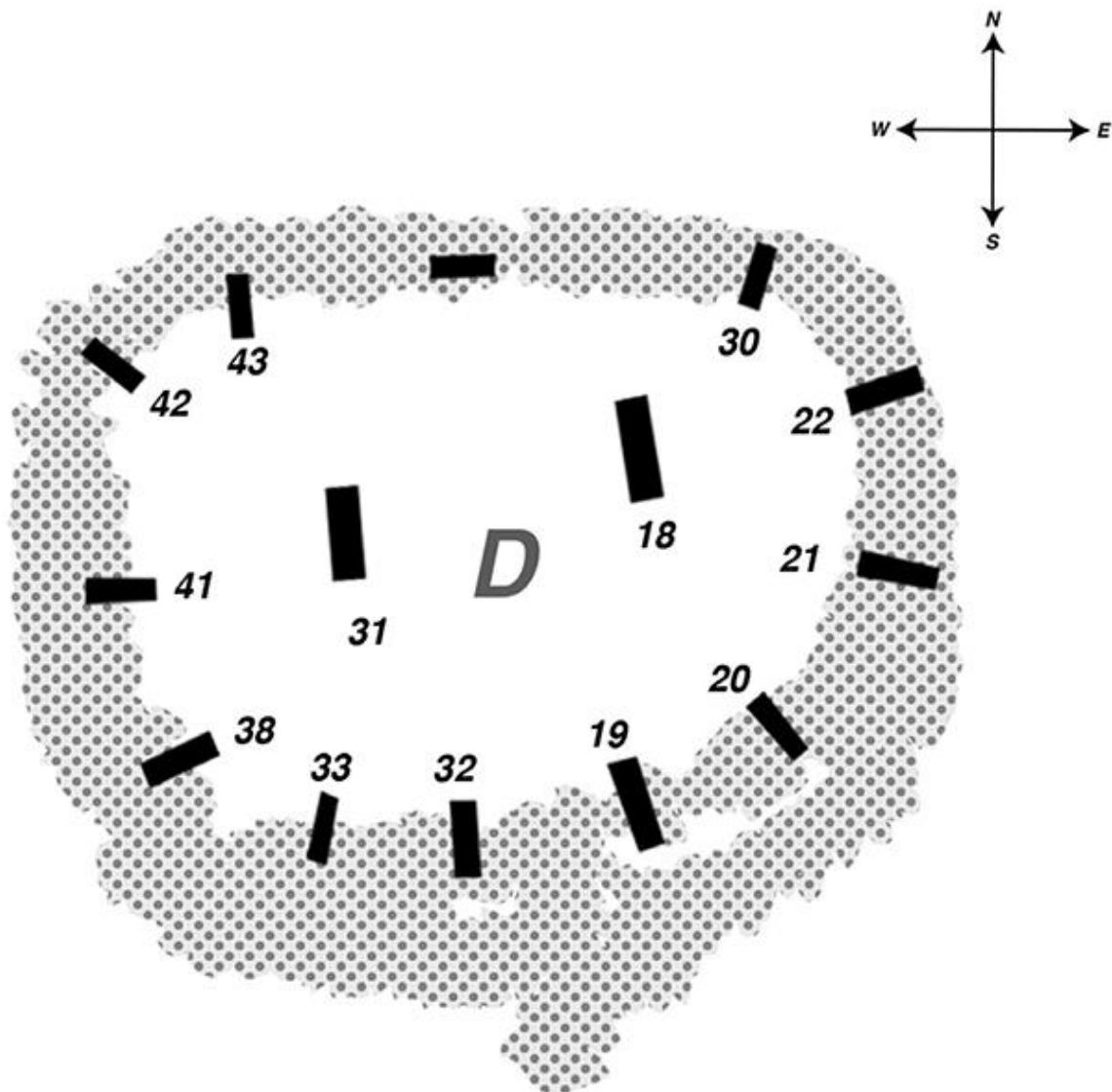
Głowa puchnie od rozmyślań o skali przedsięwzięcia, na jakie zdobyli się starożytni w Göbekli Tepe. Już odkopane kręgi megalitycznych filarów są o co najmniej 6000 lat starsze od wszystkich innych znanych megalitycznych

struktur na świecie, ale to nie wszystko – teraz uświadamiam sobie, że Göbekli Tepe jest ogromne; zajmuje obszar, który może się okazać nawet trzydziestokrotnie większy niż tak duże stanowisko, jak na przykład Stonehenge.

Innymi słowy, jest to coś niezmiernie, niewytłumaczalnie starego, o ogromnej skali i nieznanym przeznaczeniu – w dodatku z coś, co pojawiło się jakby znikąd, bez żadnych śladów przygotowań i rozwoju, spowite tajemnicą.

Okręgi gigantów

Przywykłem już, że archeolodzy spluwają przez ramię i udają, że mnie nie widzą, kiedy pojawiają się na ich wykopaliskach. Ale profesor Schmidt jest inny, co podnosi na duchu. Choć doskonale wie, kim jestem, pozwolił nam zejść do Okręgu D i dokładnie go obejrzeć. Wszystkie cztery odkopane dotychczas okręgi w Göbekli Tepe są niedostępne dla zwiedzających i pilnowane przez czujnych strażników, ale na jednym z filarów Okręgu D znajduje się wizerunek, który muszę obejrzeć znacznie dokładniej, niż to możliwe z chodnika. Prawdę mówiąc, z chodnika w ogóle go nie widać, więc życzliwość Schmidta będzie bardzo mile widziana.



Il. 3. Układ filarów w Okręgu D Göbekli Tepe. Najbardziej interesujący jest Filar 43.

Schodzimy do okręgu po desce, która prowadzi do nieusuniętej jeszcze, wysokiej na 2 metry ściany z gruzu i ziemi między dwoma centralnymi filarami – wschodnim i zachodnim. Te kolosalne filary – wykute z lokalnego, bardzo twardego krystalicznego wapienia i dokładnie wypolerowane – połyskują złościście w słońcu. Wiem od profesora Schmidta, że mają około 5,5 metra wysokości i każdy z nich waży ponad 15 ton⁵. Schodząc na dno wykopu – zauważam, że stoją na kamiennych cokołach o wysokości około 20 centymetrów, wykutych wprost w skalnym podłożu. Wzdłuż przedniej

krawędzi cokołu pod wschodnim filarem wyrzeźbiono w wypukłym reliefie siedem przykucniętych ptaków wyglądających na nietoty, bez zaznaczonych skrzydeł.

Centralne filary, których lekko nachylone „głowy” podkreślają ich antropomorficzny wygląd, górują nade mną niczym dwójka bliźniaczych gigantów. Wprawdzie nie one są moim głównym celem, ale korzystam z okazji, żeby dokładniej się im przyjrzeć.

Ich frontalne strony, przedstawiające piersi i brzuchy, są dość smukłe – mają zaledwie około 20 centymetrów szerokości, natomiast boki mierzą nieco ponad metr. Obie figury, co zauważyłem już z chodnika, mają na bokach wyrzeźbione we wgłębnym reliefie ręce, zgięte w łokciach i zakończone dłońmi o długich, szczupłych palcach. Palce te zaginają się na front filarów i niemal spotykają na ich „brzuchach”.

Powyżej dłoni znajdują się linie sugerujące rozchylone poły szaty. Tuż poniżej dłoni każda z figur ma szeroki pas – również oddany w reliefie – z ozdobną klamrą. W obu przypadkach z klamry zwiesza się coś, co wygląda jak część zwierzęcej skóry – zdaniem Schmidta tylne łapy i ogon lisa⁶ – zasłaniająca okolice genitaliów.

Obie figury noszą też naszyjniki. Naszyjnik wschodniej figury jest ozdobiony motywem półksiężyca i dysku, a zachodniej – byczą głową.

Ponadto oba filary zostały umieszczone na piedestałach w dokładnie ten sam dziwny sposób – nie solidnie zamocowane, lecz ustawione chwiejnie w gniazdach o głębokości zaledwie 10 centymetrów. Klaus Schmidt i jego zespół wsparli je drewnianymi podporami, a wyobrażam sobie, że musiały być podobnie podparte w pozycji pionowej również w starożytności – chyba że nad całym okręgiem znajdowała się jakaś rama, w której były umocowane głowy figur. Ponieważ budowniczy Göbekli Tepe byli najwyraźniej mistrzami w obróbce, transporcie i ustawianiu wielkich megalitów, wydaje się dziwne, że nie wycięli głębszych gniazd, w których filary trzymałyby się pewnie. Musiało to mieć jakiś cel, ale nie umiem go odgadnąć.

Dwa centralne filary łączy wiele podobieństw, ale są też różnice. Na przykład na wschodnim filarze znajduje się niemal naturalnej wielkości wizerunek lisa wyrzeźbiony w wypukłym reliefie na prawym boku, tak że wydaje się on wyskakiwać ze zgięcia łokcia. O ile pas zachodniego filaru nie ma żadnej dekoracji poza klamrą, pas wschodniego jest ozdobiony intrygującym motywem zawierającym między innymi szereg glifów przypominających łacińskie litery C i H. Oglądając je, myślę o tym, że pewnie nigdy nie dowiemy się, co te symbole oznaczały dla ludzi z Göbekli Tepe, od których dzieli nas ogromny dystans ponad 11 000 lat. Nie mamy podstaw

przypuszczać, że używali jakiegokolwiek rodzaju pisma – a tym bardziej alfabetu, jaki znamy dzisiaj. A jednak wygląd i układ tych piktogramów ma w sobie coś dziwnie nowoczesnego i celowego; odnoszę nieodparte wrażenie, że są czymś więcej niż tylko dekoracją. Nie znamy z czasów górnego paleolitu niczego podobnego do nich, podobnie jak figur zwierząt i ptaków. W tak wczesnej epoce połączenie megalitów i wyrafinowanych rzeźb jest absolutnie unikatowe i bezprecedensowe.

Następnie zabieram się do badania tuzina pozostałych filarów stojących wokół Okręgu D; tworzą one raczej elipsę niż regularne koło, mierzącą 20 metrów w linii wschód–zachód i 14 metrów z północy na południe. Filary na obwodzie są mniej więcej o połowę niższe od centralnych i większość z nich nie stoi samodzielnie, lecz są wbudowane w mur. Większość, choć nie wszystkie, ma kształt litery T i jest bogato dekorowana wizerunkami ptaków, owadów i zwierząt, jakby ładunek arki Noego został utrwalony w kamieniu: lisy, gazy, dziki, wiele gatunków ptaków, wśród nich kilka żurawi z węzami przy stopach, węże pojedynczo i w grupach, pająk, dziki osioł, dzikie bydło, lew z ogonem zagiętym nad grzbietem i wiele innych.

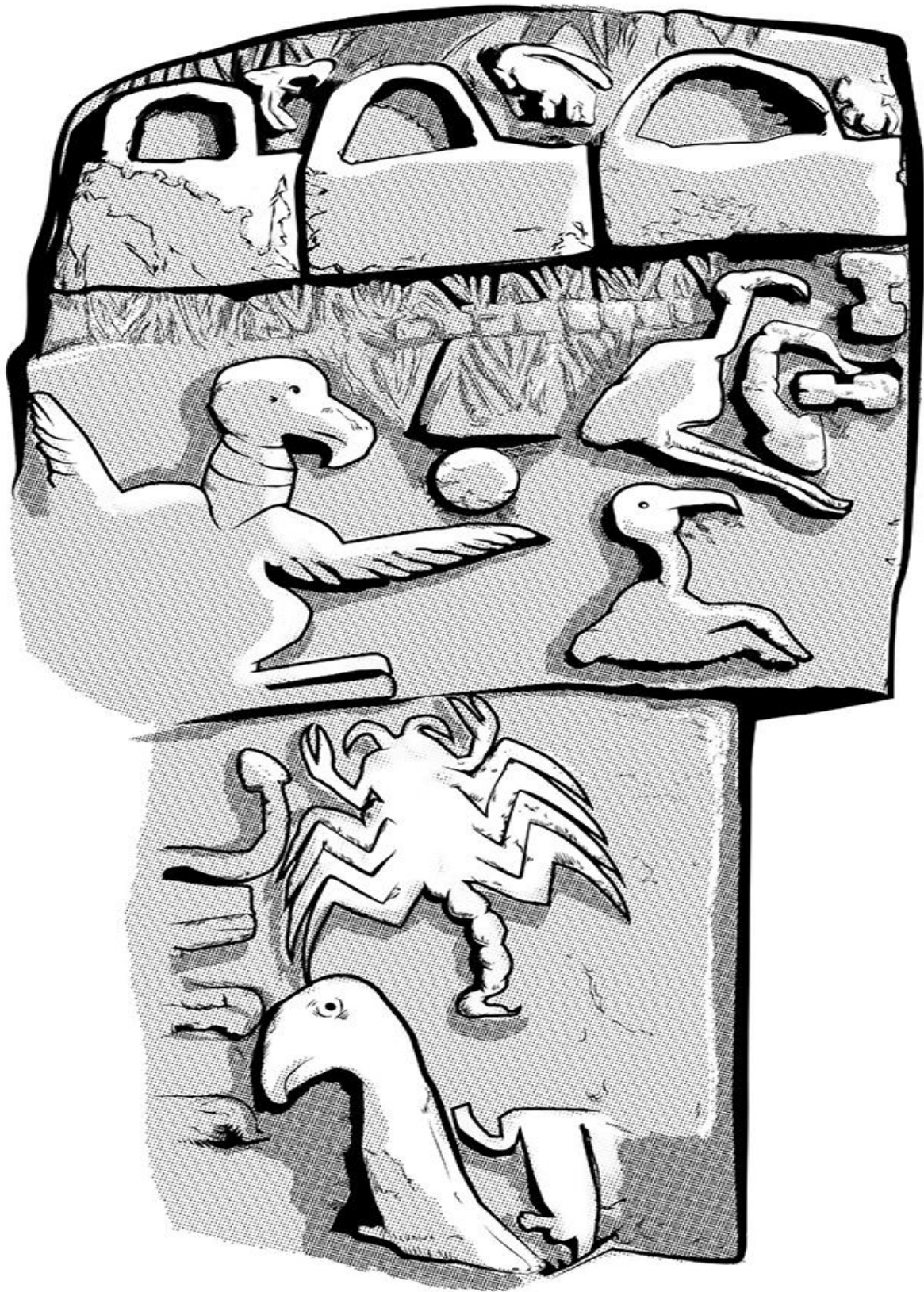
Aby jak najlepiej wykorzystać zezwolenie, które dostałem, nie spieszyłem się, lecz w końcu, w północno-zachodniej części okręgu doszedłem do filaru, który szczególnie chciałem zobaczyć. Schmidt i jego ludzie dla ułatwienia ponumerowali wszystkie filary w Göbekli Tepe i ten filar otrzymał numer 43. Z moich wcześniejszych badań wiedziałem, że jego bazę zdobi duży wizerunek skorpiona; niektórzy sugerowali, że może to być przedstawienie zodiakalnej konstelacji, którą dzisiaj nazywamy Skorpionem⁷. Jednak ku mojemu rozczarowaniu wizerunek ten nie był już widoczny. Archeolodzy przysypali go, jak twierdzi Schmidt – dla ochrony przed uszkodzeniem. Powiedziałem mu, że interesują mnie możliwe astronomiczne konotacje tego przedstawienia, ale Schmidt fuknął lekceważąco:

– Tu nie ma żadnych astronomicznych przedstawień; konstelacje zodiaku nie były znane aż do czasów babilońskich, 9000 lat po Göbekli Tepe.

I kategorycznie zabronił mi usunięcia zasypu.

Już miałem wdać się z nim w dyskusję – mamy przekonujące dowody na to, że zodiak został skodyfikowany na długo przed Göbekli Tepe⁸ – kiedy zauważyłem na tym samym filarze grupę innych figur, które nie zostały przysypane. Wśród nich rzucało się w oczy wyobrażenie sępa z rozłożonymi na podobieństwo ludzkich ramion skrzydłami; nad jednym ze skrzydeł znajduje się wypukły dysk, jakby podtrzymywany lub unoszony przez sępa. Inną ludzką cechą, zupełnie nieprzypominającą żadnego innego okazu tego ptaka, jaki miałem okazję widzieć, jest to, że ma zgięte do przodu kolana i

dziwnie wydłużone, płaskie stopy – trochę jak wizerunki Pingwina ze starych komiksów o Batmanie. Innymi słowy, jest to teriantrop (od greckiego *therion*, co znaczy „zwierzę” i *anthropos*, czyli „człowiek”), hybrydowe stworzenie – po części człowiek, po części sęp⁹.



Il. 4. Filar 43 w Okręgu D. Dolna część filaru była przysypana w czasie mojej wizyty, tutaj jej dekoracja została odtworzona na podstawie wcześniejszych fotografii (por. pierwsza wkładka z kolorowymi zdjęciami).

Powyżej znajdują się kolejne piktogramy przypominające literę H, ustawione w rzędzie pomiędzy seriami symboli o kształcie litery V, na przemian prostymi i odwróconymi. Również to sprawia wrażenie jakiegoś przesłania, jakiegoś komunikatu, którego znaczenia nie potrafimy zinterpretować. I wreszcie na szczycie filaru widać coś, co wygląda jak trzy wielkie torby na zakupy – a w każdym razie prostokątne pojemniki z półokrągłymi uchwytami. Między nimi, przed każdym z uchwytów: wyrzeźbiono trzy figury po lewej stronie ptak z długimi, podobnymi do ludzkich nogami – niemal na pewno kolejny teriantrop, czworonóg z ogonem wygiętym do przodu nad grzbietem i salamandra.

Całe to przedstawienie ma w sobie coś niepokojąco znajomego i jestem pewien, że już to – albo coś uderzająco podobnego – gdzieś wcześniej widziałem. Problem tylko w tym, że nie mogę sobie przypomnieć, gdzie ani co! Poprosiłem Santhę o kilka dokładnych zdjęć filaru, a kiedy skończyła, Schmidt zaproponował, żebyśmy poszli z nim na inną część stanowiska, kilkaset metrów na północny zachód, po drugiej stronie grzbietu, gdzie wraz ze swoją ekipą prowadził intensywne wykopaliska. To tylko jeden z dziesiątków okręgów z wielkimi filarami, które zidentyfikowali, używając georadaru, i pierwszy, jaki badali.

Paradygmaty

Po drodze zapytałem profesora, kiedy i w jakich okolicznościach związał się z Göbekli Tepe. Jak na ironię – biorąc pod uwagę jego zdecydowane poglądy na temat ewolucji architektury – okazało się, że przyczyną było to, że inni archeolodzy również mieli zdecydowane poglądy na ten sam temat! W 1964 roku połączona ekipa uniwersytetów w Chicago i Stambule odwiedziła tę okolicę w poszukiwaniu stanowisk z epoki kamienia. Kiedy jednak zobaczyli wystający z ziemi szczyt filaru o kształcie litery T i fragmenty innych wapiennych filarów znajdowane przez miejscowych rolników, doszli do wniosku, że Göbekli Tepe nie mieści się w sferze ich zainteresowań i przenieśli się w inne miejsce.

Dlaczego?

Amerykańsko-turecki zespół uznał, że filary są zbyt dobrze wykonane, zbyt wyrafinowane, by mogły być dziełem myśliwych i zbieraczy z epoki kamienia. Ich zdaniem, mimo znajdowanych wraz z wapiennymi fragmentami krzemienych narzędzi, Göbekli Tepe było tylko średniowiecznym cmentarzem, bez żadnego znaczenia dla prehistorii.

Ich pech okazał się szczęściem Schmidta. Na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych był on zaangażowany w inny projekt w Turcji – wykopaliska na wczesnoneolitycznym stanowisku Nevalı Çori, które wkrótce miało zostać zalane przez wody Zapory Atatürka. Wraz z ekipą archeologów z Uniwersytetu w Heidelbergu odkrył i uratował przed zatopieniem starannie wykonane wapienne filary o kształcie litery T, których wiek oceniono na 8000 do 10 000 lat. Niektóre miały wyrzeźbione na bokach ramiona i dłonie. „Zorientowaliśmy się, że ten region ma w sobie coś, co odróżnia go od innych stanowisk z tamtych czasów. W Nevalı Çori znaleźliśmy pierwsze świadectwa istnienia dużych wapiennych rzeźb w okresie przejściowym między społeczeństwami łowiecko-zbierackimi a pierwszymi osiadłymi społecznościami rolników”.

Nieco później, w 1994 roku, Schmidt natknął się na raport z turecko-amerykańskich badań przeprowadzonych 30 lat wcześniej i zwrócił uwagę na jeden akapit wspominający o znalezieniu opracowanych krzemieni obok fragmentów wapiennych filarów leżących na powierzchni ziemi w Göbekli Tepe.

– Byłem wtedy młody archeologiem – opowiadał – i myślałem o jakimś własnym projekcie; natychmiast zdałem sobie sprawę, że to może być coś ważnego, może nawet stanowisko tak znaczące jak Nevalı Çori.

– Które pańskim poprzednikom umknęło, ponieważ w umysłach archeologów krzemienie i architektura zwykle nie łączą się ze sobą?

Miałem nadzieję, że zwróci uwagę na moją delikatną sugestię, że jemu także mogło coś umknąć w Göbekli Tepe z powodu utrwalonego paradygmatu, ale nie zauważył tego i odparł tylko:

– Tak, dokładnie.

Spojrzałem przed siebie. Szliśmy pogrążeni w rozmowie i nie zauważyłem, że zbliżamy się do miejsca, gdzie trwają intensywne prace. Nie było tego widać z czterech głównych okręgów, ponieważ widok zasłaniał szczyt wzniesienia, ale teraz już go mineliśmy i schodziliśmy w dół z boczka do nowego stanowiska, jakie Schmidt otworzył w Göbekli Tepe, nazwanego Okręgiem H¹⁰. Pięciu lub sześciu niemieckich archeologów krzątało się na wykopie; niektórzy usuwali szpachelkami warstwy osadów lub przesiewali wiadra ziemi przez sita, inni kierowali pracą 30 tureckich robotników.

Wszystkie prace koncentrowały się wokół dużego, prostokątnego zagłębienia. Wykop, wielkości mniej więcej połowy boiska futbolowego, był podzielony sięgającymi kolan ściankami z ziemi na jakiś tuzin mniejszych części. W kilku punktach z dna wykopu wystawały potężne wapienne filary. Większość z nich miała kształt litery T, ale moją uwagę przyciągnął taki, który miał gładko zaokrąglony szczyt, z niewielkim tylko ubytkiem, i wyrzeźbiony wyjątkowo piękny wizerunek lwa. Podobnie jak u lwów w Okręgu D, jego długi ogon zawija się do przodu ponad grzbietem; jakość wykonania znacznie przewyższała wszystko, co dotąd tutaj widziałem.

– To bardzo ważny filar – zwróciłem się do Schmidta. – Możemy mu się dokładniej przyjrzeć?

Zgodził się, więc szliśmy przez teren wykopalisk, aż stanęliśmy kilka metrów od filaru z lwem. Spoczywał ukośnie, oparty na pozostałościach zasypu z ziemi i otoczków, który najwyraźniej wypełniał cały okręg, zanim zaczęli tu pracować archeolodzy. Przy brzegu tej części wykopu widać było górną część następnego filaru, zaś przez środek segmentu wykopano głębszy rów, odsłaniając, jak przypuszczałem, szczyt kolejnego. Rów został wykopany w takim samym zasypie z ziemi i otoczków.

Zapytałem o to Schmidta.

– Wszystkie te otoczki... Jak się tutaj znalazły? Nie wyglądają na naturalny osad.

– Nie wyglądają – odparł. Sprawiał wrażenie zadowolonego z siebie. – Zostały tu umieszczone celowo.

– Celowo?

– Tak, przez twórców Göbekli Tepe. Po tym, jak megality zostały ustawione na swoim miejscu i były przez jakiś czas użytkowane, każdy z okręgów celowo i pospiesznie zasypano. Na przykład Okręg C jest najstarszym, jaki odkryliśmy do tej pory. Wygląda na to, że został zamknięty i wypełniony od dołu po szczyt, tak że filary były całkowicie zasłonięte, zanim powstał następny, Okręg D. Taka praktyka celowego zasypywania jest bardzo korzystna dla archeologii, ponieważ każdy okręg został jakby zapieczętowany i nie mógł się w nim znaleźć żaden późniejszy materiał organiczny. To daje nam absolutną pewność co do datowania.

Słuchając Schmidta, myślę intensywnie. To, co powiedział o datowaniu, jest ważne z co najmniej trzech powodów.

Po pierwsze, można wnioskować, że dla megalitów w innych częściach świata, gdzie nie stosowano takiego procesu „pieczętowania”, daty uzyskane przez archeologów mogą być błędne z powodu zanieczyszczenia późniejszym materiałem organicznym (swoją drogą, to jedyny materiał, jaki można datować

metodą radiowęglową, która nie ma zastosowania w przypadku materiałów nieorganicznych, takich jak kamień). Teoretycznie może to oznaczać, że słynne stanowiska megalityczne, które nie zostały celowo zasypane przez budowniczych (na przykład świątynie na Malcie czy *taulas* na Minorce albo kamienne kręgi w Avebury i Stonehenge w Anglii), mogą być znacznie starsze, niż się nam dzisiaj mówi.

Po drugie, jeśli daty dla Göbekli Tepe zostały uzyskane z materiału organicznego zawartego w zasypie – a tak właśnie było, co później sprawdziłem w opublikowanych artykułach Schmidta¹¹ – to dotyczą one tylko wieku zasypu; same megalityczne filary muszą być co najmniej tak samo stare, ale równie dobrze mogą być starsze, ponieważ przed zasypaniem stały w tym miejscu „przez nieokreślony czas”.

Po trzecie – i być może najważniejsze – dlaczego to miejsce zostało zasypane? Po co ktoś zadał sobie tyle trudu i stworzył wiele spektakularnych megalitycznych konstrukcji, by na koniec zakopać je tak dokładnie i skutecznie, że minęło ponad 10 000 lat, nim zostały odnalezione?

Pierwsze, co przychodzi do głowy, to... kapsuła czasu. Może Göbekli Tepe powstało, aby przekazać jakąś wiadomość przyszłym pokoleniom, i zostało zasypane, żeby ta wiadomość mogła przetrwać nienaruszona przez tysiące lat. Od tamtej pory ta myśl nie dawała mi spokoju, kiedy kontynuowałem badania, ale dopiero rok później przybrała konkretny kształt, o czym opowiem w następnych rozdziałach. Tymczasem, kiedy zadałem to pytanie Klausowi Schmidtowi, on przedstawił zupełnie inne wyjaśnienie celowego zakopania kręgów kamiennych filarów.

– Moim zdaniem taki był ich program. Zbudowali te okręgi po to, żeby je zakopać.

– Żeby je zakopać? – Byłem zaintrygowany. Czekałem, aż doda „jako kapsuła czasu”, ale on odparł:

– Jak, na przykład, megalityczne cmentarzyska w zachodniej Europie: wielkie konstrukcje, a nad nimi pagórek.

– Ale w takim razie były grobowcami. Czy są jakiegokolwiek ślady pochowanych tu ciał?

– Jeszcze nie znaleźliśmy pochówków. Mamy w zasypie trochę fragmentów ludzkich kości przemieszanych ze zwierzęcymi, ale na razie żadnych pochówków. Spodziewamy się, że wkrótce je znajdziemy.

– A więc uważa pan, że Göbekli Tepe było nekropolą?

– Jeszcze nie da się tego udowodnić. Ale tak, taka jest moja hipoteza.

– A te fragmenty ludzkich kości, które znaleźliście w zasypie, przemieszane z kośćmi zwierzęcymi? Jak pan je interpretuje? Ofiara? Kanibalizm?

– Nie sędę. Przypuszczam, że są świadectwem specjalnego postępowania z ludzkimi zwłokami po śmierci, być może celowego oddzielania ciała od kości. Takie rytuały były praktykowane na wielu innych stanowiskach w tym regionie, pochodzących z mniej więcej tego samego okresu. Moim zdaniem obecność ludzkich kości w zasypie przemawia na korzyść hipotezy, że gdzieś w Göbekli Tepe znajdziemy pierwotne pochówki, które po jakimś czasie zostały otwarte dla odprawienia rytuałów związanych ze zmarłymi¹².

– Wobec tego jaka była funkcja filarów?

– Filary o kształcie T są niewątpliwie antropomorficzne, a jednak na wielu z nich znajdują się wyobrażenia zwierząt, być może przekazujące jakieś historie dotyczące tych T-kształtnych istot. Oczywiście nie możemy być tego pewni, ale sędę, że przedstawiają one istoty boskie.

– Nawet kiedy nie mają kształtu litery T? – Wskazuję na filar z lwem. – Jak ten? Na nim też są przedstawione zwierzęta.

Schmidt wzruszył ramionami.

– Nie jesteśmy pewni. Może nigdy się tego nie dowiemy. To wszystko jest bardzo tajemnicze. Możemy tu kopać 50 lat i wciąż nie znaleźć wszystkich odpowiedzi. Jesteśmy na samym początku drogi.

– A jednak kilka odpowiedzi już macie. Macie jakieś pomysły. Weźmy na przykład ten filar z lwem. Potraficie powiedzieć przynajmniej, jaki jest jego wiek?

– Szczerze mówiąc, nie wiemy. Mamy nadzieję, że wykopaliska poniżej jego poziomu dostarczą nam materiału organicznego, który będzie można datować metodą radiowęglową. Ale do tego czasu nie możemy być pewni.

– A jakie pan odnosi wrażenie na podstawie stylu?

Schmidt ponownie wzruszył ramionami, a w końcu przyznał, wyraźnie niechętnie:

– Wygląda podobnie do niektórych filarów w Okręgu C.

– Które są najstarsze?

– Tak. Więc jego wiek może być zbliżony.

– To znaczy jaki?

– Dokładnie 9600 p.n.e. To najwcześniejsza skalibrowana data, jaką mamy.

Rozbieżność między datami radiowęglowymi i latami kalendarzowymi zwiększa się tym bardziej, im głębiej w przeszłość sięgamy, ponieważ ilość radioaktywnego izotopu węgla ¹⁴C w atmosferze i we wszystkich żywych organizmach była różna w różnych epokach. Na szczęście naukowcy znaleźli sposoby – zbyt skomplikowane, żeby je tutaj omawiać – by korygować różnice wynikające z tych fluktuacji. Proces ten nazywa się kalibracją, więc kiedy Schmidt mówi o „skalibrowanej dacie”, ma na myśli lata kalendarzowe. A

zatem „skalibrowane 9600 p.n.e.” oznaczało w 2013 roku, kiedy z nim rozmawiałem, 9600 lat plus 2013 lat, jakie upłynęły od początku ery – czyli 11 613 lat temu. Piszę to zdanie w grudniu 2014 roku, a przeczytacie je być może dopiero w 2016 roku, kiedy data przywołana przez Schmidta będzie oznaczała 11 616 lat temu.

Rozumiecie już, o co mi chodzi.

Innymi słowy – ujmując rzecz najprościej – najstarsze odkopane dotąd części Göbekli Tepe liczą nieco ponad 11 600 lat. I mimo wszystkich jego zastrzeżeń przemyślana i oparta na kryteriach stylistycznych opinia Schmidta jest taka, że filar z lwem, na który patrzyliśmy, jest najprawdopodobniej co najmniej równie stary, jak wszystkie inne obiekty odkopane dotąd w Göbekli Tepe.

Co więcej – wprawdzie nie powiedział tego wprost, gdyż dowodów przemawiających za lub przeciwko jest naprawdę bardzo mało – ale należy brać pod uwagę możliwość, że filar ten jest znacznie starszy. W końcu Schmidt sam przyznał, że najstarsze rzeczy w Göbekli Tepe są najlepiej wykonane. I choć wyraził nadzieję na odkrycie w przyszłości „skromnych początków, których się spodziewamy, ale jeszcze nie znaleźliśmy”, pierwsze, na co natrafił, kontynuując wykopaliska, nie ma nic wspólnego ze „skromnymi początkami”. Wręcz przeciwnie – wykopaliska wydobyły na światło dzienne potężny, wspaniale wykonany megalityczny filar z wyrzeźbionym w wypukłym reliefie pięknym wyobrażeniem lwa, który – pod względem stylistycznym – wydaje się niezmiernie stary.

A co będzie, jeśli, wbrew nadziejom Schmidta, dalsze wykopaliska nie odsłonią żadnych „skromnych początków”, lecz jeszcze więcej obiektów podobnych do dotychczas odkrytych?

– Znamy koniec – powiedział stanowczo profesor. – Najmłodsze warstwy w Göbekli Tepe są datowane na 8200 rok p.n.e. Wtedy to stanowisko zostało na zawsze opuszczone. Ale o początkach jeszcze nic nie wiemy.

– Poza datą 9600 p.n.e, czyli 11 600 lat temu, którą uzyskaliście z Okręgu C. To jest początek; przynajmniej tyle udało się wam na razie ustalić?

– Początek monumentalnej fazy, tak. – W oku profesora pojawił się błysk. – I wie pan, 9600 rok p.n.e. to bardzo ważna data. Nie jakaś przypadkowa liczba. To koniec epoki lodowcowej. Zjawisko o skali światowej. Więc ponieważ to odpowiada...

Data, na którą taki nacisk kładł Schmidt, uruchomiła nagle alarm w mojej głowie, ponieważ skojarzyła mi się z innymi badaniami, jakie prowadziłem. Nie mogłem się powstrzymać i przerwałem mu:

– 9600 p.n.e.! To nie tylko koniec epoki lodowcowej. To także koniec młodszego dryasu, zimnego epizodu, który zaczął się 10 800 lat p.n.e.

– I skończył w 9620 roku p.n.e. – dokończył Schmidt. – Na to wskazują rdzenie lodowe z Grenlandii. A więc czy może być tylko dziełem przypadku, że monumentalna faza w Göbekli Tepe zaczyna się od 9600 roku p.n.e., kiedy klimat na całej Ziemi nagle stał się łagodniejszy i cała natura rozkwitła, zyskując nowe możliwości?

Musiałem przyznać mu rację. To nie mogło być dziełem przypadku. Wręcz przeciwnie, jestem pewien, że musi tu istnieć jakaś zależność. Zajmiemy się tą zależnością – a także tajemniczym, katastroficznym okresem, który geolodzy nazywają młodszym dryasem, i danymi pochodzącymi z rdzeni z Grenlandii – w części drugiej.

Tymczasem w 2013 roku zakończyłem rozmowę z Klausem Schmidtem kilkoma ciepłymi słowami. A teraz, kiedy w grudniu 2014 roku siedzę przy swoim biurku, przeglądając transkrypcję nagrań z Göbekli Tepe i mając świadomość, że Klaus zmarł 20 lipca 2014 roku na rozległy, niespodziewany atak serca, cieszę się, że to zrobiłem.

– Jest pan bardzo skromnym człowiekiem – powiedziałem. – Ale nie mam wątpliwości, że odkrywa pan stanowisko, które zmusza nas wszystkich do zweryfikowania naszych wyobrażeń o przeszłości. To coś wyjątkowego i wierzę, że pańskie nazwisko, obok nazwy Göbekli Tepe, przejdzie do historii.

Krzewiciele cywilizacji

Po opuszczeniu Göbekli Tepe w połowie września 2013 roku przemierzyłem Turcję wzdłuż i wszerz, po czym wróciłem do domu.

Filar z lwem utkwił mi w pamięci, ale szczególnie nie dawała mi spokoju scena na Filarze 43 w Okręgu D – przedstawiająca sępa o ugiętych nibyludzkich kolanach i skrzydle, tak bardzo podobnym do ludzkiego ramienia, podtrzymującym wypukły dysk.

Miałem w komputerze zdjęcia Santhy i mogłem wrócić do tej sceny. Oprócz dysku jest w niej wiele innych godnych uwagi elementów. Dopiero po powrocie zauważyłem, że przedstawione zostały jego oba skrzydła – drugie miał uniesione za plecami. Na prawo od sępa znajduje się wąż. Ma dużą, trójkątną głowę, jak wszystkie węże przedstawione w Göbekli Tepe, a jego ciało wygina się w łuk, z ogonem skierowanym ku piktogramowi przypominającemu literę H. Obok węża widać drugiego dużego ptaka – nie

sępa, lecz raczej podobnego do ibisa, z długim, zakrzywionym dziobem. Pomiedzy nim a sępem jest jeszcze jeden ptak, także z zakrzywionym dziobem, ale mniejszy, przypominający pisklę.

Przyjrzałem się uważniej dyskowi. Nie miałem pojęcia, co o nim sądzić, ale jego kształt sugerował, że najprawdopodobniej przedstawia słońce.

Ale w wizerunkach na tym starożytnym filarze z Göbekli Tepe jest coś jeszcze, co nie daje mi spokoju, choć nie potrafię wskazać dokładnie, co to takiego. Coś bardzo sugestywnego, niepokojąco znajomego. Santha wykonała setki zdjęć, pod każdym możliwym kątem, więc obsesyjnie przeglądałem je wszystkie, w nadziei znalezienia jakiejś wskazówki. Sęp... dysk... a w następnym rejestrze, nad sępem, ten dziwaczny rząd toreb z półokrągłymi uchwytami...

Torby.

Nagle znalazłem. Podszedłem do półki w bibliotece, na której trzymam egzemplarze własnych książek, wyjąłem *Ślady palców bogów* i zacząłem przeglądać wkładki ze zdjęciami. Pierwsza jest poświęcona Ameryce Południowej i tutaj nie było tego, czego szukałem. Ale druga dotyczy Meksyku i oto, na trzynastej stronie – jest. Fotografia numer 33, z podpisem: Posąg „Człowieka w Wężu” z olmeckiego stanowiska La Venta”. Na zdjęciach Santhy, wykonanych w 1992 lub 1993 roku, widać imponujący relief wyrzeźbiony na granitowej płycie o szerokości 1,2 metra i wysokości 1,5 metra. Relief uważa się za najstarsze wyobrażenie mezoamerykańskiego bóstwa, które Majowie (cywilizacja późniejsza od olmeckiej) nazywali *Kukulkan* lub *Gucumatz*, a jeszcze później przez Azteków było zwane *Quetzalcoatl*¹³. Wszystkie te trzy imiona oznaczają „Pierzastego Węża” (czasami są tłumaczone jako „Upierzony Wąż”) i właśnie takiego węża, z imponującym grzebieniem z piór na głowie, możemy zobaczyć tutaj. Jego potężne ciało wije się wzdłuż krawędzi reliefu, otaczając człowieka, który został przedstawiony w pozycji siedzącej, jakby starał się dosięgnąć nogami pedałów. W prawej ręce trzyma coś, co wtedy opisałem jako „mały obiekt podobny do wiadra”¹⁴.

Wróciłem do zdjęć Santhy z Okręgu D w Göbekli Tepe i natychmiast udało mi się potwierdzić moje przypuszczenia. Trzy torby na filarze uderzająco przypominają „podobny do wiadra” obiekt z La Venta. Wszystkie mają takie same półkoliste uchwyty, a także podobny kształt – są nieco szersze u dołu niż u góry.

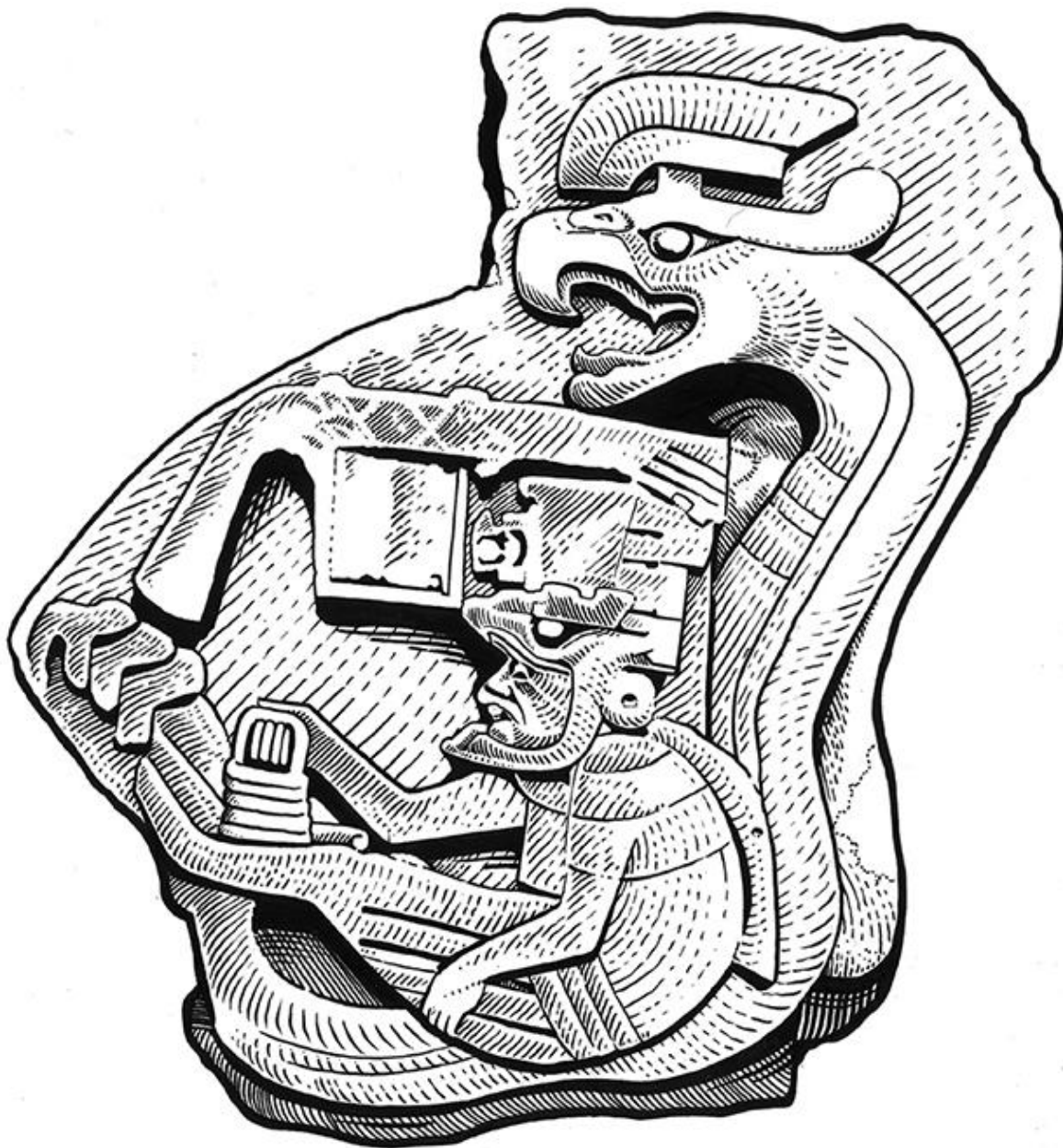
Gdyby nie było nic więcej, zapewne można by to uznać za dzieło przypadku. Archeolodzy uważają, że relief z La Venta powstał między X a VI wiekiem

p.n.e.¹⁵ – około 9000 lat później niż wizerunki z Göbekli Tepe – a więc co mogą mieć ze sobą wspólnego?

Właśnie wtedy przypomniałem sobie drugi dziwny obrazek, który zamieściłem w *Śladach palców bogów*. Poszukałem w indeksie imienia Oannes i otworzyłem rozdział jedenasty, gdzie znalazłem kolejny wizerunek postaci trzymającej torbę lub wiadro. Wcześniej nie widziałem podobieństwa między nią a Człowiekiem w Wężu, ale teraz było ono dla mnie oczywiste. Wprawdzie nie całkiem identyczne, lecz torby miały dokładnie taki sam półkolisty uchwyt, jaki widziałem na reliefach w Göbekli Tepe. Szybko przejrzałem raport, jaki napisałem 20 lat wcześniej. Oannes był przynoszącym cywilizację herosem czczonym przez wszystkie starożytne kultury Mezopotamii. Podobno pojawił się tam w zamierzchłej przeszłości i nauczył mieszkańców:

(...) umiejętności niezbędnych do pisania i liczenia, a także wszelkiego rodzaju wiedzy: jak budować miasta, zakładać świątynie... stanowić prawa... wyznaczać granicę i dzielić ziemię, jak sadzić rośliny, a potem zbierać owoce i warzywa. Mówiąc najkrócej, nauczył ludzi wszystkiego, co jest potrzebne do cywilizowanego życia¹⁶.

Najpełniejsza znana relacja o Oannesie znajduje się w zachowanych fragmentach dzieła babilońskiego kapłana imieniem Berossos, który pisał w III wieku p.n.e. Na szczęście miałem w swojej bibliotece zebrane w jednym tomie tłumaczenie wszystkich zachowanych fragmentów dzieła Berossosa, wraz z kilkoma innymi źródłami dotyczącymi mitów i tradycji starożytnej Mezopotamii. Szybko sprawdziłem, że Oannes nie działał sam, lecz podobno miał do pomocy grupę istot zwanych Siedmioma Apkallu – Siedmioma Mędrkami – którzy żyli przed potopem (katastroficzna powódź o globalnej skali zajmuje ważne miejsce w wielu mezopotamskich przekazach, między innymi z Sumeru, Akadu, Asyrii i Babilonu). Mędracy ci zostali, wraz z Oannesem, opisani jako krzewiciele cywilizacji, którzy – w najdawniejszej przeszłości – dali ludziom kodeks moralny, sztukę, rzemiosło i rolnictwo, a także przekazali im wiedzę o budownictwie, architekturze i inżynierii¹⁷.



Il. 5. Relief przedstawiający Człowieka w Wężu – najstarsze znane wyobrażenie mezoamerykańskiego bóstwa znanego później jako Quetzalcoatl (fotografia znajduje się wśród zdjęć kolorowych).

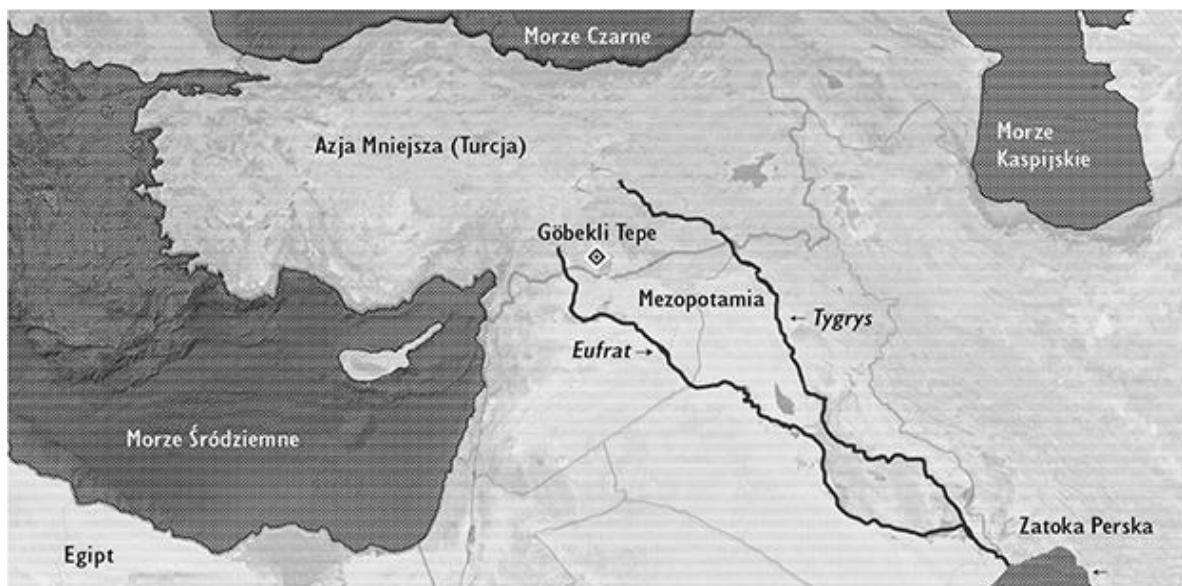


Il. 6. Oannes, przedpotopowy heros, krzewiciel cywilizacji czczony przez wszystkie starożytne kultury Mezopotamii. Objasnienie jego dziwnego stroju – często bywa opisywany jako postać w rybim stroju – znajduje się w rozdziale ósmym.

Nie mogłem się pozbyć myśli, że to jest lista wszystkich umiejętności, jakie podobno zostały „wynalezione” w Göbekli Tepe!

Spoglądam na mapę w komputerze i widzę, że południowa Turcja nie tylko sąsiaduje geograficznie z Mezopotamią, ale jest z nią połączona jeszcze bardziej dosłownie. Starożytna Mezopotamia zajmowała obszar zbliżony do dzisiejszego Iraku; jej nazwa oznacza „Międzyrzecze” – krainę położoną między Tygrysem i Eurfatem, rzekami wpadającymi do Zatoki Perskiej, a wypływającymi z gór Taurus w południowo-wschodniej Turcji, gdzie leży Göbekli Tepe.

Od razu poszukałem w Internecie wizerunków Siedmiu Mędrców. Początkowo znajdowałem niewiele, ale kiedy zmieniłem kryteria wyszukiwania na Siedmiu Apkallu, zobaczyłem ogromne archiwum obrazków z najróżniejszych miejsc. Wiele przedstawięń było dziełem kultury asyryjskiej, która rozwijała się w Mezopotamii między około 2500 a 600 rokiem p.n.e. Wpisałem jako kryteria wyszukiwania Asyryjscy Apkallu i na ekranie pojawiło się jeszcze więcej obrazków. Wiele z nich przedstawiało brodatych mężczyzn trzymających torby lub wiadra, uderzająco podobne do tych na filarze z Göbekli Tepe i meksykańskiego reliefu Człowieka w Wężu. Nie chodziło tylko o półkoliste uchwyty tych pojemników ani o ich kształt – gdzie podobieństwa są znacznie bliższe niż w przypadku reliefu przedstawiającego Oannesa, który opublikowałem w *Śladach palców bogów*. Jeszcze bardziej uderzający jest sposób, w jaki postacie z Mezopotamii i Meksyku trzymają te pojemniki – ujmują uchwyt od dołu zgiętymi palcami i przytrzymując od góry kciukiem.



Il. 7. Położenie Göbekli Tepe w stosunku do płynących przez Mezopotamię rzek – Tygrysu i Eufratu.

I jest coś jeszcze. Wiele wizerunków przedstawia nie człowieka, lecz teriantropa – człowieka ptaka o zakrzywionym dziobie, dokładnie takim, jaki ma postać na filarze z Göbekli Tepe. To sprawia, że podobieństwo jest jeszcze bliższe, mezopotamski człowiek ptak trzyma w jednej ręce pojemnik, a w drugiej przedmiot podobny do szyszki. Jego kształt jest nieco inny, ale trudno się oprzeć skojarzeniu go z dyskiem nad ramieniem postaci z Göbekli Tepe.

Jeszcze nie mogłem niczego udowodnić. Oczywiście to wszystko może być czysto przypadkowe albo ja mogłem się dopatrywać związków, których tu wcale nie było. Ale tak podobne pojemniki na różnych kontynentach i w różnych epokach pobudziły moją wyobraźnię, więc zanotowałem sobie serię pytań, które mogły stanowić ogólne ramy dla luźnej hipotezy do zweryfikowania w przyszłości. Na przykład, czy te pojemniki (torby lub wiadra) mogą być oznakami przynależności do jakiegoś inicjacyjnego bractwa, którego korzenie tkwiły w najdawniejszej prehistorii? Mam przeczucie, że taka możliwość, choć na pierwszy rzut oka wydaje się niezwykła, zasługuje na dokładniejsze zbadanie. To wrażenie dodatkowo pogłębiają charakterystyczne gesty dłoni. Czy mogły one pełnić podobną funkcję jak dzisiaj masońskie uściski dłoni – pozwalały natychmiast rozpoznać, kto jest swój, a kto obcy?

I co mogłoby być celem członków bractwa?

Co ciekawe, i w Meksyku, i w Mezopotamii, gdzie przetrwały mity i tradycje związane z takimi wyobrażeniami, nie mamy co do tego

najmniejszych wątpliwości. Mówiąc najprościej, ich celem było nauczanie, kierowanie i propagowanie zdobycy cywilizacji.

Właśnie taka była funkcja Oannes i mędrców Apkallu, którzy nauczyli mieszkańców Mezopotamii, „jak sadzić rośliny, a potem zbierać ich owoce i warzywa” – innymi słowy rolnictwa, a także architektury i inżynierii, przede wszystkim budowy świątyń. Skoro trzeba ich było tego uczyć, to znaczy, że przed przybyciem mędrców nie posiadali tej wiedzy. A zatem musieli być koczownikami trudniącymi się łowiectwem i zbieractwem, podobnie jak mieszkańcy południowo-wschodniej Turcji, dopóki na scenie – nagle i zaskakująco – nie pojawiło się Göbekli Tepe.

Jak się wydaje, podobnie było z mieszkańcami starożytnego Meksyku przed przybyciem Quetzalcoatl, Pierzastego Węża, który przekazał im umiejętności potrzebne do osiadłego życia, uprawy roli i budowy świątyń. Wprawdzie bóstwo to często przedstawiano jako węża, ale jeszcze częściej w ludzkiej postaci – którego symbolem i alter ego był wąż – i opisywano jako „wysokiego, brodatego białego człowieka”¹⁸, „tajemniczą osobę... białego mężczyznę o mocno zbudowanym ciele, szerokim czole, dużych oczach i długiej brodzie”¹⁹. Jak podsumował Sylvanus Griswold Morley, nestor studiów nad cywilizacją Majów, atrybuty i życiorys Quetzalcoatla są:

(...) tak ludzkie, że nie można wykluczyć, że był rzeczywistą postacią historyczną... której dobre uczynki pamiętano długo po śmierci i która w końcu została ubóstwiona²⁰.

To samo można powiedzieć o Oannesie – i podobnie jak Oannes stał na czele Apkallu (również wyobrażanych jako brodacze), wydaje się, że Quetzalcoatl podróżował ze swoim bractwem mędrców i magów. Jak się dowiadujemy, przybyli oni do Meksyku „zza morza, w łodzi, która poruszała się sama, bez wiosł”²¹ i że Quetzalcoatl uważano za „założyciela miast, twórcę prawa i nauczyciela kalendarza”²². Szesnastowieczny hiszpański kronikarz, Bernardino de Sahagun, który płynnie mówił językiem Azteków i bardzo się starał dokładnie opisać ich starożytne tradycje, informuje nas, że:

Quetzalcoatl był wielkim krzewicielem cywilizacji, który przybył do Meksyku na czele grupy obcych. Przyniósł do kraju sztukę i szczególnie rozwijał rolnictwo... budował przestronne i eleganckie domy i zaszczepił religię głoszącą pokój²³.



Il. 8. Przedstawienia Oannes i Apkallu w mezopotamskiej sztuce; często byli oni ukazywani jako hybrydowe postacie ludzi ryb lub ludzi ptaków.

Podsumowując, oprócz złożonego zestawu wspólnych symboli i ikonografii Quetzalcoatl i Oannes mieli taką samą misję cywilizacyjną, którą pełnili w

dwóch różnych częściach świata, w epoce zawsze opisywanej jako niezmiernie zamierzchła, przedpotopowa.

Czy mogło to być 9600 lat p.n.e., w czasach Göbekli Tepe, gdzie znajduje się wiele takich samych symboli i gdzie – choć nie przetrwały żadne legendy, które by o tym opowiadały – wyraźnie widać liczne ślady cywilizacyjnej misji w postaci nagłego pojawienia się rolnictwa i monumentalnej architektury?

Gdyby kiedykolwiek udało mi się udowodnić tę hipotezę, jej implikacje byłyby oszałamiające. Oznaczałoby to co najmniej tyle, że gdzieś na świecie jacyś nieznani nam jeszcze ludzie opanowali sztukę i posiadli wszelkie atrybuty zaawansowanej cywilizacji ponad 12 000 lat temu, w mrokach ostatniej epoki lodowcowej, i rozesłali po całym świecie emisariuszy, by rozprzestrzerali dobrodziejstwa swojej wiedzy. Kim mogli być owi tajemniczy emisariusze, owi mędracy, ci „Magowie Bogów”, jak już wtedy zacząłem o nich myśleć? I co znaczyło to powracające skojarzenie z datą 9600 lat p.n.e.?

Jak słusznie zauważył Klaus Schmidt, kiedy oprowadzał mnie po Göbekli Tepe w palącym anatolijskim słońcu, 9600 rok p.n.e. to naprawdę ważna data – ważna nie tylko dlatego, że wyznacza koniec epoki lodowcowej, ale i z jeszcze jednej, dość zaskakującej przyczyny.

Grecki prawodawca Solon odwiedził Egipt w 600 roku p.n.e. i tam usłyszał niezwykłą historię, opowiedzianą mu przez kapłanów w Sais, w delcie Nilu. Historia ta później trafiła do jego znacznie sławniejszego potomka Platona, który przekazał ją światu w swoich dialogach *Timajos* i *Kritias*.

Oczywiście jest to historia wielkiej zaginionej cywilizacji, Atlantydy, która została pochłonięta przez potop i trzęsienie ziemi w ciągu jednego straszliwego dnia i jednej straszliwej nocy, 9000 lat przed czasami Solona²⁴.

Czyli, według naszego kalendarza, w 9600 roku p.n.e.

2. GÓRA ŚWIATŁA

Wszystko, czego nas uczono o początkach cywilizacji, może być nieprawdą – mówi dr Danny Hilman Natawidjaja, geolog z Centrum Badawczego Geotechnologii w Indonezyjskim Instytucie Nauk. – Wygląda na to, że stare historie o Atlantydzie i innych wielkich, zaginionych prehistorycznych cywilizacjach, od dawna odrzucane przez archeologów jako mity, mogą się okazać prawdziwe.

W grudniu 2013 roku byliśmy w Cianjur Regency, około 900 metrów nad poziomem morza i 70 kilometrów na zachód od miasta Bandung na indonezyjskiej Jawie. Wspinałem się z dr. Natawidjają po stromym zboczu wysokiej na 110 metrów schodkowej piramidy stojącej pośrodku magicznego krajobrazu wulkanów, gór i dżungli, gdzieś urozmaiconego poletkami ryżu i plantacjami herbaty.

W 1914 roku archeolodzy po raz pierwszy zobaczyli, zbudowane ze słupów bazaltu starożytne struktury, rozproszone wśród gęstych drzew i zarośli, pokrywających wówczas szczyt piramidy. Miejscowa ludność uważała to miejsce za święte i nazywała Gunung Padang; ta nazwa jest używana do dzisiaj, często tłumaczona błędnie, jako „Górskie Pole”, przez ludzi nieświadomych, że językiem używanym w tym regionie jest nie indonezyjski, lecz sundajski, w którym Gunung Padang znaczy „Góra Światła”. Okazało się, że struktury są rozmieszczone na pięciu terasach o łącznej powierzchni 150 metrów na 40 metrów. Archeolodzy dowiedzieli się, że terasy były od niepamiętnych czasów używane jako ustronie i miejsce medytacji – i tak pozostaje do dzisiaj.



Il. 9. Artystyczna wizja starożytnego Gunung Padang (dzięki uprzejmości Pona S. Purajatniki).

Jednak ani archeolodzy, ani najwyraźniej tubylcy nie zdawali sobie sprawy, że wzgórze jest piramidą. Uważano je za naturalne, nieco zmodyfikowane przez ludzką działalność, dopóki Natawidjaja i jego ekipa nie przeprowadzili w 2011 roku badań geofizycznych z użyciem georadaru i tomografii sejsmicznej. Wtedy już szczyt był od dawna oczyszczony, a struktury na terasach zidentyfikowane jako megalityczne budowle. Nie wykonano jednak jeszcze datowania analiz radiowęglowych i data powstania stanowiska – ok. 1000 roku p.n.e. – była oparta na domysłach, a nie na wykopaliskach.

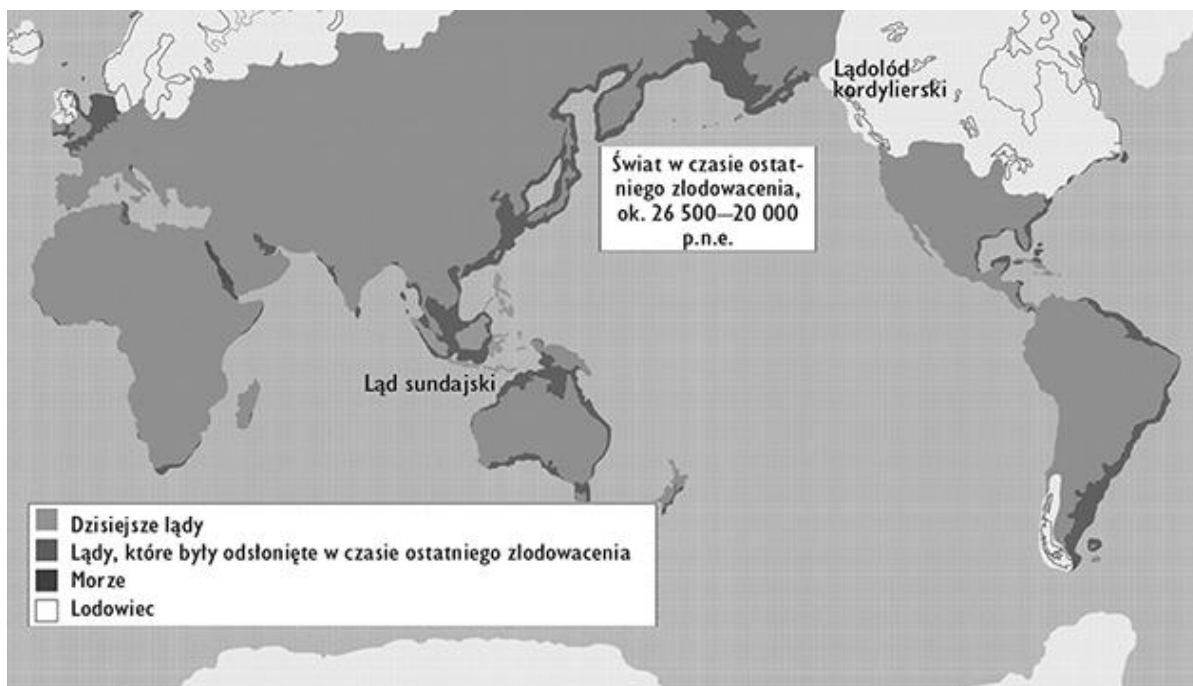
Pierwsze naukowe datowanie radiowęglowe zostało przeprowadzone przez samego Natawidjaję; badaniom poddano próbki organiczne pochodzące z gleby pod megalitami znajdującymi się na powierzchni. Uzyskane daty – od 500 do około 1500 roku p.n.e. – były na tyle zbliżone do propozycji archeologów, że nie budziły kontrowersji. Ale zaskoczenie czekało Natawidjaję i jego ekipę, kiedy postanowili użyć świdrów i wydobyć rdzenie ziemi i kamieni ze znacznie głębszych warstw.

Po pierwsze, odwierty zawierały świadectwa – fragmenty opracowanych słupów bazaltowych – wskazujące, że pod powierzchnią znajdują się kolejne megalityczne konstrukcje wzniesione przez człowieka. Po drugie, materiał organiczny pozyskany z odwiertów dostarczał coraz wcześniejszych dat – 3000 do 5000 roku p.n.e., potem 9600 rok p.n.e. z głębszych warstw, później około 11 000 roku p.n.e., 15 000 roku p.n.e. i wreszcie, na głębokości 27,5 m, oszałamiającą sekwencję dat 20 000 do 22 000 roku p.n.e. i jeszcze wcześniejszych.

– Czegoś takiego moi koledzy w świecie archeologii ani się nie spodziewali, ani nie chcieli usłyszeć – mówił Natawidjaja, światowej sławy ekspert w dziedzinie trzęsień ziemi, który uzyskał doktorat w Stanach Zjednoczonych i, jak się okazuje, uważa archeologię za zupełnie nienaukową dyscyplinę.

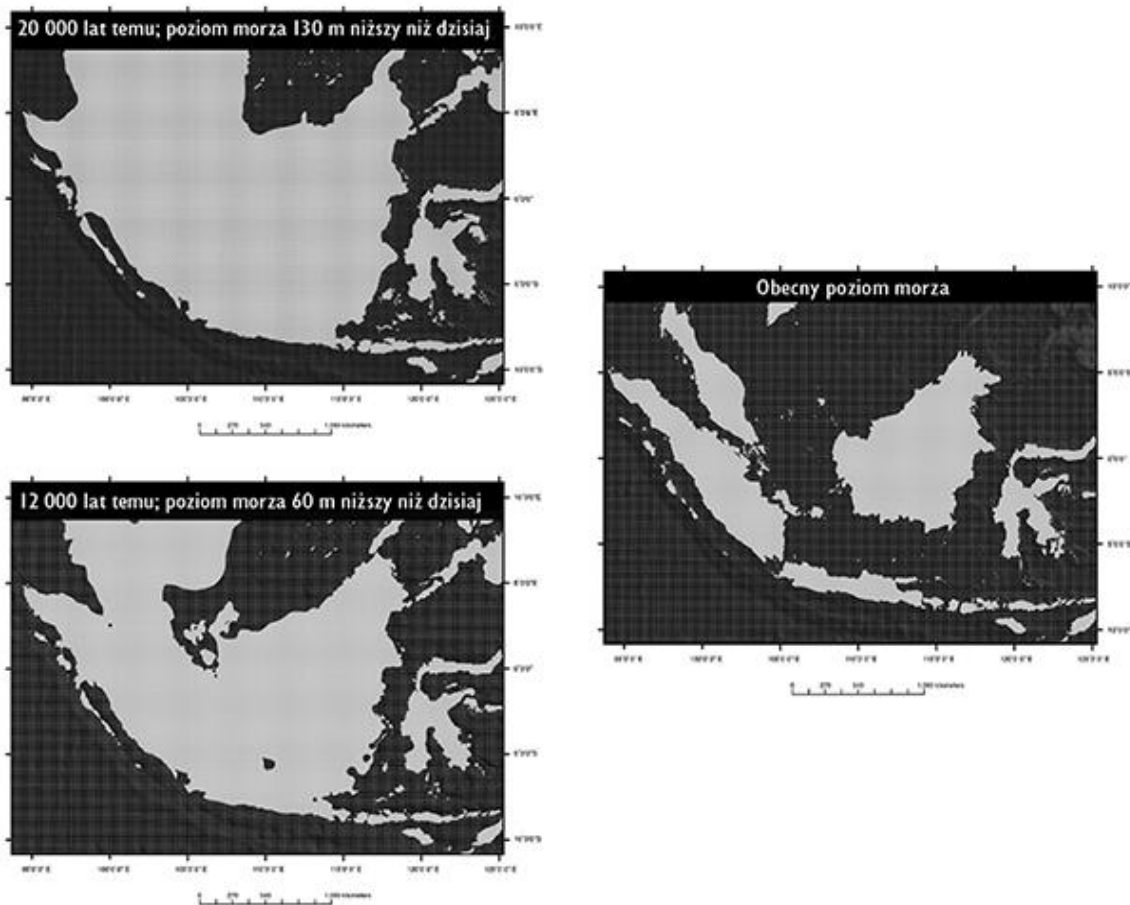
Naprawdę katastroficzne czasy

Problem polega na tym, że daty sięgające poza 9600 rok p.n.e. cofają nas daleko w głąb epoki lodowcowej, kiedy Indonezja nie składała się z wysp jak dzisiaj, lecz była częścią wielkiego przedpotopowego kontynentu zwanego przez geologów lądem sundajskim.



Il. 10.

Poziom morza był o 122 metry niższy niż dzisiaj. Wielkie czapy lodowe o grubości 3,2 kilometra pokrywały większą część Europy i Ameryki Północnej. Potem pokrywa lodowa zaczęła topnieć; zawarta w niej woda spłynęła do oceanów i poziom morza się podniósł, zatapiając wiele części świata zamieszkanymi przez ludzi. W epoce lodowcowej Brytania była połączona z Europą (nie istniał kanał La Manche ani Morze Północne). Podobnie nie było Morza Czerwonego ani Zatoki Perskiej, Sri Lanka łączyła się z południowymi Indiami, Syberia z Alaską, Australia z Nową Gwineą – i tak dalej, i tak dalej. To właśnie w tamtej epoce podnoszenia się poziomu morza – czasem następowało to powoli i stopniowo, czasem gwałtownie – ląd sundajski został zatopiony i tylko Półwysep Malajski oraz wyspy Indonezji, które znamy dzisiaj, leżały dostatecznie wysoko, by pozostać nad wodą.



Il. 11. Zatopienie lądu sundajskiego pod koniec ostatniej epoki lodowcowej.

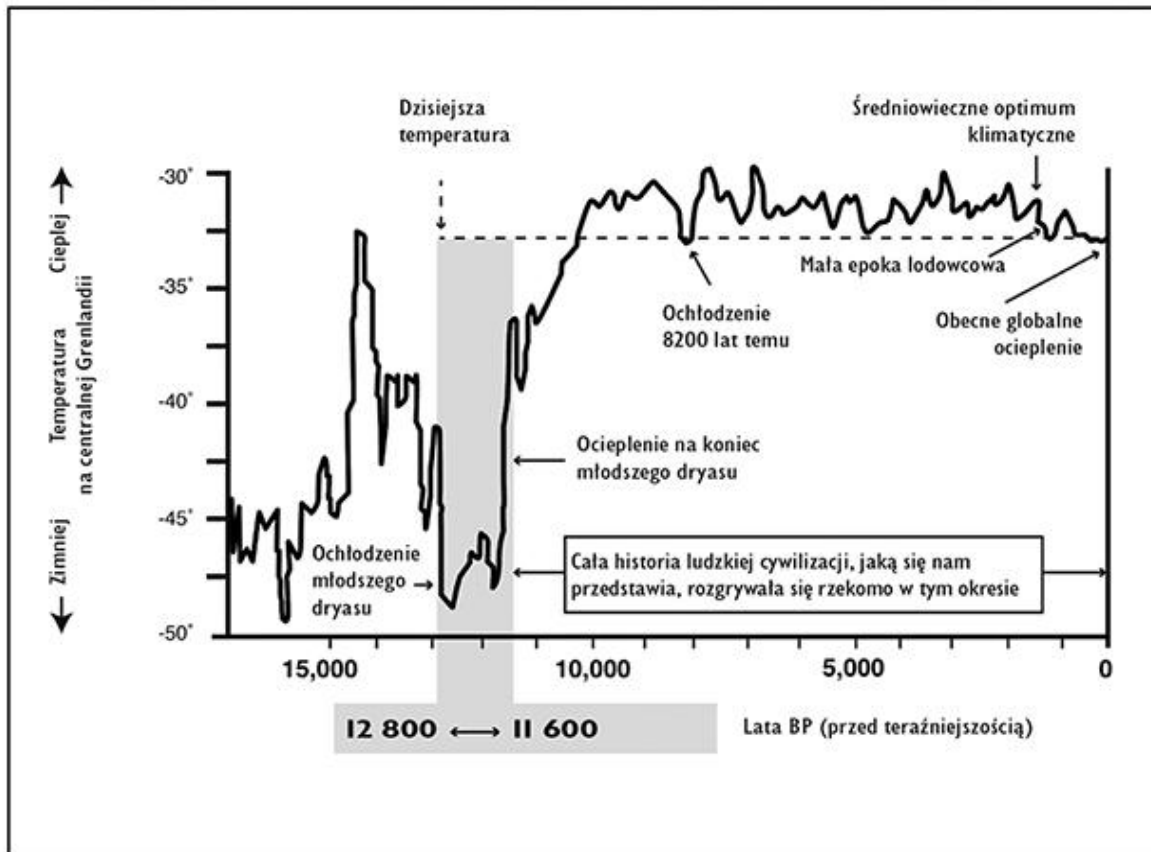
Jak widzieliśmy w poprzednim rozdziale, według utrwalonej w archeologii wizji stanu ludzkiej cywilizacji, przed końcem ostatniej epoki lodowcowej nasi przodkowie byli prymitywnymi zbieraczami i łowcami, nieznającymi rolnictwa i niezdolnymi do tworzenia jakiegokolwiek architektury bardziej skomplikowanej niż szałas.

Właśnie dlatego Göbekli Tepe w południowo-wschodniej Turcji jest tak ważnym miejscem – ponieważ przełamuje paradygmat i zmusza nas do poważnego potraktowania możliwości, wcześniej lekceważonej i spychanej na margines, że cywilizacja jest znacznie starsza i bardziej tajemnicza, niż sądziliśmy¹. Ponieważ data założenia Göbekli Tepe została ustalona na 9600 rok p.n.e. („dokładnie 9600 p.n.e.”, co wyraźnie podkreślił Klaus Schmidt), każe nam to wrócić do sprawy Atlantydy, którą archeolodzy od dawna wyśmiewają, zasypując kpinami każdego, kto ośmielił się choćby wypowiedzieć zakazane słowo na „A”. Jak wspomniałem pod koniec poprzedniego rozdziału, grecki filozof Platon, którego dialogi *Timajos* i *Kritias* zawierają najwcześniejsze zachowane wzmianki o legendarnym zatopionym królestwie, umieszcza katastroficzne powodzie i trzęsienia ziemi, które spowodowały zniszczenie i zatopienie Atlantydy, 9000 lat przed czasami Solona², czyli dokładnie 9600 lat p.n.e. Grecy nie mogli wiedzieć o istnieniu Göbekli Tepe (ani, tym bardziej, wiedzieć, że zostało tajemniczo założone w tym samym momencie, kiedy podobno nastąpiła zagłada Atlantydy). Co więcej, nie mieli dostępu do odwiertów z Grenlandii datujących koniec epoki lodowcowej na 9620 rok p.n.e., zaledwie 20 lat przed założeniem Göbekli Tepe, ani do współczesnej naukowej wiedzy o podnoszącym się poziomie mórz (czemu często towarzyszyły katastroficzne trzęsienia ziemi, kiedy kontynentalne masy lądów zostały uwolnione od ciężaru topniejącej pokrywy lodowej) właśnie w tym okresie. Jeśli pamiętamy o tym wszystkim, to data, jaką podał Platon, wydaje się – łagodnie rzecz ujmując – przedziwnym zbiegiem okoliczności.

Jednak zdaniem Danny’ego Natawidjai to wcale nie jest zbieg okoliczności. Badania, jakie przeprowadził w Gunung Padang, przekonały go, że Platon miał rację co do istnienia zaawansowanej cywilizacji w mrokach ostatniej epoki lodowcowej – cywilizacji, którą rzeczywiście spotkała niespodziewana zagłada wśród powodzi i trzęsień ziemi w epoce globalnych kataklizmów między 10 800 a 9600 p.n.e.

Ta epoka, którą geolodzy nazywają młodszym dryasem, od dawna jest uważana za tajemniczą i niespokojną. W 10 800 roku p.n.e., kiedy się zaczęła, Ziemia od mniej więcej 10 000 lat wychodziła z epoki lodowcowej; temperatury na całym świecie powoli wzrastały i czapy lodowe topniały.

Potem nastąpił nagły powrót chłodniejszego klimatu – niemal tak zimnego, jak w szczytowym okresie epoki lodowcowej 21 000 lat temu. Ten krótki, ostry chłód trwał 1200 lat, do 9600 roku p.n.e., kiedy powróciło ocieplenie, temperatury zaczęły znowu rosnać, a pozostałe czapy lodowe stopniały bardzo gwałtownie i cała zawarta w nich woda spłynęła do oceanów.



Il. 12. Cała historia ludzkości, jaką się nam dzisiaj przedstawia, następuje po młodszym dryasie, tajemniczym okresie kataklizmów między 10 800 p.n.e. (około 12 800 lat temu) a 9600 p.n.e. (około 11 600 lat temu).

– Trudno sobie wyobrazić – mówił Natawidjaja – jak wyglądało życie na ziemi w młodszym dryasie. To naprawdę był okres kataklizmów, ogromnie niestabilnego klimatu i strasznych, naprawdę przerażających warunków panujących na całej Ziemi. Nic dziwnego, że wiele gatunków dużych zwierząt, takich jak mamuty, wymarło właśnie w tym czasie, co oczywiście miało potężny wpływ na naszych przodków – nie tylko tych prymitywnych myśliwych i zbieraczy, o których opowiadają archeolodzy, ale także – w co

głęboko wierzę – na zaawansowaną cywilizację, którą burzliwe wydarzenia młodszego dryasu wymazały z historii.

Kontrowersyjna piramida

Tym, co doprowadziło Natawidjaję do tak radykalnych poglądów, były świadectwa, jakie wraz ze swoim zespołem znalazł w Gunung Padang. Kiedy zaczęli uzyskiwać niespodziewanie wczesne daty dla próbek materiału organicznego pochodzącego z gliny między opracowanymi kamiennymi blokami, włączyli do swoich badań sprzęt geofizyczny – georadar, tomografię sejsmiczną i metodę elektrooporową – aby dostać pełniejszy obraz tego, co jest pod ziemią. Rezultaty były oszałamiające – pokazywały liczne warstwy wielkich konstrukcji z takich samych megalitycznych bazaltowych elementów jak te, które były widoczne na powierzchni, a pod nimi warstwy bazaltowych skał sięgające 30 i więcej metrów poniżej powierzchni ziemi. Analizy radiowęglowe wykazały, że megality na tych głębokościach zostały ułożone ponad 12 000 lat temu, a niektóre z nich 24 000 lat temu.

Słupy bazaltowe powstają w sposób naturalny – jak na przykład słynna Droga Gigantów w Irlandii Północnej – ale w Gunung Padang zostały wykorzystane jako materiał budowlany w formie, jaka nie występuje w naturze.

– Świadectwa geofizyczne są jednoznaczne – mówił Natawidjaja. – Gunung Padang nie jest naturalnym wzgórzem, lecz zbudowaną przez człowieka piramidą, a początki tutejszych konstrukcji sięgają w przeszłość daleko przed koniec ostatniej epoki lodowcowej. Ponieważ konstrukcje są potężne nawet w najgłębszych warstwach i świadczą o zaawansowanych umiejętnościach konstrukcyjnych, porównywalnych z tymi, które zastosowano przy wznoszeniu egipskich piramid albo największych megalitycznych struktur w Europie, nie sposób nie dojść do wniosku, że patrzymy na dzieło jakiejś zaginionej cywilizacji – i to zaawansowanej cywilizacji.

– Archeologom się to nie spodoba – zauważyłem.

– Oczywiście – przyznał Natawidjaja ze smutnym uśmiechem. – Już posypały się na mnie gromy. Moje argumenty są mocne, oparte na solidnych naukowych podstawach, ale nie są łatwe. Występuję przeciwko głęboko zakorzenionym poglądom.

Następnym krokiem będą wykopaliska archeologiczne na dużą skalę.

– Musimy przeprowadzić wykopaliska, żeby zweryfikować wyniki badań geofizycznych i sekwencje dat radiowęglowych i albo potwierdzić, albo odrzucić to, co naszym zdaniem znaleźliśmy tutaj – mówił Natawidjaja. – Ale niestety, napotykamy mnóstwo przeszkód.

Kiedy zapytałem, jakie przeszkody ma na myśli, odpowiedział, że kilku wybitnych indonezyjskich archeologów stara się przekonać rząd w Dżakarcie, by zabronił mu prowadzenia jakichkolwiek prac w Gunung Padang, twierdząc, że „wiedzą”, że stanowisko liczy niewiele ponad 3000 lat i nie ma powodu, by je naruszać.

– Nie przeczę, że megality na powierzchni mają nieco ponad 3000 lat – dodał pospiesznie Natawidjaja. – Ale moim zdaniem zostały tu umieszczone, ponieważ Gunung Padang było uważane za święte miejsce od niepamiętnych czasów. To struktury w najgłębszych warstwach, liczące między 12 000 a 20 000 lat, są najważniejsze. Mają potencjalnie rewolucyjne implikacje dla naszego rozumienia historii i myślę, że powinniśmy móc je zbadać jak należy.

Atlantyda

Na szczęście w 2014 roku interweniował prezydent i teraz mogę donieść, że Danny (odtąd będę używał jego imienia, ponieważ zostaliśmy przyjaciółmi) dostał *carte blanche* na prowadzenie wykopalisk. Razem z ekipą zaczął prace w sierpniu 2014 roku i zakończył krótki sezon wykopalisk w październiku, ale jak pokazuje przykład Göbekli Tepe, badania archeologiczne są powolnym i żmudnym procesem, więc nie należy się spodziewać osiągnięcia najgłębszych warstw przed 2017 lub 2018 rokiem. Jednak pod koniec pierwszego sezonu Danny przysłał mi e-mail z nowinami:

Wykopaliska są bardzo obiecujące. W ostatnich tygodniach odkopaliśmy na szczycie megalitycznego stanowiska jeszcze trzy miejsca, które dostarczyły więcej dowodów i informacji o pogrzebanych strukturach. Odkryliśmy mnóstwo kamiennych artefaktów. Istnienie pod megalitami kamiennej konstrukcji podobnej do piramidy nie ulega już wątpliwości; nawet ktoś, kto nie jest specjalistą, zrozumie to, jeśli przyjedzie i sam zobaczy. Znaleźliśmy rodzaj otwartej hali, pod warstwą ziemi grubą na pięć do siedmiu metrów, chociaż nie dotarliśmy jeszcze do głównej komory. Teraz prowadzimy wiercenia w miejscu, gdzie przypuszczamy, że powinna się ona znajdować (na podstawie badań geofizycznych na powierzchni), pośrodku megalitycznego stanowiska³.

Pogrzebane konstrukcje? Komory? A, tak, zapomniałem o nich wspomnieć. Wnioskami, jakie wypływają z tego wszystkiego, zajmiemy się bardziej szczegółowo w następnym rozdziale, ale – mówiąc najkrócej – badania geofizyczne, które Danny i jego zespół przeprowadzili między 2011 i 2013

rokiem, przy użyciu metody elektrooporowej, tomografii sejsmicznej, georadaru i wierceń, nie tylko dostarczyły bardzo wczesnych dat radiowęglowych, ale ujawniły głęboko zakopane potężne konstrukcje oraz trzy nieznane dotąd komory o tak regularnych kształtach, że nie mogą być tworem naturalnymi. Największa z nich leży na głębokości od 21,3 do 27,4 metra i mierzy około 5,5 metra wysokości, 13,7 metra długości i 9,1 metra szerokości.

Czy może to być słynna Sala Zapisów Atlantydy? Stawiając taką kontrowersyjną tezę, Danny rzucił na szalę swoją nieskazitelną naukową reputację. Nie tylko nie wyśmiewa idei Atlantydy, ale napisał też książkę, w której twierdzi, że Indonezja – a właściwie wielkie obszary starożytnego ładu sundajskiego, które zostały zatopione, kiedy podnosił się poziom mórz pod koniec epoki lodowcowej – może być Atlantyda⁴.

W czerwcu 2014 roku Danny i ja odbyliśmy długą i intensywną podróż po całym indonezyjskim archipelagu poza utartymi szlakami, w poszukiwaniu stanowisk megalitycznych, które nigdy nie zostały zbadane przez archeologów. W rozdziale osiemnastym opiszę dokładniej nasze odkrycia i ich związek z zagadką Gunung Padang, ale tymczasem chciałbym przytoczyć opinię dr. Roberta Schocha, profesora geologii z Uniwersytetu Bostońskiego, który był razem ze mną w grudniu 2013 roku, kiedy po raz pierwszy spotkałem Danny'ego w Gunung Padang⁵.

Opinia profesora Roberta Schocha

Schoch jest sławną postacią między innymi z powodu swojego stwierdzenia – opartego na mocnych geologicznych świadectwach – że Wielki Sfinks w Gizie nosi wyraźne ślady erozji wywołane przez tysiące lat ulewnych deszczy⁶. To znaczy, że musiał powstać znacznie wcześniej niż około 2500 roku p.n.e. (data przyjęta przez ortodoksyjną archeologię; w Egipcie padało wtedy nie więcej deszczu niż dzisiaj), pod koniec epoki lodowcowej, kiedy w dolinie Nilu trwał długi okres intensywnych opadów.

Schoch, wysoki, smukły naukowiec z brodą i szopą niesfornych włosów, w Gunung Padang był w swoim żywiole. Uważnie sprawdzał z Dannym wyniki badań geofizycznych, zbierał próbki i dokładnie oglądał stanowisko. Później, gdy wrócił do Stanów Zjednoczonych i miał czas na przeanalizowanie danych, napisał:

Przede wszystkim nasuwa się spostrzeżenie... że Gunung Padang pochodzi z czasów przed końcem epoki lodowcowej, około 9700 lat p.n.e. Na podstawie dostępnych świadectw

jestem przekonany, że stanowisko było użytkowane przez człowieka od około 14 700 lat p.n.e. Możliwe, że jego początki sięgają 22 000 lat p.n.e. lub nawet wcześniej.

Moim zdaniem Warstwa Trzecia, około 4 do 10 metrów poniżej powierzchni ziemi, zawiera materiał z samego końca ostatniej epoki lodowcowej, około 10 000 do 9500 p.n.e., kiedy nastąpiły dramatyczne zmiany klimatu, z globalnym ociepleniem, podniesieniem poziomu mórz, ulewnymi deszczami, wzmożoną aktywnością wulkaniczną i trzęsieniami ziemi, wielkimi pożarami... Warstwa Trzecia zawiera ślady konstrukcji, które się zawaliły, być może z powodu panujących wówczas warunków.

Kiedy zwiedzałem Gunung Padang zastanawiając się nad datami i widocznymi tam świadectwami zniszczeń i odbudowy, nie mogłem nie skojarzyć tego z innym ważnym stanowiskiem, również należącym do niezmiernie starożytnej cywilizacji istniejącej u schyłku epoki lodowcowej, a mianowicie Göbekli Tepe w południowo-wschodniej Turcji... Myślałem też o Egipcie i moich badaniach nad datowaniem Wielkiego Sfinksa. Widoczne na proto-Sfinksie (monument ten został wtórnie użyty w epoce dynastycznej, kiedy jego głowę zmodyfikowano) wyraźne ślady bardzo intensywnego wietrzenia i erozji spowodowanej przez ulewne deszcze mogą być skutkiem gwałtownych zmian klimatycznych zachodzących pod koniec ostatniej epoki lodowcowej.

Zestawiając świadectwa z Gunung Padang z danymi z Göbekli Tepe, egipskiego Sfinksa oraz innych stanowisk na całym świecie, jestem przekonany, że coraz bardziej zbliżamy się do zrozumienia katastroficznych czasów i wydarzeń u schyłku epoki lodowcowej. Przed 9700 rokiem p.n.e. istniały zaawansowane cywilizacje, zgładzone przez zjawiska, które zakończyły ostatnią epokę lodowcową⁷.

W poszukiwaniu dowodu zbrodni...

Starsze o co najmniej 6000 lat megality w Göbekli Tepe, podobnie jak pogrzebane głęboko pod ziemią monumenty w Gunung Padang, wskazują, że wizja historii, jaką od ponad 100 lat przekazuje się nam w szkołach i na uniwersytetach, nie da się dłużej obronić. Wygląda na to, że cywilizacja – jak twierdziłem w moim kontrowersyjnym bestsellerze z 1995 roku *Ślady palców bogów* – jest naprawdę znacznie starsza i bardziej tajemnicza, niż dotąd sądziliśmy.

Podsumowując, wysunąłem wtedy hipotezę, że zaawansowana cywilizacja została wymazana z kart historii przez globalny kataklizm pod koniec ostatniej epoki lodowcowej. Sugerowałem, że ocaleni z kataklizmu osiedlili się w różnych częściach świata i starali się przekazać swoją wiedzę, obejmującą między innymi rolnictwo i architekturę, żyjącym z łowiectwa i zbieractwa koczownikom, którzy także przeżyli kataklizm. Nawet dzisiaj mamy społeczności myśliwych i zbieraczy, na przykład na pustyni Kalahari czy w amazońskiej dżungli, które współistnieją z naszą zaawansowaną technologiczną cywilizacją – nie powinno więc nas dziwić, że w przeszłości mogły ze sobą współistnieć kultury o tak różnym poziomie cywilizacyjnego rozwoju.

Ale kiedy pisałem *Ślady palców bogów*, nie mogłem – ponieważ te dane wówczas nie były dostępne – zidentyfikować dokładnie charakteru tego kataklizmu, który zgładził moją hipotetyczną cywilizację. Rozważałem wiele możliwych przyczyn, przede wszystkim radykalną teorię przemieszczenia skorupy ziemskiej wysuniętą przez profesora Charlesa Hapgooda, która – choć była popierana przez Alberta Einsteina⁸ – spotkała się z niewielkim poparciem wśród geologów. Brak wiarygodnego „dowodu zbrodni” był jednym z licznych aspektów mojej teorii, które zostały ostro skrytykowane przez archeologów. Jednak od 2007 roku światło dzienne ujrzał wielki zespół naukowych świadectw, które pozwoliły mi wskazać ów dowód zbrodni. Są tym bardziej intrygujące, że dostarczyła ich liczna grupa naukowców głównego nurtu, o imponującym dorobku, a ponadto nie wykluczają one – a wręcz pod pewnymi względami wspierają – teorię gwałtownej destabilizacji skorupy ziemskiej, którą przedstawiłem w *Śladach palców bogów*.

W następnych rozdziałach przyjrzymy się dokładniej tym nowym dowodom i płynącym z nich szokującym wnioskom.

II. KOMETA

3. ŚCIANA ZIELONEJ WODY NISZCZĄCA WSZYSTKO NA SWEJ DRODZE

Czy pewne starożytne mity i tradycje, przez uczonych uważane za pozbawione wartości historycznej, mogą być w rzeczywistości szczegółowymi wspomnieniami z epoki, kiedy ludzkość przeżyła kryzys tak niszczycielski, tak katastroficzny i tak dezorganizujący, że straciliśmy pamięć o naszej przeszłości? Posłuchajmy przekazu rdzennego amerykańskiego ludu, Odżibwejów:

Gwiazda z długim, szerokim ogonem zniszczy świat pewnego dnia, kiedy znowu się zbliży. To kometa zwana Niebiańską Wznoszącą się Gwiazdą o Długim Ogonie. Zbliżyła się tutaj już raz, tysiące lat temu. Tak jak słońce. Promieniowała i miała w ogonie palący żar. Kometa spaliła wszystko do gołej ziemi. Nie zostało nic. Indianie byli tutaj, zanim to się stało, żyli na ziemi. Ale stało się coś złego: mnóstwo ludzi zeszło z duchowej ścieżki. Wielki Duch ostrzegł ich na długo przed nadejściem komety. Medycy mówili wszystkim, żeby się przygotowali. W przyrodzie na ziemi stało się coś złego... Potem przeszła tędy kometa. Miała długi, szeroki ogon i spaliła wszystko. Leciąca tak nisko, że jej ogon spalił ziemię... Kometa zmieniła świat. Tych, którzy przeżyli, czekała ciężka praca. Pogoda stała się zimniejsza niż przedtem...¹.

Różne wersje tego mitu opowiadane wśród Odżibwejów i zadokumentowane przez antropologa Thora Conwaya zawierają również inne interesujące szczegóły. Na przykład wzmiankę o zgładzeniu przez kometa „wielkich zwierząt... Do dzisiaj można znaleźć w ziemi ich kości. Mówi się, że kometa zesłała nisko, a jej ogon rozciągał się na wiele mil”². Dowiadujemy się, że w czasie tych wydarzeń, zazwyczaj opisywanych jako „pierwsze spalenie ziemi” Odżibwejowie „mieszkali blisko granicy Zamarzniętych Ziem”³. Odnotowano

także, że krótko po katastrofie spowodowanej przez kometa nastąpiło „pierwsze zatopienie ziemi”⁴.

Podobnie jak Odżibwejowie ubolewali, że „stało się coś złego... ludzie zeszli z duchowej ścieżki”, co daje pojęcie o zachowaniu ludzi w czasie kataklizmu, również Brulé, jedno z plemion ludu Lakotów, opowiada o czasach „w świecie przed tym światem”, kiedy „ludzie i zwierzęta zwrócili się ku złu i zapomnieli o swoim związku ze Stwórcą”. Dlatego Stwórca postanowił „zniszczyć świat i zacząć od nowa”. Najpierw jednak ostrzegł kilku dobrych ludzi, polecając im uciec na najwyższe góry, a potem zesłał „groźne Ptaki Gromu, aby wydały wielką bitwę pozostałym ludziom i wielkim zwierzętom” (podobnie jak mit Odżibwejów, wersja Brulé mówi o zwierzętach nadzwyczajnych rozmiarów)⁵.

Na koniec, w szczytowym momencie bitwy, Ptaki Gromu spuściły wszystkie swoje najpotężniejsze pioruny równocześnie. Ognisty podmuch wstrząsnął całym światem, obalając górskie łańcuchy i podpalając lasy i prerie. Płomienie wystrzeliły w niebo we wszystkie strony i ocalało tylko kilku ludzi na najwyższych szczytach. Nawet skały były rozpalone do czerwoności, a gigantyczne zwierzęta i żli ludzie płonęli tam, gdzie stali.

Potem Stwórca zaczął tworzyć świat na nowo.

Kiedy Stwórca śpiewał pieśń stworzenia, zaczął padać deszcz. Gdy Stwórca śpiewał głośniejsze, padało mocniej, aż rzeki wystąpiły z brzegów i zalały równiny. W końcu Stwórca tupnął, ziemia zatrzęsała się i rozstała; wielki potop zalał cały świat, aż ponad wodą wystawało tylko kilka szczytów, na których schronili się nieliczni ocaleni ludzie... [Kiedy potop ustąpił], ludzie rozeszli się po ziemi i znaleźli pobielające kości wielkich zwierząt pogrzebane w skałach i mule... Ludzie do dzisiaj znajdują je na należących do Dakotów badlandach⁶.

Szczególnie godny uwagi, jeśli przypomnimy sobie, że pod koniec epoki lodowcowej w Ameryce Północnej wymarł gatunek gigantycznego bobra⁷, jest mit plemion Passamaquoddy, Micmac i Malisee. Opowiada o istocie zwanej Glooscap, opisywanej jako „duch, lekarz i czarownik”, który stworzył pierwsze zwierzęta, między innymi pierwszego bobra – tak wielkiego, że kiedy zbudował tamę, woda „zalała kraj od horyzontu po horyzont”. Glooscap poklepał bobra po grzbiecie i ten skurczył się do swoich dzisiejszych rozmiarów⁸.

Wzmianka o potopie w tej historii jest jedną z setek zawartych w mitach rdzennych mieszkańców Ameryki. Wiele z nich podaje intrygujące szczegóły, bardzo istotne w świetle nowych danych naukowych dotyczących wydarzeń, jakie zaszły w Ameryce Północnej pod koniec epoki lodowcowej, czym zajmiemy się na następnych stronach. Na przykład lud Cowichan z Kolumbii Brytyjskiej wspomina zamierzchłą przeszłość, kiedy ich jasnowidze bardzo martwili się dziwnymi wizjami przepowiadającymi zagładę. Pewien człowiek

powiedział: „Śniło mi się, że rzeka wylała i zatopiła to miejsce, i wszyscy zginęliśmy”. „Ja też”, wtrącił się inny. „I ja także”⁹.

Ludzie nie uwierzyli jasnowidzom, lecz mimo to postanowili zbudować wielką tratwę z wielu połączonych ze sobą kanoe. Niedługo po tym, jak skończyli, zaczął padać deszcz. Krople były wielkie jak grad i tak ciężkie, że zabijały małe dzieci. Woda w rzece podniosła się i zalała wszystkie doliny. Jasnowidze i nieliczni wierzący im przyjaciele:

(...) zabrali swoje rodziny, umieścili je na tratwie, wzięli jedzenie i czekali. Tratwa powoli unosiła się wraz z wodą... W końcu deszcze ustał i poczuli, że tratwa zaczyna opadać, aż osiadła na szczycie góry Cowichan... Wtedy zobaczyli łód, ale jakież spustoszenie ukazało się ich oczom! Ich serca ścisnęły się z bólu. To było nie do opisania¹⁰.

Nadzwyczajnie duże bryły gradu występują również w katastroficznym micie ludu Quillayute:

Wielkie burze szalały przez wiele dni. Na ziemię padał deszcz i grad, a potem deszcz ze śniegiem i śnieg. Grad był tak duży, że wielu ludzi zginęło... [Ocalali] byli wychudzeni i osłabieni z głodu. Grad zniszczył paprocie, kamasje i jagody. Łód skuł rzeki i ludzie nie mogli łowić ryb¹¹.

Pima, Rzeczni Ludzie, żyją dziś w Arizonie, dokąd przywędrowali w zamierzchłej przeszłości z terenów leżących daleko na północy. Jak u ludu Cowichan, w ich mitach również pojawia się jasnowidz – w tym przypadku jasnowidz, którego wielki orzeł ostrzegł przed nadejściem potopu. „Lepiej uwierz w to, co ci mówię – powiedział orzeł. – Cała dolina zostanie zatopiona. Wszystko będzie zniszczone”. „Jesteś kłamcą”, odparł jasnowidz. „A ty jesteś jasnowidzem, który niczego nie widzi”, rzekł orzeł.

Ptak odleciał, a ledwie zniknął, rozległ się potężny grzmot gromu, najgłośniejszy, jaki kiedykolwiek słyszano... Słońce było ukryte za ciemnymi chmurami i panował półmrok, szary i mglisty. Potem ziemia zadrżała i rozległ się wielki ryk, jakby coś ogromnego się poruszało. Ludzie zobaczyli ogromną zieloną ścianę, która zbliżała się do nich, wypełniając całą dolinę. W pierwszej chwili nie wiedzieli, co to takiego, ale nagle uświadomili sobie, że to była ściana zielonej wody. Niszcząc wszystko na swej drodze, nadeszła jak wielka bestia, zielony potwór, który pędził na nich, pieniąc się i sycząc, w chmurze wodnej mgły. Pochłonął dom jasnowidza i porwał go wraz z jasnowidzem, którego nikt więcej nie zobaczył. Potem woda runęła na wieś, niszcząc domy, ludzi, pola i lasy. Powódź wymiotła dolinę do czysta, niczym ogromna miotła, a potem popędziła dalej, siać zniszczenie gdzie indziej¹².

Inuici z Alaski przechowali legendę o trzęsieniu ziemi, któremu towarzyszyła straszliwa powódź, przechodząca przez ziemię tak gwałtownie, że tylko kilku ludzi zdążyło uciec w kanoe lub schronić się na szczytach najwyższych gór¹³. Luiseno z Kalifornii także pamiętają potop, który przykrył góry i zgładził większą część ludzkości. Ocaleli tylko ci nieliczni, którzy uciekli na najwyższe szczyty, kiedy reszta świata była zatopiona¹⁴. Podobne

mito o potopie mają także Huroni¹⁵. A Montagnais, należący do rodziny Algonkinów, opowiadają, jak bóg Michabo odbudował świat po wielkim potopie.

Pewnego dnia Michabo polował ze swoim stadem wyszkolonych wilków, kiedy zobaczył coś bardzo dziwnego: wilki weszły do jeziora i zniknęły. Wszedł za nimi do wody, żeby je złapać, a wtedy cały świat został zalany. Wówczas Michabo wysłał kruką, żeby poszukał kawałka gleby, z której mógłby zrobić nową ziemię, lecz ptak wrócił z niczym. Następnie Michabo wysłał w tym samym celu wydrę, lecz i jej się nie udało. Na koniec wysłał piznaka, który przyniósł mu dość ziemi, by mógł zacząć odbudowywać świat¹⁶.

Tylko dzięki napisanej w XIX wieku *Historii Dakotów* Lynda przetrwały do naszych czasów liczne legendy rdzennych ludów. Jednym z nich jest mit Irokezów opowiadający o tym, że pewnego razu „morze i wody wtargnęły na ląd, aby zniszczyć wszelkie ludzkie życie”. Czikasawowie twierdzą, że świat został zniszczony przez wodę, „ale ocalała jedna rodzina i po dwa zwierzęta z każdego gatunku”. Lakotowie (Dakotowie) także opowiadali o czasach, kiedy nie było suchego lądu i wszyscy ludzie przestali istnieć¹⁷.

Mity przemawiają do nauki

Przez lata trwała wśród naukowców debata, niekiedy bardzo zażarta, na temat zaludnienia Ameryk. Kim dokładnie byli rdzenni Amerykanie? Kiedy dotarli do Nowego Świata? I jaką trasą?

Zawsze, kiedy już wydawało się, że znamy odpowiedź, kiedy niemal udawało się wypracować wspólną opinię, pojawiały się nowe informacje – z jednej lub drugiej strony – wymagające weryfikacji dotychczasowych poglądów. Nigdy jednak nie kwestionowano tego, że przodkowie dzisiejszych rdzennych Amerykanów byli już w Ameryce Północnej 12 800 lat temu, kiedy zaczął się tajemniczy chłodny okres zwany przez geologów młodszym dryasem, i polowali na żyjące w epoce lodowcowej gatunki megafauny, takie jak gigantyczny mamut kolumbijski, nieco mniejszy mamut włochaty, gigantyczny bóbr, niedźwiedź krótkopyski, olbrzymie leniwce, dwa gatunki tapirów, kilka gatunków pekari i budzący grozę lew amerykański.

Wydaje się więc prawdopodobne, że wzmianki o wielkich zwierzętach w cytowanych wyżej mitach nie są wytworem fantazji, lecz przechowanym wspomnieniem o niektórych spośród wielu gatunków, które żyły w Ameryce Północnej przed początkiem młodszego dryasu, lecz wymarły, nim ta epoka skończyła się 1200 lat później. To samo dotyczy potopów, które opisują mity¹⁸, gdyż geolodzy są zgodni co do tego, że Ameryka Północna rzeczywiście

przechodziła katastrofalne powodzie w końcowych tysiącletniach ostatniej epoki lodowcowej. Najnowsze badania podały jednak w wątpliwość, czy prawidłowo rozumiemy skalę, zasięg i – przede wszystkim – przyczynę tych powodzi. Ortodoksyjna opinia jest powtarzana w nieskończoność w książkach i czasopismach publikowanych od lat sześćdziesiątych, jednak aby poznać alternatywną teorię, która stanowi coraz poważniejsze wyzwanie dla ortodoksji, we wrześniu i październiku 2014 roku odbyłem podróż po Ameryce Północnej z badaczem kataklizmów Randallem Carlsonem¹⁹.

Randall nie może być reinkarnacją J Harlena Bretza, ponieważ J Harlen Bretz (którego imię brzmiało J i który nie znośli, gdy korektorzy traktowali je jak inicjał) zmarł 3 lutego 1981 roku, kiedy Randall miał już trzydzieści lat. Jednak w swojej pasji do działania, do rzeczywistej pracy w terenie, a nie tylko czytania książek i artykułów, oraz w zacieklej obronie pewnej radykalnej hipotezy geologicznej dotyczącej katastroficznych powodzi, które rozdarły Amerykę Północną pod koniec epoki lodowcowej, pod każdym względem przypomina J Harlena Bretza.

W następnych rozdziałach opiszę moje podróże z Randallem i przekonujące dowody, jakie mi pokazał, ale wcześniej powinienem wyjaśnić, kim był J Harlen Bretz.

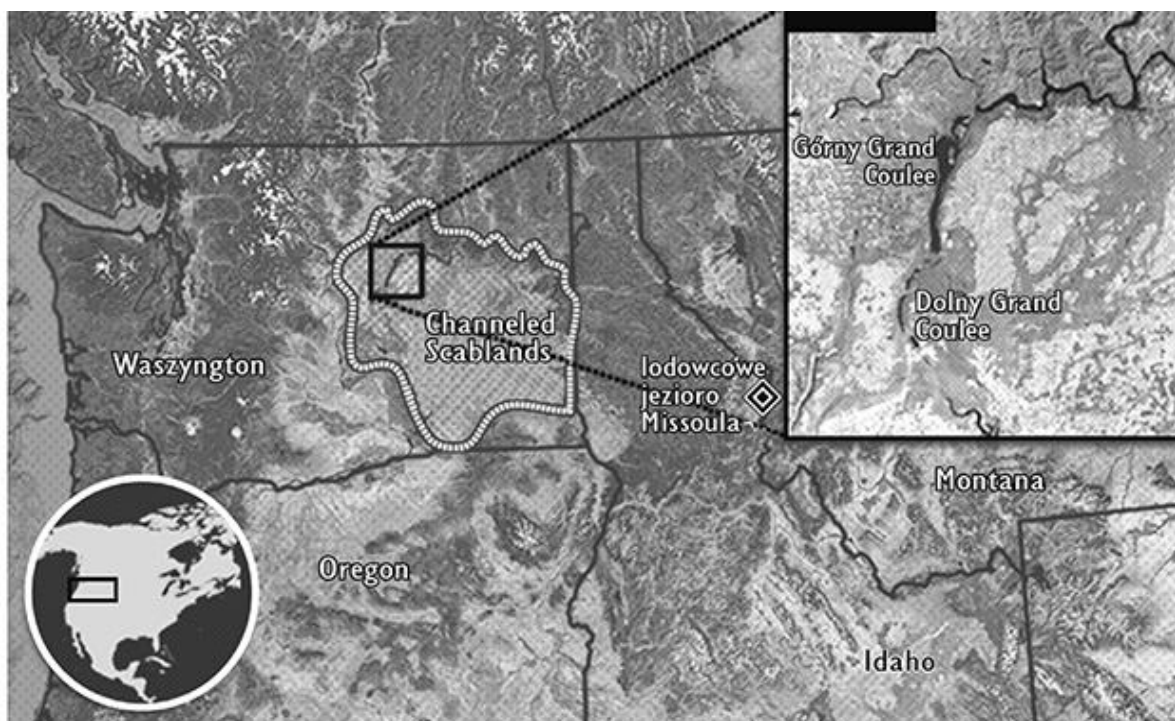
Przedstawiam J Harlena Bretza

Oto, co napisał Bretz w 1928 roku, po jednej ze swoich podróży po stanie Waszyngton na północno-zachodnim wybrzeżu Stanów Zjednoczonych:

Nikt o oku wyczulonym na ukształtowanie terenu nie może przemierzyć wschodniego Waszyngtonu w świetle dnia, nie zauważając i nie podziwiając „scabland”. Te długie pasma nagich lub prawie nagich czarnych skał, wyrzeźbionych w labirynty wzgórz i kanionów są niczym wielkie blizny znaczące gładkie poza tym oblicze płaskowyżu. Wszyscy na płaskowyżu znają scabland. Przecina uprawy pszenicy, dzieląc je na pola od niewielkich, mierzących niecałe 15 hektarów, po takie, które mają ponad 100 kilometrów kwadratowych. Nie sposób do nich dotrzeć ani ich opuścić bez przemierzenia jakiejś części porozgałęzianych scabland. Poza nielicznymi pastwiskami tereny te nie mają prawie żadnej wartości. Ich popularna nazwa („kraj strupów”) jest pełną ekspresji metaforą. Scabland są częściowo tylko zagojonymi bliznami – wielkimi ranami na skórze ziemi, którą przyroda osłoniła leżące głębiej skały.

Dzisiaj trzeba długo chodzić tam i z powrotem, wpatrując się w ziemię i utrwalając swoje obserwacje – w pamięci, na fotografiach, szkicach i na mapie – żeby uzyskać coś zbliżonego do pełnego obrazu. Ale już niedługo – jeszcze zanim papier, na którym zapisano te słowa, zdąży pożółknąć – człowiek będzie mógł obserwować te ziemie z powietrza i zobaczy w jednej chwili wszystko, co my musimy mozolnie składać z prowadzonych miesiącami obserwacji z poziomu ziemi. Ten region jest wyjątkowy; niech obserwator wzleci na skrzydłach poranka w najdalsze krańce ziemi: nigdzie nie znajdzie nic podobnego²⁰.

W 1928 roku Bretz był już doświadczonym i cenionym geologiem terenowym. Urodzony w 1882 roku, zaczął karierę jako nauczyciel biologii w szkole średniej w Seattle, lecz większość wolnego czasu spędzał na poznawaniu geologii Puget Sound. Chociaż wtedy jeszcze nie miał geologicznego wykształcenia, udało mu się opublikować w naukowych czasopismach kilka artykułów o swoich odkryciach²¹. W 1911 roku zaczął studia doktoranckie w zakresie geologii na Uniwersytecie Chicagowskim. Ukończył je *summa cum laude* w 1913 roku i natychmiast potem wrócił do Seattle, gdzie przyjął stanowisko profesora geologii na Uniwersytecie Waszyngtońskim²². Nie odpowiadało mu podejście innych profesorów (których później opisał jako „sztywniaków”²³) i w 1914 roku był już znowu na Uniwersytecie Chicagowskim – początkowo jako wykładowca, ale krótko później jako profesor²⁴.



Il. 13.

Pierwszą naukową wyprawę do Scablands we wschodniej części stanu Waszyngton Bretz odbył w 1922 roku. Wtedy, dzięki swojej wcześniejszej pracy, wiedział już wszystko o epoce lodowcowej we wszystkich jej wymiarach i był bardziej niż większość innych geologów świadom, że

ogromne czapy lodowe, grube na prawie 3 kilometry, pokrywały Amerykę Północną przez większą część ostatnich 100 000 lat, zanim nie stopniały w dramatycznych okolicznościach między 15 000 a 11 000 lat temu. Kiedy więc zobaczył dużo głazów narzutowych – ogromnych głazów, które nie pochodziły z tego obszaru, lecz wyraźnie zostały przyniesione z innego miejsca – skłaniał się ku założeniu, że mogły one przybyć w górach lodowych niesionych przez jakąś wielką lodowcową powódź. Utwierdził się w tym przypuszczeniu, badając Grand Coulee i Moses Coulee – gigantyczne kanały wrzynające się głęboko w powierzchnię ziemi – oraz Quincy Basin przy południowym krańcu Grand Coulee, gdzie znalazł depresję o powierzchni 1500 kilometrów kwadratowych, wypełnioną do głębokości 120 metrów drobnym gruzem bazaltowym. Nie dawało mu spokoju pytanie, skąd i kiedy ten gruz został przyniesiony²⁵. I znowu najbardziej oczywistą odpowiedzią wydawał mu się potop.

W 1923 roku Bretz wrócił na trzy miesiące do Scablands i wydaje się, że to właśnie w czasie tej wyprawy zaczęły się kształtować jego późniejsze poglądy – a mianowicie takie, że „jakieś spektakularne zjawisko hydrologiczne... zaczęło się w tym regionie, a potem gwałtownie zakończyło”²⁶.

W listopadowo-grudniowym numerze czasopisma „Journal of Geology” z 1923 roku Bretz opublikował artykuł podsumowujący odkrycia. Aby zrozumieć jego nieco defensywny ton, powinniśmy pamiętać, jaka była dominująca doktryna w ówczesnej geologii – zasada zwana uniformitarianizmem. Polega ona na założeniu, że takie same procesy jak dzisiaj, oddziałujące w taki sam sposób, wystarczą do wyjaśnienia wszelkich zmian geologicznych. Jej integralną częścią jest zasada gradualizmu, zakładająca, że „teraźniejszość jest kluczem do przeszłości”, a tempo zmian obserwowane dzisiaj jest miarodajne dla oceny tempa zmian w przeszłości.

Takie idee, które w czasach Bretza zyskały status niekwestionowanej prawdy, wynikały z koniecznego odrzucenia dawnej religijnej teorii kreacjonizmu i wiary, że Bóg kapryśnie ingerował w historię ziemi, zsyłając kataklizmy takie jak potop. W akcie słusznego sprzeciwu wobec tych wyobrażeń o nadprzyrodzonym stworzeniu i zagładzie świata uniformitarianizm wydawał się głęboko racjonalnym podejściem, uwzględniającym jedynie siły natury oddziałujące na ziemię na przestrzeni milionów, a nawet miliardów lat.

Góry nie powstały z dnia na dzień, lecz wypiętrzały się powoli, niemal niezauważalnie, przez długi czas. Podobnie fantastyczne struktury geologiczne, takie jak Wielki Kanion, erozja rzeczna złobiła przez wiele milionów lat²⁶.

Bretz był człowiekiem wybitnie racjonalnym, z całą pewnością nie religijnym dogmatykiem, a jednak – jak zanotował jego biograf John Soennichsen – „kiedy przemierzał gorący, suchy, poszarpany krajobraz Scablands, wszystko, co widział, wskazywało nie na powolne zmiany zachodzące przez długi czas, lecz na jakąś katastrofę, nagłe wyzwolenie kolosalnej ilości wody, która szybko usunęła lessową glebę, a potem wryła się głęboko w bazaltowe podłoże”²⁸.

Pozostawał tylko jeden problem – skąd wzięła się taka ilość wody? Wiadomo już było, że na brzegach czap lodowych w Ameryce Północnej musiało zachodzić topnienie – dokładnie tak, jak to można zobaczyć na brzegach dzisiejszych lodowców. Ale takie topnienie nie wyjaśnia skali zjawisk erozyjnych, jakich świadectwa były widoczne w terenie. Bretz napisał w swoim artykule z 1923 roku:

Autor przyznaje, że w ciągu 10 tygodni studiowania tego regionu każdy nowo zbadany teren rozbudzał na nowo zdumienie, że tak potężne strumienie mogły brać początek z tak niewielkich obszarów pokrywy lodowej, albo że tak niezwykle silna erozja, mimo dużego nachylenia, mogła nastąpić w bardzo krótkim czasie istnienia tych strumieni. Ani rzeka Warren, ani ujście Chicago, ani kanał Mohawk, ani nawet wąwóz i wodospad Niagara, nie dorównują niektórym częściom scablandów i ich kanionom. Tylko w jednym z tych kanionów [Upper Grand Coulee] rzeka lodowcowa spowodowała erozję 10 mil sześciennych [41,68 km³] bazaltu²⁹.

W konkluzji artykułu, zmierzając już w stronę heretyckiej i antyuniformitariańskiej idei – że to jedna katastroficzna, krótkotrwała powódź spowodowała wszystkie zniszczenia, jakich ślady oglądał – która wkrótce miała sprawić mu wiele problemów, Bretz napisał:

Całe 3000 mil kwadratowych [7770 km²] Wyżyny Kolumbii zostało zalane przez lodowcową powódź, która usunęła pokrywający ją less i muł. Ponad 2000 mil kwadratowych [5180 km²] tego obszaru tworzą jałowe, zerodowane, wyrzeźbione w skale kanały, dziś zwane Scablands, a ponad 1000 mil kwadratowych [2590 km²] pokrywają depozyty żwiru pochodzącego ze zerodowanego bazaltu. To, co przetoczyło się przez Wyżynę Kolumbii, musiało być prawdziwym kataklizmem³⁰.

Innymi słowy, jak podsumowuje biograf Bretza, geolog nabrał przekonania, że cechy, które zadokumentował, „mogły zostać stworzone wyłącznie przez powódź o niewyobrażalnej skali, być może największą w dziejach świata”³¹.

Oszupiałe i zakłopotane środowisko geologów zareagowało milczeniem. Tak dalekie odejście od doktryny uniformitarianizmu mogło znaczyć tylko tyle, że Bretz oszalał. David Alt, emerytowany profesor geologii na Uniwersytecie w Montanie, opisuje jeden z wykładów, w którym Bretz mówił o swoich koncepcjach przedstawionych w artykule z 1923 roku:

Geolodzy... byli przerażeni podobnie, jak byłoby grono fizyków, słysząc, że jeden z ich kolegów wyjaśnia, jak zbudował perpetuum mobile z patyków od lizaków. Fizycy już dawno temu przekonali się, że zbudowanie perpetuum mobile jest niemożliwe, a żaden przyzwoicie wykształcony geolog nie powinien się zajmować katastrofami jakiegokolwiek rodzaju³².

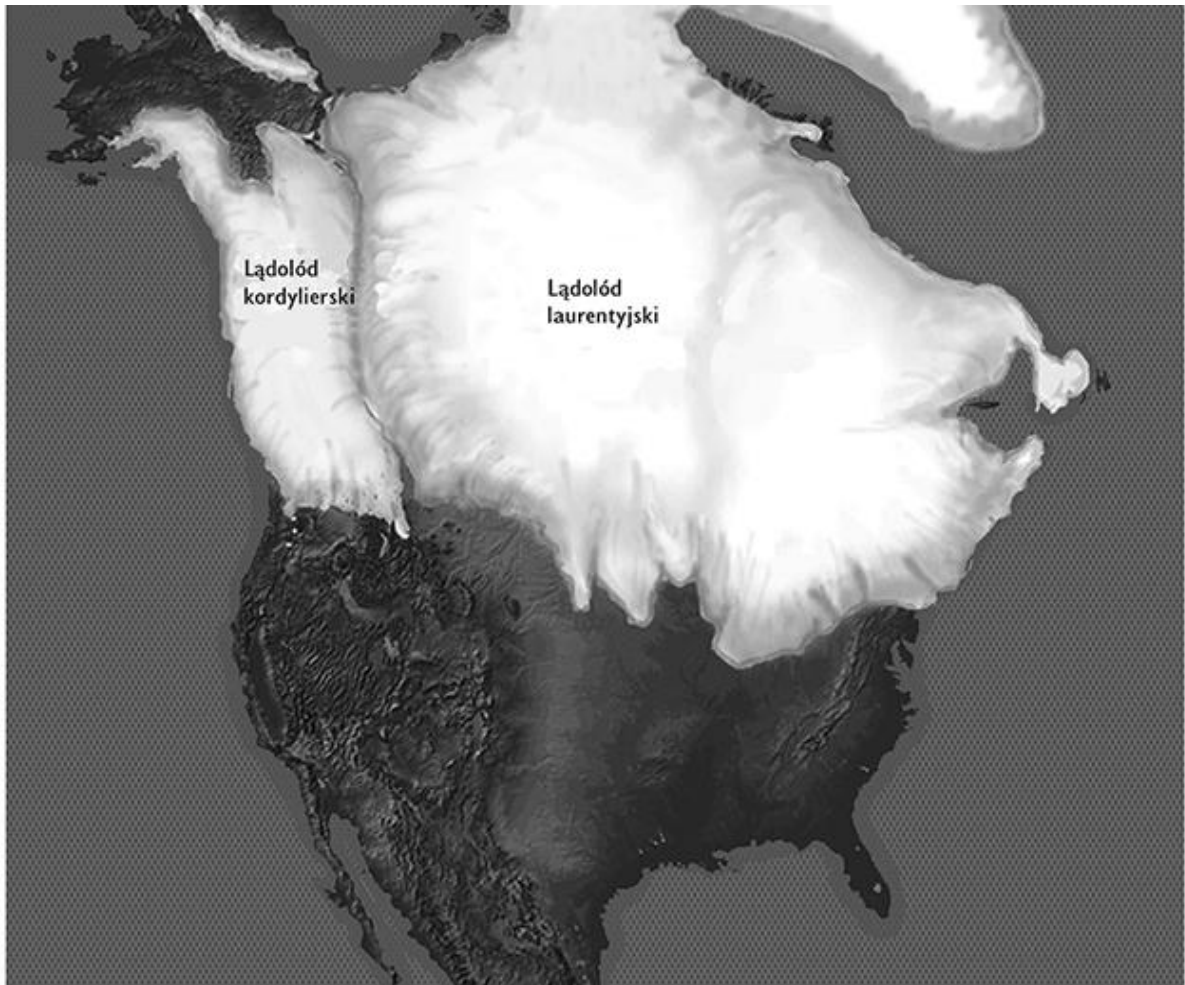
Alt opisuje jednego ze swoich profesorów, który – jeszcze jako student – siedział na widowni, kiedy Bretz odczytywał swój artykuł z 1923 roku. Profesor ów wspominał, jak Bretz, „uderzając pięściami w pulpit i tupiąc nogą, barwnym językiem i gestami starał się przekazać swoje pomysły przerażonej publiczności”³³.

Niezależnie od teatralności tego wystąpienia, geolodzy byli wstrząśnięci, słysząc, jak Bretz odwoływał się do:

(...) niespodziewanej katastrofy, aby wyjaśnić powstanie Scablands na wschodzie stanu Waszyngton. Ich zdaniem był to powrót do nienaukowego myślenia sprzed co najmniej 125 lat. Większość geologów do dzisiaj uważa sięganie po katastrofę dla wyjaśnienia zjawiska geologicznego za herezję. Dlatego Bretz zdecydował się na bardzo ryzykowny krok, kiedy zasugerował, że to wielka powódź spowodowała erozję Scablands... [To uczyniło] go pariasem wśród geologów, wyrzutkiem społeczeństwa³⁴.

Jednak wyrzutek nie rezygnował. Przeciwnie – z uporem kontynuował badania, ściągając na swoją głowę jeszcze więcej kontrowersji, ale wierzył, że w końcu fakty potwierdzą, że miał rację.

Zgrzyt nastąpił 12 stycznia 1927 roku, kiedy Bretz został napadnięty przez tłum swoich kolegów po wykładzie dla Waszyngtońskiego Towarzystwa Geologicznego w Cosmos Club w Waszyngtonie, do którego wygłoszenia został zaproszony. Bretz wtedy już nazwał to zdarzenie „powodzią Spokane” (od miasteczka Spokane), a lądolód, który był jej źródłem – „lądolodem Spokane”. (Żadna z tych nazw nie jest dzisiaj używana, ale lądolód Spokane stanowił południową część wielkiego plejstoceniowego lądolodu, dzisiaj znanego jako kordylierski.) Wierzył, że jego znaczna część musiała stopnieć nadzwyczajnie szybko, ponieważ „ilość wody była wielka, niesłychanie wielka... mimo stromych zboczy doliny, do których wtargnęła, nie były w stanie jej pomieścić i powódź rozlała się skomplikowaną siecią łączących się strumieni”³⁵.



Il. 14. Ameryka Północna w epoce lodowcowej.

W.C. Alden, wówczas odpowiadający za geologię plejstocenu w skrajnie konserwatywnej amerykańskiej Inspekcji Geologicznej, odrzucał „pomysł, że wszystkie kanały musiały powstawać równocześnie w bardzo krótkim czasie” i oburzał się na postulowaną przez Bretza „ogromną ilość wody”³⁶. „Moim zdaniem to niemożliwe – protestował Alden – żeby taka część lądolodu, jaka przeszła przez Wyżynę Kolumbii, mogła dostarczyć taką ilość wody, o jakiej jest mowa, w tak krótkim czasie”³⁷. Przyznał, że sam nigdy nie odwiedził Scablands, ale był pewien, że wyjaśnienia dostarcza uniformitarianizm: „Sprawa byłaby prostsza, gdyby rozważyć dłuższy czas i wielokrotne powodzie”³⁸.

James Gilluly, znany jako apostoł geologicznego gradualizmu, odrzucił teorię katastroficznego powodzi, określając ją jako „niedorzeczną”, „niedopuszczalną” i „całkowicie niezadowolającą”³⁹. Wśród dowodów

przedstawionych przez Bretza nie znalazł niczego, co wykluczałoby preferowane przez niego wyjaśnienie, odwołujące się do licznych powodzi o mniejszej skali, „rzędu wielkości tych we współczesnej Kolumbii lub najwyżej kilkakrotnie większe”⁴⁰.

Podobnie G.R. Mansfield wątpił, czy „takie zjawisko mogło zajść w bazalcie w tak krótkim czasie... Wydaje mi się, że lepszym wyjaśnieniem powstania Scablands jest długotrwałe oddziaływanie brzegowych wód lodowcowych, od czasu do czasu zmieniających bieg lub miejsce, z którego wypływały, przez dość długi czas”⁴¹.

O.E. Meinzer musiał przyznać, że „ślady erozji w tym regionie są wielkie i dziwaczne”, ale on także preferował wyjaśnienie gradualistyczne: „Zanim zostanie zaakceptowana teoria wymagająca wręcz niewyobrażalnej ilości wody, należy spróbować wyjaśnić istniejące elementy rzeźby terenu bez przyjmowania tak radykalnych założeń... Wierzę, że istniejące elementy rzeźby terenu można wyjaśnić przy założeniu normalnego oddziaływania prehistorycznej rzeki Kolumbia...”⁴²

Podsumowując, nie odezwał się ani jeden głos popierający Bretza, a jego teoria jednej wielkiej powodzi była najczęściej odrzucana, z lekceważącymi komentarzami. Środowisko geologów poczuło się szczególnie oburzone największym w ich opinii mankamentem teorii wielkiego kataklizmu – tym, że Bretz nie wskazał źródła, z którego miałyby pochodzić wody jego potopu.

Bretz odpowiadał, że nie widzi w tym logiki, ponieważ brak udokumentowanego źródła wody nie świadczy, że nie było powodzi. „Jestem przekonany, że do potwierdzenia lub obalenia mojej interpretacji Channeled Scablands powinny posłużyć zjawiska obserwowane w samych scablandach”⁴³, twierdził. Przyznał, że jest tak samo jak każdy wyczulony na głosy krytyki i „nie czuje potrzeby ściągania na siebie uwagi głoszeniem nowatorskich, skrajnych poglądów”. Co więcej, sam wielokrotnie zaczynał wątpić w „wiarygodność powodzi Spokane”⁴⁴, ale za każdym razem musiał „po rozważeniu dowodów widocznych w terenie wrócić do koncepcji ogromnej ilości wody... Tych niezwykłych śladów płynącej wody na Wyżynie Kolumbii nie sposób tłumaczyć normalnym działaniem rzeki i rozwoju doliny... Tylko ogromna ilość wody działająca przez bardzo krótki czas wyjaśniałaby ich istnienie”⁴⁵.

Bretz prosił o wzięcie pod uwagę właśnie tych skumulowanych świadectw widocznych w terenie – nie kierując się emocjami, intuicją ani wcześniej zdobytą wiedzą, a jedynie „uznanymi zasadami metody naukowej”⁴⁶. Później napisał:

(...) bezprecedensowe idee bywają zwykle przyjmowane nieufnie, a ludzie są wstrząśnięci, jeżeli ktoś podaje w wątpliwość ich uporządkowaną wizję świata. Żarliwie broniona hipoteza wywołuje emocjonalną reakcję, która może przyćmić jasność oceny protagonisty, ale jeśli taka hipoteza podważa uznany tok myślenia, również antagonistą może mieć zaburzoną zdolność oceny.

Z drugiej strony, geologia musi się zmagać z plagą ekstrawaganckich teorii, które wynikają z błędnych obserwacji lub interpretacji. Są one gorsze od „oburzających hipotez”, ponieważ prowadzą donikąd. Być może hipoteza powodzi Spokane należy do tej drugiej grupy, ale nie można jej tam umieścić, zanim nie zostaną wykazane błędy obserwacji i wnioskowania⁴⁷.

Na tym właśnie polegał problem ze wszystkimi krytykami Bretza, zarówno przed, jak i po spotkaniu w Waszyngtonie. Geologicznemu establishmentowi nie spodobało się to, co mówił; jego teoria stanowiła wyzwanie dla gradualistycznego układu odniesienia i była uważana za herezję, którą należy uprzejmie, lecz stanowczo odrzucić⁴⁸. W ostatecznej analizie jednak nie udało im się jego teorii obalić, a jedynie potępić, a to coś zupełnie innego.

Osią sprawy pozostało twierdzenie Bretza, że lodowiec topniał gwałtownie, i fakt, że nie zaproponował on żadnego mechanizmu, który mógłby spowodować takie topnienie. W odróżnieniu od krytyków, on sam, jak wspomniał, nie uważał tego za poważną wadę. Dlatego z czasem, próbując ich ugłaskać, niechętnie przedstawił dwa możliwe rozwiązania: radykalną, krótkotrwałą zmianę klimatu lub epizod aktywności wulkanicznej pod lodowcem. Co do pierwszego przyznał jednak, że „żadna taka zmiana nie jest udokumentowana gdziekolwiek indziej, a gwałtowność, z jaką musiałaby nastąpić, wydaje się niemożliwa”, co do drugiego zaś zauważył, że „w literaturze nie ma żadnej wzmianki o plejstocenijskiej aktywności wulkanicznej w regionie obejmującym Wyżynę Kolumbii”⁴⁹.

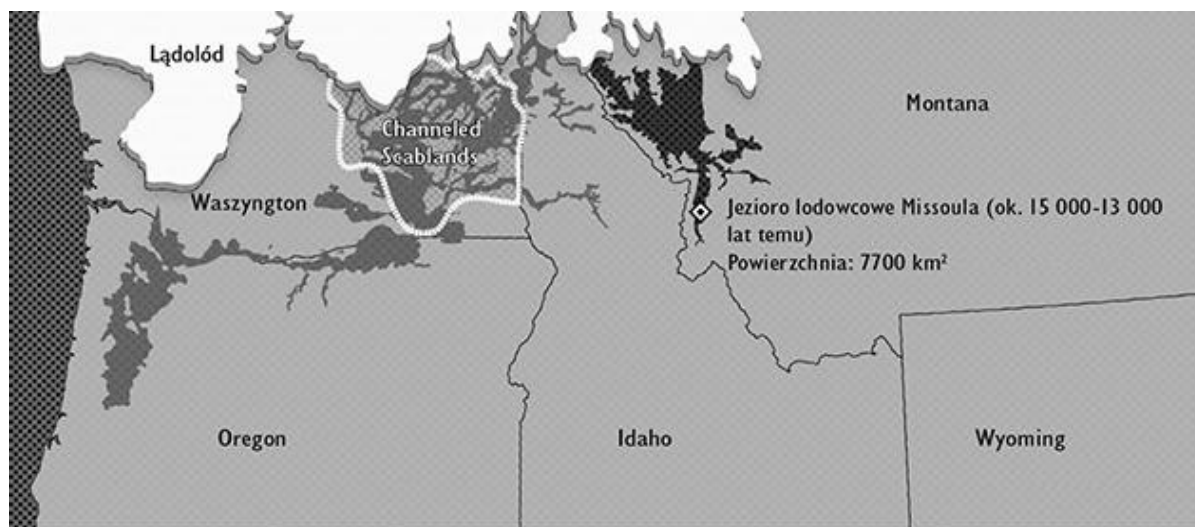
Co ciekawe, kiedy Bretz zmierzył się ze swoimi wrogo nastawionymi kolegami w Waszyngtonie, znał już – choć je odrzucił – wyjaśnienie katastroficznej powodzi, które znacznie później zostało zaakceptowane przez geologiczny establishment i utorowało drogę do powszechnej akceptacji jego dowodów. W konspekcie referatu, który wygłosił w styczniu 1927 roku, napisał: „Zarówno pan Alden, jak i pan Pardee sugerowali, bym wziął pod uwagę możliwość opróżnienia jakiegoś lodowcowego jeziora jako przyczynę powodzi... Pan Pardee [w liście do Bretza z 1925 roku] wskazuje jezioro Missoula, jedyne większe jezioro w tej okolicy, jakie mogło wtedy istnieć”⁵⁰.

Ostatecznie, w latach czterdziestych, Bretz rzeczywiście przyjął nagłe opróżnienie lodowcowego jeziora Missoula jako źródło powodzi, ale przyczyny, dla których nie zrobił tego w 1927 roku, były bardzo istotne i – jak zobaczymy – ogromnie ważne dla rozważań o tym, co właściwie wydarzyło się w Ameryce Północnej pod koniec epoki lodowcowej. Podsumowując, jak pisze

jego biograf, w 1927 roku Bretz uważał, że pojemność jeziora Missoula „byłaby niewystarczająca, żeby utworzyć Scablands. »Wystarczyłoby na zaledwie dwutygodniową powódź«, zanotował Bretz przy tej części swojego konspektu”⁵¹.

W marcu 1930 roku Bretz opublikował krótki artykuł w czasopiśmie „Bulletin of the Geological Society of America”. Artykuł był zatytułowany *„Jezioro Missoula i powódź Spokane*. Bretz pisał, że jezioro zostało nazwane i opisane przez geologa J.T. Pardee (którego list na ten temat otrzymał w 1925 roku), że było ono położone na wysokości 1219 metrów n.p.m. i miało co najmniej 640 metrów głębokości. Nie wdając się w szczegóły, odnotował, że wodę w jeziorze utrzymywała lodowa tama, a „70 mil (ok. 110 km) na południowy zachód, wzdłuż zachodniej odnogi Rowu Purcella i Doliny Spokane, znajdują się najdalej na wschód wysunięte krańce kanałów scablandów. Jeśli tama pękła, woda mogła znaleźć ujście tylko wzdłuż tego 70-milowego pasa”⁵².

W 1932 roku jeszcze bardziej przekonał się do pomysłu, że to jezioro Missoula mogło być przyczyną powodzi, chociaż zdawał sobie sprawę, że pozostały jeszcze do wyjaśnienia różne problemy związane z hipotetyczną lodową tamą i jej katastroficznym pęknięciem⁵³. Jednak najwyraźniej wtedy już chciał pójść dalej i większą część następnej dekady poświęcił na rozwiązywanie zupełnie innych geologicznych zagadek. Później, w 1940 roku, został zaproszony do przedstawienia swojej teorii na temat powstania Scablands na spotkaniu Amerykańskiego Towarzystwa Rozwoju Nauki odbywającym się w Seattle. Odrzucił to zaproszenie, mówiąc, że jego opinie i dowody zostały już opublikowane, ale tamto spotkanie miało się okazać przełomowe. Wziął w nim udział J.T. Pardee, który wygłosił referat na temat swoich badań dotyczących lodowcowego jeziora Missoula, po raz pierwszy prezentując publicznie swoją teorię o przerwaniu tamy i „katastroficznym, a zapewne także dramatycznym, opróżnieniu jeziora”⁵⁴.



Il. 15.

Co ciekawe, Pardee nie skojarzył swoich ustaleń dotyczących jeziora Missoula z głośzoną przez Bretza od dawna i dobrze znaną teorią na temat powstania Channeled Scablands w wyniku katastroficznej powodzi, ale znacznie później Bretz napisał: „Nigdy się nie wypowiedział, w każdym razie na piśmie, na temat tego, dokąd trafiła tak wielka ilość wody. Wierzę jednak, że wspaniałomyślnie pozostawił to mnie”⁵⁵.

Starając się wywiązać z tego zadania, Bretz porzucił swój model jednej katastroficznej powodzi na rzecz wyjaśnienia łatwiejszego do zaakceptowania dla jego oponentów. „Było kilka powodzi – napisał w końcu (w 1959 roku). – Ta teoria jest na tyle elastyczna, by pomieścić takie rozwiązanie”⁵⁶. W tym samym roku Bretz otrzymał Nagrodę Neila Milnera za swój nadzwyczajny wkład w Nauki o Ziemi⁵⁷.

Kilka lat później, w 1956 roku, transformacja Bretza z pariasa w chłopca z plakatu była już faktem. Międzynarodowa Unia Badań nad Czwartorzędem zorganizowała wyprawę na Wyżynę Kolumbii dla krytyków teorii katastroficznej powodzi. Grupa przemierzyła całe Grand Coulee, część Basenu Quincy i znaczną część obszaru Palouse-Snake. Na koniec wycieczki uczestnicy, nauczeni pokory tym, co zobaczyli, i przekonani, że to lodowcowe jezioro Missoula było źródłem powodzi, wysłali do Bretza telegram z pozdrowieniami i gratulacjami. Telegram kończył się słowami: „Teraz wszyscy jesteśmy katastrofistami”⁵⁸.

„Naturalnie – pisał Bretz – po 30 latach, 30 artykułach, w których starałem się bronić, i po zaciekłych atakach ponad 30 osób odrzucających moją teorię,

to było jak miód na moje serce”⁵⁹.

Ostatecznego uznania doczekał się Bretz w 1979 roku, kiedy jako 96-latek dostał Medal Penrose’a, najwyższą nagrodę Amerykańskiego Towarzystwa Geologicznego. Powiedział wtedy synowi: „Wszyscy moi wrogowie nie żyją, więc nie mam nad kim triumfować”⁶⁰.

Na swoją następną wielką przygodę Bretz wyruszył w wieku 98 lat, 3 lutego 1981 roku.

Gradualizm wyrywa zęby kataklizmowi Bretza

I tak wydawało się, że wszystko jest w porządku. Dowodu w postaci ziemi przeoranej katastroficzną powodzią nie dało się zignorować. Czas został określony – może nie dokładnie, ale na ostatnie tysiąclecia epoki lodowcowej, między 15 000 a 11 000 lat temu. Jako źródło powodzi zidentyfikowano lodowcowe jezioro Missoula. A kluczowy problem, czy wydarzyła się jedna gigantyczna powódź – jak pierwotnie podpowiadał Bretzowi jego wyostrzony instynkt geologa terenowego – czy wiele mniejszych, co bardziej odpowiadało jego kolegom gradualistom, rozwiązano polubownie, podkreślając elastyczność jego teorii, dopuszczającej „kilka” powodzi.

Z ostatnich artykułów opublikowanych przez Bretza wynika jasno, że był on gotów zaakceptować aż do ośmiu kolejnych powodzi⁶¹. Oczywiście było to ustępstwo na rzecz gradualizmu – osiem mniejszych powodzi uprzejmie rozłożonych na przestrzeni kilku tysięcy lat było łatwiejsze do zaakceptowania dla zwolenników uniformitarianizmu (czyli większości geologów, wówczas i dzisiaj) niż jeden gigantyczny kataklizm, który wydarzył się nagle, poczynił ogromne zniszczenia i skończył się po około trzech miesiącach. Jednak w głębi duszy Bretz pozostał katastrofistą. Victor R. Baker z Zakładu Hydrologii i Zasóbów Wodnych Uniwersytetu Arizony zauważył w swoim studium *The Spokane Flood Debates* [Dyskusje na temat powodzi Spokane], że wprawdzie Bretz znacząco zmodyfikował swoją oryginalną hipotezę, ale:

(...) pozostało podejrzenie, że zajmujemy się niezwykłym wyjątkiem od ogólnej zasady. Sam Bretz twierdził: „Ten wyjątkowy zespół form... opisywany... jako Channeled Scablands... jest świadectwem niezwykłego epizodu w historii plejstocenu... Wyraźnie widać ślady jego wyjątkowych przyczyn”⁶².

Innymi słowy – niezależnie od ustępstw – Bretz uważał, że przyczyny były na tyle niezwykle i wyjątkowe, by je opisywać jako „katastroficzne”, i nie wycofywał się ze swojej konkluzji, że „to kataklizm przetoczył się przez

Wyżynę Kolumbii”⁶³. Warto też podkreślić, że w swojej ostatniej opublikowanej pracy – nocie, jaką napisał do Amerykańskiego Towarzystwa Geologicznego, dziękując za Medal Penrose’a Bretz skorzystał z okazji, żeby powtórzyć swoje zdanie:

Być może moją zasługą było wskrzeszenie i wyjaśnienie legendarnego katastrofizmu oraz rzucenie wyzwania zbyt rygorystycznemu uniformitarianizmowi⁶⁴.

Jednak Bretz – katastrofista i oponent uniformitarianizmu – nie mógł wiedzieć, że wampir gradualizmu raz zaproszony do domu nie zadowoli się żadnym kompromisem, lecz będzie się starał wyssać do cna krew z pomysłu, że to, co wydarzyło się w Channeled Scablands, mogło mieć w sobie cokolwiek katastroficznego.

Tak więc z biegiem czasu nowe pokolenia gradualistów zajmowały miejsca na uniwersytetach na całym świecie, a liczba powodzi, jakie początkowo dopuścił Bretz w swojej hipotezie, stopniowo rosła – do tuzina, potem do ponad 20, 35, „około 40”, a w ostatnich artykułach nawet do 90 lub więcej!⁶⁵ „Obecnie przyjmowany pogląd – podsumowuje Vic Baker – głosi, że około 80 powodzi wydarzyło się na przestrzeni 2500 lat [mniej więcej między 15 000 a 12 000 lat temu], być może w regularnych odstępach”⁶⁶.

Osiemdziesiąt powodzi w ciągu 2500 lat oznacza, że następowały one co mniej więcej 31 lat – w ten sposób jeden wyjątkowy kataklizm został odstawiony na boczny tor, a straszliwe ślady zniszczeń widoczne w Channeled Scablands wyjaśniono jako skumulowany efekt serii regularnych, przewidywalnych, w gruncie rzeczy gradualistycznych wydarzeń. Co jeszcze lepsze z uniformitarianistycznego punktu widzenia, powodzie spowodowane przez przerwanie lodowej tamy w jeziorach lodowcowych zdarzają się do dzisiaj. Regularnie powtarzają się na przykład na Islandii, gdzie są nazywane *jökulhlaups*; ten termin został powszechnie przyjęty i ja także będę się nim tutaj posługiwał. Podobne zjawiska mają miejsce również w Himalajach, na Antarktyce, w północnej Szwecji i w Ameryce Północnej. Jak zauważył profesor geologii David Alt, kilka lodowcowych jezior na Alasce i w Kolumbii Brytyjskiej ma tendencję do gwałtownego pozbywania się wody. Takie zjawiska zwykle występują „latem, kiedy topnienie śniegu powoduje szybkie podniesienie poziomu wody w jeziorze. Lodowa tama, która powodowała spiętrzenie lodowcowego jeziora Missoula, najprawdopodobniej została podważona i pękła latem, z tego samego powodu”⁶⁷.

W ten sposób uniformitariańska doktryna, że „teraźniejszość jest kluczem do przeszłości” i że tempo zmian zachodzących dzisiaj może służyć jako podstawa do określenia tempa zmian w przeszłości, została usankcjonowana, a

niepokojące świadectwa powodzi Bretza przedstawiono jako coś, czym jednak nie warto się przejmować. Uczeni znaleźli sprytny sposób, by zjeść ciastko i mieć ciastko: z jednej strony przyznali Bretzowi medal i twierdzili, że „teraz wszyscy są katastrofistami”, a z drugiej dyskretnie przekształcili jego kataklizm w coś, co można obserwować każdego lata na Alasce i w Kolumbii Brytyjskiej.

Oczywiście wszystko to brzmi bardzo pięknie, ale załóżmy, że pierwotna hipoteza Bretza był słuszna i to, co wydarzyło się w Ameryce Północnej pod koniec ostatniej epoki lodowcowej, było rzeczywiście nagłą, katastroficzną powodzią, jaka nie zdarzyła się nigdy wcześniej ani nigdy później.

Załóżmy, że to naprawdę był kataklizm.

Powrót do Bretza

Randall Carlson nie ma wątpliwości, że to był kataklizm – o niemal niewyobrażalnej skali – i przez ostatnie 20 lat wędrował wzdłuż i wszerz Channeled Scablands. Zadawał miejscowym geologom trudne pytania, których nikt dotąd nie zadał, i budował niezwykłą teorię.

Teorię, jak przypuszczam, godną Bretza, gdyby wciąż był z nami, w pełni sił.

Poznałem Randalla w 2006 roku. Dyskutowaliśmy między innymi o powodziach w Ameryce Północnej w epoce lodowcowej. Powoli zaczęło do mnie docierać, że Randall zupełnie nie akceptuje teorii tamy lodowej i uważa sprawę lodowcowego jeziora Missoula za pretekst – łatwe rozwiązanie, które odwołuje się do uniformitarianistycznych założeń i odwraca uwagę geologów od prawdy. Odtąd korespondowaliśmy ze sobą od czasu do czasu i niekiedy spotykaliśmy się na różnych konferencjach. Byłem pod wrażeniem jego ogromnej wiedzy, doświadczenia terenowego i wynikających z jego badań intrygujących, nowatorskich wniosków na temat tajemniczych wydarzeń, które zakończyły ostatnią epokę lodowcową. Okazało się, że obaj jesteśmy zainteresowani młodszym dryasem, tym powrotem do warunków epoki lodowcowej, który zaczął się niespodziewanie 12 800 lat temu – kiedy już wydawało się, że klimat zaczął się ocieplać – i skończył równie niespodziewanie 1200 lat później.

W czasie tego dziwnego epizodu zniknęły z zapisu archeologicznego niektóre z łowiecko-zbierackich ludów, takich jak północnoamerykańska kultura Clovis, i wystąpiło masowe wymieranie niektórych gatunków zwierząt;

najwyraźniej więc zdarzyło się wówczas coś wyjątkowego, czego nie wyjaśnia ani uniformitarianizm, ani gradualizm. Co więcej, nie zajmowałem się tym jeszcze w mojej książce *Ślady palców bogów* z 1995 roku, ale później uświadomiłem sobie, że czas trwania młodszego dryasu, od 12 800 do 11 600 lat temu, zbiega się dokładnie z „oknem”, w którym umieściłem zagładę zaawansowanej prehistorycznej cywilizacji, która została starta z powierzchni ziemi i wymazana z ludzkiej pamięci.

Dlatego w książce *Tajemnice podwodnych miast* z 2002 roku poświęciłem więcej uwagi problemowi młodszego dryasu. Napisałem wtedy:

Około 13 000 lat temu długi okres nieprzerwanego ocieplania, jaki przechodził świat (i który, według niektórych badań, uległ znaczącemu nasileniu między 15 000 a 13 000 lat temu⁶⁸) został nagle zakończony – wszędzie w tym samym momencie – przez globalne ochłodzenie zwane przez paleoklimatologów młodszym dryasem...⁶⁹ Była to niewiarygodnie szybka, niewyjaśniona i tajemnicza, zmiana klimatu – z, jak się ocenia, cieplejszego i bardziej wilgotnego niż dzisiaj 13 000 lat temu⁷⁰, do chłodniejszego i bardziej suchego niż w czasie ostatniego glacialnego maksimum zaledwie kilkaset lat później⁷¹.

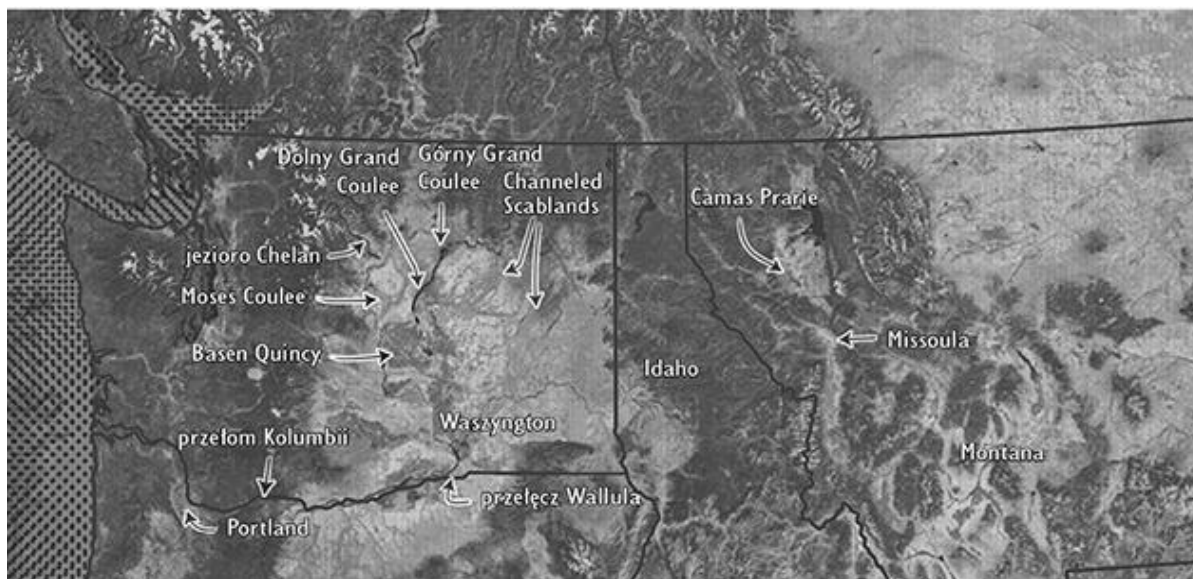
Od tamtego momentu, około 12 800 lat temu, to było zupełnie jakby ziemię skuło lodowe zakłęcie. Na wiele obszarów, na których niemal już zaszło ostateczne topnienie, lodowiec wrócił w zapierającym dech w piersiach tempie i wszystko, co poprawiło się od czasu ostatniego maksimum glacialnego (około 21 000 lat temu), przepadło: „Temperatury... obniżyły się o 8–15 stopni... przy czym połowa tego gwałtownego spadku nastąpiła w ciągu kilkudziesięciu lat. Front polarny na północnym Atlantyku ponownie obniżył się do wysokości Cabo Finisterre w północnej Hiszpanii, a w wysokich pasmach górskich lodowce zajmowały coraz większe obszary. Jeśli chodzi o temperaturę, nastąpił niemal całkowity powrót do warunków glacialnych...”⁷².

Dla ówczesnej populacji ludzkiej w wielu częściach świata, z wyjątkiem nielicznych, które miały szczęście, tak nagłe i niewytłumaczalne nadejście mrozu i suszy musiało być druzgocące⁷³.

Aura tajemnicy – i śmiertelnego zagrożenia dla ludzkości – spowijająca młodszy dryas, nie przestawała mnie intrygować; starałem się jak najwięcej czytać i lepiej zrozumieć to zjawisko. Pamiętam liczne rozmowy na ten temat i e-maile wymieniane z Randallem po 2006 roku; powoli zacząłem dochodzić do wniosku, że młodszy dryas był globalnym kataklizmem w pełnym znaczeniu tego słowa. Jednak dopiero w 2013 roku, kiedy Randall przekonał mnie, że to Ameryka Północna, a dokładniej Channeled Scablands, znajdowały się w epicentrum tego kataklizmu, uznałem, że najwyższa pora zobaczyć dowody na własne oczy. Pod wpływem impulsu zaproponowałem, by towarzyszył mi w wyprawie. Minął ponad rok, nim udało się znaleźć termin pasujący nam obu, lecz w końcu, we wrześniu 2014 roku, spotkałem się z Randallem w Portland w stanie Oregon i wielkim, czerwonym samochodem terenowym wyruszyliśmy do stanu Waszyngton badać Scablands.

4. PODRÓŻ PRZEZ SCABLANDS

Wyruszyliśmy w liczącą 4000 kilometrów podróż z Portland w Oregonie do Minneapolis w Minnesocie. Byłaby ona krótsza, gdybyśmy wybrali prostą drogę. My jednak zatrzymywaliśmy się, skręcaliśmy w wąwozy i doliny rzeczne, objeżdżaliśmy wzniesienia, wspinaliśmy się na góry i przecięliśmy Channeled Scablands w niewielkiej odległości na południe od miejsca, gdzie niegdyś większą część Ameryki Północnej przykrywał wielki lądolód kordylijski i laurentyjski. Moim celem było jak najpełniejsze zrozumienie tego, co tu się zdarzyło, i czwartego dnia, kiedy dotarliśmy do Wodospadu Suchego, pośrodku niezwyklej blizny w krajobrazie, zwanej Grand Coulee, obraz zaczął stawać się wyraźny.



Il. 16.

Grunt pod naszymi stopami to starożytny czarny bazalt przykryty cienką warstwą gleby. Bazalt, wyrzucony przez erupcje wulkaniczne między 17 000

000 a 6 000 000 lat temu, pokrywa większą część Wyżyny Kolumbii i w niektórych miejscach ma 2 kilometry grubości¹.

Ale nie w Grand Coulee, ponieważ tutaj można odnieść wrażenie, że jakaś kapryśna siła, może ręka samego Boga, chwyciła gigantyczne dłuto, szerokie na wiele kilometrów, wbiła je gwałtownie w ziemię i wyryła głęboką szramę, długą na prawie 100 kilometrów. To „dłuto” jednak nie było wykonane ze stali, lecz z ogromnej ilości spienionej, wzburzonej, niosącej skalny rumosz wody, która płynęła tylko przez kilka tygodni – wód powodzi Bretza. Jak napisał sam Bretz, Grand Coulee dostarcza:

(...) najlepszego przykładu rzeźbienia kanionu przez rzeki lodowcowe, nie tylko na Wyżynie Kolumbii, lecz na całym świecie... Rzeka lodowcowa, o szerokości co najmniej 5 kilometrów, płynęła na południe przez przełom i w dół stromego monoklinowego stoku... Rzeka obniżała się o prawie 300 metrów, pod kątem około 10 stopni... Taka sytuacja nie ma analogii, nawet w tym regionie gwałtownie powstających, płynących po stromej pochyłości rzek... Zostało usunięte co najmniej 40 kilometrów sześciennych bazaltu².

Bretz pisze tutaj tylko o północnej, czyli górnej części Grand Coulee³. Ale taka sama ilość bazaltu została usunięta z dolnego Grand Coulee przez rwącą „rzekę”. Jadąc tamtędy, zatrzymaliśmy się w Ephrata Erratics Fan, na południe od południowego krańca dolnego Grand Coulee, żeby zobaczyć, gdzie został zdeponowany cały bazalt usunięty przez wodę. Widok był niepokojący i chaotyczny. Niepokojący, bo jak okiem sięgnąć, we wszystkie strony preria była usiana tysiącami – a może raczej milionami – potrzaskanych, nierównych bazaltowych głazów. Niektóre z nich były wielkości samochodu osobowego, inne mniejsze, jak piłka futbolowa, ale trafiały się i znacznie większe.

– Został tylko gruz – powiedział Randall Carlson, kiedy stanęliśmy pośrodku Fan. – Właśnie to teraz oglądasz. Ten gruz jest częścią dawnego świata.

– Dawnego świata?

– Tak. Przedpotopowego świata. A to, co leży tutaj na powierzchni ziemi, to tylko ułamek z tego, co powódź wymyła z Grand Coulee. Ten gruz sięga dziesiątki metrów w głąb ziemi.

Z Ephrata Fan pojechaliśmy na północ drogą stanową numer 17 do dolnego Grand Coulee. Po obu stronach drogi wznosiły się strome bazaltowe urwiska, a szare deszczowe chmury odbijały się w ciągu alkalicznych jezior wzdłuż dna wąwozu – Soap Lake, Lenore Lake, Blue Lake i Park Lake. Kiedy dotarliśmy do Wodospadu Suchego przy krańcu dolnego Grand Coulee i wysiedliśmy z samochodu, Randall przypomniał mojej żonie Sancier, by zabrała aparat fotograficzny.

– Zobaczycie coś naprawdę katastroficznego – oznajmił z uśmiechem.

Przedstawiam Randalla Carlsona

Może jesteście zbyt młodzi, żeby pamiętać serial telewizyjny z 1977 roku, zatytułowany *Niedźwiedź pana Adamsa*, ale jeśli nie pamiętacie – możecie go wygoogłować.

Tytułowy bohater, twardy człowiek lasu grany przez Dana Haggerty'ego, był wielkim, brodatym facetem, a Randall Carlson, ze swoją wielką brodą, potężną posturą i burkliwym sposobem bycia, bardzo mi go przypominał. Randall teraz mieszka w Atlancie, ale większą część młodości spędził na wsi w Minnesocie, a w jego głosie wciąż daje się słyszeć ów szczególnie skandynawski i niemiecki ton, który sprawia, że akcent z tamtych stron jest tak charakterystyczny.

Dorastał nad brzegiem Schmidt Lake, jednego z dziesiątków tysięcy polodowcowych jezior rozsianych po Minnesocie i Wisconsin; jako chłopiec łowił w nim ryby, siedząc na wielkiej skale; dopiero później dowiedział się, że był to głaz narzutowy – „głaz oderwany od skalnego podłoża, pchany wiele mil przez prądy naprzód lodowiec i zostawiony gdzieś daleko od miejsca, z którego pochodził”⁴.

Dzisiaj, pół wieku później, mówi, że krajobrazy Środkowego Zachodu z lat młodości odcisnęły trwałe ślady na jego psychice:

Dzięki tamtym przeżyciom nawiązałem coś w rodzaju ożywionej dyskusji z ziemią. I prowadzę tę dyskusję do dzisiaj. Ten dialog obejmował tysiące godzin w terenie, wędrówki po najróżniejszych krajobrazach i tysiące godzin spędzonych na studiowaniu różnych nauk, w taki lub inny sposób pomagających w zrozumieniu tej niezwykłej planety, na której wszyscy uczestniczymy we wspólnym doświadczeniu ludzkości... To przerażająco dynamiczna planeta, która podlegała doniosłym zmianom o skali przekraczającej wszystko, co mogliśmy oglądać w ostatnich czasach. Prawdę mówiąc, teraz uświadamiam sobie, że myślimy o historii tylko jako o zapisie ludzkich zdarzeń, które wystąpiły od czasu ostatniego wielkiego planetarnego kataklizmu. Zrozumiałem też, że ślady tych kataklizmów są widoczne wszędzie wokół nas, praktycznie w każdym środowisku, a my dopiero zaczynamy umieć dostrzegać i odczytywać te świadectwa⁵.

Randall pracuje jako architekt i budowniczy, ale jego pasją jest geologia.

Geologia katastroficzna.

I, o czym wiedzą wszyscy, którzy wysłuchali choć jednego jego wykładu, wie na ten temat więcej niż ktokolwiek, kogo zapewne będziecie mieli okazję spotkać. Jego wiedza pochodzi z ogromnego zbioru naukowej literatury i z tysięcy godzin pracy w terenie. Moim zdaniem, taki rodzaj gruntownego wykształcenia, zdobytego przez lata spędzone na wędrówkach po pustkowiach, na poszukiwaniach prowadzonych w bibliotekach, znaczy więcej niż jakiegokolwiek tytuły akademickie. Randall nie jest geologiem i nie podaje się za geologa, ale wie na ten temat więcej niż tuzin doktorów.

Teraz zaś stoimy na czymś w rodzaju betonowego pomostu z sięgającą do piersi barierką, zawieszoną w powietrzu ponad amfiteatralnymi urwiskami Wodospadu Suchego. Wrzesień dobiega już końca i wieje zimny wiatr, a Randall za moment udzieli mi lekcji geologii.

Wodospad Suchy

– Byłeś kiedyś nad wodospadem Niagara? – spytał Randall⁶.

Przyznałem, że nie.

– Ale widziałeś zdjęcia? Masz pojęcie, jak wygląda?

– Myślę, że tak...

– Okej, więc spróbuj zgadnąć... Który jest większy? – Wskazuje roztaczający się przed nami widok. – Wodospad Suchy? Czy Niagara?

Myślę, że to podchwytliwe pytanie. Randall pochodzi z Minnesoty, więc lubi zadawać podchwytliwe pytania. Patrzę na ten naturalny amfiteatr – rozciąga się daleko i głęboko. U podnóża półkolistego urwiska widać kilka jezior z wodą deszczową, porośniętych trzcinami; jest oczywiste, że niegdyś musiały tędy płynąć ogromne ilości wody. Nie byłem nad wodospadem Niagara, który ma 51 metrów wysokości, ale spędziłem niesamowity dzień nad Wodospadem Wiktorii w południowej Afryce, wysokim na 108 metrów. Wodospad Wiktorii, podobnie jak Niagara, ma klasyczny kształt podkowy. A teraz, w stanie Waszyngton, mam przed sobą ten sam kształt, utrwalony w skamielinie prehistorycznej kaskady.

– Wodospad Suchy jest większy niż Niagara – odpowiadam, starając się, aby w moim głosie zabrzmiała pewność, której mi brakowało.

– Dobrze, ale o ile większy?

– Dwukrotnie – postanawiam zaryzykować.

– Całkiem nieźle – mówi Randall. – Ale w rzeczywistości Wodospad Suchy jest trzy razy wyższy niż Niagara i ponad sześć razy szerszy. Widzisz, jak wyżłobiony jest tamten klif?

Widzę. Podkowa Wodospadu Suchego w rzeczywistości składa się z dwóch podków obok siebie, wschodniej i zachodniej.

– Cóż, Niagara zmieściłaby się bez trudu w połowie wschodniej podkowy, a jej krawędź znajdowałaby się ponad 70 metrów poniżej krawędzi Wodospadu Suchego. I spójrz tam... – Wskazuje wschodnią stronę podkowy, gdzie widać wyrwę i wysoką, wąską skalną płetwę biegnącą na południe. – To Umatilla

Rock. Kiedy poziom wody sięgał najwyżej, musiała być czymś w rodzaju wyspy. Podwodnej wyspy.

– Podwodnej?

– Tak, kiedy powódź dotarła tutaj, woda miała ponad 150 metrów głębokości. Przykrywała Umatilla Rock i sam wodospad, a tu, gdzie stoimy, miała 30, może 40 metrów.

– Więc gdybym wtedy mógł tu stać...

– A nie mógłbyś...

– Wiem. Woda by mnie zmyła. Ale dla potrzeb dyskusji założmy, że mógłbym tu stać. Przypuszczam, że nie zobaczyłbym ogromnej ściany wody przelewającej się ponad krawędzią i spadającej dziesiątki metrów w dół?

– Nie, ponieważ to się działo głęboko pod powierzchnią. To, co mógłbyś zobaczyć, wyglądałoby raczej jak wzburzone, spienione obniżenie nurtu, niż jak prawdziwy wodospad, ale oddziaływanie wodospadu na skałę trwałoby cały czas, tyle że pod wodą...

– Co masz na myśli, mówiąc o oddziaływaniu wodospadu na skałę?

– Woda płynęła w ogromnych ilościach i przerażająco szybko, niektórzy oceniają, że ponad 100 kilometrów na godzinę, a musisz pamiętać, że to nie była tylko woda. To była raczej gęsta maź złożona z mułu niosącego całe lasy powyrywane z korzeniami, na powierzchni sterczały góry lodowe, a bliżej dna przetaczały się wielkie kawałki skalnego rumoszu, takie jak te, które widziałeś porzucane na Ephrata Fan. Wszystko to po drodze przewraca się, obija i skubie...

– Skubie?

– Tak, tak to można opisać. Niczym ogromne palce wyskubujące wielkie bloki bazaltowego podłoża, wrywające je, porywające z nurtem i niosące w dół rzeki. Tak działa erozja. – Randall wskazuje pobrużdżone, podkowiaste klify. – Ale to, co tutaj widzimy, to tylko połowa. Gdybyśmy patrzyli w dół z samolotu, zobaczylibyśmy kolejne podkowy, jeszcze większe od tych, dalej na wschód, zawijające się za Umatilla Rock...

– A więc, biorąc to wszystko pod uwagę, jaki jest rzeczywisty zasięg Wodospadu Suchego?

– Około pięciu kilometrów... Taką wielkość osiągnął, kiedy skończyła się powódź. Bóg jeden wie, jak by wyglądał, gdyby potrwała kilka tygodni dłużej...

– Nie rozumiem.

– Mamy podstawy przypuszczać, że powódź trwała tylko kilka tygodni, a przez cały ten czas wodospad migrował na północ...

– Migrował?

– Tak, wszystkie wodospady migrują. W różnym tempie, zależnie od ilości i siły przepływającej przez nie wody. Woda wyrywa skałę i nieustannie przesuwa urwisko w górę rzeki. Weźmy na przykład Niagarę. Przez ostatnie 12 000 lat cofnęła się o 11 kilometrów⁷, ale to drobiazg w porównaniu z tym, co działo się tutaj, gdzie wodospad przesunął się o prawie 50 kilometrów, czyli całą długość dolnego Grand Coulee, w niecały miesiąc.

– Zatem erozja następowała niesamowicie szybko.

– Tak! Tysiące razy szybciej niż w przypadku Niagary, ponieważ tutaj ilość i siła wody były nieporównanie większe. Wodospad Suchy był największym wodospadem, jaki kiedykolwiek istniał na ziemi.

– I cała ta woda miałaby pochodzić z lodowcowego jeziora Missoula?

– No cóż – mruknął Randall. Jego broda sterczy zaczepnie. – Tak głosi teoria.

Polowanie na głazy narzutowe

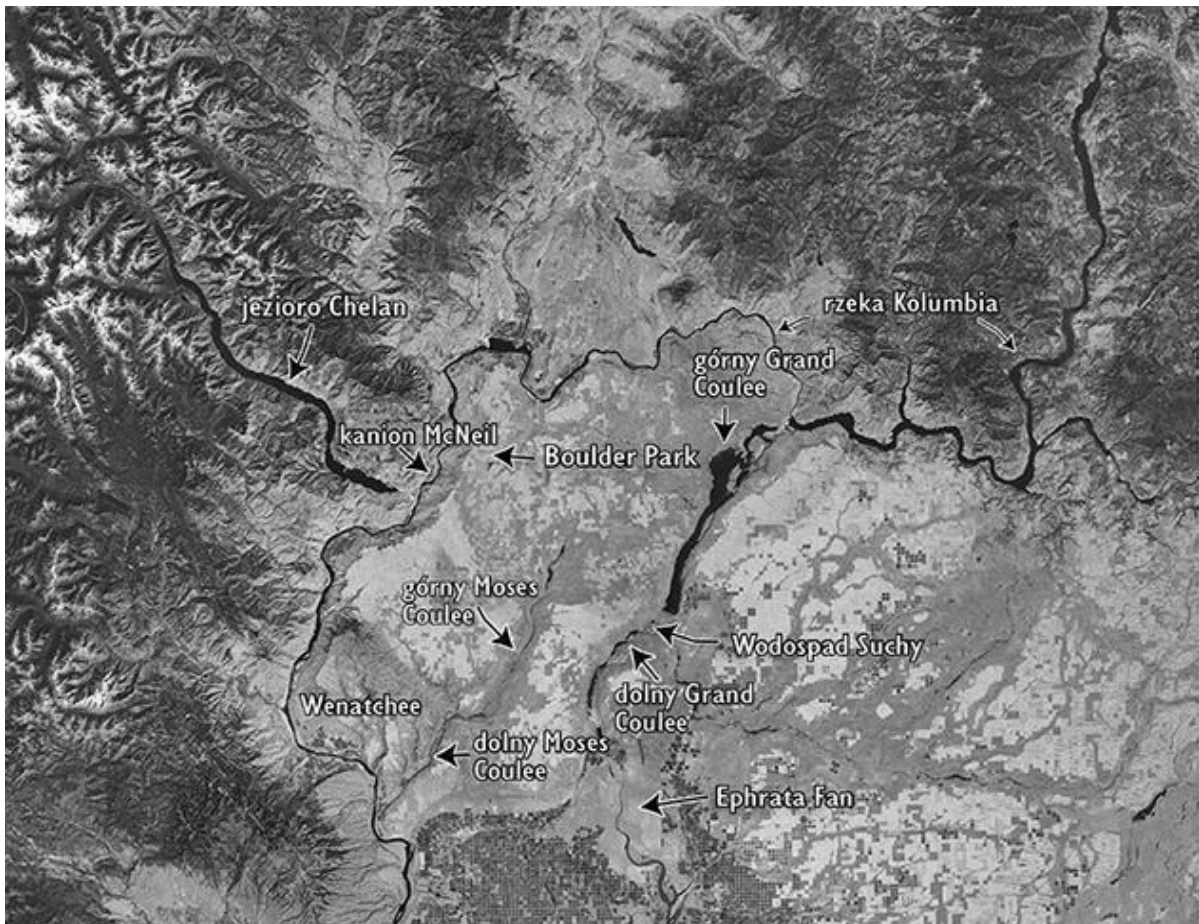
Randall nie kupił gradualistycznej teorii głoszącej, że wielokrotne opróżnianie jeziora Missoula, spowodowane wielokrotnym przerywaniem, odtwarzaniem i ponownym przerywaniem tworzącej je lodowej tamy, może wyjaśniać widoczne w terenie ślady. Nie kwestionuje istnienia tego lodowcowego jeziora ani wypływających z niego powodzi, ale jest przekonany, że żadna z nich nie osiągnęła skały choćby przybliżonej do tego, co wytworzyło katastroficzną rzeźbę Channeled Scablands. Podobnie jak J Harlen Bretz w latach dwudziestych, wierzy, że prawdziwą przyczyną jest jedna gwałtowna, krótkotrwała powódź o naprawdę gigantycznej skali.

Innego dnia Randall zabrał mnie na „polowanie na głazy narzutowe”, aby wyjaśnić dlaczego. Skręcamy z drogi międzystanowej numer 97 na Wyżynę Waterville i jedziemy przez nierówny, wyboisty krajobraz, z rzadka usiany żółtymi i zielonymi polami wśród dzikich wrzosowisk, nienadających się pod uprawy. Wkrótce dostrzegamy większe i mniejsze skupiska potężnych gładów, wszystkie ze złowieszczonego czarnego bazaltu, wszystkie wyglądające obco w tym krajobrazie. Teraz wiem już tyle, by umieć rozpoznać, czym są. Przemieszczając się, lodowce chwytają i transportują wielkie skały, które pozostają w nich uwięzione, dopóki lód nie stopnieje i nie porzuci swego ładunku. To, co zdarzyło się tutaj – to miejsce nazywa się Boulder Park i zostało uznane za pomnik przyrody – było innym aspektem tego samego procesu. Randall tłumaczył:

Kiedy powódź epoki lodowcowej zaczęła spływać po Wyżynie Waterville, niosła ze sobą tysiące gór lodowych – brył lodu ogromnych jak tankowce, z uwięzionymi w nich głazami wielkości domu. Odbijając się od stoków [wskazuje odległe pasmo górskie usiane mnóstwem wielkich głazów], opadły na dno i zostały tu. W końcu, kiedy woda opadła, góry lodowe się roztopiły, a głazy zostały tam, gdzie leżą do dzisiaj, rozsiane po całej powierzchni wyżyny, poza pasmem gór i na zboczach ponad 30 kilometrów dalej na północ.

– Ale te wzniesienia muszą sięgać jakieś 250, może 300 metrów wyżej, niż teraz stoimy – zauważyłem.

– Dokładnie! Co świadczy, że woda była tutaj co najmniej tak głęboka. A raczej nie woda, lecz mulista maź, a kiedy woda zaczęła opadać, ta maź stawała się coraz gęstsza, aż w końcu całe dno doliny zostało przykryte kilkumetrową warstwą osadów, w których tkwiły głazy. Powtarzam, patrzmy na ruiny i zgliszcza dawnego świata.



Il. 17.

Wracamy na międzystanową 97 i kierujemy się na południe, wzdłuż zachodniego brzegu majestatycznej rzeki Kolumbia, potem zaś skręcamy na zachód, w Alternate 97 w kierunku jeziora Chelan. Długa na 80 kilometrów i w żadnym punkcie nieprzekraczająca 2,5 kilometra szerokości, otoczona stromymi górami dolina Chelan kojarzy się ze szkockimi jeziorami. Nic więc dziwnego, że i tutaj krążą legendy o mieszkającym w wodach potworze – smoku według rdzennych mieszkańców – który pożarł całą zwierzynę, przez co ludzie zaczęli głodować. Wielki Duch rozzłościł się i postanowił interweniować. Zstąpił z nieba:

(...) i uderzył w ziemię wielkim kamiennym nożem. Cały świat się zatrzęsł od tego uderzenia. Wielka chmura pojawiła się nad równiną. Kiedy chmura odeszła, ludzie zobaczyli, że ziemia się zmieniła. Potężne górskie szczyty wznosiły się ze wszystkich stron. Z północnego zachodu na południowy wschód rozciągał się głęboki kanion, tak długi, że trzeba dwóch dni na jego przebycie. Wielki Duch cisnął do tego głębokiego i długiego wąwozu ciało potwora. Potem wlał na niego dużo wody i tak stworzył jezioro. Znacznie później Indianie nazwali je Chelan⁸.

W języku tutejszych Indian Salish Chelan znaczy „Głęboka Woda” i rzeczywiście, jezioro Chelan ma 453 metry głębokości, co czyni je trzecim co do głębokości jeziorem w Stanach Zjednoczonych i 26. na świecie⁹. Po drodze przychodzi mi do głowy, że niektóre aspekty tego mitu przywodzą na myśl zmiany, jakie zaszły na Ziemi pod koniec epoki lodowcowej. Góry, które były ukryte pod lądolodem i nikt ich wcześniej nie widział, rzeczywiście wyłoniły się, kiedy lód stopniał. Kaniony rzeczywiście zostały wyrzeźbione w całej Wyżynie Kolumbii przez rwące wody powodzi Bretza. I, jak zobaczymy w następnym rozdziale, wątek wielkiego kamiennego noża z nieba uderzającego tak mocno, że cały świat się zatrzęsł, oraz złowieszczej chmury, jaka pojawiła się nad ziemią, może być bliższy prawdzie, niż się to wydaje na pierwszy rzut oka. Podobnie obecność ogromnego głazu narzutowego pozostawionego przez górę lodową niedaleko miasteczka Manson na północnym brzegu jeziora Chelan¹⁰ sugeruje, że przekaz o wodzie wlanej do jeziora – innymi słowy o przechodzącej tędy powodzi – może mieć źródło we wspomnieniu o rzeczywistych wydarzeniach.

Minęliśmy jeszcze więcej głazów narzutowych rozsianych przy południowym krańcu jeziora Chelan¹¹, wróciliśmy na drogę międzystanową 97, przez Beebe Bridge przejechaliśmy na wschodni brzeg rzeki Kolumbia i ruszyliśmy na północ w stronę kanionu McNeil, gdzie czekały na nas dalsze wrzosowiska usiane tysiącami głazów. Ze względu na swój charakterystyczny wygląd są tutaj zwane głazami stogowymi, ale zaokrąglone wydają się tylko z oddali; dopiero z bliska widać masę poszczerbionego, spękanego bazaltu.

Wiele z nich ocenia się na ponad 10 000 ton. Kiedy oglądamy je dokładnie, czuję się przytłoczony ich wielkością i masą, a także zdumiony siłą i energią powodzi, która je tutaj przeniosła.

Wróciliśmy na międzystanową 97 i dotarliśmy do odległego o 65 kilometrów zbiegu rzek Kolumbia i Wenatchee, u wschodniego przedgórza Gór Kaskadowych. Tam Randall pokazał mi ostatni głaz narzutowy, ważący, według jego oceny, 18 000 ton. Stoi on wysoko na zboczu długiej i szerokiej doliny, zawieszony ponad współczesnymi domami, dziesiątki metrów nad zbiegiem rzek i miasteczkiem Wenatchee.

Wdrapaliśmy się na szczyt głazu, żeby spojrzeć na rzeki połyskujące daleko w dole.

– Oczywiście – tłumaczył Randall – w czasie powodzi woda musiała wypełniać całą dolinę, więc unosząca się na niej góra lodowa osiadła tutaj, a kiedy się roztopiła, pozostawiła głaz na zboczu.

– A woda? Co się z nią potem stało?

– Woda płynąca tędy połączyła się z wodą, która płynęła z Grand Coulee i Moses Coulee oraz wielu innych kanałów na Scablands i popłynęła dalej w kierunku basenu Pasco i przełęcz Wallula.

Czarny deszcz

Następny dzień zastał nas na wysokiej skarpie ponad przełęczą Wallula.

– W tym miejscu woda podniosła się do około 365 metrów nad poziomem morza – powiedział Randall¹² i zerknął na GPS. – My stoimy 350 metrów nad poziomem morza, więc nad nami byłoby jeszcze 15 metrów wody.

– Z której strony płynęła woda?

Randall wskazał na północ.

– Wypływała z hukiem z Channeled Scablands. Wiele osobnych nurtów zbiegało się tutaj i płynęło dalej, wzdłuż doliny Kolumbii. To właśnie tutaj łączyły się wszystkie te wielkie rzeki powodzi.

Spojrzałem w dół, na dramat z udziałem ziemi, nieba i... wody.

Niebo było szare, zachmurzone i deszczowe, jak przez całą naszą podróż. Żywioł ziemi zaczynał się od grubej warstwy drobnego, brązowego pyłu zwanego lessem, który zalega pod naszymi stopami na szczycie skarpy. Lecz dalej skarpa kończy się stromym urwiskiem opadającym aż do Kolumbii – to ona tworzy tutaj żywioł wody. Po drugiej stronie rzeki, w tym miejscu szerokiej na prawie 2 kilometry, teren znowu się wznosi – nie tak stromo, jak

na zachodzie, gdzie stoimy, ale także jest pokryty warstwą drobnoziarnistego lessu. Rozciąga się tam charakterystyczny krajobraz scablandsów, z dolinami o urwistych zboczach i wychodniami wyrzeźbionymi przez starożytne powodzie. Najbardziej rzucają się w oczy dwa bazaltowe filary zwane Bliźniaczkami, które sterczą w górę dokładnie naprzeciwko nas.

– Te Bliźniaczki – wyjaśniał Randall – są pozostałością... Spójrz tam, na lewo od nich zobaczysz skalną półkę. To wszystko stanowiło całość. Jestem przekonany, że przed powodzią to było dno doliny. Kiedy uderzyła woda, przedarła się tędy i obniżyła dno doliny o około 60 metrów, sądząc z dzisiejszej głębokości rzeki i wysokości Bliźniaczek. Gdyby powódź trwała tydzień dłużej, te skały też zostałyby zmiecione. Znajdowałyby się około 250 metrów pod wodą. A jeśli popatrzysz tam daleko, powyżej poziomu Bliźniaczek, zobaczysz najwyższą wychodnię bazaltu, mniej więcej na naszej wysokości. Do tego poziomu sięgała woda w kulminacyjnym momencie powodzi; wszystko poniżej znajdowało się pod wodą. A więc wszystko, co widzisz wokół Bliźniaczek, to spektakularne skutki erozji bazaltu przez wodę, która pędziła tędy z szybkością około 100 kilometrów na godzinę, bo tak potężny był napór od tyłu.

– Niesamowita i przerażająca rzeka.

– Mój Boże, tak! Jak morze w głębi łądu, tyle że się przemieszczało.

– Było wzburzone i dzikie...

– I to coraz bardziej wzburzone, kiedy wpływało w zwężenie przełęczy Wallula. A kiedy spojrzysz na pojemność tej doliny, zobaczysz, że z północy musiała się tutaj wlewać piekielna ilość wody. Dolina jeziora Missoula nie jest większa od tej, a leży ponad 300 kilometrów na północ stąd. Więc jak woda mogła wylać z jeziora Missoula, przepłynąć 300 kilometrów i nie stracić impetu na tyle, żeby spokojnie przepłynąć przez przełęcz, bez spiętrzenia? A jednak się spiętrzyła, z wielką siłą i wysoko, czego dowodzą ślady na skałach. To jest, moim zdaniem, najbardziej niepodważalny dowód, że przepłynęło tędy więcej wody, niż mogłoby się zgromadzić w jeziorze Missoula.

– A więc mamy wodę głęboką na 365 metrów, która płynęła tędy gwałtownie...

– Bardzo gwałtownie...

– I jak długo pozostała tak głęboka?

– Ocenia się, że od jednego do trzech tygodni, a potem zaczęła powoli opadać. Ponieważ... To było coś w rodzaju hydraulicznej tamy, w tym sensie, że sama woda, zatrzymana przez przeszkodę taką jak przełęcz Wallula, staje się rodzajem tamy, tym bardziej że niosła potężne góry lodowe. Wzdłuż całej trasy powodzi, aż do Eugene w Oregonie, są rozsiane wielkie głązy narzutowe

przyniesione w górach lodowych. Możesz sobie to wyobrazić... płynące morze usiane tysiącami gór lodowych...

Rozumiem, o czym mówi.

– Niesamowita scena.

– Niesamowita – przyznał Randall. – Wszystkie te góry zderzają się ze sobą i korkują przełęcz. A przez to wszystko poziom wody podnosi się jeszcze bardziej, aż w końcu ciśnienie wzrasta na tyle, by przepchnąć całą tę masę przez przełęcz. Wtedy woda opada, dopóki nie powstanie kolejny zator. Myślę, że to działało jak coś w rodzaju pulsującej maszyny; woda na przemian podnosiła się i cofała w górę doliny, potem opadała i znowu się podnosiła.

Następną sprawą, o której chciałem porozmawiać z Randallem, ściśle związaną z wizją wodnego piekła, jaką przede mną roztoczył, jest zagadka, którą chciałbym się zająć w kolejnych rozdziałach, lecz jeszcze tutaj o niej nie wspominałem. Chodzi o to, że coraz więcej przekonujących świadectw wskazuje, że 12 800 lat temu wielka kometa poruszająca się po orbicie przecinającej wewnętrzną część Układu Słonecznego rozpadła się na liczne fragmenty, nierzadko o średnicy ponad 2,4 kilometra, które uderzyły w Ziemię. Uważa się, że Ameryka Północna była epicentrum tego kataklizmu, a kilka potężnych uderzeń w północnoamerykański lądolód wywołało powodzie i fale tsunami. Uderzenia te wyrzuciły w górne warstwy atmosfery ogromną chmurę pyłu, która spowiła ziemię, przesłaniając promienie słoneczne i tym samym wywołując nagłe, tajemnicze ochłodzenie o globalnej skali, znane geologom jako młodszy dryas. W następnych rozdziałach przyjrzymy się dowodom, które na to wszystko wskazują i ich związkami z „powodzią Bretza”, której źródłem może jednak nie było jezioro Missoula. Na razie jednak zostańcie ze mną i posłuchajcie dalszej części rozmowy z Randallem przy przełęczu Wallula.

– I jeszcze uderzyła kometa – rzuciłem – więc zapewne niebo też nie wyglądało dobrze...

– Och, na pewno...

– Ciemność... – zastanowiłem się przez chwilę. – I masa materiału wyrzuconego w powietrze przez siłę uderzenia.

– Materiału! – Randall kopnął czubkiem buta miękki pył pod naszymi nogami. – Myślę, że właśnie stąd wzięła się ta 2-metrowa warstwa lessu. Na całym obszarze zalany przez powódź zalega 2–3-metrowa warstwa lessu; to oczywiste, że spadł z góry.

– Jak w legendach o Kon-Tiki Wirakoczy – przywołałem południowoamerykańskiego herosa, brodatego i o białej skórze jak Quetzalcoatl czy mędrcy Apkallu, o których pisałem w rozdziale pierwszym. Miał on przybyć w Andy po strasznych czasach, przed tysiącami lat, „kiedy

ziemia została zalana przez wielki potop i pogrążyła się w ciemności, ponieważ słońce zniknęło”¹³. (Dokładnie tak samo, jak Quetzalcoatl do Meksyku i mędrzy Apkallu do Mezopotamii, Wirakocza przybył w Andy, niosąc prawa i kodeks moralny tym, którzy ocalili z kataklizmu, a także by nauczyć ich rolnictwa, architektury i inżynierii.)

– A, tak. – Randall się zamyślił. – Legendy o Wirakoczy. Czy nie było w nich czegoś o czarnym deszczu?

– Oczywiście. Gęsty czarny deszcz. Ten motyw powtarza się we wszystkich mitach o potopie, jakie studiowałem...

Randall znowu grzebnął nogą w lessie.

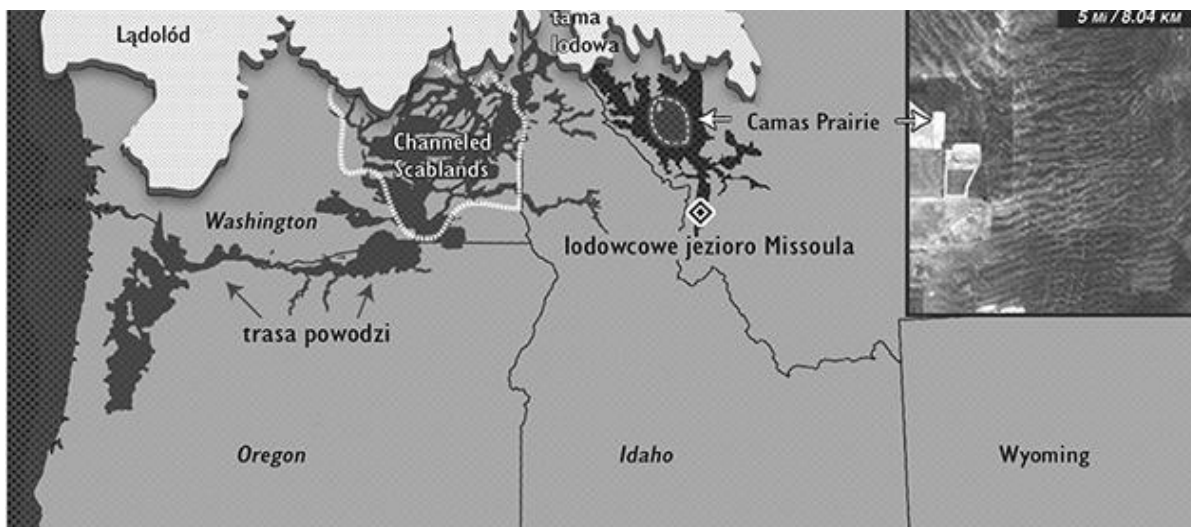
– Wiesz, to zastanawiające. Ten less ma w pewnym sensie pionową strukturę. Według większości teorii został naniesiony przez wiatr, ale taka struktura do tego nie pasuje. Pracuję nad teorią, że w rzeczywistości został przyniesiony jednocześnie przez wodę i wiatr, ponieważ myślę, że opad po uderzeniu komety w lądolód był w gruncie rzeczy deszczem błota. Do atmosfery musiała zostać wyrzucona wielka ilość gorącej, brudnej, pełnej osadów wody, która rozprzestrzeniła się niczym chmura pyłu po eksplozji nuklearnej. Ostatecznym efektem musiał być długotrwały, bardzo intensywny deszcz.

Ale czy jakaś kometa uderzyła w ziemię 12 800 lat temu?

Jak zobaczymy w następnym rozdziale, świadectwa zebrane przez międzynarodowy zespół uznanych naukowców stanowią poważne zagrożenie dla przytulnego świata gradualistycznej, uniformitariańskiej geologii.

5. NANODIAMENTY SĄ WIECZNE

Kontynuując naszą podróż na wschód przez północne stany USA opuściliśmy Waszyngton i kiedy jechaliśmy przez Idaho, Randall postanowił pokazać mi kilka najbardziej spektakularnych rzeczy na Camas Prairie w zachodniej Montanie. Coś, co dla nienawykłego oka wygląda jak seria kolosalnych diun, układa się w zwarte szeregi na płaskim, żółtym dnie eliptycznego basenu, długiego na 20 i szerokiego na 16 kilometrów, pośrodku Gór Skalistych. Lecz okazuje się, że owe „diuny” wcale nie są diunami, lecz ogromnymi ripplemarkami, niektóre o wysokości ponad 15 i długości ponad 90 metrów, uformowanymi pod koniec epoki lodowcowej, kiedy Camas Prairie była częścią dna jeziora Missoula i znajdowała się około 425 metrów pod powierzchnią wody¹. Geolodzy zgadzają się co do tego, że ripplemarki zostały ukształtowane przez potężne prądy wprawione w ruch, kiedy jezioro zostało gwałtownie opróżnione².



Il. 18.

– I ja tego nie kwestionuję – powiedział Randall, kiedy stanęliśmy w punkcie widokowym nad prerią. Mało uczęszczana autostrada biegnie przez dno starożytnego basenu, ale kiedy pojawia się na niej jakiś samochód, w porównaniu z ripplemarkami wydaje się mały jak pudełko zapalek.

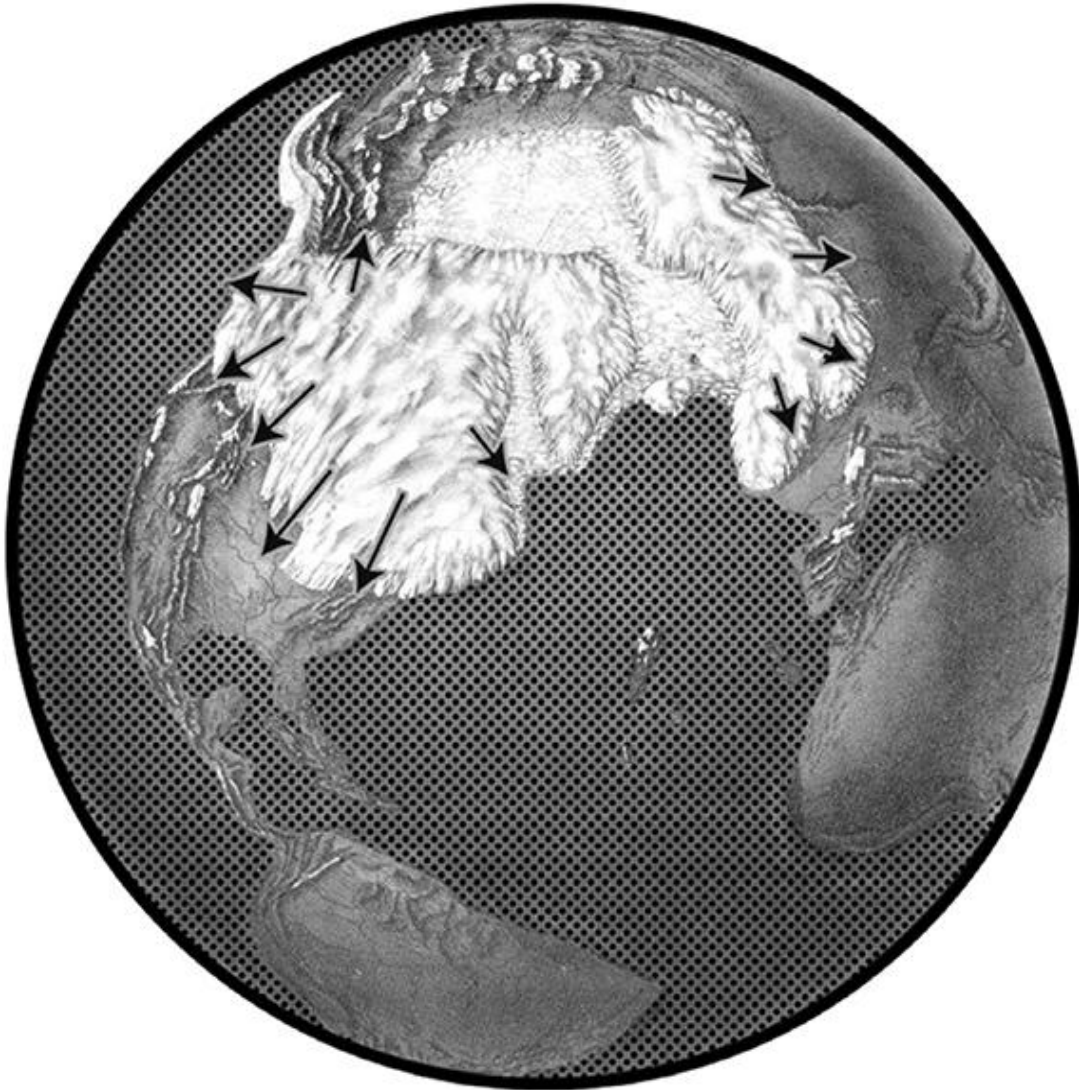
– A więc – zacząłem – nie masz nic przeciwko istnieniu jeziora Missoula jako takiego? Ani temu, że zostało gwałtownie opróżnione?

– Nie, absolutnie nie. Nie mam wątpliwości, że nastąpiło kilkanaście *jökulhlaups* z jeziora Missoula. Niektóre zapewne były dość duże. Ale chodzi mi o to, że żaden z nich nie miał wystarczającej skali, by wywołać tak spektakularne zniszczenia, jakie widzieliśmy w Channeled Scablands. Tu przyczyną było wydarzenie o skali przewyższającej wszystko, co mogłoby powstać w jeziorze Missoula. Więc tak, jezioro było zablokowane przez lód w dolinie Clark Folk, jak twierdzą gradualiści, i tak, tama pękała wielokrotnie na przestrzeni tysięcy lat, powiedzmy między 15 000 a 13 000 lat temu. Ale ilość wody uwalnianej w tych okresowych powodziach była niewielka, była zaledwie kroplą w porównaniu z ostatecznym wydarzeniem, w którym jezioro Missoula miało oczywiście swój udział, ale nie było głównym winowajcą.

– I to ostateczne wydarzenie miało coś wspólnego z uderzeniem naszej komety? (Zacząłem nazywać ją „naszą”, ale w literaturze naukowej jest zwykle wspomniana jako „kometa Clovis” lub „kometa młodszego dryasu”).

– Jasne – odparł Randall. – Ale to nie było jedno uderzenie. Przypuszczam, że co najmniej cztery fragmenty, każdy z nich o średnicy 800 metrów lub większej, uderzyły w lądolód kordylijski i laurentyjski niczym odłamki granatu i w jednej chwili spowodowały topnienie na ogromną skalę. Woda była wszędzie, w niebywałych ilościach. Oczywiście część jej spłynęła do jeziora Missoula, wypełniała je błyskawicznie i spowodowała pęknięcie lodowej tamy, tym samym jeszcze bardziej powiększając wielkie fale, które płynęły z północy.

– A więc jezioro Missoula było raczej niewinnym świadkiem niż sprawcą.
Randall parsknął śmiechem.



Il. 19. Drogi spływu topniejącej wody z lądolodu kordylierskiego

i laurentyjskiego (dzięki uprzejmości Randalla Carlsona).

– Tak, masz rację. Jezioro było niewinnym świadkiem, który stał na drodze i później został oskarżony o tę zbrodnię. Ale prawdziwym winowajcą była kometa.

Zakątek konspiratorów

Nie jestem zwolennikiem teorii spiskowych, ale miałem niejasne wrażenie – tylko wrażenie – że w świecie nauki istnieje coś w rodzaju konspiracji, która

ma na celu uniemożliwienie szerszej publiczności zrozumienia i przyjęcia idei katastroficznych. Opisałem już w rozdziale trzecim historię J Harlena Bretza. Lodowate i bardzo nieprzyjemne przyjęcie, z jakim początkowo spotkały się jego odkrycia; długie lata, jakie potem spędził w naukowym czyścicu; uporczywe starania rzeszy naukowców, by odrzucić w całości przedstawione przez niego dowody, albo, gdyby to się nie udało, objaśnić je w kategoriach gradualizmu; i wreszcie – po wielu latach, kiedy wszystko to zawiodło i jako wyjaśnienie samo nasunęło się lodowcowe jezioro Missoula – uznanie, że cały czas miał rację. Ale nie po prostu rację, nie bez względu na okoliczności, nie co do wielkiego kosmicznego kataklizmu, który od początku podpowiadał mu instynkt. Jeśli J Harlen Bretz miał mieć rację, to musiał ją mieć w politycznie poprawny sposób – innymi słowy w taki sposób, żeby zręczni uniformitarikańscy spin doktorzy mogli tak przeredagować jego teorię, by usunąć z niej wszelkie sugestie kosmicznej katastrofy!

Kiedy się snuje fantazje o takiej konspiracji (mam szczerą nadzieję, że to tylko fantazje!), idea *jökulhlaups* jest wyjątkowo użyteczna. Przede wszystkim dostarcza najzupełniej racjonalnego, poważnego i przede wszystkim „naukowego” wyjaśnienia geologicznych cech, jakie Bretz znalazł w Scablands. Po drugie, *jökulhlaups* zdarzają się co roku w różnych częściach świata, a tym samym nie naruszają świętej zasady, że znane nam procesy, działające tak samo jak dzisiaj, muszą wystarczyć do wyjaśnienia wszystkich zmian geologicznych. Po trzecie, można ją powiązać ze współczesnością. Epoka lodowcowa nie musi być wyłącznie przedmiotem zainteresowania geologów; ponieważ *jökulhlaups* zdarzają się również w XXI wieku, nauka może przewidywać i łagodzić ich skutki.

Można odnieść wrażenie, że wszystko to służy skutecznemu odwróceniu uwagi od prawdy, jeśli prawdą jest, że taki kataklizm o bezprecedensowej skali rzeczywiście wydarzył się pod koniec epoki lodowcowej...

I może wydarzyć się ponownie.

Czyli, innymi słowy, może proroctwo Odzibwejów jednak jest prawdziwe?

Może gwiazda z długim, szerokim ogonem rzeczywiście „zniszczy świat pewnego dnia, kiedy znowu zejdzie nisko”?

Czy ci, którzy o tym wiedzieli, skorzystali na podzieleniu się swoją wiedzą z innymi? A może uważają, że lepsze dla nich będzie utrzymanie wszystkiego w tajemnicy?

Wrócimy do tego w rozdziale dziewiętnastym. Tymczasem pytanie, które wcześniej musimy zadać – i znaleźć na nie odpowiedź – jest znacznie prostsze.

Czy zimny epizod młodszego dryasu, który zaczął się tak gwałtownie i tak tajemniczo 12 800 lat temu, był skutkiem uderzenia w ziemię dużej komety?

Ślady komety

„Hipoteza zderzenia w młodszym dryasie (YD)”, jak napisali jej zwolennicy w artykule opublikowanym w „Journal of Geology” we wrześniu 2014 roku, „głosi, że duża katastrofa kosmiczna wydarzyła się na granicy młodszego dryasu 12 800 lat temu”³. Artykuł ten, jak zobaczymy, zawiera zbiór nowych dowodów potwierdzających tę hipotezę – a zwłaszcza potwierdzających i rozbudowujących wcześniej znane dowody obecności licznych nanodiamentów w próbkach pobranych z warstw pochodzących z granicy młodszego dryasu w wielu różnych miejscach. Nanodiamenty są mikroskopijnymi diamentami, które powstają w specyficznych warunkach silnego uderzenia, wielkiego ciśnienia i wysokiej temperatury; uważa się je za jedno z najbardziej charakterystycznych śladów potężnych uderzeń komet lub asteroidów”⁴.

W 2014 roku, kiedy został opublikowany ów artykuł w „Journal of Geology”, debata na temat tego, czy uderzenie komety miało udział w zapoczątkowaniu młodszego dryasu, trwała już od 7 lat. Jako pierwszy rzucił mi się w oczy nagłówek w magazynie „New Scientist” z 27 maja 2007 roku, zawierający prowokacyjne pytanie:

CZY KOMETA ZGŁADZIŁA PREHISTORYCZNYCH AMERYKANÓW?

Wówczas, w 2007 roku, wziąłem urlop od tajemnic zaginionej cywilizacji, która od tak dawna pochłaniała całą moją energię i była tematem wielu moich książek. Artykuł w „New Scientist” pobudził jednak moją wyobraźnię, ponieważ dotyczył tej samej epoki, na której koncentrowałem się w moich książkach. Nie było w nim mowy o zaginionej cywilizacji, ale zaczynał się od wzmianki o północnoamerykańskiej kulturze Clovis, która, jak pamiętamy z rozdziału trzeciego, zniknęła ze źródeł archeologicznych w młodszym dryasie, między 12 800 a 11 600 lat temu. W artykule czytałem:

(...) lud Clovis rozkwitał około 13 000 lat temu, po mistrzowsku opanował wytwarzanie kamiennej broni, która dawała im dobrą pozycję w obronie przed nieustannie obecnym zagrożeniem ze strony dużych drapieżników, takich jak amerykański lew czy ogromny niedźwiedź krótkopyski. Mało prawdopodobne jest jednak, że spodziewali się śmierci, która nadejdzie z nieba.

Według wyników badań zaprezentowanych w tym tygodniu przez zespół 25 naukowców na spotkaniu Amerykańskiej Unii Geofizycznej w meksykańskim Acapulco, właśnie z nieba przyszła zagłada ludu Clovis. Powołując się na kilka dowodów, zespół sugeruje, że zbłąkana kometa wdarła się w atmosferę ziemską około 12 900 lat temu [notabene, ta data została później skorygowana o 100 lat i ostatecznie naukowcy zaproponowali 12 800 lat temu], rozpadła się na kawałki i eksplodowała w gigantycznych kulach ognia. Pył powstały w wyniku tej eksplozji dotarł aż do Europy⁵.

Czytając dalej, dowiedziałem się, że zespół, o którym wspomniano w artykule, był złożony z cenionych i szanowanych naukowców z głównego nurtu nauki.

Jim Kennett, oceanograf z Uniwersytetu Kalifornijskiego w Santa Barbara i jeden z trzech głównych badaczy w tym projekcie, twierdzi, że po kataklizmie ogromne pożary pustoszyły Amerykę Północną, zabijając wielkie populacje ssaków i kładąc niespodziewany kres kulturze Clovis. „Płonął cały kontynent” – powiedział.

Lider zespołu Richard Firestone, chemik jądrowy w Lawrence Berkeley National Laboratory w Kalifornii, mówi, że dowody znajdują się w cienkiej, liczącej 12 900 lat warstwie bogatych w węgiel osadów znalezionej na ośmiu dobrze datowanych stanowiskach czasów kultury Clovis, a także w rdzeniach z osadów pobranych w całej Ameryce Północnej i na jednym stanowisku w Belgii⁶.

Pytany o to, dlaczego dotąd nie zidentyfikowano żadnego krateru po tym kataklizmie, trzeci członek zespołu, geofizyk z Arizony Allen West, sugerował, że mniejsze fragmenty komety, o mniejszej gęstości, eksplodowały w atmosferze, natomiast większe mogły uderzyć w trzykilometrowej grubości lądolód, który wówczas pokrywał Amerykę Północną. „Takie kratery – powiedział West – były utworzone w lodzie i roztopiły się na koniec ostatniej epoki lodowcowej”, pozostawiając niewiele śladów⁷.

Dalej artykuł wyjaśniał, że próbki osadów, na których skupił się zespół, zawierały kilka różnych typów materiału mogącego pochodzić wyłącznie z pozaziemskiego źródła, takiego jak kometa lub asteroida. Oprócz nanodiamentów materiał ten obejmował sferule węgla powstające, gdy roztopione krople ulegają gwałtownemu ochłodzeniu w powietrzu, oraz cząsteczki węgla zawierającego rzadki izotop helu ^3He , który o wiele częściej występuje w kosmosie niż na ziemi⁸.

„Dla każdej z tych rzeczy osobno można by znaleźć jakieś inne wytłumaczenie – mówi Firestone – ale jeśli weźmiemy pod uwagę wszystkie razem, jest całkiem jasne, że musiało nastąpić uderzenie”. Zespół twierdzi, że sprawcą zniszczeń była prawdopodobnie kometa, ponieważ w kluczowej warstwie osadów nie ma poziomów niklu i irydu charakterystycznych dla uderzenia asteroidy⁹.

Na koniec wreszcie, artykuł w „New Scientist” potwierdzał, że wszystkie dowody wskazują na Amerykę Północną jako epicentrum kataklizmu:

Na przykład poziom materiału pochodzenia – jak się wydaje – pozaziemskiego jest najwyższy na stanowisku archeologicznym Gainey w stanie Michigan, tuż poza południową granicą północnoamerykańskiego lądolodu 12 900 lat temu. Co więcej, poziom ten spada w miarę oddalania się od Gainey, co wskazuje, że kometa eksplodowała głównie nad Kanadą...¹⁰

Innymi słowy, głównie nad lodową czapą, pokrywającą w epoce lodowcowej północną połowę Ameryki Północnej – i będącą źródłem wszystkiej wody, która poraniła i pobruździła Scablands w stanie Waszyngton

w czasie „powodzi Bretza” (niezależnie od tego, czy woda pochodziła wyłącznie z jeziora Missoula, czy przyplęnęła z północy, w ilości o wiele większej, niż mogłoby pomieścić jezioro Missoula). Sam Bretz, jak pamiętamy, musiał porzucić jedną wielką powódź, jaką podpowiadała mu intuicja, na rzecz wielu powodzi o mniejszej skali na przestrzeni tysięcy lat.

Jednak główną przyczyną, dla której przyjął tę teorię, nie było jego niespodziewane nawrócenie na gradualizm, lecz to, że nigdy nie udało mu się wyjaśnić, dlaczego tak wielki obszar lądolodu, jaki był potrzebny do wywołania powodzi o tak ogromnej skali, mógł się roztopić w jednej chwili. Brał pod uwagę dwie możliwości – dramatyczne ocieplenie klimatu, które nastąpiło z dnia na dzień, albo podlodowcową aktywność wulkaniczną – ale, jak czytelnik zapewne pamięta, bardzo szybko przyznał, że ani na jedno, ani na drugie nie ma dowodów. Bretz nie wziął jednak pod uwagę – i nie mógł wziąć, ponieważ świadectwa na to wskazujące zaczęły być znajdowane dopiero ćwierć wieku po jego śmierci – możliwości, że lądolód gwałtownie stopniał w wyniku uderzenia komety.

Gdyby tylko Bretz wiedział...

Kilka miesięcy po ukazaniu się artykułu w „New Scientist” zespół pracujący nad kometą Clovis opublikował kolejny, w którym szczegółowo przedstawił swoje odkrycia. Ukazał się on w prestiżowym czasopiśmie „Proceedings of the National Academy of Sciences” (PNAS) 9 października 2007 roku. Mimo tak szacownego miejsca, tytuł brzmiał dramatycznie:

ŚLADY KOSMICZNEJ KATASTROFY 12 900 LAT TEMU, KTÓRA PRZYCZYNIŁA SIĘ DO WYMIERANIA MEGAFAUNY I OCHŁODZENIA MŁODSZEGO DRYASU

Zespół informował, że:

(...) warstwa bogata w węgiel, pochodząca sprzed 12 900 lat, została wcześniej zidentyfikowana na stanowiskach kultury Clovis w całej Ameryce Północnej i wydaje się współczesna z nagłym początkiem ochłodzenia młodszego dryasu. Kości wymarłych gatunków plejstocénskiej megafauny obok zespołów narzędzi kultury Clovis były znajdowane in situ poniżej tej czarnej warstwy, lecz nie w niej ani ponad nią. Przyczyny wymierania gatunków, ochłodzenia młodszego dryasu i końca kultury Clovis od dawna budziły wątpliwości. W tym artykule przedstawiamy dowody na zderzenie z pozaziemskim obiektem około 12 900 lat temu, co, jak sugerujemy, spowodowało gwałtowne zmiany środowiskowe, które przyczyniły się do ochłodzenia młodszego dryasu, znaczących zmian ekologicznych, wymarcia wielu gatunków i szybkich zmian behawioralnych w

społecznościach ludzkich na koniec kultury Clovis. Stanowiska archeologiczne kultury Clovis w Ameryce Północnej pokrywa cienka, wyraźna warstwa o zmiennych szczytowych wartościach: (i) magnetycznych ziaren z irydem, (ii) mikrosferul magnetycznych, (iii) węgla, (iv) sadzy, (v) sferul węgla, (vi) przypominającego szkło węgla zawierającego nanodiamenty i (vi) fulerenów z pozaziemskim helem; wszystko to są świadectwa zderzenia z pozaziemskim obiektem i związanego z tym spalania biomasy około 12 900 lat temu... Sugerujemy, że jeden lub więcej pozaziemskich obiektów o niskiej gęstości eksplodował nad północną częścią Ameryki Północnej, częściowo destabilizując lądolód laurentyjski i wywołując ochłodzenie młodszego dryasu. Fala uderzeniowa, impuls termiczny i związane z tym zdarzeniem efekty środowiskowe (np. spalanie biomasy i niedobór żywności) przyczyniły się do wymierania megafauny...¹¹

Mamuty, mastodonty, naziemne leniwce, konie, wielbłądy, gigantyczne bobry i inne gatunki megafauny nie były osamotnione. To zastanawiające, że w Ameryce Północnej między 12 900 a 11 600 lat temu – czyli dokładnie w czasie tajemniczego zimnego epizodu młodszego dryasu – wymarło łącznie co najmniej 35 rodzajów ssaków (a każdy rodzaj obejmował kilka gatunków)¹². W ten sposób zaczęło się rysować wyjaśnienie zarówno niespodziewanego nadejścia młodszego dryasu i towarzyszącego mu wymierania gatunków, jak i, być może, wielu innych zjawisk – takich jak katastroficzna powódź, która odcisnęła ślad na Channeled Scablands w stanie Waszyngton.

Wydało mi się to jeszcze bardziej prawdopodobne, kiedy dowiedziałem się, że zdaniem Firestone'a, Kennetta i Westa ich kometa była konglomeratem obiektów, z których jeden mógł mieć średnicę około 4 kilometrów¹³. Poza tym sam ten obiekt był tylko jednym z wielu, jakie powstały w wyniku wcześniejszej dezintegracji – jeszcze na orbicie – gigantycznej komety o średnicy 100 kilometrów lub większej¹⁴. Wiele fragmentów pierwotnej komety (wśród nich wiele naprawdę dużych, jak zobaczymy w rozdziale dziewiętnastym) pozostało na orbicie. Te, które uderzyły w ziemię na początku młodszego dryasu, uległy dalszej gwałtownej fragmentacji (czemu towarzyszyły eksplozje o katastroficznym działaniu), kiedy wchodziły w atmosferę nad Kanadą.

Niemniej jednak autorzy uznali za prawdopodobne, że pewna liczba dużych obiektów, o średnicy do 2 kilometrów, pozostała nienaruszona i uderzyła w lądolód¹⁵. Tam, jak wcześniej powiedział West w „New Scientist”, wszelkie kratery byłyby nietrwałe i po stopnieniu lodu na ziemi pozostało niewiele śladów uderzenia. „Trwałe świadectwa – uzupełniał artykuł w PNAS – mogły być ograniczone do enigmatycznych zagłębień lub anomalii w Tarczy Kanadyjskiej, czyli pod Wielkimi Jeziorami albo Zatoką Hudsona¹⁶.

Podsumowując te zniszczenia, autorzy opisywali:

(...) druzgocącą falą uderzeniową o wysokiej temperaturze, z ekstremalnym wzrostem, a następnie spadkiem ciśnienia, co wywołało intensywne wiatry pędzące przez Amerykę

Północną z prędkością setek kilometrów na godzinę i potężne, wywołane przez uderzenie wiry. Ponadto, niezależnie od tego, czy uderzył w ziemię jeden, czy wiele obiektów, kula ognia ogarnęła region w pobliżu miejsc uderzenia... Dalej od nich materiał wyrzucony wracający z wielką prędkością wywołał pożary niszczące lasy i łąki, pozbawiające roślinożerców pożywienia i wytwarzające węgiel, sadzę, toksyczny dym i popiół¹⁷.

Jak to wszystko mogło wywołać dramatyczne ochłodzenie młodszego dryasu? Autorzy zaproponowali wiele mechanizmów działających jednocześnie; jednym z najważniejszych byłaby wielka chmura pary wodnej ze stopionego lądolodu, która została wyrzucona do atmosfery, w połączeniu z ogromną ilością pyłu i gruzu „złożonego z pozostałości uderzającego obiektu, lądolodu i znajdującej się pod nim skorupy ziemskiej”, a także dymem i sadzą pochodzącymi z pożarów na całym kontynencie¹⁸. Podsumowując, nietrudno zrozumieć, dlaczego tak wielka ilość pyłu mogła, jak sugerują autorzy, „doprowadzić do ochłodzenia przez zablokowanie światła słonecznego”; tymczasem para wodna, dym, sadza i lód sprzyjały powstawaniu „ciąglego zachmurzenia i obłoków srebrzystych, co prowadziło do zmniejszonego nasłonecznienia i ochłodzenia powierzchni... [tym samym redukując] nasłonecznienie na wyższych szerokościach geograficznych, zwiększając akumulację śniegu i w efekcie powodując dalsze ochłodzenie”¹⁹.

Czynniki te, same w sobie dotkliwe i niszczycielskie, to drobiazg w porównaniu z konsekwencjami hipotetycznego uderzenia dla pokrywy lodowej:

Najpoważniejszym potencjalnym skutkiem byłaby związana z uderzeniem częściowa destabilizacja i/lub topnienie lądolodu. Doraźnie oznaczałoby to uwolnienie roztopionej wody i kawałków lodu do północnego Atlantyku i Oceanu Arktycznego, co zmniejszyło ich zasolenie i w konsekwencji spowodowało ochłodzenie powierzchni. Długofalowe efekty wynikałyby głównie z osłabienia cyrkulacji termohalinowej w północnym Atlantyku, utrzymującego ochłodzenie młodszego dryasu [ponad] 1000 lat po tym, jak mechanizmy sprzężenia zwrotnego przywróciły cyrkulację oceaniczną²⁰.

Związana z uderzeniem częściowa destabilizacja i/lub topnienie lądolodu! I to na taką skalę, że na ponad 1000 lat zakłóciła cyrkulację w oceanach! Cyrkulacja termohalinowa to bardzo ważna sprawa, która wymaga komentarza. Jeszcze do niej wrócimy. Ale w przytoczonym wyżej fragmencie najbardziej uderzyło mnie to, że autorzy rozważali jedynie konsekwencje uwolnienia ogromnej ilości wody z roztopionego lądolodu do oceanów na północ i wschód od epicentrum uderzenia komety. Nie wzięli pod uwagę skutków gigantycznej lodowatej powodzi na terenach leżących bezpośrednio na południe od lądolodu – które niemal na pewno nie były bezpieczne.

Znowu zacząłem się zastanawiać, jak zareagowałby J Harlen Bretz, gdyby dysponował informacjami o możliwym uderzeniu komety. Oczywiście nie

mogę tego udowodnić, ale myślę, że wówczas miałyby mniejsze szanse dać się uwieść gradualizmowi jeziora Missoula, a byłoby bardziej prawdopodobne, że – widząc możliwe źródło wysokiej temperatury – trzymałyby się swojej katastroficznej teorii. Jedną katastroficzną powódź – będącą skutkiem gwałtownego topnienia lądolodu – o naprawdę gigantycznej skali, jako żywioł, który przeorał Scablands, w świetle badań Firestone'a, Westa, Kennetta i całego zespołu pracujących z nimi naukowców zaczyna się wydawać całkiem prawdopodobna.

Ponadto ich praca dodaje wiarygodności mojej hipotezie, że zaawansowana prehistoryczna cywilizacja została zmieciona z powierzchni ziemi w czasie młodszego dryasu. Jeśli ich obliczenia są prawidłowe, to wybuch komety z młodszego dryasu miałby siłę 10 000 000 megaton²¹. To 2 000 000 razy więcej niż sowiecka Car Bomba, najpotężniejsza broń nuklearna, jaka została kiedykolwiek przetestowana²², i 1000 razy więcej niż łączna moc całej broni jądrowej (10 000 megaton) przechowywanej dzisiaj na świecie²³. Globalny kataklizm o takiej skali, dokładnie w momencie, który sugerowałem w *Śladach palców bogów*, nie dowodzi istnienia zaginionej cywilizacji w epoce lodowcowej, ale co najmniej wskazuje mechanizm na tyle potężny, że – jeśli taka cywilizacja istniała – mógł ją doszczętnie zetrzeć z powierzchni Ziemi.

Nowe dowody wychodzą na jaw

Ponieważ teoria uderzenia komety w młodszym dryasie ma tak doniosłe konsekwencje dla wszystkiego, co – jak nam się wydaje – wiemy o bezpieczeństwie naszego kosmicznego otoczenia i o naszej przeszłości, warto zadać sobie pytanie, na ile solidne są jej podstawy. Na ile oparła się naukowej krytyce od 2007 roku, kiedy została po raz pierwszy przedstawiona, i jakie nowe dowody przedstawiono na jej poparcie?

Odpowiedź jest taka, że bardzo dobrze przetrwała próbę czasu, a nowe dowody są regularnie prezentowane w artykułach zamieszczanych w recenzowanych czasopismach naukowych. Nie mamy tutaj ani miejsca, ani potrzeby dogłębnie analizować całego tego obszernego zbioru literatury, ale żeby dać czytelnikom ogólny obraz, zamieszczam krótką listę najważniejszych artykułów wraz z krótkimi podsumowaniami i pełnymi danymi bibliograficznymi w przypisach:

2008: *Wildfire and abrupt ecosystem disruption on California's Northern Channel Islands at the Allerod-Younger Dryas Boundary* [Pożary i gwałtowne zakłócenie ekosystemu na Northern Channel Islands w Kalifornii na granicy Allerod i młodszego dryasu]. Znalezione

na tych przybrzeżnych wyspach ślady zaburzenia ekosystemu między 13 000 a 12 900 lat temu są zgodne z hipotezą kosmicznego kataklizmu na początku młodszego dryasu²⁴.

2009: *Shock-synthesised hexagonal diamonds in Younger Dryas Boundary sediments* [Zsyntetyzowane szokowo heksagonalne diamenty w osadach z granicy młodszego dryasu]. Obecność powstałych w warunkach szokowych heksagonalnych i innych nanodiamentów w osadach z początku młodszego dryasu, w połączeniu z sadzą i innymi świadectwami pożarów, odpowiada kosmicznej katastrofie 12 900 lat temu i hipotezie, że Ziemia przeszła przez rój komet lub węglowych chondrytów, które eksplodowały w atmosferze i/lub uderzyły w powierzchnię, co spowodowało zaburzenie ekosystemu i wymieranie megafauny w Ameryce Północnej²⁵.

2010: *Discovery of a nanodiamond-rich layer in the Greenland ice sheet* [Odkrycie bogatej w nanodiamenty warstwy w lodolodzie Grenlandii] Obecność zaokrąglonych nanodiamentów i lonsdaleitów w lodzie na Grenlandii wskazuje na uderzenie dużego obiektu kosmicznego... Istnienie tej warstwy... wydaje się odpowiadać uderzeniu obiektu kosmicznego skorelowanego z bogatymi w nanodiamenty warstwami z początku młodszego dryasu w Ameryce Północnej, datowanymi na 12 900 lat temu²⁶.

2010: *Palaeolithic extinctions and the Taurid Complex* [Wymieranie gatunków w paleolicie a Kompleks Taurydów]. Spotkanie z pozostałościami dużej (50–100 km) krótkookresowej komety w górnym paleolicie daje satysfakcjonujące wyjaśnienie katastrofy o kosmicznym pochodzeniu, jaka miałyby się wydarzyć około 12 900 lat temu i spowodować powrót do warunków glacialnych na około 1300 lat. Kompleks Taurydów wydaje się pozostałością po takiej komecie; obejmuje on 19 spośród najjaśniejszych obiektów bliskich ziemi²⁷. [Wnioskami, jakie płyną z tego ważnego artykułu autorstwa astronoma Billa Napiera z Centrum Astrobiologii z walijskiego Uniwersytetu w Cardiff zajmiemy się dokładniej w rozdziale dziewiętnastym].

2010: *Evidence for a Cosmogenic Origin of fired glaciofluvial beds in the Northwestern Andes: Correlation with Experimentally Heated Quartz and Feldspar* [Świadectwa kosmogenicznego pochodzenia łóżysk glaciofluwialnych w północno-zachodnich Andach: korelacja z eksperymentalnie podgrzewanym kwarcem i skaleniem]. Spalone osady, jak się uważa, odpowiadające katastrofie „czarnych mat” około 12 900 lat temu, zostały znalezione i zbadane w Andach w północno-zachodniej Wenezueli. „Czarne maty” są prawdopodobnie opadem po eksplozji w atmosferze komety Enckego, który, jak się przypuszcza, nastąpił nad lodolodem laurentyjskim. W wyniku tego wybuchu materiał został rozrzucony nad znaczną częścią Ameryki Północnej i Europy, co świadczy, że było to zdarzenie o znacznej skali... Obecność dużej ilości monazytu w zawierających węgiel warstwach jest kojarzona z tym zdarzeniem, ponieważ minerał ten nie jest powszechnie spotykany w lokalnej litologii... Ponieważ przerost węglowego materiału „czarnych mat” termicznie rozdrobionym kwarcem i skaleniem oraz „przyspawana” patyna o grubości 100–400 nanometrów mogą powstać tylko w temperaturach przekraczających 900°C, interpretuje się to jako zdarzenie pochodzenia kosmicznego²⁸.

2011: *Framboidal iron oxide: Chondrite-like material from the black mat, Murray Springs, Arizona* [Framboidalny tlenek żelaza: chondrytopodobny materiał z czarnej maty w Murray Springs w Arizonie]. Pod koniec plejstocenu „czarne maty” z młodszego dryasu uformowały się na plejstoceńskich osadach w wielu miejscach w Ameryce Północnej. Analizy frakcji magnetycznej ze spągu czarnej maty w Murray Springs wykazały obecność amorficznych tlenków żelaza w szklistej żelazowo-krzemowej skale macierzystej. [Nasze dane wskazują, że zaobserwowane tekstury są... wynikiem... zdarzenia szokowego, które

rozdrobniły i zamorfizowały ziarna... Dlatego twierdzimy, że cząsteczki te są produktem uderzenia z ogromną prędkością²⁹.

2012: *Evidence from central Mexico supporting the Younger Dryas extraterrestrial impact hypothesis* [Dowody z centralnego Meksyku na poparcie hipotezy pozaziemskiego impaktu w młodszym dryasie]. Informujemy o odkryciu w jeziorze Cuitzeo w środkowym Meksyku czarnej, bogatej w węgiel warstwy jeziornej zawierającej nanodiamenty, mikrosferule i inny niezwykle materiał pochodzący z wczesnego młodszego dryasu. Uważamy, że... świadectw tych nie można wyjaśnić żadnym znanym ziemskim mechanizmem. Są one jednak zgodne z hipotezą spotkania z dużym ciałem kosmicznym na granicy młodszego dryasu, z licznymi eksplozjami w powietrzu i/lub uderzeniami w powierzchnię Ziemi 12 900 lat temu³⁰.

2012: *Very high-temperature impact melt products as evidence for cosmic airbursts and impacts 12,900 years ago* [Produkty stopienia pod wpływem uderzenia w bardzo wysokiej temperaturze jako dowód na eksplozję w powietrzu i uderzenia obiektów pochodzenia kosmicznego 12 900 lat temu]. Zbadaliśmy sekwencje osadów z 18 stanowisk datowanych na początek młodszego dryasu (YDB) na trzech kontynentach... Na wszystkich stanowiskach znaleziono dużo mikrosferul w wstwach odpowiadających YDB, natomiast było ich bardzo niewiele lub wcale poniżej i powyżej. Ponadto na trzech stanowiskach znaleziono gąbczaste, krzemowe obiekty podobne do scorii (SLO), które pod względem geochemicznym są zgodne ze sferulami... Nasze obserwacje wskazują, że obiekty YDB są podobne do materiału powstającego w wyniku eksplozji nuklearnych, kraterów uderzeniowych i eksplozji obiektów kosmicznych w atmosferze, co mocno przemawia na korzyść hipotezy licznych eksplozji w atmosferze i/lub zderzeń 12 900 lat temu. Przedstawione tutaj dane wskazują, że promieniowanie cieplne było wystarczające do stopienia powierzchni osadów, z temperaturami osiagającymi lub przekraczającymi temperaturę wrzenia kwarcu (2200°C)³¹.

2013: *Large Pt anomaly in the Greenland ice core points to a cataclysm at the onset of Younger Dryas* [Znacząca anomalia Pt w rdzeniach lodowych z Grenlandii wskazuje na kataklizm na początku młodszego dryasu]. Jednym z zaproponowanych wyjaśnień nagłego zimnego epizodu znanego jako młodszy dryas (YD) jest eksplozja w atmosferze lub uderzenie w powierzchnię Ziemi na granicy młodszego dryasu obiektu kosmicznego, co zapoczątkowało ochłodzenie i wiele innych kataklizmów. Przetestowaliśmy tę hipotezę, analizując próbki lodu z rdzeni lodowych Greenland Ice Sheet Project 2 (GISP2) dla granicy Bolling-Allerod/YD w poszukiwaniu głównych i śladowych pierwiastków. Dla YDB znaleźliśmy dużą anomalię platyny (Pt)... Poszlaki wskazują na pozaziemskie źródło... [być może] metaliczny obiekt o niezwykłym składzie³².

2013: *New Evidence from a Black Mat Site in the Northern Andes Supporting a Cosmic Impact 12,800 years ago* [Nowe świadectwa ze stanowiska czarnych mat w północnych Andach potwierdzają uderzenie obiektu pochodzenia kosmicznego 12 800 lat temu]. Sferule z Wenezueli są pod względem składu i morfologii identyczne ze sferulami z YDB zadokumentowanymi w innych miejscach... na trzech kontynentach – w Ameryce Północnej, Europie i Azji – co potwierdza wyniki uzyskane dla magnetycznych sferul przez wcześniejszych badaczy. Ich mikrostrukturalna tekstura wskazuje, że powstały w wyniku stopienia i gwałtownego studzenia... Tak więc najbardziej prawdopodobną przyczyną powstania sferul wydaje się wybuch/uderzenie kosmicznego obiektu 12 800 lat temu, z konsekwencjami w atmosferze. Stanowisko w Wenezueli i stanowisko w Peru są najdalej wysuniętymi na południe miejscami, w których znaleziono ślady zdarzenia YDB i stanowią pierwsze dowody, że jego skutki dotarły do Ameryki Południowej i w ogóle na południową półkulę³³.

2014: *Nanodiamond-Rich Layer across Three Continents Consistent with Major Cosmic Impact at 12,800 Cal BP* [Bogata w nanodiamenty warstwa na trzech kontynentach wskazuje na uderzenie dużego obiektu pochodzenia kosmicznego 12 800 lat temu]. Wysłunięto hipotezę uderzenia dużego obiektu kosmicznego na początku zimnego epizodu młodszego dryasu 12 800 lat temu (+/- 150 lat), co spowodowało uformowanie warstwy z granicy młodszego dryasu (YDB) rozciągającej się na przestrzeni 50 000 000 kilometrów kwadratowych na czterech kontynentach. W 24 datowanych sekwencjach stratygraficznych w 10 krajach na północnej półkuli warstwa YDB zawiera wyraźnie zwiększone ilości nanodiamentów (ND), co jest ważną cechą wskazującą na zderzenie z obiektem kosmicznym... Liczne świadectwa związane z ND YDB wskazują na ich powstanie w wyniku uderzenia obiektu kosmicznego około 12 800 lat temu, natomiast nie na ich powstanie w wyniku naturalnych ziemskich procesów, takich jak pożary, antropogeneza i/lub pył kosmiczny³⁴. [Tym artykułem i płynącymi z niego wnioskami zajmujemy się dokładniej w dalszej części tego rozdziału].

Starcie z dogmatycznymi uniformitarianami

Można by pomyśleć, że przy tak imponującym zbiorze dowodów teoria zderzenia w młodszym dryasie została już powszechnie zaakceptowana, a badacze zajmują się rozważaniem implikacji tak niedawnego i niespodziewanego kataklizmu o globalnej skali dla wiedzy o historii ziemi i naszego gatunku. Jednak przekonaliśmy się już na przykładzie J Harlena Bretza, że naukowcy, kurczowo trzymający się uniformitarianistycznego i gradualistycznego układu odniesienia, reagują skrajnie negatywnie na teorie katastroficzne.

Bretz nie był pod tym względem wyjątkiem. Alfred Wegener, który pierwszy zaproponował teorię dryfujących kontynentów – tektoniki płyt – również został postawiony pod pręgierzem, podobnie jak później Luis i Walter Alvarez (Chicxulub, uderzenie K-T), Steven J. Gould (punktualizm), Victor Clube i Bill Napier (koherentny katastrofizm) oraz James Lovelock, Sherwood Rowland, Mario Molina i Lynn Margulis za ich wkład w geofizjologię i teorię Gai. Nie powinno nas więc zaskakiwać, że Richard Firestone, Allen West, James Kennett i inni, którzy poszli w kierunku wskazywanym przez dowody i wychylili się z szeregu, sugerując, że to uderzenie komety zapoczątkowało młodszy dryas, stali się celem zaciekłych ataków.

Triumfalne okrzyki krytyków, którzy najwyraźniej uwierzyli, że udało im się raz na zawsze rozprawić z katastroficzną herezją Firestone'a, Westa i Kennetta, rozlegały się w środowisku akademickim kilkakrotnie w ciągu ostatnich lat. Za każdym razem daje się niemal słyszeć głębokie westchnienie ulgi, jakby mówili „dzięki Bogu; w końcu pozbyliśmy się tych drani”; jednak kilka miesięcy później pojawiają się nowe i absolutnie przekonujące argumenty,

które zmuszają krytyków do odwrotu. Właśnie dlatego trwające osiem lat nieustanne ataki tylko potwierdzały – raz za razem – solidne naukowe podstawy teorii komety młodszego dryasu.

Przeglądając literaturę naukową, można zauważyć, że sami akademicy dzielą się na grupy. Spośród przywódców obozu „antykometowego”, których nazwiska pojawiają się przy krytycznych artykułach, można wymienić Marka Boslougha, fizyka z zespołu technicznego Sandia National Laboratories, i Nicholasa Pintera, profesora geologii na Southern Illinois University. W 2012 roku wraz z tuzinem innych naukowców opublikowali oni artykuł zatytułowany *Argumenty i dowody przeciwko komete młodszego dryasu*³⁵. A rok wcześniej Pinter i kilku innych autorów, którzy przyłączyli się, by odeprzeć atak z 2012 roku, napisali artykuł zatytułowany nieskromnie *Hipoteza komety młodszego dryasu: requiem*³⁶.

Parafrazując Marka Twaina, doniesienia o śmierci tej teorii są mocno przesadzone.

Na przykład Boslough i pozostali w artykule z 2012 roku wysunęli jeden z głównych zarzutów:

Wyniki wykazujące wysoki poziom mikrosferul opublikowane przez zwolenników teorii zderzenia nie zostały powtórzone przez innych badaczy. Analizy tej samej sekwencji stratygraficznej z młodszego dryasu przeprowadzone przez Surovella i innych [2009] nie powtórzyły obserwacji dwóch markerów zderzenia opublikowanych przez Firestone'a i innych [2007]. Studium Surovella i innych [2009] nie wykazało szczytowych wartości, które byłyby charakterystyczne dla interwału czasowego młodszego dryasu³⁷.

Ale później zwolennikom teorii uderzenia udało się wykazać, że Boslough i jego współautorzy „nie zacytowali dziewięciu niezależnych badań nad sferulami, które wykazały podobnie znaczącą liczbę sferul dla YDB [granicy młodszego dryasu]”³⁸. Jeszcze bardziej kompromitujący był fakt, że kiedy inni naukowcy powtórzyli analizy Surovella, ich wyniki potwierdziły uderzenie. Naukowcy doszli do wniosku, że:

(...) fakt, iż Surovell i inni nie wykryli zwiększonej liczby sferul, wynikał z tego, że nie trzymali się oni zalecanych procedur badawczych. Na przykład Surovell i inni nie przeprowadzili żadnych badań z użyciem skaningowego mikroskopu elektronowego, co jest niezbędną procedurą, wyraźnie wskazaną przez Firestone'a i innych³⁹.

Osobne, niezależne studium Malcolma A. Le Compte'a i innych zwraca uwagę, że Surovell i jego zespół „zebrali i zbadali próbki z siedmiu stanowisk YDB, rzekomo stosując te same procedury, co Firestone i jego zespół, lecz na dwóch wcześniej wspomnianych stanowiskach nie znaleźli w osadach YDB ani jednej sferuli”⁴⁰. Le Compte postanowił przyjrzeć się bliżej tej

rozbieżności. Po dokładniejszej analizie wszystkich dowodów doszedł do wniosków, które stawiają Surovella i jego zespół w jeszcze gorszym świetle.

Przeprowadziliśmy niezależne badanie dwóch losowo wybranych stanowisk wspólnych dla obu studiów i trzeciego, badanego tylko przez zespół Surovella. Na wszystkich trzech oddalonych od siebie stanowiskach znaleźliśmy dużo mikrosferul YDB, co jest zgodne z wynikami uzyskanymi przez zespół Firestone'a, i doszliśmy do wniosku, że procedury analityczne zastosowane przez Surovella znacząco odbiegają od procedur Firestone'a. Analiza morfologiczna i geochemiczna sferul YDB wskazuje, że... powstały w wyniku gwałtownego topnienia i schłodzenia materiału pochodzenia ziemskiego i... są zgodne z... wcześniej sugerowanym uderzeniem obiektu kosmicznego 12 900 lat temu...⁴¹

Oczywiście po tym wszystkim ogłoszone przez Pintera „requiem” dla hipotezy komety młodszego dryasu okazało się mocno przedwczesne.

Pinter i inni twierdzili, że pobrali próbki z warstwy YDB w miejscu „identycznym lub prawie identycznym” z miejscem wskazanym przez Kennetta i innych, na potrzeby trzech badań, które nie wykazały obecności sferul i nanodiamentów YDB. Jednak opublikowane współrzędne układu UTM świadczą, że ich rzekoma ciągła sekwencja składa się w rzeczywistości z czterech odrębnych sekcji. Lokacje te są odległe od stanowiska badanego przez Kennetta i innych o 7000 metrów, 1600 metrów, 165 metrów i 30 metrów, co dowodzi, że próbki nie zostały pobrane ze stanowiska YDB badanego przez Kennetta i jego zespół. Co więcej, strategia pobierania próbek każe powątpiewać, czy Pinter i jego zespół w ogóle pobrali próbki YDB i może wyjaśniać, dlaczego nie wykryli szczytowych wartości sferul magnetycznych, sferul węgla lub nanodiamentów⁴².

W latach 2012–2013, próbując ograniczyć zakres błędnych lub nierzetelnych badań, które mogłyby być cytowane dla zdyskredytowania ich pracy, Jim Kennett, Richard Firestone, Allen West oraz liczna grupa zwolenników teorii uderzenia zapoczątkowali „jedne z najbardziej wszechstronnych badań nad sferulami, jakie kiedykolwiek przeprowadzono”⁴³. Badania te koncentrowały się na 18 stanowiskach w Ameryce Północnej, Europie i na Bliskim Wschodzie (ten ostatni reprezentowany przez Abu Hurajra w Syrii) i objęły ponad 700 analiz z użyciem energodispersyjnej spektroskopii rentgenowskiej dla badań chemicznych i skaningowej mikroskopii elektronowej dla badań mikrostruktury powierzchniowej.

Rezultaty, opublikowane w „PNAS” 4 czerwca 2013 roku, pozwoliły – dzięki zastosowaniu najnowszych osiągnięć w dziedzinie datowania radiowęglowego – doprecyzować datę zdarzenia, które zapoczątkowało młodszy dryas na 12 800 lat temu⁴⁴ oraz sporządzić o wiele bardziej szczegółową mapę YDB, obejmującą ponad 50 000 000 kilometrów kwadratowych Ameryki Północnej, Środkowej i Południowej, dużą część Oceanu Atlantyckiego i większość Europy, północnej Afryki i Bliskiego Wschodu. Obliczenia wskazują, że w wyniku uderzenia tę ogromną

powierzchnię pokryło około 10 000 000 ton sferul⁴⁵. Naukowcy nie mieli też żadnych wątpliwości, że to uderzenie było przyczyną tego wszystkiego:

Analizy 771 obiektów YDB przedstawione w tym artykule potwierdzają dużą kosmiczną katastrofę 12 800 lat temu... Sferule... (i) występują powszechnie na 18 stanowiskach, na czterech kontynentach; (ii) wykazują szczytowe wartości tylko w warstwach odpowiadających początkowi YD [młodszy dryas] około 12 800 lat temu; (iii) są rzadko znajdowane powyżej i poniżej YDB, co wskazuje na wyjątkowe wydarzenie; (iv) tworzą około 10 000 000 ton materiału rozdystrybuowanego na 50 000 000 kilometrów kwadratowych na kilku kontynentach, co wyklucza zdarzenie o niewielkiej, lokalnej skali⁴⁶.

Mimo irytującej tendencji komety młodszy dryas do nieustannego potwierdzania swojego istnienia, a jej zwolenników do odpierania wszystkich ataków, Nicholas Pinter, autor artykułu *Requiem* z 2011 roku postanowił w wywiadzie dla NBC News we wrześniu 2013 roku spróbować jeszcze raz strącić tę hipotezę do naukowego czyścica: „Mogę powiedzieć tylko tyle, że ta literatura na temat komety to naukowy ekstremizm promowany przez jedno czasopismo”⁴⁷.

Ta uwaga zdumiała wiele osób niezainteresowanych sprawą osobiście. Przede wszystkim, jak zauważył korespondent „National Geographic” Robert Kunzig, dało się w niej wyczuć myślenie życzeniowe, a nawet desperację ze strony Pintera. „Niektórzy przeciwnicy tej hipotezy – pisał Kunzig – tak bardzo chcą się jej pozbyć, że zawczasu ogłaszają, że jest martwa”⁴⁸. Po drugie, czasopismem, któremu Pinter zarzucił promowanie ekstremizmu naukowego, był sam mainstreamowy, szacowny i surowo recenzowany „Proceedings of the National Academy of Sciences” (PNAS)⁴⁹. Po trzecie, choć wiele artykułów Kennetta, Westa, Firestone’a i ich zespołu ukazało się w „PNAS”, sugestia, jakoby czasopismo promowało tę hipotezę, jest po prostu nieprawdą. Wręcz przeciwnie, do chwili gdy Pinter wystąpił ze swoim protestem w NBC, krytycy hipotezy uderzenia komety opublikowali 10 artykułów w „PNAS”, natomiast jej zwolennicy tylko osiem. Podobnie twierdzenie Pintera, że hipoteza była prezentowana tylko w jednym czasopiśmie, nie mogłoby być dalsze od prawdy. Do września 2013 roku, oprócz ośmiu artykułów w „PNAS”, zwolennicy opublikowali co najmniej 15 artykułów w 13 innych czasopismach⁵⁰.

Nie widać końca wojny naukowców o hipotezę młodszy dryas. Kiedy piszę te słowa, ostatnią salwę, oddaną przez krytyków, stanowił artykuł zatytułowany *Anthropogenic origin of siliceous scoria droplets from Pleistocene and Holocene archaeological sites in northern Syria* [Antropogeniczne pochodzenie krzemionkowych kropelek scorii z plejstocenijskich i holocenijskich stanowisk archeologicznych w północnej Syrii],

autorstwa P. Thy'a, G. Willcoxa, G.H. Barfoda i D.Q. Fullera, opublikowany online 16 grudnia 2014 roku, a wydrukowany w styczniu 2015 roku w czasopiśmie „Journal of Archaeological Science”⁵¹. Podsumowując, artykuł ten miał dowieść, że krzemionkowe kropelki scorii (złożone głównie ze szklistej macierzy i pęcherzyków oraz częściowo stopionych ziaren mineralnych) z Abu Hurajra w Syrii – wymieniane przez zwolenników jako dowód na potwierdzenie teorii uderzenia – nie mają nic wspólnego z kometą, lecz są produktem zniszczenia starożytnych domów w wyniku pożarów:

Dlatego uważamy, że topnienie ziemi budowlanej w starożytnych osadach mogło nastąpić w czasie pożarów osiągających umiarkowane temperatury. Nie ma żadnych dowodów wskazujących, że krzemionkowe kropelki scorii powstały w wyniku topnienia ziemi w bardzo wysokich temperaturach i są skutkiem katastrofy kosmicznej⁵².

„Jeśli chodzi o to stanowisko w Syrii, teoria uderzenia jest skończona” – triumfował Peter Thy w wywiadzie dla prasy zatytułowanym *Badania stawiają pod znakiem zapytania kosmiczną katastrofę, która zabiła mamuty*⁵³. Ale i tym razem były to przedwczesne przechwałki. Allen West został wymieniony jako autor korespondent większości naukowych artykułów opublikowanych przez zespół pracujący nad kataklizmem młodszego dryasu, więc 18 marca 2015 roku wysłałem do niego e-mail z pytaniem, czy on i jego koledzy mają jakąś odpowiedź na krytykę ze strony Thy'a i jego zespołu. West odpisał:

Zgadza się z Thy'em i pozostałymi, że w wyniku pożarów szalasów może powstawać szkliwo, ale to nie znaczy, że wszelkie szkliwo pochodzi z pożarów szalasów, jak twierdzą. Zbadaliśmy próbki naturalnego szkła dostarczone przez jednego z autorów tego studium i liczące 12 800 lat szkło z Syrii jest do nich tylko powierzchownie podobne. Bardzo przypomina natomiast znane próbki szkła powstałego w wyniku katastrof kosmicznych i wybuchu bomby atomowej.

Co najważniejsze, autorzy ci nie wspomnieli ani nie zbadali licznych, zaprezentowanych w naszych wcześniejszych artykułach, przykładów wysokotemperaturowych minerałów z trzech stanowisk na dwóch kontynentach (Pensylwania, Karolina Południowa i Syria), gdzie znaleźliśmy suessyt, który topi się w temperaturze 2300°C, i korund o temperaturze topnienia 1800°C. Teraz mamy jeszcze mocniejsze dowody ze stanowiska w Syrii i pracujemy nad nowym artykułem, który będzie opublikowany w tym roku. Syryjskie szkło sprzed 12 800 lat zawiera wiele minerałów, które topią się w nadzwyczaj wysokich temperaturach. Poniższa tabela pochodzi z naszego nowego artykułu:

Stopione minerały	Wzór chemiczny	Temperatura topnienia (°C)
chromit	$(\text{Fe})\text{Cr}_2\text{O}_4$	≈2265
kwarc	SiO_2	≈1720
czert	zanieczyszczony SiO_2	≈1720
magnetyt	Fe_3O_4	≈1550
żelazo rodzime	Fe	≈1530
chlorapatyt	$\text{Ca}_5(\text{PO}_4)_3\text{Cl}$	≈1530

Takie temperatury wystarczą do stopienia stali. Co więcej, ta sama bogata w szklivo warstwa na stanowisku w Syrii zawiera też dużo nanodiamentów, niklu i platyny. Żaden pożar budynku nie zostawiłby takich śladów – takie pożary nie tworzą nanodiamentów ani nie powodują wzbogacenia platyny. Wszystkie te świadectwa obalają hipotezę Thy'a i innych, jakoby szkło mogło powstać w niskotemperaturowych pożarach budynków⁵⁴.

Nie wątpię, że kiedy nowy artykuł Westa i jego kolegów ukaże się drukiem (a moja książka będzie już wtedy gotowa), obali wszystkie argumenty Thy'a i jego zespołu – podobnie jak zostały odparte wszelkie poprzednie ataki. Ale nie wątpię też, że inni naukowcy – którzy z jakichkolwiek powodów nie akceptują pomysłu, że 12 800 lat temu wydarzyła się kosmiczna katastrofa – będą w nadchodzących latach publikować kolejne „nekrologi” hipotezy komety młodszego dryasu, mimo pojawiających się wciąż nowych dowodów na jej

poparcie. Jak widzieliśmy w tej książce, idee katastroficzne, choćby były najlepiej udokumentowane i najstaranniej zaprezentowane, uniformitariański establishment regularnie stara się zamieść pod dywan. Dlatego choć J Harlenowi Bretzowi nie brakowało uporu, a jego dokumentacja była bez zarzutu, musiał znosić całe lata upokorzeń, zanim jego idee zostały przyjęte przez mainstream.

Jim Kennett, Richard Firestone, Allen West i ich koledzy z równym uporem i podziwu godną rzetelnością prezentowali hipotezę uderzenia komety na początku młodszego dryasu, lecz także oni spotkali się z wrogim przyjęciem. Ich sytuacja jest jednak inna pod dwoma względami. Po pierwsze, żyjemy w XXI wieku i mamy Internet, który pozwala bardzo szybko dzielić się pomysłami. Kiedy Bretz zaczynał swoją samotną walkę, okoliczności były zupełnie inne. Po drugie, Kennett, Firestone i West lepiej orientują się w politycznych zawłościach świata nauki i zadbali o wsparcie ze strony wielu kolegów. Uciszenie samotnego wilka, takiego jak Bretz, to jedno, ale czymś zupełnie innym jest uciszenie licznego zespołu cenionych naukowców reprezentujących różne specjalności i uniwersytety.

A zespół cały czas się powiększa. Kiedy kończę ten rozdział w marcu 2015 roku, na moim biurku leży najnowszy artykuł Kennetta, Firestone'a i Westa. Nosi on tytuł *Nanodiamond-Rich Layer across Three Continents Consistent with Major Cosmic Impact 12,800 Years Ago* [Bogata w nanodiamenty warstwa obejmująca trzy kontynenty odpowiada wielkiemu kosmicznemu impaktowi sprzed 12 800 lat] i ukazał się we wrześniowym wydaniu „The Journal of Geology” z 2014 roku. Głównym autorem jest Charles R. Kinzie z Wydziału Chemii Uniwersytetu DePaul w Chicago, a współautorami są Kennett, Firestone, West i 22 naukowców z prestiżowych uniwersytetów i instytutów badawczych na całym świecie⁵⁵.

Artykuł zawiera między innymi szczegółową odpowiedź na wcześniej opublikowane artykuły krytyczne⁵⁶, a ciężar gatunkowy samego tekstu, jego autorów i czasopisma, w którym się ukazał, wystawiają na pośmiewisko twierdzenia Nicholasa Pintera, że hipoteza komety młodszego dryasu jest przejawem „naukowego ekstremizmu”.

W rzeczywistości jest wprost przeciwnie – nadzwyczajna hipoteza, raz po raz potwierdzana nowymi, niezwykłymi dowodami, zaczęła się przeciskać przez zaciekle bronione wrota naukowego mainstreamu. Nie będzie łatwo; taka walka nigdy nie jest łatwa. Będą postępy, ale i porażki. Jednak artykuły z 2013 roku o sferulach i z 2014 roku o nanodiamentach dostarczają mnóstwa dowodów, które nawet najbardziej zatwardziałym gradualistom trudno będzie zignorować. Jak ostatnio niechętnie przyznał Wallace Broecker, geochemik i

klimatolog z Lamont-Doherty Earth Observatory na Uniwersytecie Columbia: „Większość ludzi próbuje to obalić. Teraz będą musieli przyjąć do wiadomości, że jest w tym ziarno prawdy”⁵⁷.

Ale tu nie może chodzić tylko o „ziarno” prawdy. Hipoteza komety młodszego dryasu jest albo całkiem prawdziwa, albo zupełnie fałszywa. W mojej opinii – do której doszedłem po siedmiu latach ślęczenia nad naukową literaturą, po przeczytaniu wszystkich głosów krytyki i obrony od opublikowania tej hipotezy w 2007 roku – teoria uderzenia komety jest bardzo prawdopodobna i z każdym dniem staje się coraz mocniejsza i bardziej przekonująca. Mógłbym podać wiele dalszych przykładów skutecznej obrony tej hipotezy podejmowanych na przestrzeni lat przez jej zwolenników, lecz zamiast to robić tutaj, odeślę zainteresowanych czytelników do źródeł wymienionych w przypisie⁵⁸.

Tymczasem artykuł z września 2014 roku, podsumowując zaprezentowane dotąd dowody, stwierdza:

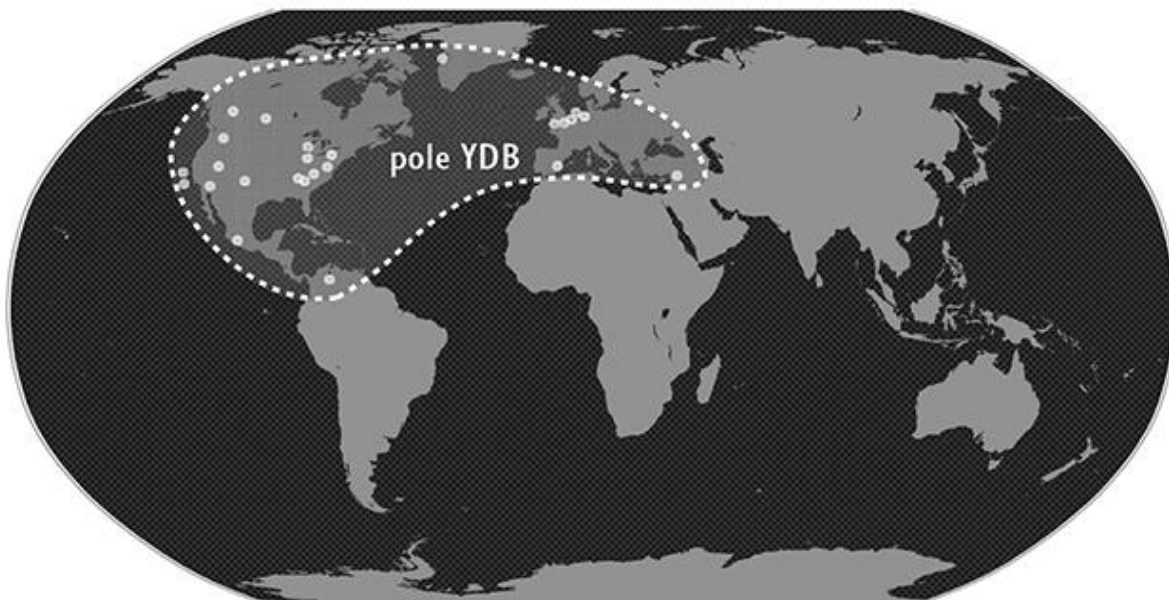
Kosmiczna katastrofa na początku zimnego epizodu młodszego dryasu jest jedyną hipotezą, jaka może wyjaśnić jednoczesne występowanie szczytowych wartości nanodiamentów, magnetycznych i szklistych sferul, stopionego szkliwa, platyny i/lub innych wskaźników na co najmniej czterech kontynentach (co oznacza co najmniej 50 000 000 kilometrów kwadratowych). Dowody mocno potwierdzają kosmiczną katastrofę 12 800 lat temu⁵⁹.

Na szczególną uwagę, dodał James Kennett, zasługuje fakt, że szkliste i metaliczne substancje w warstwach YDB mogły powstać wyłącznie w temperaturach przekraczających 2200°C, zatem poza uderzeniem dużej komety nie wchodzi w grę żaden inny scenariusz⁶⁰.

Skalę tego zdarzenia pozwolą dokładnie ustalić dopiero dalsze badania. Tymczasem, jak mówi Kennett, „nie jest znana żadna granica pola rozsiania YDB, które obecnie pokrywa ponad 10 procent powierzchni planety, co wskazuje, że zdarzenie YDB było potężną kosmiczną katastrofą... Datowanie nanodiamentów przedstawione w tym studium daje naukowcom fotografię momentu na osi czasu zwaną izochroną”⁶¹.

Naukowcy znają na całym świecie tylko dwie warstwy osadów „rozdystrybuowane na kilku kontynentach, które wykazują współczesne sobie szczytowe wartości spójnego zespołu markerów kosmicznej katastrofy, takich jak nanodiamenty, wytworzone w wysokich temperaturach sferule, stopione w wysokich temperaturach szkliwo, sferule węgla, irydu i pęcherzykowatego węgla”⁶². Warstwy te występują na granicy młodszego dryasu 12 800 lat temu i na granicy kreda–trzeciorzęd 65 000 000 lat temu, kiedy – co do czego od dawna panuje zgoda – gigantyczna katastrofa kosmiczna w Zatoce

Meksykańskiej (za jej sprawczynię uważa się asteroidę o średnicy około 10 kilometrów) spowodowała wymarcie dinozaurów⁶³.



Il. 20. Pole rozsiania granicy młodszego dryasu YDB (za: Wittke et al., 2013 oraz Kennett et al., 2014). Przerywana linia otacza obszar 50 000 000 kilometrów kwadratowych, na którym występują wskaźniki kosmicznej katastrofy na granicy młodszego dryasu.

„Świadectwa, które prezentujemy, rozstrzygają spór o istnieniu znacznej liczby nanodiamentów – mówi Kennett. – Nasza hipoteza stawia pod znakiem zapytania przyjęte paradygmaty w kilku dziedzinach nauki, takich jak dynamika zderzenia, archeologia, paleontologia i paleoklimatologia, na które ma wpływ ta stosunkowo niedawna kosmiczna katastrofa”⁶⁴.

To, co powiedział Kennett, ma doniosłe implikacje dla badań nad naszą przeszłością i dla jej zrozumienia. Archeolodzy z przyzwyczajenia uważają, że kosmiczne kataklizmy, które rzekomo miały się zdarzać najwyżej co kilka milionów lat, nie miały większego znaczenia dla liczącej 200 000 lat historii anatomicznie współczesnego człowieka. Kiedy sądziliśmy, że ostatnim wielkim kataklizmem było uderzenie asteroidy, która zabiła dinozaury 65 000 000 lat temu, wszelkie próby powiązania tych zdarzeń – w niemal niewyobrażalnie zamierzchłej przeszłości – ze znacznie węższymi ramami czasowymi naszej historii naturalnie nie miały większego sensu. Ale badania Kennetta wskazują na bardzo wysokie prawdopodobieństwo tego, że zaledwie

12 800 lat temu, w stosunkowo niedawnej przeszłości doszło do gigantycznego kataklizmu. I to zmienia wszystko.

6. ŚLADY PALCÓW KOMETY

Dowody w postaci depozytów nanodiamentów, mikrosferul, wysokotemperaturowego szkliwa i innych „śladów pozaziemskiej katastrofy” na granicy młodszego dryasu wskazują, że około 12 800 lat temu doszło do zderzenia dużej komety z ziemią. Punkt wejścia znajdował się gdzieś nad Kanadą; kometa mogła się już wcześniej rozpaść na wiele kawałków (jak kometa Shoemaker-Levy 9, której fragmenty spektakularnie uderzyły w powierzchnię Jowisza w 1994 roku). Możliwe jednak, że kometa młodszego dryasu rozpadła się dopiero po wejściu w atmosferę ziemską. Tak czy inaczej, niektóre fragmenty krótko później eksplodowały w powietrzu, inne – o średnicy do 2 kilometrów – uderzyły w różne punkty północnoamerykańskiego lądolodu, zaś jeszcze inne leciały dalej, aż dotarły do Bliskiego Wschodu, gdzie ostatnie spadły w rejonie Turcji, Libanu i Syrii.

Ponieważ świadectwa potwierdzające istnienie tej komety są stosunkowo nowe i ponieważ hipoteza katastrofy wciąż jest przedmiotem dyskusji, do dzisiaj niemal nikt nie zastanawiał się nad bezpośrednimi skutkami uderzenia jej fragmentów w północnoamerykański lądolód. We wszystkich przypadkach lodowiec, który 12 800 lat temu wciąż miał ponad 2 kilometry grubości, pochłonął większość energii uderzenia, a na powierzchni pozostało niewiele trwałych śladów. Mimo to naukowcy zaczęli identyfikować wiele prawdopodobnych kraterów.

Jednym z kandydatów jest tak zwany Charity Shoal w jeziorze Ontario. Ten niewielki kolisty basen z podwyższonym obrzeżem ma około kilometra średnicy i 19 metrów głębokości; został zbadany przez zespół naukowców pod kierunkiem Troya Holcombe’a, którzy doszli do wniosku, że jest on najprawdopodobniej pozostałością po uderzeniu obiektu pozaziemskiego i mógł powstać w późnym plejstocenie, mniej więcej w tym samym czasie, gdy zaczął się młodszy dryas¹.

Podobnie krater Bloody Creek na południowym zachodzie Nowej Szkocji, o średnicy pół kilometra i głębokości 10 metrów, został zidentyfikowany jako możliwy krater uderzeniowy przez Iana Spoonera, George’a Stevensa i innych w 2009 roku, w artykule opublikowanym w czasopiśmie „Meteoritics and

Planetary Science”. Naukowcy nie byli pewni datowania, ale zwrócili uwagę, że „uderzenie w lodowiec w schyłkowym okresie glacjału Wisconsin około 12 000 lat temu mogło zaowocować rozproszeniem większości energii uderzenia w lodzie i spowodować powstanie obecnej morfologii krateru Bloody Creek”².



Il. 21.

Trzecim kandydatem jest krater Corossol w Zatoce Świętego Wawrzyńca w Kanadzie. Corossol, odkryty przez Kanadyjską Służbę Hydrograficzną, ma średnicę 4 kilometrów, co oznacza, że powstał w wyniku uderzenia obiektu o średnicę do pół kilometra. Obecnie krater znajduje się pod wodą, na głębokości od 49 do 185 metrów; początkowo uważano, że jest bardzo stary i datowano go na drugą połowę ordowiku, około 470 milionów lat temu³. Najnowsze badania podają jednak tę chronologię w wątpliwość. Na przykład M.D. Higgins i jego koledzy z Uniwersytetu w Quebecu i Geological Survey of Canada stwierdzili w referacie przedstawionym na 42 Lunar and Planetary Science Conference w marcu 2011 roku:

Mała ilość osadów w kraterze może wskazywać, że jest on stosunkowo młody. Minimalny wiek ustalono na podstawie danych pochodzących z 7-metrowego rdzenia pobranego w centralnym zagłębieniu. Skalibrowane daty radiowęglowe dla muszli znalezionych w osadach można ekstrapolować, aby ocenić wiek najgłębszych warstw w sekwencji osadów na około 12 900 lat... To jest najpóźniejsza możliwa data uderzenia⁴.

„Najpóźniejsza możliwa” data – 12 900 lat temu – mieści się w dopuszczalnym marginesie błędu dla 12 800 plus–minus 150 lat: powszechnie

dziś przyjmowanej daty granicy młodszego dryasu⁵. Innymi słowy, jeśli zostaną potwierdzone odkrycia Higginsa i jego zespołu, Corossol może być jednym z „brakujących” kraterów uderzeniowych pozostawionych przez kometę młodszego dryasu. Pewne zidentyfikowanie takiego krateru byłoby wisienką na torcie dla Firestone’a, Kennetta, Westa i innych zwolenników katastrofy; jednak – czego już wielokrotnie dowiedli – wcale nie potrzebują oni kraterów, by potwierdzić swoją hipotezę, ponieważ ani eksplozje w powietrzu, ani uderzenia w lądolód nie pozostawiły wyraźnych kraterów.

A jednak Charity Shoal, Bloody Creek i Corossol nie są jedynymi możliwymi kraterami. Czwarte prawdopodobnie możliwe miejsce uderzenia zostało zidentyfikowane nieco na zachód od Corossol, na obszarze zwanym przez geologów Quebecia Terrain. Wysokie koncentracje mikrosferul YDB znalezione niedaleko miast Melrose w Pensylwanii i Newtonville w New Jersey zostały przeanalizowane przez Wu, Sharmę, LeCompte’a, Demitroffa i Landisa w artykule opublikowanym we wrześniu 2013 roku w „Proceedings of the National Academy of Sciences”. Doszli oni do wniosku, że uderzenie w lądolód laurentyjski przeniknęło aż do skalnego podłoża Quebecia Terrain i wyrzuciło materiał wysoko w atmosferę. Materiał wyrzucony zawierał sferule o średnicy od 2 do 5 milimetrów, które wiatr przeniósł setki kilometrów dalej, w okolice Melrose–Newtonville. Co istotne, analizy wykazały, że sferule zawierają:

(...) minerały takie jak suessyt, powstające w temperaturach przekraczających 2000°C. Tekstura, skład mineralny i wiek sferul wydają się zgodne z ich powstaniem jako materiał wyrzucony w wyniku impaktu 12 900 lat temu... Zawarte w sferulach pierwiastki ziem rzadkich oraz izotopy strontu i neodymu wskazują, że ich źródło znajduje się na Quebecia Terrain”⁶.

„Dostarczyliśmy dowodów na uderzenie w powierzchnię lądolodu – podsumował studium jego współautor Mukul Sharma. – Po raz pierwszy zawęziliśmy poszukiwania regionu, w którym nastąpiło uderzenie komety młodszego dryasu, mimo że nie znaleźliśmy jego krateru”⁷.

Ponieważ wydaje się, że trajektoria komety młodszego dryasu przebiegała z północnego zachodu na południowy wschód⁸, krater Charity Shoal w jeziorze Ontario, materiał wyrzucony z Quebecia Terrain oraz krater Corossol w Zatoce Świętego Wawrzyńca i Bloody Creek w Nowej Szkocji mogą być śladami uderzeń ostatnich dużych fragmentów komety w Amerykę Północną. Ale jeszcze większe fragmenty – o średnicy do 2 kilometrów zdaniem Firestone’a, Kennetta i Westa – musiały uderzyć w lądolód na wcześniejszym odcinku trajektorii, a zatem w punktach położonych dalej na północ i zachód. To właśnie te hipotetyczne uderzenia w zachodnie obrzeża lądolodu

laurentyjskiego i w łańdółd kordylierski mogłyby być źródłem wody, która wywołała powódź Bretza.

Radykalne myślenie

Wprawdzie pomysł powodzi wypływających z lodowcowego jeziora Missoula został już dawno zaakceptowany przez naukowy mainstream jako przyczyna spektakularnych śladów zadokumentowanych przez Bretza, lecz nie możemy zapominać, że wielu wybitnych i cenionych naukowców nie podziela tej opinii. Jednym z nich jest John Shaw, profesor nauk o ziemi na kanadyjskim Uniwersytecie Alberty. Shaw twierdzi, że ilość wody w jeziorze Missoula, oceniana na około 2000 kilometrów sześciennych w kulminacyjnym momencie, nie wystarczy, by wyjaśnić ślady widoczne w terenie. On sam uważa, że tak ogromna ilość wody – rzędu 100 000 kilometrów sześciennych – zgromadziła się w podlodowcowym rezerwuarze głęboko pod północnoamerykańskim łańdółdem i przypuszcza, że zniszczenia zostały spowodowane przez jednorazowe uwolnienie wody z tego rezerwuaru⁹.

Japońscy naukowcy Goro Komatsu, Hideyaki Miyamoto, Kazumasa Itoh i Hiroyuki Tosaka przeprowadzili liczne symulacje komputerowe katastroficznych powodzi na obszarze Scablands i zgodzili się z Shawem, że lodowcowe jezioro Missoula nie jest nawet w przybliżeniu dostatecznie duże, by spowodować kataklizm, który pozostawił widoczne w terenie ślady zniszczeń.

Nawet całkowite opróżnienie jeziora Missoula nie mogłoby wyjaśnić widocznych w terenie śladów wysokiego poziomu wody... Podlodowcowa powódź z północy zaproponowana przez Shawa może tłumaczyć zwiększoną ilość wody, jaka była niezbędna do powstania śladów wysokiej wody widocznych w Channeled Scablands¹⁰.

Podobnie Victor Baker, profesor hydrologii i zasobów wodnych na Uniwersytecie Arizony, i Jim O'Connor z Centrum Nauk o Wodzie US Geological Survey, wyrazili wątpliwości co do teorii „okresowych kolosalnych *jökulhlaupów*” z lodowcowego jeziora Missoula.

Naszym zdaniem, w niektórych aspektach śladów widocznych i zaproponowanych teoretycznych modeli wciąż istnieją anomalie. Stanowisko, że „hipoteza wielokrotnych powodzi uzupełnia pomysłową teorię Bretza” (Waite, 1985, str. 1286), może przedwcześnie odwracać uwagę od istotnych problemów w interpretacji spektakularnych elementów Channeled Scablands¹¹.

W 1977 roku geolog C. Warren Hunt rozpoczął szczegółowe badania nad powodzią Bretza. Rozpoczął je, ponieważ, podobnie jak cytowani powyżej

naukowcy, nie był przekonany co do teorii – która już w połowie lat siedemdziesiątych miała status niepodważalnego faktu – że wszelkie ślady erozji wodnej zostały spowodowane przez powodzie z jeziora Missoula. Wątpliwości Hunta wynikały z jego rozległej wiedzy na temat tam i ich projektowania z możliwie najlepszym wykorzystaniem lokalnej geologii. Podsumowując, według jego obliczeń lodowa tama na rzece Clark Fork, za którą miałyby nastąpić spiętrzenie jeziora Missoula, jest niemożliwa.

Przede wszystkim przyjrzyjmy się statystykom. Według US Geological Survey lodowcowe jezioro Missoula przy najwyższym stanie wody – poziomie, jaki osiągnęło, zanim pękła lodowa tama na Clark Fork – miało powierzchnię 7770 kilometrów kwadratowych i mieściło 2084 kilometry sześciennego wody. Lustro wody znajdowało się na wysokości 1265 metrów nad poziomem morza, lecz poziom dna był zróżnicowany i według ocen USGS jezioro miało głębokość około 290 metrów w miejscu dzisiejszego Missoula, 79 metrów w Darby i 335 metrów w Polson. Jednak przy samej tamie lodowej teren był tak ukształtowany, że jezioro miało ponad 600 metrów głębokości (był to jego najgłębszy punkt) – ponaddwukrotnie więcej niż dzisiejsze Jezioro Górne¹².

C. Warren Hunt wprawdzie ogólnie zgadzał się z liczbami podawanymi przez US Geological Survey, lecz stanowczo odrzucał „sugestię, jakoby lód mógł zablokować Clark Fork na tyle, by spiętrzyć wodę o głębokości 640 metrów”. Pisał:

Jeśli wziąć pod uwagę, że współczesna inżynieria stosuje wzmocnienie skalnego podłoża zastrzykami z betonu, w celu zabezpieczenia fundamentów 150-metrowych tam, każdemu czytelnikowi musi się wydać niepoważna sugestia, że przypadkowo zgromadzone kawałki lodu mogłyby utworzyć 11-kilometrową tamę w poprzek Clark Fork bez żadnych przypór, a następnie utrzymać napór spiętrzonej wody czterokrotnie przekraczający wytrzymałość dzisiejszych betonowych tam!¹³

Powątpiewanie Hunta w możliwość powstania lodowej tamy o wysokości ponad 600 metrów i długości 11 kilometrów potwierdzają studia, które wskazują, że „przy głębokości jeziora około 200 metrów ciśnienie hydrostatyczne wywierane na spiętrzony lód jest wystarczające do przerwania lodowej tamy. Po powstaniu, taka wyrwa powiększałaby się z powodu topnienia wywołanego tarciem i nastąpiłoby opróżnienie jeziora”¹⁴.

A zatem przy wysokości trzykrotnie większej niż 200 metrów, hipotetyczna lodowa tama na Clark Fork rzeczywiście zaczyna się wydawać niemożliwa.

A jednak, jak wspominałem, Hunt akceptuje statystyki USGS. Powierzchnia jeziora Missoula rzeczywiście znajdowała się 1265 metrów nad poziomem morza i musiało ono mieć około 640 metrów głębokości w dolinie Clark Fork

między łańcuchami górskimi Bitterroot i Cabinet. O tym, że tak było, świadczy starożytna linia wysokiej wody na tej wysokości oraz inne linie poniżej, wskazujące na późniejsze niższe poziomy jeziora¹⁵. Ponieważ jednak Hunt uważał tamę na Clark Fork za niemożliwą z geologicznego punktu widzenia, doszedł do wniosku, że gigantyczna powódź, o głębokości setek metrów, musiała się przetoczyć przez cały ten region pod koniec epoki lodowcowej. Powódź ta wypełniła jezioro Missoula do poziomu 1265 metrów, gdzie jest widoczna najwyższa linia brzegowa, zaś opadając, pozostawiła ślady poniżej¹⁶.

Jeśli chodzi o przyczynę tej kolosalnej powodzi, Hunt sugerował, że:

(...) przypływ wywołany przez jakiś rodzaj siły przyciągającej z kosmicznego źródła, którego charakter wykracza poza kompetencje autora, musiał wytworzyć... falę... o wysokości 1600 metrów ponad dzisiejszym poziomem morza... Woda utrzymała się na tym poziomie przez kilka tygodni... w wodzie unosiło się dużo fragmentów lodowca i wtedy powstały najwyższe plaże „jeziora Missoula”. Odpływ i opadanie wody z kolejnymi, niższymi plażami spowodował rzeźbienie kanionów, usunięcie wcześniejszych depozytów lodowcowych, stożków i piargów, erozję Scablands, transport materiału przez lód, polerowanie skalnych przeszkód stojących na drodze fali przypływu, akumulację na dnach dolin i obejść oraz osiadanie głazów w podwodnych deltach i stożkach. Na koniec, po przejściu przypływu, osadziła się warstwa mułu, zwłaszcza w spokojniejszych wodach ujść rzek¹⁷.

Innymi słowy, Hunt w znacznym stopniu „wrócił do Bretza”, proponując jedną gigantyczną powódź jako źródło wszystkich śladów zniszczeń na Wyżynie Kolumbii. Jego wyrażonej w 1977 roku opinii, że była to fala przypływu, która wdarła się w ujścia rzek (wywołana przez przyciąganie grawitacyjne jakiegoś hipotetycznego ciała niebieskiego)¹⁸ nie da się jednak obronić i przyznał to sam Hunt, kiedy ponownie poruszył ten temat w swojej książce *Environment of Violence* z 1990 roku. Przyznając, że „teorię przypływu osłabia znaczna odległość i brak śladów wzdłuż możliwych szlaków”¹⁹, szukał innych możliwych źródeł wody w ilości odpowiednio dużej, by spowodować zniszczenia widoczne w terenie. Przez chwilę brał pod uwagę teorię Johna Shawa, z podlodowcowym rezerwuarem 100 000 kilometrów sześciennych wody z rozpuszczonego śniegu, ale zadał kilka istotnych pytań:

Jak mogłoby nastąpić takie topnienie bez źródła ciepła takiego jak wulkany, które wywołują *jökulhlaupy* na Islandii. Przede wszystkim, jakie zjawiska klimatyczne umożliwiłyby takie topnienie? Dlaczego woda miałaby się gromadzić pod lodowcem, zamiast wypłynąć spod jego obrzeży tuż po stopnieniu? Jaki mechanizm powstrzymujący umożliwiłby powstanie wielkiego podlodowcowego jeziora... pod 3000 metrów lodu. I czy woda pod lodem o największej grubości nie miałaby tendencji do uciekania pod peryferyjne obszary łądolodu, gdzie byłaby poddana mniejszemu ciśnieniu? Czy istnieje jakiś sposób, który pozwoliłby na zgromadzenie tak wielkiego zbiornika wodnego pod lodem?²⁰

Podsumowując długie rozważania: Hunt doszedł do wniosku, że nie istnieje. Poza tym 100 000 kilometrów sześciennych wody, jakie przewidywała teoria Shawa, było zdaniem Hunta ilością niewystarczającą. Do wytłumaczenia wszystkich śladów widocznych w terenie potrzeba byłoby niemal dziesięciokrotnie więcej wody. Zatem po odrzuceniu teorii przypływu, lodowcowego jeziora Missoula i podlodowcowego rezerwuaru Shawa Huntowi pozostała tylko jedna – zaskakująco katastroficzna – możliwość. Z jakiegoś powodu, w jakiś sposób musiało nastąpić gwałtowne, katastroficzne topnienie na ogromnym obszarze północnoamerykańskiego lądolodu. Po wykonaniu niezbędnych obliczeń Hunt doszedł do wniosku, że „musiało się stopić” 840 000 kilometrów sześciennych lodu, czyli około 10 procent całego pokrytego lodowcem obszaru²¹.

Czytelnicy zapewne pamiętają, że Bretz początkowo przewidywał coś podobnego, lecz musiał zrezygnować z tego rozwiązania, ponieważ nie mógł wskazać ani radykalnego globalnego ocieplenia ani podlodowcowej aktywności wulkanicznej (i nic dziwnego, ponieważ ani jedno, ani drugie nie wystąpiło) jako przyczyny topnienia tak ogromnej ilości lodu, jaka byłaby potrzebna do uzyskania wody niezbędnej do „jego” powodzi. Ostatecznie, jak pamiętamy, zdecydował się na wielokrotne gwałtowne powodzie z lodowcowego jeziora Missoula. W 1990 roku Hunt stanął przed tym samym dylematem – tyle że on już wykluczył jezioro Missoula – lecz okazał się nadzwyczaj kompetentnym i przewidującym innowatorem, kiedy napisał bez żadnego wstępu:

Ciepło Ziemi nie mogło stopić lądolodu, by wytworzyć wodę w wymaganych ilościach...
Odpowiednim do tego źródłem ciepła mogła być kometa²². (Podkreślenie dodane).

Hunt obliczył, że aby stopić 10 procent północnoamerykańskiego lądolodu, wystarczyłaby energia kinetyczna komety o średnicy pół kilometra.

Kometa tego typu, jaki eksplodował nad Tunguską w 1908 roku, mogła dostarczyć takiego ciepła. Wielkie jezioro, które stworzyłaby pośrodku lądolodu, szybko przebiłoby się pod pozostały lodowiec, wywołując katastroficzne powodzie w wielu kierunkach. Topnienie lodu wywołane przez komętę wydaje się niezbędne, by dostarczyć tak dużo wody w tak krótkim czasie²³. (Podkreślenie dodane).

Przewidując zarzut, że nie znaleziono żadnego krateru po takim uderzeniu, Hunt zwrócił uwagę, że katastrofa tunguska – eksplozja w powietrzu – również nie pozostawiła krateru ani warstwy materiału wyrzuconego. Co więcej, w przypadku hipotetycznego uderzenia komety w północnoamerykański lądolód:

(...) cały materiał wyrzucony i pochodzący z komety zostałby zmyty przez powódź i osiadłby, rozproszony, daleko od źródła. Tak więc pozostałości eksplodującego obiektu i

materiał wyrzucony, rozrzedzone i przemieszane z innym rumoszem, byłyby trudne do rozpoznania, o ile nie bezpowrotnie stracone dla nauki²⁴.

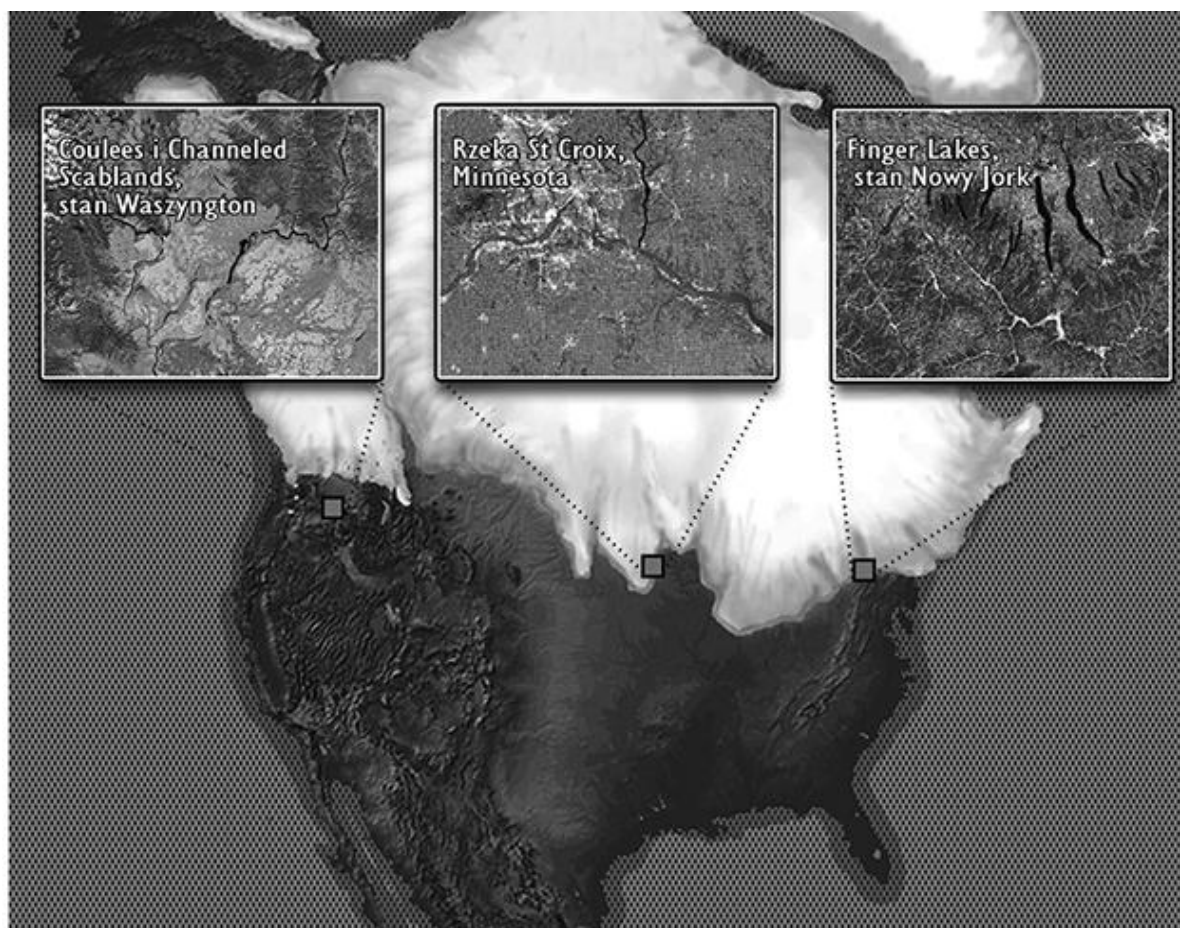
Na koniec Hunt – którego zdolność przewidywania znowu zdumiewa! – zauważył, że „gdyby w rumoszu polodowcowym zostały znalezione szklane sferule, potwierdzałyby tę teorię”²⁵.

Nie mógł wówczas – ćwierć wieku temu – wiedzieć, że począwszy od 2007 roku zespół wybitnych naukowców będzie głosił teorię uderzenia komety w północnoamerykański lądolód, wobec braku oczywistych kraterów, opierając się głównie na mikrosferulach, stopionym szkliwie i nanodiamentach.

Jak w jednej chwili wywołać globalną zmianę klimatu

Hunt sugerował, że jeden stosunkowo niewielki obiekt o średnicy pół kilometra miałby energię kinetyczną wystarczającą do spowodowania topnienia mniej więcej 10 procent lądolodu w Ameryce Północnej. Dwadzieścia pięć lat później zwolennicy teorii komety młodszego dryasu twierdzą, że w lądolód mogło uderzyć „wiele 2-kilometrowych” obiektów²⁶. Jeśli mają rację, to skala powodzi, które powstały w rezultacie uderzeń, musiała być wręcz niewyobrażalna. I nie ograniczały się one do Channeled Scablands ani Wyżyny Kolumbii. Hipoteza komety mówi o deszczu fragmentów na całym obszarze północnoamerykańskiego lądolodu, od wybrzeża Pacyfiku po wybrzeże Atlantyku, więc powinniśmy znaleźć ślady powodzi również w innych miejscach.

I znajdujemy. Na Wyżynie Kolumbii znajdują się wryte przez powódzie scablands, ale podobnie jest w leżącym znacznie dalej na wschód stanie New Jersey. Wyżyna Kolumbii słynie ze swoich pól i stoków usianych głazami narzutowymi, ale stan Nowy Jork również. Na odsłoniętych powierzchniach skały w Central Parku na Manhattanie sterczy wiele imponujących głazów narzutowych, wśród nich dolerytowy z Palisades Sill nad rzeką Hudson i łupkowy, przyniesiony z jeszcze większej odległości. Co również ciekawe, jak Wyżyna Kolumbii ma swoje kaniony (*coulees*), tak w stanie Nowy Jork są Finger Lakes. Z powodu ich wydłużonego kształtu przez długi czas uważano, że zostały wyrzeźbione przez lodowce, ale ich geomorfologia jest bardzo zbliżona do *coulees* i obecnie wielu naukowców przypuszcza, że powstały w wyniku działania wody z roztopionych lodowców pod ogromnym ciśnieniem – w procesie wiązanim na podstawie świadectw sedymentologicznych z „zapadaniem się lądolodu kontynentalnego”²⁶.



Il. 22.

Podobnie w Minnesocie, nad rzeką St. Croix, gdzie Randall Carlson i ja zakończyliśmy naszą długą podróż po Ameryce Północnej, znajduje się spektakularny zespół ponad 80 ogromnych garnców lodowcowych. Jeden z nich ma 3 metry średnicy i 18 metrów głębokości, co czyni go największym zbadanym tego typu obiektem na świecie. Inne, jeszcze nieodkopane, są jeszcze szersze, co wskazuje, że mogą być również głębsze. I wszystkie bez wyjątku zostały wyrzeźbione przez gwałtowne powodzie pod koniec epoki lodowcowej – powodzie wywodzące się, zdaniem Randalla, z najwyższego płata lądolodu laurentyjskiego.

– Możesz spędzić całe życie – powiedział mi – podróżując po tych terenach i jeszcze wszystkiego nie zobaczysz. Skutki tych megapowodzi zostały zadokumentowane na wschodnim pogórzu Gór Skalistych w Kanadzie i Stanach Zjednoczonych, na periach, w okolicy Wielkich Jezior, w Pensylwanii, zachodnim Nowym Jorku i w Nowej Anglii. We wszystkich prowincjach Kanady widoczne są gigantyczne ślady erozji wodnej. We

wszystkich regionach w obrębie ostatniego zlodowacenia lub w jego pobliżu widać skutki intensywnych powodzi o ogromnej skali.

Pozostaje jednak pytanie o źródło tych powodzi. Jak pamiętamy, gradualiści, zmuszeni mimo zacieklego oporu do przyznania, że powódź jednak wystąpiła, później wdali się w romans z lodowcowym jeziorem Missoula, przyjmując je i jego dramatyczne *jökulhlaupy* jako jedyną przyczynę zdumiewających dyluwialnych elementów ukształtowania terenu Channeled Scablands i Wyżyny Kolumbii. Nic więc dziwnego, że nawet jeśli przyznają, że w epoce lodowcowej wystąpiły inne powodzie, to przypisują je *jökulhlaupom* z jezior glacialnych.

Co więcej, to właśnie powodzie pochodzące z jezior lodowcowych – a nie coś tak wulgarnie katastroficznego jak kometę – naukowy mainstream uważa obecnie za najbardziej prawdopodobną przyczynę zimnego epizodu młodszego dryasu. Jako głównego winowajcę najczęściej wskazuje się gigantyczne jezioro glacialne Agassiz, obejmujące większą część Manitoby, północno-zachodnie Ontario, północną Minnesotę, wschodnią Dakotę Północną i Saskatchewan. Uważa się, że około 13 000 lat temu – czyli tuż przed nadejściem młodszego dryasu – jezioro Agassiz zajmowało powierzchnię 440 000 kilometrów kwadratowych, gdy lodowa tama pękła, uwalniając znaczną część zgromadzonej w nim wody, być może nawet 9500 kilometrów sześciennych, która wypłynęła przez system rzeki Mackenzie na nadbrzeżnej równinie kanadyjskiej Arktyki do Oceanu Arktycznego²⁸. Tam antycyklonalna cyrkulacja prądu zwanego Wirem Morza Beauforta stopniowo przemieściła ją w subpolarny region północnego Atlantyku w Prądzie Transarktycznym.

Stopniowe przedostawanie się wody na południe przez Cieśninę Fram jest wyjątkowym mechanizmem charakterystycznym dla Arktyki, który może zamienić krótkotrwały wyrzut wody o dużej magnitudzie w znacznie dłuższe, bardziej umiarkowane i stabilne uwalnianie wody ze stopionych lodowców do północnego Atlantyku²⁹.

Co gorsza, w tym samym czasie ogromna ilość lodowatych wód roztopowych spłynęła do północnego Atlantyku również z innych jezior glacialnych i z samego lądolodu laurentyjskiego³⁰. Jak głosi ta teoria, skumulowane efekty tych zdarzeń zakłóciły cyrkulację oceaniczną w takim stopniu, że wpłynęło to radykalnie na klimat na całym świecie.

Wielka struga zimnej słodkiej wody z topniejącego lądolodu laurentyjskiego przelała się przez powierzchnię północnego Atlantyku. Nie pozwoliła ona cieplej słonej wodzie z południowego oceanu, płynącej głęboko pod powierzchnią (Prąd Zatokowy) wypłynąć na powierzchnię. Normalna wymiana wody w oceanie została zatrzymana. W konsekwencji powietrze nad oceanem, które normalnie zostałoby ogrzane, pozostało zimne, podobnie jak – w rezultacie – powietrze nad Europą i Ameryką Północną³¹.

To techniczne szczegóły, którymi nie musimy się tutaj zbyt dokładnie zajmować. Mówiąc krótko, południkowa cyrkulacja wymienna Atlantyku, zwana też cyrkulacją termohalinową, to ogromny oceaniczny pas transmisyjny³², który nie tylko transportuje ciepłą słoną wodę równikową na powierzchnię i dalej na północ, gdzie ochładza się ona i opada przy wybrzeżach Grenlandii i Norwegii, ale również przenosi zimną głęboką wodę północnego Atlantyku na południe, w kierunku równika, gdzie miesza się ona z cieplejszą wodą, wypływa na powierzchnię i cały cykl się powtarza. [Cyrkulacja] transportuje ogromne ilości wody, ciepło, sól, węgiel, substancje odżywcze i inne wokół globu i łączy powierzchnię oceanu oraz atmosferę z ogromnym rezerwuarem morskich głębin. Jako taka ma kluczowe znaczenie dla globalnego systemu klimatycznego³³.

Naukowcy są zgodni, że to właśnie unieruchomienie tego subtelnie zrównoważonego, niezwykle skomplikowanego i pełnego zawiłych współzależności kluczowego systemu spowodowało dramatyczne globalne ochłodzenie młodszego dryasu. Zgoda panuje także co do tego, że jego zatrzymanie było skutkiem kolosalnych powodzi z jezior lodowcowych. Największą zagadką jednak, jak zauważył w swoim artykule w „Quaternary International” S.J. Fiedel, jest to, dlaczego stało się to 12 800 lat temu, a nie na przykład 800 lub 1000 lat wcześniej, w cieplej fazie – zwanej interstadią Bølling–Allerød – która bezpośrednio poprzedzała młodszy dryas³⁴. Intuicja podpowiada, że powódzie roztopowe powinny być najintensywniejsze w fazie cieplej. W rzeczywistości jednak wezbrania wód roztopowych wystąpiły dopiero na granicy między Bølling–Allerød a młodszym dryasem.

Rozwiązanie tej zagadki wydaje się oczywiste dla Richarda Firestone’a, Allena Westa, Jima Kennetta i innych zwolenników teorii kataklizmu młodszego dryasu. To proste – nie ma żadnej tajemnicy! Ich zdaniem gigantyczne powódzie z wody roztopowej, tak radykalnie zmieniające klimat na całej planecie, zostały wywołane przez wiele dużych fragmentów komety, która przedarła się przez atmosferę Ziemi, i uderzyły w lądolód – nie jeden tylko, jak sądził C. Warren Hunt, lecz osiem, a być może więcej fragmentów, z których część miała średnicę nawet 2 kilometrów³⁵.

Ogromna ilość ciepła wygenerowana przez takie uderzenia oraz łączna siła eksplozji oceniana, jak pamiętamy, na 10 000 000 megaton, zapewniła energię niezbędną, by zapoczątkować iście katastroficzne topnienie ogromnych połaci północnoamerykańskiego lądolodu. Wody gigantycznej powodzi, po przeoraniu lądu na swojej drodze, rzeczywiście wpłynęły do oceanu jako „wielka struga słodkiej wody” i wstrząsnęły systemem południkowej cyrkulacji

wymiennej, co sprawiło, że na Ziemi przez następne 1200 lat panował przejmujący chłód. Sytuację dodatkowo pogorszyło wyrzucenie w górne warstwy atmosfery ogromnych ilości pyłu i dymu, które „zablokowały światło słoneczne na długi czas”; to oczywiście jeszcze bardziej obniżyło temperatury. Poza tym:

(...) impakt, a także wielkie pożary i nagła zmiana klimatu, jakie były jego skutkiem, najprawdopodobniej łącznie przyczyniły się do nagłego wymierania megafauny i wielu innych gatunków zwierząt³⁶.

Czytelnicy zapewne pamiętają, że w czasie młodszego dryasu wymarło co najmniej 35 rodzajów północnoamerykańskich ssaków³⁷. Zatem szukamy „mechanizmu wymierania, który może zmieścić nawet 35 rodzajów fauny na całym kontynencie w jednej geologicznej chwili”³⁸. I powinniśmy brać pod uwagę nie tylko Amerykę Północną, ponieważ większość gatunków niezwykle różnorodnej megafauny, jaka rozkwitała w Ameryce Południowej przed młodszym dryasem, również wymarła 12 000 lat temu, zanim skończył się młodszy dryas³⁹.

Czy mogło to być spowodowane nadmiernymi polowaniami ludzkich myśliwych? Tym pytaniem wkraczamy na śliski grunt – a mianowicie: kiedy i skąd dotarli do Ameryk pierwsi ludzie? Niezależnie od tego, jak brzmi odpowiedź, wydaje się mało prawdopodobne, że grupy trudniących się łowiectwem i zbieractwem koczowników były na tyle skuteczne lub zdeterminowane, by doszczętnie wytepić tak wiele gatunków, wśród nich tak ogromne jak mamut kolumbijski, w tak krótkim czasie na dwóch kontynentach. Poza tym, wiele wskazuje, że dla ludzi w Amerykach nastąpiły w młodszym dryasie ciężkie czasy, co dodatkowo osłabiało ich skuteczność i motywację. Świadczenia archeologiczne z Ameryki Południowej są ograniczone, lecz w Ameryce Północnej właśnie w tym czasie nagle zniknęła kultura Clovis, z jej zaawansowaną technologią wytwarzania kamiennych narzędzi i broni. Wszystkie poszlaki wskazują na „znaczący upadek i/lub reorganizację populacji ludzkiej w pierwszych stuleciach młodszego dryasu”⁴⁰.

A więc jeszcze raz jedynym wyjaśnieniem, które pozwala zrozumieć wszystkie świadectwa, jest przedstawiona przez Firestone’a, Kennetta, Westa oraz ich kolegów i współautorów hipoteza uderzenia komety.

Biorąc pod uwagę ich odkrycia, które opisaliśmy dokładnie w poprzednich rozdziałach, sugeruję, co następuje:

- W Ameryce Północnej rzeczywiście wystąpiła katastroficzna powódź pod koniec epoki lodowcowej.

- Jej powodem nie były odwodnienia jezior lodowcowych, lecz gwałtowne, niemal natychmiastowe topnienie dużych obszarów lądolodu.

- Źródłem ciepła potrzebnego do zainicjowania topnienia była energia kinetyczna wielu fragmentów gigantycznej komety, które weszły w atmosferę ziemską nad Ameryką Północną 12 800 lat temu i zbombardowały północnoamerykański lądolód.

- Ameryka Północna była epicentrum, ale nie jedynym regionem dotkniętym przez ten kataklizm. Inne fragmenty komety, wśród nich kilka wyjątkowo dużych, uderzyły w lądolód europejski. W tym kontekście może nie być pozbawiony znaczenia fakt, że ostatnie skany sonarowe w wysokiej rozdzielczości kanału La Manche, którego dno w epoce lodowcowej znajdowało się ponad powierzchnią wody, ukazują, że nosi ślady katastroficznej powodzi, w postaci 400-kilometrowej sieci podwodnych i częściowo wypełnionych osadami dolin wyrzeźbionych w skalnym podłożu. „Dane pokazują zespół formacji terenu, które – rozpatrywane łącznie – wskazują na ich powstanie w wyniku katastroficznej powodzi”, stwierdzają autorzy studium opublikowanego w czasopiśmie „Nature”. Autorzy porównują te, obecnie podwodne, formacje terenu do „obszaru Cheney-Palouse w Channeled Scablands w stanie Waszyngton”. Autorzy stwierdzają, że „nie są w stanie określić precyzyjnie bezwzględnego datowania powodzi”. Dochodzą jednak do wniosku, że ich studium „dostarcza pierwszych bezpośrednich dowodów, że powódź o gigantycznej skali była przyczyną powstania sieci dolin w dnie kanału La Manche. Nasze obserwacje są zbieżne z erozją wywołaną przez przepływ wody o dużej magnitudzie, jak ta, której ślady można zaobserwować w Channeled Scablands”⁴¹.

- Uderzenia i eksplozje w powietrzu większych i mniejszych fragmentów komety młodszego dryasu dotknęły łącznie ponad 50 000 000 kilometrów kwadratowych powierzchni ziemi, od Ameryki Północnej, przez Atlantyk po Europę, zaś deszcz ostatnich fragmentów dotarł aż do Bliskiego Wschodu.

- Połączone skutki tych licznych uderzeń i eksplozji, a zwłaszcza potężny napływ słodkiej wody do Oceanu Arktycznego i Atlantyckiego, zapoczątkowały zimny epizod młodszego dryasu – sam w sobie kataklizm o globalnej skali, który spowodował wymarcie ogromnej liczby gatunków zwierząt i ciężko doświadczył ludzkość.

- Koszty tego kataklizmu dla ludzkości nie ograniczyły się do całkowitej zagłady kultur łowiecko-zbierackich, takich jak lud Clovis w Ameryce Północnej. Musimy brać pod uwagę, że mogła wtedy zostać starta z powierzchni Ziemi zaawansowana cywilizacja, zupełnie dziś nieznana historii.

Nadchodzi wiosna

Szczególnie uderzające jest to, że radykalne zmiany klimatu zarówno na początku, jak i na końcu młodszego dryasu miały globalną skalę i dokonały się za życia jednego ludzkiego pokolenia⁴². I znowu hipoteza uderzenia komety pozwala najlepiej to zrozumieć. Łączna siła wybuchu, oceniana – jak pamiętamy – na 10 000 000 megaton, wyniosła w atmosferę 12 800 lat temu wystarczającą ilość materiału, by na długi czas pogrążyć Ziemię w półmroku, podobnym do nuklearnej zimy – „czasie ciemności”, o którym wspomina tak wiele starożytnych mitów – i na ponad 1000 lat zredukować promieniowanie słoneczne. Dramatyczne ocieplenie, które zaczęło się 11 600 lat temu, można więc interpretować jako ostateczne rozproszenie wiszących w atmosferze chmur pyłu oraz jednoczesne zakończenie inercji, jaka dotknęła system cyrkulacji termohalinowej w północnym Atlantyku⁴³.

Inna możliwość, niekoniecznie wykluczająca się wzajemnie z opisanymi powyżej mechanizmami, jest taka, że 11 600 lat temu Ziemia ponownie weszła w kontakt ze strumieniem gruzu z tej samej komety, która 12 800 lat temu zapoczątkowała młodszy dryas. Analiza wskazuje jednak, że za drugim razem główne fragmenty uderzyły nie w ląd lub lodowiec, lecz w oceany i wyrzuciły do atmosfery ogromne pióropusze pary wodnej, wywołując efekt cieplarniany, który spowodował globalne ocieplenie, a nie ochłodzenie⁴⁴.

Słynny brytyjski astronom sir Fred Hoyle napisał:

Różnica między ciepłym a zimnym oceanem odpowiada 10 latom nasłonecznienia. Tak więc ocieplenie spowodowane przez cieplarnię z pary wodnej musiało się utrzymać przez co najmniej dekadę, aby doprowadzić do zmian w oceanie, i właśnie tak długo para wodna wyrzucona do stratosfery mogła się tam utrzymać. Potrzebna do tego ilość wody jest tak ogromna – sto milionów milionów ton – że można sobie wyobrazić tylko jedną przyczynę: uderzenie obiektu wielkości komety w jeden z oceanów⁴⁵.

Niewątpliwie potrzebne są dalsze badania, aby ustalić wszystkie szczegóły mechanizmów, w całej ich złożoności, które doprowadziły do nagłego zakończenia młodszego dryasu, ale już teraz dobrze rozumiemy ich wpływ na klimat na Ziemi. Rdzenie lodowe z Grenlandii, które są dla nas bezcennym oknem w przeszłość, mówią nam, że:

(...) w czasie zmian klimatycznych, które wyznaczyły granicę między zimnym epizodem młodszego dryasu a holocenem 11 600 lat temu, temperatury wzrosły w trakcie niecałej dekady⁴⁶. W ciągu niecałych 20 lat klimat w rejonie północnego Atlantyku stał się łagodniejszy i mniej burzowy, w konsekwencji gwałtownego cofania się lodu morskiego. Wzrost temperatury o 7 stopni trwał około 50 lat⁴⁷.

W dokładnie tym samym czasie w subalpejskim piętrze roślinności w zachodniej Europie nagle zaczęły się rozprzestrzeniać gatunki, które nigdy tam

nie występowały, wśród nich modrzew, sosna limba i brzoza⁴⁸.

W północno-zachodniej Montanie w Stanach Zjednoczonych 11 200 lat temu lodowiec w przełęczy Marias cofnął się od ujścia w górę kanionu, a lodowiec Sun River zniknął zupełnie⁴⁹.

Można przytoczyć 1000 innych przykładów, ale ze wszystkich płynie jedno i to samo przesłanie – od Tasmanii po Andy, od Turcji po Japonię, od Ameryki Północnej po Australię i od Peru po Egipt dobiegła końca zima i zaczęła się globalna wiosna. „Takie jest odrodzenie Kosmosu – mówią Teksty Hermetyczne. – To tworzenie na nowo wszystkich dobrych rzeczy, święte i zachwycające odnowienie całej natury...”⁵⁰

Odrodzenie?

Tworzenie na nowo?

Odnowienie?

Ale czego? Kto był wcześniej? Co właściwie miało się odrodzić?

Odpowiedzi na te pytania poszukamy w następnych rozdziałach.

III. MĘDRCY

7. NASTĘPNY OGIEŃ

Pod koniec ostatniej epoki lodowcowej zaszły trzy szczególne zjawiska, związane z nagłym początkiem i równie gwałtownym zakończeniem tajemniczej epoki znanej jako młodszy dryas:

- Około 12 800 lat temu, po ponad dwóch tysiącleciach nieprzerwanego globalnego ocieplenia (a przy marginesie błędu wynoszącym 150 lat jest to najprecyzyjniejsze z możliwych datowanie tego momentu) strumień lodowatej wody roztopowej wlał się do północnego Atlantyku tak nagle i w tak ogromnej ilości, że zakłócił oceaniczną cyrkulację. Źródłem tej powodzi był lądolód północnoamerykański. Ponieważ w ciągu dwóch poprzednich tysiącleci poziom mórz nieustannie się podnosił, przybliżone określenie daty nie pozwala ustalić dokładnie, jaki obszar lądu przybrzeżnego został pochłonięty przez to wydarzenie. Ponieważ jednak w grę wchodziła ogromna ilość wody, wcześniej uwieczona w lodowcach, możemy założyć, że nastąpiło dramatyczne i gwałtowne podniesienie poziomu morza¹.
- W tej samej geologicznej chwili, kiedy zostały uwolnione wody roztopowe, temperatury na całym świecie spadły i klimat zmienił się z trwającego 2000 lat łagodnego lata, które zaczęło się około 15 000 lat temu (warunki zmieniły się radykalnie – 13 000 lat temu było cieplej i bardziej wilgotno niż dzisiaj) w lodowatą globalną zimę. Przybliżenie datowania nie pozwala nam również określić dokładnie, jak długo po powodzi zaczęło się zamarzanie, ale – jak zobaczyliśmy w poprzednim rozdziale – wiele przesłanek wskazuje, że to radykalne obniżenie temperatury dokonało się za życia jednego ludzkiego pokolenia. W tym samym czasie lodowce, które wszędzie topniały i cofały się, zaczęły nieubłaganie przeć naprzód, a poziom morza przestał się podnosić.
- Około 11 600 lat temu, znowu ze 150-letnim marginesem błędu w jedną lub drugą stronę – ale także najprawdopodobniej za życia jednego pokolenia – mróz nagle się zakończył, temperatury na całym świecie wzrosły, pozostałe lodowce się zapadły, wyrzucając roztopową wodę do oceanów, które gwałtownie podniosły się do dzisiejszego poziomu.

Nasi przodkowie przeżyli te burzliwe zmiany i nie sposób sobie wyobrazić, by nie rozmawiali ze sobą o nich albo o swoich doświadczeniach. Ich

opowieści i relacje naocznych świadków musiały następnie stać się częścią ustnej tradycji przekazywanej z pokolenia na pokolenie, aż pokryła je patyna czasu. Jak czytelnicy pamiętają z rozdziału trzeciego, niektóre z „mitów” rdzennych Amerykanów wydają się opowiadać o wydarzeniach, jakie rozegrały się na koniec ostatniej epoki lodowcowej. Szczegółowo zostały opisane straszliwe powodzie pustoszące naszą planetę. Ale jeszcze bardziej interesujące są przekazy o „gwieździe z długim ogonem”, która „zeszła tutaj kiedyś, tysiące lat temu”, „spaliła wszystko” i „stworzyła inny świat”, w którym „pogoda była zimniejsza niż przedtem”.

Legendy te wydają się upamiętniać niszczycielskie skutki uderzenia komety, które obecnie możemy datować, ze zrozumiałym marginesem błędu, na 12 800 lat temu. Dowiedzieliśmy się, że Richard Firestone, Allen West, Jim Kennett i inni naukowcy uważają, że kometa rozpadła się na wiele kawałków, z których osiem – o średnicach dochodzących do 2 kilometrów – uderzyło w lądolód Ameryki Północnej, wytwarzając ogromną ilość ciepła i w jednej chwili zamieniając wielkie ilości lodu w wodę, która zakłóciła cyrkulację oceaniczną i odegrała kluczową rolę w wywołaniu mrozów młodszego dryasu. Czytelnicy pamiętają też, że inne fragmenty gigantycznej komety trafiły w lodowce pokrywające północną Europę i spadły na jeszcze odleglejsze tereny Bliskiego Wschodu. Tak więc, choć epicentrum znajdowało się w Ameryce Północnej, młodszy dryas był zjawiskiem, które wywarło wpływ na ludzi i kultury na całym świecie.

Zaskakująca jest niezwykła spójność, z jaką legendy z różnych części świata opisują nie tylko te katastroficzne wydarzenia, ale również bardzo konkretne ostrzeżenia przed nadciągającym kataklizmem wygłaszane z wyprzedzeniem przez grupę wybranych „mądrych”, „dobrych” lub „czystych” ludzi. W rozdziale trzecim przypomnieliśmy kilka przykładów takich ostrzeżeń z legend rdzennych Amerykanów, ale przemierzając oceany i kontynenty, znajdziemy podobne wzmianki o ostrzeżeniach na Bliskim Wschodzie, gdzie zadokumentowano najdalsze ślady kataklizmu. Nie znaczy to, że „pole rozsiania” pozostałości komety ograniczało się do znanych dzisiaj 50 000 000 kilometrów kwadratowych. Po prostu próbek osadów z innych części świata nie przebadano dotychczas na obecność nanodiamentów, magnetycznych i szklistych sferul, stopionego szkliwa, platyny i innych oczywistych śladów impaktu.

Przy dzisiejszym stanie badań najbardziej oddalonym od Ameryki Północnej stanowiskiem, na którym znaleziono ślady komety młodszego dryasu, jest archeologiczne wzgórze, czyli tell, w Syrii, zwane Abu Hurajra; zostało ono odkopane w 1974 roku, a krótko później, po ukończeniu tamy Taqba na

Eufracie, pochłonięte przez podnoszące się wody Jeziora Asada. Próbki osadów z wykopalisk w Abu Hurajra zostały pobrane i zabezpieczone przed zatopieniem stanowiska, i to właśnie warstwę odpowiadającą granicy młodszego dryasu w jednej z nich (pochodzącą z wykopu E, datowaną na 12 800 lat) analizowali Firestone, West i Kennett ze swoim zespołem w 2012 roku. Jak dowiedzieliśmy się w rozdziale piątym, znaleźli nanodiamenty, mnóstwo sferul powstałych w wyniku kosmicznej katastrofy i stopione szkliwo, które mogło powstać wyłącznie w temperaturach przekraczających 2200°C, co wskazuje, że stanowisko znajdowało się „w pobliżu centrum wysokoenergetycznej eksplozji w powietrzu lub uderzenia”².



Il. 23.

W Abu Hurajra nie można przeprowadzić żadnych dalszych badań archeologicznych, ponieważ stanowisko znajduje się obecnie pod wodami Jeziora Asada, ale Firestone, Kennett i West są przekonani, że skutki upadku komety „dla tej osady i jej mieszkańców były bardzo dotkliwe”³. Co istotne, stanowisko leży blisko zarówno południowo-wschodniej Turcji, gdzie znajduje

się Göbekli Tepe, jak i współczesnego Iranu – dawnej Persji – gdzie starożytne tradycje przetrwały w pismach zaratusztrianizmu, przedislamskiej perskiej religii.

„Nadejdą zgubne zimy...”

Naukowcom dotąd nie udało się ostatecznie ustalić, kiedy powstał zaratusztrianizm, ponieważ nie jest pewne nawet to, kiedy żył Zaratusztra (lepiej znany jako Zoroaster). Jak przyznaje szacowna *Encyclopaedia Iranica* publikowana przez Uniwersytet Columbii: „kontrowersje dotyczące datowania Zaratusztry od dawna stanowią poważny problem w studiach nad zaratusztrianizmem”⁴.

Greccy historycy jako jedni z pierwszych zajmowali się tym tematem. Plutarch, na przykład, mówi nam, że Zoroaster „żył 5000 lat przed wojną trojańską”⁵ (której data również nie jest pewna, lecz zwykle przyjmuje się, że miała miejsce około 1300 roku p.n.e., a więc 5000 plus 1300 daje 6300 p.n.e.). Podobną chronologię podaje Diogenes Laertios, który podaje, że Zoroaster żył „6000 lat przed grecką kampanią Kserksesa”⁶ (czyli około 6480 roku p.n.e.). Późniejsi uczeni proponowali daty tak rozbieżne, jak 1750 roku p.n.e. i „258 lat przed Aleksandrem”⁷ (czyli około 588 roku p.n.e.) Jakkolwiek było, wszyscy są zgodni co do tego, że Zaratusztra wiele zaczerpnął ze znacznie wcześniejszych tradycji i tym samym korzenie zaratusztrianizmu, podobnie jak wielu innych religii, sięgają daleko w głąb prehistorii.

W zaratusztriańskich świętych pismach znanych jako Awesta niektóre wersety uważa się za oparte na niezmiernie starych tradycjach ustnych⁸. Mówią one o pradawnej ojcowskiej postaci zwanej Jima – pierwszym człowieku, pierwszym królu i założycielu cywilizacji; znajdują się one w początkowej sekcji Awesty zwanej Wendidad. Czytamy tam, że bóg Ahura Mazda stworzył pierwszą ziemię, „Ariana Waedzah, nad dobrą rzeką Daita”⁹, jako raj na ziemi i że „dobry Jima, wielki pasterz... był pierwszym śmiertelnikiem”, z którym Ahura Mazda postanowił porozmawiać, ucząc go, jak zostać kaznodzieją¹⁰. Jima odmówił, więc bóg wyznaczył mu inne zadanie.

*Skoro nie chcesz być kaznodzieją i głosicielem mojego prawa, więc spraw, żeby mój świat rozkwitał, spraw, żeby mój świat się rozrastał; zajmij się żywieniem, rządzeniem i czuwaniem nad moim światem*¹¹.

Na to Jima się zgodził, więc bóg dał mu złoty pierścień i sztylet – długi, ostry nóż – inkrustowany złotem. Co ciekawe, jak zobaczymy w rozdziale

siedemnastym, ta historia znajduje paralele aż w południowoamerykańskich Andach. Następnie Jima:

(...) odcisnął w ziemi złoty pierścień i przebił ją sztyłem¹².

Dzięki temu aktowi, jak się dowiadujemy, „sprawił, że ziemia stała się o jedną trzecią większa niż była przedtem”, co w ciągu następnych tysięcy lat powtórzył jeszcze dwukrotnie – tym samym podwajając obszar dostępny dla „stad i trzód z ludźmi i psami, i ptakami”, którzy gromadzili się przy nim, „tak wielu, jak zechciał”¹³.

Anatomicznie współcześni ludzie istnieją, o ile nam wiadomo, od nieco ponad 200 000 lat (najstarszy uznany przez naukę anatomicznie współczesny szkielet człowieka został znaleziony w Etiopii i pochodzi sprzed 196 000 lat)¹⁴. W tych ramach czasowych zdarzył się tylko jeden okres, kiedy obszar ziemi dostępny dla ludzi dramatycznie się powiększył – było to w czasie ostatniego zlodowacenia, między 100 000 a 11 600 lat temu. W czasie ostatniego glacialnego maksimum 21 000 lat temu obniżający się poziom mórz odsłonił zatopione wcześniej lądy o łącznej powierzchni 27 000 000 kilometrów kwadratowych – co odpowiada obszarowi Europy i Chin razem wziętych. Wprawdzie posunęlibyśmy się za daleko, sugerując, że właśnie do tego powiększenia użytecznego obszaru – którego większa część znajdowała się jeszcze ponad poziomem morza na początku młodszego dryasu 12 800 lat temu – nawiązuje opowieść o Jimie, albo że ma z tym cokolwiek wspólnego złoty wiek, jaki za jego panowania trwał w Ariana Waedzah¹⁵, ale warto zwrócić uwagę na to, co wydarzyło się potem.

Czytamy, że po kolejnym ogromnie długim czasie Jima został wezwany „na miejsce spotkania nad dobrą rzeką Daita”, gdzie ukazał mu się bóg Ahura Mazda, przynosząc złowieszcze ostrzeżenie przed nagłą i katastroficzną zmianą klimatu:

O sprawiedliwy Jimo, na materialny świat nadejdą zgubne zimy, przyniosą straszny, przesywający mróz; na materialny świat nadejdą ciężkie zimy, które sprawią, że będą gęsto padać płatki śniegu, nawet na najwyższych szczytach gór...

Dlatego przygotuj sobie War [podziemne schronienie], długi jak teren jeździecki z każdej strony kwadratu, a w nim umieść nasienie owiec i wołów, ludzi, psów, ptaków i czerwonego palącego ognia... Tam przynieś nasienie mężczyzn i kobiet z największych, najlepszych i najpiękniejszych rodzajów na tej ziemi; tam przyniesiesz nasienie wszelkiego rodzaju owoców, najpełniejszych pożywienia i o najśłodszym zapachu. Wszystkie te nasiona przyniesiesz, po dwa z każdego rodzaju, aby pozostawały tam niewyczerpane, dopóki ludzie będą przebywać w Warze. Nie będzie tam nikogo garbatego ani wybrzuszonoego; żadnego impotentu ani szaleńca... żadnego trędowatego¹⁶.

Już rozumiecie? Ta podziemna kryjówka miała posłużyć jako schronienie przed straszliwą zimą, jaka miała wkrótce opanować Ariana Waedzah – zimą,

na początku której, jak nas informuje Bundahiszn, inny zaratusztriański tekst:

(...) zły duch... skoczył niczym wąż z nieba na ziemię... Spadł w południe i niebo było wstrząśnięte i przerażone z jego powodu jak owca przed wilkiem. Wpadł do wody, która była umieszczona poniżej ziemi, a potem przebił i dostał się do środka tej ziemi... Rzucił się na całe stworzenie i sprawił, że świat był tak zraniony i tak ciemny w południe, jakby była ciemna noc¹⁷.

Studiując te relacje, nie mogłem nie pomyśleć o dwóch tysiącletnich ciepłej, pięknej pogody przed nagłym nadejściem zabójczego młodszego dryasu 12 800 lat temu, które rzeczywiście musiały się wydawać złotym wiekiem. Zaratusztriańskie teksty nie bez powodu opisywały „straszny, przeszywający mróz” i „zgubną zimę”. „Złym duchem”, któremu przypisano to nieszczęście, jest Angra Mainju, bóg ciemności, zniszczenia, niegodziwości i chaosu. Przeciwstawia się on i stara zniszczyć wszystkie dobre dzieła Ahura Mazdy – gdyż zaratusztrianizm jest głęboko dualistyczną religią, w której istoty ludzkie i dobre lub złe decyzje, jakie podejmujemy, są uważane za pole wiecznej rywalizacji lub walki między przeciwstawnymi siłami światła i ciemności.

I w starciu tym ciemność czasami zwycięża. Dlatego Wendidad przypomina nam, że choć Ariana Waedzah było „pierwszym z dobrych ziem i krajów” stworzonych przez Ahura Mazdę, nie mogło oprzeć się złu.

Wtedy przyszedł Angra Mainju, który jest samą śmiercią i swoimi czarami przeciw-stworzył węża w rzece i zimę, dzieło demonów... [Teraz] jest dziesięć miesięcy zimy, dwa miesiące lata i są one zimne dla wody, zimne dla ziemi, zimne dla drzew. Zima nadchodzi, wraz ze swoimi najgorszymi plagami¹⁸.

Inne tłumaczenia zamiast frazy „węża w rzece i zimę” podają „wielkiego węża i Zimę” lub „potężnego węża i śnieg”¹⁹.

I znowu... rozumiecie? Raz po raz powtarza się metafora wielkiego węża, który zeskakuje na ziemię, przebija ziemię i sprowadza na świat zimę tak surową, że w południe jest „ciemno” (w innych tłumaczeniach²⁰ „mgliście, nieprzejrzyste”) i nawet krótkie miesiące lata są zbyt zimne dla człowieka. Znowu cały ten scenariusz wydaje się opisywać straszne warunki, jakie zapanowały na świecie po tym, jak kometa młodszego dryasu rozsiała swoją smugę zniszczenia na co najmniej 50 000 000 kilometrów kwadratowych, przynosząc „ostry, niszczycielski mróz” i wyrzucając do stratosfery takie ilości pyłu wraz z dymem z wywołanych przez eksplozje pożarów, które ogarnęły całe kontynenty, że niebo rzeczywiście wypełniła mroczna, mglista ciemność, odbijająca promienie słoneczne. Na całe stulecia zapanowało coś bardzo przypominającego zimę nuklearną.

Zaratusztriańskie teksty nie pozostawiają wątpliwości, że takie warunki stanowiły śmiertelne zagrożenie dla przetrwania cywilizacji. Właśnie dlatego

Ahura Mazda przyszedł do Jima ze swoim ostrzeżeniem i poleceniem zbudowania podziemnego schronienia, w którym ocalałe resztki ludzkości mogły przetrwać wraz z nasieniem wszystkich zwierząt i roślin, dopóki zima nie minęła i na świat nie powróciła wiosna. Ponadto, ta relacja zawiera niewiele elementów, które można by uznać za „mityczne” lub wywodzące się z porywów religijnej fantazji. Przeciwnie – jest utrzymana w duchu rzeczowego, praktycznego planowania, co dodaje jej – przygotowującej o dreszcz – wiarygodności.

Na przykład wzmianka o tym, że zdeformowani, impotenci, szaleńcy i trędowaci ludzie nie znajdują się w Warze, kojarzy się nieco z eugeniką, która niewątpliwie zasługuje na potępienie, lecz mogła zostać zastosowana, jeśli w grę wchodziło przetrwanie rodzaju ludzkiego, a miejsce w schronieniu było ograniczone. Z tego samego powodu nie zaskakuje nas to, że jedynie nasiona „największych, najlepszych i najpiękniejszych” gatunków drzew, owoców i roślin, takich, które są „najpełniejsze pożywienia i o najsłodszy zapachu” miały zostać złożone w Warze. Po co marnować miejsce na coś, co nie jest najlepsze?

Poza tym, choć niewątpliwie w Warze miała się znaleźć pewna liczba starannie wybranych ludzi, zapewne jako strażnicy i wykonawcy tego projektu, a także przyszli reproduktorzy, teksty nieustannie podkreślają, że zabezpieczone ma zostać nasienie – czyli w przypadku istot ludzkich sperma mężczyzn i komórki jajowe kobiet. Kiedy więc czytamy, że War miał mieć trzy podziemne poziomy, każdy mniejszy od poprzedniego, każdy ze swoim systemem krzyżujących się „ulic”, możemy się zastanawiać, czy nie chodzi tu o jakiś system magazynowy, być może rzędy regałów ustawionych wzdłuż krzyżujących się alejek.

W największej części zrobisz dziewięć ulic, sześć w środkowej części, trzy w najmniejszej. Na ulice największej części sprowadzisz 1000 nasion mężczyzn i kobiet; na ulice środkowej części 600; na ulice najmniejszej – 300²¹.

Jeśli wydaje nam się zbyt daleko posunięte skojarzenie z niemal techniczną specyfikacją banku nasienia, to co zrobić z innymi „technologicznymi” aspektami Waru – na przykład systemem oświetleniowym? Oprócz drzwi do schronienia, które miał zapieczętować złotym pierścieniem podarowanym mu wcześniej przez Ahura Mazdę, Jima otrzymał też polecenie wykonania „okna, samojaśniejącego wewnątrz”²². Kiedy Jima poprosił o objaśnienie natury tego „samojaśniejącego” okna, Ahura Mazda odpowiada mu enigmatycznie, że „są światła niestworzone i światła stworzone”. Te pierwsze to gwiazdy, słońce i

księżyc, które nie będą widoczne z wnętrza Waru w czasie długiej zimy, lecz drugie to „sztuczne światła”, które „jaśnieją od dołu”²³.

Jima postępował zgodnie z instrukcją i ukończył War, który „jaśniał swoim własnym światłem”²⁴. Kiedy skończył:

*(...) sprawił, że woda popłynęła korytem długim na milę; tam umieścił ptaki, nad wiecznie zielonymi brzegami, które przynoszą niezawodne pożywienie. Tam założył siedliska, składające się z domu z balkonem, dziedzińcem i galerią...*²⁵

Tam też, zgodnie z poleceniami, które otrzymał od boga:

*(...) przyniósł nasienie mężczyzn i kobiet... Tam przyniósł nasienie każdego rodzaju drzewa [i]... każdego rodzaju owocu. Wszystkie te nasiona przyniósł, po dwa z każdego rodzaju, aby pozostawały tam niewyczerpane, dopóki ci ludzie będą przebywać w Warze...*²⁶

Na koniec czytamy, że:

*(...) co 40 lat każdej parze dwoje dzieci się rodzi, męskie i żeńskie. I tak samo jest z każdym rodzajem bydła. I ludzie w Warze, który uczynił Jima, żyją najszczęśliwszym życiem*²⁶.

Co ciekawe, tłumacz wyjaśnia w przypisie, powołując się na różne uczone starożytne komentarze do tego tekstu, że ludzcy mieszkańcy Waru „żyli tam przez 150 lat; niektórzy mówią, że nigdy nie umarli”²⁸. Poza tym – co szczególnie intrygujące – potomstwo każdej pary nie pochodziło ze zbliżenia seksualnego, lecz „z nasion złożonych w Warze”²⁹.

Spośród innych poszlak wskazujących na zaginioną technologię, jaką dysponował Jima, można wspomnieć tajemniczy kubek, w którym mógł on widzieć wszystko, co działo się gdziekolwiek na świecie, i wysadzany klejnotami szklany tron (czasami opisywany jako „szklany rydwan”), który mógł latać³⁰.

Powódź i deszcz

Wiemy, że młodszy dryas obejmował nie tylko kataklizm klimatyczny w postaci błyskawicznego powrotu najcięższych mrozów epoki lodowcowej, ale także gigantyczną powódź w wyniku stopnienia i włania się do oceanu znacznej części lodowców pokrywających Amerykę Północną. W tym kontekście warte uwagi jest to, że zaratusztriańskie teksty mówią nie tylko o „ostrym, niszczycielskim mrozie”, ale także o powodzi, której towarzyszyły ulewne opady.

*Każda kropla deszczu spadała wielka jak miska i woda na całej tej ziemi stała na wysokość człowieka*³¹.

Po przeciwległej stronie świata, znacznie bliżej północnoamerykańskiego epicentrum kataklizmu, księga *Popol Vuh*, starożytny dokument Majów Kicze z Gwatemali oparty na prekolumbijskich źródłach, również opisuje potop, kojarząc go z „gradem, czarnym deszczem i mgłą, i nieopisanym zimnem”³². Mówi, zaskakująco podobnie do tradycji zaratusztriańskiej, że był to czas, kiedy „były chmury i mrok nad całym światem... Twarze słońca i księżyca były zasłonięte”³³. Inne majańskie źródła potwierdzają, że ludzkość doświadczyła tych dziwnych i strasznych zjawisk „w czasach starożytnych. Ziemia pociemniała... Zdarzyło się, że słońce było jeszcze wciąż jasne i czyste. I nagle, w południe, pociemniało...”³⁴ Światło słoneczne nie było odtąd widziane „aż do 26 roku po powodzi”³⁵.

Wracając na Bliski Wschód, warto przyjrzeć się dokładniej słynnej historii Noego i wielkiej arki, w której ocalał on przed potopem. Zawiera ona liczne, oczywiste zbieżności z historią Jimy i jego Waru. War stanowi przecież sposób na przetrwanie straszliwej, niszczycielskiej zimy, która zabijała wszystkie żywe stworzenia, więząc ziemię w mroźnej pułapce lodu i śniegu. Podobnie arka pozwoliła na przetrwanie straszliwego i niszczycielskiego potopu, który zabijał wszelkie żywe stworzenia, topiąc świat w wodzie. W obu przypadkach interweniuje bóstwo – Ahura Mazda w tradycji zaratusztriańskiej, a Jahwe w hebrajskiej – ostrzegając dobrego i czystego człowieka przed zbliżającym się kataklizmem. W obu przypadkach projekt przewiduje ocalenie nasion lub reproduktorów wszelkiego życia.

*Z wszelkich istot żyjących, z wszelkiego ciała wprowadzisz do arki po parze z każdego, aby z tobą zostały przy życiu. Niech to będzie samiec i samica. Z ptactwa według rodzajów jego i z bydła według rodzajów jego, i z wszelkiego płazu ziemnego według rodzajów jego, po parze z każdego z nich wejdą do ciebie, aby zostały przy życiu*³⁶.

Łatwy do przeoczenia, ale istotny jest fakt, że arka, podobnie jak War Jimy, miała mieć „okno” zamknięte „drzwiami” i miała się składać z trzech poziomów:

*Zrobisz w arce okno i zakończysz je na łokieć od góry. Z boku arki umieścisz drzwi. Uczynisz w niej dolne, wyższe i najwyższe komory*³⁷.

Na koniec wreszcie opis arki Noego zawiera nawiązania do zaginionej technologii oświetleniowej, kojarzące się ze „sztucznymi światłami” w Warze. W *Legends of the Jews* [Legendach Żydów] Louisa Ginzberga, obszernej i wyczerpującej kompilacji starożytnych legend i opowieści związanych z hebrajską Biblią, czytamy, że cała podróż arki „w roku potopu” odbywała się w ciemnościach, zarówno dniem, jak i nocą.

*Przez cały jej czas słońce i księżyc nie dawały światła...*³⁸

Jednak podobnie jak War miał „samojaśniejące okno”,

*Arka była oświetlana przez drogocenny kamień, którego światło było jaśniejsze nocą niż w dzień, co pozwalało Noemu odróżnić dzień od nocy*³⁹.

Podziemne miasta

Arka Noego, jak powszechnie wiadomo, zakończyła swoją podróż na zboczach góry Ararat, która była symbolicznym sercem starożytnej Armenii, lecz dzisiaj, w wyniku wojen trwających na początku XX wieku, znajduje się w Turcji. Turcja natomiast graniczy z Iranem – starożytną Persją – skąd pochodzi relacja o Warze Jimy.

Tym bardziej jest więc intrygujące, że w tureckiej Kapadocji znajduje się wiele starożytnych podziemnych struktur wykutych w litej skale i zwykle, podobnie jak War, składających się z umieszczonych jeden nad drugim poziomów. Jednym z tych podziemnych „miast”, jak są nazywane, jest niesamowite, spektakularne Derinkuyu, które miałem okazję odwiedzić w 2013 roku. Znajduje się pod współczesnym miasteczkiem o tej samej nazwie i obejmuje osiem poziomów otwartych dla zwiedzających oraz niższe, które pozostają niedostępne, a także zdumiewający podziemny tunel, który łączy je z odległym o kilka kilometrów podobnym hypogeum w Kaymakli.



Il. 24.

Wchodząc do Derinkuyu, czułem się, jakbym przekraczał niewidzialną barierę zamykającą zaskakujący podziemny świat. W jednej chwili stałem w pełnym blasku dnia; w następnej znalazłem się w chłodnym, wilgotnym, słabo oświetlonym systemie tuneli i galerii (dzisiaj nie ma tam żadnych samojaśniających okien; tylko niskowatowe światło elektryczne). Miałem wrażenie, jakbym przeniósł się do królestwa wykutego przez mitycznych krasnoludów u samego zarania dziejów. Miejscami tunele są tak niskie i wąskie, że trzeba się przygarbić i iść gęsiego między ścianami poczerniałymi od starożytnego dymu, tu i ówdzie porośniętymi zieloną pleśnią. W regularnych odstępach mijałem umieszczone w głębokich niszach potężne megalityczne drzwi, przypominające kształtem młyńskie kamienie o średnicy 1,5 do 1,8 metra i wadze dochodzącej do pół tony. Zostały zaprojektowane tak, by dało się je przetoczyć i zablokować wejście. Schody i strome rampy prowadzą z poziomu na poziom i choć wszystkie poziomy są ze sobą połączone, kamienne drzwi pozwalały odizolować je w razie potrzeby.

Zwróciłem uwagę na niezwykle system pionowych szybów wentylacyjnych łączących najgłębsze poziomy z powierzchnią – tak skuteczny, że powiewy świeżego powietrza były wyczuwalne nawet 80 metrów pod ziemią i głębiej. W niektórych miejscach korytarz, którym szedłem, kończył się skrzyżowaniem, z którego tunele odchodziły w kilku kierunkach, a kolejne schody prowadziły na jeszcze niższe poziomy. Co kawałek, raz po jednej, raz po drugiej stronie korytarza, czasami przez dziurę w ścianie, czasami przez normalne drzwi, wchodziło się do niewielkich, niskich grot, które z trudem mogłyby pomieścić kilka osób. Czasami jednak takie drzwi prowadziły do systemów połączonych ze sobą komór i korytarzy, a czasami otwierały się na wysokie hale i przestronne pomieszczenia o kolebkowych sklepieniach, wspartych na monolitycznych kolumnach wykutych w litej skale.

Mówiąc krótko, całe to miejsce jest skomplikowanym i przemysłowym labiryntem o ogromnej skali – zdumiewającym dziełem architektury, które byłoby imponujące, gdyby znajdowało się na powierzchni, ale zapiera dech w piersiach, kiedy pomyślimy, że wszystko to trzeba było wykuć, wyciąć i wyrzeźbić w wulkanicznej skale. Później, kiedy studiowałem jego plan, uświadomiłem sobie, że to ogromne hypogeum, w przekroju wyglądające jak gigantyczna królicza nora i rozciągające się na obszarze ponad 4 kilometrów kwadratowych⁴⁰, leży pod stopami każdego, kto spaceruje po współczesnym Derinkuyu – ulice pod ulicami, domy pod domami, sekretne miasto-antypody, którego wieku ani przeznaczenia nie znamy, lecz które niewątpliwie jest dziełem ogromnej pomysłowości, determinacji i umiejętności.

A Derinkuyu to tylko jeden z 200 takich podziemnych kompleksów, z których każdy składa się z co najmniej dwóch poziomów (a 40 ma trzy poziomy lub więcej), jakie zidentyfikowano w Turcji na obszarze między Kayseri a Nevşehir⁴¹. Co więcej, nieustannie odkrywano nowe. Samo Derinkuyu zostało odkryte w 1963 roku, kiedy budowlanci remontujący piwnicę współczesnego domu przebili się do starożytnego korytarza poniżej. A w 2014 roku robotnicy przygotowujący teren pod nowe osiedle w Nevşehir, godzinę jazdy samochodem na północ od Derinkuyu, natknęli się na kolejne nieoczekiwane hypogeum. Wezwano archeologów, którzy szybko zorientowali się, że jest ono większe od wszystkich dotychczas znanych. Jak to ujął Hasan Unver, burmistrz Nevşehir, Derinkuyu i Kaymakli są zaledwie „kuchniami” w porównaniu z nowo odkrytym kompleksem. „To nie jest żadne znane podziemne miasto – dodaje Mehmet Ergun Turan, szef tureckiej administracji budowlanej. – Mówi się o tunelach długich na 7 kilometrów. Oczywiście kiedy dokonano odkrycia, wstrzymaliśmy budowę zaplanowaną w tym miejscu”⁴².

Kilku badaczy natychmiast zaczęło spekulacje, że nowo odkryte stanowisko może liczyć nawet 5000 lat⁴³, ale takie datowanie nie ma żadnych podstaw – ani jakiegokolwiek inne. Jedyne, czego możemy być pewni, to to, że pierwsza znana wzmianka o podziemnych miastach Turcji znajduje się w *Anabazie* greckiego historyka Ksenofonta, spisanej w IV wieku p.n.e.⁴⁴ – a więc powstały one niewątpliwie wcześniej.

Pytanie tylko – o ile wcześniej?

Jak czytelnicy zapewne pamiętają z rozdziału pierwszego, nie istnieje obiektywny sposób datowania struktur wykonanych całkowicie z kamienia. Dlatego archeolodzy szukają materiałów organicznych, które można datować metodą radiowęglową. Jednak aby były użyteczne, takie materiały organiczne muszą zostać wydobyte z miejsc – na przykład spod megalitu, który nie był nigdy przemieszczony, albo z zaprawy w spoinie między dwoma blokami – które dają podstawy do wyciągnięcia wniosków na temat daty umieszczenia związanych z nimi elementów architektonicznych.

Właśnie dlatego tajemnicza decyzja budowniczych Göbekli Tepe, którzy postanowili zakopać megalityczne okręgi, tak bardzo pomogła archeologom. Raz zasypane, pozostały zakopane i tym samym wszelki materiał organiczny w zasypie może wskazywać na jego datowanie. Natomiast na wielu innych stanowiskach trzeba się liczyć z możliwością, że późniejszy materiał organiczny wskaże fałszywą datę, zaś dla innych – doskonałym przykładem są podziemne miasta Turcji – nie da się uzyskać wiarygodnego datowania. Jest tak, ponieważ były one na przestrzeni tysiącleci używane wielokrotnie i

przekształcane przez wiele różnych ludów, a materiał organiczny trafiał do nich przy każdej możliwej okazji, co nie pozwala na wyciągnięcie jakichkolwiek wniosków na temat daty powstania oryginalnych struktur.

Wśród archeologów panuje opinia, że te podziemne struktury zostały wykute w VII lub VIII wieku p.n.e. przez lud zwany Frygami, który zamieszkiwał wówczas Kapadocję. Teoria głosi, że Frygowie po prostu poszerzyli i pogłębili naturalne jaskinie i tunele istniejące już wcześniej w wulkanicznej skale, a powstałe w ten sposób pomieszczenia wykorzystywali jako magazyny i schronienia w razie zagrożenia najazdem.

W czasach rzymskich, kiedy Frygowie od dawna należeli już do przeszłości, mieszkańcami tego obszaru byli mówiący po grecku chrześcijanie, którzy dalej poszerzali i pogłębiali podziemne jaskinie, zamieniając niektóre z nich w kościoły i pozostawiając po sobie greckie inskrypcje, z których wiele przetrwało do naszych czasów. W epoce bizantyńskiej, od VIII do XII wieku n.e., Wschodnie Cesarstwo Rzymskie toczyło wojny z nowo nawróconymi na islam Arabami, a podziemne pomieszczenia znowu stały się miejscem ucieczki – funkcję tę pełniły nadal w czasie mongolskich najazdów w XIV wieku. Jeszcze później greccy chrześcijanie chronili się w nich przed prześladowaniami ze strony muzułmańskich władców Turcji. Ta praktyka przetrwała aż do XX wieku, kiedy podziemne kompleksy przestały być potrzebne po zawarciu pokoju i wymianie ludności między Grecją i Turcją w 1923 roku⁴⁵.

Przy tak burzliwej historii nietrudno zrozumieć, dlaczego podziemnych miast nie można datować, używając obiektywnych metod archeologicznych. Poza tym ogromny wysiłek, jaki włożono w wykucie w litej skale pomieszczeń i przemyślnych systemów wentylacyjnych, wskazuje raczej na długoterminowe planowanie, nie zaś na osiągnięcie doraźnego celu znalezienia schronienia przed najeźdźcami. Pamiętając o tym, rozważmy scenariusz, w którym Frygowie – wybrani przez archeologów bez żadnych solidnych podstaw na pierwszych twórców podziemnych miast – byli tylko jednymi z wielu późniejszych użytkowników. Jest całkowicie możliwe, że tak właśnie było, a skoro tak, to równie możliwe, że te nadzwyczajne podziemne struktury są znacznie starsze od Frygów – być może nawet pochodzą z czasów „zgubnych zim” młodszego dryasu, czyli sprzed około 12 800 lat.

Oczywiście nie ma na to żadnego dowodu. Niemniej, turecki historyk i archeolog Omer Demir, autor książki *Cappadocia: Cradle of History* [Kapadocja: kolebka historii], jest zdania, że Derinkuyu w rzeczywistości pochodzi z paleolitu⁴⁶. Jego argumentacja opiera się po części na przekonaniu,

że kompleks istniał już w czasach Frygów⁴⁷, po części na stylistycznych różnicach między górnymi (starszymi) a dolnymi (młodszyimi) poziomami⁴⁸, po części zaś na fakcie, że ślady narzędzi użytych do kucia skały są zupełnie zatarte na wyższych poziomach, lecz dobrze widoczne na niższych.

Musi upłynąć bardzo długi czas, żeby zniknęły ślady dłuta. To oznacza, że jest znaczna różnica czasu między powstaniem pierwszych i ostatnich pięter⁴⁹.

Demir sugeruje też, że ogromne ilości skały usunięte przy wykuwaniu podziemnego miasta – po których nie ma śladu nigdzie w okolicy – zostały wrzucone do miejscowych rzek, które uniosły cały materiał dalej⁵⁰. W jednej z takich rzek, Sognali, odległej o 26 kilometrów od Derinkuyu, znaleziono kamienne siekiery, odłupki kamienia i inne paleolityczne artefakty⁵¹.

Dowody są w najlepszym razie niejednoznaczne. Nie postawiłbym na nie mojego życia ani reputacji! Niemniej jednak przypuszczenie, że Derinkuyu oraz inne podziemne miasta powstały w górnym paleolicie, 12 800 lat temu, u zarania młodszeo dryasu, ma tę ogromną zaletę, że nie pozostawia wątpliwości co do celu podjęcia tak ogromnego wysiłku. Cel ten poznajemy z opowieści o Jimie. Mówiąc najkrócej, podziemne miasta są Warami, wykutymi bardzo głęboko pod ziemią schronieniami przed grozą młodszeo dryasu, która nie ograniczała się do „ostrego, niszczycielskiego mrozu”, lecz obejmowała – jak wskazują sferule i stopione szkliwo znajdowane w warstwach osadów na niedalekim stanowisku Abu Hurajra – również straszliwe bombardowanie z nieba.

Niczym wąż z nieba

Jest niemal pewne, że jeśli droga naszej planety rzeczywiście przecięła się 12 800 lat temu z trajektorią gigantycznej komety, jak twierdzą Firestone, Kennett i West, to takie bombardowanie nie ograniczałoby się do dużych fragmentów, które spadły w czasie pierwszego kataklizmu. Strumień gruzu z komety pozostał na orbicie kolizyjnej z Ziemią, co najprawdopodobniej doprowadziło do trwającego dziesiątki, a może setki lat bombardowania – nie tak samo intensywnego jak pierwsze, lecz i tak siejącego zniszczenie i wzbudzającego lęk przed potężnym „wężem” czającym się na niebie, co stanowiłoby wystarczający powód, by zbudować bezpieczne podziemne schronienia.

Jak zobaczymy, Ziemia może nadal przecinać strumień gruzu z gigantycznej komety młodszeo dryasu i duże, śmiertelnie niebezpieczne obiekty,

czarniejsze od węgla i niewidoczne dla naszych teleskopów mogą do dzisiaj krążyć po orbicie. Znowu przypomina mi się prorocstwo Odżibwejów cytowane w rozdziale trzecim:

Gwiazda z długim, szerokim ogonem zniszczy świat pewnego dnia, kiedy znowu się zbliży. To kometa zwana Niebiańską Wznoszącą się Gwiazdą o Długim Ogonie.

ŠCzy kometa młodszego dryasu wróci? Czy to możliwe, że jeszcze nie straciła całej swej wściekłości i niszczycielskiej siły wraz z fragmentami, które uderzyły w ziemię i przyniosły zabójczą, niszczycielską zimę młodszego dryasu 12 800 lat temu?

Co ciekawe, starożytne irańskie legendy również zawierają przepowiednię – mówią, że Jima wróci i będzie znów chodził wśród ludzi, kiedy:

(...) pojawią się znaki zapowiadające kres dni. Spośród nich najgorszym będzie zima straszniejsza od wszystkiego, co widział świat; deszcz i śnieg i grad będą padać przez trzy długie lata⁵².

Ogniste przybycie kolejnych fragmentów komety może spowodować taką zimę, podobnie jak zdarzyło się 12 800 lat temu. I jak wówczas, przyczyną będzie po części to, że pył oraz dym z pożarów i eksplozji przesłonią niebo. Do tych spraw wrócimy jeszcze w rozdziale dziewiętnastym. Najpierw jednak musimy rozważyć historię Noego, hebrajskiego odpowiednika Jimy, którego wody potopu zanosły na zbocza góry Ararat, zaledwie kilka dni drogi pieszo od Göbekli Tepe. Historia Noego także zawiera prorocstwo, które zostało przytoczone w Nowym Testamencie, w *Drugim Liście świętego Piotra* 3: 3-7.

Przez co świat ówczesny, zalany wodą, zginął. Ale terazniejsze niebo i ziemia mocą tego samego Słowa zachowane są dla ognia i utrzymane na dzień sądu i zagłady bezbożnych ludzi.

Albo jak głosi stara piosenka:

Bóg dał Noemu znak tęczy: następnym razem już nie woda, lecz ogień.

8. PRZEDPOTOPOWI

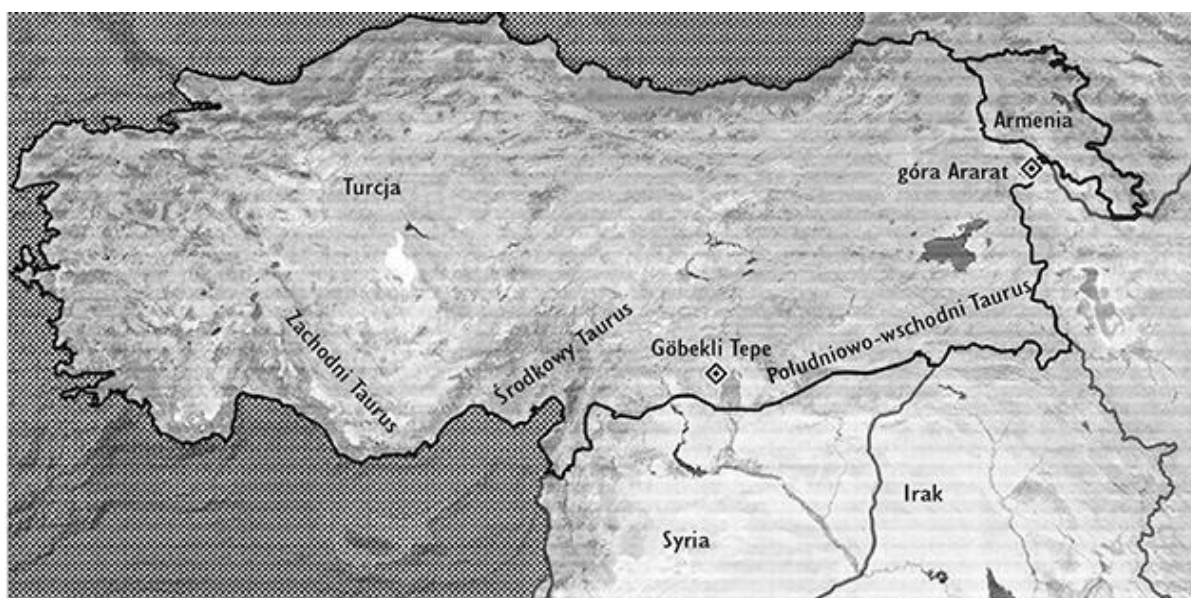
Biblijna historia potopu jest zbyt dobrze znana, by trzeba ją było tutaj przytaczać w całości. Najważniejsze jej elementy można podsumować następująco:

- Globalny, niszczycielski potop zesłany przez Boga, aby ukarać ludzkość za grzechy¹.
- Człowiek (Noe) wybrany przez Boga i z wyprzedzeniem ostrzeżony przed nadchodzącym kataklizmem, aby zdążył zbudować statek ratunkowy (arkę)².
- Przechowanie w arce nasion lub par reproduktorów wszelkich form życia, ze szczególnym naciskiem na rodzaj ludzki (Noe i jego żona oraz ich synowie z żonami) i zwierzęta („z ptactwa według rodzajów jego”, jak pamiętamy z poprzedniego rozdziału, „i z bydła według rodzajów jego, i z wszelkiego płazu ziemnego według rodzajów jego, po parze z każdego z nich wejdą do ciebie, aby zostały przy życiu”)³.
- Arka unosi się bezpiecznie, dopóki woda nie opadła⁴.
- Arka osiada „na górach Ararat”⁵.
- Kiedy „ziemia całkowicie wyschła”, Bóg poleca Noemu opuścić arkę i zabrać „z sobą wszystkie zwierzęta, które są z tobą, wszelkie istoty żywe, ptactwo i bydło, i wszelkie płazy pełzające po ziemi! Niech zaroją się na ziemi, niech rozradzają się i rozmnażają na ziemi!”⁶
- Noe buduje ołtarz i składa na nim w ofierze niektóre ze zwierząt i ptaków, które dopiero co ocalił przed potopem. Woń palonych ofiar była miła dla Boga⁷.
- Ocaleni ludzie i zwierzęta idą, rozmnażają się i „napęłniają ziemię”, jak im polecono⁸.

Góra Ararat wznosi się na wysokość 5137 metrów, a geolodzy zapewniają nas, opierając się na doskonałych badaniach naukowych, że żadnej jej części nie pokrywały wody oceaniczne, odkąd zaczęła się kształtować pod koniec wczesnego miocenu, około 16 milionów lat temu. Obecności na świecie współczesnych anatomicznie ludzi nie stwierdzono dotąd wcześniej, jak pamiętamy z poprzedniego rozdziału, niż 200 000 lat temu, a nawet najstarszy wspólny przodek, jakiego mamy z szympansem – stworzenie, które trudno uznać za ludzkie pod jakimkolwiek względem – żył zaledwie 6 000 000 lat temu, więc żadna łódź z ludźmi na pokładzie po prostu nie mogła osiąść na zboczach Araratu.

Niemniej jednak to intrygujące, że opowieść o Potopie zawarta w Starym Testamencie wspomina bardzo konkretnie i precyzyjnie o „górach Ararat” (góra ma rzeczywiście dwa szczyty), które w czasach biblijnych uważano za

część „królestwa Ararat”⁹, historycznego kraju Urartu, podbitego przez asyryjskiego króla Salmanasara pod koniec II tysiąclecia p.n.e.¹⁰ Ponieważ badania archeologiczne w tym regionie były prowadzone w bardzo ograniczonym zakresie, historycy przyznają, że „początki Urartu pozostają niejasne”¹¹, ale najwcześniejsze znane osady i początki rolnictwa sięgają „około 10 000 do 9000 p.n.e.”¹² – czyli mniej więcej tych samych czasów, w których funkcjonowało Göbekli Tepe.



Il. 25.

Co więcej, cały ten obszar, łącznie z górą Ararat i Göbekli Tepe tworzył serce historycznej Armenii, będącej bezpośrednim potomkiem biblijnego królestwa Ararat, której mieszkańcy uważali się – i uważają do dzisiaj – za „lud Araratu”¹³. Spisana w V wieku n.e. przez Mojżesza Choreńskiego monumentalna *Historia Armenii* jako protoplastę narodu wymienia patriarchę Haika, który był podobno prapraprawnikiem samego Noego, tym samym blisko spokrewnionym z ocalałymi z Potopu, którzy wyszli z arki¹⁴. Właśnie z powodu Haika jeszcze w XXI wieku Ormianie sami nazywają się Hajami, a swój kraj Hajastanem¹⁵. Uważają oni za historyczną tragedię to, że tak wielka część ich ziemi, łącznie z Göbekli Tepe i górą Ararat, należy dziś do Republiki Tureckiej, po ludobójstwie Ormian w latach 1915-23, kiedy siły tureckie wymordowały ponad 1 000 000 etnicznych Ormian¹⁶.

Nastroje nacjonalistyczne są wciąż silne w społecznościach ormiańskiej diaspory na całym świecie i w małym skrawku historycznej Armenii, jaki tworzy dzisiejszą Republikę Armenii. Napięcia te dotknęły także Göbekli Tepe i wielu Ormian jest dzisiaj oburzonych tym, że Turcja uważa to ważne stanowisko za część swojego dziedzictwa, jakby nie miało nic wspólnego ze starożytną Armenią. Wystarczy kilka minut poszukiwań w Internecie z użyciem słowa *Portasar*, dawnej ormiańskiej nazwy Göbekli Tepe, żeby się o tym przekonać. Przykładem może być zamieszczony na YouTube film zatytułowany *Turcja przedstawia ormiański Portasar jako tureckie Göbekli Tepe*¹⁷. Wśród licznych komentarzy, w większości dość typowych, można przeczytać:

Właśnie tak widzę Portasar (Göbekli Tepe). Ci ludzie celowo zakopali świątynię. Zrobili to, przewidując, że zostanie odkryta w odległej przyszłości. Wierzyli w reinkarnację. Ci ludzie, którzy zbudowali Portasar (Göbekli Tepe) są tutaj, wśród Ormian. Ich duchy przeszły w dzisiejszy lud Armenii. Kiedy przekazujesz coś swojej rodzinie, chcesz mieć pewność, że trafi to tylko do członków rodziny, a nie kogoś innego. Portasar i te ziemie wrócą do Ormian, zgodnie z prawami natury...¹⁸

W tym samym duchu góra Ararat, choć znajduje się dzisiaj w granicach Turcji, pozostaje potężnym symbolem ormiańskiego nacjonalizmu. Wizerunek góry Ararat, z opadającymi wodami Potopu, jest centralnym elementem godła Republiki Armenii, zaś sam szczyt – tak bliski, a jednocześnie tak daleki – wznosi się ponad stolicą Armenii, Erywaniem, niczym przejmujące, nieustanne przypomnienie, że:

Przeszłość nie jest martwa. Nie jest nawet przeszłością¹⁹.

Tak więc historia Noego i jego arki oraz świata odnowionego po straszliwym globalnym kataklizmie jest pod wieloma względami wciąż żywa w regionie Göbekli Tepe, tego tajemniczego sanktuarium w górach Taurus, gdzie zaczęto ustawiać wielkie kamienne kręgi w 9600 roku p.n.e. – wtedy, gdy nadszedł koniec „zgubnej zimy” młodszego dryasu. Kiedy rozmawiałem tam z Klausem Schmidtem (patrz rozdział pierwszy), zadał mi retoryczne pytanie:

Czy może być tylko dziełem przypadku, że monumentalna faza w Göbekli Tepe zaczyna się 9600 p.n.e., kiedy klimat na całej Ziemi nagle stał się łagodniejszy i cała natura rozkwitła, zyskując nowe możliwości?

Z tą datą wiąże się coś jeszcze. Tak samo jak początkowi młodszego dryasu w 10 800 roku p.n.e. towarzyszyły katastrofalne powodzie i bardzo szybkie podwyższenie poziomu morza, gdy zimna woda roztopowa z północnoamerykańskich lodowców wpłynęła nagle do Atlantyku²⁰, drugi globalny potop nastąpił około 9600 roku p.n.e., kiedy pozostałości lądolodu w

Ameryce Północnej i północnej Europie osiadły w wyniku globalnego ocieplenia. Nieżyjący już Cesare Emiliani, profesor na Wydziale Geologii Uniwersytetu Miami, przeprowadził analizę izotopową głębokomorskich osadów²¹, która dostarczyła dowodów na katastroficzną powódź „między 12 000 a 11 000 lat temu”²².

Tak więc powódzie pod koniec epoki lodowcowej nie mogły wprowadzić wynieść Noego i jego arki tysiące metrów ponad dzisiejszy poziom morza, na zbocza Araratu, ale rzeczywiście miały globalny zasięg i katastrofalne skutki dla żyjących wówczas ludzi. Górzyste regiony, takie jak pasmo Araratu, były naturalnymi miejscami schronienia – doskonale nadającymi się, by tam przechować „nasienie wszelkiego życia” i zacząć na nowo. Dlatego, chociaż historii Noego nie można brać dosłownie w każdym szczególe, należy liczyć się z możliwością, że prawdziwa jest jej istota, to znaczy relacja o budowie arki; w niej nasiona użytecznych roślin i pary zwierząt zostały przechowane przez znajdujących już rolnictwo i budownictwo ludzi, którzy przetrwali Potop i migrowali na ziemię między Göbekli Tepe a górą Ararat, a później przekazali swoje umiejętności rdzennym myśliwym i zbieraczom z tego regionu.

Nagle i całkowicie bezprecedensowe pojawienie się w Göbekli Tepe wielkich kamiennych kręgów, które nie mogły być dziełem ludzi nie mających żadnego wcześniejszego doświadczenia we wznoszeniu megalitycznych budowli, i jednocześnie „wynalezienie” rolnictwa w tym samym regionie wskazują, moim zdaniem, że tak właśnie mogło być. Poza tym nie sposób pozbyć się niepokojącego wrażenia, że samo Göbekli Tepe było rodzajem arki, zamrożonej i upamiętnionej w kamieniu, ponieważ jego ikonografia obejmuje nie tylko zwierzęta, ale również wizerunki odwołujące się do ludzkiej płodności – na przykład kobiet z odsłoniętymi genitaliami²³ i mężczyzn z penisami we wzwodzie²⁴. Te wizerunki, wśród nich postać, którą Karl Luckert, profesor historii religii z Missouri State University, interpretuje jako klasyczne wyobrażenie „Matki Ziemi”²⁵, przywodzą na myśl polecenie, jakie Bóg dał Mojżeszowi i jego rodzinie: „Rozradzajcie się i rozmnażajcie, i napełniajcie ziemię”²⁶.

I gdzie, jeśli nie w arce Noego, moglibyśmy znaleźć menażerię tak eklektyczną jak przedstawiona na megalitach w Göbekli Tepe – menażerię, w której znalazły się pająki, skorpiony i węże („z wszelkiego płazu ziemnego według rodzajów jego”), ptaki i bydło („z ptactwa według rodzajów jego i z bydła według rodzajów jego”), lisy, kotowate, kozy, owce, gazy, dziki, niedźwiedzie itd., itd. (krótko mówiąc, jak to ujmuje Księga Rodzaju 6: 19, „z wszelkich istot żyjących, z wszelkiego ciała”)?

I jeszcze jeden szczegół. Noe złożył niektóre ze zwierząt, jakie ocalał przed Potopem, w ofierze Bogu. A w Göbekli Tepe archeolodzy znaleźli kości zabitych wielu gatunków przedstawionych na megalitycznych filarach²⁷.

Miasta przed Potopem

Naukowcy od dawna wiedzą, że biblijna opowieść o Potopie nie jest oryginalna, lecz została zapożyczona ze znacznie starszego źródła – źródła pochodzącego z najstarszej prawdziwej cywilizacji, jaka została dotąd uznana przez archeologię – z cywilizacji sumeryjskiej, która powstała w V tysiącleciu p.n.e. w Mezopotamii, rozkwitała w IV oraz III i przetrwała do II tysiąclecia p.n.e.²⁸ Dwie najstarsze zachowane pisane wersje tego „mitu” o globalnym potopie można dzisiaj oglądać w University of Pennsylvania Museum of Archaeology and Anthropology²⁹, i w prywatnej kolekcji Schøyen w Norwegii³⁰. Obie zostały zapisane pismem klinowym w języku sumeryjskim i obie przetrwały do naszych czasów we fragmentach.

Lepiej zachowała się tabliczka przechowywana na Uniwersytecie Pensylwanii, znaleziona w czasie wykopalisk w sumeryjskim mieście Nippur³¹ (nad Eufratem, 200 kilometrów na południe od dzisiejszego Bagdadu). Jest to dolna część (mniej więcej jedna trzecia) tabliczki z wypalanej gliny³², zawierającej pierwotnie sześć kolumn tekstu, powstałej w XVII wieku p.n.e.³³ Tabliczka z Schøyen, gorzej zachowana, jest nieco starsza (datowana na XIX–XVIII wiek p.n.e.³⁴) i zawiera część linii znanych z fragmentu z Pensylwanii, ale dodaje też kilka nowych szczegółów³⁵.

Jakże rzadkim i cennym znaleziskiem są te kruche tabliczki z wypalanej gliny! I jak ciekawą historię opowiadają. Kiedy pierwszy raz ją czytałem, natychmiast mnie zaintrygowała, ponieważ mówi wprost o istnieniu przedpotopowych miast, które – jak się dowiadujemy – zostały pochłonięte przez wody Potopu.

Na tabliczce z Pensylwanii brakuje początkowych 37 linii, więc nie wiemy, jak historia się zaczęła, ale kiedy w nią wkraczamy, Potop jest jeszcze kwestią odległej przyszłości³⁶. Czytamy o stworzeniu istot ludzkich, zwierząt i roślin³⁷. Dalej brakuje kolejnych 37 linii i przeskakujemy w czasie do epoki zaawansowanej cywilizacji. Dowiadujemy się, że w tej przedpotopowej epoce „królestwo zstąpiło z nieba”³⁸.



Il. 26.

Potem następuje wzmianka o założeniu przedpotopowych miast Sumeru przez nieznanego z imienia władcę lub boga:

*Gdy dostojna korona i tron królestwa zstąpiły z nieba,
 obrzędy i dostojne prawa udoskonalił,
 założył pięć miast... w czystych miejscach,
 Nadał im nazwy i wyznaczył jako miejsca kultu
 Pierwsze z tych miast, Eridu...
 Drugie, Badtibirę...
 Trzecie, Larak...
 Czwarte, Sippar...
 Piąte, Szuruppak...³⁹*

„Który ocalił nasienie ludzkości...”

Kiedy wracamy do opowiadania po kolejnej 37-linijkowej lakunie, okazuje się, że sytuacja uległa dramatycznej zmianie. Wprawdzie Potop jeszcze się nie wydarzył, ale założenie pięciu przedpotopowych miast należało już do zamierzchłej przeszłości. Z kontekstu wynika, że tymczasem postępowanie ich mieszkańców wywołało niezadowolenie bogów i zwołano boskie zgromadzenie, aby ukarać ludzkość, sięgając po straszliwą karę – niszczycielski potop. W momencie, gdy wracamy do opowieści, kilku bogów nie zgadza się z tą decyzją i wyraża swoje niezadowolenie⁴⁰.

Tu, bez żadnego wstępu, poznajemy człowieka imieniem Ziusudra – sumeryjski archetyp biblijnego patriarchy Noego. Tekst opisuje go jako pobożnego, bogobojnego króla⁴¹ i daje do zrozumienia, że jeden z bogów ulitował się nad nim. Imię owego boga nie zachowało się na tabliczce z Pensylwanii, lecz fragment z Schøyen daje nam pewną wskazówkę, informując, że Ziusudra był nie tylko królem, ale i kapłanem boga Enki⁴². Bóg, o którym jeszcze usłyszymy, mówi do Ziusudry:

*Zachowaj me słowa, nakłoń ucha na me wskazówki:
Z naszej ręki potop przetoczy się ponad miejscami kultu.
Nasienie ludzkości zostanie zniszczone,
To wyrok, słowo zgromadzenia bogów⁴³.*

Dalej brakuje 40 linii, które – jak naukowcy wnioskują z innych wersji tego samego mitu – „musiały zawierać szczegółowe instrukcje dla Ziusudry, aby zbudował wielką łódź i dzięki niej uratował się przed zagładą”⁴⁴.

W dalszej części tekstu kataklizm już się zaczął.

*Wszystkie nawałnice i huragany runęły razem,
potop przetoczył się ponad miejscami kultu.
Przez siedem dni i siedem nocy potop zalewał ziemię,
a wichry miały arkę na wielkiej wodzie⁴⁵.*

Przez cały czas trwania kataklizmu niebo było ciemne. Aż w końcu, ósmego dnia, słońce przebiło się przez chmury, deszcz i szalejące burze ustały. Ziusudra otworzył „okno” swojego ratunkowego statku, wyjrzał na świat, który zmienił się nieodwracalnie i złożył bogom w ofierze wołu i owcę⁴⁶.

Tu następuje irytująca 37-linijkowa lakuna, gdzie najprawdopodobniej było opisane miejsce, w którym Ziusudra wyszedł na ląd i co potem zrobił. W następnej zachowanej części, pod koniec tekstu, zastajemy Ziusudrę w obecności bogów sumeryjskiego panteonu, Anu i Enlila, którzy pożałowali swojej wcześniejszej decyzji zgładzenia ludzkości i teraz są tak wdzięczni Ziusudrze za to, że zbudował swoją arkę i przetrwał Potop, że postanawiają uczynić go nieśmiertelnym.

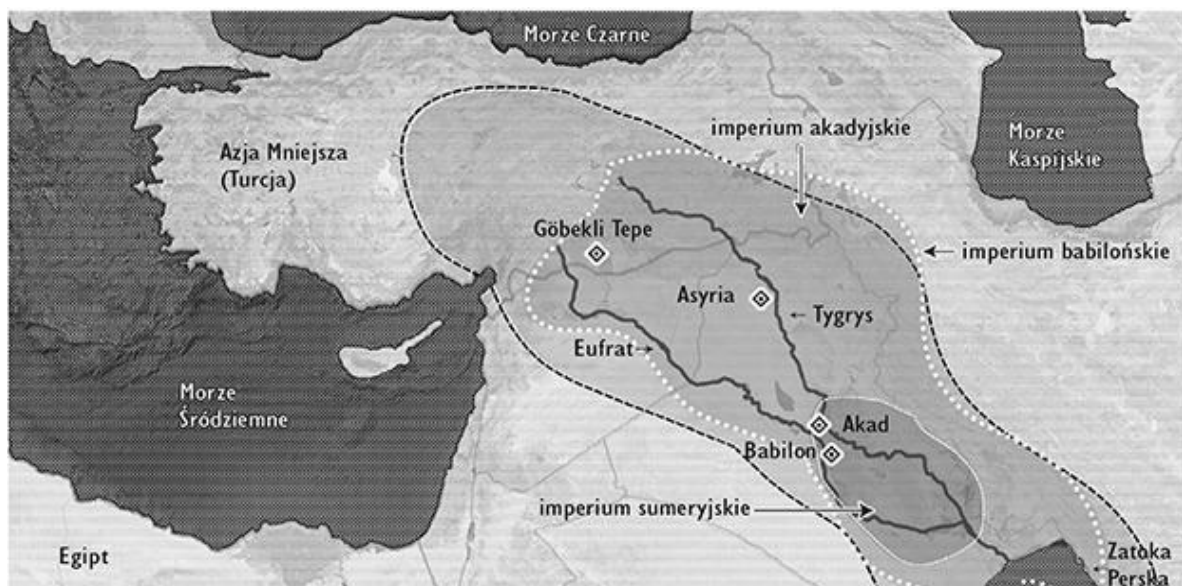
*Dali mu życie jak boga,
Zesłali mu wieczny oddech, jak boga.
... król Ziusudra,
który ocalił nazwy roślin i nasienie ludzkości⁴⁷.*

Ostatnich 39 linii brakuje⁴⁸.

Siedmiu Mędrców

Nieżyjący już profesor Samuel Noah Kramer, jeden z największych autorytetów w sprawach starożytnego Sumeru, zauważył, że w tej najstarszej zachowanej wersji legendy o światowym potopie są „niepokojące niejasności i niedomówienia”⁴⁹. Nie ulega jednak wątpliwości, że tabliczka opisuje zurbanizowaną cywilizację, która istniała przed Potopem, i podaje nazwy jej świętych miast: Eridu, Badtibira, Larak, Sippar i Szuruppak. Miasta te, jak czytamy, zostały pochłonięte przez Potop. Co więcej, jeszcze długo po tym, jak sam Sumer przestał istnieć, legendy o tych pięciu miastach, przedpotopowej epoce i Potopie przetrwały w Mezopotamii i były przekazywane w kulturach Akadu, Asyrii i Babilonii, niemal do czasów chrześcijańskich⁵⁰. Można wręcz powiedzieć, że tradycyjna historia tego regionu, jaką opowiadano w starożytności, dzieli się wyraźnie na dwa okresy – przed i po Potopie – przy czym oba te okresy były przez tamtejsze ludy uważane za absolutnie rzeczywiste i historyczne.

Pamiętamy z rozdziału pierwszego, że w tradycji mezopotamskiej przetrwały wspomnienia o przedpotopowych miastach, ale także o przedpotopowym niosącym cywilizację herosie imieniem Oannes i bractwie Siedmiu Mędrców zwanych Siedmioma Apkallu, którzy wspierali go w cywilizacyjnej misji. Jak czytelnicy zapewne pamiętają, zachowane dzieła sztuki z tego regionu często przedstawiają ich jako brodatych mężczyzn trzymających specyficzny rodzaj worka lub wiadra, lecz niekiedy jako teriantropiczne istoty, po części ludzkie, po części ptasie. W czasie dalszych poszukiwań jeszcze raz uważnie przeczytałem relację babilońskiego kapłana Berossosa, z którą zetknąłem się po raz pierwszy, pisząc *Ślady palców bogów*. Przypomniałem sobie, że Oannes i mędrcy Apkallu czasami byli przedstawiani w jeszcze innej teriantropicznej formie, łączącej cechy ryby i człowieka. Każdy z nich był skojarzony jako „doradca” z jednym z przedpotopowych królów; wszyscy słynęli ze swojej mądrości w sprawach państwa, a także z umiejętności architektonicznych, budowlanych i inżynierskich⁵¹.

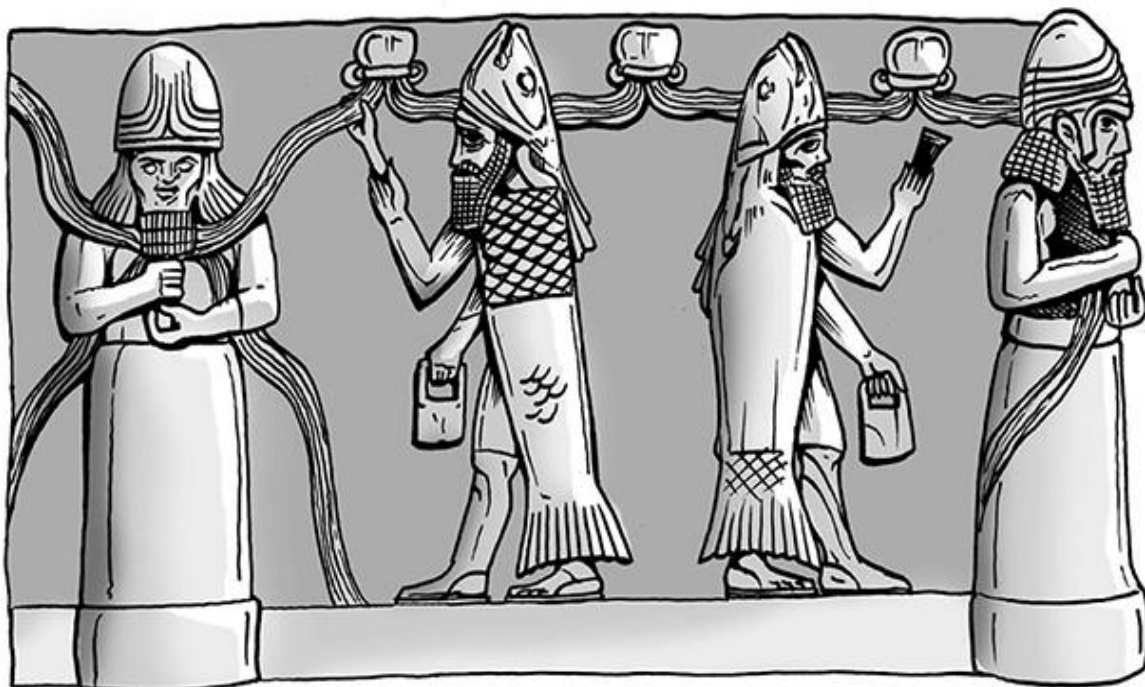


Il. 27. Starożytne imperia Mezopotamii zyskiwały na znaczeniu w różnych okresach, ale we wszystkich przetrwały legendy o globalnym potopie, który niemal doszczętnie zgładził ludzkość w zamierzchłej przeszłości.

Berosos skompilował swoją *Historię* na podstawie babilońskich archiwów świątynnych (które podobno zawierały dokumenty państwowe przechowane przez „ponad 150 000 lat”⁵²). Przekazał nam opis Oannesa jako „potwora” lub „stworzenia”. Ale to, co opisuje Berosos, w rzeczywistości bardziej przypomina człowieka w czymś w rodzaju kostiumu ryby – czyli w przebraniu. Potwór, jak mówi Berosos:

*(...) miał całe ciało ryby, ale pod spodem, połączona z głową ryby, była druga głowa – człowieka, a z rybim ogonem były połączone stopy jak ludzkie; i miał głos człowieka... I na koniec dnia ów potwór, Oannes, wrócił do morza i tam spędził noc. Mógł on żyć zarówno na lądzie, jak i w morzu... Później pojawiły się inne potwory podobne do Oannesa*⁵³.

Pamiętajmy, że dziwne pojemniki noszone przez Oannesa i Apkallu zostały też przedstawione na jednym z megalitycznych filarów w Göbekli Tepe (a także, jak pamiętamy z rozdziału pierwszego, w starożytnym Meksyku). Co z tym wszystkim począć?



Il. 28. Oannes i mędrcy z bractwa Apkallu.

Sprawa staje się jeszcze bardziej tajemnicza, kiedy zagłębimy się w mezopotamskie legendy. Streszczając, Oannes i bractwo mędrców Apkallu opiekowali się ludzkością przez 1000 lat. To właśnie w tym czasie powstało pięć przedpotopowych miast, ośrodków wielkiej cywilizacji, i władza królewska „zstąpiła z nieba”. Przed pojawieniem się Oannesa, mówi Berossos, ludzie w Mezopotamii „żyli bez prawa, jak zwierzęta polne”⁵⁴.

Berosos spisał swoją *Historię* między 290 a 278 rokiem p.n.e., ale do naszych czasów zachowały się tylko fragmenty tego dzieła, cytowane i streszczane przez innych autorów, takich jak Synkellos i Euzebiusz. Uczeni uważają jednak, że to, co do nas dotarło, dość dobrze odzwierciedla znacznie starsze mezopotamskie przekazy spisane na klinowych tabliczkach w najdawniejszych czasach⁵⁵. Na przykład okazuje się, że imię Oannesa, które mogło zostać zniekształcone przez późniejszych autorów, pochodzi od klinowego *Uannadapa*, co często było skracane do *Adapa* lub *U-Anna* – a element *Adapa* był pierwotnie tytułem (stosownym dla mędrca) oznaczającym „Mądry”⁵⁶. Starożytne inskrypcje z Mezopotamii głoszą, że U-Anna „realizuje plany nieba i ziemi”⁵⁷. Do innej grupy przedpotopowych mędrców należeli *U-Anne-dugga*, „ten, który jest obdarzony zrozumieniem”, i *An-Enlilda*, opisywany jako „zdobywca miasta Eridu”⁵⁸.

Informacja, że przedpotopowi mędrcy byli „zdobywcami”, „czarownikami”, „czarodziejami”, „magami”, powtarza się wielokrotnie w tekstach klinowych⁵⁹. A jednocześnie, oprócz zdolności magicznych, posiadali bardzo praktyczne umiejętności techniczne lub wręcz naukowe⁶⁰. Byli więc mistrzami „receptur chemicznych”⁶¹, lekarzami⁶², cieślami, kamieniarzami, metalurgami i złotnikami⁶³, a także zakładali miasta⁶⁴. W późniejszych czasach wszystkie umiejętności potrzebne przy królewskich projektach budowlanych i renowacyjnych kojarzono z wiedzą pochodzącą od przedpotopowych mędrców⁶⁵. Tak podsumowuje ten okres w swoim szczegółowym studium Amar Annus z estońskiego Uniwersytetu w Tartu:

Czasy przed potopem były okresem objawienia w mezopotamskiej mitologii, kiedy zostały położone podstawy wszelkiej wiedzy. Przedpotopowi mędrcy byli herosami, którzy przynieśli na ziemię sztukę cywilizacji. W czasach po tym okresie nie wynaleziono nic nowego, a pierwotne objawienie było przekazywane i rozwijane. Oannes i inni mędrcy przekazali przedpotopowej ludzkości wszystkie fundamenty cywilizacji⁶⁶.

Klinowe tabliczki ze starożytnej Mezopotamii rzucają też nieco światła na pojemniki, z którymi przedstawiano mędrców Apkallu. Są one opisywane jako *banduddu* – „wiadra”⁶⁷ i przypuszcza się, że zawierały „świętą wodę”⁶⁸. Bardzo często, jak czytelnicy pamiętają z rozdziału pierwszego, mędrzec trzyma w drugiej dłoni obiekt przypominający szyszkę. Przedmioty te są nazywane w inskrypcjach *mullilu*, co znaczy „oczyszczacze”⁶⁹. W tych samych scenach mędrcy występują w pobliżu stylizowanego drzewa lub postaci króla, a czasem jednego i drugiego. Nie zachowały się w tekstach żadne wzmianki o drzewie, lecz większość naukowców przypuszcza, że musi chodzić o „święte drzewo” lub „drzewo życia”⁷⁰, które symbolizuje „zarówno boski porządek świata, jak i króla, działającego jako jego ziemski administrator”⁷¹. Nasuwa się więc wniosek, że mamy przed sobą „magiczny rytuał ochronny, błogosławieństwo, namaszczenie”⁷².

Spryskując drzewo świętą wodą, mędrcy udzielali mu swojej świętości, podtrzymywali kosmiczną harmonię i tym samym zapewniali prawidłowe funkcjonowanie planów nieba i ziemi⁷³.

Wierzono, że Siedmiu Apkallu stworzył bóg Enki (tak brzmiało jego sumeryjskie imię; Akadyjczycy znali go jako Ea), występujący na tabliczce z Schøyen jako patron Ziusudry, wielki bóg podziemnego słodkowodnego oceanu zwanego Abzu⁷⁴. Atrybutami Enki, oprócz związków ze sferą wody, była mądrość, magia oraz sztuka i rzemiosło cywilizacji⁷⁵, nic więc dziwnego, że mędrcy należeli do jego stworzeń, a ich symbolem była często ryba. Rybia forma Apkallu, jak zauważa jeden z uczonych:

(...) wiąże się z sekretami spoczywającymi w głębinie; jej nigdy nie zamykające się, wiecznie czujne oczy wskazują na wszechwiedzącą mądrość⁷⁶.

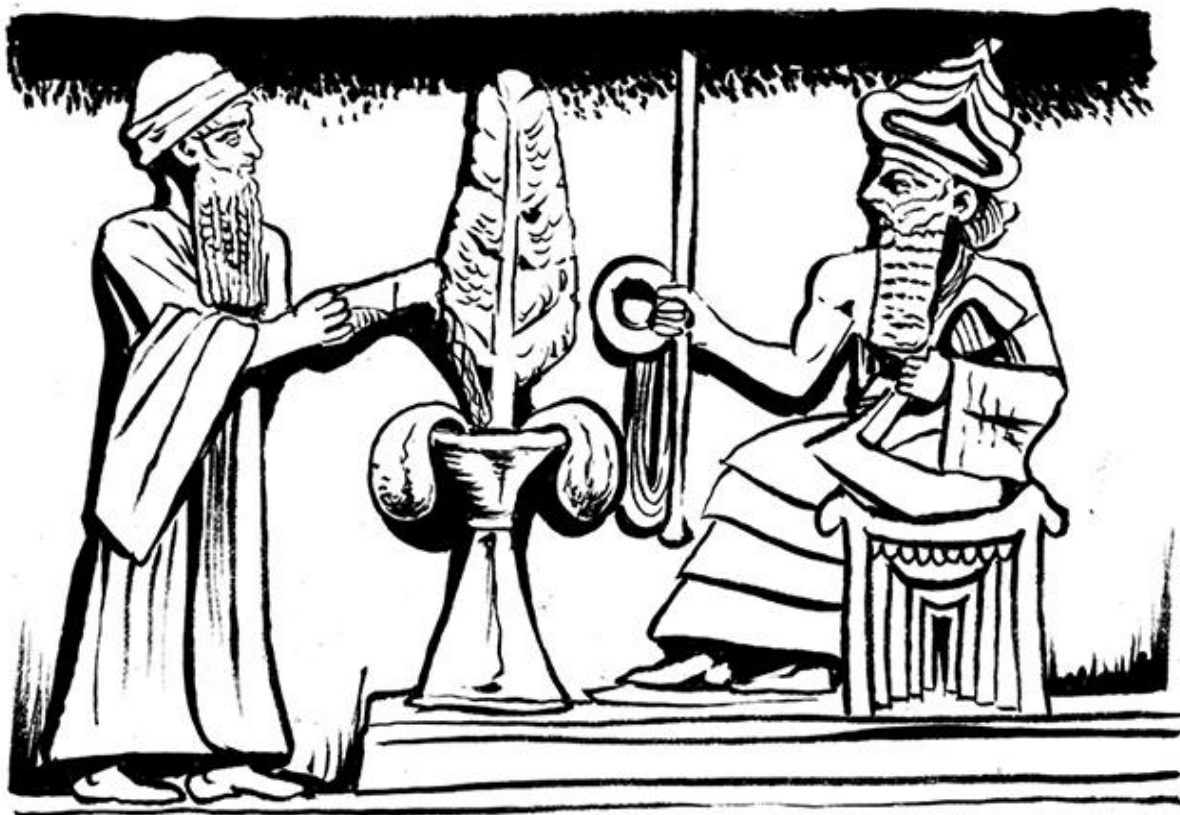
Z tekstów klinowych dowiadujemy się, że to właśnie radom i naukom tych niezwykłych mędrców, magów boga mądrości Enki, ludzka cywilizacja zawdzięczała szybki rozwój technologiczny i naukowy oraz weszła w fazę „nadzwyczajnej świetności i dobrobytu, złoty wiek przed potopem”⁷⁷. Wszystko wydawało się najlepsze na tym najlepszym z możliwych światów. Ale z upływem tysiącleci ludzkość straciła harmonię z wszechświatem i z bóstwami – a zwłaszcza z jednym bóstwem, wielkim Enlilem, opisywanym jako „król, najwyższy pan, ojciec i stwórca” oraz (co może dawać pojęcie o jego charakterze) jako „szalejąca burza”⁷⁸. Wprawdzie bóg nieba Anu teoretycznie zajmował pierwsze miejsce w sumeryjskim panteonie, ale zazwyczaj występował jako daleka, bezsilna postać. Enlil był jego następcą, lecz w rzeczywistości to on podejmował większość decyzji. Enki – w niektórych tekstach nazywany młodszym bratem Enlila – zajmował trzecie miejsce w hierarchii⁷⁹.



Il. 29. Enki, sumeryjski bóg mądrości i magii, którego szczególną domeną był podziemny słodkowodny ocean zwany Abzu. Ze względu na związek z Abzu, często był przedstawiany z wypływającymi z ramion strumieniami wody z rybami. Akadyjczycy nazywali go Ea.

Sumeryjska opowieść o potopie, jak pamiętamy, ma wiele luk, lecz inne tabliczki, na przykład zawierająca *Epos o Gilgameszu* – bez wątpienia najstarszy z zachowanych mezopotamskich tekstów – podają wiele brakujących szczegółów, nie pozostawiając wątpliwości co do roli Enlila.

W tamtych czasach świat był gwarny, ludzie się mnożyli, świat ryczał jak dziki byk i wielki bóg został obudzony przez hałas. Enlil usłyszał hałas i powiedział do bogów na radzie: „Hałas ludzkości jest nieznośny i nie da się spać z powodu tego zgiełku”. Tak więc bogowie postanowili zgładzić ludzkość⁸⁰.



Il. 30. Potężny sumeryjski bóg Enlil (siedzi, po prawej). To właśnie on, często opisywany jako „szalejąca burza”, zarządził zagładę ludzkości przez Potop.

Wiemy, co stało się dalej. Bóg Enki (oprócz tabliczki z Schøyen inne, późniejsze teksty potwierdzają, że to on) interweniował i ostrzegł Ziusudrę, że wkrótce zostanie uruchomione narzędzie zagłady – wielki, niszczycielski potop⁸¹. Berossos, który nazywa Ziusudrę imieniem Ksisutros, opisuje następny rozdział tej historii:

*[Enki] ukazał się Ksisutrosowi we śnie i wyjawiał, że... ludzkość zostanie zniszczona przez wielki potop. Następnie kazał mu zakopać wszystkie tabliczki, pierwszą, środkową i ostatnią, i ukryć je w Sippar, mieście słońca. Potem miał on zbudować łódź i wsiąść do niej wraz z całą rodziną i najlepszymi przyjaciółmi. Miał zabrać na pokład żywność i napoje, a także dzikie zwierzęta, ptaki i wszystkie czworonożne stworzenia. Kiedy już wszystko będzie gotowe, miał się przygotować do wypłynięcia... Nie przestawał pracować, dopóki nie zbudował łodzi. Jej długość wynosiła pięć stadiów [914 metrów], a szerokość dwa stadia [366 metrów]. Wsiadł na gotowy statek, zaopatrzony we wszystko, co mu polecono, wraz ze swą żoną, dziećmi i najbliższymi przyjaciółmi...*⁸²

Zachowane fragmenty dzieła Berossosa nie opisują samego Potopu, lecz mówi o nim *Epos o Gilgameszu*, wkładając te słowa w usta samego Ziusudry/Ksisutrosa⁸³:

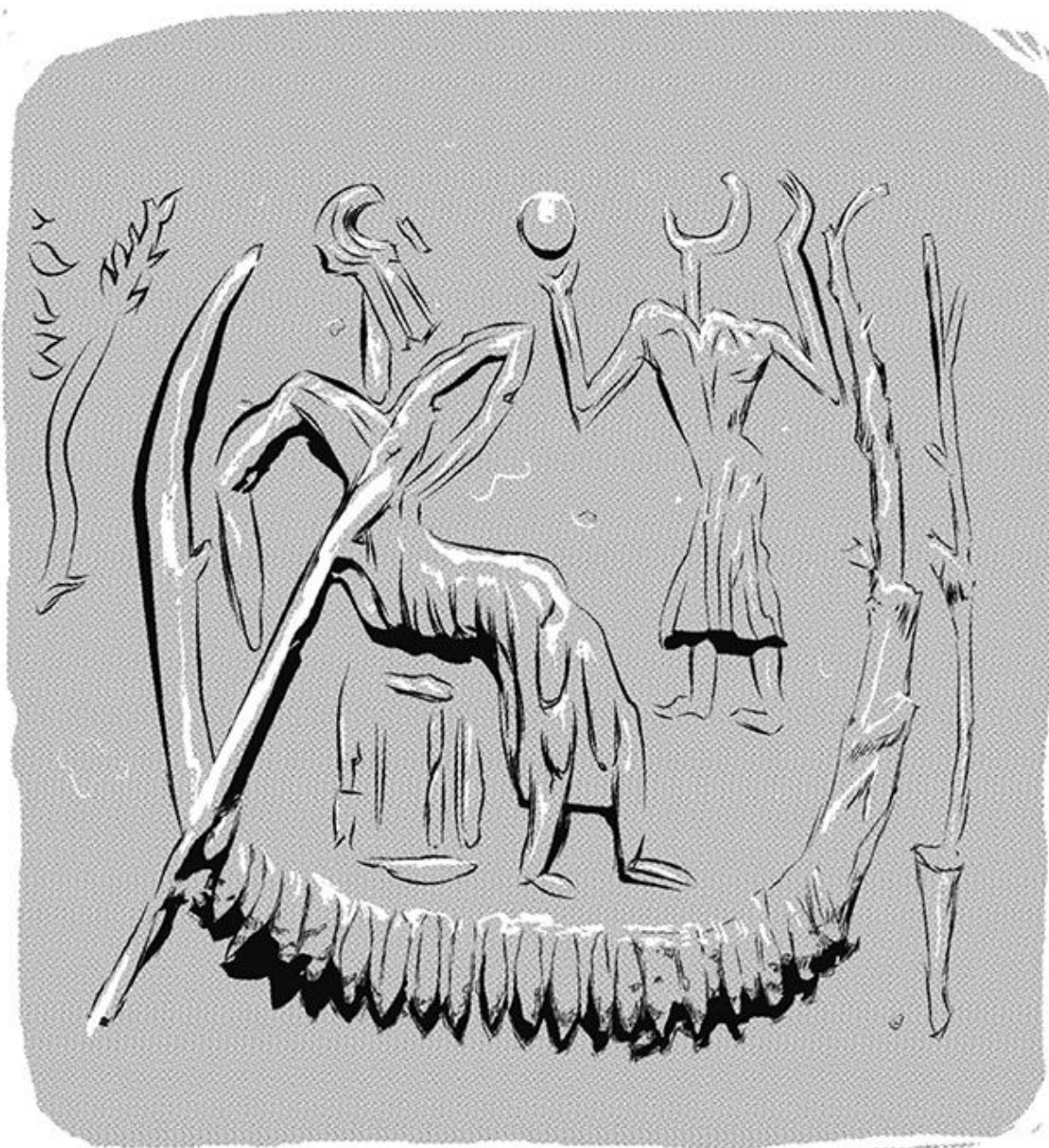
*Przez sześć dni wiał wiatr, ulewa, burza i powódź przetaczały się przez świat, ulewa i powódź szalały niczym walczące zastępy. Gdy nadszedł świt siódmego dnia, burza z południa ucichła, morze się uspokoiło, powódź ustała. Spojrzałem na oblicze świata i wszędzie była cisza. Powierzchnia morza rozciągała się, płaska jak dach. Wszyscy ludzie zamienili się w glinę... Otworzyłem okno i światło padło na moją twarz. Pochyliłem się, usiadłem i zapłakałem, łzy płynęły mi po twarzy, bo ze wszystkich stron był tylko przestwór wód... W odległości 14 wiorst pojawiła się góra i na niej łódź wylądowała...*⁸⁴

Berossos pisze dalej:

*Wtedy Ksisutros zrozumiał, że ziemia się znowu wyłoniła... Zszedł na ląd, w towarzystwie swojej żony i córki oraz sternika. Padł na twarz, oddając cześć ziemi, ustawił ołtarz i złożył ofiarę bogom. Potem zniknął razem z tymi, którzy opuścili statek wraz z nim. Ci, którzy pozostali na statku i nie zeszli z Ksisutrosem... szukali go wszędzie i wołali po imieniu. Ale od tamtej pory nikt już nie widział Ksisutrosa, a potem głos rozległ się z powietrza, mówiąc, że ich obowiązkiem było oddać cześć bogom, a Ksisutros, z powodu wielkiego szacunku, jaki okazał bogom, odszedł do miejsca pobytu bogów, a jego żonę i sternika spotkał ten sam zaszczyt. Następnie głos polecił im wrócić do... miasta Sippar, wykopać ukryte tam tabliczki i przekazać je ludzkości. Miejscem, w którym spoczęli, była ziemia Armenii*⁸⁵.

Podsumowując więc, biblijna i mezopotamska relacja są zgodne co do tego, że Armenia była miejscem schronienia ocalałych z Potopu. Berossos podaje jednak kilka ważnych szczegółów, których nie ma w wersji biblijnej. Są to: po pierwsze – wzmianka o Sippar, które – jak pamiętamy – było jednym z przedpotopowych miast upamiętnionych w tradycji sumeryjskiej; po drugie – intrygująca informacja, że pisma, czy też archiwa z czasów przedpotopowych („wszystkie tabliczki, pierwsza, środkowa i ostatnia”) zostały zakopane w Sippar, zanim nastąpił Potop; po trzecie – to, że ocaleni po opadnięciu wody

mieli wrócić do Sippar, aby wydobyć zakopane tabliczki i „przekazać je ludzkości”.



Il. 31. Sumeryjczyk ocalały z Potopu i arka: „Powierzchnia morza rozciągała się, płaska jak dach. Wszyscy ludzie zamienili się w glinę... W odległości 14 wiorst pojawiła się góra i na niej łódź wylądowała.

A zatem to, co zostało tutaj opisane, jest ni mniej, ni więcej, jak odnowieniem cywilizacji po globalnym kataklizmie – odnowieniem, w ramach którego przedpotopowa wiedza miała zostać odzyskana i upowszechniona. Siedmiu Mędrców nie miało już odegrać żadnej roli w upowszechnianiu tej wiedzy. Z tekstów klinowych dowiadujemy się, że zostali oni odesłani w czasie Potopu w głąb Abzu i otrzymali rozkaz, by nigdy nie wracać⁸⁶. Inni mędrcy „ludzkiego pochodzenia” – choć w jednym przypadku zostali opisani jako „w dwóch trzecich Apkallu”⁸⁷ – mieli zająć ich miejsce dla zachowania ciągłości, aby cywilizacja mogła znowu rozkwitnąć. Z czasem późniejsi królowie nawiązywali do swoich związków z przedpotopowym światem. Pod koniec I tysiąclecia p.n.e. babiloński władca Nabuchodonozor I mówił o sobie jako o „nasieniu przechowanym sprzed potopu”⁸⁸, zaś Aszurbanipal, który władał imperium asyryjskim w środkowej Mezopotamii w VII wieku p.n.e., chlubił się: „Poznałem sztukę Adapy, mędrca, która jest tajemną wiedzą... Dobrze znam znaki nieba i ziemi... Cieszę się pismami na kamieniach sprzed potopu”⁸⁹.

To dziwne i tajemnicze, jak zobaczymy w następnym rozdziale, że dokładnie te same koncepcje Siedmiu Mędrców, którzy przynieśli cywilizację w zamierzchłej starożytności, oraz przechowania i upowszechnienia „pism na kamieniach sprzed potopu” pojawiają się w odległej i na pozór niezwiązanej z Mezopotamią kulturze starożytnego Egiptu.

IV. ZMARTWYCHWSTANIE

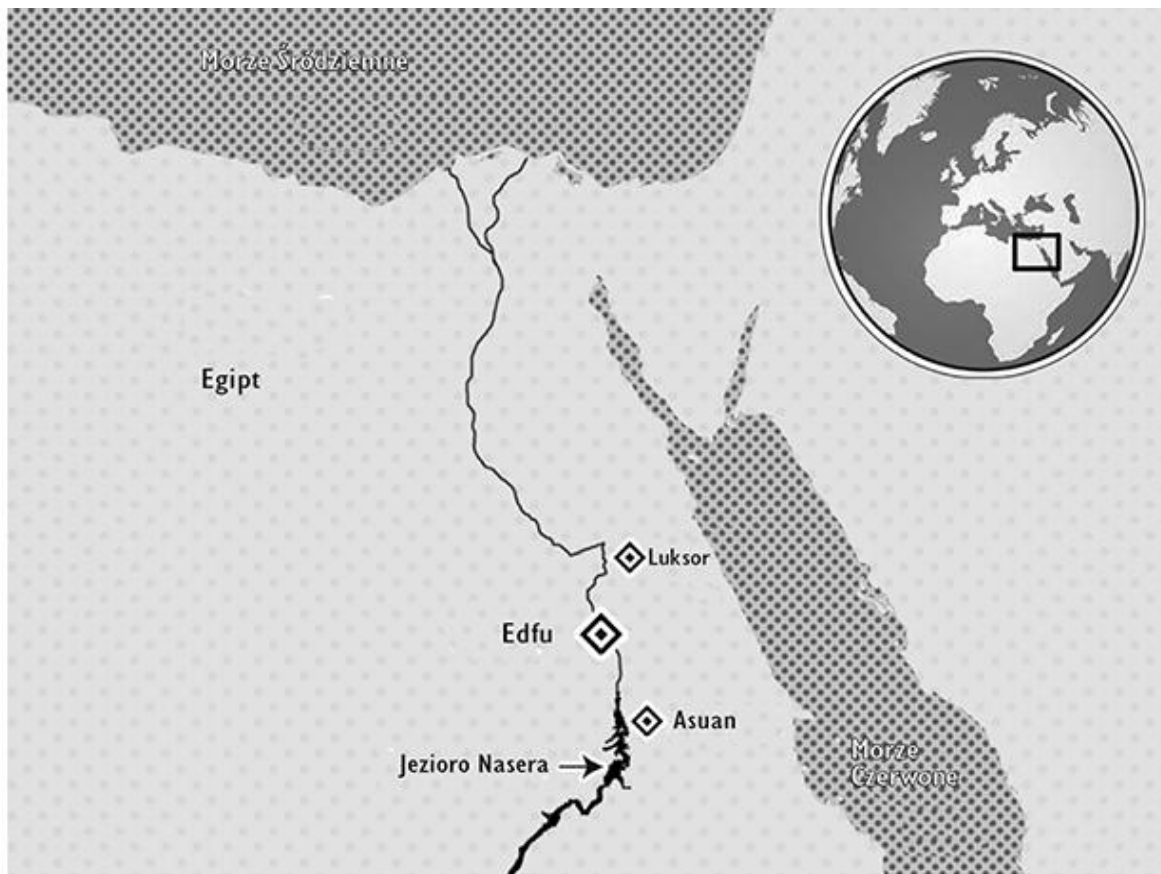
9. WYSPA KA

Dolina Nilu tętni życiem, obrzeżona palmami i zielonymi polami, ale jest wąska, wydarta pustyni tylko dzięki darowi urodzajności, jaki zawdzięcza wiecznej rzece. Tak samo jest od Kairu po Asuan, gdzie Wysoka Tama na zawsze zmieniła boski krajobraz faraonów, tworząc Jezioro Namera, jeden z największych na świecie sztucznych zbiorników wodnych, który ciągnie się na południe, aż poza granicę z Sudanem. Kiedy poziom jeziora podnosił się w latach 60., wiele starożytnych egipskich stanowisk, takich jak forteca w Buhen, znalazło się pod wodą. Inne, jak słynną na cały świat świątynię w Abu Simbel czy oszałamiająco piękną świątynię Izydy na wyspie File, uratowano, przenosząc je blok po bloku i odbudowując w wyżej położonych miejscach.

Jeszcze inne zostały rozmontowane i wywiezione za morze – na przykład świątynia z Dendur, dzisiaj znajdująca się w nowojorskim Metropolitan Museum of Art, świątynia z Dabod, dzisiaj w madryckim Parque del Oeste, czy świątynia z Tafa, dzisiaj w Rijksmuseum van Oudheden w Lejdzie. Można powiedzieć, że w ten sposób święte królestwo bogów, które przez niezliczone tysiąclecia kształtowało się w Egipcie, nawet dzisiaj przeżywa zmartwychwstanie i odrodzenie w dalekich krajach.

W pewnym sensie podobnie było – według umieszczonych w niej samej inskrypcji – ze świątynią Horusa w Edfu. Miasto Edfu, w starożytności zwane Behedet (stąd jego patron, bóg sokół Horus, był znany jako Horus z Behedet), leży na zachodnim brzegu Nilu, 110 kilometrów na północ od Asuanu, więc nie groziło mu zalanie przez wody Jeziora Namera. Świątynia, którą możemy oglądać dzisiaj, wzniesiona z lśniących w ostrym górnoegipskim słońcu

bloków żłocistego piaskowca, jest stosunkowo młoda; cały kompleks został ukończony w okresie ptolemejskim, w kilku etapach między 237 a 57 rokiem p.n.e.¹ To, co możemy zobaczyć, jest jednak pod każdym względem jedynie najnowszą reinkarnacją znacznie starszych świątyń, które stały w tym miejscu co najmniej od czasów Starego Państwa (2575–2134 p.n.e.)² – a może o wiele wcześniej.



Il. 32.

Ale najbardziej interesująca jest idea samej świątyni wyrażona w niekończących się enigmatycznych inskrypcjach, które pokrywają jej ściany. Inskrypcje te, tak zwane *Teksty Budowlane* z Edfu, cofają nas w zamierzchłe czasy zwane *Pierwotną Epoką Bogów*³. Bogowie ci, jak się okazuje, nie pochodzili z Egiptu⁴, lecz mieszkali na świętej wyspie, Ojczyźnie Pradawnych, pośrodku wielkiego oceanu⁵. W jakimś bliżej nieokreślonym momencie w przeszłości straszliwy kataklizm – ogień i powódź, jak zobaczymy – pochłonął wyspę, na której znajdowały się „najdawniejsze domy bogów”⁶, zniszczył ją

całkowicie, zatapiając święte miejsca i zabijając boskich mieszkańców⁷. Niektórzy jednak ocaleli i dowiadujemy się, że garstka ocalonych wyruszyła na statkach (teksty nie pozostawiają wątpliwości, że owi bogowie byli żeglarzami⁸), aby „wędrować” po świecie⁹.

Wyruszyli w tę podróż, aby odtworzyć i odbudować esencję swojej utraconej ojczyzny¹⁰, krótko mówiąc, aby doprowadzić do:

(...) zmartwychwstania dawnego świata bogów...¹¹ Odtworzenia zniszczonego świata¹².

Ogólny wydźwięk *Tekstów Budowlanych* z Edfu jest taki – jak podsumowała w swoim mistrzowskim studium na ich temat egiptolog Eve Anne Elizabeth Reymond – że „pewien starożytny świat został zniszczony i jako martwy stał się bazą dla nowego okresu stworzenia, który początkowo był odtworzeniem i wskrzeszeniem tego, co istniało w przeszłości”¹³.

Przy interpretacji tekstów musimy pamiętać, że nie powstały one w historycznej świątyni. Wręcz przeciwnie, jak informuje nas Reymond, kapłani i skrybowie z Edfu jedynie skopiowali to, co uważali za najważniejsze fragmenty z wielkiego archiwum starożytnych dokumentów, do którego mieli dostęp¹⁴. W V wieku n.e. rzymski i chrześcijański fanatyzm doprowadziły do ostatecznego upadku starożytnej egipskiej cywilizacji¹⁵. Odtąd (muzułmańska nienawiść do przeszłości wkrótce tylko pogorszyła sytuację) przestano dbać o świątynie, które były wykorzystywane jako magazyny, stajnie i domy przez miejscową ludność, która nie czciła już starożytnych bogów. W 1837 roku angielski podróżnik Howard Vyse odwiedził Edfu i opisał bałagan, jaki zastał wewnątrz:

Sama świątynia, jedna z najbardziej imponujących w Egipcie, tworzy uderzający kontrast z żalonymi ruderami, których wiele zbudowano wprost na niej, zaś inne na otaczających ją górach śmieci. Wnętrze, pokryte malowanymi hieroglifami, podzielono glinianymi ścianami, tworząc magazyn na zboże, a pod świątynią znajdują się rozległe podziemia, do których wszedłem przez dziurę z arabskiego domu. Były pełne śmieci i nieczystości wszelkiego rodzaju, ale zbudowane nad wyraz solidnie...¹⁶

Na szczęście dla nas, kiedy Edfu wciąż jeszcze rozkwitało, kapłani i skrybowie, którzy umieli czytać tajemnicze teksty w świątynnej bibliotece, pracowicie wybrali najważniejsze ich zdaniem fragmenty i wryli je głęboko w „solidnych” i „imponujących” murach samej świątyni. Dzięki temu, przypadkowo lub celowo, sprawili, że przynajmniej te fragmenty przetrwały do naszych czasów, natomiast oryginalne dokumenty – skradzione, użyte jako podpałka lub wrzucone do Nilu w mrocznych czasach – przepadły na zawsze.

Oczywiście z braku oryginalnego kontekstu fragmenty te są często niejasne i niezrozumiałe. Mimo to dają nam wgląd w cuda i sekrety naszej przeszłości,

które dokumenty źródłowe – gdybyśmy tylko je mieli! – mogłyby wyjawiać w całości.

Atlantyda w Egipcie

Wśród archeologów panuje powszechne przekonanie, że słynny grecki filozof Platon, który przekazał nam niezwykłą historię Atlantydy zniszczonej w straszliwym kataklizmie ognia i wody 9000 lat przed Solonem – czyli w 9600 roku p.n.e. według naszego kalendarza – po prostu zmyślił całą opowieść o zaginionej cywilizacji epoki lodowcowej. Wyjściem awaryjnym dla tych, którzy są gotowi niechętnie uznać, że *Timajos* i *Kritias* mogą zawierać jakieś ziarno prawdy, jest twierdzenie, że Platon oparł swoją opowieść na bliższym naszym czasom kataklizmie, który wydarzył się w basenie Morza Śródziemnego – na przykład erupcji Tery (Santorini) w połowie II tysiąclecia p.n.e. Myśl o globalnej katastrofie ponad 11 000 lat temu, a zwłaszcza heretycka idea, że mógł on zmieść z powierzchni ziemi zaawansowaną cywilizację, jest przyjmowana z wrogością i wyśmiewana przez archeologiczny establishment, ponieważ archeolodzy oczywiście „wiedzą”, że w tamtych czasach nie mogła istnieć żadna cywilizacja.

„Wiedzą” to nie dlatego, żeby istniały jakiegokolwiek mocne dowody wykluczające istnienie takiej cywilizacji w górnym paleolicie, lecz ponieważ w wyniku niecałych dwóch stuleci „naukowej” archeologii wypracowano linię rozwoju cywilizacji, w której nasi przodkowie przeszli gładko z paleolitu w neolit około 9600 roku p.n.e., a w następnych tysiącleciach, dzięki wynalezieniu i doskonaleniu rolnictwa, do wyżej rozwiniętych kultur – w procesie, który objął między innymi założenie kilku dużych stałych osad, takich jak Çatalhöyük w Turcji około 7500 roku p.n.e.

Okolo 4000 roku p.n.e. coraz doskonalsze struktury ekonomiczne i społeczne oraz umiejętności organizacyjne umożliwiły wzniesienie pierwszych struktur megalitycznych (takich jak na przykład Ġgantija na maltańskiej wyspie Gozo), zaś pierwsze miasta-państwa pojawiły się około 3500 roku p.n.e. w Mezopotamii i dolinie Indusu, a krótko później w Egipcie i po przeciwległej stronie świata, w Peru¹⁷. Piramidy w Gizie są megalitycznymi monumentami, podobnie jak wielki Sfinks. Na Wyspach Brytyjskich Callanish na Hebrydach Zewnętrznych i Avebury w południowo-zachodniej Anglii, datowane na około 3000 rok p.n.e., są najstarszymi przykładami stanowisk

megalitycznych. Megalityczna faza Stonehenge zaczęła się około 2400 roku p.n.e. i trwała do około 1800 roku p.n.e.

W ramach tej starannie wypracowanej i od dawna zaakceptowanej chronologii po prostu nie ma miejsca na żadną prehistoryczną cywilizację taką jak Atlantyda, stąd tendencja przedstawicieli mainstreamu do odrzucenia „dziwacznej” opowieści Platona wszelkimi możliwymi sposobami. Sposoby te obejmują wykpiwanie rzekomo „egipskich” podstaw opowieści – a zwłaszcza wyrażonego w *Timajosie* twierdzenia, że według kapłanów z Sais w Delcie Atlantyda i jej straszny los zostały opisane w „świętych kronikach”¹⁸ w ich świątyni, sięgających tysiące lat w przeszłość przed powstaniem egipskiej cywilizacji pod koniec IV tysiąclecia p.n.e.¹⁹ Dla trzymających się kurczowo tradycyjnej chronologii sam pomysł, że kapłani z Sais mogli opowiedzieć Solonowi o takich „niemożliwych” kronikach wydaje się niedorzeczny – uważają to za oczywisty historyczny oksymoron, który można tylko zignorować. Poza tym często się twierdzi, że w zachowanych egipskich papirusach i inskrypcjach nie ma żadnej wzmianki o Atlantydzie.

Tylko jeden egiptolog, nieżyjący już profesor John Gwyn Griffiths z Uniwersytetu Walijskiego w Swansea (zmarły w 2004 roku) miał odwagę wystąpić przeciwko powszechnie panującej opinii. Jednak wyzwanie, jakie rzucił, nie miało nic wspólnego z najważniejszą sprawą – czy Atlantyda rzeczywiście istniała i została zniszczona – lecz dotyczyło tego, czy Platon, przez swojego przodka Solona, mógł rzeczywiście zetknąć się z autentyczną staroegipską tradycją²⁰. Co dziwne w przypadku tak uczonego człowieka, wydaje się, że Griffiths nie wiedział nic o Edfu i tamtejszej intrygującej relacji o świętej wyspie zamieszkaney przez „bogów”, a zniszczonej przez potop i ogień w pradawnych czasach – oczywistym prototypie Atlantydy Platona, jak zobaczymy. Profesor skupił się natomiast na pewnym papirusie, skatalogowanym jako Leningrad 1115, a obecnie przechowywanym w Moskwie, który zawiera intrygujące opowiadanie znane jako *Opowieść rozbitka*. W tej „bajce”, pochodzącej z czasów Średniego Państwa, około lat 2000–1700 p.n.e., Griffiths – moim zdaniem, całkiem słusznie – rozpoznał przekonujące podobieństwa do relacji Platona o Atlantydzie.

Eponimiczny „rozbitek” opowiada o tym, jak pewnego razu płynął wielkim statkiem, który został uderzony przez gigantyczną falę.

Wtedy statek zatonął. Z tych, którzy byli na nim, nie ocalał nikt. Zostałem wyrzucony na wyspę przez morską falę. Spędziłem trzy dni samotnie... Leżąc w schronieniu z drewna, obejmowałem cień... Potem rozprostowałem nogi, żeby sprawdzić, co mógłbym włożyć do ust. Znalazłem tam figi i winogrona, wszelkie rodzaje dobrych warzyw, figi sykomorowe... i ogórki jak hodowlane. Były tam ryby i ptactwo; niczego tam nie brakowało. Najadłem się, a trochę odłożyłem, bo miałem za dużo na rękach²¹.

Następnie rozbitek wyciął świder ogniowy, rozpałił ogień i złożył bogom ofiarę całopalną:

Wtedy usłyszałem grzmiący dźwięk... Drzewa się łamały, ziemia drżała. Odsłoniłem twarz i zobaczyłem, że to wąż się zbliża. Miał 30 łokci [około 15 metrów]... Jego ciało było pokryte złotem, jego brwi były z prawdziwego lapis lazuli... Wziął mnie do paszczy, zaniósł do miejsca, w którym mieszkał, i postawił, nie czyniąc mi krzywdy²².

Wąż spytał rozbitka, jak znalazł się na wyspie, a usłyszawszy odpowiedź, zapewnił go, że nie ma się czego bać:

To bóg pozwolił ci żyć i sprowadził cię na tę Wyspę Ka. Niczego na niej nie brakuje, jest pełna dobrych rzeczy...

Nazwa „Wyspa Ka” jest „dziwna”, zauważyła Miriam Lichtheim, która przetłumaczyła tę opowieść. Dodaje, że słynny egiptolog sir Alan Gardiner przetłumaczył to określenie jako „wyspa ducha”²³. Rozważania na temat koncepcji ka – „sobowtóra”, duchowej, czy też astralnej esencji osoby lub rzeczy – wykraczają poza temat tej książki. Istniała ona wraz z człowiekiem w doczesnym życiu, ale była „wyższą mocą w sferze pozagrobowej”. W języku egipskim o kimś, kto umarł, mówiono, że „udał się do swego ka” albo „udał się do swego ka na niebie”²⁴. Bogowie również mieli ka, podobnie jak wielkie monumenty Egiptu. Co szczególnie istotne, wielki bóg Ozyrys, pan niebiańskiego królestwa zmarłych zwanego *Duat*, był nazywany „ka piramid w Gizie”²⁵.

Ka wkraczało do wieczności przed swoim ludzkim partnerem, wypełniwszy swoje zadanie, które polegało na towarzyszeniu człowiekowi i nakłanianiu go do uprzejmości, spokoju, szacunku i współczucia. Przez całe życie człowieka ka było jego sumieniem, strażnikiem i opiekunem. Po śmierci jednak to ka stawało się najważniejsze...²⁶

Kiedy mamy tę świadomość, sugestia Gardinera, że w *Opowieści rozbitka* jest mowa o „wyspie ducha”, nabiera sensu. Rozbitek wyruszył na statku z materialnego świata Egiptu Średniego Państwa, lecz został wyrzucony na brzeg Wyspy Ka – sfery duchów – miejsca, które istnieje na tym świecie już tylko w formie swojej duchowej esencji.

Ten sam wątek jest kontynuowany, kiedy wąż władający wyspą opowiada rozbitkowi swoją smutną historię:

Byłem tu z moimi braćmi i były z nimi dzieci. Było nas razem 75 węży, z moimi dziećmi i moimi braćmi, nie wspominając o małej córeczce, którą otrzymałem dzięki modlitwie. Wtedy spadła gwiazda i z tego powodu wszyscy stanęli w płomieniach. Tak się zdarzyło, że nie było mnie z nimi w ogniu. Nie było mnie wśród nich. Mógłbym dla nich umrzeć, kiedy znalazłem ich jako stos trupów²⁶.

Po pewnym czasie przyplłynął statek i rozbitek został uratowany. Wąż władający wyspą obdarował go prezentami – mirrą, olejami, laudanum,

korzeniami, „perfumami, szminką do oczu, żyrafimi ogonami, kością słoniową, psami, małpami, pawianami i wszelkiego rodzaju cennymi rzeczami”²⁸. Wdzięczny rozbitek chce wrócić z Egiptu z darami, ale zanim wsiadł na statek, wąż zabrał go na stronę i powiedział:

*Kiedy opuścisz to miejsce, nigdy więcej nie zobaczysz tej wyspy; stanie się ona wodą*²⁹.

Zbieżności z opowieścią Platona o Atlantydzie, które wskazuje John Gwyn Griffiths, dotyczą przede wszystkim różnorodności fauny i flory, między innymi słoni, które miały żyć na obu wyspach. Oto, jak Platon opisywał Atlantyde:

I gatunek słoni żył tam bardzo liczny. Było dość paszy dla wszystkich zwierząt, i dla tych, co w bagnach i stawach, i w rzekach mieszkają, i które się po górach i po dolinach pasą – dla wszystkich było dość, a więc i dla tego zwierzęcia, które ma wzrost największy i zjada najwięcej. Oprócz tego, jakie tylko wonności dzisiaj ziemia rodzi gdziekolwiek, korzenie i zioła, i drzewa, i soki, które ciekną kroplami, i kwiaty, i owoce – wszystko to wyspa wydawała i żywiła dobrze. A prócz tego winogrona szlachetne i zboża, które nam za pożywienie służą, i te owoce, które spożywamy, a nazywamy ich wszystkie gatunki strączkowymi, i to drzewo, które napój i pokarm, i olej wydaje, i te trudne do konserwowania owoce z drzew, które dla pobudzenia apetytu po kolacji podajemy i chorzy to bardzo lubią, wszystko to wtedy wydawała ta wyspa, będąca jeszcze pod słońcem, wyspa święta, piękna i przedziwna – w obfitości nieprzebranej. Więc oni to wszystko brali z ziemi...
[przeł. Władysław Witwicki]³⁰

Poza tym Atlantyda była świętą wyspą, podobnie jak Wyspa *Ka*, na którą bóg sprowadził rozbitek. Najbardziej uderzającym podobieństwem jest jednak los Atlantydy, która została pochłonięta przez morze i zniknęła³¹, podobnie jak Wyspa *Ka*, której nikt więcej nie widział, ponieważ „stała się wodą”.

Biorąc pod uwagę takie elementy, Griffiths doszedł do wniosku, że wprawdzie opowieść Platona może „nie pochodzić z Egiptu *in toto*”, jednak niemal na pewno jej koncepcja wywodzi się z Egiptu³². Niewątpliwie ma rację, lecz sądzę, że gdyby znał *Teksty Budowlane* z Edfu, jego argumentacja byłaby jeszcze bardziej przekonująca.

Łączymy wątki

Nie mamy już dostępu do świętych dokumentów przechowywanych niegdyś w świątyni w Sais, lecz Platon twierdzi, że zawierały one historię Atlantydy. Świątynia, którą Solon odwiedził około 600 roku p.n.e., była dedykowana bogini Neith i niezmiernie stara – istniała już za czasów I dynastii, około 3200 roku p.n.e.³³ Niestety została całkowicie zniszczona przed 1400 rokiem n.e. i pozostały z niej tylko sterty gruzu oraz nieliczne pojedyncze bloki, a w jej

miejscu znajduje się wieś Sa al-Hagar³⁴. Wprawdzie oryginalne święte dokumenty przechowywane niegdyś w Edfu także przepadły, lecz ich fragmenty zachowane w *Tekstach Budowlanych* wydają się opisywać w zasadzie tę samą historię, którą poznał Solon i przekazał Platonowi, a która – zdaniem Griffithsa – przetrwała do naszych czasów w bardziej fragmentarycznej i literackiej formie w *Opowiadaniu rozbitka*.

Wiemy już, że Ojczyzna Pradawnych w tekstach z Edfu została opisana jako święta wyspa pośrodku wielkiego oceanu, więc skojarzenie z Wyspą *Ka* z *Opowiadania rozbitka* jest oczywiste, jeśli chodzi o samo położenie geograficzne. Ale zbieżności sięgają głębiej, ponieważ *Teksty Budowlane* zawierają wiele fragmentów wskazujących wyraźnie, że bogiem, który władał Ojczyzną Pradawnych było „martwe bóstwo, *Ka*”. Co więcej, czytamy że wyspa ta była też znana jako „Dom *Ka*”³⁶ i że „*Ka* tam panowało”³⁷ – „to *Ka*, które przebywało wśród trzciny na wyspie”³⁸. Innymi słowy, Ojczyzną Pradawnych z *Tekstów Budowlanych* jest nic innego jak Wyspa *Ka*, a o ile Griffiths słusznie widzi w Wyspie *Ka* prototyp Atlantydy Platona, to jest nim także Ojczyzna Pradawnych.

Wskazują na to również pewne szczegóły zawarte w *Tekstach Budowlanych*, które nie występują w *Opowiadaniu rozbitka*. Szczególnie interesujący jest fragment, w którym czytamy o kolistym, wypełnionym wodą „kanale” otaczającym najświętszą część pośrodku wyspy Pradawnych – pierścieniu wody, który miał oddzielać i chronić tę domenę³⁹. To oczywiście bezpośrednia paralela do Atlantydy, gdzie święta dzielnica, w której stała świątynia i pałac boga, przez Platona zwanego Posejdonem, również była otoczona pierścieniem wody, leżącym pośrodku czterech podobnych koncentrycznych pierścieni poprzedzielanych pierścieniami lądu, także pełniących funkcję obronną⁴⁰.

We wszystkich trzech historiach znajdujemy i inne szczegóły. Na przykład zatopienie Atlantydy, zrelacjonowane przez Platona, oraz zatopienie Wyspy *Ka* w *Opowiadaniu rozbitka*, znajduje odpowiednik w opisie losu Ojczyzny Pradawnych zawartym w *Tekstach Budowlanych* z Edfu, w których czytamy o kataklizmie:

(...) tak gwałtownym, że zniszczył świętą ziemię...⁴¹ Pierwotne wody... pochłonęły wyspę... i wyspa stała się grobowcem jej boskich mieszkańców...⁴² Ojczyzna znalazła się w ciemnościach pod pierwotnymi wodami⁴³.

Porównajmy to z opisem Platona, który opowiada o „strasznych trzęsieniach ziemi i potopach”,⁴⁴ w wyniku których w „jeden dzień i jedną noc okropną... wyspa Atlantyda „zanurzyła się pod powierzchnię morza i zniknęła”⁴⁵.

Co ciekawe, Platon sugeruje też, co było bezpośrednią przyczyną trzęsień ziemi i potopów, które zniszczyły Atlantyde. W *Timajosie*, preludeum do relacji o zaginionej cywilizacji i jej zagładzie, mówi, że egipscy kapłani, od których Solon usłyszał tę historię, zaczęli ją od wzmianki o kosmicznej katastrofie.

Wiele razy i w różnym sposobie przychodziła zguba rodzaju ludzkiego i będzie przychodziła nieraz. Od ognia i od wody największa, a z niezliczonych innych przyczyn inne, krócej trwające. U was też mówią, że Faeton, syn Heliosa, zaprzął raz konie do wozu ojca, a że nie umiał pędzić po tej samej drodze co ojciec, popalił wszystko na ziemi i sam zginął od pioruna. To się opowiada w postaci mitu, a prawdą jest zbaczanie ciał biegnących około ziemi i po niebie i co jakiś długi czas zniszczenie tego, co na ziemi, od wielkiego ognia⁴⁶.

Także w *Opowiadaniu rozbitka* ważną rolę odgrywa kosmiczny kataklizm. Jak czytelnicy pamiętają, król-wąż opowiedział o zagładzie swojej rasy, kiedy „spadła gwiazda i z tego powodu wszyscy stanęli w płomieniach”. Takie samo złowieszcze zjawisko występuje w *Tekstach Budowlanych*, w których również wspomniany jest wąż, lecz – co ciekawe – nie jako smutny i mądry władca wyspy, a raczej jako śmiertelnie niebezpieczny „wróg” wyspy i jej boskich mieszkańców⁴⁷. Aby umieścić słowa *Tekstów Budowlanych* z Edfu w szerszym kontekście, wróćmy do zaratusztriańskiej legendy o „złym duchu”, który:

(...) skoczył niczym wąż z nieba na ziemię... Spadł w południe i niebo było wstrząśnięte i przerażone z jego powodu jak owca przed wilkiem. Wpadł do wody, która była umieszczona poniżej ziemi, a potem przebił i dostał się do środka tej ziemi... Rzucił się na całe stworzenie i sprawił, że świat był tak zraniony i tak ciemny w południe, jakby była ciemna noc⁴⁸.

Moim zdaniem – czego dowodziłem już w rozdziale siódmym, jest to „mityczna wersja prawdy”, którą było katastroficzne spotkanie z kometą. Teraz przyjrzyjmy się odpowiednim fragmentom *Tekstów Budowlanych*, w których wąż zwany *nehep-wer*, czyli „Wielki Skaczący”, jest opisany jako „największy wróg boga”⁴⁹. To jego „atak” spowodował, że Ojczyznę Pradawnych pochłonęło morze, ale wcześniej stopy bóstwa – *Ka*, tutaj nazwanego wprost „Bogiem Ziemi”⁵⁰ – zostały „przebite, a domena rozdarta”⁵¹.

Reymond zauważa, że:

(...) jest to klarowny obraz kataklizmu... Zniszczył świętą ziemię i spowodował śmierć jej boskich mieszkańców. Taka interpretacja jest zgodna z innymi częściami pierwszego tekstu z Edfu, który wspomina o śmierci „Towarzyszy” [grupy boskich istot] i ciemności, jaka spowiała pradawną wyspę⁵².

Wygląda na to, że spotykają się tutaj różne wątki: zmiana kursu ciał niebieskich u Platona, prowadząca do zniszczeń na Ziemi, zabójcza spadająca gwiazda z *Opowiadania rozbitka*, wąż z tradycji zaratusztriańskiej, który wyskakuje z nieba, przebija ziemię i przynosi ciemność, oraz Wielki Skaczący Wąż z *Tekstów Budowlanych* z Edfu, którego atak przebija stopy Boga Ziemi,

proceedzi do śmierci boskich Towarzyszy i pogrąży ziemię w ciemnościach. Przypomina mi się także opisany w rozdziale trzecim mit Odżibwejów o „gwieździe z długim, szerokim ogonem, która zeszła tu na dół tysiące lat temu” – gwieździe, w której łatwo można rozpoznać kometę⁵³, i która spowodowała „pierwsze zatopienie ziemi”⁵⁴.

Spadające komety i asteroidy nie tylko wywołują powodzie, ale również naruszają skorupę ziemską, powodując trzęsienia ziemi i wzmożoną aktywność wulkaniczną. Czy może być więc dziełem przypadku, że Platon, który uznał za istotne poprzedzenie swojej relacji wstępem o „piorunie” Faetona, jako przyczynę zagłady Atlantydy, wskazał powodzie i trzęsienia ziemi, a całe zdarzenie datował dokładnie na 9000 lat przed Solonem, czyli 9600 rok p.n.e.? Moim zdaniem jest wysoce prawdopodobne, że wszystkie te przekazy nawiązują do tej samej straszliwej epoki w prehistorii.

Epoką tą, jak twierdziłem w poprzednich rozdziałach, jest młodszy dryas, który zaczął się w katastroficznych okolicznościach 12 800 lat temu i zakończył równie dramatycznie 11 600 lat temu, przy czym jego początkowi i końcowi towarzyszyły powodzie o ogromnej skali, związane z osiadaniem północnoamerykańskiego i europejskiego lądolodu. Moim zdaniem teoria łącząca początek młodszego dryasu z uderzeniem w Ziemię licznych dużych fragmentów komety jest wysoce prawdopodobna. Wobec świadectw mitologicznych powinniśmy wziąć pod uwagę, że spotkanie z innymi orbitującymi fragmentami tej samej komety mogło zakończyć okres młodszego dryasu.

Sugeruję też, że w wyniku tych zdarzeń zaawansowana cywilizacja została starta z powierzchni ziemi – jak głoszą liczne mity i legendy z całego świata.

Zagadka Zdrowego Oka

Archeologia nie myli się, mówiąc nam, że większą część świata między 12 800 a 11 600 lat temu zamieszkiwali myśliwi i zbieracze, tkwiący w epoce kamienia i niemający pojęcia choćby o początkach rolnictwa. Ale Platon, ku nieustającej frustracji archeologów, nie pozostawia wątpliwości, że Atlantyda była zupełnie inna. Mówiąc najkrócej, było to wielkie i wspaniałe imperium dysponujące flotą oceanicznych statków, które mogły poszerzyć sferę jego wpływów w Afryce aż po Egipt, w Europie po Italię⁵⁵ i na ląd, który Platon nazywa „lądem leżącym naprzeciw” – co zdaniem wielu osób oznacza Ameryki⁵⁶ – „który ogranicza tamto prawdziwe morze”⁵⁷. Atlantyda była w

pełni rozwiniętym miastem-państwem, czerpiącym swoje bogactwo z dojrzałej i wydajnej gospodarki rolniczej, chlubiącym się wysoko rozwiniętą metalurgią, zaawansowanymi dziełami architektury i inżynierii, wspieranymi przez nieprzebrane bogactwa naturalne.

Więc oni to wszystko brali z ziemi i budowali świątynie i pałace królów, i porty, i arsenały, i całą resztę swojej ziemi urządzili w ten sposób. Te koliste kanały morskie, które otaczały dawną stolicę, naprzód połączyli mostami, otwierając w ten sposób drogę na zewnątrz i do królewskiego zamku. A zamek królewski w tej siedzibie boga i przodków zrazu urządzili po prostu, a później go jeden po drugim dziedziczył i to, co już było ozdobione i porządne, jeszcze porządkował i zdobił, i przewyższał świetnością poprzednika, aż w końcu wykończyli gmach zdumiewający oko wielkością i pięknnością robót. Przekopali kanał, poczynając od morza, szeroki na trzy pletry, a na sto stóp głęboki i długi na pięćdziesiąt stadiów, sięgający do obręczy najbardziej zewnętrznej, i w ten sposób otworzyli wjazd z morza do środka, jakby do portu. Rozkopali wejście tak szerokie, że mogły w nie wpływać największe okręty. Przekopali też w kierunku mostów te pierścienie ziemne, które przedzielały koliste kanały morskie. Tak szeroko, że jedna triera mogła przepływać z jednego kanału do drugiego, i pokryli te przejścia górą tak, że dołem mogły przepływać okręty. Dlatego że brzegi pierścieni ziemnych miały dostateczną wysokość ponad poziom morza. Największy z tych pierścieni, przez który morze przepuszczono, był szeroki na trzy stadia, a następny pierścień ziemny był mu równy. Z dwóch następnych pierścieni wodny miał dwa stadia szerokości, a suchy był mu znowu równy. Na jedno stadion był szeroki ten, który biegł naokoło samej wyspy. A wyspa, na której stał zamek królewski, miała pięć stadiów w średnicy. Więc tę wyspę naokoło i pierścienie, i most, szeroki na jedno pletron, z obu stron kamiennym murem otoczyli, wieże i bramy nad mostami wedle przejść ku morzu wiodących z każdej strony wzniesli, a kamień ciosowy dali pod wyspą naokoło, pod tą środkową i pod pierścieniami na zewnątrz i na wewnątrz – jeden kamień biały, jeden czarny, a jeden czerwony. Kładąc ten kamień ciosowy wykonali równocześnie dwie przystanie dla okrętów wewnątrz, kryte żywą skałą. Z budowli jedne zrobili po prostu, a inne figlarnie ozdobili wzorami jak tkaniny, mieszając kamienie różnej barwy i wyzyskując ich naturalny urok. Cały obwód muru, obiegającego koło największe, okryli brązem zamiast lakieru, a wewnętrzną stronę pociągnęli stopioną cyną. Mur okalający sam zamek okryli orichalkum, które ma połyski ogniste⁵⁸.

Nikt dzisiaj nie wie, jakim dokładnie metalem było owo legendarne orichalkum, ponieważ Platon mówi, że do jego czasów przetrwało „jedynie z nazwy”⁵⁹, lecz to tylko podkreśla aurę technologicznej maestrii, jaka otacza tę zaginioną cywilizację.

Dalekomorska żegluga, zaawansowane rolnictwo oraz monumentalne dzieła architektury i inżynierii należą do najbardziej charakterystycznych cech Ojczyzny Pierwotnych opisanej w *Tekstach Budowlanych* z Edfu. Pamiętamy, że ma tam swój pierwowzór system koncentrycznych kanałów, ale okazuje się, że podobnie jest z wielkimi świątyniami Atlantydy. Czytamy na przykład o kaplicy „mierzącej 90 na 20 łokci” (około 45 na 10 metrów):

Przed nią zbudowano wielki dziedziniec mierzący 90 na 90 łokci... Następnie wzniesiono salę hypostylową 50 na 30 łokci... a potem inną salę o wymiarach 20 na 30 łokci, a przed pierwszym hypostylem dodano dwie kolejne sale mierzące 45 na 20 łokci⁶⁰.

Opisany został też święty okrąg mierzący 300 łokci (150 metrów) ze wschodu na zachód i 400 łokci z północy na południe. Wewnątrz znajduje się świątynia, „Dom Boga”, a w niej Święte Świętych, które miało 90 łokci z zachodu na wschód⁶¹.

Trzeci okrąg również mierzy 300 na 400 łokci. Również w nim znajduje się wewnętrzne sanktuarium mierzące 90 łokci z zachodu na wschód i 20 łokci z północy na południe, podzielone na trzy pomieszczenia, z których każde miało 30 na 20 łokci⁶².

Lecz najważniejszą wskazówkę na temat zaawansowanych technologii znanych w Ojczyźnie Pradawnych zawiera jeden z fragmentów *Tekstów Budowlanych*; opisuje on katastroficzną zagładę wyspy po ataku niebiańskiego „węża” zwanego „Wielkim Skaczącym”, który „przebił” Boga Ziemi i „rozdarł” domenę. Następnie, jak czytamy, „Zdrowe Oko spadło”⁶³.

„Wzmianka o Zdrowym Oku... wydaje się nieco dziwna”, przyznaje Reymond. Wyjaśnia jednak, że – choć teksty są w tym miejscu dość niejasne – określenie to wydaje się:

nazwą ośrodka światła, które oświetlało wyspę⁶⁴.

Krótko mówiąc, powinniśmy sobie wyobrazić jakiś sztuczny system oświetlenia, który rozjaśniał pradawną wyspę bogów. Poza tym:

(...) można powiedzieć jedynie, z wszelkimi niezbędnymi zastrzeżeniami, że wydaje się, jakby tekst czynił aluzję do katastrofy, która spowodowała upadek Zdrowego Oka, a w efekcie całkowita ciemność ogarnęła domenę Stwórcy⁶⁵.

Bogowie odpłynęli...

Co zdarzyło się po katastrofie, która spadła na Atlantyde? Czy ktokolwiek ocalał? A jeśli tak, to co się stało z ich zaawansowaną wiedzą?

Timajos i *Kritias* Platona nie dają odpowiedzi na te pytania, lecz możemy je znaleźć w *Tekstach Budowlanych*, które mówią wyraźnie, że z kataklizmu, który dotknął Ojczyznę Pradawnych, ocalały „kompanie bogów”, którzy byli na morzu w chwili, gdy święta wyspa została zatopiona. Po kataklizmie bogowie wrócili w miejsce, gdzie wcześniej znajdowała się wyspa, ale:

(...) ujrzeli tylko trzciny na powierzchni wody⁶⁶.

Było tam też dużo mułu⁶⁷, co przywodzi na myśl platoński opis miejsca Atlantydy po potopie:

(...) teraz tamto morze jest dla okrętów niedostępne i niezbadane; bardzo gęsty muł stanowi przeszkodę – dostarczyła go wyspa zapadająca się na dno⁶⁸.

Wydaje się, że w przypadku Ojczyzny Pradawnych jakaś część zatopionej wyspy pozostała na tyle blisko powierzchni morza, że ocaleni podjęli próbę jej odzyskania – *Teksty Budowlane* nazywają to przedsięwzięcie „stworzeniem ziem paj”, w którym termin „ziemie paj” oznacza najwyraźniej ziemię odebraną morzu⁶⁹. Czytamy więc o tym, jak *Szebtju* wyrecytowali święte zaklęcia, a woda stopniowo cofnęła się z brzegów wyspy i ukazała się ziemia paj⁷⁰. Następnie tekst opisuje:

(...) proces... ciągłego stwarzania przez wyłanianie się kolejnych działek ziemi...⁷¹ Stworzenie tych... świętych domen było w istocie wskrzeszeniem i odnowieniem tego, co istniało w przeszłości, ale zginęło...⁷² Wreszcie pojawiły się dalsze ziemie paj, które dały nowe życie dawnej ojczyźnie⁷³.

Jednak wszystkie te wysiłki nie mogły zmienić faktu, że kataklizm tak doszczętnie zniszczył pradawną wyspę, że nic nie było w stanie przywrócić jej dawnej chwały. Dlatego jedynym rozwiązaniem dla ocalałych było podjąć próbę odtworzenia jej w jakimś innym miejscu, które nie zostało aż tak ciężko dotknięte przez katastrofę. Efektem było rozpoczęcie nowego wielkiego projektu, a jego owocem jest świat, w którym dzisiaj żyjemy. Jak wyjaśnia Reymond, *Teksty Budowlane* z Edfu podają:

(...) że bogowie opuścili ziemie paj...⁷⁴ Odpłynęli do innej części pradawnego świata...⁷⁵ [i] podróżowali po ziemiach pradawnego świata...⁷⁶ W każdym miejscu, w którym się osiedlili, zakładali nowe święte okręgi⁷⁷.

Mówiąc krótko, ich misja polegała na zaszczepianiu zaginionej cywilizacji i religii z czasów przed potopem. Jak to ujęła Reymond, w tej „drugiej erze pierwotnej epoki” nastąpił „rozwój domen, które przetrwały do czasów historycznych”⁷⁸.

Zacząć od nowa jak dzieci

Teksty z Edfu wspominają o *semed*, „wędrujących”, o „kompanii bogów”⁷⁹, którzy zainicjowali cywilizacyjny projekt. Ich przywódcą był sokół Horus, któremu znacznie później dedykowano świątynię w Edfu, ale był z nimi również Thot, bóg mądrości⁸⁰. Horusowi i Thotowi towarzyszyli *Szebtju* – grupa bóstw odpowiedzialnych za „stwarzanie”⁸¹. „Bogowie Budowniczości” zajmujący się pracami budowlanymi⁸² oraz „Siedmiu Mędrców”⁸³. W kontekście mezopotamskich legend o Apkallu, którymi zajmowaliśmy się w

rozdziale ósmym, to bardzo interesująca informacja i wydaje się, że nie może tu być mowy o przypadkowej zbieżności.

Czytelnicy zapewne pamiętają, że Apkallu byli często przedstawiani jako hybrydowe stworzenia, po części ludzie, po części drapieżne ptaki. Podobnie *Teksty Budowlane* opisują Siedmiu Mędrców jako pradawne bóstwa, które mogły przybierać „formę sokoła” lub „przypominającą sokoła”⁸⁴.

Również podobnie jak przedpotopowi Apkallu, Mędrcy z *Tekstów Budowlanych* (o których nie wspomina żadna inna starożytna egipska inskrypcja) byli magami bogów. Byli wróżbitami umiejącymi przewidywać przyszłość⁸⁵ i umieli *sur ihet ta* – „obdarzać mocą substancje ziemi”⁸⁶ – w procesie tworzenia „słowem stwórców”⁸⁷, co, jak zauważa Reymond, „nie ma żadnej analogii”⁸⁸. Ponadto wierzono, że umieli „powiększać rzeczy” i tym samym zapewniać magiczną ochronę⁸⁹. Zdaniem Reymond ten „niezwykle niejasny” tekst dotyczy najprawdopodobniej „ochrony uzyskiwanej za pomocą symboli. Magiczna moc ochronna była roztaczana przez nadawanie nazw”⁹⁰.

Apkallu łączyli magię z umiejętnościami praktycznymi – takimi jak kładzenie fundamentów świątyń i miast. Podobnie działalność mędrców z Edfu miała praktyczny, budowlany aspekt i wiele fragmentów tekstów potwierdza ich udział w planowaniu i wznoszeniu budowli oraz w kładzeniu fundamentów⁹¹. Co więcej, Egipcjanie wierzyli, że „plany historycznych świątyń były oparte na tym, co mędrcy z pierwotnej epoki objawili Thotowi”⁹².

Aluzja do szczególnego związku między mędrcami i Thotem stanowi kolejną paralelę, ponieważ Apkallu, jak pamiętamy, byli związani z Enki, mezopotamskim bogiem mądrości. W mezopotamskich inskrypcjach Enki ma rangę wyraźnie wyższą niż mędrcy – jest ich stwórcą. Jednak, co dziwne, *Teksty Budowlane* wydają się stawiać wiedzę mędrców wyżej niż wiedzę Thota. Według tekstów z Edfu oryginalne dokumenty i archiwa, z których zostały one zaczerpnięte, zawierały „słowa mędrców” podyktowane Thotowi, który utrwalił je na piśmie⁹³. Dalej teksty ujawniają, że mędrcy z mitycznej epoki byli uważani za „jedyne boskie istoty, które wiedziały, jak stworzono świątynie i święte miejsca”⁹⁴, a nawet sami byli stwórcami wiedzy⁹⁵, która następnie była przekazywana, ale nie wynajdywana na nowo. To przywodzi na myśl mezopotamską ideę, że od czasów przedpotopowych Apkallu nie wynaleziono nic nowego – a w późniejszych epokach jedynie przekazywano i rozwijano pierwotne objawienie.

Podsumowując, wydaje mi się, że idea odzyskania i upowszechniania wiedzy po globalnym kataklizmie, tak mocno wyrażona w klinowych inskrypcjach starożytnej Mezopotamii, jest dokładnie tym samym projektem,

który został opisany w *Tekstach Budowlanych* z Edfu; one zaś z kolei niepokojąco przypominają relację Platona o zaginionej cywilizacji Atlantydy z epoki lodowcowej.

Co więcej, teksty z Edfu skłaniają nas do rozważenia możliwości, że ocaleni przedstawiciele zaginionej cywilizacji – nazywani „bogami”, lecz wyraźnie ludzcy, choć dysponujący tajemniczymi „mocami” – po potopie rozpoczęli wędrówkę po świecie. Szczęśliwym trafem jedynie społeczności myśliwych i zbieraczy, ludzie z gór i pustyń – „niepiśmienni i niecywilizowani”, jak to ujął Platon w *Timajosie* – „ocalały z plagi potopu”⁹⁶. Ale niosący cywilizację mieli desperacką nadzieję, że – jeśli ich misja się powiedzie – ludzkość nie będzie musiała być „znowu jak dzieci, zupełnie nieświadome tego, co zdarzyło się w dawnych czasach”⁹⁷.

Świadectwa zawarte w mezopotamskich inskrypcjach i w Göbekli Tepe, do czego jeszcze wrócimy, wskazują, że górskie tereny starożytnej Armenii i wschodniej Turcji były jednymi z pierwszych dzikich ziem, na które udali się po potopie krzewiciele cywilizacji. Ale teksty z Edfu wskazują, że dotarli również nad Nil, płynący w swej żyznej dolinie przez pustynie Egiptu.

Co więcej, *Teksty Budowlane* mówią całkiem wyraźnie, do której części Egiptu dotarli najpierw – i nie było to Edfu, jak zobaczymy w następnym rozdziale.

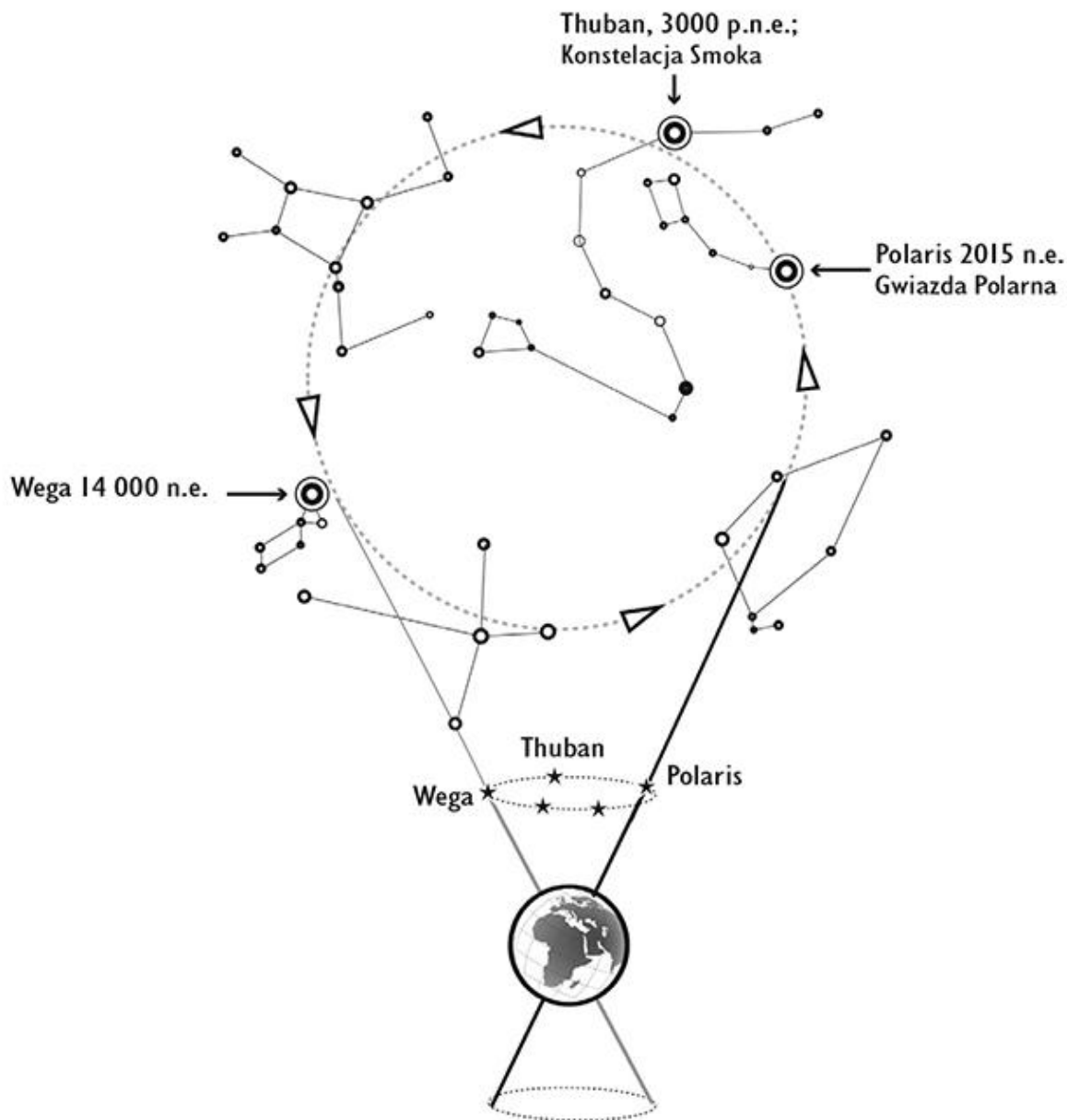
10. KLASZTOR SIEDMIU MĘDRCÓW

Jak pamiętamy, w *Timajosie* Platon opowiedział o wydarzeniach – opisanych w starożytnych egipskich kronikach świątynnych – które rozegrały się 9000 lat przed Solonem, czyli około 9600 roku p.n.e. Ale *Timajos* nie jest jedynym miejscem, w którym Platon pisze o tak zamierzchłej przeszłości. Na przykład w *Prawach* mówi o starożytnych Egipcjanach.

Gdybyś mógł zobaczyć ich sztukę na własne oczy, przekonałbyś się, że 10 000 lat temu (i nie mówię tego niezobowiązująco, mam na myśli dokładnie 10 000) tworzyli malowidła i rzeźby, które nie są ani lepsze, ani gorsze od dzisiejszych¹.

To ciekawe, że grecki filozof zwraca uwagę na „10 000 lat”, wyraźnie podkreślając, że właśnie taką datę ma na myśli. Ale my żyjemy – podobno – w epoce nauki i dysponujemy obiektywnymi metodami datowania, więc co możemy zrobić z tą chronologią?

Platon urodził się około 428 roku p.n.e., więc jego wzmianka o „10 000 lat” wcześniej oznacza rok 10 400 według naszego kalendarza – co jest zastanawiająco bliskie dacie 10 450 p.n.e., którą zaproponowałem w *Śladach palców bogów* dla zamierzchłej epoki *Zep Tepi* – „Pierwszego Razu” – kiedy według starożytnych Egipcjan bogowie chodzili po ziemi i powstała cywilizacja doliny Nilu².



Il. 33. Działanie precesji powoduje zmianę Gwiazdy Polarnej w bardzo długim czasie.

Na tę datę wskazują wyniki badań poprzedzających powstanie książki *Piramidy: brama do gwiazd*, przełomowego studium mojego przyjaciela Roberta Bauvala na temat astronomicznych aspektów słynnych piramid w Gizie³. Dokładniej zajęliśmy się tym problemem w naszej wspólnej książce zatytułowanej *Strażnik tajemnic*⁴. Mówiąc najkrócej, taka data wynika z nadzwyczaj precyzyjnego układu głównych budowli w Gizie i powiązań

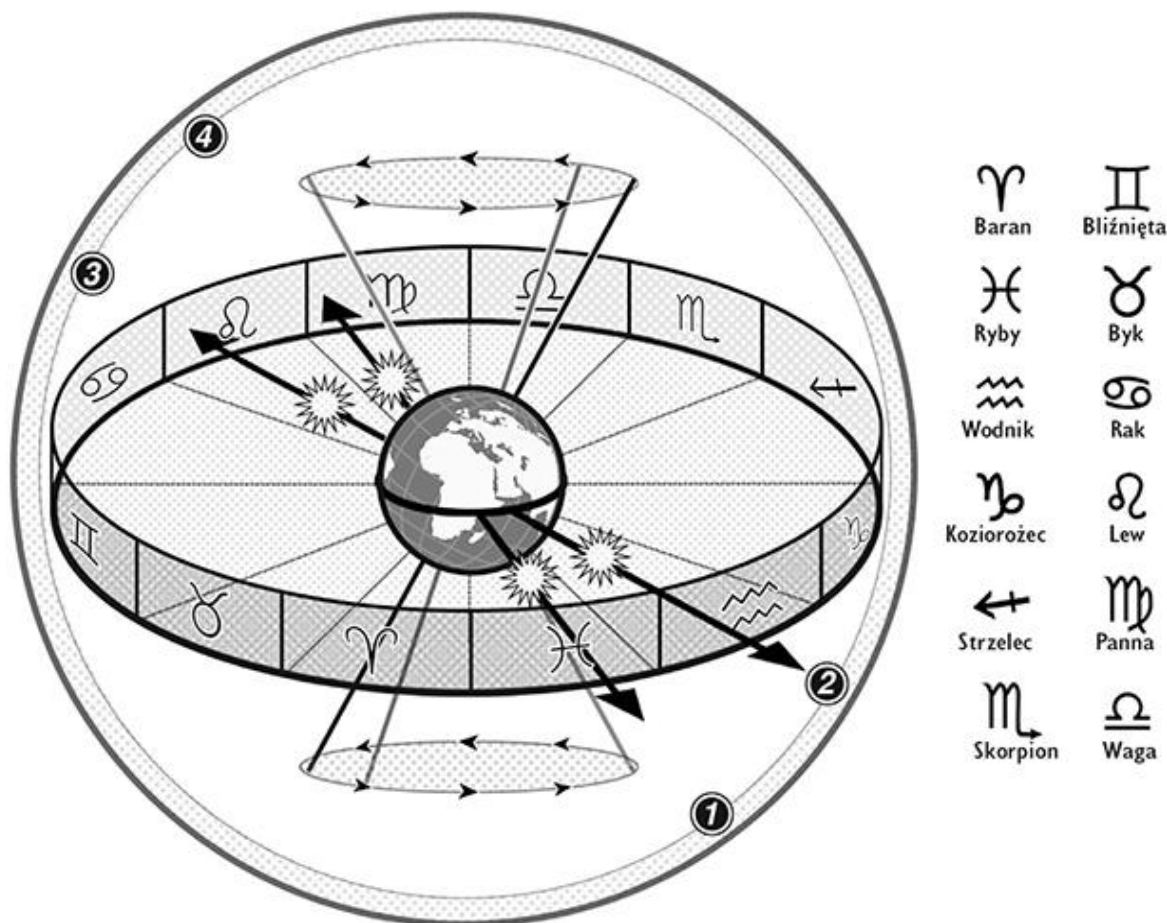
między tymi monumentami a pewnymi gwiazdami na niebie. Czytelników zainteresowanych wszystkimi szczegółami najlepiej będzie odesłać do *Śladów palców bogów*, w których wyczerpująco omówiłem tę sprawę, ale jej sedno sprowadza się do tego, że pozycja gwiazd na niebie nie jest stała, lecz zmienia się stopniowo w bardzo długim cyklu – przez astronomów zwanym cyklem precesyjnym – który obejmuje okres 25 920 lat.

Cykl ten jest wynikiem ruchu osi ziemskiej, powolnego obrotu osi naszej planety, która zakreśla boczną powierzchnię stożka w tempie jednego stopnia na 72 lata; ponieważ to Ziemia jest miejscem, z którego obserwujemy gwiazdy, takie zmiany orientacji wpływają oczywiście na pozycje i pory wzejścia wszystkich gwiazd widocznych z Ziemi. Na przykład nasza Gwiazda Polarna, wokół której wydaje się obracać cała reszta nieba, jest po prostu gwiazdą, w którą celuje przedłużenie osi Ziemi, przechodzącej przez biegun północny. Obecnie jest nią Polaris (alfa Ursae Minoris w konstelacji Małej Niedźwiedzicy), ale działanie precesji powoduje zmianę Gwiazdy Polarnej w bardzo długim czasie. I tak około 3000 roku p.n.e., tuż przed początkiem Epoki Piramid w Egipcie, Gwiazdą Polarną był Thuban (alfa Draconis) w konstelacji Smoka. W czasach Greków była to beta Ursae Minoris, a w 14 000 roku n.e. będzie Wega⁵. Czasem w tej długiej cyklicznej podróży przedłużenie osi ziemskiej celuje w puste miejsce i wtedy nie ma żadnej użytecznej „Gwiazdy Polarnej”.

Najbardziej dramatyczne, ale jednocześnie najpiękniejsze efekty precesji można zaobserwować na horyzoncie w czasie marcowej równonocy, kiedy noc i dzień są równej długości, a słońce wschodzi dokładnie na wschodzie, na tle 12 konstelacji zodiaku. Tempo zmian jest takie samo jak bieguna, tzn. jeden stopień na 72 lata, więc niełatwo je zaobserwować – a tym bardziej zmierzyć – za życia jednego człowieka. Ale jeśli żyjemy w kulturze, która prowadzi kroniki przez długi czas, na pewno zostanie zauważone, że konstelacja zodiaku, która „gości” Słońce w tym szczególnym dniu (wyznaczającym początek wiosny na półkuli północnej), bardzo powoli przesuwa się wzdłuż horyzontu, aż w końcu jej miejsce zajmuje następna konstelacja.

Mówiąc ogólnie, Słońce spędza 2160 lat w każdym z domów zodiaku (30 stopni x 72 lata), a ponieważ znaków zodiaku jest 12, powstaje Wielki Rok – pełny cykl precesyjny zamyka się w 12 x 2160, czyli 25 920 lat – po którego upływie słońce wraca do punktu wyjścia i zaczyna się nowy Wielki Rok. W drodze przez zodiak w ciągu roku słońce spędza około miesiąca w każdym znaku; o czym doskonale wiedzą wszyscy, którzy sprawdzają horoskopy, po Wodniku następują Ryby, po nich zaś Baran, a dalej Byk, Bliźnięta, Rak, Lew i tak dalej. Ale powolny, majestatyczny ruch Słońca w precesyjnym Wielkim

Roku odbywa się w przeciwnym kierunku – w sekwencji: Lew → Rak → Bliźnięta → Byk → Baran → Ryby → Wodnik – a każdy „miesiąc” trwa 2160 lat.



Il. 34. Słońce wschodziło w znaku Ryb (1) w czasie wiosennej równonocy przez ostatnie 2 000 lat, definiując astrologiczną erę Ryb, ale z czasem, w wyniku precesji, przesunie się w Wodnika (2) i zacznie się era Wodnika. Jednocześnie konstelacja wyznaczająca jesienną równonoc zmieni się z Panny (4) na Lwa (3).

Aby podać kilka przykładów – nieprzypadkowo pierwsi chrześcijanie przyjęli rybę jako swój symbol, ponieważ konstelacja Ryb gościła Słońce od początków ery chrześcijańskiej do dzisiaj. I nie bez powodu mówi się, że żyjemy u zarania ery Wodnika, gdyż początek XXI wieku przypada na astrologiczną „ziemię niczyją”, przy końcu ery Ryb i na początku ery Wodnika.

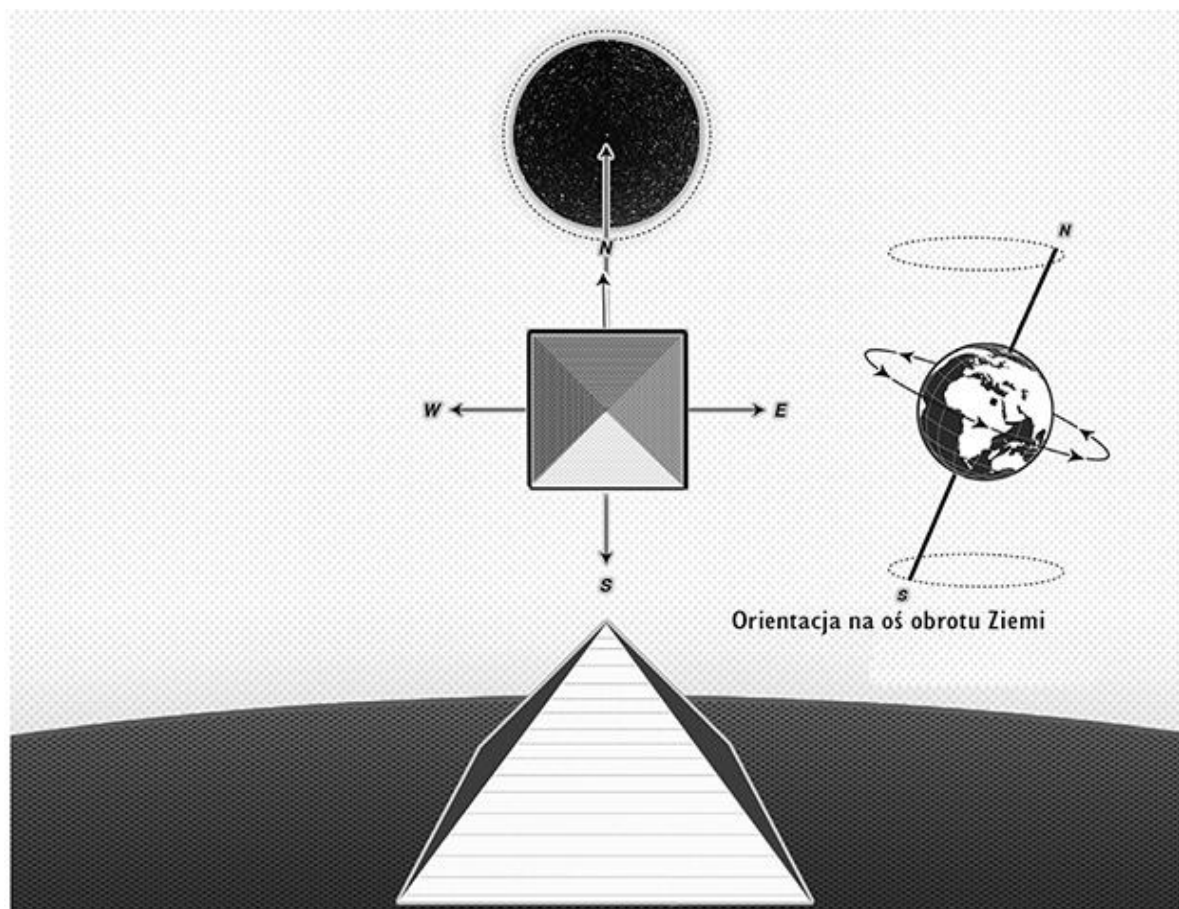
Cofając się przed erę Ryb, dochodzimy do ery Barana (2330 p.n.e.–170 rok p.n.e.), kiedy baran był ważnym symbolicznym motywem w starożytnym Egipcie (przypomnijmy sobie na przykład słynne baraniogłowe sfinksy przy świątyniach w Karnaku i Luksorze), wcześniej zaś ery Byka (4490–2330 rok p.n.e.), kiedy to już za I dynastii, a być może wcześniej został ustanowiony kult byka Apisa.

Niektórzy astrologowie i astronomowie mogą przesuwając granice konstelacji o kilka stopni (a tym samym o jedno lub dwa stulecia) w jedną lub w drugą stronę, ale ogólny schemat jest znany i podane wyżej daty dość dobrze dają pojęcie o sytuacji. Cofając się jeszcze dalej w czasie, co dziś możemy łatwo zrobić, używając programów komputerowych symulujących niebo w starożytności, dojdziemy w końcu do ery Lwa, kiedy słońce wschodziło w dniu wiosennej równonocy w konstelacji Lwa. Ta astrologiczna epoka obejmuje okres od 10 970 do 8810 roku p.n.e. – choć i tutaj, zależnie od tego, jak zakreślimy granice konstelacji, daty mogą się różnić o kilka stuleci. Nie ulega jednak wątpliwości, nawet przy pewnym zonglowaniu granicami, że era Lwa obejmuje dość dokładnie młodszy dryas (10 800 do 9600 roku p.n.e.), o czym jeszcze nie wiedziałem, pisząc *Ślady palców bogów*. I, oczywiście, w *Śladach palców bogów* sugerowałem, że to najprawdopodobniej era Lwa mogła być zamierzchną epoką, którą starożytni Egipcjanie nazywali *Zep Tepi*, „Pierwszym Razem”.

I znowu, jeśli chodzi o szczegółową dyskusję na temat faktów astronomicznych i powiązanych z nimi idei, odsyłam czytelników do *Śladów palców* i *Strażnika tajemnic*, a także do mojej późniejszej książki zatytułowanej *Zwierciadło niebios*⁶. Streszczając te rozważania, sugerowałem, że istniała starożytna, rozpowszechniona na całym świecie doktryna – „jak na górze, tak na dole” – która prowadziła do tworzenia na ziemi monumentów powtarzających układ pewnych ważnych konstelacji na niebie. Poza tym, ponieważ położenie gwiazd zmienia się powoli, lecz nieprzerwanie w wyniku precesji, możemy wykorzystać konkretne konfiguracje astronomicznie zorientowanych monumentów, by ustalić daty, jakie reprezentują – czyli daty, w których gwiazdy znajdowały się w pozycjach przedstawionych w formie monumentów na ziemi.

Na płaskowyżu w Gizie znajduje się najśłynniejszy na świecie zespół astronomicznie zorientowanych monumentów; dla jasności chciałbym podkreślić, że ich orientacja nie ma nic wspólnego z kierunkami kompasu. Północą wskazywaną przez kompas jest północ magnetyczna, która może się zmieniać nawet o 10 stopni i nieustannie się przemieszcza z powodu zmian magnetycznych w jądrze Ziemi. Prawdziwą północą jest geograficzny biegun

północny – innymi słowy oś obrotu Ziemi; na jej podstawie zostało ustalone południe, wschód i zachód. Dlatego należy podkreślić, że Wielki Sfinks patrzy dokładnie na wschód, zaś trzy wielkie piramidy są zorientowane z niebywałą precyzją na geograficzną północ i południe – w przypadku Wielkiej Piramidy błąd wynosi zaledwie 3/60 stopnia.

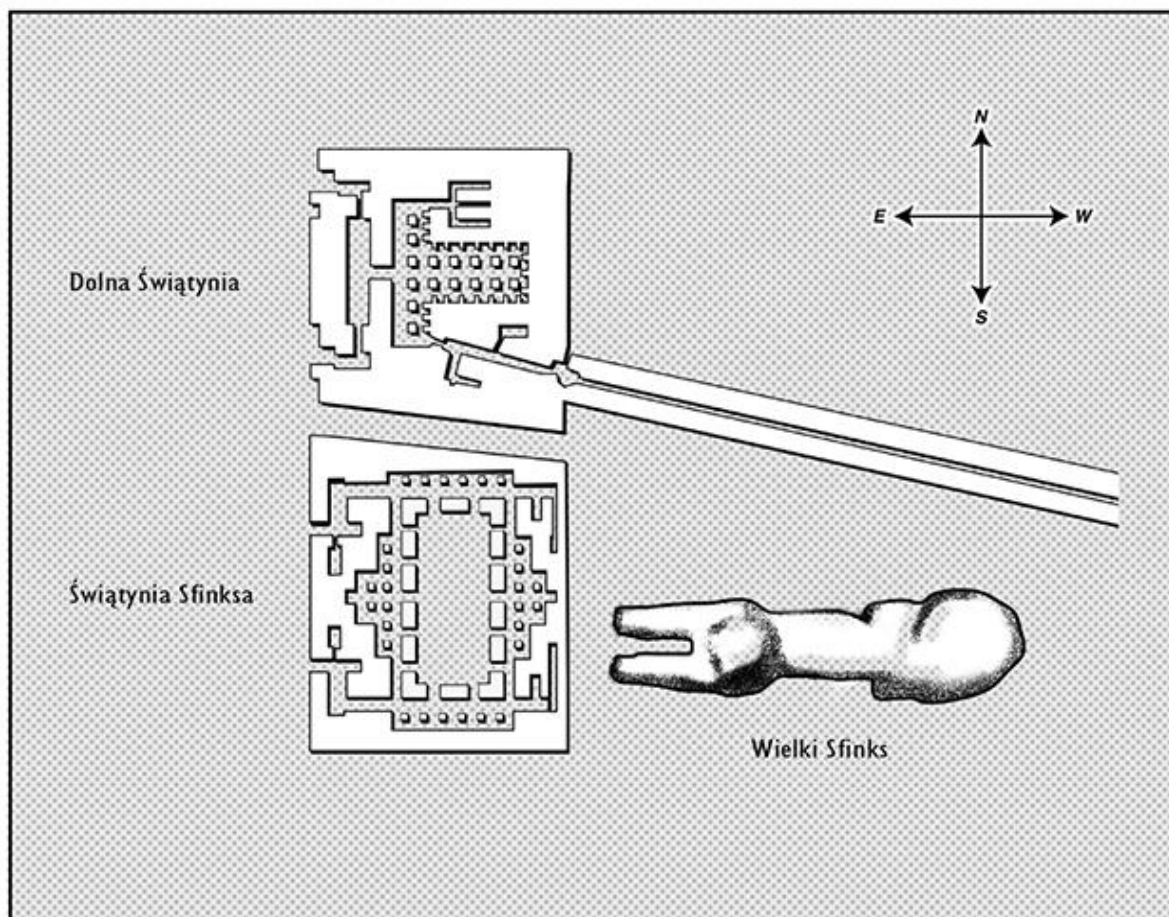


Il. 35. Orientacja Wielkiej Piramidy odbiega od geograficznej północy tylko o 3/60 stopnia.

Wynika stąd, że wszystkie te monumenty zostały zorientowane przy wykorzystaniu metod astronomicznych, gdyż nie sposób osiągnąć takiej precyzji w żaden inny sposób. Innymi słowy, nawet gdyby budowle w Gizie nie miały żadnych innych cech astronomicznych, sama dokładność ich orientacji świadczy, że przyłożyli do niej rękę astronomowie. Ale wykazują one wiele innych związków z astronomią – i to nie tylko te monumenty, lecz i egipskie święte teksty, takie jak *Teksty Piramid*. Również w tej sprawie,

podobnie jak poprzednio, żeby się nie powtarzać – odsyłam czytelników do moich wcześniejszych książek.

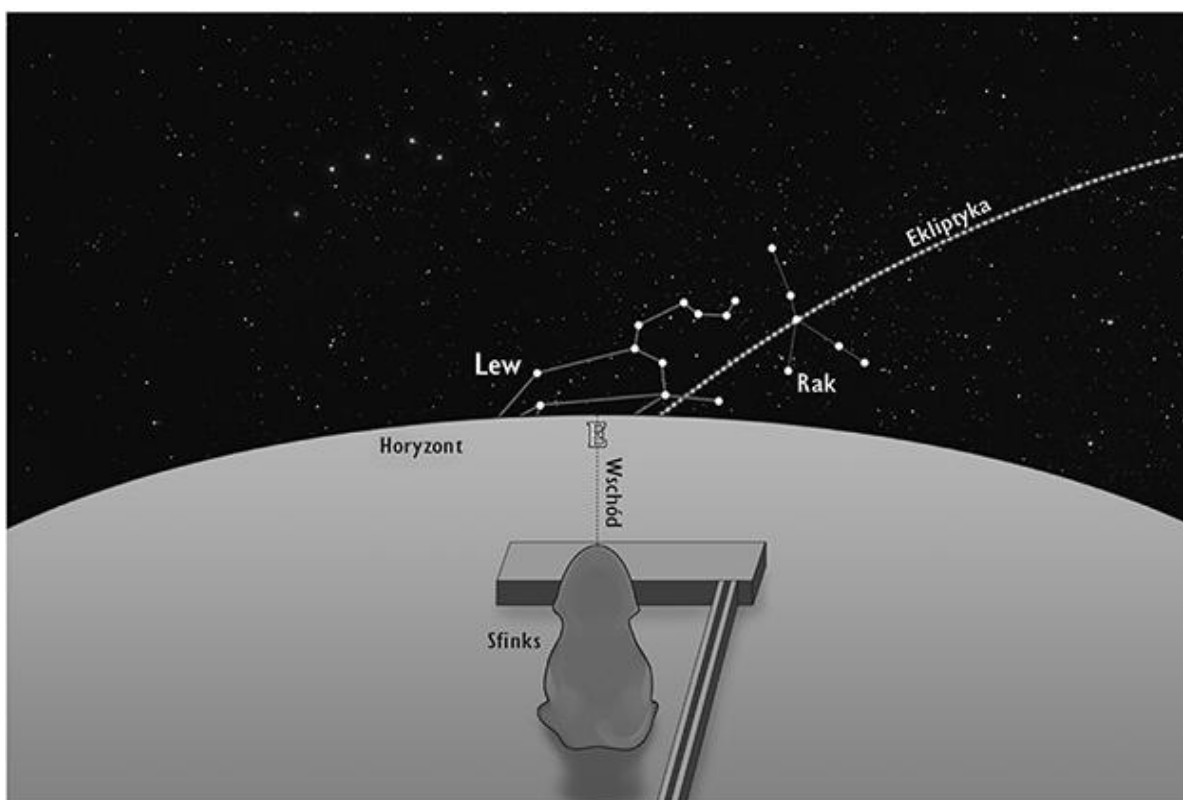
Z całą sprawą są jednak związane dwie konstelacje – Lew, wschodzący nad słońcem o świcie w dniu wiosennej równonocy w epoce 10 500 p.n.e., i Orion, którego starożytni Egipcjanie wyobrażali jako niebiańską postać boga Ozyrysa, zmarłego boga króla władającego zaświatami zwanymi *Duat*. Jak pamiętamy z rozdziału dziewiątego, Ozyrys był w pewnym sensie uważany za *ka* – sobowtóra, duchową esencję – piramid w Gizie.



Il. 36. Wzrok Wielkiego Sfinksa jest skierowany dokładnie na geograficzny wschód.

Nie będę męczył czytelników rozwlekłym udowadnianiem następujących dalej stwierdzeń, ponieważ zostały one dokładnie zaprezentowane, udokumentowane i poparte dowodami w moich wcześniejszych książkach, ale nie ulega wątpliwości, że w Gizie istnieje dziwne powiązanie z epoką około 10

500 roku p.n.e. W *Śladach palców bogów* zdecydowałem się na datę o 50 lat późniejszą – 10 450 rok p.n.e. – ale takie detale nie mają większego znaczenia, ponieważ gwiazdne zmiany zachodzą tak powoli, nawet w obrębie jednej epoki astronomicznej, że ta sama konfiguracja utrzymuje się przez wiele stuleci. Można wręcz powiedzieć, że korelacja ziemi z niebem w Gizie funkcjonowała przez większą część, jeśli nie cały młodszy dryas, od 10 800 do 9600 roku p.n.e. I chociaż na północy – zwłaszcza w Ameryce Północnej i na północy Europy – było wtedy przenikliwie zimno, wiele wskazuje, że w Egipcie klimat był znacznie przyjemniejszy i bardziej sprzyjający uprawom niż dzisiaj. Nie chcę przez to powiedzieć, że kataklizmy młodszego dryasu zupełnie ominęły Egipt – jak zobaczymy, zdarzały się wtedy katastroficzne wylewy Nilu – lecz w porównaniu z innymi częściami świata dolina Nilu wydawała się spokojnym schronieniem.

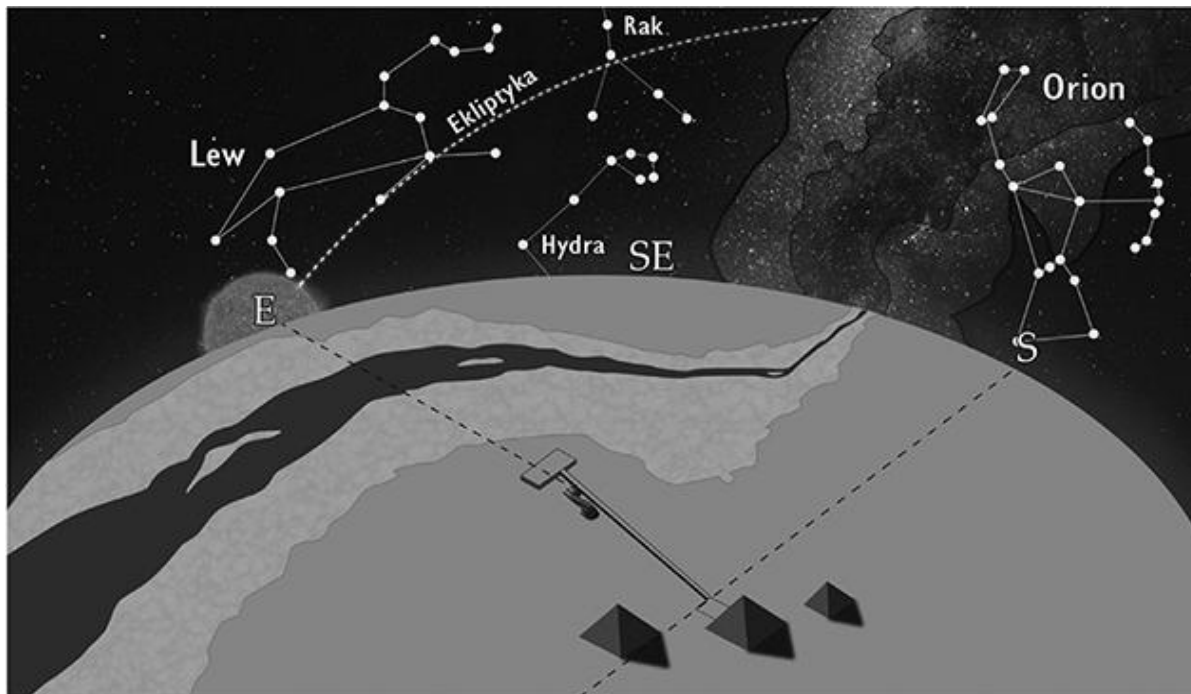


Il. 37. Patrząc na wschód o świcie, mniej więcej godzinę przed wschodem słońca, w dniu wiosennej równonocy około 10 500 roku p.n.e., widzimy konstelację Lwa leżącą na horyzoncie, dokładnie w miejscu, na które patrzy Sfinks.

Jak na górze, tak na dole... Wracając do sprawy związków nieba z ziemią w Gizie około 10 500 roku p.n.e., pomyślmy na początek o mającym ciało lwa (a prawdopodobnie pierwotnie również lwią głowę) zorientowanym dokładnie na wschód monumencie, który nazywamy Wielkim Sfinksem. Spogląda on nie tylko na wschodzące słońce w dniu wiosennej równonocy, ale także na konstelację, która gości Słońce w tym dniu. Zatem dzisiaj Sfinks patrzy na przerwę między Rybami i Wodnikiem. Kiedy powstawała świątynia w Karnaku, patrzył na gwiazdozbiór Barana, a w czasach Starego Państwa, kiedy rzekomo został zbudowany, na Byka – trudno tu znaleźć jakieś znaczące powiązanie nieba z ziemią.

Tylko w jednej epoce w ciągu ostatnich 25 920 lat Sfinks o ciele lwa patrzył tuż przed świtem w dniu wiosennej równonocy na swój gwiazdny odpowiednik, konstelację Lwa. Było to około 10 500 roku p.n.e.

Ale to nie wszystko. W tej samej chwili, gdy słońce znajdowało się pośrodku horyzontu, trzy gwiazdy pasa konstelacji Oriona były widoczne dokładnie na południku – w dodatku w układzie idealnie odpowiadającym układowi trzech wielkich piramid na ziemi, co budzi skojarzenie z obrazem Ozyrysa/Oriona jako *Ka*, czyli „sobowtóra” piramid.



Il. 38. W dzień wiosennej równonocy około 10 500 roku p.n.e., w chwili, gdy Słońce pojawiało się pośrodku wschodniego horyzontu, trzy gwiazdy pasa

Oriona znajdowały się dokładnie na południu – w układzie dokładnie odpowiadającym układowi trzech wielkich Piramid w Gizie.

Odkąd Robert Bauval przedstawił czytelnikom korelację z Orionem w swojej książce *Piramidy: brama do gwiazd* z 1994 roku, a ja rozwinąłem ten temat w *Śladach palców bogów*, a wreszcie wspólnie z Robertem napisaliśmy *Strażnika tajemnic*, hipoteza ta spotyka się z krytyką ze strony mainstreamowego archeoastronoma Eda Kruppa z Griffiths Observatory w Los Angeles.

Krupp twierdził, że korelacja jest „odwrócona”; ten nieco sofistyczny argument oparty na pozornym zakrzywieniu nieba oznacza, że najwyższa z gwiazd pasa Oriona (odpowiadająca południowej z trzech piramid) jest w istocie wysunięta najdalej na północ. Obalając ten zarzut, dowiedliśmy, że rozmieszczenie piramid na ziemi w sposób, który zadowoliłby Kruppa, byłoby może „poprawne” w myśl dzisiejszych konwencji astronomicznych, ale nie dałoby natychmiast rozpoznawalnego i miłego dla oka podobieństwa między tym, co widać na niebie, i tym, co widać na ziemi. Jeśli natomiast uwolnimy się od astronomicznych konwencji XXI wieku (umieszczających północ „na górze”), i po prostu przedstawimy w modelu na ziemi – w taki sam sposób, w jaki zrobiłby to artysta lub rzeźbiarz – to, co było widoczne na niebie w dniu wiosennej równonocy około 10 500 roku p.n.e., rezultatem będzie doskonała korelacja, jak zawsze twierdził Robert Bauval, między trzema wielkimi piramidami i trzema gwiazdami pasa Oriona (więcej szczegółów zamieszczam w Załączniku, *Korelacja Oriona nie jest odwrócona*).

Poza tym, jak wspomniałem wcześniej, szczególnie uderzająca jest zależność między Sfinksem i Lwem. Warto to jeszcze raz podkreślić. Patrząc na wschód godzinę przed świtem w dniu wiosennej równonocy około 10 500 roku p.n.e., zobaczymy konstelację Lwa leżącą na horyzoncie, dokładnie w miejscu, w które wpatruje się Sfinks. Mamy tu niewątpliwą korelację, ponieważ gwiazdozbiór Lwa uderzająco przypomina lwi profil leżącego Sfinksa.

Ziemia się obraca, gwiazdy i Słońce wschodzą, światło zalewa niebo i w końcu – po mniej więcej godzinie dysk słoneczny wyłania się dokładnie na wschodzie, pośrodku horyzontu, na linii wzroku Sfinksa. W tej samej chwili trzy gwiazdy pasa Oriona zajmują miejsce dokładnie na południu, nad południkiem. Potwierdzają to najnowsze programy astronomiczne i wiedział o tym każdy, kto posiadał zaawansowaną wiedzę o mechanice nieba, gdyby taka osoba znalazła się w Gizie około 10 500 roku p.n.e. Można niemal poczuć

działanie astronomicznego mechanizmu, niczym ogromnego zegara: wskazówką godzinową jest korelacja Sfinks/Lew, a minutową – piramidy/pas Oriona; obie razem wskazują jednoznacznie na epokę około 10 500 p.n.e. Jest to ta sama epoka, którą dawno temu zidentyfikowałem z tajemniczym staroegipskim „Pierwszym Razem”; teraz jednak rozumiem, że chodzi również o zmieniający oblicze świata kataklizm młodszego dryasu.

Datowanie za pomocą gwiazd

Użycie kombinacji gwiazd na niebie i monumentalnych konstrukcji na ziemi, aby w symboliczny sposób wskazać na znaczące momenty w dziejach, było praktyką dobrze znaną w starożytności, co obszernie omówiłem w mojej książce *Zwierciadło niebios* z 1998 roku⁷. Przykłady struktur na ziemi odzwierciedlających to, co było na niebie, często rzucają nowe światło na problemy archeologii. Na przykład w 2014 roku pewne starożytne wzgórze w Macedonii zidentyfikowano za pomocą analizy archeoakustycznej jako dzieło człowieka. Wzgórze to mierzy 85 na 45 metrów, jest zorientowane dokładnie w linii północ-południe, a na jego szczycie badacze z uniwersytetu w Trieście rozpoznali gigantyczny geoglif – umieszczony wewnątrz owalnej fosy – przedstawiający konstelację Kasjopei w układzie odpowiadającym 21 lipca 356 roku p.n.e., dniu urodzin słynnego macedońskiego władcy Aleksandra Wielkiego. Badacze napisali:

Kasjopeja znajduje się dokładnie na północy i wznosi się w zenicie nieba ponad geoglifem, tworzącym dokładny obraz nieba na ziemi⁸.

Takie zależności między niebem i ziemią nie ograniczają się wyłącznie do świata starożytnego. Stosunkowo nowy przykład stanowi Zapora Hoovera w Stanach Zjednoczonych. U podstawy Monumentu Dedykacyjnego z dwiema kolosalnymi uskrzydłonymi postaciami na czarnych piedestałach – które przywodzą na myśl mezopotamskie i egipskie skrzydlate bóstwa – rzeźbiarz Oscar Hansen stworzył spektakularną lastrykową posadzkę z astronomicznym schematem. Oto jak amerykański Departament Zasobów Wewnętrznych opisuje to dzieło i jego znaczenie:

Schemat przekazuje przyszłym pokoleniom datę dedykowania Zapory Hoovera przez prezydenta Franklina D. Roosevelta, 30 września 1935 roku...

Na tej gwiazdnej mapie planety Układu Słonecznego są umieszczone tak dokładnie, że ludzie znający się na astronomii mogą obliczyć precesję Gwiazdy Polarnej przez następne 14 000 lat. Natomiast przyszłe pokolenia

będą mogły spojrzeć na ten monument i określić, jeśli zabraknie innych sposobów, dokładną datę dedykowania Zapory Hoovera⁹.

Hansen, który wprost porównał zaporę do Wielkiej Piramidy jako „pomnik zbiorowego geniuszu realizującego się w wysiłkach skupionych wokół wspólnej potrzeby lub ideału”¹⁰, zawarł w swoim projekcie również znaki zodiaku¹¹. Elementy takie, jak mówił, zostały umieszczone jako wskazówki i poszlaki, aby „inteligentni ludzie w odległej przyszłości” mogli określić „astronomiczną datę dedykowania zapory”¹².

Zapora Hoovera i jej monumentalne rzeźby zostały ukończone w 1935 roku, ale oczywiście można wykorzystać symboliczną architekturę i orientacje astronomiczne, aby wskazać dowolne znaczące momenty w przeszłości. Jako przykład można wskazać gotyckie katedry Europy, budowane w XII i XIII wieku n.e., w każdym symbolicznym detalu i w świętej astronomii zawartej w ich murach i witrażach¹³ odwołujące się do znacznie wcześniejszych epok – przede wszystkim do czasów Chrystusa i starotestamentowych patriarchów.

Z czysto astronomicznego punktu widzenia można powiedzieć, że plan i wzajemny układ piramid i Wielkiego Sfinksa wskazują jednoznacznie na epokę około 10 500 roku p.n.e. Ale – o czym doskonale wiedzą czytelnicy moich wcześniejszych książek – budowle te zawierają również elementy, na przykład cztery wąskie szyby przecinające maszynę Wielkiej Piramidy, które wskazują na pewne ważne gwiazdy w pozycjach, jakie zajmowały około 2500 roku p.n.e., czyli wtedy, gdy według egiptologów piramidy miały zostać zbudowane¹⁴.

Innymi słowy, budowle w Gizie zawierają wskazówki kierujące nas na obie epoki – szyby na 2500 rok p.n.e., a układ piramid na 10 500 rok p.n.e.

Długotrwały kult mędrców

Hipoteza, jaką wyprowadzam z tych danych, głosi, że Giza jest jednym z kilku miejsc na świecie – inne to na przykład Göbekli Tepe – gdzie postanowili się osiedlić ocaleni z wielkiego kataklizmu, który niemal doszczętnie zniszczył wielką prehistoryczną cywilizację na początku młodszego dryasu, i gdzie ich mędrcy zapoczątkowali długoterminowy projekt „wskrzeszenia dawnego świata bogów... Odtworzenia zniszczonego świata”¹⁵. Być może uważali, że ich cywilizacja popełniła jakiś straszny błąd, jakąś pomyłkę, która ściągnęła na nich karę w postaci komety młodszego dryasu, dlatego wszelkie próby odbudowy zniszczonego świata od razu i wprost byłyby bezbożne lub nierozważne. A może okazało się to po prostu niemożliwe. Wprawdzie jej

klimat musiał być atrakcyjny, zwłaszcza w czasach, kiedy resztę świata skuwał lód, lecz dolina Nilu, podobnie jak wiele innych miejsc, również doświadczyła katastroficznych wydarzeń związanych z początkiem i końcem młodszego dryasu. Były to między innymi ogromne wezbrania rzeki, tak zwany Dziki Nil, które powtarzały się kilkakrotnie około 10 500 roku p.n.e., a warunki stały się spokojniejsze i bardziej przewidywalne dopiero około 9000 roku p.n.e.¹⁶

Nic nie wskazuje, by Giza – położona na znacznej wysokości ponad dnem doliny – została kiedykolwiek dotknięta przez takie powodzie; byłaby zatem najbardziej oczywistym miejscem, jakie mogli wybrać ocaleni, do założenia stałej bazy, gdzie mogliby rozpocząć realizację projektów architektonicznych, być może z wykorzystaniem pewnych elementów ukształtowania samego płaskowyżu. Wśród takich elementów szczególną uwagę musiało zwracać skalne wzniesienie o wysokości około 10 metrów – jak zobaczymy, wspaniały odpowiednik „prapagórka” wspomnianego w tekstach z Edfu – które znacznie później stanie się częścią rdzenia Wielkiej Piramidy.

Sugeruję, że wykuto szyb sięgający daleko w głąb tego wzniesienia i skalnego podłoża, aby wykonać prostokątne pomieszczenie znane dziś jako Komora Podziemna, do której do dziś można się dostać jedynie długim na ponad 90 metrów szybem (zwanym Korytarzem Zstępującym), opadającym w głąb ziemi pod kątem 26 stopni. Moim zdaniem jest to tylko jedna z kilku podziemnych struktur, jakie zostały wtedy wykute, lecz inne – o wiele większe – wciąż nie zostały odkryte.

Kolejnym elementem, jaki przybysze mogli zobaczyć w Gizie około 10 500 roku p.n.e. był wystający skalny grzbiet (fachowo taką skałę nazywa się „jardangiem”), który być może już wtedy był ukształtowany przez silne wiatry w formę przypominającą lwia głowę. Był on zwrócony na wschód, ku dolinie Nilu, a z czasem został powiększony i wyrzeźbiony na kształt Wielkiego Sfinksa. Możliwe, że jakaś część pracy została wykonana już około 10 500 roku p.n.e. i wówczas przynajmniej przednia część ciała Sfinksa została wydobyta ze skalnego podłoża. Jednak moim zdaniem – i nie zmieniłem go od czasu napisania *Śladów palców bogów* – większość prac przy tym projekcie, podobnie jak przy samych piramidach, wykonano później i ukończono dopiero około 2500 roku p.n.e., kiedy oryginalna lwia głowa Sfinksa, być może silnie zerodowana, została przekuta w nieproporcjonalnie małą ludzką głowę, która przetrwała do dzisiaj. Według mojej hipotezy – którą przedstawiłem w *Śladach palców bogów* i podtrzymuję do dzisiaj – ten sam święty „kult”, sprawowany być może w czymś w rodzaju klasztoru (nazwijmy go Klasztorem Siedmiu Mędrców), który pozostawił po sobie bardzo niewiele śladów, był zaangażowany w obie fazy pracy i we wszystko, co działo się w Gizie

pomiędzy nimi. Jak napisałem w 1995 roku, taka hipoteza rozwiązuje problem „brakujących” 8000 lat dzielących te dwie epoki:

(...) zakładając, że wspomniane szyby [Wielkiej Piramidy] są późniejszym dziełem tego samego prastarego kultu, który stworzył pierwotny plan architektoniczny nekropoli w Gizie w roku 10 450 p.n.e. Hipoteza zakłada również, że pod koniec tej trwającej 8 000 lat luki, ten sam kult dał sygnał do nagłego powstania w pełni ukształtowanej historycznej cywilizacji dynastycznego Egiptu¹⁷.

Datowanie światłem

Od opublikowania *Śladów palców bogów* miałem wiele lat na rozmyślanie o tajemnicach Gizy. Nadal uważam, że rola historycznych faraonów IV dynastii polegała na ostatecznym ukończeniu i zamknięciu znacznie starszego projektu sprowadzonego do Egiptu około 10 500 roku p.n.e. Jednak, jak wspomniałem wcześniej, podziemne struktury w Gizie, a także najwcześniejszy etap prac przy Sfinksie mogą pochodzić z okolic roku 10 500 p.n.e. Charakterystyczne ślady erozji na bokach tego monumentu i w niektórych sekcjach otaczającego go zagłębienia – wyróżnione w analizie przeprowadzonej przez profesora geologii Roberta Schocha z Bostońskiego Uniwersytetu – wskazują, że proto-Sfinks mógł istnieć już w czasach, kiedy w Egipcie padały ulewne deszcze pod koniec ostatniego zlodowacenia,¹⁸ a być może nawet w okresie Dzikiego Nilu.

Świadectwa geologiczne już dawno przekonały mnie, że Sfinks w jakiejś formie pochodzi z epoki około 10 500 roku p.n.e. Ale pomiędzy 10 500 a 2500 rokiem p.n.e. rozciąga się szara strefa. Dotyczy to megalitycznych świątyń w Gizie, a zwłaszcza Świątyni Sfinksa (bezpośrednio przed samym Sfinksem, czyli na wschód od niego) i Dolnej Świątyni, która leży na południowy wschód od Sfinksa; obie składają się w głównej mierze z wapiennych bloków wydobytych ze skały wokół ciała Sfinksa, choć w wielu przypadkach zostały one zasłonięte granitową licówką. Ortodoksyjna archeologia datuje te struktury (zarówno ich wapienne, jak i granitowe elementy) na Stare Państwo – a konkretnie na IV dynastię, lata około 2613–2494 p.n.e.¹⁹ – czyli na epokę 2500 p.n.e.

Kiedy pisałem *Ślady palców bogów*, dopuszczałem możliwość, że powstały one w epoce 10 500 p.n.e. Nadal ją dopuszczam, ale w świetle najnowszych dowodów należy zachować rozwagę przy wyciąganiu wniosków. Świątynie poddano badaniu zaawansowaną techniką naukową zwaną datowaniem luminescencyjnym (która polega na mierzeniu energii świetlnej zgromadzonej w kamieniu). Technika ta wydaje się – na pierwszy rzut oka – zdecydowanie

wykluczać możliwość, by świątynie zostały stworzone w formie, jaką znamy obecnie, w epoce 10 500 p.n.e.²⁰

Piszę „na pierwszy rzut oka”, ponieważ z tą nową techniką wiążą się pewne problemy sprawiające, że nie należy na jej podstawie wyciągać wniosków zbyt pochopnie. Przede wszystkim, co przyznają sami badacze, datowanie luminescencyjne opiera się na założeniu, że badana próbka nie była wystawiona na światło słoneczne od chwili, gdy znalazła się w budowli, której jest częścią. Gdyby jednak od tamtego momentu padły na nią promienie słoneczne, „choćby przez kilka minut” – na przykład gdyby prowadzono jakieś prace budowlane lub renowacyjne w miejscu, z którego pobrano próbkę, nie zasłaniając go dachem – „zostałaby wyzwolona ukryta luminescencja... co przestawiłoby sygnał na zero lub prawie zero”, a tym samym badanie dałoby datę ostatniej przebudowy, a nie powstania budowli²¹.

Datowanie budowli w Gizie metodą termoluminescencyjną zostało przeprowadzone przez fizyka jądrowego, profesora Ioannisa Liritzisa i jego koleżankę Asiminę Vafiadou z Laboratorium Archeometrii Uniwersytetu Egejskiego. Wyniki zostały szczegółowo przedstawione w 2015 roku w „Journal of Cultural Heritage”²². Wskazują one jednoznacznie, że przynajmniej część struktur, z których pobrano próbki, rzeczywiście była przebudowywana i ich ukryta luminescencja została wyzerowana, a zegar zaczął odliczać czas od początku w momencie przebudowy; tak było z próbką numer 4 (wapień z Dolnej Świątyni) i próbką numer 6 (granit ze Świątyni Sfinksa). Pierwsza z nich dała datę 1050 p.n.e., z marginesem błędu wynoszącym +/- 540 lat, zaś druga – 1190 p.n.e., +/- 340 lat²³. Daty te wskazują na Nowe Państwo (XVIII dynastia i później), a świadectwa archeologiczne i epigraficzne potwierdzają, że obie świątynie były w tym okresie już bardzo stare.

W takiej sytuacji powinniśmy ostrożnie podchodzić również do innych dat wskazanych przez to badanie, a z całą pewnością nie przyjmować ich za mocny dowód dotyczący daty budowy świątyń – zwłaszcza w przypadku próbek numer 3 (granit z Dolnej Świątyni) oraz 7 i 8 (granit ze Świątyni Sfinksa). Uzyskano dla nich, odpowiednio, daty: 3060 p.n.e. +/- 470 lat; 2740 p.n.e. +/- 640 lat; 3100 +/- 540 lat²⁴. Daty te z grubsza odpowiadają Staremu Państwu – choć z pewnymi zastrzeżeniami, którymi zajmiemy się niżej – ale w żadnym wypadku nie wykluczają wcześniejszej daty budowy dla wapiennego rdzenia obu świątyń, ponieważ Robert Schoch zawsze twierdził, że:

(...) granitową licówkę dodano w Starym Państwie, aby naprawić i odnowić starsze (znacznie starsze – „w wieku Sfinksa”) wapienne świątynie²⁵.

Pozostała nam więc tylko jedna próbka (numer 5), pobrana z oryginalnego wapiennego muru Świątyni Sfinksa. Uzyskano dla niej datę 2220 p.n.e., +/- 220 lat²⁶, lecz nie można stąd wyciągnąć żadnych rozstrzygających wniosków, ponieważ miejsce, z którego ją pobrano, nie wyklucza możliwości, jak napisał Schoch, że „mogła być odsłonięta lub przerabiana w czasie napraw budowli prowadzonych w Starym Państwie”²⁷.

Podsumowując, nowe badania nie dostarczają żadnych dowodów, które potwierdziłyby ponad wszelką wątpliwość, że megalityczne elementy Dolnej Świątyni i Świątyni Sfinksa zostały wzniesione przez faraona IV dynastii Chafre, jak twierdzą archeolodzy. Wręcz przeciwnie – jedyne, czego dowodzą, to fakt, że świątynie były przerabiane w czasach Nowego Państwa. Co jeszcze bardziej niepokojące dla mainstreamowej chronologii, datowanie luminescencyjne podsuwa możliwość, że granitowa licówka świątyń (z wyjątkiem próbki numer 6 datowanej na Nowe Państwo) nie została dodana za czasów IV dynastii, lecz znacznie wcześniej – być może około 3380 roku p.n.e. (przyjmując najwcześniejszą możliwą datę) dla próbki numer 7; około 3530 roku p.n.e. dla próbki numer 3 i 3640 roku p.n.e. dla próbki numer 8²⁸.

Takie wyniki przesuwają renowację Świątyni Sfinksa (czyli obłożenie granitową licówką jej znacznie starszych i silnie zerodowanych megalitycznych bloków wapiennych), o której od zawsze mówił Robert Schoch, wstecz, aż do okresu predynastycznego, czyli na długo przed początkami kamiennej architektury w starożytnym Egipcie. I nie muszę chyba dodawać, że skoro w okresie predynastycznym świątynie wymagały takiej radykalnej renowacji, to ich wapienne mury musiały być naprawdę bardzo stare i mogły pochodzić nawet z okresu około 10 500 p.n.e.

Tyle o Świątyni Sfinksa i Dolnej Świątyni, a co z zagadkowymi piramidami, które górują ponad nimi?

Badacze nie mogli przeanalizować drugiej piramidy w Gizie, tradycyjnie przypisywanej (podobnie jak Sfinks i jego świątynie) królowi Chafre. Nie mogli też zbadać Wielkiej Piramidy, przypisywanej Chufu. Ale przetestowali jedną próbkę z najmniejszej z piramid, którą egiptolodzy przypisują Menkaure, następcy Chafre na tronie faraonów. Próbka, pobrana z granitowej licówki, a nie z wapiennego rdzenia, dała kolejną dziwną datę – 3450 rok p.n.e. +/- 950 lat²⁹. Tylko najpóźniejsza data z możliwego zakresu (3450 – 950 = 2500 p.n.e.) jest zbliżona do panowania Menkaure – choć wielu uczonych uważa, że władca ten zasiadł na tronie dopiero w 2490 roku p.n.e.³⁰, a więc po tym, jak „jego” piramida została zbudowana. Ale jeszcze bardziej niepokojąca jest inna możliwość, jaką wskazuje to datowanie, a mianowicie, że granitowa licówka

tak zwanej piramidy Menkaure została ułożona już w 3450 roku p.n.e., a być może nawet 950 lat wcześniej, czyli w 4400 roku p.n.e. – w Okresie Predynastycznym, na długo przed początkiem Starego Państwa.

Trzeba jeszcze dużo pracy, żeby to rozstrzygnąć. Jak powiedziałem, na razie jestem gotów zaakceptować wciąż powszechnie uznawane ortodoksyjne daty powstania piramid w czasach Starego Państwa. Ale cały ten proces uświadamia nam wszystkim potrzebę bardziej zniuansowanego spojrzenia na całe stanowisko w Gizie, ponieważ geologia, astronomia, a teraz także datowanie luminescencyjne wskazują, że nie można go łączyć wyłącznie z epoką 2500 p.n.e., lecz raczej powstawało ono w kilku etapach, przez bardzo długi czas, począwszy od ponad 12 000 lat temu. Jak napisał profesor Ioannis Liritzis z Uniwersytetu Egejskiego, główny autor studium na temat datowania luminescencyjnego, wydaje się, że niektóre elementy tego stanowiska były wielokrotnie używane i:

(...) mamy podstawy przypuszczać, że niektóre ze struktur były już obecne w Gizie, kiedy rozpoczęto imponujące projekty budowlane IV dynastii³¹.

A nie tylko kwestia datowania stanowiska pozostaje nierozstrzygnięta. Nie mamy pewności również co do jego funkcji. Egipciolodzy chętnie opisują piramidy jako „grobowce i tylko grobowce”, ale zauważył profesor Liritzis, że:

Brak współczesnych szczątków ludzkich w którejkolwiek z egipskich piramid, a także ich oczywisty astronomiczny i geometryczny charakter, który dowodzi, że taka orientacja nie była dziełem przypadku, lecz pochodną wiedzy i konfiguracji gwiazd w epoce, kiedy zostały zbudowane, świadczą, że teoria „piramid jako grobowców” jest już niewystarczająca i powinniśmy na nowo przemyśleć wiek, funkcję i przebudowy zarówno piramid, jak i całego stanowiska w Gizie...³²

„Ta księga, która zstąpiła z nieba...”

Wiemy już, że *Teksty Budowlane* z Edfu zawierają wiele fragmentów opowiadających, że ci spośród „bogów”, którzy ocaleli z potopu, jaki zniszczył ich ojczyznę, zaczęli „wędrować” po świecie, aby w odpowiednich miejscach zakładać nowe święte domeny. Jeden z fragmentów wymienia konkretne miejsce, do którego dotarli owi „bogowie” – pierwsze miejsce, w którym osiedlili się w Egipcie. Okazuje się, że wcale nie było nim Edfu w Górnym (południowym) Egipcie, lecz miasto w Dolnym (północnym) Egipcie, które Grecy znali później jako Herakleopolis³³, a sami Egipcjanie jako *Henen-nesut*, co znaczy „dom królewskiego dziecka”. Archeolodzy nie wiedzą, kiedy zostało założone *Henen-nesut*, ale wzmianka o nim na Kamieniu z Palermo

(nazywanym tak, ponieważ obecnie jest przechowywany w Muzeum Archeologicznym w Palermo na Sycylii) rzuca nieco światła na tę sprawę. Kamień z Palermo – starożytny fragment pokrytego inskrypcjami diorytu – podaje informacje (przez egiptologów odrzucane jako „mityczne”) o około 120 predynastycznych władcach, którzy rządili Egiptem przed 3000 rokiem p.n.e. Ale podaje również szczegóły dotyczące okresu wczesnodynastycznego, który egiptolodzy uważają za „historyczny”. Wpis dotyczący panowania Dena, drugiego króla I dynastii, wskazuje, że początki Herakleopolis/*Henen-nesut* sięgają głęboko w czasy predynastyczne³⁴.

Lecz *Henen-nesut* to dopiero początek drogi, ponieważ okazuje się, że było ono ściśle związane ze starożytnym centrum religijnym Memfis, *Inebu-hedż* (później *Men-nefer*), które leży około 100 kilometrów dalej na północ i zostało założone, według legendy, przez Menesa, pierwszego władcę I dynastii – chociaż wydaje się, że jego początki również sięgają dalej w przeszłość. Tym bardziej interesujące jest spostrzeżenie Eve Reymond, tłumaczki *Tekstów Budowlanych* z Edfu.

Nie sposób czytać głównych inskrypcji z Edfu i nie zwrócić uwagi na przebijające z nich bardzo wyraźne memfickie podłoże i ogólny ton³⁵.

Jej zdaniem teksty z Edfu „przechowały wspomnienie o predynastycznym ośrodku religijnym, jaki istniał niegdyś w pobliżu Memfis” – ośrodku, który sami „Egipcjanie uważali za miejsce pochodzenia egipskiej świątyni”³⁶. Zwróćmy uwagę, że Reymond nie pisze, „jaki niegdyś istniał w *Henen-nesut*” ani nawet „w Memfis”, lecz „w pobliżu Memfis”. Krótko mówiąc, jego położenie jest nieco tajemnicze; Reymond przypuszcza, że archeologom nie udało się go jeszcze zidentyfikować³⁷. Ale gdziekolwiek się znajdowało, było uważane za miejsce starannie wybrane przez bogów do wzniesienia pierwszej z nowej generacji świątyń dedykowanych bogu Horusowi – co było pierwszym wielkim krokiem w długoterminowym projekcie odtworzenia zniszczonego świata³⁸. Reymond uznała jeden z tekstów po wewnętrznej stronie muru otaczającego świątynię w Edfu za ważną wskazówkę w poszukiwaniach tego tajemniczego miejsca, ponieważ mówi on, że pierwotna świątynia Horusa była:

(...) zbudowana według wskazówek przodków, zgodnie z tym, co było zapisane w tej księdze, która zstąpiła z nieba na północ od Memfis³⁹.

Rozległe cmentarzysko starożytnych władców Memfis, zwane przez egiptologów „nekropolą memficką”, zyskało szczególne znaczenie za panowania IV dynastii, lata 2613–2494 p.n.e., kiedy według ortodoksyjnej chronologii miała zostać zbudowana Wielka Piramida i Wielki Sfinks. Pola piramid w Dahszur, Saqqara i w Gizie były integralnymi częściami nekropoli –

więc teoretycznie wszystkie one mogłyby wchodzić w grę⁴⁰. Ale w Gizie, jak pamiętamy, Wielki Sfinks jest modelem konstelacji Lwa w 10 500 roku p.n.e., trzy piramidy powtarzają układ pasa Oriona w tej samej epoce, a cztery szyby Wielkiej Piramidy wskazują na pewne szczególne gwiazdy w znacznie późniejszych czasach, około 2500 roku p.n.e. Dlatego wydaje mi się oczywiste, że Giza znacznie bardziej niż Dahszur czy Saqqara zasługuje na określenie „księga, która zstąpiła z nieba” – księga zapisana „piórem” megalitycznej architektury i „pismem” precesji.

Ale to nie wszystko. Bóg Horus, dla którego została wzniesiona pradawna świątynia, był bardzo złożoną postacią, która mogła występować w wielu różnych symbolicznych formach, przede wszystkim sokoła; imponujący granitowy posąg sokoła do dzisiaj stoi na przednim dziedzińcu świątyni w Edfu. Horus był też często przedstawiany jako mężczyzna z głową sokoła – innymi słowy klasyczny teriantrop, podobnie jak mezopotamscy mędracy Apkallu. Lecz Horus miał też inny ważny awatar, którym był lew⁴¹. Ów lew Horusa czasami bywał wyobrażany jako teriantrop o ludzkiej głowie, zaś jedna z inskrypcji w Edfu mówi wprost:

*Horus z Edfu przekształcił się w lwa, który miał ludzką twarz...*⁴²

Zagadka Sfinksa

Biorąc pod uwagę wynikające z tekstów z Edfu związki z rejonem Gizy i z tajemniczą „księgą, która zstąpiła z nieba”, nie sposób nie zwrócić uwagi na fakt, że starożytni Egipcjanie identyfikowali Horusa z Wielkim Sfinksem w Gizie. W tym aspekcie Sfinks o ciele (a pierwotnie prawdopodobnie również głowie) lwa był nazywany *Hor-em-achet*, „Horussem w horyzoncie”, a także, z subtelną zmianą znaczenia, *Hor-achti* – „Horussem horyzontu”⁴³.

Jest jeszcze jedna dziwna sprawa związana ze Sfinksem. Z wyjątkiem dr. Rainera Stadelmanna, który uważa go za dzieło faraona IV dynastii Chufu, wszyscy współcześni egiptolodzy podzielają opinię, że Sfinks został wykuty przez syna Chufu, Chafre⁴⁴. Celowo użyłem słowa „opinia”, ponieważ już na samym początku należy podkreślić, że w przypadku Sfinksa nie opieramy się na żadnym empirycznym „fakcie”, lecz raczej na zbiorze domysłów i przypuszczeń, które stopniowo, przy braku sprzeciwu, zaczęto traktować jak udowodnione fakty. „Jak bardzo często się zdarza w naszej dyscyplinie, stare i na pozór pewne stwierdzenia pozostawia się na zawsze w spokoju, bez ponownej weryfikacji”, napisał dr Stadelmann⁴⁵, który powinien dobrze

wiedzieć, o czym mówi, ponieważ kierował Niemieckim Instytutem Archeologicznym w Kairze od 1989 do 1998 roku.

Jeśli w przypadku Sfinksa ograniczymy się do faktów, a nie opinii egiptologów, odkryjemy przede wszystkim, że z czasów Starego Państwa nie zachowały się żadne inskrypcje, które wspominałyby o tym wspaniałym, imponującym monumencie. Nawet wielki egiptolog Selim Hassan, który prowadził szeroko zakrojone wykopaliska w Gizie w latach 30. XX wieku musiał przyznać:

Co do dokładnej daty powstania Sfinksa i tego, komu przypisać jego wykonanie, nie znamy żadnych jednoznacznych faktów i nie dysponujemy żadną inskrypcją z tamtych czasów, która mogłaby nas oświecić w tej materii⁴⁶.

Nie ma też żadnych inskrypcji z I Okresu Przejściowego, ze Średniego Państwa ani z II Okresu Przejściowego. Dopiero w czasach Nowego Państwa, od około 1550 roku p.n.e. – rzekomo 1000 lat po jego wyrzeźbieniu ze skalnego podłoża w Gizie – faraonowie nagle zaczęli mówić o Sfinksie.

Wzmianka, którą Selim Hassan opisuje jako „najwcześniejszą autentyczną opinię”, pochodzi z czasów Amenhotepa II (1427–1401 p.n.e.), który zbudował małą świątynię, do dzisiaj widoczną w północnej części okręgu Sfinksa⁴⁷. Ten faraon z czasów Nowego Państwa opisuje na wapiennej steli Sfinksa pod imionami *Hor-em-achet* i *Horacht*⁴⁸, a także wspomina o piramidach w Gizie, których – ku irytacji egiptologów – nie przypisuje królom IV dynastii – Chufu, Chafre i Menkaure – lecz nazywa je „piramidami *Hor-em-acheta*”⁴⁹. Wynika stąd jasno, że w czasach Amenhotepa II – znacznie bliższych Staremu Państwu niż my dzisiaj – nie istniały żadne archiwa historyczne ani nawet tradycje przekazywane ustnie, które łączyłyby piramidy z trzema faraonami, uważanymi przez współczesną egiptologię za ich budowniczych. Wręcz przeciwnie, jak wyjaśnia Selim Hassan, użycie określenia „piramidy *Hor-em-acheta*” wskazuje (ponieważ *Hor-em-achet* było jednym z imion, pod jakimi znano Sfinksa), że Amenhotep:

(...) uważał, że Sfinks jest starszy niż piramidy⁵⁰.

Chronologicznie, następna inskrypcja wspominająca Sfinksa znajduje się na słynnej Steli Snu Thotmesa IV. Zapisana na niej opowieść głosi, że zanim zasiadł na tronie, przyszły faraon pewnego dnia polował w Gizie, gdzie zapomniany Sfinks spoczywał zasypany po szyję piaskiem. Thotmes odpoczywał w cieniu gigantycznej głowy.

Sen ogarnął go w chwili, gdy słońce stało w zenicie, i zobaczył majestat tego czcigodnego boga, który przemówił własnymi ustami, jak ojciec rozmawia z synem, mówiąc: „Spójrz na

mnie! Zobacz mnie, mój synu Thotmesie! Ja jestem... Hor-em-achet... dam ci moje królestwo na ziemi”...⁵¹

Jednak Sfinks postawił też pewien warunek: „piasek tej pustyni, na której jestem, osiągnął mnie... Wyglądam, jakbym niedomagał... Ty będziesz moim obrońcą...”⁵²

Można streścić tę nieco przydługą historię: Thotmes zrozumiał, że jeśli oczyści Sfinksa z piasku i przywróci mu dawną świetność, zostanie faraonem. Dlatego wykonał polecenie Sfinksa, a kiedy prace zostały ukończone, a on zasiadł na tronie zgodnie z przepowiednią, na pamiątkę tego wydarzenia ustawił Stelę Snu.

Jeśli odwiedzicie to miejsce dzisiaj, wciąż możecie zobaczyć wielką stelę – ma prawie 4 metry wysokości i ponad 2 metry szerokości – stojącą między łapami Sfinksa, przy piersi posągu, ale czas zatarł większą część inskrypcji, od 13 linii do końca. Jednak w latach 30. XIX wieku został z niej wykonany odlew, na którym część – niestety, nie cała – 13 linii jest nietknięta. Znajduje się w niej sylaba Chaf (dziś już niewidoczna) i na tej podstawie – jak wspomniał w swoim komentarzu do tłumaczenia steli słynny amerykański egiptolog James Henry Breasted – wielu uczonych skłaniało się ku przypuszczeniu, że Sfinks jest dziełem Chafre. Taki wniosek – dodaje sucho Breasted – „wcale stąd nie wynika”. Zwraca uwagę, że na wykonanych w XIX wieku kopiach i odlewach steli „nie ma śladu kartusza” (owalnej ramki, która zwykle otaczała imię króla) – co wskazuje, że sylaba Chaf nie ma żadnego związku z faraonem Chafre z czasów IV dynastii⁵³.

Co więcej, jak później dodał Selim Hassan, ta uszkodzona linia nie daje podstaw do wyciągnięcia wniosku, że to Chafre wykonał Sfinksa. W najlepszym razie wynikałoby z niej, że „Thotmes w jakiś sposób łączył Sfinksa z Chafre”⁵⁴. Nawet Gaston Maspero, który był dyrektorem Departamentu Starożytności w Muzeum Kairskim pod koniec XIX wieku i który uważał, że kartusz był pierwotnie wyrzeźbiony na steli, nie widział powodu, by na tak kruchej podstawie wnioskować, że Sfinks jest dziełem Chafre. Wręcz przeciwnie, jego zdaniem w tej części inskrypcji Thotmes nawiązywał do wcześniejszego oczyszczenia i naprawy Sfinksa, przeprowadzonych przez Chafre. „W rezultacie – pisał Maspero – mamy niemal pewny dowód, że Sfinks był już zasypany piaskiem w czasach Chufu [ojca Chafre] i jego poprzedników”⁵⁵.

Maspero później zmienił zdanie, niechętnie przyznając, że Sfinks „przypuszczalnie przedstawia samego Chafre”⁵⁶. i tym samym dołączając do opinii coraz powszechniej przyjmowanej przez egiptologów XX wieku. Jego

początkowy pogląd – że Sfinks jest wcześniejszy niż Chafre i był zasypany piaskiem w czasach Chufu, po części opierał się na informacji zawartej na innej steli, tak zwanej Steli Inwentarza, znalezionej w Gizie w latach 50. XIX wieku przez Auguste’a Mariette’a. Inskrypcja na Steli Inwentarza, niegdyś zwanej również Stelą Córkę Chufu⁵⁷, głosi – mówiąc w skrócie – że Wielki Sfinks i Dolna Świątynia, a także wiele innych struktur w Gizie istniały na długo przed wstąpieniem Chufu na tron⁵⁸.

Tym, co podważyło jej wiarygodność i bez wątpienia przyczyniło się do zmiany zdania przez Maspero, był fakt, że system pisma hieroglificznego użyty w inskrypcji nie odpowiadał stylowi IV dynastii, lecz należał do znacznie późniejszego okresu – Selim Hassan sugerował XXVI dynastię⁵⁹. Odtąd zaczęto tekst z tej niezwykle interesującej niewielkiej steli uważać za fikcyjny, najprawdopodobniej sfabrykowany przez grupę kapłanów, którym zależało na dodaniu prestiżu bogini Izydzie (cieszącej się popularnością za czasów XXVI dynastii, lata 664–525 p.n.e.), a zatem nie ma żadnej wartości dla naszych prób ustalenia, co działo się w Gizie prawie 2000 lat wcześniej za czasów IV dynastii – a może na długo przed tym.

Tak z pewnością sprawa wygląda, jeśli patrzeć na nią przez pryzmat „egiptologii”, czyli szczególnej formy rozumowania – z wpisanymi z definicji podwójnymi standardami – stosowanej wyłącznie przez egiptologów. Zgodnie z egiptologią, akceptuje się świadectwa, które potwierdzają zaakceptowane teorie, lecz odrzuca takie świadectwa, które są sprzeczne z zaakceptowanymi teoriami. I tak egiptolodzy wykorzystują całkowicie poszlakowe i anachroniczne dane, by poprzeć zaakceptowane twierdzenie, że Sfinks i jego megalityczne świątynie są dziełem faraona Chafre z IV dynastii (jak pamiętamy, Selim Hassan przyznał, że „nie mamy ani jednej współczesnej inskrypcji”, która mogłaby nam powiedzieć cokolwiek o wieku Sfinksa). Tak więc datowanie tego monumentu na IV dynastię – co egiptolodzy reklamują jako „fakt”, uczą na uniwersytetach i nagłaśniają w mediach – opiera się wyłącznie na jego kontekście (znajdujących się w pobliżu piramidach i megalitycznych świątyniach) oraz jednej sylabie Chaf, która niegdyś była widoczna na Steli Snu pochodzącej z czasów XVIII dynastii.

Kruche argumenty egiptologii

Co się tyczy kontekstu, to nawet jeżeli piramidy były wyłącznie dziełem władców IV dynastii – co, jak pamiętamy, wcale nie jest pewne, zważywszy na

wyniki datowania luminescencyjnego piramidy przypisywanej Menkaure – nie daje to jeszcze podstaw do datowania Sfinksa na czasy IV dynastii. Równie dobrze piramidy mogły zostać wzniesione w tym, a nie innym miejscu, właśnie dlatego, że Sfinks już tam stał, nadając okolicy aurę starożytnej świętości.

Również megalityczne świątynie w gruncie rzeczy nie dowodzą niczego co do Sfinksa, ponieważ żadne świadectwa nie pozwalają datować jego powstania na czasy IV dynastii. W najlepszym razie można powiedzieć, że posąg Chafre z czarnego diorytu (obecnie w Muzeum Egipskim w Kairze) znaleziono wrzucony do głębokiego dołu w Dolnej Świątyni, a więc władca ten był w jakiś sposób związany z tą świątynią, ale nie, że ją zbudował.

Na pozór bardziej przekonujące jest twierdzenie niektórych egiptologów, że znaleziono imię Chafre zapisane w Dolnej Świątyni. Dr Zahi Hawass, były dyrektor piramid w Gizie i sekretarz generalny egipskiej Najwyższej Rady do spraw Starożytności, napisał o Dolnej Świątyni na swojej stronie internetowej „Guardians”:

(...) inskrypcje w tej budowli znajdują się wokół wejść; wymieniają one imiona i tytuły króla, a także bogini Bastet (przy północnym wejściu) i Hathor (przy południowym wejściu)⁶⁰.

Wikipedia, która w znacznym stopniu kształtuje wyobrażenie społeczeństwa na temat Gizy i rutynowo opatruje wszelkie przejawy nieortodoksyjnego podejścia etykietką „pseudonauki”, posuwa się jeszcze dalej niż Hawass, pisząc o Dolnej Świątyni:

Znaleziono bloki z fragmentami inskrypcji podającej imię horusowe Chafre (*Weser-ib*)⁶¹.

Jednak jeśli przyjrzeć się dokładniej, okazuje się, że informacje podane w Wikipedii są nieprawdziwe. Stephen Quirke, profesor archeologii egipskiej w University College of London, był uprzejmy sprawdzić to dla mnie, kiedy go o to zapytałem, i po pewnym czasie przedstawił mi wyniki swoich poszukiwań. Fragmentaryczna inskrypcja z imieniem horusowym Chafre wcale nie znajduje się na blokach z Dolnej Świątyni, lecz na blokach pochodzących z zupełnie innej budowli w Gizie⁶².

A więc co z wypowiedzią dr. Hawassa na temat imion i tytułów króla? W każdym razie nie ulega wątpliwości, na jakim źródle się opierał, ponieważ w pierwszym wydaniu (1947) swojego klasycznego studium *Piramidy Egiptu* I.E.S. Edwards, były kustosz zabytków egipskich w British Museum, napisał kilka stron o Dolnej Świątyni, gdzie – podobnie jak większość jego kolegów po fachu w tamtym czasie – uznał ją za dzieło Chafre⁶³. „Wokół każdego wejścia – napisał – biegnie pas inskrypcji hieroglificznej zawierającej imię i tytuły króla; poza tym w budowli tej nie ma żadnych innych inskrypcji ani reliefów”⁶⁴.

To rozstrzygałoby sprawę, gdyby nie fakt, że wiele lat później, kiedy Edwards przygotowywał ostatnie wydanie swojej książki, uzupełnił ten

fragment o ważną informację, której zabrakło w pierwszym wydaniu. „Wokół każdego wejścia – czytamy teraz – biegnie pas inskrypcji hieroglificznej zawierającej imię i tytuły króla, ale zachowały się tylko ostatnie słowa: „ukochany [bogini] Bastet” i „ukochany [bogini] Hathor”. Poza tym w budowlu tej nie ma żadnych innych inskrypcji ani reliefów”⁶⁵.

Nie muszę chyba dodawać, że słowa „ukochany Bastet” i „ukochany Hathor” w żaden sposób nie dowodzą, że inskrypcje dotyczyły właśnie króla Chafre jako „ukochanego” obu bogiń. Mogą się one odnosić do kogokolwiek, a więc nie ma żadnych podstaw, by je przytaczać jako dowód na to, że Dolna Świątynia jest dziełem Chafre.

Czy jest cokolwiek innego, co popierałoby taką tezę? Niejasna i zatrważająco droga *Encyclopaedia of the Archaeology of Ancient Egypt* [Encyklopedia archeologii starożytnego Egiptu] zawiera hasło „Kompleks piramidy Chafre”, autorstwa Zahiego Hawassa; możemy tam przeczytać, że Dolna Świątynia:

(...) jest przypisywana Chafre na podstawie inskrypcji na granitowych blokach licówki po zachodniej stronie Dolnej Świątyni. Reliefy z tego kompleksu zostały znalezione w Liszt, gdzie zostały użyte jako wypełnik w piramidzie Amenemhata I (XII dynastia)⁶⁶.

To już naprawdę rozpaczliwe próby! Bloki znalezione wiele kilometrów od Gizy, wtórnie użyte jako materiał do budowy grobowca innego władcy, nie mówią nam nic wiarygodnego na temat Dolnej Świątyni. Może i zostały z niej zabrane, ale równie dobrze mogą pochodzić z zupełnie innej budowli.

Poza tym nikt nie twierdzi, że którakolwiek z tych inskrypcji została wyryta na wapiennych blokach rdzenia Dolnej Świątyni. Wszystkie znaleziono na „granitowych blokach licówki”, a – jak pamiętamy – granitowa licówka Dolnej Świątyni sprawia wrażenie, jakby została dodana do stojących od bardzo dawna wapiennych bloków w czasie renowacji, przeprowadzonej w 3640, a później w 1190 roku p.n.e. Chafre mógł być jednym z kilku faraonów, którzy przeprowadzali renowację Dolnej Świątyni, i być może upamiętnił swój dobry uczynek oficjalną inskrypcją i kilkoma swoimi posągami, możliwe, że w tym samym czasie, kiedy zaczął projekt renowacji Sfinksa, ale to nie znaczy, że był budowniczym Sfinksa albo świątyni.

A zatem zostaje nam tylko pojedyncza sylaba Chaf na Steli Snu z czasów XVIII dynastii, którą dzisiejsi egiptolodzy (w odróżnieniu od swoich XIX-wiecznych poprzedników) chętnie przyjęli za dowód na to, że Chafre zbudował Sfinksa. Nie muszę chyba dodawać, że między IV a XVIII dynastią upłynęło dużo czasu. Poza tym wiele wskazuje, że nawet datowanie steli na XVIII dynastie może budzić wątpliwości. Breasted na przykład zwraca uwagę na

„błędy i nieprawidłowości w ortografii”, a także na wiele innych „podejrzanych osobliwości”, które doprowadziły go do wniosku, że inskrypcja wcale nie jest dziełem Thotmesa IV, lecz „późniejszą rekonstrukcją”, pochodzącą z okresu między XXI a XXVI (saicką) dynastią⁶⁷.

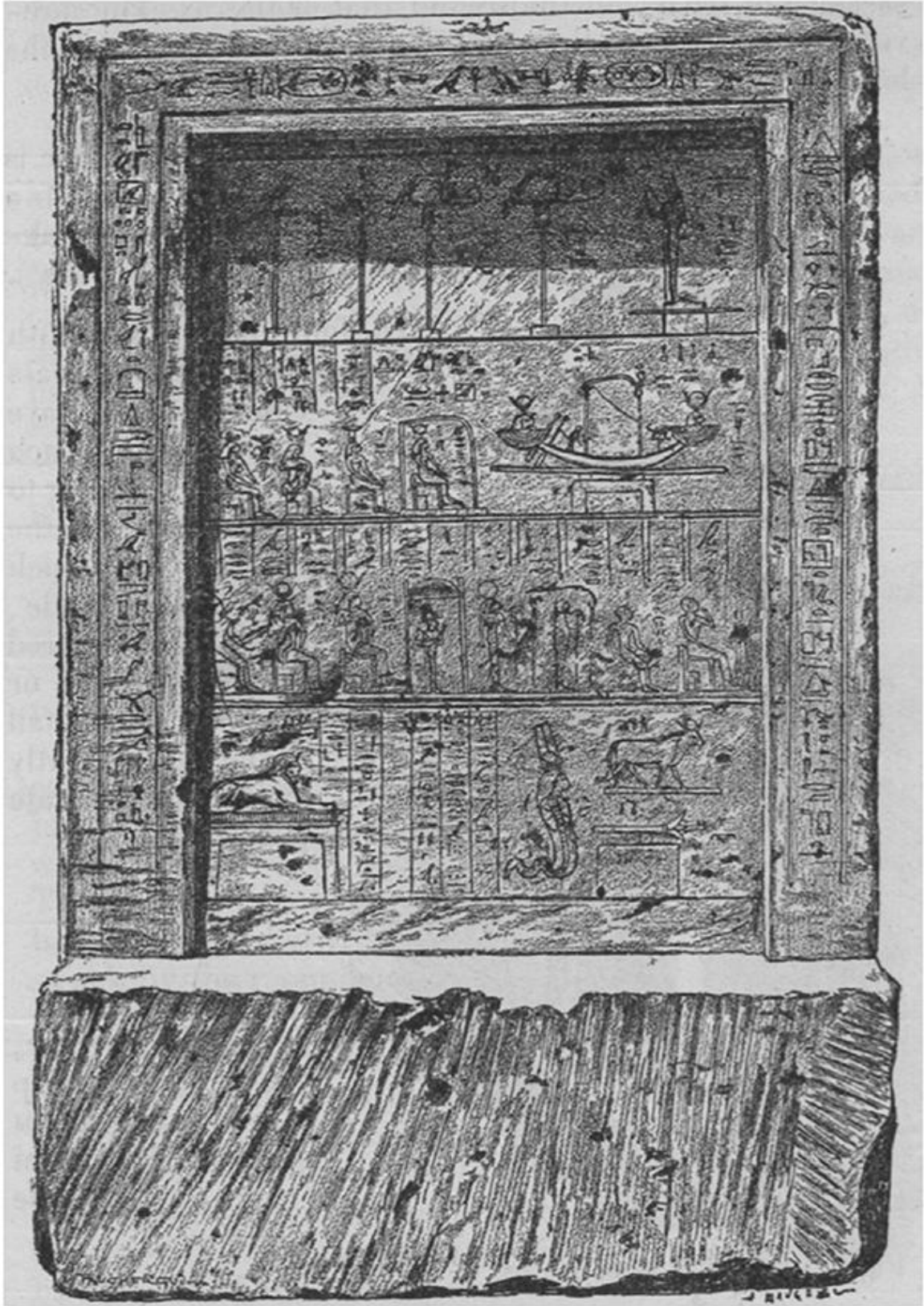
Innymi słowy, jest całkiem możliwe, że Stela Snu jest współczesna Steli Inwentarza. Ale „egiptologika” każe przyjąć pojedynczą sylabę Chaf na tej pierwszej jako dowód, że Sfinks jest dziełem Chafre, natomiast kilka jednoznacznych stwierdzeń na drugiej, wykluczających możliwość przypisania go Chafre, odrzucić jako „niedorzeczną fikcję”.

Dynamitowe rewelacje

Oto kilka fragmentów tekstu Steli Inwentarza.

Pamiętajmy, że wszyscy faraonowie byli uważani za wcielenia boga Horusa⁶⁸, którego imię stanowiło standardowy element ich tytulatury. Poza tym każdy król nosił tak zwane „imię horusowe”, które w przypadku Chufu brzmiało Medzedu⁶⁹.

Oby żył Horus Medzedu, Król Górnego i Dolnego Egiptu, Chufu, obdarzony życiem. On znalazł Dom Izydy, Pani Piramidy, obok zagłębienia Sfinksa, na północny zachód od Domu Ozyrysa, Pana Ra-Setau... Przyniesiono plany Wizerunku Hor-em-acheta, aby sprawdzić, co jest powiedziane o ustawieniu Wizerunku... Odnowił posąg cały pokryty malowidłami... Kazał wykuć tylną część nakrycia głowy nemes, której brakowało, z połączanego kamienia, i która miała długość 7 łokci (3,7 metra). Przybył, żeby zobaczyć piorun, który stoi w Miejscu Sykomory, nazwany tak z powodu wielkiej sykomory, której gałęzie zostały uderzone, kiedy Pan Niebios zstąpił w miejsce Hor-em-acheta... Posąg tego boga, wyrzeźbiony z kamienia, jest trwały i będzie istniał na wieczność, zawsze zwrócony twarzą na wschód⁷⁰.



Il. 39. Stela Inwentarza. Inskrypcja, której egiptolodzy nie biorą pod uwagę, głosi, że Wielki Sfinks i Dolna Świątynia, a także wiele innych struktur na płaskowyżu w Gizie, istniały na długo przed tym, jak Chufu wstąpił na tron.

Język Steli Inwentarza nie jest łatwo zrozumiały, lecz nieco wyjaśnia analiza przeprowadzona przez Selima Hassana.

Jeśli wierzyć tej inskrypcji, powinniśmy przypisać Chufu naprawę Sfinksa, przypuszczalnie przeprowadzoną po tym, jak został uszkodzony przez piorun. W tej historii może być ziarno prawdy, ponieważ w nakryciu głowy nemes rzeczywiście brakuje tylnej części, a ze względu na jej kształt i położenie nie jest to element, który łatwo mógłby ulec uszkodzeniu, chyba że zostałby uderzony z wielką siłą jakimś ciężkim przedmiotem. Rzeczywiście, na grzbiecie Sfinksa widać ślad po odłamaniu tego elementu i pozostałości starej zaprawy po renowacji. Ślad ten mierzy około 4 metrów, co zgadza się z wymiarami odnotowanymi na steli. Dlatego wydaje się możliwe, że Sfinks został trafiony przez piorun, ale nie ma żadnego dowodu, że ten wypadek zdarzył się za panowania Chufu⁷¹.

Nie ma też żadnego dowodu, że „wypadek” ten nie wystąpił za rządów Chufu. Jedyne, czym dysponujemy, to przekonanie egiptologów, że nie mogło to się zdarzyć w czasach Chufu, ponieważ Sfinks jest ich zdaniem dziełem Chafre, powstałym po śmierci Chufu, a zatem – oczywiście – nie istniał za panowania Chufu.

To samo dotyczy drugiej rewelacyjnej informacji zawartej w tekście Steli Inwentarza, a mianowicie wzmianki o „Domu Ozyrysa, Pana Ra-Setau”⁷². Możemy ustalić położenie tej struktury, ponieważ „zagłębienie Sfinksa” znajdowało się na północny zachód od niego⁷³ – co znaczy, że „Dom Ozyrysa, Pana Ra-Setau” leżał na południowy wschód od Sfinksa. Jediną strukturą, jaka pasuje do tego opisu, jest Dolna Świątynia, rzeczywiście położona na południowy wschód od Sfinksa. Zatem podobnie jak w przypadku samego Sfinksa, Stela Inwentarza stanowi dowód, że Dolna Świątynia nie mogła zostać zbudowana przez Chafre, ponieważ istniała już za panowania jego poprzednika, Chufu.

To właśnie były przyczyny, dla których egiptolodzy uznali Stelę Inwentarza za nedorzeczną fikcję – zamiast za inskrypcję, która przekazuje potomności, używając języka i terminologii swoich czasów, znacznie starszą, lecz autentyczną tradycję. Oczywiście przyczyną odrzucenia nie może być fakt, że Stela Inwentarza nie pochodzi z czasów Chufu, ani jej typowa dla XXVI dynastii ortografia, ponieważ takie czynniki nie przeszkadzają im akceptować Steli Snu, również pochodzącej z czasów późniejszych, niż opisuje, i wykazującej „nieprawidłowości w ortografii”. Mówiąc najkrócej, czyż nie jest oczywiste, że Stela Inwentarza została odrzucona, a Stela Snu zaakceptowana

wyłącznie dlatego, że pierwsza podważa utrwaloną wizję egipskiej historii, zaś tę drugą można tak zinterpretować, by tę wizję wspierała?

Piorun z niebios i starożytne archiwum

Oprócz wynikających z niej wniosków dotyczących wieku Sfinksa na uwagę zasługują dwa inne aspekty Steli Inwentarza.

Pierwszym jest informacja, że Sfinks został uszkodzony przez „piorun”. Selim Hassan był gotów przyjąć, że mogło w tym się kryć jakieś ziarno prawdy, lecz nie możemy być pewni, że „piorun” oznacza uderzenie błyskawicy. Inskrypcja mówi, że Chufu mógł „zobaczyć” ów „piorun”, kiedy przybył do Gizy. Nie byłoby to możliwe, gdyby chodziło o błyskawicę, która mogła spowodować zniszczenia, ale nie jest materialnym obiektem, który dałoby się oglądać po dłuższym czasie. Ale meteoryt mógł uderzyć w Sfinksa i uszkodzić go, a później pozostać w Gizie, gdzie mógłby go oglądać Chufu. I oczywiście meteoryt, który spadł z nieba ze strasznym hukiem i przy okazji spalił jakieś stare drzewo, mógł zostać opisany jako piorun (w wielu kulturach tak właśnie są opisywane meteoryty)⁷⁴.

Równie intrygujące jest zawarte na Steli Inwentarza stwierdzenie, że Chufu zabrał ze sobą „plany Wizerunku Hor-em-acheta”, być może po to, by się nimi kierować przy dokonywaniu naprawy. To wskazuje, że musiało istnieć jakieś starożytne „archiwum” dotyczące Gizy, być może Sala Zapisów przywodząca na myśl zaginione dokumenty ze świątynnej biblioteki w Edfu, z których zostały zaczerpnięte *Teksty Budowlane*.

Jak pamiętamy, miały one zawierać słowa Siedmiu Mędrców, spisane przez samego boga mądrości Thota. Reymond sugeruje wręcz, że mogła niegdyś istnieć *Święta księga Pierwotnej Epoki Bogów*, w której został zawarty cały „boski” plan Egiptu⁷⁵. Mamy też podstawy przypuszczać, jak twierdzi, że księga ta była powiązana z inną, zatytułowaną *Specyfikacja wzgórz Pierwotnej Epoki*, w której zostały opisane nie tylko pomniejsze „wzgórza” i świątynie, jakie miały zostać zbudowane w ramach projektu odtworzenia zniszczonego świata „bogów”, ale również samego Wielkiego Prapagórka⁷⁶.

Niestety, o żadnej z tych dwóch zaginionych „ksiąg” nie wiadomo nic poza kilkoma bardzo krótkimi i intrygującymi wzmiankami w *Tekstach Budowlanych* z Edfu. Niemniej jednak, jak sugerowałem już wcześniej, wydaje się bardzo możliwe, że owym Wielkim Prapagórkiem, na którym miał się zacząć czas obecnej epoki ziemi, było skaliste wzniesienie w Gizie, z czasem

wbudowane w rdzeń Wielkiej Piramidy. Istnieje też niezwykle tekst, zachowany na papirusie z czasów Średniego Państwa, który mówi o poszukiwaniu „sekretnych komnat świątyni Thota” – sekretnych komnat, które Chufu chciał skopiować w swojej świątyni.

W tych dziwnych wzmiankach kryje się głęboka i starożytna tajemnica, której zgłębianiem zajmiemy się w następnym rozdziale.

11. KSIĘGI THOTA

Krótkie podsumowanie.

Teksty Budowlane z Edfu mówią o Ojczyźnie Pradawnych – wyspie, której położenie nie zostało wskazane – zniszczonej przez „wroga”, opisanego jako „wąż”, „Wielki Skaczący”. Atak węża spowodował potop, który zatopił ów „pierwotny świat bogów”, zabijając większość jego „boskich” mieszkańców. Kilku z nich jednak ocalało z kataklizmu, uciekając w łodziach, i wędrowało po świecie. Ich celem było znalezienie miejsc odpowiednich do tego, by w nich zacząć realizować święty plan mający doprowadzić do:

(...) wskrzeszenia dawnego świata bogów... Odtworzenia zniszczonego świata.

Wszystkie te wydarzenia rozegrały się w „pierwotnej epoce” – bardzo, bardzo dawno temu; tak dawno, że nikt nie mógłby o nich pamiętać, gdyby nie włożono wiele wysiłku w ich upamiętnienie. Pewien egipski kapłan z Sais miał powiedzieć Solonowi:

Otóż cokolwiek się u was albo u nas, albo w innej okolicy, o której wiemy ze słyszenia, zdarzy pięknego albo doniosłego, albo z jakiegokolwiek innego względu osobliwego, to wszystko jest tutaj od dawna zapisane w świątyniach i przechowane¹.

Tak było też w Edfu, gdzie – jak wynika ze szczegółowego studium Raymond – istniało niegdyś obszerne archiwum, z którego zaczerpnięto cytaty, następnie wyrzeźbione na ścianach świątyni; dzięki temu przetrwały one do naszych czasów. Śledząc wskazówki zawarte w tych cytatach, jak w poprzednim rozdziale, doszliśmy do Wielkiego Sfinksa, być może tego samego „lwa, który ma twarz człowieka”, w którego – według tekstów z Edfu – przekształcił się Horus.

W tym kontekście wzmianka na Steli Inwentarza o tym, że Chufu miał dostęp do planów Sfinksa, do których zagląda przy naprawianiu posągu, wskazuje na istnienie jakiegoś starożytnego archiwum związanego z Gizą – być może sięgającego zamierzchłych czasów, gdy to stanowisko zostało założone przez „bogów” z uwzględnieniem wyraźnych astronomicznych cech, które pozwalają cały ten kompleks opisywać jako „księgę, która zstąpiła z nieba”. Czy ta „księga” odnosi się do konstelacji Lwa, pojawiającej się na

horyzoncie o świcie w dniu wiosennej równonocy w epoce 10 500 p.n.e. – konstelacji, która „zstąpiła z nieba” w formie Wielkiego Sfinksa? I czy trzy gwiazdy pasa Oriona w takim układzie, w jakim były widoczne w tamtej zamierzchłej epoce, także „zstąpiły z nieba”, przybierając formę trzech wielkich piramid?

Wiemy już, że Sfinks, a w każdym razie wiele jego części, mógł zostać wyrzeźbiony około 10 500 roku p.n.e. Piramidy niewątpliwie zostały ukończone znacznie później, ale jestem przekonany, że powstały wokół znacznie starszych budowli pochodzących z czasów bogów – bogów, o których *Teksty Budowlane* z Edfu mówią wprost, że „umieli jednoczyć się z niebem”². Te starsze struktury zostały oczywiście ukryte w momencie, gdy w ich miejscu zbudowano piramidy³ – jedną z nich było naturalne wzgórze, wokół którego jest zorganizowany układ całego stanowiska i które później stało się częścią rdzenia Wielkiej Piramidy.

Ponieważ teksty z Edfu przedstawiają dzieło bogów jako odtworzenie ich zaginionego świata w innych miejscach i ponieważ bardzo ważną rolę w ich ojczyźnie pełniła „pradawna świątynia wzniesiona na niskim wzgórzu”⁴, możemy przypuszczać, że starali się oni odtworzyć te elementy w Gizie. W każdym razie autorytet tej miary co profesor I.E.S. Edwards, były kustosz zabytków egipskich w British Museum, był przekonany, że naturalne wzniesienie, obecnie stanowiące część rdzenia Wielkiej Piramidy, było Wielkim Prapagórkiem, o którym tak często wspominają starożytne egipskie teksty⁵ – tym wzgórzem, czerpiącym świętość ze swojego poprzednika, który niegdyś stał w zaginionym świecie bogów. Wzniesienie to, jak mówi Reymond, stanowiło „pierwszy załęczek świata bogów w pierwotnej epoce”⁶, z czego wynika, że skalne wzgórze wewnątrz Wielkiej Piramidy, a później sama Wielka Piramida, pełniły tę samą funkcję w projekcie wskrzeszenia zaginionego świata w Egipcie.

Stela Inwentarza nie jest bynajmniej jedynym świadectwem istnienia starożytnych planów związanych z tym projektem. Jak pamiętamy, teksty z Edfu wspominają, że plany te były częścią archiwum, jakie miało zostać spisane przez boga mądrości Thota „zgodnie ze słowami mędrców”⁷, więc nie powinno nas dziwić, że Egipcjanie w późniejszych czasach byli wręcz obsesyjnie zainteresowani „księgami Thota”, do których najwyraźniej stracili dostęp, a które uważali za źródło wszelkiej wiedzy. Zachowało się wiele papirusów opisujących poszukiwania ksiąg Thota, a zawsze prowadzono je w okolicy Gizy i nekropoli memfickiej.

Jest na przykład historia Chaemwaseta, syna Ramzesa II, jednego z wielkich faraonów XIII wieku p.n.e. Dowiedziawszy się, że „księga spisana przez samego Thota” leży ukryta w starożytnym grobowcu w pobliżu Gizy:

(...) [Chaemwaset] poszedł tam ze swoim bratem i spędzili trzy dni i nocę na poszukiwaniu grobowca... trzeciego dnia znaleźli go [i]... zeszli do miejsca, gdzie była księga. Kiedy bracia weszli do grobowca, zobaczyli, że jest rozjaśniony światłem, które wydobywało się z księgi⁸.

Wydaje się, że mamy tu wzmiankę o starożytnej technologii, przywodzącej na myśl podziemny War Jimy, który „jaśniał swoim własnym światłem”, albo tajemnicze oświetlenie arki Noego opisane w rozdziale siódmym. O czymś, co wygląda na dzieła zaginionej technologii, wspominają także arabskie przekazy związane z Gizą. Egipski historyk Ibn Abd al-Hakim wierzył, że piramidy zostały zbudowane jako skarbnice przedpotopowej wiedzy, w których złożono między innymi księgi zawierające:

(...) Wszelkie nauki i nazwy leków wraz z płynącymi z nich zaletami i niebezpieczeństwami, a także wiedzę o astrologii, arytmetyce, geometrii i medycynie... oraz o wszystkim, co jest i co będzie od początku do końca czasu...⁹

Hakim, który żył w IX wieku n.e., mógł nie wiedzieć nic o zaawansowanej metalurgii ani o tworzywach sztucznych, a jednak napisał, że wśród skarbów sprzed potopu, które zostały ukryte wewnątrz piramid, były:

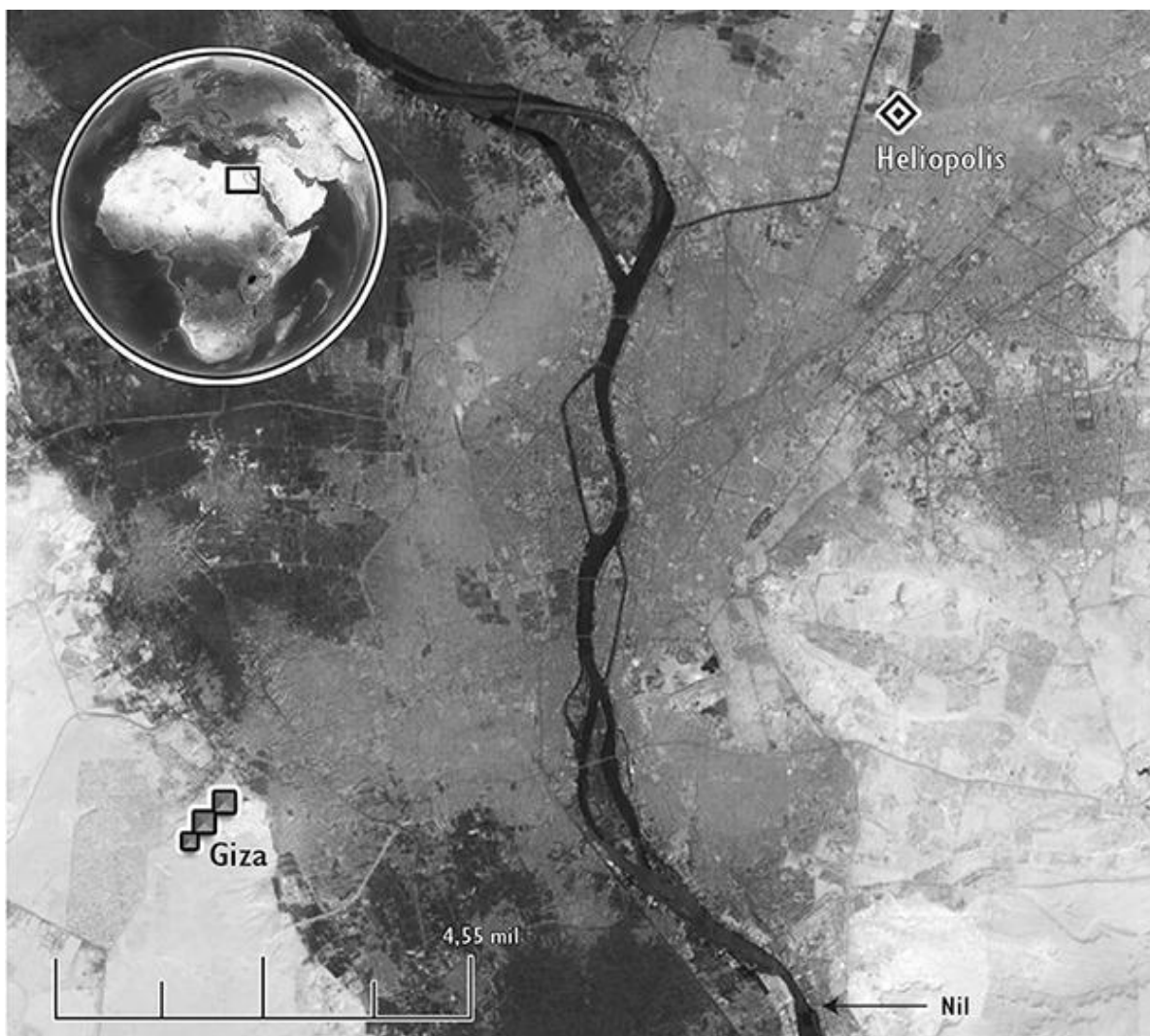
(...) broń, która nie rdzewieje, i szkło, które można zginać, ale się nie łamie¹⁰.

Opisał też maszyny, które strzegły tych przedpotopowych pozostałości, między innymi:

(...) posąg z czarnego agatu siedzący na tronie z włącznią. Jego oczy są otwarte i lśniące. Kiedy ktoś na niego spojrzy, usłyszy obok siebie głos, który odbierze mu zmysły, tak że padnie na twarz; i nie ucichnie, dopóki nie umrze¹¹.

Druga maszyna także miała formę posągu.

Ten, kto na niego spojrzy, będzie przyciągany przez posąg, aż przywrze do niego, i nie będzie go można odciągnąć, dopóki nie umrze¹².



Il. 40. Heliopolis znajdowało się około 20 kilometrów na północny wschód od piramid w Gizie. Poza obeliskiem, który dziś stoi na kairskim przedmieściu al-Matarija, niemal nic nie zostało ze starożytnego „Miasta Słońca”.

Wracając do przekazów zostawionych przez samych starożytnych Egipcjan, znany tekst z papyrusu Westcar, pochodzący z czasów Średniego Państwa, około 1650 roku p.n.e., lecz skopiowany ze starszego, zaginionego dokumentu¹³. Tekst wspomina o budynku, zwanym Salą Obrachunku, który znajdował się w świętym mieście zwanym przez starożytnych Egipcjan *Junu*, który Biblia nazywa *On*, zaś Grecy rozslawili jako Heliopolis – „Miasto Słońca” – niecałe 20 kilometrów na północny wschód od Gizy. Według tego papyrusu w Heliopolis była przechowywana „skrzynka z krzemienia”, zawierająca tajemniczy dokument, na którego poszukiwaniu sam faraon Chufu

spędził dużo czasu – dokument opisujący „liczbę sekretnych komnat świątyni Thota, które Chufu chciał skopiować w swojej świątyni¹⁴.

O co tu chodzi?

I.E.S. Edwards zwraca uwagę, że Heliopolis, gdzie znajdowała się „Sala Obrachunku” było ośrodkiem astronomii, związanym z Gizą od niepamiętnych czasów, a arcykapłan tego miasta nosił tytuł „Przełożonego Astronomów”¹⁵. Egiptolog F. W. Green dodaje, że Sala Obrachunku mogła być pracownią, w której „sporządzano i przechowywano plany”¹⁶. Podobnie Alan H. Gardiner twierdził, że „ta sala musiała być rodzajem archiwum”, a Chufu „poszukiwał informacji dotyczących sekretnych komnat w pradawnym sanktuarium Thota”¹⁷.

A zatem jeszcze raz dowiadujemy się, że Chufu poszukiwał starożytnych dokumentów i czerpał z nich informacje potrzebne mu do prac, które prowadził w Gizie – czy chodziło o przywrócenie Sfinksowi dawnej świetności, jak wskazuje Stela Inwentarza, czy też o budowę własnej świątyni, która miała powstać zgodnie ze starożytnym projektem, jak wynika z papyrusu Westcar. Takie przekazy, moim zdaniem, dowodzą, że cokolwiek Chufu i inni władcy IV dynastii robili w Gizie, było raczej realizacją planów, które odziedziczyli z czasów bogów – innymi słowy przedpotopowych – a nie własnym, nowym projektem. Krótko mówiąc, przyczyniali się do wskrzeszenia dawnego świata bogów. Co więcej, datowanie luminescencyjne, wspomniane w rozdziale dziesiątym, w połączeniu z danymi geologicznymi wskazującymi na wiek Sfinksa i jego świątyń, wskazuje, że proces ten zaczął się w czasach potopu, 10 500 roku p.n.e., pozostawał w zawieszeniu przez wiele tysiącleci, podczas gdy starożytna wiedza i archiwa były przechowywane przez grupę wtajemniczonych w czymś w rodzaju klasztoru, a wreszcie został reaktywowany, być może już w IV tysiącleciu p.n.e. i wreszcie ukończony około 2500 roku p.n.e.

Na istnienie takiego kolegium wtajemniczonych wyraźnie wskazują teksty z Edfu, mówiące o długoterminowej misji:

(...) Bogów Budowniczych, którzy tworzyli w pierwotnej epoce, Panów Światła... Duchów, Przodków... którzy opiekowali się nasieniem bogów i ludzi... Starszych, którzy powstali na początku, którzy rozjaśnili tę ziemię, kiedy wystąpili zjednoczeni¹⁸.

Teksty z Edfu nie twierdzą, że istoty te były nieśmiertelne. Po ich śmierci, jak się dowiadujemy, następne pokolenie „przyszło do ich grobowców, aby odprawić dla nich rytuały pogrzebowe”¹⁹, a potem zająć ich miejsce. W ten sposób, przez nieprzerwany łańcuch wtajemniczenia, „Bogowie Budownicowie”, „Mędracy”, „Duchy”, „Panowie Światła” opisani w tekstach

z Edfu mogli nieustannie się odradzać, niczym mityczny feniks – a tym samym przekazywać potomności wiedzę i mądrość pochodzące z wcześniejszej epoki w dziejach Ziemi.

Inne określenie tych wtajemniczonych – bardzo stosowne, biorąc pod uwagę znaczenie Horusa z Edfu – brzmiało *Szemesu Hor*, „Towarzysze Horusa”²⁰. Pod tą nazwą byli oni szczególnie blisko związani z Heliopolis/*Junu*, świętym miastem, w którym przechowywano dokumenty dotyczące sekretnych komnat świątyni Thota. Jak czytelnicy zapewne pamiętają, w Edfu to Siedmiu Mędrców przygotowało plany i projekty wykorzystywane później we wszystkich świątyniach w całym Egipcie, więc tym bardziej interesująca jest inskrypcja w Denderze, niedaleko na północ od Edfu, która informuje nas, że „wielki plan” użyty przez jej budowniczych był „utrwalony w dawnych pismach, przekazywanych od czasów Towarzyszy Horusa”²¹. Towarzysze Horusa, pod każdym względem identyczni z „Mędrcami” i „Bogami Budowniczymi” przynieśli ze sobą „wiedzę o boskich początkach” Egiptu²² i o boskim przeznaczeniu tego kraju, „który niegdyś był święty i w którym, w nagrodę za jego pobożność, bogowie raczyli przebywać na ziemi”²³.

Kamienie, które spadły z nieba

Sieć zależności łączących mędrców z tekstów z Edfu z Gizą, Heliopolis i Towarzyszami Horusa dostarcza licznych wskazówek, które pozwolą nam pójść dalej w tych poszukiwaniach. Wśród nich najważniejszy jest fakt, że w Heliopolis, dzisiaj mało interesującym przedmieściu Kairu, znajdowała się niegdyś świątynia Feniksa – w starożytnym Egipcie znanego jako ptak Benu – będącego symbolem zmartwychwstania i odrodzenia²⁴. W świątyni tej, często nazywanej Domem Feniksa, przechowywano tajemniczy obiekt, od dawna zaginiony – „kamień” zwany *Benben* (to słowo jest etymologicznie blisko związane z *Benu*²⁵), który podobno spadł z nieba i był opisywany jako nasienie Atuma-Re, Ojca Bogów. W starożytnym piśmie egipskim determinatyw słowa *Benben* przedstawia, jak wyjaśnia jeden z ekspertów:

(...) zwięzający się ku górze, zbliżony do stożka kształt kamienia *Benben*, który w stylizowanej formie był wykorzystywany w architekturze jako mała piramida – piramidion; pokryty złotą folią, był wyeksponowany na wysokim trzonie obelisku i lśnił w promieniach słońca, które obelisk wysławiał²⁶.

Kamień wieńczący każdą piramidę również nazywano *Benben*²⁷. – Doskonale zachowany przykład takiego zwieńczenia pochodzący z piramidy

Amenemhata III, faraona XII dynastii, można zobaczyć w Muzeum Egipskim w Kairze.

Wysuwano różne teorie, które miały wyjaśnić pochodzenie koncepcji kamienia Benben, ale najbardziej przekonująca jest, moim zdaniem, hipoteza mojego przyjaciela i kolegi Roberta Bauvala, która po raz pierwszy została zaprezentowana w czasopiśmie „Discussions in Egyptology”, w artykule *Investigation on the Origins of the Benben Stone: Was it an Iron Meteorite?* [Studium nad pochodzeniem kamienia Benben: czy był on żelaznym meteorytem?] Robert twierdzi, że – podobnie jak w wielu innych przypadkach oddawania czci meteorytom przez ludy starożytne:

(...) wydaje się prawdopodobne, że kamień Benben, niegdyś czczony w Domu Feniksa, był meteorytem. Jego stożkowaty kształt... przypomina żelazny meteoryt orientowany, być może o masie rzędu 1–15 ton. Takie obiekty spadające z nieba były uważane za spadające gwiazdy, co najpewniej dało egipskim kapłanom fizyczny obiekt z gwiazd, „nasienie” Atuma-Re²⁸.

Podobną możliwość rozważał egiptolog R.T. Rundle Clark w 1949 roku, w artykule zatytułowanym *The Origin of the Phoenix* [Pochodzenie Feniksa] opublikowanym w „University of Birmingham Historical Journal”. Zwracał on uwagę na najwcześniejszą znaną wzmiankę o ptaku Benu, która znajduje się w Tekstach Piramid (z czasów Starego Państwa, V i VI dynastia) i brzmi następująco:

*Ty [mowa o bogu Atumie-Re] Iśniłeś na Kamieniu Benben w Domu ptaka Benu w Heliopolis*²⁹.

Jednak, co ciekawe, kamień Benben, w późniejszych tekstach opisywany jako geometryczny piramidion³⁰, w Tekstach Piramid jest przedstawiany jako nieregularny kamień o lekko wypukłych bokach. „To bardzo ważne – zauważył Rundle Clark – ponieważ wskazuje, że piramidy nie były dokładnymi kopiami oryginalnego kamienia Benben z Heliopolis... Można założyć, że kamień Benben stał się piramidionem w czasach Starego Państwa, ale nie sposób ustalić, czy wywarł wpływ na kształt piramid IV dynastii³¹.”

Następnie wspomniał o czymś, co także przykuło moją uwagę.

Kamień Benben [w Tekstach Piramid] ma kształt omfalosu lub betylu, kamienia pępka tak rozpowszechnionego we wczesnej religii Azji... Z tego tekstu wynika... że kamień Benben był obiektem podobnym do betylu i został przekształcony w piramidion w czasach IV dynastii³².

Rundle Clark nie zdawał sobie sprawy, kiedy pisał ten artykuł, a co przemawia na korzyść teorii Roberta Bauvala, że betyle – gdziekolwiek je czczono – były meteorytami, choć częściej kamiennymi niż żelaznymi. Miałem okazję zbadać tę sprawę dość dokładnie w latach 80., kiedy pracowałem nad

moją książką *Znak i pieczęć*, w kontekście dwóch tablic z dziesięcioma przykazaniami, które miały być przechowywane w Arce Przymierza³³.

Uczony biblista Menahem Haran, autor książki *Temples and Temple Service in Ancient Israel* [Świątynie i służba świątynna w starożytnym Izraelu], dowodzi przekonująco, że „arka nie zawierała dwóch tablic prawa, lecz... meteoryt z góry Synaj”³⁴. Jako taki, starożytny kult Arki Przymierza i jej zawartości wpisuje się w szerszą tradycję, znaną na całym Bliskim Wschodzie, oddawania czci „kamieniom, które spadły z nieba”³⁵.

Przykładem, który przetrwał do naszych czasów, jest kult, jakim muzułmanie otaczają święty Czarny Kamień, wbudowany w narożnik muru Kaaby w Mekce. Prorok Muhammad powiedział, że kamień ten, dotykany przez każdego pielgrzyma przybywającego do świętego miasta, spadł z nieba na ziemię i został dany Adamowi po wypędzeniu z raju, aby wchłonął jego grzechy. Później anioł Gabriel podarował go patriarsze Hebrajczyków, Abrahamowi; na koniec stał się kamieniem węgielnym Kaaby – „bijącego serca” świata islamu³⁶.

Geolodzy uważają, że Czarny Kamień jest meteoritem³⁷. Podobnie *betyle* – święte kamienie przenoszone przez niektóre z przedislamskich arabskich plemion w trakcie ich wędrówek – były meteoritami i można dostrzec wyraźną linię kulturowej transmisji łączącą takie *betyle* (często umieszczane w przenośnych kaplicach) z Czarnym Kamieniem Kaaby i z kamiennymi „tablicami prawa” przechowywanymi w arce. *Betyle* były znane także w Europie, gdzie nazywano je *lapis betilis*; to określenie:

(...) pochodzi od semickiego słowa i później zostało przejęte przez Greków i Rzymian jako nazwa świętych kamieni, które uważano za obdarzone boskim życiem, kamienie z duszą [i używano] do celów magicznych, przepowiadania przyszłości i różnych przesądów. Były to meteority, które spadły z nieba³⁸.

W tym kontekście szczególne zainteresowanie Chufu „piorunem”, wspomniane na Steli Inwentarza, nabiera zupełnie nowego znaczenia. Jak czytelnicy zapewne pamiętają, inskrypcja mówi o „Panu Nieba” – co jest epitetem Atuma-Re – „zstępującym” na Sfinksa i powodującym uszkodzenia, które później Chufu naprawił zgodnie ze starożytnymi „planami”. Ów „piorun” nie mógł być po prostu błyskawicą, jak sugeruje Selim Hassan, ponieważ stela mówi wyraźnie, że Chufu odwiedził to miejsce, „aby zobaczyć piorun”.

Krótko mówiąc, obiekt, który spadł z nieba i mógł być opisany jako skutek „zstąpienia” Pana Nieba” na Sfinksa, musiał się fizycznie znajdować w Gizie w czasach Chufu. Meteoryt oczywiście spełnia te warunki, lecz nie mógł oczywiście być kamieniem Benben przechowywanym w Heliopolis, ponieważ

Dom Feniksa i kamień Benben już istniały w czasach Chufu³⁹. To, jak bardzo zależało faraonowi na „zobaczeniu pioruna”, świadczy o wyjątkowej czci, jaką otaczano ten rodzaj obiektów. Możemy się zastanawiać, czy ów kult wywodzi się od jakiegoś konkretnego zdarzenia – i jak daleko sięga w przeszłość.

Czy może na przykład wywodzić się z czasów upamiętnionych w *Tekstach Budowlanych* z Edfu – czasów, kiedy wyspa bogów została zniszczona w katastroficznym potopie wywołanym przez atak „wrogiego węża”, tak sugestywnie opisywanego jako „Wielki Skaczący”?

Zanim spróbujemy odpowiedzieć na to pytanie, przyjrzyjmy się nieco dokładniej kamieniowi Benben i kojarzonemu z nim ptakowi Benu.

Lot Feniksa

R.T. Rundle Clark, który dogłębnie przestudiował Benu-Feniksa, pisze, że starożytni Egipcjanie wierzyli w „esencję życiową” – *Heka* – która została przyniesiona do ich kraju:

(...) z odległego, magicznego źródła. Była nim „Wyspa Ognia”, miejsce wiecznego światła poza granicami świata, gdzie bogowie rodzili się albo odradzali i skąd zostali wysłani na świat. Feniks jest najważniejszym posłańcem z tej niedostępnej ziemi bogów. W *Tekstach Sarkofagów* zwycięska dusza mówi: „Przyszedłem z Wyspy Ognia, napelniwszy swoje ciało Heka, jak ptak, który [przybył i] wypełnił świat tym, co jest nieznanne”⁴⁰.

Tak więc Feniks przybył z daleka – podsumowuje Rundle Clark – „przynosząc światło i życie na świat pogrążony w bezsilności pierwotnej nocy. Przeleciał nad całym światem, »nad oceanami, morzami i rzekami«, aby w końcu wylądować w Heliopolis, symbolicznym środku ziemi, gdzie ogłosi początek nowej epoki”⁴¹.

To krótkie podsumowanie przywodzi na myśl opisaną w tekstach z Edfu odległą wyspę, z której zostali wysłani bogowie, powrót światła po okresie pierwotnej ciemności i przybycie do Heliopolis, gdzie zaczęła się nowa epoka. Można wręcz powiedzieć, że Feniks symbolizuje przesłanie dla tych „bogów”, którzy uciekli ze swojej zatopionej ojczyzny z długoterminowym planem wskrzeszenia i odnowienia dawnego świata.

Ale symboliczne powiązania sięgają znacznie głębiej i są znacznie bardziej złożone. Pamiętajmy, że Feniks jest blisko związany nie tylko ze światłem, ale również z ogniem. W IV wieku n.e. Laktancjusz pisał, że Feniks:

(...) kąpie się w świętym zdroju i żywi się żywą wodą. Po 1000 lat... buduje gniazdo jako grób, gromadząc różne oleje i wonności. Kiedy siada na gnieździe, jego ciało staje się tak gorące, że wznieca płomień, który obraca je w popiół, a z niego ma powstać mlecznobiały robak; ten zaś zasypia i przekształca się w jajo, a w końcu wykluwa się z rozbitej skorupy

jako ptak. Pożywiwszy się, zlepia popioły w bryłę stopioną mirrą i kadzidłem, które nowo narodzony ptak zabiera na ołtarz w mieście Heliopolis⁴².

Ten wątek ognia, odrodzenia i nowego życia powstającego ze śmierci w płomieniach pojawia się również w starożytnym Iranie, gdzie Jima buduje swój War, a Feniks jest znany jako Simurg. Jak wyjaśnia etnograf E.W.A. Kenealy, z opowieści o Simurgu wynika:

(...) że śmierć i wskrzeszenie Feniksa symbolizują sukcesywne niszczenie i odtwarzanie świata, które dokonuje się w ognistym potopie⁴³.

Różnie podawany jest czas życia Feniksa – 1000, 500, 540, 7006 lat – po którym umiera on w ogniu i odradza się⁴⁴. Istnieje jednak również bardzo silna i intrygująca tradycja, wspomniana na przykład przez Solinusa na początku III wieku n.e., która przypisuje Feniksowi na pozór przypadkową i dziwną liczbę lat – 12 954⁴⁵. Jak się jednak okazuje po bliższej analizie, „uważano, że czas życia Feniksa odpowiada Wielkiemu Rokowi”⁴⁶, a „Wielki Rok”, jak już wiemy, był starożytną koncepcją związaną z precesją równonocy i jej dwunastoma „Wielkimi Miesiącami” (każdy trwa tyle, ile przejście Słońca przez jeden dom zodiaku) liczącymi po 2160 lat, a więc $12 \times 2160 = 25\,920$ lat. Liczba 25 920 jest bardzo bliska dwukrotności 12 954 ($2 \times 12\,954 = 25\,908$) – moim zdaniem zbyt bliska, by uznać to za dzieło przypadku, zwłaszcza jeśli przypomnimy sobie, że Cycero w swoim *Hortensjuszu* łączył Wielki Rok z liczbą 12 954⁴⁷.

Liczba 540 podawana w innych źródłach jako czas życia Feniksa okazuje się również wywodzić z Wielkiego Roku, co udowodnili Giorgio de Santillana i Hertha von Dechend w swojej książce *Hamlet's Mill* [Młyn Hamleta], mistrzowskim studium przekazywanej w mitach wiedzy o precesji. Jak pamiętamy z rozdziału dziesiątego, najmniejszą jednostką cyklu precesyjnego jest liczba 72 – tyle lat trwa precesyjny obrót o jeden stopień. Dodajmy 36 (połowę 72) do liczby 72, a dostaniemy 108; podzielmy 108 na pół, aby dostać 54, i na koniec pomnóżmy 54 przez 10, żeby dostać 540. Opisałem to wszystko bardzo szczegółowo w *Śladach palców bogów* i zachęcam czytelników do sięgnięcia po tę książkę, aby dowiedzieć się więcej o liczbach precesyjnych⁴⁸, które pojawiają się w starożytnych mitach i przekazach z całego świata. De Santillana i von Dechend dawno już udowodnili, że liczby te są świadectwem zaawansowanej wiedzy astronomicznej w zamierzchłej starożytności – wiedzy, za której źródło uważali jakąś jeszcze niezidentyfikowaną i „niemal nieprawdopodobną” dawną cywilizację⁴⁹.

Szczególnie intrygujące jest to, jak często starożytni autorzy łączą wpływ Wielkiego Roku – który, jak już wiemy, wydaje się związany z czasem życia Feniksa – z „pożarem świata” i „światowym potopem”, niekoniecznie wskazując go jako przyczynę tych kataklizmów, lecz raczej jako zegar, który je odnotowuje i przewiduje⁵⁰. W obliczu takiego materiału, mimo wszystkich sprzeczności i osobliwości, w jakie obrósł on na przestrzeni tysiącleci, nie sposób nie przypomnieć sobie o komecie młodszego dryasu oraz pożarach i powodziach, jakie spowodowała – te ostatnie w wyniku katastroficznego osiadania dużych części północnoamerykańskich i północnoeuropejskich lodowców, kiedy uderzyły w nie duże fragmenty komety. Pożary natomiast były skutkiem wyrzucenia w powietrze rozgrzanego do wysokich temperatur materiału, który podpalił lasy na powierzchni co najmniej 50 000 000 kilometrów kwadratowych.

To, co odchodzi, powraca

Założmy, że chcemy przekazać wiadomość potomnym, i to nie tylko w bliskiej przyszłości, ale i w bardzo odległej. Byłoby nierozważne zrobić to na piśmie, ponieważ nie możemy być pewni, czy za 12 000 lat jakaś cywilizacja będzie umiała odczytać nasze pismo. Poza tym, nawet gdyby pismo było znane, dokument zawierający naszą wiadomość mógłby nie przetrwać burz dziejowych. Jeśli by naprawdę nam zależało, aby zrozumiały nas przyszłe pokolenia, najlepiej byłoby zapisać naszą wiadomość w gigantycznych budowlach, których „bałby się sam czas” – budowlach takich jak piramidy i Wielki Sfinks w Gizie – i skojarzyć je z jakimś uniwersalnym językiem, na przykład takim, jak powolne precesyjne zmiany na niebie, który umiałyby pojąć każda kultura znająca się na astronomii.

Najlepiej też, aby nasza wiadomość była nieskomplikowana.

Jak pamiętamy z rozdziału dziesiątego, obszar Gizy-Heliopolis-Memfis doskonale pasuje na jedną z takich nowych świętych domen, które według tekstów z Edfu były zakładane w różnych miejscach przez „wędrujące” grupy bogów starające się doprowadzić do wskrzeszenia świata zniszczonego przez potop. Co więcej, jest to domena, którą w pełni zasłużenie można opisać jako „księgę, która zstąpiła z nieba”. Kiedy „czytamy” tę księgę, spisana „pismem” precesji i „piórem” megalitycznej architektury, kieruje ona naszą uwagę na epokę 10 500 p.n.e. – nie na konkretną datę, ponieważ precesyjny „zegar” daje wskazania zbyt ogólne, byśmy mogli rozpoznać „sekundy” lub choćby

„minuty”, ale wyraźnie na epokę około 10 500 roku p.n.e., czyli około 12 500 lat temu. Te same ogólne konfiguracje astronomiczne, które zostały odzwierciedlone na ziemi jako wielkie monumenty w Gizie, były aktualne również 500 lat przed 10 500 rokiem p.n.e. i około 1000 lat później.

Innymi słowy, mogliśmy zobaczyć, że „wiadomość” zawarta w tych monumentach obejmuje katastroficzną epokę młodszego dryasu, który zaczął się nagle i szokująco od uderzenia wielu fragmentów gigantycznej komety około 10 800 roku p.n.e., czyli 12 800 lat temu, i zakończył równie nagle – jeszcze nie wiemy dlaczego – około 9600 roku p.n.e., czyli 11 600 lat temu. Najbardziej prawdopodobnym wyjaśnieniem jest to, że w 9600 roku p.n.e. Ziemia spotkała się ponownie z pozostałościami tej samej rozpadającej się na części komety, która zapoczątkowała młodszy dryas w 10 800 roku p.n.e. Za drugim razem jednak skutkiem impaktów było nie ochłodzenie, lecz globalne ocieplenie.

Z kometami jest jak z Feniksem – to, co odchodzi, powraca.

Ponieważ komety krążą po orbitach, wracają na nasze niebo w regularnych odstępach czasu – niektóre częściej, nawet co 3,3 roku (jak na przykład kometa Enckego), inne rzadziej (jak kometa Hale’a-Boppa, co 4000 lat), a niektóre pojawiają się co dziesiątki tysięcy lat.

I podobnie jak mityczny Feniks, komety przechodzą proces „odnowy” – „odrodzenia” – za każdym pojawieniem się na naszym niebie. Jest tak, ponieważ jądra komet są zwykle nieruchome i ciemne, kiedy przybywają z głębi kosmosu; nie mają charakterystycznej „komy” i świetlistego „warkocza”. Kiedy jednak kometa zbliża się do Słońca (a tym samym również do Ziemi), promieniowanie słoneczne powoduje, że niestabilne substancje w jej wnętrzu ulegają gwałtownej aktywacji i wytwarzają strumienie gazu – naukowcy nazywają ten proces „odgazowaniem”. Z wyrzucanych wówczas milionów ton bardzo drobnego pyłu i gazu powstaje koma i warkocz.

Ulegające odgazowaniu komety, podobnie jak Feniks, sprawiają wrażenie, jakby były pochłaniane przez ogień. Co więcej, należy oczekiwać, że zderzenie dużych fragmentów komety z Ziemią – co tak obrazowo opisali naukowcy badający zdarzenie, które zapoczątkowało młodszy dryas 12 800 lat temu – mogło wywołać pożary o ogromnej, kontynentalnej skali, a następnie, jeżeli fragmenty komety uderzyły w lodowiec, globalny potop.

Jest możliwe, a wręcz bardzo prawdopodobne, że jeszcze nie uwolniliśmy się całkiem od komety, która zmieniła oblicze Ziemi między 10 800 a 9600 rokiem p.n.e. Jak zobaczymy w rozdziale dziewiętnastym, niektórzy przypuszczają, że „powrót Feniksa” nastąpi jeszcze za naszych czasów – około roku 2040 lub wcześniej – a niektóre z fragmentów komety mogą mieć

średnicę nawet 30 kilometrów. Zderzenie z takim obiektem oznaczałoby w najlepszym razie koniec cywilizacji, jaką znamy, a może wręcz koniec ludzkiego życia na naszej planecie. Skala jego skutków byłaby znacznie większa niż uderzenia, które zapoczątkowały młodszy dryas 12 800 lat temu i odebrały naszemu gatunkowi zbiorową pamięć, zmuszając nas, byśmy zaczęli wszystko od nowa niczym dzieci pozbawione wspomnień, co działo się wcześniej.

Albo raczej prawie pozbawione wspomnień.

Ponieważ wydaje się, że w naszych początkach mogliśmy liczyć na pomoc, kierownictwo, nauki i mądrość „Mędrców”, „Lśniących” – „Magów Bogów” – którzy ocalili z przedpotopowych czasów i których misja polegała na zadbaniu o to, by nie wszystko przepadło. Nie miałyby sensu, gdyby włożyli aż tyle wysiłku w zakodowanie w Gizie daty 10 800 p.n.e. tylko po to, by powiedzieć, że tam byli. Moim zdaniem ich cywilizacja dysponowała na tyle zaawansowaną nauką, że doskonale rozumieli, co się dzieje na świecie, i umieli przewidzieć, że coś podobnego może się powtórzyć.

Krótko mówiąc, sądzę, że ich celem mogło być przekazanie nam pewnej wiadomości.

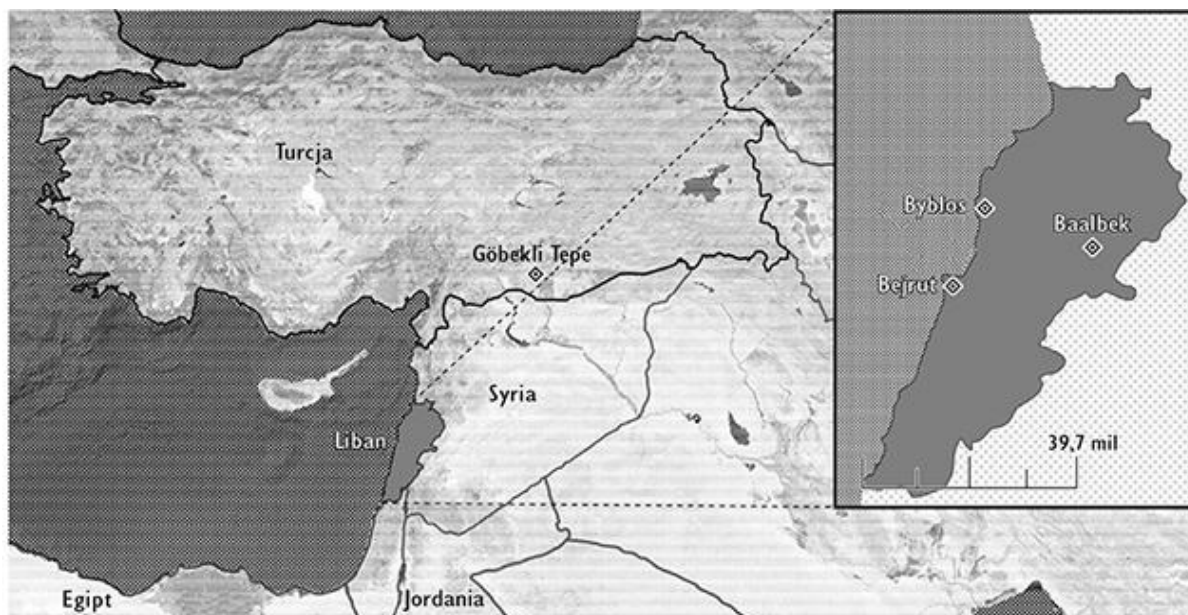
Z tą wiadomością i płynącym z niej wnioskiem zapoznamy się dokładniej w następnych rozdziałach, najpierw jednak musimy się przyjrzeć innemu zbiorowi poszlak, które mogą nas przybliżyć do poznania „Magów” i ich „magii”.

V. KAMIENIE

12. BAALBEK

Wylądowaliśmy na międzynarodowym lotnisku w Bejrucie późnym wieczorem 9 lipca 2014 roku. Lotnisko nosi imię byłego premiera Rafika Haririego, zabitego 14 lutego 2005 roku, kiedy kolumna samochodów, w której jechał, mijala furgonetkę mitsubishi zaparkowaną obok hotelu Saint George przy modnej nadmorskiej ulicy Corniche. W furgonetce znajdował się młody zamachowiec samobójca (na to przynajmniej wskazuje badanie bardzo fragmentarycznych śladów DNA) i około 1800 kilogramów trotylu. Zginęły 23 osoby, wśród nich Hariri, kilku jego ochroniarzy oraz bliski przyjaciel i były minister gospodarki Bassel Fleihan. Wśród podejrzanych o zorganizowanie tego zamachu byli ważni członkowie Hezbollahu, szyickiego ugrupowania politycznego kontrolującego miasteczko Baalbek w dolinie Bekaa, gdzie znajdują się pewne intrygujące starożytne ruiny, które postanowiłem zobaczyć w czasie mojej badawczej wizyty w Libanie. Hezbollah obwinia Izrael. Poza tym niektórzy przypuszczają, że w sprawę był bezpośrednio zaangażowany prezydent Syrii Baszar al-Asad¹.

Syryjska granica biegnie wzdłuż wschodniego brzegu doliny Bekaa, bardzo blisko samego Baalbek, które zostało ostrzelane w czerwcu 2013 roku i gdzie często zdarzają się różne incydenty². Wobec trwającej straszliwej wojny w Syrii i wielkiej liczby uchodźców, co dodatkowo komplikowało i tak niestabilną sytuację, radzono nam, abyśmy trzymali się z dala od tego miejsca. Ale ja od lat chciałem zobaczyć Baalbek, a po tym, czego się dowiedziałem w czasie moich badań nad starożytnym Egiptem, tym bardziej mnie tam ciągnęło.



Il. 41. Położenie Libanu.

Ruiny w Baalbek mają wiele zagadkowych aspektów i powiązań; czytałem o nich, przeglądając w samolocie swoje notatki, i nie potrafiłem przestać myśleć, kiedy Santha i ja wysiedliśmy z samolotu i szliśmy w stronę terminalu. Nocne powietrze było ciepłe, ale orzeźwiająca bryza wiała od Morza Śródziemnego i nie mogłem się doczekać przygody.

Nasze pierwsze spotkanie z biurokracją przybrało formę urzędnika imigracyjnego w szarym mundurze i rozpiętej pod szyją koszuli. Był młody, ale miał ziemistą, niezdrową cerę, nieogolone policzki i podejrzliwy wyraz twarzy. Właściwie był bardzo podejrzliwy, co dawał jasno do zrozumienia za każdym razem, gdy odrywał wzrok od mojego paszportu, by przyjrzeć mi się badawczo. Mój paszport zawiera 41 stron przeznaczonych na wize, a ja często podróżuję, więc mam pieczętki z całego świata – z Malezji, Indonezji, Australii, Południowej Afryki, Indii, Stanów Zjednoczonych, Brazylii, Boliwii, Peru, Egiptu, Emiratów, Kanady, Turcji... Młody urzędnik studiował uważnie każdy stempel, powoli przewracając kartki, mierzył mnie groźnym wzrokiem, wracał do studiowania paszportu, znowu mierzył mnie wzrokiem. Kiedy dotarł do ostatniej strony, zaczął całą procedurę od nowa, tym razem przeglądając paszport od tyłu.

Wiem, czego szukał – wize izraelskiej, której obecność pozwoliłaby mu nie wpuścić mnie do Libanu. Ale nie znalazł. Wprawdzie moje badania zaprowadziły mnie do Izraela kilkakrotnie, lecz zawsze pamiętam, aby prosić o stemple wjazdowe i wyjazdowe na luźnej kartce włożonej do paszportu. Poza

tym ostatni raz byłem w Izraelu w 1999 roku, a od tamtego czasu dwukrotnie zmieniłem paszport, więc zupełnie nie miałem się czym martwić. Mimo to muszę przyznać, że czułem się nieswojo, poddawany tak drobiazgowej kontroli.

Po przejrzeniu paszportu po raz trzeci urzędnik posłał mi kolejne nieprzyjemne spojrzenie i spytał:

– Po co przyjechał pan do mojego kraju?

– Jako turysta – odparłem. Z długiego doświadczenia wiedziałem, że choćby słowo na temat prowadzenia badań może prowadzić do wszelkiego rodzaju dodatkowych problemów i podejrzeń, których lepiej unikać.

Uniósł sceptycznie brwi.

– Turysta?

– Tak, turysta.

– I co pan będzie oglądał w naszym kraju?

Na to pytanie byłem przygotowany.

– Bejrut. Piękną Corniche. Słyszałem, że są tam świetne restauracje. Potem pojedziemy do Byblos i oczywiście do Baalbek.

Ponownie uniósł brwi.

– Baalbek?

– Tak, oczywiście! Za nic nie chciałbym go pominąć. – To przynajmniej było prawdą. – Świątynie. Wielkie kamienie. Słyszałem, że to jeden z cudów świata.

I nagle się uśmiechnął.

– Tak, cudowne! Ja pochodzę z Baalbek. To moje rodzinne miasto.

Z rozmachem przybił pieczętkę w paszporcie i nabazgrał coś na wizie.

– Witamy w Libanie!

Teraz przyszła kolej na Santhę, ale lody zostały już przełamane, więc urzędnik tylko pobieżnie przejrzał jej paszport, przybił stempel i puścił nas dalej.

Studnia dusz

W drodze z lotniska do hotelu mineliśmy miejsce, gdzie zginął Rafik Hariri. Oczywiście zniszczenia już dawno zostały usunięte, wszystko wygląda bardzo elegancko i mimo późnej pory mnóstwo ludzi, w większości młodych, w większości modnie ubranych, spaceruje po Corniche nad połyskującymi wodami Morza Śródziemnego, w których pięknie odbijają się uliczne latarnie i

gwiazdy. Widząc to, trudno sobie wyobrazić przemoc, jakiej doświadczyło to miasto w ciągu ostatnich 40 lat i moje myśli wracają do przyczyny naszej wizyty.

Kiedy prowadziłem badania nad Egiptem w poszukiwaniu śladów starożytnej misji cywilizacyjnej po globalnym kataklizmie opisanym w tekstach z Edfu, znalazłem coś dziwnego, co wydaje się wskazywać na możliwość istnienia związku między megalitycznymi monumentami w Gizie a Libanem.

Kilka tysięcy lat temu Liban stanowił północną część krainy nazywanej w Biblii Kanaanem, która obejmowała też obszar dzisiejszego Izraela, terytoria palestyńskie, zachodnią Jordanię i południowo-zachodnią Syrię. Co dla mnie interesujące, zarówno w Izraelu, jak i w Libanie znajdują się tajemnicze megalityczne budowle, które nie tylko skalą dorównują Gizie, ale wydają się wyrażać tę samą ideę tworzenia czegoś trwałego – świętych wzgórz, miejsc, które oprą się upływowi czasu i będą otaczane czcياً przez wieki, nawet jeśli zmienią się związane z nimi religie i kultury.

Jednym z takich miejsc jest Wzgórze Świątynne w Jerozolimie. Według ortodoksyjnej archeologii i świadectw biblijnych pierwsza wielka budowla w tym miejscu została wzniesiona w niemal mitycznych czasach króla Salomona, słynnego króla maga, który podobno panował w X wieku p.n.e. Budowla ta, zwana Świątynią Salomona lub „Pierwszą Świątynią”, została zniszczona przez Babilończyków i odbudowana przez Zerubbabela w latach 20. VI wieku p.n.e.³ Kolejny ambitny projekt renowacyjny podjął zromanizowany żydowski monarcha Herod Wielki w I wieku p.n.e., kończąc swoją budowlę około 20 roku p.n.e.⁴ Około 90 lat później, w 70 roku n.e., świątynia Heroda została zniszczona przez Rzymian, wraz ze znaczną częścią Jerozolimy⁵.

Ocalała tylko ogromna trapezoidalna platforma, dzisiaj znana jako *Haram asz-Szarif*, na której wznosi się meczet al-Aqsa i Kopuła Skały – trzecie i czwarte najświętsze miejsca islamu⁶. Nie będziemy się tutaj zajmować najnowszą historią tego miejsca ani okolicznościami, w jakich znalazło się ono w rękach muzułmańskich, ale Kopuła Skały nosi taką właśnie nazwę, ponieważ znajduje się w niej ogromny megalit, zwany przez Żydów *Szetija* (co znaczy dosłownie „Podstawa”). Kiedy dokładnie w tym miejscu została wzniesiona w X wieku p.n.e. Świątynia Salomona, *Szetija* stanowiła podłogę Świętego Świętych i stała na niej Arka Przymierza – tajemniczy obiekt, którym zajmowałem się w innej książce⁷.

Szetija nie jest jedynym megalitem w Jerozolimie być może pochodzącym z epoki, którą teksty z Edfu nazywają „czasem bogów”. Oczywiście ogromna

naturalna skała spoczywa w tym miejscu, na szczycie pradawnego wzgórza, przywodzącego na myśl naturalne wzniesienie obecnie zamknięte wewnątrz Wielkiej Piramidy w Gizie, od niepamiętnych czasów. Ale w pewnym momencie, być może w X wieku p.n.e., kiedy według archeologów miała powstać Świątynia Salomona, może później, a może znacznie wcześniej, została zmodyfikowana rękami ludzkimi i dziś jest w niej wykuty otwór, przez który snop światła wpada do znajdującej się pod nią naturalnej jaskini, również zmodyfikowanej przez człowieka i zwanej sugestywnie „Studnią Dusz”.

Byłem w Studni Dusz kilkakrotnie. Nie jest ona tak surowa jak Podziemna Komora pod Wielką Piramidą, ponieważ miejscowy zły gust pozwolił wyłożyć ją ceramicznymi płytkami i dywanami, a także wyposażyć i oświetlić jak salę modlitewną. Ale sposób, w jaki przykrywająca ją wielka skała została przycięta i uformowana, bardzo przypomina to, co można zobaczyć na opracowanych powierzchniach skały w Gizie. Mówiąc krótko, przypuszczam, że, podobnie jak Giza z podziemnym pomieszczeniem pod naturalnym wzgórzem, również ta skała i Studnia stanowiły pierwotne sanktuarium, wokół którego zbudowano wszystko inne na jerozolimskim Wzgórzu Świątynnym.

Następnie wzniesiono solidną platformę z ogromnych kamiennych bloków, aby stworzyć równą, podwyższoną powierzchnię, na której stanęły wszystkie późniejsze świątynie (i meczety). Nie zamierzam zajmować się tutaj wszystkimi tajemnicami Jerozolimy, ale zanim wyruszymy do Baalbek, któremu przede wszystkim jest poświęcony ten rozdział, wyrażę tylko zaskoczenie tym, że wielkie, megalityczne bloki odkryte w tak zwanym Tunelu Hasmonejskim, leżącym na północ i na przedłużeniu słynnej Ściany Płaczu – bloki, z których wiele waży ponad 500 ton⁸ – tak łatwo uznano za dzieło Heroda.

Bardzo do nich podobne gigantyczne megality z Baalbek są również datowane na stosunkowo niedawne czasy – między I wiekiem p.n.e. a drugą połową I wieku n.e. – i uważane za dzieło Rzymian, być może z pewnym udziałem samego Heroda⁹. Ale historię Baalbek, podobnie jak Gizy, na siłę wtłoczono w bardzo ciasne ramy. Niektóre jego elementy mogą być znacznie starsze, niż się obecnie uważa.

Tym, co skłoniło mnie do zastanawiania się nad taką możliwością – a wręcz było powodem, dla którego w lipcu 2014 roku znalazłem się w Bejrucie, w drodze do doliny Bekaa, kolebki Hezbollahu nad syryjską granicą – jest dziwny związek łączący Gizę ze starożytnym Kanaanem i semickim ludem zwanym w Biblii Kananejczykami.

Magicy wśród bogów

Selim Hassan (1887–1961) miał wszystko, co powinien mieć prawdziwy egiptolog – pasję, rozległą wiedzę w swojej dziedzinie i otwarty umysł. Pracował też w terenie, a w latach 30. XX wieku przeprowadził najbardziej gruntowne i szczegółowe badania wszystkich ważniejszych struktur w Gizie. W czasie wykopalisk wokół Sfinksa natknął się na ślady obecności w Gizie Kananejczyków – a wręcz istniejącą dość długo kananejską osadę – która z jakiegoś powodu była skupiona wokół Sfinksa i jego megalitycznych świątyń. „Niestety, nie znamy żadnej inskrypcji, która powiedziałałaby nam, jak ci ludzie osiedlili się w Egipcie ani kiedy i dlaczego odeszli”, przyznaje Hassan¹⁰. Dobrze poświadczona jest ich obecność od czasów XVIII dynastii (1543–1292 p.n.e.), ale nie można wykluczyć, że byli w Egipcie już znacznie wcześniej.

W każdym razie znaleziono liczne stele wotywno i inne ślady szacunku dla Wielkiego Sfinksa, zapisane i ofiarowane przez członków tej społeczności. Wiemy już, że Sfinks był identyfikowany z bogiem Horusem, który mógł przybierać różne formy, lecz najczęściej sokoła. Tym bardziej interesujący jest więc fakt, że Sfinks występuje w kananejskich inskrypcjach pod imieniem *Hurna*, a czasem *Hauron*. Nie są to egipskie słowa, lecz imiona kananejskiego boga sokoła¹¹. Czytelnicy pamiętają też z rozdziału dziesiątego, że starożytni Egipcjanie nazywali Sfinksa *Hor-em-Achet* („Horusem w horyzoncie”). Okazuje się, że to imię jest w wielu inskrypcjach bezpośrednio powiązane z *Hurna* – inskrypcjach pozostawionych nie tylko przez Kananejczyków, ale i samych Egipcjan, na przykład na plakietce Amenhotepa II, na której faraon jest określony jako „ukochany *Hurna-Hor-em-Acheta*”¹².

Selim Hassan zwrócił uwagę na „asymilację imion *Hurna* i *Hor-em-Achet*” na plakietce Amenhotepa, co potwierdza użycie „imienia boga *Hurna* w Egipcie i jego skojarzenie z *Hor-em-Achet* oraz odniesienie do Sfinksa”¹³. Podobnie, inskrypcja na jednej ze stel znalezionych w Gizie głosi: „Adoracja *Hor-em-Acheta* w jego imieniu *Hurna*... Ty jesteś jedyny, który będzie istniał wiecznie, podczas gdy wszyscy ludzie umrą”¹⁴. Na innej steli *Hurna* jest przedstawiony w formie sokoła, a obok znajduje się inskrypcja: „O *Hurna-Hor-em-Achet*, oby dał łaskę i miłość...”¹⁵. Christiane Zivie-Coche z Ecole pratique des hautes études w Paryżu dodaje, że często w ten sam sposób był używany wariant *Hauron*:

Hauron był tak blisko związany z Hor-em-Achetem, czyli Wielkim Sfinksem w Gizie... że nazywano go równie często Hauronem, Hor-em-Achetem, jak i Hauronem-Hor-em-Achetem¹⁶.

Ale tym, co naprawdę zwróciło moją uwagę i skłoniło do udania się do Bejrutu, była inna obserwacja Zivie-Coche, która napisała:

Jeden z epitetów na statuetce Sfinksa wskazuje, że Hauron pochodził z Libanu¹⁷.

W kontekście cywilizacyjnej misji mędrców i magów, którzy pozostawili tak liczne ślady w tekstach z Edfu i mezopotamskich inskrypcjach, intrygująca jest również gliniana tabliczka ze starożytnego miasta Ugarit, leżącego nad Morzem Śródziemnym w dzisiejszej Syrii, niedaleko na północ od libańskiego Byblos. Tabliczka opisuje *Haurona*, który – podobnie jak mędrca Apkallu z Mezopotamii – został przedstawiony jako „sztukmistrz”¹⁸ albo, jak napisał egiptolog Jacobus van Dijk, jako:

(...) mag wśród bogów...¹⁹

„Magia” *Haurona* obejmuje coś jednoznacznie kojarzącego się ze współczesną wiedzą naukową, w tym przypadku pozwalającą uzyskać surowicę „z krzewów drzewa śmierci”²⁰, która wyleczyła ofiarę ukąszenia jadowitego węża. To jeszcze bardziej kojarzy się z Apkallu, Jak czytamy, trucizna została zneutralizowana tak, że „stała się słaba” i „odpłynęła jak rzeka”²¹.

I jest coś jeszcze – coś, co kieruje nas wprost ku Baalbek i jego tajemniczym megalitom – gdyż nie tylko *Hauron/Hurna* był czczony w Gizie i utożsamiany ze Sfinksem i sokołem Horusem, ale kananejskie bóstwo, od którego pochodzi nazwa Baalbek²², również otaczano czcią w Egipcie, gdzie kojarzono je z Sethem, bogiem pustyń i burz²³.

Poza tym trzeba pamiętać, że po podboju Syrii i Lewantu przez Aleksandra Wielkiego w 332 roku p.n.e. Baalbek nosiło nazwę Heliopolis – co po grecku oznacza „Miasto Słońca”²⁴. Czytelnicy pamiętają zapewne z rozdziału jedenastego, że Junu, święte miasto starożytnych Egipcjan, gdzie znajdowała się świątynia Feniksa, pod opieką kapłanów z Gizy, również było przez Greków nazywane Heliopolis. Nazywali je tak co najmniej od czasów Herodota w V wieku p.n.e.²⁵, a Rzymianie przejęli tę nazwę. Podobnie Baalbek było zwane Heliopolis przez cały okres rzymski.

Idąc w ślady Aleksandra, Pompejusz zajął Lewant i Syrię w 64 roku p.n.e., a kulminacja rzymskiego panowania nastąpiła w I i II wieku n.e., kiedy posąg „Jowisza Najwyższego i Największego z Heliopolis” stał na dziedzińcu wielkiej świątyni, którą Rzymianie wzniesli w Baalbek na cześć tego boga²⁶. Oprócz zwykłych rzymskich atrybutów posągów, który do dzisiaj można oglądać w muzeum Luwr w Paryżu, ma na piersi uskrzydłony dysk słoneczny – co zdaniem Friedricha Ragette’a, byłego profesora architektury na

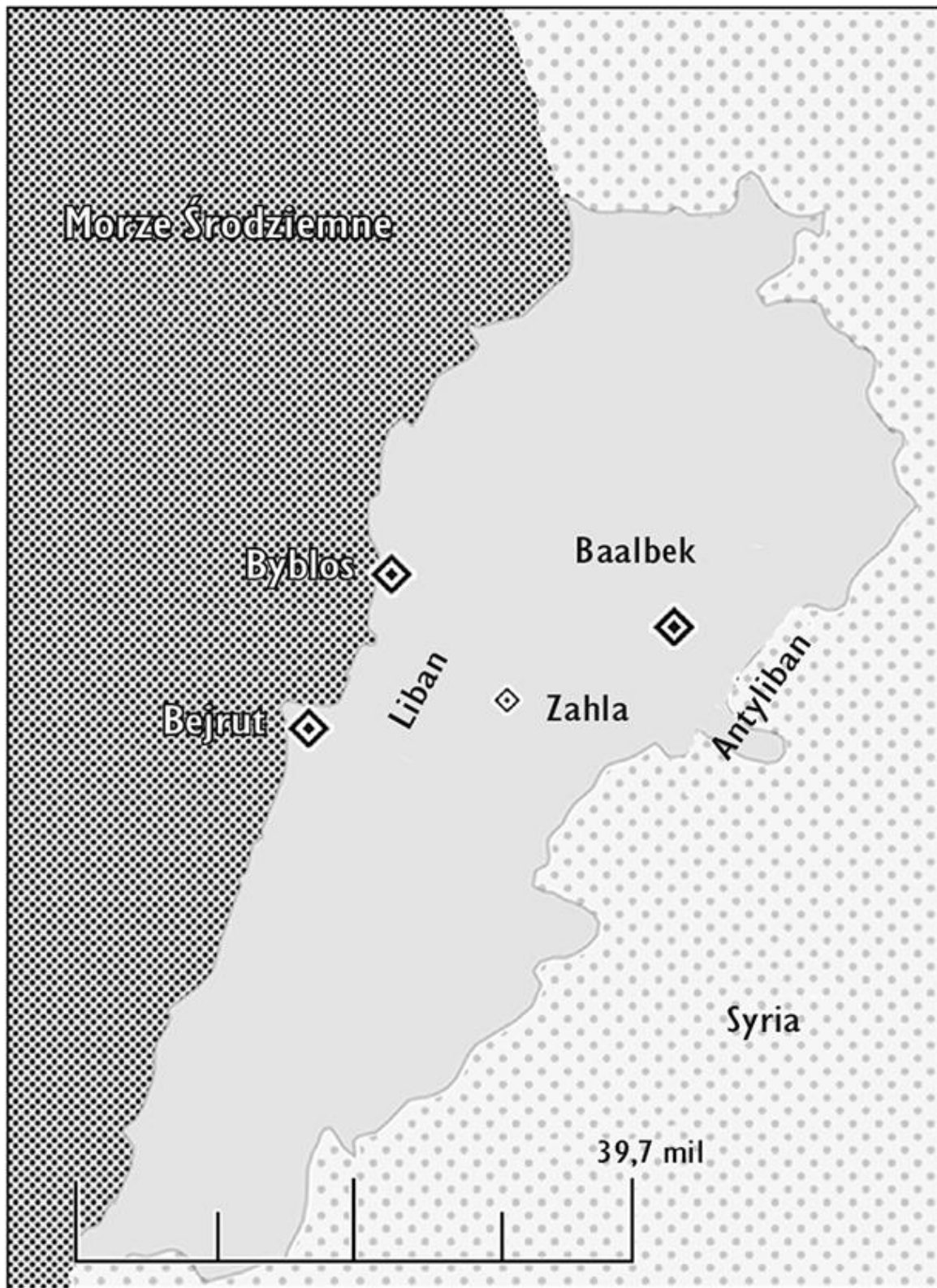
Uniwersytecie Amerykańskim w Bejrucie, może być nawiązaniem „do boga z egipskiego Heliopolis”²⁶.

Dopiero po podboju arabskim w VII wieku n.e. w lewantyńskich kronikach pojawiła się ponownie oryginalna kananejska nazwa „Baalbek” i dopiero wtedy grecko-rzymskie określenie „Heliopolis” ostatecznie przestało być używane²⁸.

Między pasmami Libanu i Antylibanu

Rankiem po naszym przylocie do Bejrutu dołączyli do nas w hotelu libańscy przyjaciele, którzy mieli nas zawieźć do Baalbek. Przed wyjazdem, przy kawie, opowiedzieli nam, jakie mieliśmy szczęście: walki w Syrii ustały na jakiś czas, wzdłuż całej granicy panował spokój i można było liczyć, że nie spotkają nas żadne kłopoty.

Libańska stolica w świetle dnia jest niemal tak samo piękna i urocza jak w nocy. Sto dwadzieścia tysięcy ludzi zginęło w tym kraju w czasie długiej i strasznej wojny domowej między 1975 a 1990 rokiem, ale wydaje się, że miasto, w którym toczyło się tyle walk, zostawiło ten koszmarny czas za sobą. Większość śladów na murach po pociskach, szrapnelach i wybuchach naprawiono, powstaje mnóstwo nowych budynków, wszędzie panuje atmosfera optymizmu i przedsiębiorczości. Owszem, można wyczuć też smutek – to nieuniknione po tylu zniszczeniach i śmierci – ale odniosłem nieodparte wrażenie, że jest to naród otrząsający się z traumy, a nie rozczulający się nad sobą; naród energicznych, inteligentnych młodych ludzi, którzy postanowili iść dalej.



Il. 42.

Ruchliwą drogą prowadzącą na wschód od stolicy jechaliśmy przez przedgórze Libanu. Do Baalbek jest zaledwie 86 kilometrów, ale na trasie znajdują się liczne posterunki wojskowe, gdzie zatrzymywali nas i kontrolowali uzbrojeni po zęby żołnierze. To nas oczywiście spowalniało. Widok jednak stawał się coraz bardziej spektakularny; za nami połyskiwało Morze Śródziemne, przed nami piętrzyły się potężne, zielone, porośnięte drzewami zbocza Libanu. Droga wiła się serpentyną ponad przyprawiającymi o zawrót głowy urwiskami, powietrze było coraz chłodniejsze, a krajobraz coraz bardziej dziki. W końcu minęliśmy przełęcz Dajr al-Bajdar na wysokości 1556 metrów i ruszyliśmy w dół przez rozległe, urodzajne pola doliny Bekaa. Minęliśmy przedmieścia Zahli ze słynną winnicą Ksara i już po chwili jechaliśmy przez właściwą Bekaa – chociaż jest to raczej płaskowyż niż dolina, ponieważ leży ponad 1000 metrów nad poziomem morza.

Bekaa, ograniczona od wschodu pasmem Libanu, które właśnie przejechaliśmy, a od zachodu Antylibanem, jest nawadniana przez dwie historyczne rzeki – Litani i Orontes. Kiedy Rzymianie skolonizowali ten region 2000 lat temu, żyzny płaskowyż był jednym z ich spichlerzy zaopatrujących imperium w zboże. Dzisiaj większe zyski przynosi uprawa konopi – choć raczej dyskretnie ukrywana. Aby nie wzbudzać niezadowolenia wśród miejscowych rolników, władze najczęściej przymykają na to oko.

Po dalszych 30 lub 40 minutach jazdy po prostej, równej drodze, z polami uprawnymi po obu stronach, dotarliśmy na przedmieścia Baalbek u podnóża Antylibanu. Jest to nędzne miasteczko ze sklepikami, urzędami i niskimi blokami mieszkalnymi, z których wiele ozdobiono flagami Hezbollahu z uniesionym przedramieniem trzymającym w zaciśniętej pięści karabin AK-47. Ręka i kałasznikow wyrastają z linii kaligrafii zawierającej nazwę Hezbollahu – „Partii Boga”. Drugi napis głosi: „Oni stanowią partię Boga, która zatriumfuje” i, osobno, „Islamski ruch oporu w Libanie”. Tło flag jest jaskrawożółte, zaś logo i napisy zielone.

Religijne mody i preferencje przychodzą i odchodzą, ale święty krajobraz pozostaje. Na wzniesieniu ponad miasteczkiem wyraźnie widać spektakularne ruiny, monumentalne kolumny i wyniosłe frontony trzech rzymskich świątyń, które przyniosły Baalbek taką sławę w świecie starożytnym. Poświęcone podobno Jowiszowi, Bachusowi i Wenus, były większe i bardziej imponujące niż niemal wszystkie inne, nawet w samym Rzymie. Ale tym, co najbardziej mnie zainteresowało, jest megalityczny mur, który otacza świątynię Jowisza z trzech stron, a zwłaszcza trzy gigantyczne bloki, tak zwany trylit, które są w nią wbudowane. Wszystko, czego dowiedziałem się o trylicie z moich wcześniejszych badań, kazało mi przypuszczać, że bloki te mogą być starsze –

znacznie starsze – a ich przeznaczenie bardziej tajemnicze niż cokolwiek innego, co zbudowali tu Rzymianie.

Teraz miałem okazję to sprawdzić.

Wieki ciemności

Przedpołudniowe słońce praży z absolutnie bezchmurnego, błękitnego nieba, a ja siedzę na wielkim wapiennym bloku, mniej więcej pośrodku tego, co zostało ze świątyni Jowisza. Napisałem „tego, co zostało”, ponieważ zostało z niej niewiele, poza sześcioma strzelającymi w niebo kolumnami, pół szerokości boiska futbolowego za moimi plecami – sześcioma ostatnimi z 54, jakie niegdyś otaczały wielką prostokątną budowlę. Ten kompleks świątyń jest tak kolosalny, a jednocześnie tak zrujnowany, że trudno mi się w nim zorientować. Poza tym muszę przyznać, że dobiegające z daleka odgłosy artyleryjskich wystrzałów, przerywane ostrym stukotem ciężkich karabinów maszynowych, a od czasu do czasu głośnymi hukami wybuchów, nieco rozpraszały uwagę.

Okej, pomyślałem, starając się nie słyszeć odgłosów, które musiały pochodzić z jakichś ćwiczeń libańskiej armii. Spróbujmy ustalić, co tu mamy. Zerknąłem przez ramię i okazało się, że patrzę mniej więcej przez sześć wielkich kolumn stojących na brzegu potężnej platformy, pośrodku której siedziałem, i nieco zagłębiony plac, na rząd 12 kolumn stojących wzdłuż północnego boku mniejszej, lecz lepiej zachowanej i wciąż pięknej świątyni Bachusa.

Nie zamierzam się tutaj zajmować rzymską architekturą, ale i tak jestem pod wrażeniem. Rzymianie nie tylko mieli dość poczucia humoru, by dedykować świątynię winu i płynącym z niego przyjemnościom – podobno regularnie oddawano się tu radosnemu seksowi – ale w dodatku naprawdę znali się na budownictwie! Same kolumny są nadzwyczajnym osiągnięciem megalitycznej architektury, a Rzymianom najwyraźniej nie sprawiało kłopotu podnoszenie ciężkich bloków frontonu, z których każdy ważył dziesiątki, a niekiedy nawet setki ton, na znaczną wysokość.

Postawmy sprawę jasno już od samego początku, ponieważ powiedziano wiele bredni na ten temat: Rzymianie byli niesłychanie sprawnymi budowniczymi; umieli transportować i ustawiać potwornie wielkie i ciężkie kamienne bloki. Jeśli chcielibyśmy w Baalbek szukać argumentów na korzyść zaginionej cywilizacji, to na pewno nie mogą się one opierać na wadze bloków

ani na naiwnych, błędnych wyobrażeniach o tym, czego Rzymianie byli w stanie dokonać, a czego nie, ponieważ jeśli chodzi o architekturę, wszystko wokół mnie świadczyło, że mogli zrobić właściwie wszystko, czego zapragnęli.

Jedną z rzeczy, które często robili, było wznoszenie świątyń we wcześniej istniejących świętych miejscach. Ich celem nie było unicestwienie rodzimych bóstw i religii (jak Hiszpanie postępowali w Meksyku, gdzie wznosili kościoły w miejscach azteckich świątyń), lecz raczej skojarzenie rzymskich bogów z tym, co było dawniej, w pozytywny sposób. Przedrzymskie kultury zwykle nadal rozkwitały, a przedrzymskie bóstwa były otoczone czcią i wchłaniane przez bogaty, twórczy i nieustannie się rozwijający synkretyzm. Ale dla archeologów próbujących ustalić, kto co zbudował i kiedy, ta praktyka wznoszenia kolejnych świątyń w miejscu ich poprzedniczek stanowi oczywiście duże wyzwanie – zwłaszcza, jak w przypadku Baalbek, kiedy inne kultury, a także upływ czasu, przez wiele lat zmieniały stanowisko.

Pod koniec epoki rzymskiej zaczęły się tu dziać złe rzeczy. Momentem zwrotnym było nawrócenie Rzymu za panowania cesarza Konstantyna (306–337 n.e.) na nową, fanatyczną i nietolerancyjną religię – chrześcijaństwo. Na początek bojownicy wiary zwrócili swoje świdrujące spojrzenie na świątynię Wenus, opisaną przez chrześcijańskiego kronikarza Euzebiusza jako „szkoła zmysłowych praktyk”, gdzie wtajemniczeni oddawali się „wszelkiego rodzaju rozpuście”²⁹. Konstantyn rozkazał zrównać świątynię z ziemią (do czego w końcu nie doszło)³⁰. Julian Apostata (361–363 n.e.) nienawidził chrześcijaństwa i przywrócił kult dawnych bogów. Potem na tronie zasiadł Teodozjusz (379–395 n.e.) i dyszący żądzą odwetu chrześcijanie znaleźli się znowu u władzy. *Chronicon Paschale* donosił:

*Konstantyn Wielki zadowolił się zamknięciem świątyni, ale Teodozjusz je zniszczył. Przekształcił w chrześcijański kościół świątynię w Heliopolis, Baala-Heliosa, wielkiego Słońca-Baala, słynny Tryliton*³¹.

Setki lat później zaczęła się era muzułmańska. Około 664 roku n.e. Baalbek zostało, po oblężeniu, zajęte przez muzułmańską armię; połączone świątynia Jowisza i położona na południe od niej świątynia Bachusa stały się wielką fortecą. Później Baalbek przechodziło z rąk do rąk, a każdy kolejny właściciel rozbudowywał jego fortyfikacje (do dzisiaj jest często nazywane po arabsku *Qala'a*, co znaczy „Twierdza”³²). Tymczasem starożytne świątynie oczywiście coraz bardziej niszczały. W 902 roku karmaci, sekta szyickich dysydentów, zdobyli Baalbek i wymordowali jego obrońców. Fatymidzi zajęli je w 969

roku. Cztery lata później przybył z wielką armią bizantyński wódz Zamithes i nastąpiło kolejne oblężenie i masakra³³.

W 996 roku chrześcijańska armia znowu spaliła Baalbek; w 1100 roku twierdza znalazła się w rękach seldżuckiego emira Tutusza. W 1134 roku była oblegana przez Zengiego, który „przez trzy miesiące zasypywał mury gradem pocisków”, używając „14 katapult pracujących dzień i noc”³⁴.

W 1158 roku Baalbek dotknęło trzęsienie ziemi „o niebywalej sile”, które „zniszczyło twierdzę i świątynie”. Nur ad-Din, syn Zengiego, „pospieszył do Baalbek, aby naprawić szkody, które uczyniło w umocnieniach trzęsienie ziemi”³⁵.

W 1171 roku oddział pojmanych krzyżowców, którzy byli przetrzymywani w twierdzy, wzniecił bunt, wymordował garnizon i opanował cytadelę, lecz wkrótce sami buntownicy zostali wyrznięci przez muzułmańskie wojsko, które przedostało się do twierdzy podziemnym przejściem. W 1176 roku krzyżowcy wrócili. Zaatakowali i splądrowali Baalbek. Krótco później, w 1203 roku, kolejne trzęsienie ziemi spowodowało potężne zniszczenia³⁶.

W 1260 roku mongolski wódz Hulagu oblegał Baalbek, które w końcu zdobył i zniszczył. „Nie oszczędził nawet fortyfikacji” – czego Mongołowie mieli pożałować, kiedy sułtan Bajbars zaatakował ich i przepędził. Rozkazał natychmiast odbudować twierdzę i jej mury – które, pamiętajmy, stały w miejscu starożytnych świątyń. Jednak w 1318 roku natura znowu dała o sobie znać i straszliwa powódź podmyła umocnienia, powodując kilka dużych wyłomów. „Woda pędziła z taką siłą, że przeniosła wieżę szeroką na 12 metrów na odległość 400 metrów”³⁷.

Następnie nadszedł mongolski zdobywca Tamerlan. W 1491 roku, po zajęciu cytadeli i stłumieniu wszelkiego oporu obrońców, „wydał ją na pastwę żołnierzy, którzy splądrowali ją bezlitośnie”. W 1516 roku, kiedy Baalbek stało się częścią imperium osmańskiego, twierdza i świątynie były „doszczętnie zrujnowane”³⁸.

W takim stanie zobaczył je w 1751 roku angielski architekt Robert Wood, na którego szczegółowych rysunkach można zobaczyć wciąż stojące dziewięć z oryginalnych 54 kolumn. Następnie w 1759 roku miało miejsce kolejne straszne trzęsienie ziemi, z którego ocalało tylko sześć stojących kolumn. Naprzeciwko nich właśnie siedziałem, rozmyślając o burzliwej historii tego starożytnego świętego miejsca³⁹.

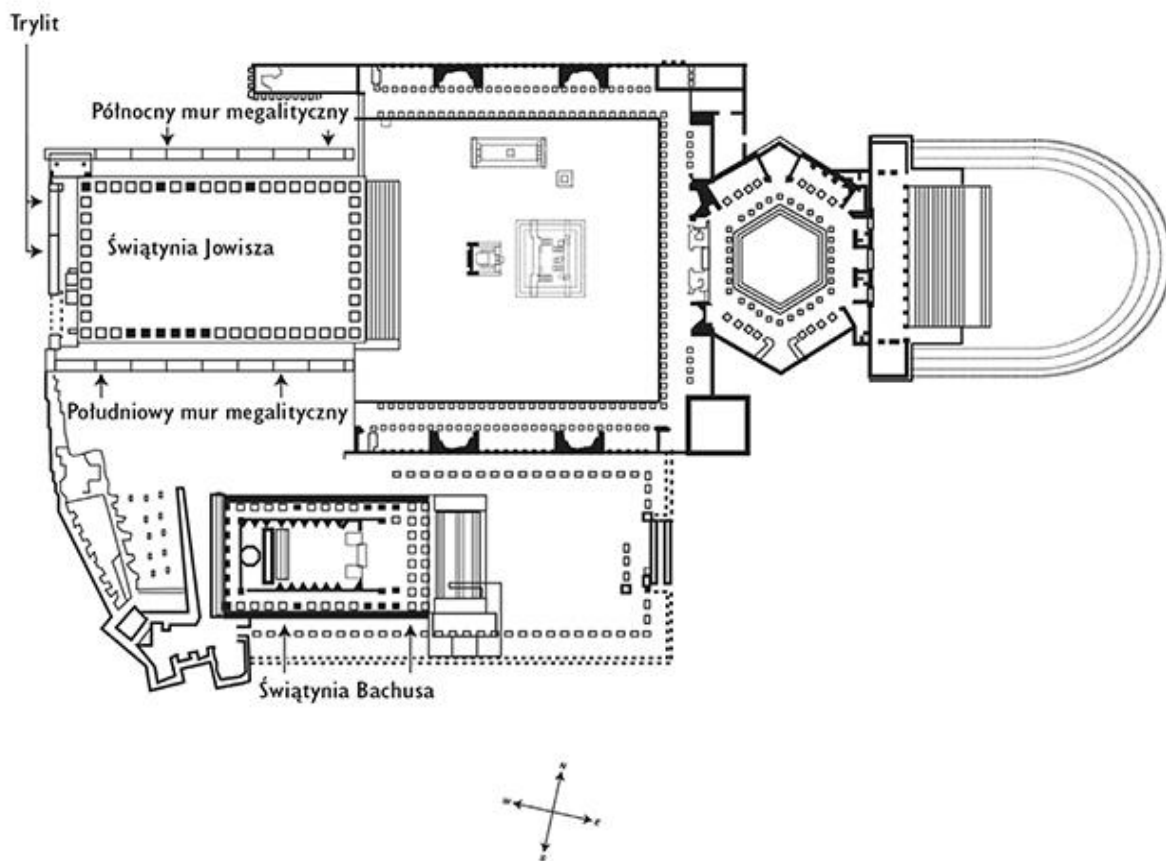
Pytanie, które sobie zadawałem, brzmiało: po tak wielu cyklach niszczenia i odbudowy, ile naprawdę archeolodzy mogą wiedzieć o tym stanowisku? Michael Alouf, były kurator Baalbek, przyznał:

Niestety, świątynia ta poważnie ucierpiała w wyniku upływu czasu i wandalizmu prostaków; jej mury zostały zniszczone, kolumny obalone, a fundamenty podkopane. Ocalało tylko sześć kolumn południowego perystylu, cztery rozbite kolumny na swoich bazach w północnym perystylu, w obrębie arabskich fortyfikacji, i cokół perystylu fasady. Bizantyńscy cesarze pierwsi zaczęli niszczyć świątynię, używając pozyskanego w ten sposób materiału budowlanego do wzniesienia bazyliki. Arabowie poszli za ich przykładem, wydobywając z murów i fundamentów wszystkie kamienne bloki, które mogły się przydać do naprawienia osłabionych miejsc w fortyfikacjach⁴⁰.

Niewątpliwie archeolodzy z Niemieckiego Instytutu Archeologicznego, który ma koncesję na to stanowisko (podobnie jak na Göbekli Tepe), starają się, jak mogą. Ale przy okazji udało im się ujawnić nieznane, zaskakujące fakty i byli zmuszeni obalić powszechnie dotąd akceptowany pogląd, że pierwszymi budowniczymi w Baalbek byli Rzymianie⁴¹. Nic podobnego! Pod miejscem, gdzie niegdyś znajdowała się *cella* – wewnętrzne sanktuarium – w świątyni Jowisza, znajdują się pozostałości o wiele starszego świętego wzgórza. Takie wzgórza są zwane w tej okolicy tellami; dzisiaj archeolodzy przyznają, że historia Tell Baalbek sięga co najmniej 10 000 lat⁴² – czyli 8000 lub więcej lat wcześniej, nim przybyli tu Rzymianie! Odkopano „długą sekwencję neolitycznych warstw osadniczych... najprawdopodobniej sięgającą neolitu preceramicznego”⁴³. Tym samym okazuje się, że początki Baalbek są bardzo bliskie czasów, kiedy w niedalekiej Turcji rozkwitało Göbekli Tepe.

Megalityczny mur północny

W oddali wciąż było słycać ogień artyleryjski, ale jest to jeden z tych odgłosów, do których po pewnym czasie można się przyzwyczaić. Wstałem z przyjemnie ciepłego bloku, na którym siedziałem, i przeszedłem kilka kroków na północ, przemierzając dawną podłogę świątyni Jowisza, aż stanąłem przy jej północnym krańcu (gdzie do dziś na bazach stoi kilka ułamanych kolumn, niczym pieńki zepsutych zębów), wbudowanym w znacznie późniejszy – niedbale zbudowany – mur arabskich fortyfikacji. W murze tym, w regularnych odstępach, są umieszczone otwory strzelnicze, z których obrońcy zasypywali napastników strzałami. Zerkając przez jeden z tych otworów, zobaczyłem szczyt naprawdę potężnego rzędu megalitów, jakieś sześć, może siedem metrów poniżej mnie. Naliczyłem ich dziewięć i zauważyłem, że od podstawy muru z otworami strzelniczymi dzieli je odległość około 10 metrów. Pomiedzy nimi, wśród trawy i krzewów, leżało wiele porzuconych, rozbitych kamiennych bloków.



Il. 43. Plan Baalbek.

Aby lepiej zobaczyć ów dziwny megalityczny mur, poszedłem dalej na zachód wzdłuż północnego boku świątyni Jowisza, aż dotarłem do innego elementu arabskich fortyfikacji, tak zwanej Wieży Północno-Zachodniej, która została dodana nieco później. Mogłem wejść na wygodną platformę widokową i z niej spojrzeć na wschód, wzdłuż megalitów ułożonych w rzędzie poniżej mnie, a także na porośniętą trawą przestrzeń między murem a platformą świątyni.

Jeszcze nie będę próbował wyjaśnić, czym są te megality. Sytuacja już i tak jest wystarczająco skomplikowana. Ale wrócimy do nich wkrótce, kiedy – mam nadzieję – wszystko stanie się jasne. Zszedłem z arabskiej wieży, wróciłem na rozległą prostokątną przestrzeń, na której niegdyś stała świątynia Jowisza, i poszedłem dalej na wschód, aż dotarłem do schodów prowadzących do wejścia do świątyni. Zszedłem po nich i skręciłem na zachód, wchodząc na zagłębiony plac przylegający na północy do świątyni Jowisza, a na południu do świątyni Bachusa.

Transmisja wiedzy

Oczywiście postanowiłem zobaczyć sanktuarium boga wina. Jest piękne, emanuje potężną energią i jestem pewien, że w starożytności odbywały się tu radosne rytuały. Ale ma ono też bardziej poważną stronę, wskazującą, że Rzymianie odziedziczyli starożytną wiedzę i symbole, przekazywane z najbardziej zamierzchłej przeszłości w nieprzerwanym strumieniu, który – choć podzielony na wiele strumieni – płynie do dzisiaj.

Masoni, którzy studiowali świątynię Bachusa, zwracali uwagę na liczne znaczące dla nich reliefy i elementy. Na przykład na dolnej powierzchni wielkiego kamiennego bloku sklepienia, wciąż spoczywającego na kolumnach świątyni, znajduje się symbol znany jako Pieczęć Salomona – sześcioramienna gwiazda wpisana w okrąg. Według amerykańskiego masona Timothy’ego Hogana, Wielkiego Mistrza Zakonu Templariuszy, pośrodku gwiazdy jest przedstawiona figura „dająca znak, który byłby znajomy dla Ucznia”. Inny relief przedstawia dwie postacie, siedzące obok siebie i wykonujące gest, który miałyby znacznie dla Czeladnika”⁴⁴.

Warto też zauważyć, że w świątyni Bachusa, a właściwie w całym Baalbek, można zobaczyć mnóstwo śladów kultu boga mądrości, którego Rzymianie nazywali Merkurym, Grecy Hermesem, zaś starożytni Egipcjanie Thotem i kojarzyli, jak pamiętamy z rozdziału dziewiątego, z tradycją Siedmiu Mędrców⁴⁵. Intrygujące jest też to, że w kulcie Merkurego w jego najwcześniejszej formie były wykorzystywane betyle⁴⁶, omawiane obszerniej w rozdziale jedenastym i pierwotnie będące „kamieniami, które spadły z nieba” – czyli meteoritami, a często fragmentami rozpadających się komet. Kiedy przypomnimy sobie, że Czarny Kamień w Mekce jest podobno meteoritem, nie sposób nie zwrócić uwagi, że w Baalbek w starożytności mieściła się słynna wyrocznia (którą miał niezmiernie cenić cesarz Trajan), a był nią „Czarny Kamień, który odpowiadał na pytania”⁴⁷.

Niektórzy uczeni uważają, że świątynia Bachusa była poświęcona również Merkuremu⁴⁸, ale ponieważ nie przyjechałem do Baalbek, by studiować rzymską architekturę, nie będę się tym dokładniej zajmował. Teraz interesuje mnie świątynia Jowisza i jej skomplikowana prehistoryczna przeszłość – a zwłaszcza jej związek, przez platformę, na której stoi, z wcześniejszymi konstrukcjami, sięgającymi czasów Göbekli Tepe.

Wyróżnienie poszczególnych faz jest trudne, a ja postanowiłem nie dać się wciągnąć w pułapkę, w którą wpadło tak wielu „alternatywnych” historyków, dochodzących do wniosku na widok wielkich megalitów, że ich transport i ustawienie wymagało supernowoczesnych, czy wręcz „pozaziemskich”

technologii. Jak już powiedziałem, nie kwestionuję tego, że Rzymianie radzili sobie doskonale z wielkimi kamiennymi blokami, jeśli było im to potrzebne. Dowody na to widziałem wszędzie wokół siebie, kiedy stałem między świątynią Bachusa a świątynią Jowisza, gdzie leżały stosy rzeźbionych bloków z frontonów obu świątyń. Są one bez wątplenia rzymskie, niektóre z nich ważą 100 i więcej ton – jeden 360 ton⁴⁹ – a wszystkie zostały podniesione na wysokość 21 metrów nad ziemią – tyle mierzą kolumny, na których były wsparte⁵⁰.

Ruszyłem przez ruiny na północ, kierując się znowu w stronę świątyni Jowisza i spoglądając na sześć ocalałych gigantycznych kolumn, z których każda składa się z trzech ogromnych bloków i stoi na monolitycznym kamiennym cokole o wysokości 2,7 metra⁵¹. Trzeba być głupcem, by twierdzić, że Rzymianie nie wyrzeźbili tych kolumn i wspartych na nich przyczółków, ponieważ zarówno cechy stylistyczne, jak i gruntowne badania archeologiczne potwierdzają, że tak właśnie było.

Jednak, jak wspomniałem wcześniej, Rzymianie odziedziczyli i przekazali potomnym bardzo dawną tradycję i być może nieprzypadkowo świątynia Jowisza pierwotnie miała 54 kolumny. Czytelnicy zapewne pamiętają zjawisko precesji, o którym pisałem w rozdziałach dziesiątym i jedenastym, a także zagadkę „liczb precesyjnych” zakodowanych w starożytnych mitach i przekazach, które Giorgio de Santillana i Hertha von Dechend uważają za dowód zaawansowanej wiedzy astronomicznej przekazywanej z pokolenia na pokolenie od jakiejś dotąd niezidentyfikowanej i „niemal niewiarygodnej” starożytnej cywilizacji. Tak się składa, że 54 jest jedną z takich liczb precesyjnych. Wywodzi się ona z 72, liczby lat potrzebnych na jeden stopień ruchu precesyjnego. Kiedy dodamy 36 (połowę 72) do 72, otrzymamy 108; podzielmy to na pół i dostaniemy właśnie 54. W swoim przełomowym studium *Hamlet's Mill*, de Santillana i von Dechend wskazują aleje z posągami w Angkor w Kambodży, „108 w każdej alei, 54 po każdej stronie”, jako przykład celowej symboliki precesyjnej⁵² – dlaczego więc 54 kolumny w świątyni Jowisza w Baalbek nie miałyby być takim samym symbolem?

Megalityczny mur południowy

Mój wzrok prześlizguje się ze szczytów sześciu kolumn, przez ich potężny cokół i mur z umiarkowanej wielkości, ćwierćtonowych bloków, na którym stoją (tworzący południowy bok świątyni Jowisza), ku podstawie tego muru,

flankowanej przez rząd dziewięciu kolosalnych megalitów, z których każdy ma około 9,5 na 4 na 3 metry⁵³. Te monstrualne bloki ważą około 400 ton każdy. Niektóre z nich, te po zachodniej stronie, są starannie wykończone – powierzchnia jest wygładzona i wypolerowana, a górna część została przycięta tak, że jest węższa niż podstawa. Wiele jest jednak nierównych i wciąż mają zabezpieczające „guzy” pozostawione przez kamieniarzy, aby chronić bloki przed uszkodzeniem w czasie transportu⁵⁴.

Zidentyfikowano kamieniołom, z którego wydobyto te bloki. Znajduje się on około 800 metrów na południe. Nie wątpię, że ich wycięcie i przetransportowanie nie przekraczało możliwości technicznych Rzymian – największych i najbardziej pomysłowych budowniczych starożytności. Mimo to musimy zadać sobie pytanie: czy te bloki są ich dziełem, czy kogoś innego? Musiałem zadać to pytanie, ponieważ dziewięć wielkich bloków, które miałem przed sobą, wchodzi w skład tego samego oszałamiającego, megalitycznego muru, w którym tkwi dziewięć równie gigantycznych monolitów po północnej stronie kompleksu. Północny i południowy rząd megalitów tworzą północne i południowe ramie gigantycznego muru na planie litery U, który otacza świątynię Jowisza od północy, południa i zachodu. Podstawa tej litery U – gdzie tkwi słynny trylit, którego obejrzenie było głównym celem mojej podróży – jest zwrócona na zachód.

Jak często się zdarza w Baalbek, jakby to wszystko było nie dość skomplikowane, pojawiają się kolejne komplikacje. Zajmował się nimi Daniel Lohmann, wyjątkowo dokładny i naprawdę świetny archeolog i architekt, który przez wiele lat prowadził wykopaliska i badania nad tym stanowiskiem, a w lutym 2015 roku był na tyle uprzejmy, że odpowiedział na mój list i podzielił się ze mną swoją rozległą wiedzą. Jego zdaniem imponujący mur na planie litery U, który otacza świątynię Jowisza, jest stuprocentowo rzymski. Zajmiemy się tym dokładniej w następnym rozdziale.

Zdaniem Lohmanna ów mur miał być częścią ogromnego podium – pójdźmy za jego tokiem rozumowania i nazwijmy je „Podium 2” – którym ten, kto zaplanował świątynię (a ponieważ nie ma żadnych źródeł na ten temat, nie wiemy, kto to był)⁵⁵, zamierzał otoczyć swoje „megalomańskie” arcydzieło.⁵⁶ Wewnątrz U-kształtnego Podium 2 znajdują się pozostałości czegoś, co Lohmann uważa za wcześniejszą fazę budowy i nazywa „Podium 1”⁵⁷. Jego badania wykazały, że Podium 1 miało 12 metrów wysokości i mierzyło 48 metrów z północy na południe, a 95 metrów ze wschodu na zachód, ale – jak sam przyznaje – na temat jego wieku nie można powiedzieć nic pewnego poza tym, że „było wcześniejsze od świątyni julijsko-klaudyjskiej”⁵⁸ (czyli świątyni

Jowisza zbudowanej w większej części przez cesarzy z dynastii julijsko-klaudyjskiej, obejmującej panowanie cesarzy Augusta, Tyberiusza, Kaliguli, Klaudiusza i Nerona, 27 p.n.e.–68 n.e.). Podsumowując: Lohman twierdzi, że Podium 1 było dziełem Heroda Wielkiego, rzymskiego władcy Judei w ostatnich dekadach I wieku p.n.e. Nie istnieją jednak inskrypcje ani żadne inne świadectwa, które pozwoliłyby rozstrzygnąć tę sprawę, więc „jedynym źródłem informacji jest sama dobrze zachowana budowla”⁵⁹, a zwłaszcza jej cechy stylistyczne:

(...) takie jak naprzemienne rzędy główek i wozówek, boniowanie i rekonstrukcja planu tej wczesnej struktury. Elementy te są zaskakująco podobne do sanktuariów herodiańskich, a zwłaszcza jerozolimskiej Świątyni, nie tylko w ogólnym wyglądzie, ale również w proporcjach i wymiarach. Takie zbieżności między oboma projektami budowlanymi wskazują na zaangażowanie Heroda... chociaż jeszcze nie udało się ustalić, na czym dokładnie ono polegało⁶⁰.

Jak pamiętamy jerozolimską Świątynia została zniszczona przez Rzymian w 70 roku n.e., więc Lohmann musi opierać swoją argumentację na „jedynej zachowanej części Świątyni, czyli gigantycznej trapezoidalnej platformie *Haram asz-Szarif*”⁶¹. Niemniej jednak szczegółowe porównania, które przedstawia, rzeczywiście wydają się wskazywać na „zaangażowanie Heroda” w budowę Podium 1 w Baalbek. Pozostało jednak ustalić, na ile poważne było to zaangażowanie. A mówiąc dokładniej, choć Lohmann przyznaje, że „Tell Baalbek... było zamieszkaną nieprzerwanie od neolitu preceramicznego”⁶² – czyli od czasów Göbekli Tepe – i chociaż uważa, że cesarze z dynastii julijsko-klaudyjskiej zaczęli budować potężny mur na planie litery U (Podium 2) wokół już wcześniej istniejącej konstrukcji (Podium 1), nie bierze pod uwagę możliwości istnienia „Podium 0”, które wcześniej obudował Herod.

Nie mogę mieć mu tego za złe, ponieważ żaden znany mi mainstreamowy archeolog nie bierze pod uwagę takiej możliwości w odniesieniu do Świątyni Heroda w Jerozolimie – a zwłaszcza wspomnianych wcześniej megalitycznych bloków, które dziś są widoczne przy Tunelu Hasmonejskim. Niemniej jednak takiej możliwości nie można wykluczać w Baalbek, zwłaszcza wobec podkreślanej przez Lohmanna „ogromnej starożytności” tego stanowiska⁶³.

Istnieje jeszcze jedna możliwość, którą zamierzam zbadać. Dotyczy ona megalitycznego U-kształtnego muru stanowiącego podstawę i granicę konstrukcji, którą Lohmann nazywa Podium 2. Załóżmy, że ten U-kształtny mur wcale nie jest rzymski. Załóżmy, że powstał przed, a nie po tym, jak Herod zbudował Podium 1. Może Tell, który jest starszy od Podium 1 o tysiące lat, powstał w tym miejscu właśnie dlatego, że znajdował się tu megalityczny U-kształtny mur? Innymi słowy, może U-kształtny mur i wchodzące w jego

skład megality były pierwszymi dziełami architektury, jakie powstały na tym stanowisku, i być może otaczały jakiś centralny element, rodzaj prapagórka, przed którym przez tysiące lat powstawał późniejszy Tell, aż z czasem na nim wniesiono herodiańską świątynię, a nieco później świątynię Jowisza?

Trylit

Wspiąłem się po schodkach ustawionych przy monstrualnie wielkim bloku – którego skala jest naprawdę niebywała – wszedłem na rząd wysokich na 4 metry, 400-tonowych megalitów tworzących południową stronę U-kształtowego megalitycznego muru, który Lohmann uważa za część – nigdy nieukończonego – Podium 2. Potem skierowałem się na zachód i przeszedłem pod sześcioma stojącymi kolumnami, które stąd sprawiają wrażenie tak lekkich i smukłych, że – mimo ogromnych rozmiarów – wydają się unosić w powietrzu. Mur, na którym się wspierają, jest mniej więcej dwukrotnie wyższy ode mnie; jego szczyt – tam stoją kolumny – wyznacza poziom posadzki świątyni Jowisza, gdzie wcześniej siedziałem. Przestrzeń między murem a krawędzią szerokich na 3 metry megalitów, po których szedłem, wypełnia rumowisko fragmentów rozbitych kolumn i wielotonowych bloków z frontonu, który niegdyś się na nich wspierał.

Na końcu długiego rzędu megalitów znajduję labirynt wież, łuków i zrujnowanych średniowiecznych arabskich fortyfikacji. Minąłem je, wspiąłem się po schodach i skręciłem w prawo, w wąską ścieżkę przy zachodnim krańcu całego kompleksu. Następnie skręciłem na północ, a ścieżka – na tyle wąska, że dwie osoby nie mogłyby się na niej minąć – biegła między zewnętrznym murem fortyfikacji po lewej stronie – w części rzymskim, w części zrekonstruowanym przez Arabów – a rzędem z grubsza opracowanych megalitycznych bloków po prawej. Wówczas nie wiedziałem, co myśleć o tych blokach, ale kilka miesięcy później Lohmann wyjaśnił mi w liście, że są:

(...) częścią warstwy wypełniającej... która miała zapełnić przestrzeń między murem herodiańskim a późniejszymi megalitami tworzącymi zewnętrzne lico drugiego, julijsko-klaudyjskiego podium. Nie miały być widoczne, dlatego mają nieopracowaną, nierówną powierzchnię⁶⁴.

Czymkolwiek są, te potężne bloki dzieli odległość niewiele większa niż szerokość moich ramion od hybrydowego rzymskiego muru przedłużonego przez arabskie fortyfikacje. Sprawiają niemal klaustrofobiczne wrażenie. Jednak po około 20 krokach przejście się poszerza, gdy grubość zewnętrznego muru fortyfikacji zmniejsza się z kilku do jednego bloku. Znajduje się w nim

duży otwór, przez który można spojrzeć w dół, gdzie – jakieś 10–12 metrów niżej – za porośniętą trawą pasem ciągnie się współczesne ogrodzenie całego kompleksu budowli w Baalbek.

Właśnie w tym momencie nabrałem pewności – przypuszczałem, że tak jest, ale aż do tej chwili nie byłem pewien – że stoję właśnie na tym, co było celem mojej wizyty w Baalbek. To coś ma 20 metrów długości, 4 metry wysokości, 3,5 metra szerokości i waży 800 ton⁶⁵.

Pierwszy od południa z trzech słynnych megalitów trylitu.

13. A POTEM PRZYSZEDŁ POTOP

Miałem nadzieję, spodziewałem się, byłem niemal pewien, że spacer po ruinach zaprowadzi mnie do trylitu, a mimo to ogarnęło mnie poczucie triumfu, kiedy po wędrówce przez labirynt dotarłem w to szczególne miejsce!

To dobry moment na podsumowanie. Pojedynczy rząd bloków zewnętrznego muru przykrywa zaledwie ćwierć ogromnej szerokości trylitu. Tuż przy wyrwie w fortyfikacjach, przez którą widać ogrodzenie stanowiska, leży fragment bębna przewróconej kolumny. Długość kolumny odpowiada mniej więcej połowie szerokości megalitu, na którym spoczywa: południowego z trzech bloków trylitu. Całe to miejsce jest osłonięte, spokojne, niemal jak rodzaj niewielkiego dziedzińca. Co miłe, w pobliżu leży blok, na którym mogę wygodnie usiąść, a ponieważ jest już popołudnie, jest też nieco cienia.

Siadam z westchnieniem ulgi, wyjmuję notes i próbuję zebrać myśli. Nagle uświadamiam sobie, że opieram stopy nie tylko o kamień trylitu, ale także o coś, co jest na nim napisane, a co dowodzi, że jest on starszy od świątyni Jowisza (choć nie wskazuje, o ile starszy). Cień mi nie pomaga, 50 lat, jakie minęły od odkrycia, także nie były łaskawe dla powierzchni kamienia i – szczerze mówiąc – niewiele widzę. Jednak profesor Haroutune Kalayan, inżynier kierujący rekonstrukcjami w Baalbek z ramienia Libańskiego Departamentu Starożytności, wyjaśnia, że w połowie lat 90. „wobec zainteresowania świata naukowego Emir Maurice Chehab, dyrektor generalny Departamentu Starożytności, kazał oczyścić górną powierzchnię trylitu...”
Wtedy:

Na południowym bloku ukazał się rysunek frontonu świątyni Jowisza w odwzorowaniu prostokątnym. Rysunek częściowo wchodzi pod rzymską konstrukcję, a częściowo jest ukryty pod wczesną konstrukcją z czasów arabskich... To... odkrycie wskazuje, że trylit znajdował się w tym miejscu i mógł służyć jako stół kreślarski, na którym zaprojektowano i wymiarowano bloki frontonu, czyli na początku drugiej połowy I wieku n.e. Co więcej, można wywnioskować, że po tym, jak rysunek spełnił swoją funkcję, wykonano część konstrukcji znajdującą się powyżej poziomu trylitu; właśnie dlatego część rysunku jest zasłonięta przez rzymskie konstrukcje¹.

A więc tuż pod moimi stopami, choć niestety niewidoczny bez specjalnego oświetlenia, znajduje się przekonujący dowód, że z trylitem wiąże się

prawdziwa tajemnica – nie tylko wymyślona przez zwolenników alternatywnej historii. Oczywiście ponieważ został on użyty do wykonania architektonicznego rysunku świątyni Jowisza, jak przyznaje Kalayan, a zwłaszcza ponieważ został później zasłonięty przez rzymską konstrukcję, jedyny logiczny wniosek jest taki, że musi być starszy niż świątynia.

Przyjrzymy się dokładniej płynącym stąd wnioskom, ale trzeba odnotować już na wstępie, że Daniel Lohmann się z tym nie zgadza. Występując na Trzecim Międzynarodowym Kongresie Historii Architektury w niemieckim mieście Cottbus w maju 2009 roku, mówił:

Kalayan sugeruje, że ten rysunek dowodzi, że trylit jest starszy i znajdował się w tym miejscu, kiedy świątynia była budowana. Dzisiaj nowe świadectwa wskazują, że to założenie jest niesłuszne, a trylit i świątynia były budowane równocześnie. Górna powierzchnia tego bloku [południowego bloku trylitu, na którym znajduje się rysunek] była wykorzystywana w budowie, a później po prostu przykryta następną warstwą bloków².

W artykule opublikowanym w 2010 roku Lohmann rozwinął swoją argumentację.

Niedokończona konstrukcja przedrzymskiego sanktuarium [Podium 1] została włączona w plan monumentalizacji. Wczesnocesarskie sanktuarium Jowisza z pierwszej połowy I wieku n.e., dla którego wyzwaniem była wielka przedrzymska konstrukcja, wykazuje cechy megalomanii w projekcie architektonicznym i technikach budowlanych. Najśłynniejszym przykładem może być trylit tworzący środkową warstwę w zachodnim murze podium świątyni... Podium to można uznać za próbę ukrycia wcześniejszej, niedogodnie usytuowanej platformy świątynnej za konstrukcją w rzymskim stylu...³

Rozumiem tok rozumowania Lohmanna, ale widzę tu kilka problemów. Po pierwsze i najważniejsze, chodzi o samą użytą przez niego koncepcję „podium”. Słownik definiuje podium jako:

(...) mur wspierający klasyczną świątynię⁴.

Albo:

(...) stereobat klasycznej świątyni, zwłaszcza o pionowych bokach⁵.

„Stereobat” natomiast jest definiowany jako:

(...) fundament lub podstawa, na której jest ustawiona budowla⁶.

Albo:

(...) masywna podstawa tworząca podłogę i podbudowę klasycznej świątyni; krepidoma; podium⁷.

„Krepidoma” natomiast to „platforma, na której jest wzniesiona nadbudowa budowli”⁸.

Wszystkie te definicje łączą założenie, że podium jest konstrukcją, na której wznosi się świątynia. Ale tak nie jest w przypadku Podium 2 Lohmanna. Nie

jest ono „fundamentem” ani „podstawą”, nie jest też „masywną podstawą tworzącą podłogę” świątyni Jowisza ani „murem wspierającym” tę świątynię. Tym, na czym stoi świątynia Jowisza, jest – jak pisze sam Lohmann – herodiańskie Podium 1. Podium 2 Lohmanna, jak się okazuje, nie podtrzymuje żadnej części świątyni Jowisza. Otacza ono Podium 1 z trzech stron, lecz go nie wspiera. Innymi słowy, jest – co powtarzałem kilkakrotnie w rozdziale dwunastym – megalitycznym murem na planie litery U; ale na pewno nie jest podium. Jeśli zbudowali je Rzymianie, jak twierdzi Lohmann, to nie po to, aby pełniło jakąkolwiek strukturalną funkcję, jak podium, ale wyłącznie w celach dekoracyjnych – jako, by zacytować jego własne słowa, „próbę ukrycia wcześniejszej, niedogodnie usytuowanej platformy świątynnej za konstrukcją w rzymskim stylu”.

Mogę tylko powtórzyć, że „podium” jest mylącym określeniem, które nie opisuje tego, co widać na ziemi. Jeżeli przeprowadzona przez Lohmanna analiza wcześniejszej, herodiańskiej konstrukcji jest prawidłowa, to nie widzimy śladów „ukrycia wcześniejszej, niedogodnie usytuowanej platformy świątynnej” za „podium” w rzymskim stylu. Cokolwiek budowniczowie zamierzali dodać lub rozbudować – o czym nie wiemy i po czym nie został żaden ślad – świadectwa w terenie ograniczają się do tego potężnego muru na planie litery U otaczającego Podium 1, megalitycznego muru, większego pod każdym względem od wszystkiego innego, co Rzymianie zbudowali gdziekolwiek na świecie.

Muru, który nawet nie wygląda na rzymski, do którego budowy użyto bloków ważących ponad 800 ton (trylit), wymagających naprawdę niebywałego nakładu pracy, aby je przetransportować i ułożyć na miejscu.

Nie twierdzą, że Rzymianie nie byli zdolni tego dokonać ani że 800-tonowe bloki wykraczały poza możliwości ich technologii. Twierdzą, że to zupełnie niepodobne do praktycznej, flegmatycznej postawy Rzymian – co przyznaje Lohmann⁹ – by podejmować tak wielki wysiłek w czysto dekoracyjnym celu. A zatem może warto rozważyć inną możliwość – że ten megalityczny, U-kształtny mur istniał już, zanim zbudowano Podium 1, może nawet tysiące lat wcześniej?

Ale w tym samym artykule, w którym Kalayan twierdzi, że trylit jest starszy od świątyni Jowisza, podaje też inną kluczową informację, która wydaje się ucinąć tego rodzaju spekulacje. Owszem, trylit jest starszy od świątyni Jowisza, ale nie dużo starszy, ponieważ:

Część bębna kolumny zbliżonej wymiarami do kolumn świątyni Jowisza została użyta jako blok w fundamencie pod trylitem. Wobec braku w Baalbek (o ile nam wiadomo) innego monumentu z kolumnami o podobnych wymiarach, musimy dojść do wniosku, że bęben

został porzucony, a kolumny były w trakcie wykuwania, kiedy zaczęto układać fundament trylitu¹⁰.

Czy to jest „mały paskudny fakt, który rujnuje piękną teorię”? Czy ów bęben kolumny Kalayana stanowi śmiertelny cios dla moich poszukiwań zaginionej cywilizacji w Baalbek? Czy powinienem się spakować i wracać do domu? Można by dojść do takiego wniosku na podstawie sceptycznego tonu literatury, powtarzającej w nieskończoność powyższy paragraf, jakby rozstrzygał on sprawę raz na zawsze, jakby dowodził ponad wszelką wątpliwość, że trylit jest dziełem Rzymian – jakby wszelkie dalsze rozważania na ten temat były bezcelowymi, pseudonaukowymi bredniami.

Na przykład sceptyczny pisarz i samozwańczy „obalacz pseudonauki i rewizjonistycznej historii” Jason Colavito twierdzi, że „archeologia i inżynieria są w stanie wyjaśnić absolutnie wszystkie aspekty trylitu” i w takim razie żadne alternatywne spojrzenie nie jest potrzebne¹¹. Ale zamiast spróbować udowodnić swoje twierdzenie, odsyła nas do dzieł innego samozwańczego „sceptyka”, fizyka Aarona Adaira¹². Adair z kolei powtarza tylko argumenty Kalayana, wskazując bęben kolumny w wątku muru i architektoniczny rysunek na górnej powierzchni trylitu, i podsumowuje:

(...) możemy być właściwie pewni, że kamienie trylitu zostały ułożone równocześnie z budową świątyni Jowisza. A skoro bloki trylitu są współczesne świątyni, ustaliliśmy rzymską proveniencję tej konstrukcji¹³.

Wszystko to brzmi rozsądnie, rzeczowo i przekonująco. Ale w rzeczywistości jest podobnie jak z wieloma innymi rzeczami podawanymi w sceptycznej literaturze jako fakty, które po bliższej analizie okazują się przypuszczeniami albo stronnictwymi opiniami ukrytymi pod pozorami obiektywizmu. Ów bęben kolumny, o którym Kalayan wspomina mimochodem, a tak wielu innych autorów traktuje jako niepodważalny dowód na poparcie ortodoksyjnego datowania stanowiska, ma o wiele mniejsze znaczenie, niż się na pierwszy rzut oka wydaje.

Jak na ironię, główny problem, do którego zmierzam, zilustrował sam Adair czarno-białą fotografią zachodniego muru sanktuarium (podobno pochodzącą z bardzo starej pocztówki), którą zamieszcza w artykule na poparcie swojej tezy – mianowicie, że pod trylitem znajdują się bloki, a pod nimi, niewidoczny na fotografii, bęben kolumny Kalayana. Ale na zdjęciu widoczny jest, w murze ponad trylitem, fragment innego bębna kolumny użyty przez Arabów do naprawy fortyfikacji Baalbek, uszkodzonych przez katapulty wroga¹⁴. Co więcej, jakby dla podkreślenia nietrwałości każdego dającego się ponownie użyć elementu murów Baalbek, nawet ten fragment bębna kolumny (który

można zobaczyć również na zdjęciu „wykonanym przed I wojną światową” i opublikowanym także w 1980 roku przez Friedricha Ragette’a¹⁵) został wyjęty w czasie późniejszych prac renowacyjnych – co widać na zdjęciach Santhy Faii z 2014 roku zamieszczonych w tej książce.

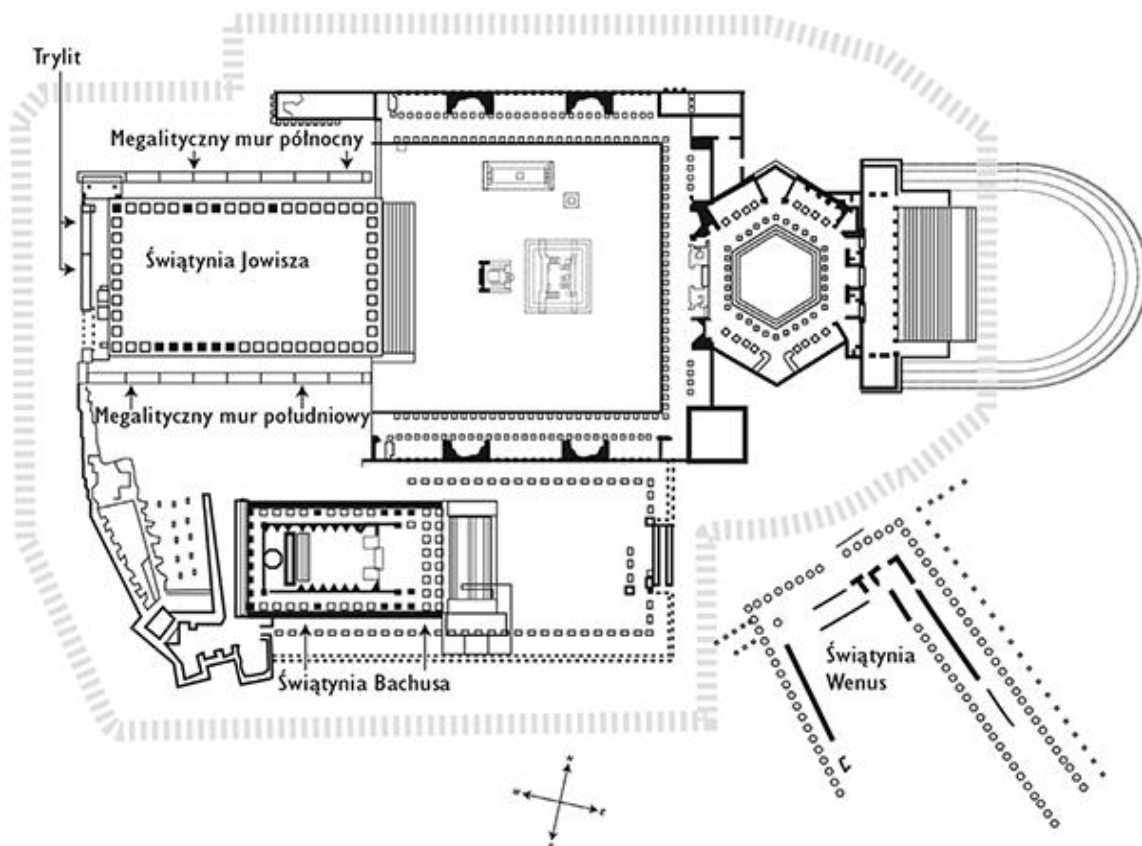
Arabowie regularnie wykorzystywali jako materiał budowlany rzymskie bębny kolumn i ich fragmenty¹⁶. Poza tym, jak pamiętamy z rozdziału dwunastego i co potwierdza Michael Alouf, który przez ostatnie 50 lat poznał ruiny jak własną kieszeń, fundamenty Baalbek były wielokrotnie podkopywane w czasie licznych oblężeń, jakie przeżyło to sanktuarium, kiedy pełniło funkcję fortecy¹⁷. Naturalnie po oblężeniach fundamenty były naprawiane (inaczej mury mogłyby się zawalić) i moim zdaniem właśnie to jest najbardziej prawdopodobne wyjaśnienie obecności bębna kolumny w fundamencie pod trylitem. Pomijając wszystko inne, dlaczego, jeśli to Rzymianie zbudowali te fundamenty, jak przekonuje nas ortodoksyjna archeologia, użyliby w tym miejscu bębna kolumny, skoro mieli do dyspozycji mnóstwo bloków przyciętych i przystosowanych właśnie do tego celu?

To po prostu nie ma sensu. Lecz arabscy budowniczowie naprawiający podkopany fundament używali wszystkiego, co mieli pod ręką, a po stuleciach wojen, trzęsień ziemi i innych kataklizmów, których doświadczyło Baalbek, w pobliżu leżało mnóstwo rozbitych kolumn, tak samo, jak dzisiaj. Jest też inna możliwość – taka, że Rzymianie rzeczywiście umieścili w wątku muru bęben kolumny, ale również w czasie jego naprawy, a nie budowy. Jeżeli megalityczny mur był już bardzo stary, kiedy na scenę weszli Rzymianie, i jeśli ich zamiarem było wykorzystanie tego muru jako bazy do dalszej budowy, to niewątpliwie zaczęliby od sprawdzenia fundamentów i naprawienia tych części, z którymi czas nie obszedł się łaskawie.

Nabazgrałem „DOWIEDZIEĆ SIĘ WIĘCEJ O TYM BĘBNIE KOLUMNY” w poprzek kartki w notesie. Sprawa jeszcze nie jest zamknięta, ale hipoteza, że Rzymianie nie byli oryginalnymi budowniczymi U-kształtnego muru, którego integralną część stanowi trylit, wciąż wydaje mi się wiarygodna i warta dokładniejszego zbadania.

Nadeszła pora obejrzeć trylit z zewnątrz. Opuszczam mój cienisty zakątek, zatrzymuję się jeszcze na chwilę na szczycie gigantycznych bloków, po czym wracam po własnych śladach na wschód, przez kompleks świątyni Jowisza. W końcu – po długim marszu – jestem znowu przy głównym wejściu na stanowisko, mijam propyleje i schodzę po głównych schodach, po czym skręcam w lewo i idę ścieżką biegnącą wzdłuż południowego zewnętrznego muru fortecy zbudowanej przez Arabów. Kilkaset metrów na południowy

wschód od głównych ruin widać świątynię Wenus. Jest piękna, ale nie ma związku z moimi badaniami, więc ignoruję ją i kieruję się na południowy zachód, mijając jeszcze dwie arabskie wieże w murach twierdzy, i w końcu docieram do bramy w ogrodzeniu, przez którą widzę w oddali trylit.



Il. 44. Plan Baalbek.

Przy bramie stoi strażnik; wypuszczając mnie, robi wielkie widowisko – pieniądze przechodzą z ręki do ręki, strażnik zamaszyście otwiera bramę i już po chwili idę przez sad wyschniętych drzew, aby lepiej przyjrzeć się trzem największym blokom, jakie kiedykolwiek zostały użyte w jakiegokolwiek konstrukcji...

„Najwyższy szczyt władzy i nauki...”

W XIX wieku szkocki uczyony David Urquhart podróżował po Libanie, a w końcu opublikował swoje dzieło *History and Diary* [Historia i dziennik] w 1860 roku. Nigdy nie wspomniał, skąd się o tym dowiedział, ale był przekonany, że Baalbek odgrywało ważną rolę w sekretnym morskim imperium Fenicjan, o których dokonaniach inne kultury zaczęły wspominać w drugim tysiącleciu p.n.e., a którzy pochodzili od rdzennych kananejskich mieszkańców tego regionu. Sami Fenicjanie nazywali siebie zwykle Kananejczykami¹⁸. Słynący ze swoich rozlicznych talentów, a zwłaszcza z nieprzeciętnych – a może należałoby raczej powiedzieć: precyzyjnych i naukowych – umiejętności nawigacyjnych, zakładali porty wzdłuż całego wybrzeża Morza Śródziemnego, dotarli aż do Tunezji, Maroka, Hiszpanii, Italii, Turcji, Cypru i Malty. Ich ojczyzną był jednak Liban, a pierwszym miastem Byblos, na północ od dzisiejszego Bejrutu, zaś innymi ważnymi ośrodkami – Tyr i Sydon.

Z Fenicjanami wiąże się wiele tajemnic; sfrustrowani badacze często narzekali na to, że „tak uporczywie milczeli na temat siebie samych i nie zostawili własnej pisanej historii. Wszystko, co o nich wiemy, pochodzi z annałów innych narodów; tylko cudzoziemscy adwokaci bronią przed potomnością ich sprawy”¹⁹.

Jednym z takich cudzoziemskich adwokatów był grecki uczyony Filo, który mieszkał w Byblos na przełomie I i II wieku n.e. – dlatego zwano go Filonem z Byblos. Jego *Historia Fenicka* miała być rzekomo tłumaczeniem księgi napisanej przez niejakiego Sanchuniatona, fenickiego mędrca żyjącego podobno ponad tysiąc lat wcześniej²⁰. Dzieła Sanchuniatona nie cytuje żaden inny ze starożytnych autorów. Co więcej, podobnie jak dzieła babilońskiego kapłana Berossosa, którego czytelnicy zapewne pamiętają z wcześniejszych rozdziałów, *Historia Fenicka* Filona także nie przetrwała do naszych czasów. Znamy tylko fragmenty tego dzieła, cytowane i komentowane przez innych autorów – przede wszystkim przez Ojca Kościoła z IV wieku n.e., Euzebiusza²¹.

We fragmentach tych czytamy o dokonaniach „boga” identyfikowanego z greckim bóstwem Uranosem, którego imię oznacza „niebo”, a który:

(...) wymyślił betyle, tworząc kamienie obdarzone życiem²².

Mamy tu kilka interesujących spraw. Przede wszystkim znajdujemy się znowu w królestwie betyli, meteorytowych „kamieni, które spadły z nieba”, często pochodzących ze strumienia gruzu za rozpadającą się na fragmenty kometą i traktowanych jako obiekty kultu na całym starożytnym Bliskim Wschodzie. Jeśli przyjrzymy się etymologii słowa „betyl”, okaże się, że

oznacza ono „dom boga”²³, a domem Uranosa było oczywiście niebo – odpowiednie miejsce dla meteorytów. Po drugie, mamy tę dziwną wzmiankę o „kamieniach obdarzonych życiem”, co w niektórych przekładach zostało oddane jako „kamienie, które poruszały się, jakby były żywe”²⁴. Nie sposób nie skojarzyć tego z przekazami ze starożytnego Egiptu, w których jest mowa o wielkich kamieniach poruszanych przez „magów” używających „siły słów”. Na przykład papirus British Museum numer 604 opisuje czyny nubijskiego czarodzieja Hora, który:

(...) stworzył wielki obłok kamienny, długi na 200 łokci, szeroki na 50, nad królem i jego książętami... Król spojrział w górę i ujrzawszy nad sobą sklepienie kamienne, otworzył usta, krzyjąc głośno wraz z tłumem, który był na dziedzińcu²⁵. [przeł. T. Andrzejewski]

Ponieważ 200 łokci na 50 łokci to w przybliżeniu 100 na 25 metrów, jest oczywiste, że każdy czarodziej, który potrafił unieść tak wielki blok kamienia, poradziłby sobie bez trudu z megalitami trylitu, które są ponad czterokrotnie mniejsze. W każdym razie przez tę wzmiankę o czarodziejach bogów wracamy, okrężną drogą, do Davida Urquharta, który pisze w swojej *History and Diary*, co sprowadziło go do Baalbek w połowie XIX wieku.

Ściągnęły mnie tak Betylia [czyli betyle], ta zagadka starożytnych autorów... które [jak sądzę] były Magnesami używanymi na fenickich statkach pływających w dalekie rejsy, które po powrocie floty zanoszono w religijnej procesji do świątyni w Baalbek, aby tam pozostawały do czasu, gdy flota miała znowu wypłynąć...²⁶

Niestety, Urquhart nie znalazł żadnych śladów zaginionej technologii, „magicznych, magnetycznych kamieni”²⁷, których szukał w Baalbek. „Gdzie jest świątynia, która mieściła Betylia?” – pytał. „Zniknęła”. Doszedł do wniosku, że „musiała stać na platformie i została zburzona”, aby zrobić miejsce dla rzymskich świątyń²⁸. Dlatego zadowolili się zgłębianiem zagadek trylitu i jeszcze większego bloku, który tubylcy pokazali mu w kamieniołomie, pół mili na południe od ruin. Ruiny te – zauważył – jeśli wyobrazić je sobie bez późniejszych świątyń „dzisiaj tkwiących na szczycie”, były „niczym więcej, jak czworokątnym ogrodzeniem”²⁹.

Można sobie wyobrazić wykuwanie ogromnych bloków na posąg króla, do ozdobienia pałacu lub uświetnienia świątyni, ale tutaj nie ma czegoś takiego; nie istnieje żaden możliwy do wyobrażenia przedmiot, który tłumaczyłby podjęcie takiego trudu³⁰.

To było tylko jedno z wielu pytań, na które sam Urquhart nie umiał zaproponować żadnej odpowiedzi: po pierwsze, dlaczego budowali z tak wielkich bloków (przy których „Stonehenge jest dziecinną zabawką”); po drugie, dlaczego budowali tutaj, skoro Baalbek nie było ani wielką stolicą, ani portem, lecz leży daleko w głębi lądu; po trzecie, dlaczego nagle przerwano

prace, o czym świadczy blok porzucony w kamieniołomach i wyraźnie niedokończony U-kształtny mur; wreszcie po czwarte, co tak wyjątkowego miało w sobie Baalbek?³¹

Ta konstrukcja jest odosobniona; nie ma na ziemi niczego, co by ją przypominało choćby w najmniejszym stopniu³².

Tamtej nocy Urquhart wieczerzał z emirem Baalbek i spytał go, kto zbudował tę wielką U-kształtną konstrukcję. Emir odpowiedział bardzo rzeczowo, że były tu trzy fazy budowy. Megalityczne struktury powstały na rozkaz dwóch różnych władców w czasach przed Potopem.

A potem nadszedł Potop. Po nim napraw dokonał Salomon³³.

W drodze powrotnej do Bejrutu Urquhart rozmyślał o tym, co powiedział mu emir, i doszedł do wniosku, że musi być w tym ziarno prawdy i „kamienie w Baalbek trzeba uznać za jedno z tych solidnych dzieł, których Potop nie zdołał naruszyć”³⁴. Co więcej, przyszło mu do głowy, że:

(...) przed Potopem musiało się w pełni rozwinąć ludzkie społeczeństwo... Budowniczowie Baalbek musieli być ludźmi, którzy osiągnęli najwyższy szczyt władzy i nauki, a ten region musiał stanowić centrum ich włości³⁵.

W końcu Noe musiał opanować nauki, żeby zbudować arkę.

Statek długi na 450 stóp, szeroki na 75 i głęboki na 45 stóp... Miał więc udział w wiedzy tych sławnych ludzi, a nawigacja musiała być doprowadzona w przedpotopowych czasach do nadzwyczajnego stopnia doskonałości. Co do budowy arki, mamy tylko świadectwo Biblii... Z drugiej strony, sceptyk, który odwiedzi Baalbek, przestanie wątpić, że ludzie, którzy umieli wbudować w jego mury kamienne bloki o wadze trójkładowca z pełnym uzbrojeniem, byli zdolni do zbudowania statku o [tak ogromnych] rozmiarach. Sądzę, że przedpotopowe pochodzenie tego pierwszego nie może być kwestionowane przez krytyków, tak samo jak drugiego przez wierzących³⁶.

Dzisiaj – i słusznie – krytycy kwestionują wszystko, co ma posmak religijnych zabobonów. Przekazy, które tak ekscytowały Urquharta, są jednak przekonujące. Sam Noe został podobno pochowany w tej okolicy, gdyż po Potopie przybył, by dożyć tutaj reszty swoich dni³⁷. A według Estfana al-Duaihiego, maronickiego patriarchy Libanu w latach 1670–1704:

Baalbek jest najstarszą budowlą na świecie... Było... zamieszkaną przez olbrzymów, którzy zostali ukarani za swoje niegodziwości Potopem³⁸.

Inne legendy przypisują ułożenie megalitów demonom³⁹, a pewien arabski manuskrypt wydaje się nawiązywać do historii o próbie odbudowy Baalbek po Potopie, którą usłyszał Urquhart. W tej wersji to Salomon, lecz Nimrud, prawnuk Noego, rozkazał olbrzymom naprawić uszkodzone mury⁴⁰.

Demony, giganci, rolki, kabestany, dźwigi... czy kosmici?

Patrząc na trzy wielkie bloki trylitu, znajdujące się ponad 6 metrów nad poziomem ziemi w zachodnim murze w Baalbek, zrozumiałem, dlaczego uważano je za dzieło demonów lub gigantów. Rzeczywiście, jest w nich coś nadnaturalnego – coś na pozór niemożliwego. Mają długość 19,60, 19,30 i 19,10 metra, wysokość 4,34 metra i szerokość 3,65 metra⁴¹. Są dopasowane tak dokładnie, że nie sposób wsunąć między nie żyletki.

„Pomyślcie tylko!” – żaden inny komentarz nie przychodzi mi do głowy.

Jeśli chcecie poznać ortodoksyjną opinię na ten temat, sięgnijcie do artykułu Jeana-Pierre’a Adama z 1977 roku, *A propos du trilithon de Baalbek: Le transport et la mise en oeuvre des megaliths*⁴². Wciąż jest on podstawową pracą cytowaną przez wszystkich sceptyków, jakby stanowił dowód na potwierdzenie ich opinii. Adam sugerował użycie rolek z cedrowego drewna, na których bloki miałyby być przetaczane⁴³. Rozwazał też początkowo, a następnie odrzucił (z przyczyn logistycznych), że bloki na rolkach mogło ciągnąć stado 800 wołów⁴⁴.

Na koniec, dochodząc do wniosku, że słabość ludzkich mięśni można przezwyciężyć dzięki technicznej pomysłowości, zdecydował się na zestaw wielokrążków przymocowanych do sześciu kabestanów, każdy obsługiwany przez zespół 24 ludzi, co łącznie daje 144 osoby potrzebne do przetransportowania bloków trylitu, jednego po drugim, z odległego o 800 metrów kamieniołomu na plac budowy⁴⁵. U celu tej podróży, zdaniem Adama, użyto 16 kabestanów, obsługiwanych przez 32-osobowe zespoły (czyli łącznie 512 ludzi), aby ustawić bloki w ostatecznym położeniu⁴⁶. W ostatniej fazie operacji potrzebna była większa liczba kabestanów, ponieważ używano drewnianych rolek, które oczywiście nie mogły zostać w murze. To ogromnie zwiększało tarcie między blokami a powierzchnią, po której je przeciągano. Zastosowanie jakiegoś smaru teoretycznie powinno je zredukować na tyle, żeby nie trzeba było podnosić bloków, czego według Adama Rzymianie woleliby uniknąć przy blokach tej wielkości⁴⁷.

Friedrich Ragette zaproponował nieco inne, choć także konwencjonalne rozwiązanie wyzwania, jakim był transport i manewrowanie blokami trylitu⁴⁸. Jego propozycja uwzględnia podnoszenie bloków na koniec operacji przy użyciu dźwigów i licznych metalowych kotw mocowanych w otworach powyżej środka ciężkości bloków.

Ośmiusettonowy blok trylitu musiał być przesuwany na rolkach. Potem trzeba było go lekko unieść, żeby usunąć rolki, a następnie ostrożnie opuścić ogromny ciężar. Jeśli założymy, że jedna kotwa miała udźwig 5 ton, potrzebowalibyśmy 160 kotw do uniesienia bloku⁴⁹.

Nie zamierzam prezentować tutaj szczegółowej krytyki; chciałbym tylko zauważyć, że obie propozycje mają słabe punkty. Na przykład obie przewidują użycie drewnianych rolek, lecz obliczenia wskazują, że nacisk wywierany przez tak wielkie bloki zmiażdżyłby rolki, nawet gdyby wykonano je z najtwardszego libańskiego cedru⁵⁰. Podobnie kabestany są bardzo użyteczne i niewątpliwie zwiększają siłę mięśni ludzkich, ale istnieje niebezpieczeństwo – co przyznaje Adam – że przesuwając się będzie nie blok, lecz kabestany, o ile nie zostaną bardzo solidnie zakotwiczone⁵¹. Poza tym każdy kamieniarz wie, jak działają kotwy, ale w żadnym z bloków trylitu nie ma ani jednego na nie otworu⁵².

Adam, Ragette i wielu innych, którzy starają się nas przekonać, jak przeciętnym i wcale nietajemniczym osiągnięciem jest trylit, często poprzedzają swoje wypowiedzi odwołaniem do wielkich megalitów, które przemieszczano w czasach historycznych przy użyciu znanych technologii. Na przykład wysoki na 25 metrów egipski obelisk, ważący 320 ton, został sprowadzony do Rzymu w I wieku n.e. przez cesarza Kaligulę. Samo sprowadzenie go z Egiptu przez Morze Śródziemne na specjalnie zbudowanym statku było niesłychanym osiągnięciem inżynierskim, logistycznym i technicznym. Znacznie później, w XVI wieku, ten sam obelisk został zabrany z miejsca, w którym stał, i ustawiony na placu Świętego Piotra na rozkaz papieża Sykstusa V⁵³. Podobnie w Rosji pod koniec XVIII wieku Kamień Grzmotu, ważący 1250 ton blok granitu, który stał się bazą posągu Piotra Wielkiego w Sankt Petersburgu, przetransportowano na odległość 7 kilometrów przy użyciu specjalnych kul z brązu⁵⁴.

Ale zauważmy, że czym innym jest przeciągnięcie wielkiego megalitu w linii prostej na kulach z brązu, a zupełnie czym innym wbudowanie serii takich megalitów w mur, który wygląda jak klocki Lego dla olbrzymów.

A jednak... pogódźmy się z tym, że da się to zrobić, że robiono podobne rzeczy i oczywiście – bo dowód mamy przed oczami – dokonano tego w Baalbek. Zatem pozostaje tylko pytanie, czy Rzymianie to zrobili, czy też i oni, i poprzedzające ich kultury zastały U-kształtny megalityczny mur w tym miejscu i wpasowały w niego swoje budowle.

Moim zdaniem tak właśnie było.

Solidny fundament wznoszący się ponad równiną Baalbek, który Daniel Lohmann identyfikuje jako przedrzymski i nazywa Podium 1, na którym została zbudowana świątynia Jowisza, znajduje się wewnątrz U-kształtnego muru, który otacza ją od południa, zachodu i północy. Mur ten w żadnym miejscu nie wspiera świątyni Jowisza. Jest całkowicie odrębną konstrukcją.

Przeszedłem kilka razy wzdłuż zachodniego muru, wpatrując się z oszołomieniem w niesamowite bloki trylitu i próbując zrozumieć ich znaczenie. Niezależnie od tego, czy umieścili je tutaj Rzymianie, czy jakaś nieznana, przedpotopowa kultura, chciałbym zrozumieć, po co podniesiono je na wysokość 6 metrów? Po co ułożono je na kilku warstwach mniejszych bloków, skoro logika kazałaby raczej umieścić największe i najcięższe na poziomie ziemi, a mniejsze i lżejsze na nich. Po co samemu stwarzać dodatkowe techniczne i logistyczne wyzwanie, robiąc wszystko na odwrót?

Przeszedłem wzdłuż muru, licząc warstwy bloków. Najpierw, licząc od poziomu ziemi, są trzy warstwy naprawdę małych bloków – ćwierćtonowych, wysokości około 1,5 metra. Na nich spoczywa sześć znacznie większych bloków, bardzo starannie wykończonych (choć silnie zerodowanych), których górną część przycięto tak, żeby była węższa niż podstawa. Każdy z tych sześciu bloków, mniej więcej identycznych z blokami w południowym murze, które opisałem wcześniej (w rozdziale dwunastym), waży około 400 ton. Dopiero na nich spoczywają trzy 800-tonowe potwory – bloki trylitu.

Następnie poszedłem na północ, do narożnika, w którym mur zachodni łączy się z północnym. Północny blok trylitu nie sięga do końca zachodniego muru. Jest tam przerwa, wypełniona przez arabską wieżę obronną wychodzącą z Podium 1 i zbudowaną nad narożnikiem. Ale jeśli w wyobraźni usunę tę wieżę, mogę zobaczyć, co się dzieje, ponieważ po przeciwległej stronie znajduje się drugi rząd megalitów tworzący północne ramię U-kształtnego muru – rząd, który wcześniej oglądałem z góry (patrz rozdział dwunasty); to właśnie na tę arabską wieżę obronną wszedłem, aby lepiej zobaczyć część megalitycznego muru, oddzielonego 10-metrowym pasem trawy od północnego muru Podium 1.

Wiem, że archeolodzy uważają U-kształtny mur za bazę imponującego, lecz niedokończonego Podium 2 świątyni Jowisza. Lohmann bardzo przekonująco tego dowodzi. Ale mnie wciąż niepokoi jego czysto dekoracyjna, a nie konstrukcyjna funkcja i nie mogę się pozbyć wrażenia, że Rzymianie odziedziczyli tę konstrukcję ze znacznie wcześniejszych czasów.

Zgadzam się natomiast z archeologami, że nawet większe megality, które do dziś leżą w odległych o 800 metrów kamieniołomach i które zamierzam zobaczyć w następnej kolejności, miały być umieszczone na szczycie północnego i południowego ramienia U-kształtnego muru, które tym samym osiągnęłyby wysokość zachodniego muru z trylitem. To prawda, są nieco dłuższe i szersze niż bloki trylitu, ale po usunięciu ochronnej warstwy pozostawionej na czas transportu z kamieniołomu, pasowałyby doskonale, niczym elementy puzzli. To nie ulega wątpliwości, niezależnie od tego, czy

Rzymianie zbudowali U-kształtny mur jako część Podium 2, czy też jest on dziełem architektów i kamieniarzy zaginionej, prehistorycznej cywilizacji.

I przyznaję archeologom rację w jeszcze jednej sprawie.

Pomysły pущzone w obieg przez entuzjastów teorii „starożytnych astronautów”, a zwłaszcza przez Zecharię Sitchina, w jego książce *Schody do nieba*, wydanej po raz pierwszy w 1980 roku (a także w innych tomach jego serii *Kroniki Ziemi*), nie mogą być trafne. Niezależnie od tego, czym jest Baalbek, dlaczego użyto tu 800-tonowych i większych megalitów, kto te megality umieścił – zdecydowanie nie miały one być „lądowiskiem dla pojazdów kosmicznych bogów”⁵⁵. Pomysł Sitchina, jakoby platforma w Baalbek „miała wspierać jakiś ogromny ciężar”, a owym ciężarem miałyby być „podobna do rakiety Latająca Komora”⁵⁶. mógł pochodzić tylko od kogoś, kto zupełnie nie zna planu i wyglądu Baalbek, a uwierzyć w to mogli wyłącznie ludzie również zupełnie nieznający tego stanowiska.

Ogromne megalityczne bloki trylitu, które najwyraźniej przekonały Sitchina, że cała platforma była megalityczna, okazują się częścią U-kształtnego muru obejmującego (znacznie mniejsze) Podium 1. I chociaż można sobie wyobrazić, że jakiś kosmita mógłby wylądować swoim statkiem nawet na tak skromnym podium (gdyby nie stała na nim żadna konstrukcja), to z pewnością nie chciałby lądować na murze. Stąd zaś wynika, że powoływanie się na megalityczny charakter U-kształtnego muru, by poprzeć twierdzenie, że podium (którego ten mur nie podtrzymuje ani nawet nie jest z nim połączony) było lądowiskiem kosmitów przeznaczonym do dźwigania ogromnych ciężarów, na którym miały się odbywać wszystkie starty i lądowania promu kosmicznego⁵⁷. jest przejawem ignorancji, braku wyobraźni albo jednego i drugiego.

Poza tym, nawet gdyby cały kompleks w Baalbek był megalityczny – a nie jest – musielibyśmy przede wszystkim sobie zadać pytanie, dlaczego dysponujący zaawansowaną technologią kosmici, którzy mogli przemierzać w swoich statkach kosmicznych Układ Słoneczny, mieliby w ogóle potrzebować takiej platformy do lądowania? Skoro byli w stanie skakać z planety na planetę, o czym przekonuje nas Sitchin, to czy ich poziom wiedzy nie pozwoliłby na zbudowanie w tym celu czegoś bardziej technicznego? Krótko mówiąc, jest oczywiste, że Sitchin przyjął za wzór technologię kosmiczną NASA z lat 70. XX wieku i przełożył ją na swoich wyimaginowanych kosmitów.

Znałem osobiście Zecharię Sitchina, spotkałem się z nim kilka razy na kolacji w Nowym Jorku i podwiozłem go ze Stonehenge do Londynu, kiedy

przyjechał do Anglii. Lubilem go i uważam, że zrobił dużo dobrego, ale przynajmniej co do Baalbek nie mam już wątpliwości, że jego pomysł „lądowniska” jest całkowicie nietrafiony. Nie chcę jednak powiedzieć, że wszystkie koncepcje przedstawione w jego książkach są błędne. Mezopotamskie teksty klinowe, których nie umiał czytać i tłumaczyć, jak twierdził (jego „tłumaczenia” powstawały na podstawie – zaadaptowanych i „zbeletryzowanych” prac mainstreamowych naukowców), zawierają rzeczywiście ogromnie interesujące informacje i uważam, że Sitchin słusznie zwrócił uwagę na zawarte w nich ślady zaawansowanych technologii.

Ale czy były to technologie ludzkie, czy „kosmiczne”? Do tego pytania wrócimy w rozdziale szesnastym, kiedy będziemy się zastanawiać nad potężnymi istotami zwanymi w Biblii oraz innych starożytnych tekstach „Nefilim” lub „Strażnikami”.

Największy na świecie przycięty blok kamienia

„Przekonałem się, że archeolodzy rzadko są otwarci na koncepcję starożytnych astronautów – napisał Elif Batuman w artykule na temat Baalbek w „New Yorkerze” z 18 grudnia 2014 roku – chociaż ktoś mógłby powiedzieć, że kiedy archeolodzy zaczęli szukać odpowiedzi, udało im się znaleźć tylko jeszcze większy i bardziej tajemniczy blok”⁵⁸.

Rzeczywiście! W czerwcu 2014 roku, zaledwie miesiąc przed moim przyjazdem do Baalbek, naukowcy z Niemieckiego Instytutu Archeologicznego dokonali zdumiewającego odkrycia w kamieniołomie położonym 800 metrów na południe od świątyni Jowisza. Od dawna było wiadomo, że leżą w nim dwa ogromne megality, znacznie cięższe od bloków trylitu. Jednak mimo ponad 100 lat intensywnych badań wokół Baalbek nikt nie wiedział, że pod warstwami osadów nagromadzonych w kamieniołomie przez tysiąclecia leży ukryty trzeci gigantyczny blok. Naukowcy zdecydowali się ogłosić swoje odkrycie światu dopiero pod koniec listopada 2014 roku, ale od chwili, gdy odkopali go w czerwcu, blok leżał doskonale widoczny, a kiedy pierwszy raz odwiedziłem kamieniołom 10 lipca, pokazał mi go miejscowy sklepikarz – który twierdził, że to on dokonał odkrycia, a niemieccy archeolodzy je zawłaszczyli.

Kamieniołom składa się z dwóch części rozdzielonych drogą; w pierwszej części, do której dotarłem, zbliżając się od strony świątyni, leży słynny Kamień Ciężarnej Kobiety, znany też jako Kamień Południa, od 100 lat zdobiący

pocztówki z Baalbek, a podróżnikom takim jak Urquhart znany znacznie wcześniej. Ma 21,50 metra długości, 4,20 metra wysokości i 4,30 metra szerokości. Waży 970 ton⁵⁹. Po drugiej stronie drogi jeszcze większy megalit, leżący tam od niepamiętnych czasów, został odkryty w latach 90. XX wieku. Ma on 20,5 metra długości, 4,56 metra szerokości i 4,5 metra wysokości; jego wagę ocenia się na 1242 tony⁶⁰. Ale megalit odkryty w czerwcu 2014 roku jest większy od nich obu; przy 19,60 metra długości, 6 metrach szerokości i 5,5 metra wysokości waży około 1650 ton⁶¹.

To właśnie ten nowo odkryty megalit, największy blok kamienia, jaki został wykuty w starożytności, pokazał mi z dumą podekscytowany sklepikarz w czasie mojej wizyty w Baalbek. Jego górna powierzchnia znajduje się niecałe dwa metry poniżej dolnej krawędzi Kamienia Ciężarnej Kobiety, który leży tuż obok i równolegle do niego. I, podobnie jak Kamień Ciężarnej Kobiety, jest starannie przycięty i gotowy do tego, by – po usunięciu ochronnej warstwy – trafić na swoje miejsce w U-kształtnym murze, co niewątpliwie było planowane.

Przez kilka godzin wspinałem się wokół tych niesamowitych, fantastycznych bloków. Czułem się jak alpinista. Ich skala jest tak ogromna i w pewnym sensie „obca”, że miałem wrażenie, jakbym tracił poczucie czasu i rzeczywistości. Zauważyłem, że Kamień Ciężarnej Kobiety wygląda, jakby został przecięty przy podstawie równym, czystym cięciem. Jak zostało wykonane? I bez względu na to, gdzie stałem – u góry, obok, poniżej – byłem przytłoczony przez ten monstualny wytwór starożytnych, niezgłębionych umysłów. Sama myśl, że ktoś, w zamierzchłej przeszłości, mógł to wymyślić, wykuć i uformować, a na koniec po prostu zostawić tutaj, porzucić, zapomnieć, jest dla mnie niepojęta. Im dokładniej przyglądałem się megalitom, tym więcej detali dostrzegałem – precyzję wykonania, skalę przedsięwzięcia, siłę woli i wyobraźni, jakiej wymagało ich stworzenie. I nabieram coraz mocniejszego przekonania, że ani ten, ani pozostałe bloki w kamieniołomie, ani trylit i pozostałe megality w Baalbek nie są dziełem Rzymian.

Wiem, że Daniel Lohmann nie zgodziłby się ze mną. Kilka miesięcy później, w lutym 2015 roku, korespondowaliśmy przez kilka dni. Daniel uprzejmie odpowiedział na kilka moich pytań i pomógł mi lepiej zrozumieć pewne aspekty Baalbek, które umknęły mi w czasie mojej wizyty. Przekonująco dowodził rzymskiej proweniencji całego wielkiego projektu. Przysłał mi nawet fotografię bębna kolumny użytego w fundamencie muru z trylitem i napisał:

W czasie moich ostatnich prac zlokalizowałem ten fragment bębna kolumny, odkopałem go i zmierzyłem z milimetrową dokładnością, żeby ustalić jego średnicę. Porównałem strukturę

powierzchni i ślady obróbki kamieniarskiej z kolumnami świątyni Jowisza i zbadalem właściwości litologiczne. Wszystkie cechy były identyczne z bębni kolumn świątyni Jowisza. Ten fragment był starannie przycięty na brzegach, aby użyć go w murze, i ma piękne, równe krawędzie, jak wszystkie bloki w rzymskiej świątyni Jowisza (łącznie z megalitami)⁶².

Moja odpowiedź brzmiała:

Przede wszystkim chciałbym, żeby to było najzupełniej jasne: nie kwestionuję tego, że ów fragment pochodzi z bębna kolumny rzymskiej świątyni Jowisza. Oczywiście tak jest. Ale ten fragment stanowi bardzo ważną część (imponującą!) konstrukcji logicznej, którą ty i twoi koledzy przytaczacie na poparcie chronologii trylitu, a wielu innych akceptuje jako dowód na prawidłowość tej chronologii. Chciałbym natomiast spytać, na ile jesteście pewni, że ów fragment bębna kolumny został umieszczony w czasie budowy zachodniego muru. Przyznaję, że jest starannie przycięty i dopasowany, ale i tak wyraźnie różni się od sąsiednich bloków (co jest szczególnie dobrze widoczne na zdjęciu, które mi uprzejmie przysłałeś). Sprawa wrażeń obcego wtrętu i jest wyraźnie inny od pozostałych bloków w tej warstwie. Krótko mówiąc, wydaje mi się, że można go uznać raczej za skutek późniejszej naprawy muru niż integralną część oryginalnej konstrukcji. Takie przypuszczenie może potwierdzać fakt, że, jak wiemy, Arabowie nieustannie naprawiali mury na całym stanowisku, a czasami wykorzystywali w tym celu bębny kolumn, więc dlaczego to nie miałyby być jedną z takich napraw? Jakie są absolutnie przekonujące świadectwa archeologiczne, które całkowicie, skutecznie i raz na zawsze wykluczają taką możliwość? Byłbym wdzięczny, gdybyś mógł się odnieść do tego punktu w swojej odpowiedzi⁶³.

Lohmann odpisał następująco:

Ten fragment jest tylko jedną z przesłanek wskazujących na współczesność megalitycznego podium i świątyni, co nie jest wynikiem naszych badań, lecz faktem znanym nauce od ponad 100 lat – a co najmniej od wykopalisk prowadzonych przez niemiecką ekipę w latach 1900–1904. Tak, wyróżnia się. Ale nie – nie inaczej niż pozostałe. Budowniczości świątyni byli dość pragmatyczni: skoro jakaś konstrukcja miała być ukryta pod ziemią lub za czymś innym, nie przejmowali się wyrównywaniem jej powierzchni i dbaniem o to, żeby ładnie wyglądała... W czasie budowy ważne było przede wszystkim to, żeby bloki były idealnie równe od góry i od dołu oraz na obu bokach, aby mur był solidny i stabilny – i bęben kolumny został opracowany w ten rzymski sposób, podobnie jak bloki wokół niego. Jeśli spojrzysz na długość tego fragmentu i wyobrazisz sobie wyrwę w murze zamiast niego, zauważysz, że dwa małe bloki w wyższej warstwie wypadłyby, jeszcze bardziej destabilizując konstrukcję powyżej. Tutaj potrzebne jest tarcie/zamknięcie siłowe (tłumaczenie słowa *kraftschluss* według mojego słownika – bariera językowa!), nie można po prostu wymienić jednego bloku w rzędzie ułożonych „wozówkami”. Po drugie, arabskie naprawy rzymskich murów wyglądają trochę inaczej: Arabowie używali mniejszych bloków i nie udałoby im się dopasować bloku tak dokładnie... Średniowieczne naprawy nie mają takich spoin. To właśnie porównanie precyzji przekonuje mnie, jako inżyniera, w 100 procentach⁶⁴.

Po przeanalizowaniu naszych fotografii trylitu – Santha wykonała ich mnóstwo w czasie naszej wizyty – doszedłem do wniosku, że nie przekonuje mnie argumentacja Lohmanna. Przede wszystkim (patrz zdjęcie 40 na wkładce), ów bęben kolumny wcale nie jest „ukryty pod ziemią lub za czymś innym”. Tkwi na widoku, w najniższej warstwie bloków, i wyraźnie różni się

od pozostałych. Jest wykonany z zupełnie innego, znacznie ciemniejszego kamienia i ma całkiem inny wygląd niż sąsiednie bloki. Prawdę mówiąc, jest wyjątkowy. Po drugie, co do precyzji, nie zgadzam się z Lohmannem, że bęben kolumny nie może być pozostałością arabskich napraw. Na zdjęciach 42 i 43 czytelnik znajdzie przykład innego bębna kolumny, który z całą pewnością został umieszczony w murze Baalbek przez naprawiających go Arabów, a który precyzją dopasowania nie odbiega od bębna kolumny w fundamencie. Inna możliwość, jaką rozważałem – że mógłby być skutkiem rzymskiej naprawy przedrzymskiego muru – również jest prawdopodobna. Jeśli dolny blok, który został zastąpiony bębniem, uległ poważnemu uszkodzeniu i podjęto decyzję o jego usunięciu, dwa małe bloki powyżej (te same, o których Lohmann pisał, że „wypadłyby, jeszcze bardziej destabilizując konstrukcję powyżej”) musiałyby także zostać wyjęte.

Ale następna warstwa jest tak ułożona, że nie wypadłby z niej żaden blok ani nie uległby destabilizacji wielkie megality w kolejnej warstwie, która wspiera się na pięciu ogromnych poziomych blokach; na trzy z nich wyjęcie dwóch mniejszych bloków poniżej nie miałyby żadnego wpływu, zaś dwa pozostałe utrzymałaby w miejscu siła tarcia. Kiedy bęben kolumny został przycięty do pożądanego kształtu i umieszczony na poziomie ziemi, można było wsunąć z powrotem dwa mniejsze bloki powyżej, w ten sposób kończąc bardzo porządną i skuteczną naprawę.

Ale jest coś jeszcze, bardzo ważne pole dyskusji dotyczące tego, co ja uważam za U-kształtny megalityczny mur otaczający Podium 1, zaś Lohmann za pierwsze warstwy Podium 2. Lohmann pisze, że „niezależnie od wielkości bloków” to, co ja nazywam U-kształtnym megalitycznym murem, jest „dolną częścią zwykłego podium rzymskiej świątyni z czasów po Augustie”. Prosi, abym przyjrzał się podium Maison Carée w Nimes⁶⁵, i sugeruje, że świątynia Bachusa w Baalbek ma podobne podium⁶⁶. Wysłał mi linki do fotografii. „Jeśli je powiększysz – pisze – zobaczysz w drugiej od dołu warstwie bloki odpowiadające trylitowi”.

Odpowiedziałem:

Piszesz, że megalityczne podium świątyni Jowisza, choć oczywiście w zupełnie innej skali, ma standardowy kształt podium rzymskiej świątyni, ale nie jestem pewien, czy widzę to na zdjęciach, do których wysłałeś mi linki. Załączam jedną z naszych fotografii świątyni Bachusa (zrobioną pod tym samym kątem, co twoje⁶⁷). Widać na nim podium z prostymi bokami (nie licząc krawędzi u dołu i u góry), natomiast podium świątyni Jowisza jest bardziej schodkowe, z rzędem megalitycznych bloków, które – według naszej korespondencji – stanowi część najniższej warstwy podium świątyni julijsko-klaudyjskiej, odchodzącą daleko na zewnątrz od pionowej ściany, na której stała perystaza. Przypuszczam, że podobieństwo byłoby większe, gdyby megalityczna warstwa została ukończona i sięgała aż do szczytu muru, ale perystaza i tak byłaby cofnięta o kilka metrów,

a nie ustawiona w linii szczytu, jak w świątyni Bachusa. Mówiąc krótko, kiedy powiększam zdjęcie podium świątyni Bachusa, naprawdę nie widzę bloków, które odpowiadałyby trylitowi. Czy coś mi umknęło?⁶⁸

Zapytałem też: „Czy znaleźliście w Podium 2 jakiś materiał organiczny o dobrze ustalonej proveniencji i przeprowadziliście badania radiowęglowe?”⁶⁹

Co do datowania radiowęglowego, Lohmann odpisał, że „niestety” nie przeprowadzono takich badań:

Historia nieustannych zmian wprowadzanych w budowlach, a także głębokie wykopaliska w ciągu ostatnich 100 lat nie pozostawiły żadnego materiału archeologicznego ani organicznego, który mógłby nam pomóc w tym zakresie⁷⁰.

Ta informacja była dla mnie na swój sposób bardzo ważna, ponieważ oznacza – by użyć bardzo stosownej metafory – że cały gmach archeologicznej chronologii tak zwanego podium julijsko-klaudyjskiego (Podium 2) świątyni Jowisza wspiera się na fundamentach, w których nie ma absolutnie żadnych naukowych podstaw datowania. Nie znaczy to, że z datami uzyskanymi metodą radiowęglową nie ma żadnych problemów. Jak pamiętamy z wcześniejszych rozdziałów, takie daty bardzo często są problematyczne, chyba że można udowodnić – jak w przypadku Göbekli Tepe – że poddany badaniu materiał organiczny został w pewnym momencie „zapieczętowany” i nie ma możliwości, aby zawierał późniejsze wtręty, które zaburzyłyby wyniki datowania.

Ale dla Podium 2 po prostu nie ma dat radiowęglowych – problematycznych lub nie. A co za tym idzie, ortodoksyjna chronologia tej wyjątkowo interesującej i niezwyklej konstrukcji jest oparta wyłącznie na cechach stylistycznych – pewnych stylach budowania, które można łączyć z takimi lub innymi kulturami i konkretnymi okresami – i na założeniu, że „styl” Podium 2 odpowiada epoce „julijsko-klaudyjskiej” w rzymskiej architekturze.

Moim zdaniem argument stylistyczny w przypadku Baalbek nie jest nawet w przybliżeniu tak przekonujący, jak powinien być – zwłaszcza jeżeli od niego zależy nasze rozumienie całego stanowiska. W odpowiedzi na moje pytanie o perystazę (czyli czworoboczną kolumnadę otaczającą *cellę* – wewnętrzną budowlę – świątyni), Lohmann przyznaje, że jest to stylistyczna anomalia.

Owszem, normalnie perystaza powinna się wspierać na krawędzi podium, jak to jest w świątyni Bachusa. Tak było w rzymskich świątyniach. (Przełomową budowlą była świątynia Marsa-Ultera na Forum Romanum⁷¹). To jedna z dziwnych cech świątyni Jowisza⁷².

Z drugiej strony, zauważa Lohmann, istnieją świątynie, w których perystaza jest cofnięta tak, jak byłaby w Baalbek, gdyby Podium 2 zostało ukończone –

na przykład świątynia Bela w Palmyrze, Zeusa w Aizanoi w Turcji i kolosalna świątynia w Tarsie, także w Turcji. Napisał:

Moim zdaniem wynika to z faktu, że świątynia Bela i świątynia Jowisza w Baalbek zostały zbudowane na starszych podiach (herodiańskim w Baalbek, a hellenistycznym w Palmyrze) i trzeba było znaleźć jakiś sposób, żeby wcisnąć pod starszą świątynię najmodniejsze rzymskie podium z I wieku. Terasa w Baalbek była bardzo wysoka, więc podium musiało być ogromne, a w Palmyrze perystaza już stała, więc podium trzeba było zbudować w pewnej odległości od niego⁷³.

Dalej Lohmann chwytą się kwestii kształtu Podium 2, które – choć nie zostało ukończone – uważa za całkiem typowe, bo:

(...) standardowe podium składa się z dolnego gzymsu, „trzonu”, czyli części pionowej (to warstwa trylitu w Baalbek) i górnego gzymsu...⁷⁴

Dla potwierdzenia swoich słów załącza architektoniczny rysunek podium Hosn Niha, innej rzymskiej świątyni w Libanie⁷⁵. Moim zdaniem jest on zdumiewająco niepodobny do Podium 2 w Baalbek, a warstwa, którą miałbym porównać z trylitem w Baalbek, ma zaledwie 1,58 metra wysokości, podczas gdy trylit, jak pamiętamy, ma wysokość 4,34 metra.

Jak już wspomniałem, uważam, że argumentacja Daniela Lohmana jest mocna, ale nic w naszej korespondencji nie przekonało mnie, że U-kształtny megalityczny mur (nie wspierający, lecz otaczający Podium 1, na którym stoi świątynia Jowisza) jest dziełem Rzymian. Może mieć rację. Ale równie dobrze może się mylić, a w kontekście wszystkich innych poszlak z całego świata, wskazujących na istnienie zaginionej cywilizacji, uważam, że powinniśmy podchodzić do Baalbek z otwartym umysłem.

A przekonuje mnie o tym to, co zobaczyłem w kamieniołomie, ponieważ musimy sobie zadać pytanie, dlaczego trzy wielkie bloki, o wadze rzędu 1000 do 1650 ton, zostały tam porzucone.

Konwencjonalna odpowiedź jest taka, że Rzymianie, po wydobyciu tych wyjątkowo wielkich bloków, przekonali się, że nie są w stanie ich przetransportować, i po prostu je porzucili. Ale takie wyjaśnienie ma bardzo niewiele sensu. Jeśli rzeczywiście to Rzymianie zbudowali U-kształtny megalityczny mur, to wiemy, że następnie wzniesli ogromny kompleks świątynny dedykowany Jowiszowi, używając mniejszych bloków. Przecież pierwszym źródłem takich, potrzebnych im, mniejszych bloków powinny być wielkie megality, których – według ortodoksyjnej archeologii – przekonali się, że nie są w stanie przetransportować. Rzymianie byli praktycznymi ludźmi i nie dopuściliby, żeby zmarnowało się tyle ciężkiej pracy. Czy, zamiast wydobywać w kamieniołomie nowe bloki, nie wykorzystaliby do budowy

świątyni raczej tych niemal gotowych, ponad tysiactonowych megalitów, po prostu tnąc je na mniejsze, łatwiejsze do przenoszenia bloki.

To naprawdę zastanawiające, że tak nie postąpili, dlatego fakt, że te gigantyczne, niemal ukończone bloki pozostawiono w kamieniołomie, a nie pocięto i użyto do budowy świątyni Jowisza, wskazuje moim zdaniem, że Rzymianie w ogóle nie wiedzieli o ich istnieniu – podobnie jak niemieccy archeolodzy, mimo 100 lat wykopalisk, aż do 2014 roku nie wiedzieli, że znajduje się tam trzeci gigantyczny blok. Powiedziano mi, że „dobre, nowe informacje o datowaniu i praktycznych aspektach wydobywania megalitów” mogą wkrótce zostać opublikowane, ale nie były jeszcze dostępne, kiedy kończyłem pisać tę książkę⁷⁶. Oczekuję ich z zainteresowaniem, ale jednocześnie mam wątpliwości, czy takie informacje cokolwiek rozstrzygną, czy też zrodzą kolejne pytania.

Jesteśmy gatunkiem cierpiącym na amnezję. Niszczycielskie uderzenia komety, które zapoczątkowały młodszy dryas 12 800 lat temu, wywołując dwa potopy o globalnej skali – jeden na początku, drugi na końcu tego okresu – sprawiły też, że wiele rzeczy zapomnieliśmy. Odtworzenie wspomnień z fragmentów jest trudne logistycznie i bolesne psychologicznie – czego dowodzi złożoność i długotrwałość dyskusji na temat Baalbek. Ale z mroków najbardziej zamierzchłej przeszłości dociera do nas przesłanie zawarte w słowach mędrców, w czynach magów i w potężnych pomnikach, które po sobie zostawili, żeby obudzić nas w chwili Wielkiego Powrotu.

VI. GWIAZDY

14. BRAMY SŁOŃCA

Nie przestawałem myśleć o Baalbek, kiedy następnego dnia jechaliśmy wzdłuż malowniczego wybrzeża wokół Zatoki Dżunija, kierując się do odległego o 38 kilometrów Byblos, starożytnego fenickiego portu uważanego czasem – nie bez podstaw – za najstarsze nieprzerwanie zamieszkane miasto na świecie. Archeolodzy ustalili, że było zamieszkane już około 8800 roku p.n.e.¹, kiedy wciąż jeszcze funkcjonowało Göbekli Tepe². Około 5000 roku p.n.e. Byblos było kwitnącą, stabilną osadą, która nigdy odtąd nie została opuszczona przez ludzi³. Około 3000 roku p.n.e., kiedy nosiło nazwę Gubla lub Gebel, stało się jednym z najważniejszych miast portowych na wybrzeżu starożytnego Kanaanu⁴. Grecy pierwsi użyli nazwy Byblos, kiedy port był ośrodkiem lukratywnego handlu papirusem (*byblos* jest greckim słowem oznaczającym papirus)⁵. Czytelnicy pamiętają też z rozdziału trzynastego, że Grecy nazywali Fenicjanami Kananejczyków i że sami Fenicjanie nazywali się Kananejczykami. Dla uproszczenia będę tutaj stosował określenia „Fenicjanie” i „Kanejczyki” wymiennie, a starożytne Gubla/Gebel będę nazywał Byblos.

Kiedy wjechaliśmy do Byblos, z ulicznymi kafejkami, palmami i falami morza uderzającymi o nabrzeże w kształcie półksiężyca, nie mogłem przestać myśleć o Baalbek. Dlaczego Rzymianie nie zbudowali największej i najbardziej spektakularnej świątyni w całym imperium w samym Rzymie? A skoro już z jakiegoś powodu postanowili ją zbudować akurat w Libanie, czemu nie wybrali ważniejszego i bardziej prestiżowego miejsca niż Byblos? A jeśli nie w Byblos, to czemu nie w innym słynnym porcie na tym samym wybrzeżu,

jak Tyr lub Sydon? Dlaczego akurat w Baalbek wzniesiono świątynię Jowisza? Oto pytanie. Ale nie ma na nie łatwej odpowiedzi, ponieważ archeolodzy i historycy przyznają, że nie ma nawet strzępu świadectwa, które „mówiłoby nam, kto zamówił, opłacił albo zaprojektował jakąkolwiek część tego kompleksu”⁶. Dlatego możemy tylko przypuszczać, jakie kierowały nimi motywy. To naprawdę zaskakujące, biorąc pod uwagę skalę przedsięwzięcia, że żaden cesarz, żaden wódz ani architekt nie przypisał sobie tej zasługi, lecz kroniki Rzymian i wszystkich innych ludów całkowicie milczą na temat świątyni, przez wiele stuleci po jej wzniesieniu⁷.

Aż do czasów Makrobiusza, który pisał w V wieku n.e. (kiedy Baalbek było już od dawna schrystianizowane), nie mamy nawet żadnej wzmianki o bogu, którego tu czczono⁸. Zupełnie jakby pradawni magowie rzucili na to miejsce zaklęcie milczenia, a Rzymianie także mu ulegli i pozostali pod jego wpływem, nawet kiedy wznosili wielkie kolumny i frontony swoich świątyń. Dlatego historyk architektury Dell Upton zauważył, że „starożytne Baalbek jest wytworem naszej wyobraźni”⁹. Nawet samo stanowisko, co teraz wyraźnie widzimy, jest w pewnym sensie wytworem fantazji, ponieważ znaczna jego część:

(...) została zrekonstruowana przez niemiecką misję archeologiczną na początku XX wieku oraz przez francuskich i libańskich archeologów w latach 30., 50. i 60. Resztę znamy z rysunków rekonstrukcyjnych przedstawiających kompleks w mitycznym stanie ukończenia¹⁰.

Jestem przekonany, że to kontynuacja takiego archeologicznego „tworzenia mitów” skłania Daniela Lohmanna do paradoksalnych spekulacji, że budowniczości Baalbek byli „megalomanami”, choć w rzeczywistości byli na tyle skromni, że nigdy nawet nie próbowali przypisać sobie żadnego z tych „gigantycznych kroków w stronę monumentalizmu”, które tu postawili¹¹. Największym z tych „megalomańskich” kroków była oczywiście, jeśli Lohmann ma rację, niedokończona próba uzupełnienia świątyni Jowisza o czysto dekoracyjne, niczego nie podtrzymujące podium, które – gdyby zostało ukończone – osiągnęłoby około 15 metrów wysokości (przyćmiewając podium każdej innej rzymskiej świątyni) i zawierało bloki ważące setki ton, a w przypadku trylitu prawie 1000 ton. W kategoriach, jakimi rozumuje Lohmann – i każdy inny archeolog w ciągu ostatniego stulecia – tylko megalomani porwaliby się na takie zadanie.

Ale skoro wszyscy prowadzimy spekulacje, chciałbym przedstawić swój alternatywny pomysł. Rzymianie wybrali Baalbek – szczególnie dla nich miejsce, aby zbudować świątynię Jowisza właśnie dlatego, że U-kształtny mur,

który Lohmann uważa za podstawę ich „megalomańskiego” podium, znajdował się już w tym miejscu, jako pozostałość z czasów samych bogów, w późniejszych wiekach otoczona szacunkiem. W ten sposób chcieli oddać hołd starożytnym bogom, a nie wysławiać imiona i łechtać ego tych, którzy ich czcili.

Czyciele gwiazd

Górujący ponad ruinami fenickich i rzymskich świątyń zamek z czasów krzyżowców (XII wiek n.e.) dominuje w dzisiejszym krajobrazie Byblos. Co ciekawe, w murach tego zamku, który był wielokrotnie rekonstruowany i naprawiany, tkwi co najmniej tuzin bębnow rzymskich kolumn użytych jako materiał budowlany – stanowiących przypomnienie, że w tym regionie nie można zakładać, że jakakolwiek konstrukcja jest tym, czym się wydaje na pierwszy rzut oka.

Ale zamek jest wspaniałym miejscem, by poznać klimat starego, naprawdę starożytnego Byblos, z którego niegdyś feniccy żeglarze wypływali we wszystkie strony znanego świata, a nawet dalej – gdyż fragmentaryczne, lecz intrygujące świadectwa wskazują, że Fenicjanie mogli dotrzeć do Ameryk na tysiące lat przed Kolumbem¹². Nie zapominajmy też o tajemniczym związku ze starożytnym Egiptem, który bynajmniej nie ogranicza się do handlu papierusem.

Związek ten dotyczy boga Ozyrysa, którego niebiański wizerunek Egipcjanie widzieli w konstelacji Oriona. Według tradycji Ozyrys, ojciec Horusa i mąż Izydy – bogini magii, był wielkim królem w pradawnych czasach i przyniósł dary cywilizacji tym, którzy chcieli je przyjąć¹³. Po tym, jak odwiedził rdzenne ludy Egiptu:

(...) od nieszczęsnych i barbarzyńskich obyczajów, nauczył je, jak uprawiać ziemię, jak siać i zbierać plony, ułożył dla nich kodeks praw i nauczył ich, jak czcić bogów i składać im ofiary. Potem opuścił Egipt i podróżował po całym świecie, ucząc inne narody tego, co robili jego poddani. Nikogo nie zmuszał do przyjmowania jego nauk, ale łagodną perswazją i odwoływaniem się do rozumu udało mu się ich nakłonić do przyjęcia tego, co głosił¹⁴.

Dokonania tego wielkiego nauczyciela cywilizacji odnotowane w starożytnych egipskich annałach przywodzą, oczywiście, na myśl misję tych towarzyszy bogów, magów i mędrców, o których *Teksty Budowlane* z Edfu mówią, że „wędrowali po ziemi” na swoich wielkich statkach po potopie, który zniszczył ich ojczyznę, starając się doprowadzić do wskrzeszenia przedpotopowego świata. A antagonistą, Seth, który pojawia się w przekazach

z Edfu i w końcu zostanie pokonany przez Horusa, odgrywa też kluczową rolę w cyklu mitów o Ozyrysie. Kiedy bóg król przebywał poza krajem w swojej cywilizacyjnej misji, Seth spiskował przeciwko niemu, a po powrocie udało mu się go zamordować, z pomocą – co ciekawe – 72 współkonspiratorów¹⁵. Znowu pojawia się kod, ponieważ, jak pamiętamy, liczba 72 wyznacza bicie serca cyklu precesyjnego – tyle lat trwa precesyjny obrót o jeden stopień.

Jak się dowiadujemy, Seth wraz ze spiskowcami umieścił ciało Ozyrysa w sarkofagu i wrzucił do Nilu, skrzynia popłynęła z prądem aż do Morza Śródziemnego, a dalej fale morskie zaniósły ją na wybrzeże Libanu:

(...) i wyrzuciły je na ląd w Byblos, a ledwie spoczęła na ziemi, wyrosło wielkie drzewo, które rozrosło się i otoczyło skrzynię ze wszystkich stron. Król Byblos podziwiał wielkość tego drzewa i kazał zrobić z tej części pnia, która zawierała skrzynię, filar do swego pałacu¹⁶.

Gdy Izyda dowiedziała się, gdzie jest ciało jej męża, wsiadła na statek do Byblos i poszła do pałacu, gdzie udało się jej zostać piastunką dzieci królewskich. Kiedy nikt nie widział, zamieniła się w jaskółkę i lamentując, krążyła wokół filaru. W końcu wyjawiała swoją prawdziwą tożsamość i nakłoniła monarchę, by podarował jej filar. Wydobyła z niego sarkofag zawierający martwe ciało Ozyrysa i zabrała je do Egiptu¹⁷.

Co zdarzyło się dalej, to długa historia i nie ma potrzeby wdawać się tutaj w szczegóły, ale ostatecznie Ozyrys zmartwychwstaje na niebie jako konstelacja Oriona, skąd jako gwiazdny bóg włada królestwem zaświatów, mając u boku swoją siostrę Izydę w postaci jasnej gwiazdy Syriusza (w starożytnym języku egipskim zwanej Sopdu, co Grecy wymawiali jako Sothis)¹⁸. W jednym z tekstów, który szczególnie podkreśla tę gwiazdną identyfikację, Izyda mówi do Ozyrysa:

Twój święty wizerunek, Orion na niebie, wschodzi i zachodzi każdego dnia; ja jestem Sothis, która podąża za nim, i nie opuścić go¹⁹.

W Tekstach Piramid, wśród wielu podobnych zaklęć, czytamy, że „Ozyrys przyszedł jako Orion”²⁰. Również inne liczne wzmianki identyfikują zmarłych faraonów z Ozyrysem oraz z Orionem i Syriuszem, na przykład:

O ciało króla, nie rozkładaj się... Dotrzesz do nieba jako Orion, twoja dusza będzie skuteczna jako Sothis...²¹

I podobnie:

O królu, niebo poczęło cię z Orionem, świt rodzi cię z Orionem. Ten, kto żyje, żyje na rozkaz bogów i ty żyjesz. Będziesz wschodził razem z Orionem na wschodniej części nieba, będziesz zachodził z Orionem w zachodniej części nieba²².

Na podstawie takich tekstów egiptolog Selim Hassan doszedł do wniosku:

Jak sądzę, nie można zaprzeczyć, że w pewnym momencie swojej historii Egipcjanie wierzyli, że dusze ich królów albo wchodziły między gwiazdy, albo stają się gwiazdami... i ta tradycja nigdy całkiem nie umarła. Co więcej, skojarzenie piramid w Gizie z gwiazdowym kultem przetrwało w tradycji bardzo długo, a piramidy Chufu i Chafre kojarzono z kultem gwiazd jeszcze w czasach arabskich²³.

W tej samej pracy Hassan zawarł też spostrzeżenie o ogromnej wadze dla moich badań. W Słowniku Geograficznym, *Mog'am el-Buldan*, Jakuta al-Hamawiego, tom VIII, str. 457 (wydanie kairskie) jest powiedziane, po podaniu wymiarów dwóch największych piramid w Gizie:

„Do nich obu odbyli pielgrzymkę Sabejczycy”. Oczywiście owi Sabejczycy byli czcicielami gwiazd i przypuszczam, że ich nazwa pochodziła od egipskiego słowa seba, „gwiazda”. Sabejczycy byli wyznawcami starożytnej religii... czcicielami zastępów na niebie, ciał niebieskich... Od czegokolwiek pochodziła ich nazwa, pozostaje faktem, że uważali piramidy Chufu i Chafre za monumenty związane z gwiazdowym kultem i otaczali czią jako miejsca pielgrzymek²⁴.

Związek, który wskazuje Hassan, jest niezmiernie interesujący, ponieważ głównym miastem Sabejczyków od niepamiętnych czasów był Harran w południowo-wschodniej Turcji²⁵, kilka kilometrów od Göbekli Tepe. Co więcej, Sabejczycy z Harranu byli nie tylko czcicielami gwiazd, ale również wyznawcami „Książ Thota” – patrz rozdział jedenasty – w której starożytny bóg mądrości spisał „słowa mędrców”. W czasach muzułmańskich (przez setki lat po objawieniu Koranu prorokowi Muhammadowi w VII wieku n.e.) Sabejczykom udawało się unikać prześladowań, ponieważ twierdzili, że nie są poganami, lecz „ludem księgi”, podobnie jak Żydzi i Chryścijanie mającym objawione święte Pismo²⁶. Poproszeni o pokazanie swojej „księgi”, przedstawili kopię tekstów hermetycznych – greckich i łacińskich pism zawierających podobno dialogi między Thotem (greckim Hermesem i Merkurem Rzymian) a jego uczniami²⁷. Co ciekawe, Thot był nie tylko bogiem mądrości, ale i „Panem Księżyca”²⁸, a główną świątynią w Harranie dedykowano bogu księżyca, który w ich panteonie nosił imię Sin²⁹. Poza tym Filon z Byblos informuje nas, że Sanchuniaton, źródło jego *Historii Fenickiej*:

(...) uważnie przeszukał dzieła Taautosy. Zrobił to, ponieważ zdał sobie sprawę, że Taautos był pierwszą osobą pod słońcem, która wymyśliła pismo i zaczęła spisywać kroniki, tym samym tworząc podwaliny nauki. Egipcjanie nazywali go Thotem, Aleksandryjczycy Thothem, zaś Grecy przetłumaczyli jego imię jako Hermes³⁰.

Zostaliśmy kilka godzin w Byblos. Wykopaliska w starożytnym mieście są prowadzone wokół zamku krzyżowców. Jest tam rzymska kolumnada, mały teatr, fenickie fortyfikacje, pozostałości – niewiele więcej niż fundamenty – świątyni Baalat-Gebel, pochodzącej z około 2800 roku p.n.e. i dedykowanej

fenickiej bogini patronce miasta, oraz tak zwana świątynia na planie L (około 2600 p.n.e.); te dwie budowle dzieliło niegdyś święte jezioro. Na podium do dzisiaj stoi wiele małych, prymitywnych obelisków – to tak zwana Świątynia Obelisków datowana na lata 1900–1600 p.n.e. Są też pozostałości nekropoli władców Byblos, używanej od około XVIII do X wieku p.n.e., a w pobliżu znajduje się osada neolityczna (5000 rok p.n.e. i wcześniej), gdzie mieszkańcy Byblos zaczęli układać pierwsze posadzki z tłuczonego wapienia około 4500 roku p.n.e.³¹

Wszystkie te ruiny i szczątki są ze sobą przypadkowo przemieszane – jedne na drugich, jedne obok drugich, stulecia po stuleciach, milenia po mileniach aż w głąb prehistorii – starannie oczyszczone przez archeologów i pozostawione jako atrakcja turystyczna. Stanowisko nie przypadło mi do serca i wobec braku oryginalnego tekstu Sanchuniatona, a nawet *Historii* Filona – poza zachowanymi fragmentami – czuję, że nie mam co tutaj robić.

Pora ruszać dalej.

Sala filarów

Lot z Bejrutu do Stambułu trwa krótko, a ze Stambułu już tylko krok do Şanlıurfy, która będzie dla nas bazą do zwiedzania Harranu – miasta tajemniczych „czczących gwizdy” Sabejczyków – i do ponownej wizyty w Göbekli Tepe. Naszym pierwszym celem jednak nie będzie żadne z tych miejsc, lecz nieodkopane jeszcze stanowisko, które według wszelkich oznak jest równie stare jak Göbekli Tepe i miało podobne, zagadkowe przeznaczenie. Z wcześniej przeprowadzonych badań wiedziałem, że nazwa tego stanowiska brzmi Karahan Tepe, ale znać nazwę to jedno, a znaleźć miejsce – zupełnie co innego.

W lipcu w południowo-wschodniej Turcji jest gorąco jak w piecu. Nasz kierowca mówi po angielsku, więc porozumienie się z nim nie stanowi problemu, on zaś może się porozumiewać z innymi w naszym imieniu, ale wygląda na to, że nikt z osób, które mijamy, jadąc wśród pól uprawnych i jałowych wzgórz, nie ma pojęcia, gdzie może się znajdować Karahan Tepe. Cóż, czemu mieliby to wiedzieć? To tylko jeszcze jedno wzgórze w raczej odludnej okolicy. W końcu jednak udaje nam się je znaleźć, około 15 kilometrów na południe od autostrady E90 i 65 kilometrów na wschód od Şanlıurfy. Znajdujemy tam niewielkie gospodarstwo otoczone niskim murem i ubogie pola na końcu wyboistej gruntowej drogi. Gospodarz wskazuje nam

wzgórze kilkaset metrów na północ od nas. Znajduje się na jego ziemi, jak mówi, ale proszę bardzo – możemy sobie obejrzeć. Wysła swojego nastoletniego syna, żeby pokazał nam, jak podjechać najbliżej do wzgórza, ale dalej musimy iść pieszo.



Il. 45.

Tepe to wapienny grzbiet biegnący mniej więcej z północy na południe, o stromych zboczach, pokryty luźną, kruszącą się ziemią, po wschodniej i zachodniej stronie porośnięty pożąłką trawą. Szczyt grzbietu znajduje się na wysokości około 705 metrów nad poziomem morza, ale z miejsca, gdzie zaparkowaliśmy, musimy wspiąć się tylko 50 metrów i niemal natychmiast widzimy charakterystyczne filary o kształcie litery T, które dobrze znamy z Göbekli Tepe. Widać je wszędzie na zboczach wzgórza; są ich dziesiątki – niektóre ułożone w kręgi, inne, jak się wydaje, w równoległe rzędy, ale wszystkie zakopane na tyle głęboko, że na powierzchnię wystają tylko ich szczyty.

Co dziwne, poza potwierdzeniem, że Karahan Tepe pochodzi z tego samego okresu, co Göbekli Tepe, czyli między 11 000 a 12 000 lat temu, oraz że mniej więcej w tym samym czasie (około 10 200 lat temu) zostało opuszczone i nigdy więcej nie było zasiedlone³², nie prowadzono tu żadnych badań archeologicznych. Z drugiej strony okoliczni mieszkańcy intensywnie poszukiwali skarbów, przy okazji odsłaniając i uszkadzając wiele filarów,

wśród nich dwa ozdobione rzeźbionymi węzami, takimi samymi jak węże w Göbekli Tepe.

Wzdłuż szczytu grzbietu znajdujemy liczne okrągłe zagłębienia, jak małe kratery, wykute w skale. Niektóre mają bardzo ostre, wyraźne krawędzie, średnicę około 30 i głębokość do 15 centymetrów – chociaż są też większe i mniejsze. W większości są zgrupowane po tuzin lub więcej, czasem ułożone w rzędy, czasem w kręgi lub spirale – lecz w tak przypadkowy sposób, że trudno dostrzec kierującą tym logikę.

Podobnie jak w Göbekli Tepe, jest oczywiste, że filary zostały wykute w pobliżu i znajdujemy wiele miejsc, gdzie w skalnym podłożu wydrążono równoległe rowki tworzące kształt filaru. W kamieniołomie leży jeden niemal ukończony filar, który ma 4,5 metra wysokości, 1,5 metra szerokości i 80 centymetrów grubości³³. Patrząc na las filarów, których szczyty wystają nad powierzchnię na zboczach wzgórza, zastanawiam się, co można by znaleźć, gdyby zostały tu przeprowadzone dokładne wykopaliska. Już Göbekli Tepe napisało na nowo historię ludzkości, a tutaj mamy kolejne Göbekli Tepe – nienaruszone, praktycznie nietknięte, a jednak najwyraźniej nikt się nim nie interesuje. Co więcej, widziałem nawet rozbity fragment w kształcie litery L, niegdyś będący częścią kwadratowego „okna” – podobne były znajdowane w Göbekli Tepe – używany przez kogoś jako palenisko i poczerniały od sadzy.

Nie potrafię zrozumieć, że miejsce tak ważne jak Karahan Tepe, z którego możemy się tyle dowiedzieć, może być aż tak zaniedbane i lekceważone. Często powtarzam, jak na końcu poprzedniego rozdziału, że jesteśmy gatunkiem cierpiącym na amnezję. Tłumaczę to własną przeszłością, białymi plamami w pamięci, straszliwymi kataklizmami, jakie dotknęły naszą planetę na koniec ostatniego zlodowacenia. Ale tutaj, w Karahan Tepe, przypominam sobie, że często sami wpędzamy się w ten stupor – jakby nie było dla nas istotne, kim jesteśmy i skąd pochodzimy.

Kontrola nad przeszłością

Następnego dnia Santha i ja wróciliśmy do Göbekli Tepe. Klaus Schmidt żył jeszcze w lipcu 2014 roku, ale spędzał lato w Niemczech i zaledwie za kilka dni miał umrzeć na atak serca.

W czasie jego nieobecności chciałem jeszcze raz obejrzeć stanowisko. Liczyłem zwłaszcza na to, że uda mi się tam dostać nocą, pod otwartym, ugwieżdżonym niebem, żeby doświadczyć poczucia łączności z gwiazdami w

górze i ziemią na dole. Tymczasem czekało mnie brutalne przypomnienie, jak my, ludzie, potrafimy rozmyślnie bezcześcić bezcenne dary, które otrzymaliśmy od przodków.

Już w 2013 roku proces oficjalnego niszczenia stanowiska był bardzo zaawansowany, zbudowano ohydną podwyższoną kładkę dla zwiedzających, ale to, co stało się od naszej ostatniej wizyty, niemal nie daje się opisać. Teraz nad całym stanowiskiem wisi odrażający drewniany dach, całkowicie je zasłaniając, a pod dachem podwieszono drewniane platformy obciążone tonami kamieni, żeby nie zwał go wiatr. Platformy te, wraz z belkami podtrzymującymi zadaszenie i poprzyczepianymi wszędzie tabliczkami „Wstęp wzbroniony”, niemal uniemożliwiają zobaczenie megalitycznych filarów i docenienie ich wzniosłego piękna i duchowej mocy.

To, co zrobili archeolodzy – oczywiście twierdząc, że robią to, aby „chronić” stanowisko – jest farsą, obrzydlistwem, arcydziełem brzydoty, a my, ludzie, których dziedzictwem jest Göbekli Tepe, zostaliśmy oszukani i ogołoceni. Po prostu nie potrafię zrozumieć umysłów, które zdecydowały się opakować, zamknąć i uwięzić Göbekli Tepe. I nawet jeżeli zadaszenie jest „tymczasowe”, jak się obecnie twierdzi – niewątpliwie do czasu, aż powstanie nowe, większe – to nie jest żadne usprawiedliwienie. Lepiej, żeby nie było w ogóle żadnego dachu (nie było go przez 19 lat, odkąd zaczęły się wykopaliska, i nic złego się nie stało) niż takie „tymczasowe” paskudztwo.

Poza tym mam poważne wątpliwości, czy będzie to naprawdę „tymczasowe”. Zbudowanie tego dachu zajęło Niemieckiemu Instytutowi Archeologicznemu niemal rok (prace trwały już w czasie naszej ostatniej wizyty w 2013 roku), wydano na niego mnóstwo pieniędzy i obawiam się, że bardzo długo nie zostanie usunięty i zastąpiony czymś estetycznie bardziej odpowiadającym majestatowi i tajemnicy Göbekli Tepe.

Jeśli zaś idzie o moją nocną wizytę i plan oglądania gwiazd w otoczeniu megalitów... Ponury żart! Dach całkowicie odciął Göbekli Tepe od kosmosu. To wygląda wręcz na świadomy i celowy akt obezwładnienia – jakby ktoś nagle się ocknął i uświadomił sobie, jakim zagrożeniem stało się to stanowisko dla ustalonego porządku rzeczy, że może ono podważyć trzymający współczesne społeczeństwo w ryzach system kontroli umysłów, obejmujący również kontrolę nad przeszłością.

Starożytni astronomowie

Wieczorem, po powrocie do hotelu, pracowałem przy laptopie, przeglądając naukowe artykuły na temat Göbekli Tepe, które ściągnąłem i zabrałem ze sobą. Większość z nich pochodzi z fachowych czasopism, ale jeden z mojej strony internetowej. Napisany został przez inżyniera i geologa Paula Burleya, a ja opublikowałem go na mojej stronie w marcu 2013 roku, ale dotąd nie zdążyłem przeczytać. Pamiętałem moje przeczucie, że jest ważny, choć nie mogłem sobie przypomnieć dlaczego. Göbekli Tepe nie interesowało mnie aż tak bardzo jak teraz. Ale w świetle wszystkiego, czego się dowiedziałem od 2013 roku, przesłanie tego artykułu podziało na mnie jak zastrzyk adrenaliny.

Sprzeciw Klausa Schmidta wobec jakichkolwiek astronomicznych powiązań Göbekli Tepe, o czym wspominałem krótko w rozdziale pierwszym, wynika raczej z jego nieznamomości astronomii i braku zainteresowania tym tematem, niż z czegokolwiek innego. Jednak mimo tej wrogości ze strony głównego archeologa pracującego na stanowisku, wielu naukowców badało Göbekli Tepe, żeby sprawdzić, czy któreś filary albo ich zespoły mają jakieś oczywiste astronomiczne orientacje. Wszystkie te studia jednoznacznie wykazały, że Göbekli Tepe jest stanowiskiem w najwyższym stopniu astronomicznym, że jego budowniczy uważnie obserwowali gwiazdy i że umieli bardzo skutecznie zawrzeć wyniki tych obserwacji w orientacjach struktur na ziemi.

Podam tu kilka przykładów.

Dr Giulio Magli, profesor fizyki matematycznej na Politecnico di Milano, jest czołowym włoskim astrofizykiem i prowadził studia archeoastronomiczne nad wieloma starożytnymi stanowiskami i monumentami na całym świecie. W 2013 roku opublikował artykuł na temat Göbekli Tepe oparty na precyzyjnych symulacjach komputerowych zmian zachodzących na niebie w wyniku precesji³⁴ – zjawiska, którym się już zajmowaliśmy. Magli twierdzi, że budowniczy Göbekli Tepe byli szczególnie zainteresowani Syriuszem, gwiazdą, którą starożytni Egipcjanie identyfikowali z boginią Izydą.

Przeprowadzając symulację nieba w dziesiątym tysiącleciu p.n.e. można zobaczyć, że w tym okresie nad Göbekli Tepe zachodziło spektakularne zjawisko: „narodziny” „nowej” gwiazdy, i to nie zwykłej, lecz najjaśniejszej gwiazdy i czwartego co do jasności obiektu na niebie: Syriusza. Z powodu precesji około 15 000 lat temu Syriusz znalazł się pod horyzontem. Po osiągnięciu minimum Syriusz zaczął znowu zbliżać się do horyzontu i zaczął być ponownie widoczny, bardzo nisko i prawie dokładnie na południu, około 9300 roku p.n.e.³⁵

Później, dowodzi Magli, punkty wschodu Syriusza na horyzoncie, które bardzo powoli zmieniają się w wyniku precesji, były „śledzone” w Göbekli Tepe przez Okrąg D, Okrąg C i Okrąg B. Ekstrapolowane średnie azymuty tych okręgów, za które w każdym przypadku przyjęto linie przechodzące pośrodku między dwoma centralnymi monolitami, są skorelowane z

azymutami wschodu Syriusza w latach 9100, 8750 i 8300 p.n.e.³⁶ „Struktury w Göbekli Tepe – konkluduje Magli – zostały pomyślane tak, by wysławiać, a także śledzić na przestrzeni stuleci, pojawianie się jasnej »gwiazdy gościa« na niebie Syriusza”³⁷.

Profesor Robert Schoch z Uniwersytetu Bostońskiego, choć nie jest astronomem, również wykrył astronomiczną korelację między Göbekli Tepe a tą samą częścią nieba, którą wskazywał Magli. Jednak Schoch doszedł do innych wniosków co do obiektów na niebie, którymi mogli się interesować budowniczowie. „Trudno znaleźć odpowiedź na to pytanie”, napisał, po czym przedstawił następującą hipotezę:

Rankiem w dniu wiosennej równonocy około 10 000 roku p.n.e., zanim słońce weszło dokładnie na wschód od Göbekli Tepe, Plejady, Byk i szczyt Oriona były widoczne w kierunku wskazywanym przez centralne kamienie w Okręgu D, a pas Oriona znajdował się tuż przed świtem nisko nad horyzontem (widziany z najlepszych punktów widokowych w okolicy). Podobnie było z orientacją centralnych kamieni Okręgu C około 9500 roku p.n.e. i Okręgu B około 9000 roku p.n.e. Okrąg A jest zorientowany na Plejady, Byka i Oriona rankiem w dniu wiosennej równonocy około 8500 roku p.n.e., ale z powodu zmian precesyjnych cały pas Oriona nie był już widoczny na horyzoncie przed świtem. Około 8150 roku p.n.e. pas Oriona znajdował się w tym dniu poniżej horyzontu. Takie daty doskonale pasują do ram czasowych ustalonych dla Göbekli Tepe na podstawie datowania radiowęglowego³⁸.

Inni nie-astronomowie, pisarz Andrew Collins i inżynier Rodney Hale, spojrzeli w kierunku przeciwnym do tego, którym zajmowali się Schoch i Magli, czyli na północ, zamiast na południe, i znaleźli orientację na Deneba, najjaśniejszą gwiazdę w konstelacji Łabędzia. Okazuje się, że również ta orientacja „śledzi” zmiany pozycji Deneba spowodowane przez precesję³⁹. Coraz silniejsze wrażenie, że budowniczowie Göbekli Tepe uważnie obserwowali gwiazdy i zdawali sobie sprawę, jaki był wpływ zjawiska precesji na niebieski krajobraz, zostało potwierdzone w styczniu 2015 roku w artykule opublikowanym w czasopiśmie „Archaeological Discovery” przez Alessandra De Lorenzisa i Vincenza Orofinza Wydziału Matematyki i Fizyki Uniwersytetu Salento. Doszli oni do wniosku, że Collins i Hale mieli rację i że „centralne filary badanych okręgów są rzeczywiście zorientowane na punkt zachodu Deneba”⁴⁰. Lorenzis i Orofino uściślili daty podane przez Collinsa i Hale’a, przesuując je wstecz o około 200 lat, ale potwierdzili, że subtelne zmiany w orientacji okręgów świadczą o śledzeniu zjawiska precesji⁴¹.

Astrofizyk Juan Antonio Belmonte także badał astronomiczne właściwości Göbekli Tepe. Zauważył, że wśród kolistych okręgów „jest jeden o niemal prostokątnych ścianach, które są prawie idealnie zorientowane według kierunków świata”⁴². Nie trzeba chyba dodawać, że takiej orientacji, podobnie

jak w przypadku Wielkiej Piramidy w Gizie, nie dałoby się uzyskać bez prowadzenia precyzyjnych obserwacji astronomicznych.

Belmonte zwrócił też uwagę na „bogatą dekorację” T-kształtnych filarów w Göbekli Tepe, dochodząc do wniosku, że może się ona odnosić do:

(...) jeszcze innych obserwacji astronomicznych, na przykład księżyca i gwiazd, tak powszechnych w kulturach Bliskiego Wschodu... Inne można interpretować jako totemiczne wyobrażenia zwierząt, które – jeśli pozwolić sobie na spekulacje – mogą symbolizować takie konstelacje jak Lew, Byk i Skorpion.

To odpowiedni moment, by zająć się twierdzeniem Klausa Schmidta (patrz rozdział pierwszy), że w Göbekli Tepe nie może być żadnych „figur astronomicznych”, ponieważ „konstelacje zodiaku nie były znane aż do czasów babilońskich, 9000 lat po Göbekli Tepe”. Nie kwestionowałem tego, kiedy rozmawiałem ze Schmidtem, ponieważ najbardziej zależało mi na usłyszeniu jego opinii na temat Göbekli Tepe, a nie na wdawaniu się w potencjalnie zaciekłą dyskusję. Najwyraźniej jednak Belmonte, który zna się na rzeczy, nie zgadza się ze Schmidtem.

Podobnie nie przyznaje mu racji rosyjski astronom i historyk nauki Alexander Gurshtein, który datuje rozpoznanie i nadanie nazw konstelacjom – zwłaszcza Wielkiej Niedźwiedzicy – na 20 000 lat p.n.e.⁴³, a bardziej szczegółową wiedzę o zodiaku na epokę około 5600 p.n.e.⁴⁴.

Niemiecki archeoastronom Michael Rappengluck przesuwając początki zodiaku w jeszcze głębszą przeszłość. Zidentyfikował on dokładne przedstawienia konstelacji Byka namalowane ponad 17 000 lat temu w Sali Byków w jaskini Lascaux we Francji⁴⁵.

Rappengluck zwraca uwagę, że w roku są cztery szczególne momenty – równonoc wiosenna i jesienna oraz przesilenie letnie i zimowe. Jak już widzieliśmy, bardzo długo uważano, że „charakter” świata zależy od konstelacji, która „gości” Słońce w dniu wiosennej równonocy, ale inne konstelacje również „goszczą” trzy główne momenty wschodu słońca w dniu jesiennej równonocy oraz obu przesileni, a kiedy zmienia się era i jedna konstelacja ustępuje miejsca następnej w dniu wiosennej równonocy, zmieniają się też konstelacje rządzące pozostałymi „stanowiskami”.

Nie zamierzam wdawać się tutaj w szczegóły, ale teza Rappenglucka dotycząca Lascaux sprowadza się do tego, że została tam przedstawiona cała konstelacja Byka (w jednej z postaci byków w Sali Byków), a nad jego barkami – jako charakterystyczny układ sześciu kropek – wyobrażono sześć widocznych gwiazd Plejad, które są najbardziej rozpoznawalnym elementem Byka. Co więcej, wizerunek ten można połączyć z konkretną datą.

Plejady w 15 300 roku p.n.e. znajdowały się bardzo blisko punktu jesiennej równonocy... Dlatego sześć gwiazd w Sali Byków stanowi charakterystyczny i doskonały znacznik początku jesieni na niebie... Data obliczona na podstawie danych astronomicznych jest nadzwyczajnie bliska... datowaniu radiowęglowemu [ludzkiej działalności w tej części jaskini], które wskazuje 15 300 rok p.n.e.⁴⁶.

Innymi słowy, Rappengluck dostarcza kolejnych przekonujących dowodów na to, że nasi przodkowie już między 16 000 a 10 000 rokiem p.n.e.:

(...) rozpoznawali pojedyncze gwiazdy i skomplikowane układy, łącznie z Drogą Mleczną, Koroną Północną w jaskini El Castillo (w Hiszpanii), Plejadami w jaskini Lascaux (we Francji) i głównymi konstelacjami nieba w tym samym miejscu⁴⁷.

Opisuje on też panel w jaskini La Tête du Lion (Francja), który:

(...) przedstawia kombinację układów gwiazd – Aldebarana w Byku i Plejady – z rysunkiem cyklu księżyca powyżej. Rysunek pochodzi z epoki solutrejskiej [ok. 19 000 do 20 000 p.n.e.]. Wykazuje on nie tylko uderzające podobieństwo do przedstawienia w jaskini Lascaux, ale również wyraźnie łączy układ gwiazd z częścią cyklu lunarne⁴⁸.

Na koniec Rappengluck – również tutaj streszczę jego długi wywód – dochodzi do wniosku, że:

(...) myśliwi i zbieracze z paleolitu patrzyli na ugwieżdżone niebo i widzieli otwartą gromadę Plejad z wędrującym księżycem i słońcem w pobliżu lub w samej Złotej Bramie ekliptyki, 21 000 lat temu⁴⁹.

Za „Złotą Bramę ekliptyki”, o której wspomina Rappengluck, tradycyjnie uważano obszar między Hiadami a Plejadami (obie te grupy gwiazd należą do konstelacji Byka), pomiędzy którymi, niczym przez wielką niebiańską bramę, przechodzi ekliptyka⁵⁰. „Ekliptyka” to techniczne określenie pozornej „drogi” Słońca po niebie. Wynika więc stąd, że droga Słońca (i Księżyc⁵¹) na tle konstelacji zodiaku była obserwowana, przedstawiana i rozumiana w czasach paleolitu, być może już 10 000 lat przed zbudowaniem Göbekli Tepe. Właśnie dlatego Belmonte cytuje pracę Rappenglucka, a nawet zamieszcza opublikowaną przez niego fotografię figury Byka w Sali Byków w Lascaux⁵², przy okazji na pozór niezobowiązującej uwagi, że konstelacje zodiaku, „takie jak Lew, Byk i Skorpion”, mogły być inspiracją dla przedstawienia „totemicznych” zwierząt w Göbekli Tepe.

Podsumowując, zdaniem Belmontego Göbekli Tepe dostarcza dowodów, że:

(...) całkowicie nieznana społeczność myśliwych i zbieraczy ponad 11 000 lat temu starała się tworzyć monumentalne konstrukcje związane z niebem. Ten szereg sanktuariów, zbudowanych jedno po drugim, a wręcz jedno na drugim, mógł być wykorzystywany przez setki, może tysiące lat, do obserwacji nieba. Jednak z nieznanymi nam przyczyn budowniczo celowo pogrzebali konstrukcje, tworząc warunki, które przyczyniły się do ich doskonałego stanu zachowania mimo zaawansowanego wieku⁵³.

Rdzenni mieszkańcy Göbekli Tepe byli niewątpliwie myśliwymi i zbieraczami – co więcej, całkowicie nieznanymi myśliwymi i zbieraczami! Ale w całej tej książce staram się udowodnić, że ich niespodziewana przygoda z monumentalną architekturą, a także równie niespodziewane „wynalezienie” krótko później rolnictwa są bardzo dziwne. Właściwie był to niemal niewytłumaczalny „wielki skok do przodu”, który aż prosi się o spójne wyjaśnienie, jakiego archeologom dotąd nie udało się przedstawić. W myśl hipotezy, którą tutaj analizujemy i która moim zdaniem tłumaczy wszystkie anomalie, ocaleni z zaginionej cywilizacji, którzy już wcześniej znali rolnictwo i wiedzieli wszystko, co powinni, żeby budować z użyciem megalitów, osiedlili się po kataklizmie młodszego dryasu wśród myśliwych i zbieraczy z Göbekli Tepe i przekazali im część swojej wiedzy.

Oprócz megalitycznej architektury i rolnictwa musimy wziąć pod uwagę świadectwa astronomiczne. Na pierwszy rzut oka, choć prace Belmontego, Collinsa, Hale’a, Schocha, Magliego i innych potwierdzają, że w Göbekli Tepe musiał działać kompetentny astronom, nie jesteśmy w stanie stwierdzić, czy wiedza astronomiczna, jakiej świadectwem są orientacje filarów i okręgów, na pewno reprezentuje poziom „zaawansowanej cywilizacji”. Jak pamiętamy, badania przeprowadzone przez Gurshteina i Rappenglucka wskazują, że obserwacje nieba i identyfikację konstelacji, które znamy również dzisiaj, można prześledzić aż do czasów neolitu, a nawet wcześniej – do paleolitycznych malowideł w jaskiniach wykonanych 20 000 lat temu i wcześniej. A więc świadectwa takiej wiedzy w Göbekli Tepe nie muszą być czymś niezwykłym.

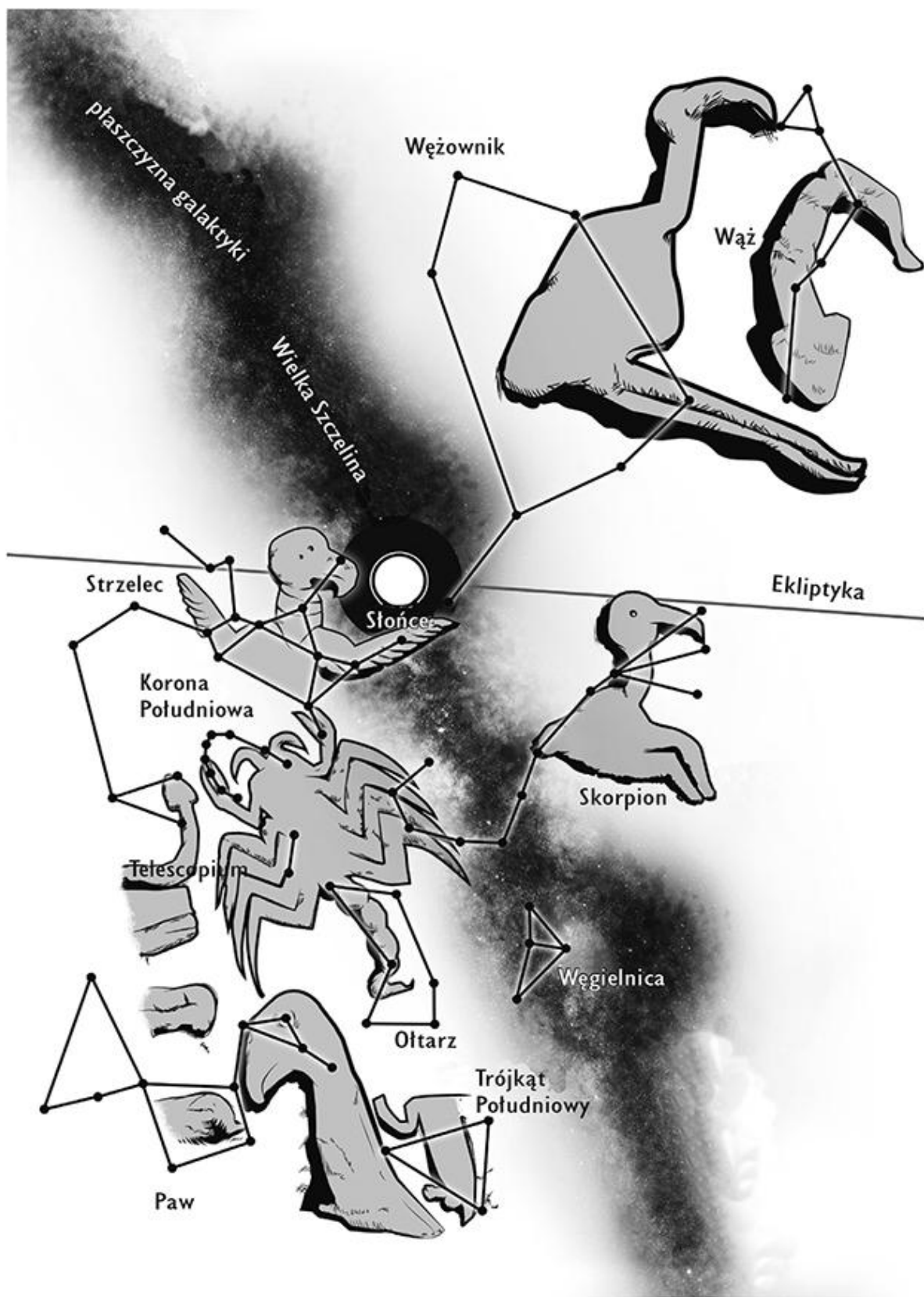
Ale załóżmy, że jest coś więcej – coś, czego myśliwi i zbieracze, choćby najbardziej łebscy, nie mogli wiedzieć w żadnych okolicznościach.

To właśnie takie „coś więcej” uświadomiłem sobie – i poczułem przypływ adrenaliny – czytając artykuł Paula Burleya w hotelowym pokoju w Şanlıurfi w lipcu 2014 roku.

Neolityczne puzzle

Artykuł nosi tytuł *Göbekli Tepe: świątynie przekazujące starożytną kosmiczną geografię*. Burley napisał go w czerwcu 2011 roku; spotkaliśmy się na konferencji poświęconej precesji i starożytnej wiedzy w Sedonie (Arizona) we wrześniu tego samego roku, potem wymieniliśmy kilka e-maili w 2012 roku, a w lutym 2013 roku poprosił mnie, abym przeczytał jego artykuł

dotyczący, jak pisał, „zodiaku na jednym z filarów w Göbekli Tepe”. Przeczytałem, odpisałem, że jest „bardzo przekonujący i interesujący i prowadzi do ważnych wniosków”, i zaproponowałem, że opublikuję go na mojej stronie internetowej. Paul zgodził się i artykuł poszedł w świat 8 marca 2013 roku⁵⁴. Wciąż jest dostępny pod adresem wskazanym w przypisie.



Il. 46. Obraz nieba na Filarze 43.

Czytając ten artykuł ponownie w pokoju hotelowym w Şanlıurfi, zdałem sobie sprawę, że określenie „ważne wnioski” było zbyt oględne. Ale pierwszy raz odwiedziłem Göbekli Tepe dopiero we wrześniu 2013 roku, a wtedy nie pamiętałem już najwyraźniej tezy Burleya, który skupiał się wyłącznie na Okręgu D i na tym samym filarze – numer 43 – który najbardziej mnie zainteresował w czasie tej wizyty. Moje zainteresowanie wynikało z sugestii Belmontego, że skorpion wyrzeźbiony w reliefie przy podstawie (który, jak czytelnik pamięta, był przysypany, a Schmidt nie pozwolił go odkopać) może być wyobrażeniem zodiakalnej konstelacji Skorpiona. Moim niedopatrzaniem było to, że nie przeczytałem jeszcze raz artykułu Burleya na temat zodiaku na tym samym filarze, zanim pojechałem zobaczyć stanowisko. Ale jesteśmy ludźmi, wszyscy popełniamy błędy, wszyscy zapominamy o różnych rzeczach i choć w naszej korespondencji doceniłem jego „ważne wnioski”, będąc w Göbekli Tepe we wrześniu 2013 roku zupełnie nie pamiętałem o odkryciach Burleya.

Oto, co on sam pisze:

W górnej części boku jednego z wapiennych filarów [w Okręgu D] znajduje się scena wyrzeźbiona w reliefie. Jest na niej ptak z rozpostartymi skrzydłami, dwa mniejsze ptaki, skorpion, wąż, okrąg oraz wiele falistych linii i elementów przypominających sznurek. Na pierwszy rzut oka ta skamieniała menażeria wydaje się po prostu przypadkową zbieraniną zwierząt i motywów geometrycznych bezładnie rozmieszczonych tak, żeby wypełnić szerszy bok filaru.

Kluczem do rozwiązania tej wczesnoneolitycznej zagadki jest okrąg umieszczony pośrodku sceny. Natychmiast kojarzy mi się z kosmicznym ojcem – Słońcem. Kolejne wskazówki stanowi skorpion zwrócony w stronę słońca i duży ptak, który wydaje się trzymać słońce pod rozpostartym skrzydłem. Słońce wydaje się usytuowane dokładnie na ekliptyce w odniesieniu do znanej nam konstelacji Skorpiona, chociaż skorpion na filarze zajmuje tylko lewą część, czyli głowę, naszego dzisiejszego wyobrażenia tego gwiazdozbioru. Dlatego symbol słońca jest tak blisko centrum galaktyki, jak może się znajdować na ekliptyce, kiedy przecina płaszczyznę galaktyki.

Wytrzymajcie jeszcze chwilę, a wszystko wyjaśnię. Tymczasem posłuchajmy dalej Burleya, ponieważ to właśnie jego następne stwierdzenie tak naprawdę przykuło moją uwagę.

Istotne jest to, że budowniczy Göbekli Tepe z jakiegoś powodu wzniesli świątynię, która wydaje się wskazywać przyszłość odległą o 11 600 lat. A jednak ta scena została stworzona celowo. Symbolika jest wyrazista i zgodna z wieloma mitologiami opisującymi to samo zdarzenie – rozgrywające się w czasach, w których żyjemy dzisiaj!

Dalej Burley przedstawia schemat, który „ilustruje przecięcie płaszczyzny galaktycznej Mlecznej Drogi w pobliżu centrum galaktyki z kilkoma pobliskimi, znajomymi konstelacjami”. Drugi rysunek ukazuje to samo z dodatkami starożytnych konstelacji wyobrażonych na filarze:

Zwróćmy uwagę, że rozpostarte skrzydła, słońce, nogi ptaka i wąż wydają się tak zorientowane, żeby podkreślać drogę słońca wzdłuż ekliptyki... Trudno nie dostrzec

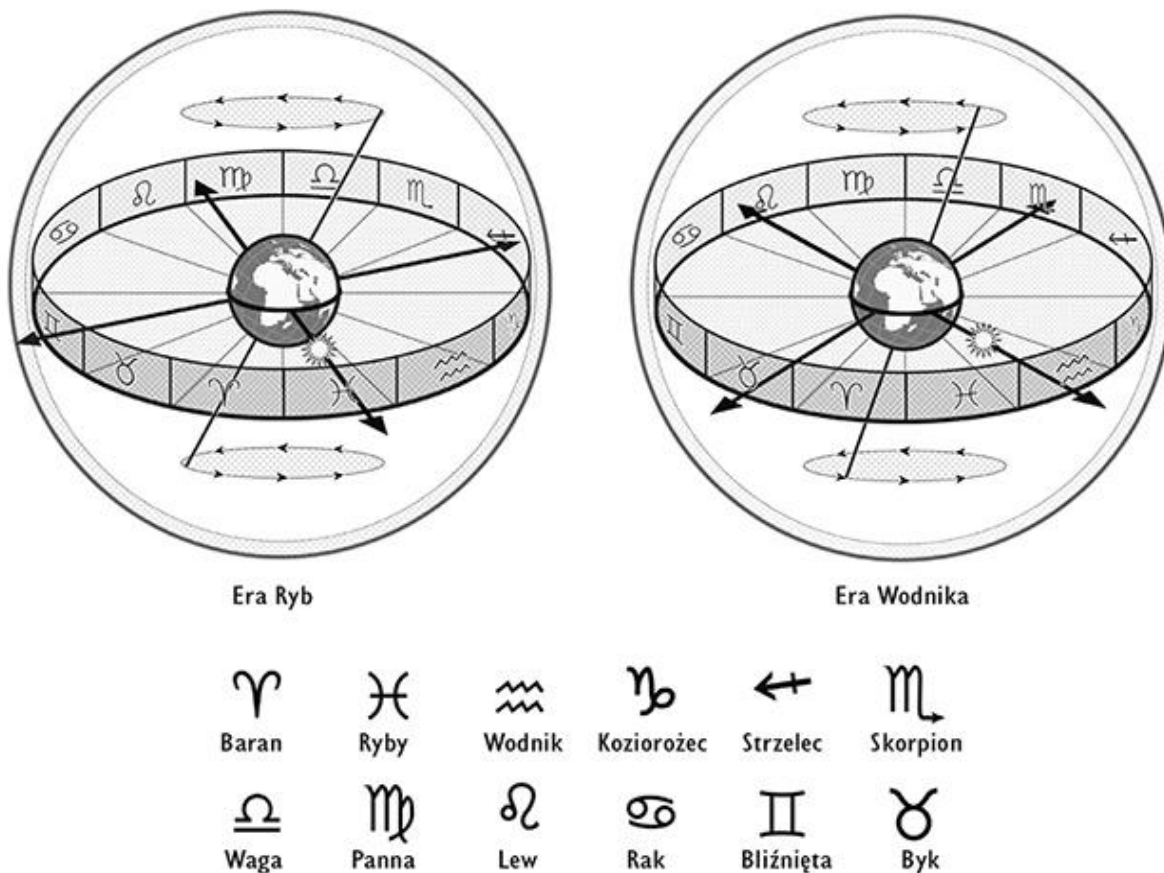
podobieństwa reliefu i przecięcia ekliptyki z równikiem galaktyki pośrodku Drogi Mlecznej, co wskazuje, że ludzie mogli znać i dokumentować precesję równonocy tysiące lat wcześniej, niż przypuszczają naukowcy... Göbekli Tepe zostało zbudowane jako symboliczna sfera przekazująca bardzo starożytną wiedzę o świecie i kosmicznej geografii. Dlaczego ta wiedza została po krótkim czasie celowo pogrzebana, pozostaje tajemnicą.

Nie od razu zrozumiałem wszystko, co pisał Burley, ale zrozumiałem dość, by się tym zainteresować, a na szczęście miałem w komputerze program astronomiczny – Stellarium – który pozwala tworzyć symulacje starożytnego nieba z uwzględnieniem precesji. Co ważniejsze, program ten może pokazać niebo w naszych czasach i przewijać dzień po dniu, miesiąc po miesiącu, do przodu i wstecz, powiększając i badając każdy element, który mnie zainteresuje. Najczęściej studiuję niebo w starożytności, a nie współczesne, ale tym razem musiałem przyjrzeć się gwiazdom w naszych czasach.

A właściwie nie dokładnie w moim czasie – w lipcu 2014 roku, kiedy siedziałem przed komputerem w hotelu w Şanlıurfa – lecz półtora roku wcześniej, w dniu zimowego przesilenia 21 grudnia 2012 roku, kiedy miał nastąpić tak nagłośniony w mediach koniec świata według słynnego kalendarza Majów.

Wiadomość na filarze?

Uruchamiając Stellarium, już coś wiedziałem. Kiedy Paul Burley mówi, że słońce przedstawione na filarze w Göbekli Tepe jest „tak blisko centrum galaktyki, jak może się znajdować na ekliptyce” i kiedy podkreśla, że ważny jest Skorpion, wiem, że może mieć na myśli tylko jedną epokę – około roku 2000, +/- najwyżej 40 lat (czyli między rokiem 1960 a 2040). Wielki pas gwiazd i obłoków międzygwiazdowego pyłu, który nazywamy Drogą Mleczną i który jest naszą galaktyką, dwa razy w ciągu roku przecina ekliptyka, czyli pozorna droga słońca na niebie. Jeden z tych punktów znajduje się na północy, między gwiazdozbiorami Bliźniąt i Byka; w naszych czasach słońce znajduje się w tym miejscu w dniu letniego przesilenia na półkuli północnej, czyli około 21 czerwca. Drugi jest na południu, między Strzelcem i Skorpionem, a w naszych czasach słońce znajduje się tutaj w dniu zimowego przesilenia na półkuli północnej, czyli około 21 grudnia.

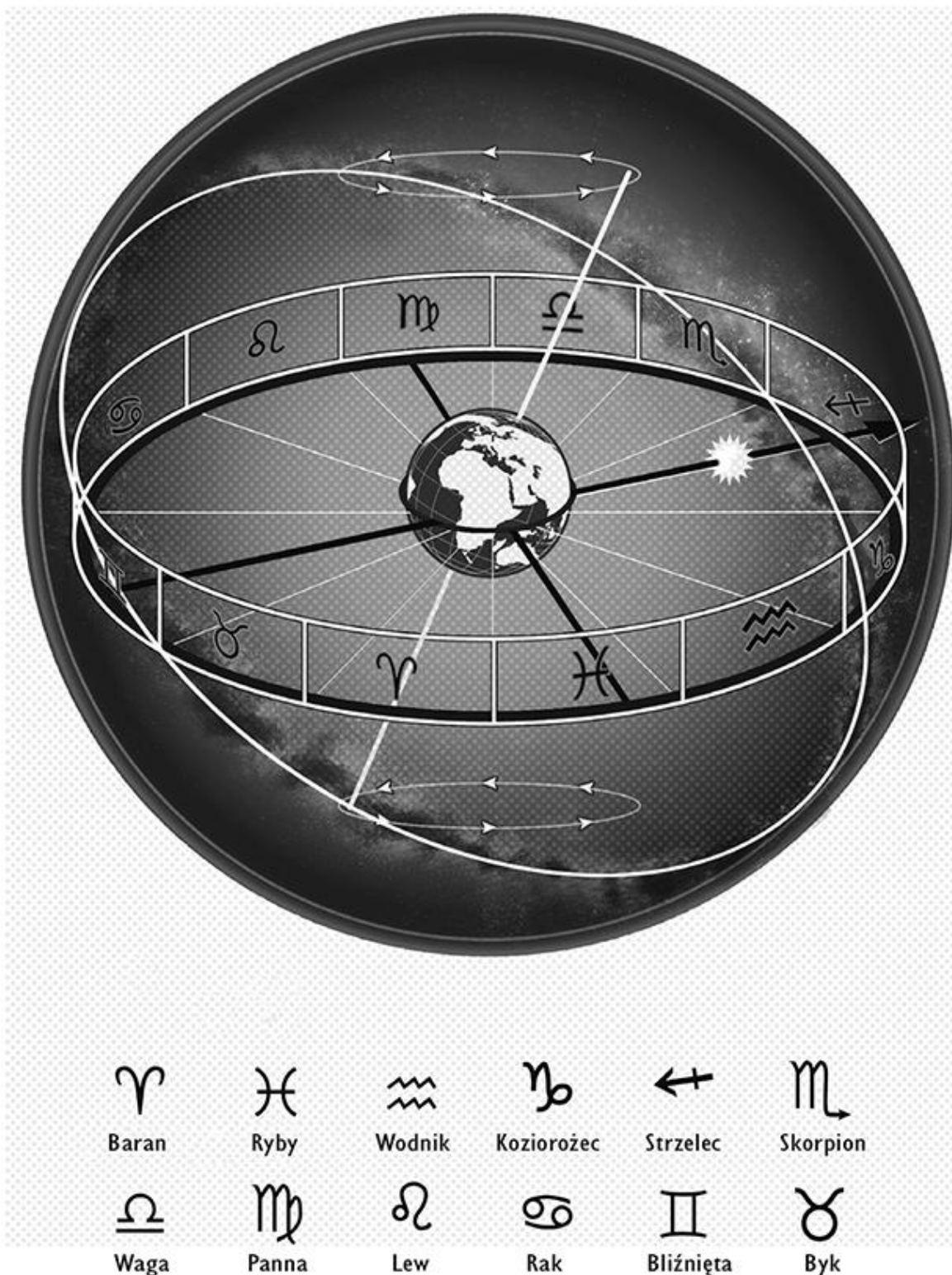


Il. 47. Precesyjne przejście z Ery Ryb do Ery Wodnika. Kiedy położenie słońca na tle konstelacji zodiaku w dniu wiosennej równonocy zmienia się z Ryb na Wodnika, również punkt letniego przesilenia przesunie się z Bliźnięt w Byka, punkt jesiennej równonocy z Panny w Lwa, a punkt letniego przesilenia ze Strzelca w Skorpiona.

Jak czytelnicy zapewne pamiętają, wizualnym efektem precesji, widocznym z Ziemi, jest powolna zmiana konstelacji, które „goszczą” słońce w czterech kluczowych momentach roku; punkty te przesuwają się wzdłuż pasa zodiaku i słońce „spędza” w każdym znaku 2160 lat. Kiedy zmienia się znak, w którym słońce przebywa w równonocy, to samo dzieje się z trzema pozostałymi „stanowiskami”. Możemy sobie wyobrazić koło – przedstawiające ekliptykę, czyli drogę słońca w ciągu roku – i zaznaczmy na jego obwodzie, w równych odstępach, 12 konstelacji zodiaku. Teraz umieśćmy cztery szprychy, ustawione tak, żeby tworzyły krzyż wewnątrz koła. Tam, gdzie końce krzyża dotykają obwodu koła, są kluczowe pozycje słońca – wiosenna równonoc (na półkuli północnej 21 marca), letnie przesilenie (21 czerwca), jesienna równonoc (21

września) i zimowe przesilenie (21 grudnia). W naszej epoce konstelacjami goszczącymi te cztery pozycje są Ryby w marcu, Bliźnięta w czerwcu, Panna we wrześniu i Strzelec w grudniu.

Ale precesja powoduje, że szprychy bardzo powoli obracają się wewnątrz koła. Obecnie zbliżamy się do końca „Ery Ryb” (czyli trwającego 2160 lat okresu, kiedy konstelacja Ryb gości słońce w dniu wiosennej równonocy) i koniec szprychy, która dotykała Ryb przesunie się wkrótce na Wodnika. Ale ponieważ ramiona krzyża są połączone, wszystkie cztery szprychy poruszają się równocześnie i kiedy marcowa równonoc przesuwa się z Ryb w Wodnika, czerwcowe przesilenie przejdzie z Bliźniąt w Byka, wrześniowa równonoc z Panny w Lwa, a grudniowe przesilenie ze Strzelca w Skorpiona.



Il. 48. Niebiańskie bramy: Strzelec/Skorpion po prawej (słońce obecnie znajduje się w Strzelcu w dniu zimowego przesilenia) i Bliźnięta/Byk po lewej (słońce obecnie znajduje się w Bliźniętach w dniu letniego przesilenia).

Na ile to możliwe, chciałbym uniknąć niepotrzebnych komplikacji, ale wróćmy do Drogi Mlecznej, którą droga słońca, jak pamiętamy, przecina dwa razy do roku. Pamiętajmy też, że każdego z tych punktów przecięcia strzegą po obu stronach Drogi Mlecznej pary konstelacji, tworzące odrzwia dwóch niebiańskich bram, przez które przechodzi niebiańska „droga” – Bliźnięta i Byk na północy (obecnie słońce znajduje się w Bliźniętach w dniu letniego przesilenia) oraz Strzelec i Skorpion na południu (obecnie słońce znajduje się w Strzelcu w dniu grudniowego przesilenia). Pozycja tych dwóch par konstelacji względem Drogi Mlecznej NIGDY SIĘ NIE ZMIENIA i precesja nie ma na nią żadnego wpływu. Bliźnięta i Byk zawsze będą tworzyć północną, a Strzelec i Skorpion południową „bramę” Drogi Mlecznej.

Z tych dwóch bram ważniejsza jest południowa, utworzona przez Strzelca i Skorpiona, ponieważ część Drogi Mlecznej widoczna przez nią, kiedy patrzymy na nocne niebo, tworzy środek i serce naszej galaktyki. Co więcej, ponieważ jest to centrum galaktyki, pośrodku którego zdaniem astronomów znajduje się wielka czarna dziura – „supergęsty obiekt, z którego światło się nie wydostaje”⁵⁵ – dokładnie w tym obszarze widać wyraźne wybrzuszenie. Pośrodku tego tak zwanego centralnego zgrubienia galaktycznego znajduje się inny charakterystyczny element, który astronomowie nazywają „wielką szczeliną”; zajmuje ona ważne miejsce w wielu starożytnych mitologiach⁵⁶, a składa się z serii zazębiających się, nieprzezroczystych obłoków pyłowych.

W wyniku precesji słońce w dniu grudniowego przesilenia obecnie znajduje się w konstelacji Strzelca, a więc, widziane z ziemi, „celuje” w centrum galaktyki niczym muszka na lufie strzelby. Takie ustawienie Ziemi, Słońca w dniu grudniowego przesilenia i środka galaktyki w jednej linii ostatnio miało miejsce pełny precesyjny cykl 25 920 lat temu, a następnym razem wydarzy się dopiero za pełny precesyjny cykl 25 920 lat. Innymi słowy, żyjemy w szczególnym, wyjątkowym momencie – w kategoriach kosmicznej i astronomicznej symboliki. Symboliką zajmę się dokładniej w następnym rozdziale, podobnie jak tym, dlaczego szczególnie ważne jest grudniowe przesilenie. Wcześniej jednak musimy wyjaśnić jeszcze jedno.

Jeśli – hipotetycznie – jakaś starożytna cywilizacja chciała zastosować swoją wiedzę o regularnych ruchach i zmianach zachodzących na niebie, aby zwrócić czyjąś uwagę na konkretny moment, co rozważaliśmy w przypadku piramid w Gizie, to precesyjne epoki świata są wprawdzie użyteczne, ale nie dość precyzyjne, by wskazać dokładną datę. Jak pamiętamy, ogólne konfiguracje każdej precesyjnej epoki obowiązują przez 2160 lat. Jeżeli zależy nam na większej precyzji, musimy znaleźć w interesującym nas okresie zjawisko na

niebie, które: a) jest wynikiem precesji; b) trwa znacznie krócej niż pełna precesyjna epoka licząca 2160 lat.

Takie zjawisko występuje w naszych czasach. Jest nim pojawienie się słońca w dniu grudniowego przesilenia w południowej bramie Drogi Mlecznej, między Strzelcem a Skorpionem, gdzie celuje w centrum galaktyki. Są tu pewne niedokładności, wynikające przede wszystkim z szerokości tarczy słonecznej i z tego, jak długo Słońce widziane z Ziemi celuje w środek galaktyki, ale na pewno nie chodzi o okres 2160 lat. Zjawisko to trwa nie dłużej niż 80 lat, a my będziemy mogli je oglądać jeszcze przez 25 lat.

To stawia w bardzo interesującym świetle wiadomość zakodowaną na Filarze 43 w Göbekli Tepe, ponieważ jeśli Paul Burley ma rację, to reliefy na filarze w symboliczny sposób przedstawiają słońce w dniu grudniowego przesilenia, w południowej bramie Drogi Mlecznej, między Strzelcem a Skorpionem.

Innymi słowy, reliefy te mówią o naszych czasach.

Mówią do nas.

15. MIEJSCE STWORZENIA

Kiedy siedziałem w moim pokoju hotelowym w Şanlıurfiie w lipcu 2014 roku, oglądając niebo na ekranie komputera, utwierdzałem się w przekonaniu, że spostrzeżenie Paula Burleya dotyczące sceny na Filarze 43 w Göbekli Tepe było genialne. Burley w swoim artykule wyraża się w sposób bardzo ostrożny, wręcz nieśmiały. Jak pamiętamy z rozdziału czternastego, „Słońce wydaje się usytuowane dokładnie na ekliptyce w odniesieniu do znanej nam konstelacji Skorpiona”. Mówi też o innych „znajomych konstelacjach” w pobliżu. I zwraca nam uwagę na dużego ptaka – sępa, który „wydaje się trzymać słońce pod rozpostartym skrzydłem”. Nie wspomina, z jaką konstelacją identyfikuje wizerunek sępa, ale rysunek, który zamieszcza dla zilustrowania swojej tezy, nie pozostawia wątpliwości, że uważa go za starożytne wyobrażenie gwiazdozbioru Strzelca¹.

Wiemy już, że są dowody na to, że konstelacje były rozpoznawane w epoce lodowcowej, a niektóre z nich już w tak zamierzchłej przeszłości przedstawiano w formie rozpoznawalnej nawet dzisiaj. W poprzednim rozdziale pisałem o badaniach Micheala Rappenglucka nad konstelacją Byka, przedstawionego w Lascaux około 17 000 lat temu jako tur, z sześcioma gwiazdami Plejad na barkach.

Taka zaskakująca ciągłość w przedstawianiu niektórych konstelacji nie oznacza jednak, że wszystkie gwiazdozbiory, które znamy dzisiaj, były wyobrażane w ten sam sposób we wszystkich kulturach i we wszystkich okresach historii. Nic bardziej mylnego. Konstelacje podlegały, czasem radykalnym, zmianom, zależnie od tego, jakie figury różne kultury chciały zobaczyć na niebie. Na przykład głowę mezopotamskiej konstelacji Byka Niebios, podobnie jak dzisiejszego gwiazdozbioru Byka, tworzyła gromada Hiad, ale poza tym wyglądały one zupełnie inaczej². Podobnie mezopotamska konstelacja Łuku i Strzały składała się z gwiazd należących dziś do gwiazdozbiorów Argo i Małego Psa, zaś grot strzały tworzył Syriusz. Również Chińczycy mają konstelację Łuku i Strzały, złożoną z mniej więcej tych

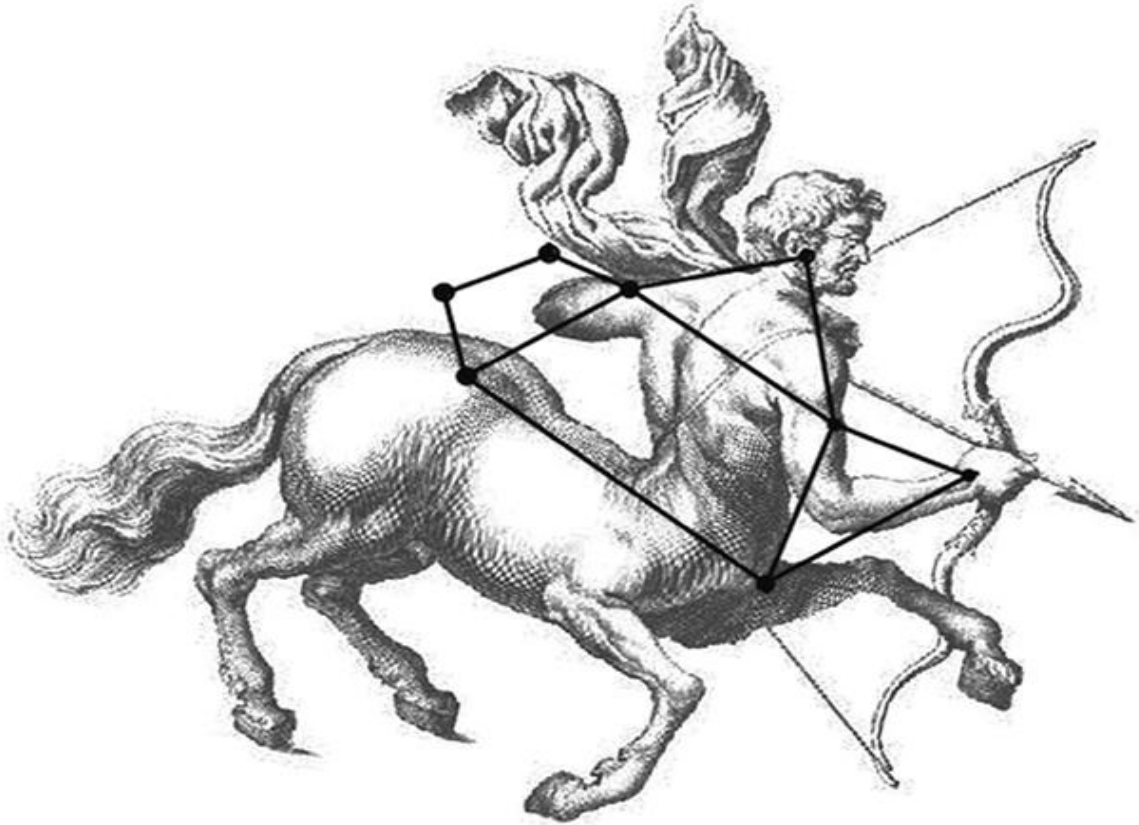
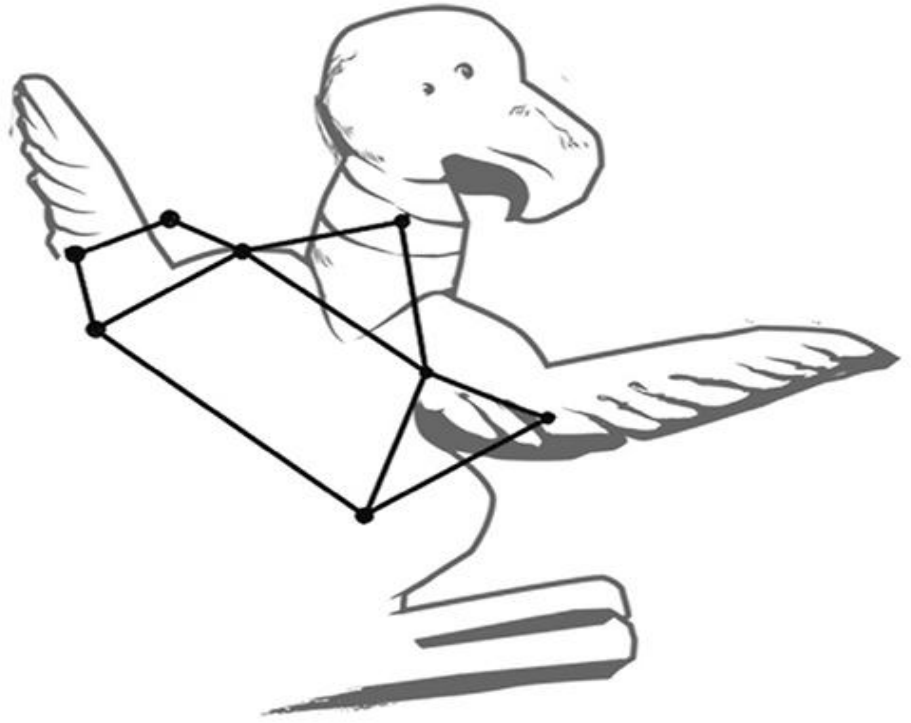
samych gwiazd, ale chińska strzała jest krótsza, a Syriusz jest nie grotem, lecz celem³.

Nawet jeśli granice konstelacji są takie same w różnych kulturach, mogą one być widziane zupełnie inaczej. Na przykład starożytni Egipcjanie znali konstelację, którą dziś nazywamy Wielką Niedźwiedzicą, ale widzieli w niej nogę byka. Małą Niedźwiedzicę (Ursa Minor) widzieli jako szakala, zaś Raka jako skarabeusza. Gwiazdozbiór Smoka starożytni Egipcjanie przedstawiali jako hipopotama z krokodylem na grzbiecie⁴.

Zatem nie można wykluczyć, że w konstelacji, którą my nazywamy Strzelcem i przedstawiamy jako centaura, pół konia, pół człowieka, trzymającego łuk ze strzałą, budowniczo wie Göbekli Tepe widzieli sępa z rozpostartymi skrzydłami.

Spędziłem całe godziny przy Stellarium, przełączając się między obrazem nieba w 9600 roku p.n.e. i w naszych czasach, skupiając się na okolicy między Strzelcem i Skorpionem – który zdaniem Burleya został przedstawiony na Filarze 43 – i szukając powiązań między słońcem a tymi konstelacjami.

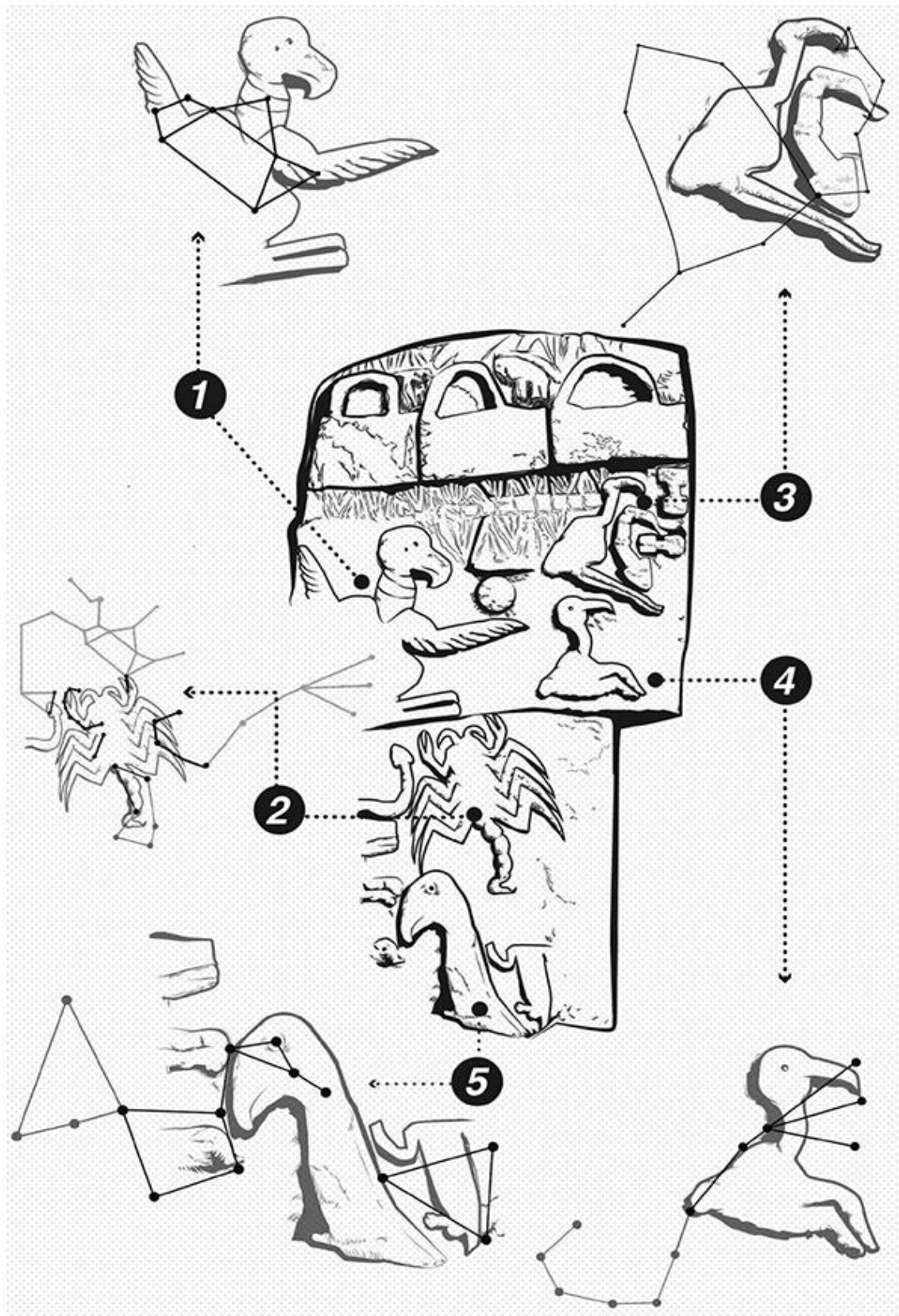
Pierwsza rzecz, jaką sobie uświadomiłem, to to, że sęp z rozpostartymi skrzydłami jest bardzo dobrym wyobrażeniem konstelacji Strzelca; prawdę mówiąc, jest znacznie lepszym, bardziej intuicyjnym i oczywistym sposobem wyobrażenia centralnej grupy gwiazd tej konstelacji niż postać centaura, którą odziedziczyliśmy po mieszkańcach Mezopotamii i Grekach. Ta centralna część Strzelca (bez nóg i ogona centaura) obejmuje jego najjaśniejsze gwiazdy i tworzy łatwo rozpoznawalny układ, często nazywany dzisiaj przez astronomów „Imbrykiem”, ponieważ przypomina współczesny imbryk z uchem, pokrywką i dziobkiem. Ucho i dziobek można jednak równie dobrze narysować jako rozpostarte skrzydła sępa, a szpiczasta „pokrywka” staje się wtedy szyją i głową ptaka. To właśnie wyprostowane skrzydło z przodu sępa – dziobek imbryka – zdaniem Burleya „podtrzymuje” słońce przedstawione jako dysk pośrodku sceny na Filarze 43.



Il. 49. Sęp jest znacznie lepszym, bardziej intuicyjnym i oczywistym, niż centaur z łukiem, sposobem wyobrażenia centralnej, jasnej grupy gwiazd, „Imbryka” wchodzącego w skład konstelacji Strzelca.

Ale sęp i słońce to tylko dwa elementy złożonej ikonografii filaru. Poniżej, nieco na prawo od sępa, wyrzeźbiono skorpiona. Powyżej, na prawo od sępa, znajduje się drugi ptak o długim, sierpowatym dziobie, a tuż obok niego wąż o dużej, trójkątnej głowie i ciele wygiętym w łuk. Trzeci ptak, również z zagiętym dziobem, ale mniejszy, wyglądający jak kurczak, widnieje poniżej tych dwóch – również na prawo od sępa, tuż obok jego uniesionego skrzydła. Pod skorpionem widać głowę i długą szyję czwartego ptaka. Obok skorpiona ku górze kieruje się jeszcze jeden wąż.

Moje przekonanie o słuszności wniosków Burleya, choć on sam niewiele o tym pisze w swoim artykule, wynika po części z tego, że te figury, po jedynie niewielkich korektach, są intrygująco zgodne z innymi konstelacjami wokół rzekomej postaci Strzelca/sępa.



Il. 50. Strzelec i sąsiednie konstelacje przedstawione na Filarze 43.

Przede wszystkim poniżej i nieco na prawo od sępa znajduje się skorpion, który w oczywisty sposób kojarzy się z gwiazdozbiorem Skorpiona, następującym w zodiaku tuż po Strzelcu. Jego położenie i pozycja się nie zgadzają – zajmiemy się tym za chwilę – ale jest tutaj i styka się z tylną częścią konstelacji, którą dziś znamy jako Skorpiona.

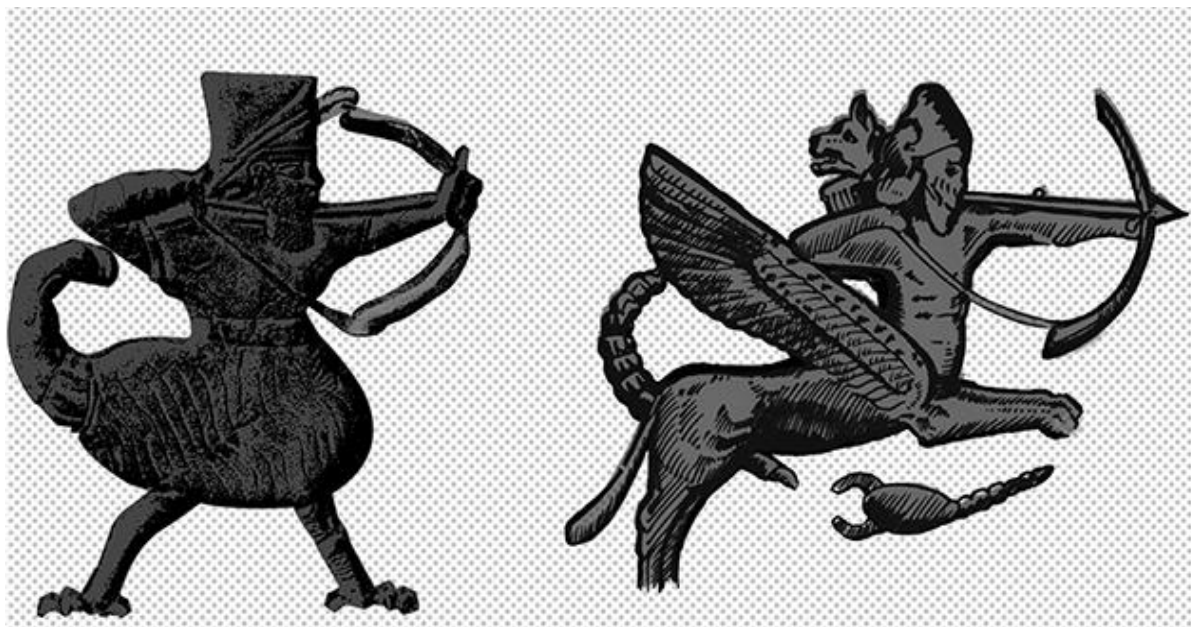
Po drugie, powyżej i na prawo od sępa przedstawiono dużego ptaka o wygiętym ciele, a obok niego węża. Pozycja i wzajemne ułożenie tych dwóch figur pozwalają rozpoznać w nich Wężownika i trzymanego przez niego Węża.

Po trzecie, tuż na prawo od wyciągniętego skrzydła wyrzeźbiono kolejnego ptaka – mniejszego, o wygiętym dziobie, podobnego do kurczaka. Napisałem do Burleya o tym, a także o odmiennym od konstelacji Skorpiona położeniu i orientacji skorpiona na filarze. W końcu, po wymianie kilku e-maili, znaleźliśmy wyjaśnienie. Jak pamiętamy, nie wszystkie kultury zakreślały w ten sam sposób granice konstelacji; najwyraźniej tutaj granice zostały z czasem przesunięte. Wydaje się, że w umysłach astronomów z Göbekli Tepe kurczak na Filarze 43 stanowił małą, samodzielną konstelację, złożoną z kilku gwiazd wchodzących dzisiaj w skład Skorpiona. Kształt i ułożenie dzioba i ciała tego ptaka pokrywają się z głową i szczypcami dzisiejszego Skorpiona⁵.

Po czwarte, na Filarze 43 obok skorpiona znajduje się wąż, a obok niego głowa i szyja kolejnego ptaka, zaś na prawo od niego bezgłowa antropomorficzna postać. Wąż odpowiada ogonowi Strzelca (jak pamiętamy, sęp obejmuje tylko centralną część tej konstelacji, tak zwany Imbryk, więc pozostałe gwiazdy starożytni mogli wykorzystać w inny sposób). Najbardziej prawdopodobnym kandydatem do identyfikacji z tym ptakiem i małą ludzką postacią bez głowy wydają się współczesne konstelacje Pawia i Trójkąta Południowego. Pozostała część Pawia mogła wchodzić w skład dalszych figur widocznych na filarze na lewo od ptaka.

Podobnie jak w przypadku Strzelca, elementy dzisiejszej konstelacji Skorpiona zostały podzielone między starożytne gwiazdozbiory przedstawione na Filarze 43. Tylko ogon naszego skorpiona znajduje się w miejscu odpowiadającym skorpionowi na filarze, a jego głowa jest skierowana w prawo, podczas gdy głowa skorpiona na filarze – w lewo. Skorpion na filarze znajduje się poniżej sępa, natomiast współczesny Skorpion to bardzo duża konstelacja na prawo od Strzelca. Moim zdaniem wyjaśnienie tego problemu jest takie, że skorpion na Filarze 43 składa się z ogona współczesnej konstelacji Skorpiona (prawe odnóża skorpiona na filarze), niewykorzystanej części Strzelca (prawe szczypce skorpiona na filarze) oraz gwiazdozbiorów znanych dzisiaj jako Ołtarz, Teleskop i Korona Południowa (odpowiednio ogon, lewe odnóża i lewe szczypce skorpiona na filarze). Natomiast, jak

wspomniałem przed chwilą, szczytce i głowa współczesnego Skorpiona utworzyły kurczaka z wygiętym dziobem na Filarze 43.

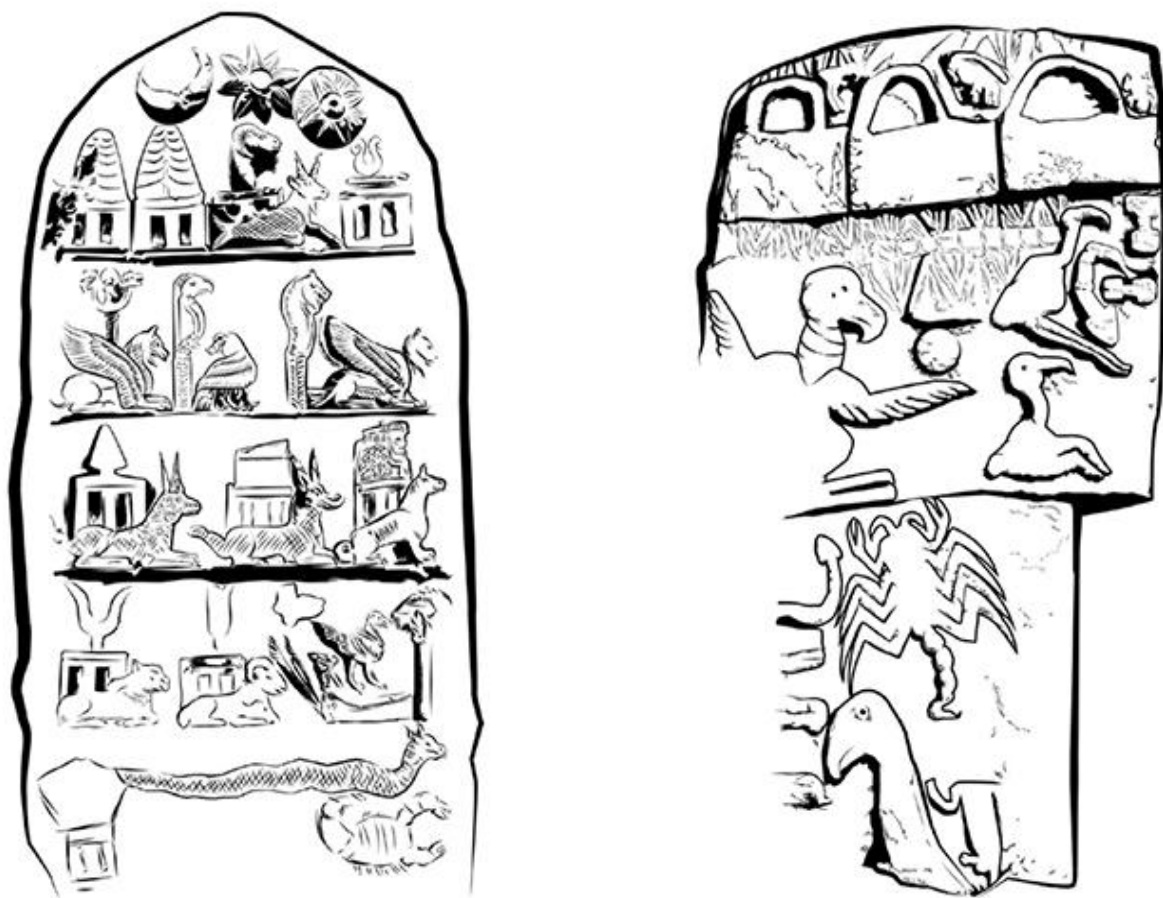


Il. 51. Postacie Strzelca, człowieka skorpiona, na babilońskich kamieniach *kudurru* (po lewej) często miały ptasie nogi, co przemawia na korzyść identyfikacji sępa na Filarze 43 ze Strzelcem. Na innych mezopotamskich przedstawieniach można zobaczyć drugiego skorpiona poniżej Strzelca, ukazanego w pozycji podobnej do skorpiona na Filarze 43.

Cały problem zależności między współczesnymi konstelacjami Skorpiona i Strzelca a figurami skorpiona i sępa przedstawionymi na Filarze 43 nabiera zupełnie nowego znaczenia, kiedy przypomnimy sobie, że na niektórych starożytnych schematach astronomicznych Strzelec nie jest przedstawiony jako centaur – człowiek koń – lecz jako hybryda człowieka i konia z ogonem skorpiona, a czasem po prostu jako połączenie człowieka ze skorpionem⁶. Na babilońskich kamieniach *kudurru* (często nazywanych kamieniami granicznymi, chociaż możliwe, że błędnie interpretujemy ich funkcję⁷) można zobaczyć postać człowieka skorpiona naciągającego łuk, którą „powszechnie identyfikuje się ze Strzelcem”⁸. Dodatkowo potwierdza identyfikację Strzelca z sępem na Filarze 43, że takie postacie człowieka skorpiona na kamieniach *kudurru* często mają ptasie nogi⁹. Co więcej, na niektórych przedstawieniach poniżej tułowia Strzelca¹⁰ – czyli grupy gwiazd tworzących Imbryk –

wyobrażono drugiego skorpiona, przypominającego skorpiona na Filarze 43 (patrz il. 50 i 51).

Wszystkich tych zbieżności jest – moim zdaniem – stanowczo zbyt wiele, by można je było uznać wyłącznie za zbieg okoliczności. Można stąd wywnioskować, że sposób przedstawiania pewnych konstelacji zastosowany w Göbekli Tepe prawie 12 000 lat temu – łącznie z tym, że gdzieś w tej części nieba powinien się znajdować skorpion – był przekazywany z pokolenia na pokolenie, ulegając z czasem pewnym zmianom, lecz nawet po tysiącach lat dający się rozpoznać, choćby w babilońskiej ikonografii. Ale biorąc pod uwagę bliskie związki między starożytną Mezopotamią, jej przedpotopowymi miastami, Siedmioma Mędrcami i ocalałymi z Potopu, których arka wylądowała niedaleko Göbekli Tepe, może wcale nie powinno nas to dziwić.



Il. 52. Astronom Giulio Magli zauważył, że „torby” w górnym rejestrze Filaru 43 w Göbekli Tepe (po prawej) przypominają „domy na niebie” znane z późniejszych babilońskich *kudurru* (po lewej).

Na koniec mamy trzy tajemnicze „torby” lub „wiadra” w górnej części Filaru 43, które zwróciły moją uwagę już przy pierwszej wizycie w Göbekli Tepe i o których pisałem w rozdziale pierwszym. Astronom Giulio Magli zauważył:

Te trzy torby są bardzo podobne do trzech „domów na niebie” widocznych na znacznie późniejszych babilońskich *kudurru*¹¹.

Wspomniane przez Magliego „domy na niebie” są symbolami mezopotamskich bóstw, przede wszystkim Enlila, który zesłał Potop, żeby zgładzić ludzkość, oraz Enki – boga mądrości, który interweniował, żeby nas ocalić¹². Czytelnicy zapewne pamiętają z rozdziału ósmego, że to właśnie Enki ostrzegł patriarchę Ziusudrę przed nadejściem kataklizmu i namówił go do zbudowania arki, która ostatecznie zniosła ocalałych w okolice Araratu, niedaleko Göbekli Tepe. Trudno nie dojść do wniosku, że wszystkie te wspólne wątki w ikonografii Mezopotamii w I tysiącleciu p.n.e. i w Göbekli Tepe w X tysiącleciu p.n.e. mają swoje źródło w znacznie wcześniejszej, przedpotopowej cywilizacji, od której wywodziły się obie te kultury – a być może również wiele innych na całym świecie – i która zadbała, za pośrednictwem starannie skonstruowanych mitów i nauk przekazywanych z pokolenia na pokolenie przez wtajemniczonych mędrców, aby pamięć o niej nie zaginęła.

Majowie

Późno w nocy, gdy rozmyślałem o tym wszystkim w hotelu w Şanlıurfi, nabierałem coraz mocniejszego przekonania co do słuszności wniosków Burleya. Biorąc pod uwagę cały kontekst, sęp podtrzymujący słońce na wyciągniętym skrzydle rzeczywiście wygląda jak starożytne wyobrażenie konstelacji, która odpowiada Imbrykowi gwiazdozbioru Strzelca.

Tak dochodzimy do następnej części tej zagadki: kiedy sęp/Strzelec „podtrzymuje” słońce? Zdaniem Burleya moment przedstawiony na Filarze 43 należał jeszcze do odległej przyszłości, kiedy budowano Göbekli Tepe – do przyszłości odległej o 11 600 lat, czyli do naszych czasów, około 2012 roku. Doszedł on do tego wniosku, ponieważ tylko w naszej epoce, a mówiąc dokładniej w 80-letnim „oknie” od 1960 do 2040 roku, w dniu zimowego przesilenia, 21 grudnia, słońce nie tylko znajduje się ponad uniesionym skrzydłem ptaka (czyli dziobkiem imbryka), ale również celuje w „centralne grubienie” i Wielką Szczelinę pośrodku Drogi Mlecznej. A więc

rzeczywiście, na Filarze 43 zostało przedstawione naprawdę znaczące zjawisko astronomiczne.

Bardzo znaczące, jak się okazuje, ponieważ dokładnie na to samo 80-letnie „okno” (w którym rok 2012 wypada krótko po połowie) wskazuje sławny – a może słuszniej byłoby powiedzieć „osławiony” – kalendarz Majów. Wiele bzdur powiedziano na temat tego kalendarza, a zwłaszcza na temat daty 21 grudnia 2012 roku, którą wiele osób uznało za absolutnie precyzyjną, podczas gdy w rzeczywistości jest ona tylko orientacyjna.

Żeby zrozumieć tę tajemnicę, potrzebna jest tylko astronomia – i to astronomia oparta na obserwacjach gołym okiem; nie mówimy tu o użyciu radioteleskopów ani o astrofizyce. Jeśli chodzi o astronomię starożytnych Majów, uczeni zajmujący się tym tematem, wśród których nie ma wybitniejszej postaci niż John Major Jenkins, już na długo przed 2012 rokiem starali się nam wyjaśnić, że końcowa data kalendarza Majów jest oparta na zdarzającej się raz na 26 000 lat koniunkcji Słońca w zimowym przesileniu z centrum galaktyki, czyli z Wielką Szczeliną i „centralnym zgrubieniem” Drogi Mlecznej. Ze względu na szerokość tarczy słonecznej i ograniczenia obserwacji prowadzonych bez sprzętu optycznego nie da się ustalić daty tej koniunkcji z dokładnością większą niż 80 lat, obejmujących lata 1960–2040.

W wyniku precesji słońce w zimowym przesileniu przesuwało się powoli w kierunku koniunkcji z centrum galaktyki przez tysiące lat przed 2012 rokiem, co John Major Jenkins wyraźnie opisał w swoich książkach, począwszy co najmniej od *Maya Cosmogenesis* [Kosmogenezys Majów] opublikowanej w 1998 roku. Schematy, które przedstawił swoim czytelnikom, pokazywały trasę słońca w zimowym przesileniu od 3000 roku p.n.e., kiedy znajdowało się 70 stopni od punktu przecięcia Wielkiej Szczeliny ze Strzelcem, przez przełom er, kiedy zdążyło odbyć połowę pozostałej mu odległości, i nasze czasy, kiedy jest najbliżej Wielkiej Szczeliny, aż do 5000 roku n.e., gdy znajdzie się 70 stopni za Wielką Szczeliną¹³.

Co więcej, Jenkins szczegółowo udokumentował, dlaczego koniunkcja słońca w zimowym przesileniu z Wielką Szczeliną i centralnym zgrubieniem Drogi Mlecznej była ważnym zjawiskiem w kosmologii Majów – ponieważ uważali oni tę część nieba za „miejsce stworzenia”, a centralne zgrubienie za „łono lub miejsce narodzin nieba”:

Majowie uważali to gęste, jasne zgrubienie za centrum kosmosu i miejsce stworzenia, co było oparte wyłącznie na obserwacjach gołym okiem, które są zaskakująco bliskie prawdzie: środek naszej galaktyki o kształcie spodka znajduje się rzeczywiście w obrębie tej jasnej i szerokiej części Drogi Mlecznej... tego supergęstego regionu, z którego rozlała się Droga Mleczna i wszystko w jej obrębie, włącznie z nami¹⁴.

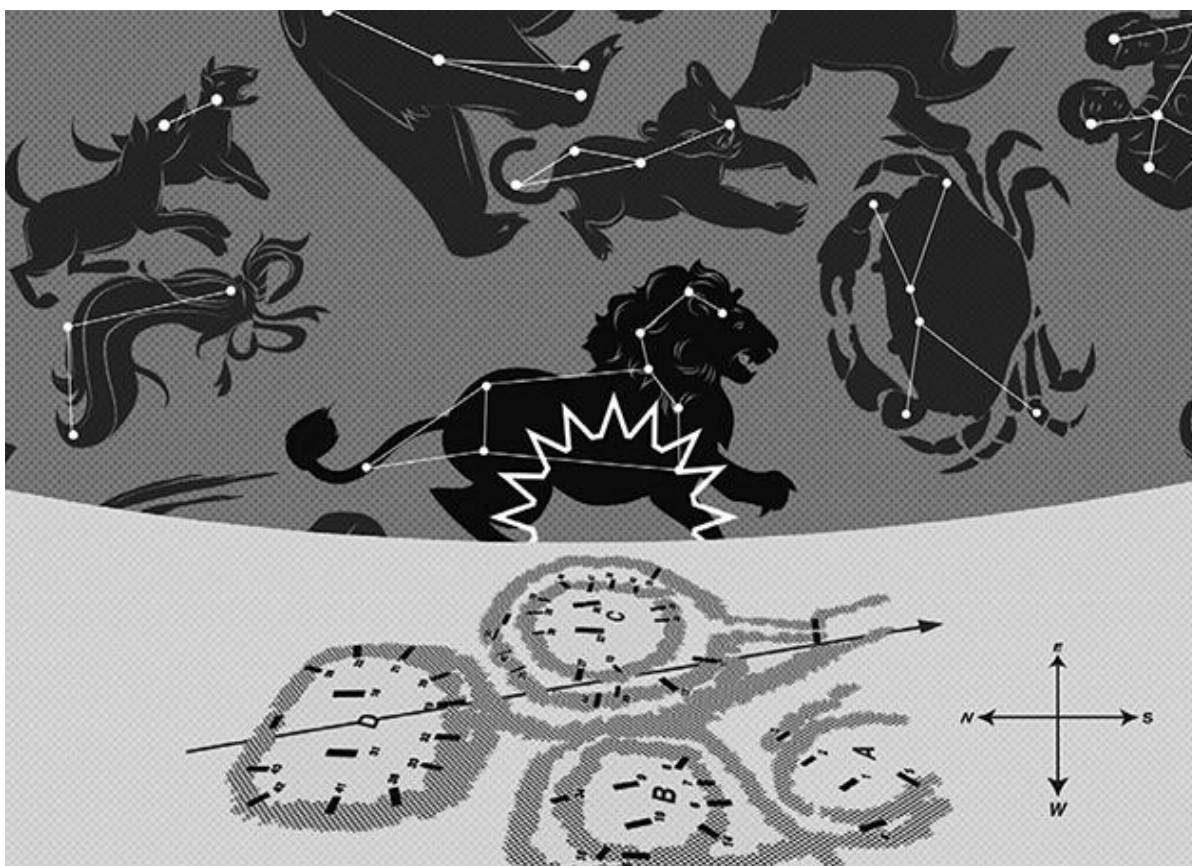
Nie zamierzam zagłębiać się tu bardziej w tajemnicę kalendarza Majów, choćby dlatego, że pisałem o tym dość obszernie w *Śladach palców bogów*¹⁵. Jednak od opublikowania *Śladów* w 1995 roku, lepiej zrozumiałem wiele spraw i chciałbym podkreślić, że wskazując dekady w okolicy 2012 roku jako koniec wielkiego cyklu, Majowie nie mówili o końcu świata, lecz raczej o końcu pewnej epoki – „czasie wielkiej przemiany i odrodzenia świata”¹⁶ – po którym zacznie się nowy wielki cykl, czyli epoka świata. Według majańskiej wizji świata jest to właśnie burzliwy i niebezpieczny czas przemian, w którym żyjemy. Tym bardziej dziwne – wręcz nieco niesamowite – jest to, że znajdujemy solarne i astronomiczne współrzędne tego samego „okna” w latach 1960–2040, które Majowie wskazywali jako punkt zwrotny w dziejach ludzkości, zakodowane także w reliefie na filarze sprzed 12 000 lat w tureckim Göbekli Tepe.

Eliminowanie niemożliwego

Chcę mieć pewność, że słusznie odczytuję przepowiednię, czy też prorocstwo, przesłanie skierowane właśnie do nas, a zapisane w reliefach na Filarze 43. Zanim zacznę się zastanawiać, czego to przesłanie może dotyczyć, pierwszym krokiem jest sprawdzenie, czy odkrycie Paula Burleya ma solidne podstawy.

Przekonała mnie już dokonana przez Burleya identyfikacja Strzelca z sępem, a dysku nad skrzydłem ptaka ze słońcem. Ogólny kontekst otaczających go konstelacji również pasuje doskonale. Ale czy jest możliwe, że reliefy na filarze rzeczywiście przedstawiają koniunkcję słońca ze Strzelcem i środkiem Drogi Mlecznej w jakimś innym dniu niż zimowe przesilenie między 1960 a 2040 rokiem?

Oczywiście ustawienie punktu zimowego przesilenia w linii prostej zdarza się raz na 24 000 lat, więc w 24 000 roku p.n.e. słońce było widoczne w Strzelcu i celowało w środek galaktyki, tak samo jak dzisiaj, i taka sama konfiguracja powtórzy się za kolejne 26 000 lat, czyli w 28 000 roku n.e. Nie można wykluczyć, że takie hipotetyczne przesłanie dotyczy którejś z tych odległych dat.



Il. 53. Wschód słońca w dniu wiosennej równonocy w Göbekli Tepe około 9600 p.n.e.



Il. 54. Wschód słońca w dniu jesiennej równonocy w Göbekli Tepe około 9600 p.n.e.

Jedak to intrygujące, że zupełnie inna kultura – starożytni Majowie – przy użyciu tego samego systemu współrzędnych sformułowali inne przesłanie, które wskazuje dokładnie na lata między 1960 a 2040 n.e.

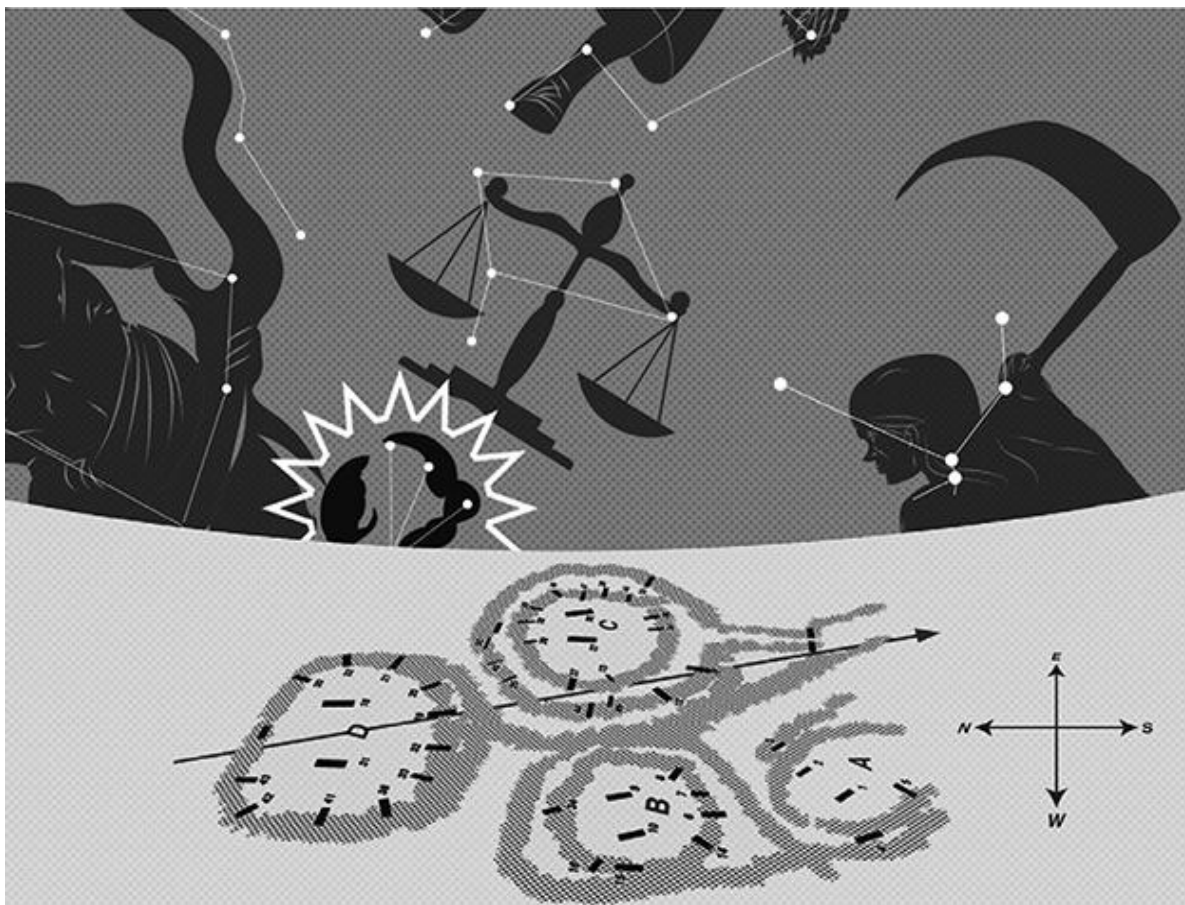
Tymczasem w Göbekli Tepe musimy wziąć pod uwagę trzy inne ważne momenty w roku – letnie przesilenie oraz dwie równonocy. Czy istniała jakaś korelacja Strzelca ze środkiem galaktyki w którymś z tych trzech „stanowisk słońca” około 9600 roku p.n.e., kiedy powstało Göbekli Tepe?

Z moich badań nad starożytnym Egipsem wiem, że słońce było w znaku Lwa w dniu wiosennej równonocy w 10 800 roku p.n.e. Siedząc przed komputerem, w ciągu kilku chwil mogłem potwierdzić, że tak samo było 1200 lat później; w 9600 roku p.n.e. słońce w dniu równonocy nadal znajdowało się w znaku Lwa, a więc w takim punkcie ekliptyki, który był daleki od jakiejkolwiek korelacji ze środkiem galaktyki. A zatem możemy bezpiecznie wykluczyć wiosenną równonoc, przynajmniej w tej epoce.

Podobnie jest z jesienną równonocą 9600 roku p.n.e. Ponieważ słońce było wtedy w konstelacji Wodnika i również daleko od środka galaktyki, wykluczam i tę datę.



Il. 55. Wschód słońca w dniu zimowego przesilenia w Göbekli Tepe około 9600 p.n.e.



Il. 56. Wschód słońca w dniu letniego przesilenia w Göbekli Tepe około 9600 p.n.e.

Co więcej, kiedy przypominałem sobie orientację wszystkich okręgów w Göbekli Tepe, uświadomiłem sobie, że mogę wykluczyć równonocę we wszystkich epokach, ponieważ cztery główne okręgi – A, B, C i D (a pamiętajmy, że Filar 43 należy do Okręgu D) – mają bardzo wyraźną orientację północny zachód–południowy wschód¹⁷. Żaden z nich nie jest zorientowany nawet w przybliżeniu na wschód, gdzie słońce wschodzi w dniu równonocy, ani na zachód, gdzie zachodzi. Gdyby budowniczy Göbekli Tepe chcieli za pomocą symbolicznych przedstawień, jak na Filarze 43, zwrócić naszą uwagę na którąś z równonocy, to ich pierwszym krokiem powinno być danie nam oczywistej wskazówki przez zorientowanie obiektów w linii wschód–zachód. Ponieważ tego nie zrobili, możemy bezpiecznie założyć, że nie chodziło im o punkty równonocy.

Zostają nam więc przesilenia. W dniu zimowego przesilenia słońce wschodzi na południe od wschodu, a zachodzi na południe od zachodu. W dniu

letniego przesilenia wschodzi na północ od wschodu, a zachodzi na północ od zachodu. Zatem teoretycznie kierunek wschodu słońca w dniu zimowego przesilenia (na południe od wschodu) i zachodu w dniu letniego przesilenia (na północ od zachodu) można powiązać z orientacją Göbekli Tepe w linii północny zachód–południowy wschód.

Jak pamiętamy, w dniu letniego przesilenia 9600 roku p.n.e. nie zachodziła korelacja słońca, Strzelca i środka galaktyki, ponieważ ma ona miejsce tylko w naszej epoce, w 24 000 roku p.n.e. i w 28 000 roku n.e. W dniu zimowego przesilenia 9600 roku p.n.e. słońce znajdowało się w znaku Byka i daleko od korelacji ze środkiem galaktyki. Pozycję wschodu słońca w dniu letniego przesilenia, na północ od wschodu, także można wykluczyć, nie tylko dla 9600 roku p.n.e., ale dla wszystkich epok, biorąc pod uwagę dominującą na stanowisku orientację południowy wschód–północny zachód.

Zatem w drodze eliminacji została nam tylko jedna możliwa konfiguracja, która mogła działać w 9600 roku p.n.e., a jest nią zachód słońca w dniu letniego przesilenia, na północ od zachodu, która nie jest sprzeczna z ogólną orientacją Göbekli Tepe w linii południowy wschód–północny zachód. Poza tym symulacje komputerowe wskazują, że w dniu letniego przesilenia około 9600 roku p.n.e. słońce było w konstelacji Skorpion i wprawdzie nie w jednej linii ze środkiem galaktyki (ponieważ minęło już Wielką Szczelinę i centralne zgrubienie), lecz wciąż stosunkowo blisko tego celu. Jak czytelnicy pamiętają, Skorpion i Strzelec znajdują się po obu stronach Wielkiej Szczeliny i centralnego zgrubienia, ale to w Strzelcu, nie w Skorpionie następuje dokładna korelacja ze środkiem galaktyki. Niemniej jednak mamy podstawy założyć, że zachód słońca w dniu letniego przesilenia około 9600 roku p.n.e. mógł być przedstawiony w reliefie na Filarze 43. Stosunkowo niewielki błąd popełniony przez kogoś, kto wyrzeźbił figury, teoretycznie tłumaczyłby rozbieżności.

Jest jednak pewien problem, którego najwyraźniej nie zauważył Andrew Collins, jego kolega Rodney Hale ani matematycy Alessandro de Lorenzis i Vincenzo Orofino, skoncentrowani na możliwych orientacjach na północny zachód, a zwłaszcza na punkt zachodu gwiazdy Deneb w konstelacji Łabędzia, o czym pisałem w poprzednim rozdziale. Deneb rzeczywiście zachodził około 9600 roku p.n.e. na północ od zachodu, w kierunku, na który jest zorientowany Okrąg D, ale taka orientacja, choć dość dokładna, jest czysto teoretyczna i nie mogła nigdy być obserwowana z Okręgu D, ponieważ jest on wbudowany w strome zbocze Tepe wznoszące się na północ od głównej grupy struktur. Z Okręgu D nie można było obserwować Deneba i z tego samego powodu nie było możliwe obserwowanie zachodu słońca w dniu letniego przesilenia. Słońce kryło się za wzgórzem około 20 minut wcześniej, nim rzeczywiście

zaszło, i żeby oglądać jego zachód, trzeba było wyjść z Okręgu D i wejść na szczyt wzniesienia.

Z tego powodu – i ponieważ słońce w Skorpionie, choć jest blisko, nie celuje w środek galaktyki – musimy wykluczyć orientację na zachód słońca w dniu letniego przesilenia.

„Skoro wyeliminowałeś niemożliwe – powiedział Sherlock Holmes, bohater Arthura Conan Doyle’a – to, co pozostało, jakkolwiek wydawałoby się nieprawdopodobne, musi być prawdą”. W drodze eliminacji ustaliliśmy, że Göbekli Tepe nie może kierować naszej uwagi na równonocę ani na letnie przesilenie, nawet w teoretycznie możliwym momencie zachodu słońca. W ten sposób zostaje nam tylko zimowe przesilenie, kiedy słońce w Strzelcu celuje w środek Mlecznej Drogi, co jest unikatowym zjawiskiem charakterystycznym okresu między 1960 a 2040 rokiem n.e. – zjawiskiem, które powtarza się raz na 26 000 lat. Jakkolwiek nieprawdopodobne może się to wydawać, musimy brać pod uwagę możliwość, że około 9600 roku p.n.e. budowniczości Göbekli Tepe mieli już tak zaawansowaną wiedzę o abstrakcyjnym zjawisku precesji, że umieli obliczać jego efekty tysiące lat wstecz i naprzód, aby nakreślić dokładny symboliczny obraz koniunkcji Strzelca w zimowym przesileniu.

Jeżeli to przypuszczenie jest słuszne, to powinniśmy sobie przypomnieć, że dwa porównywalne osiągnięcia naukowe prehistorii przetrwały przez wieki aż do naszych czasów.

Pierwszym jest kalendarz Majów, według którego wielki cykl w życiu świata dobiega końca w tym samym okresie, między 1960 a 2040 rokiem. Co więcej, używał on tej samej miary – postępu słońca w dniu zimowego przesilenia ku korelacji ze środkiem naszej galaktyki – aby przewidzieć, kiedy taka pamiętna koniunkcja nastąpi, i wyznaczyć granicę między końcem starej i początkiem nowej epoki.

Drugim jest wielki astronomiczny geoglif na płaskowyżu w Gizie, zapisany na zachodnim brzegu Nilu w formie wielkich piramid i Sfinksa. Jak czytelnicy pamiętają, te arcydzieła megalitycznej architektury wykorzystują dogłębną znajomość precesji, aby przekazać nam obraz nieba w czasie wiosennej równonocy w 10 800 roku p.n.e. Również tutaj, jak zobaczymy w rozdziale 19, zawarta jest niewątpliwie wiadomość, wiadomość przekazana przez stulecia, a skierowana do nas i naszej epoki.

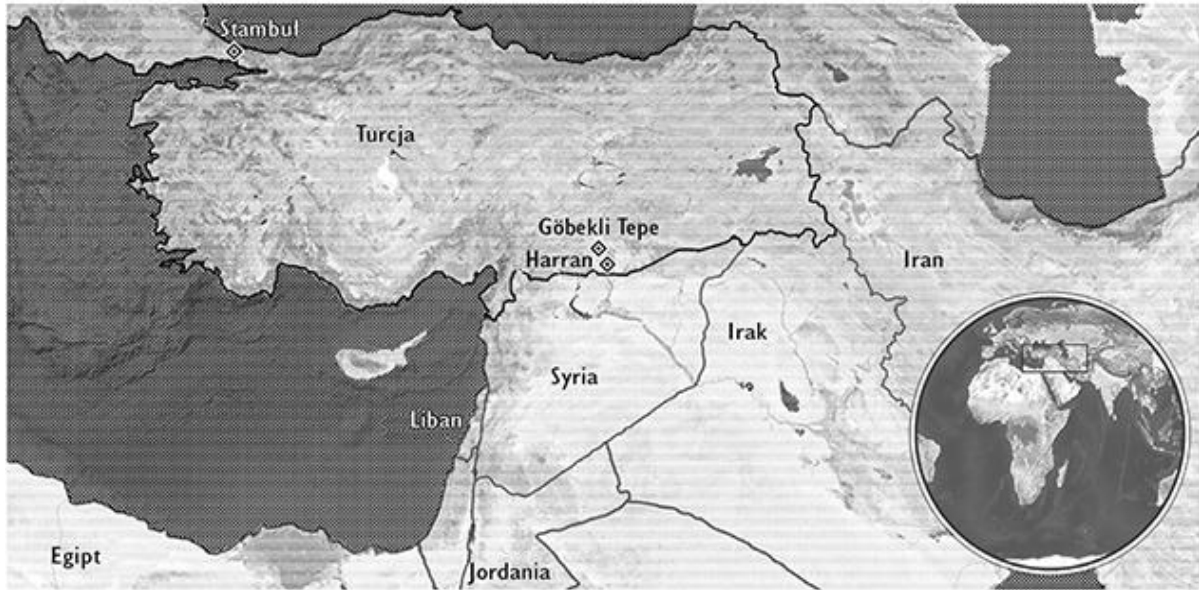
Być może pewnej wskazówki, która pomoże nam w poszukiwaniach znaczenia tych wiadomości, będą mogli nam udzielić Sabejczycy z Harranu – owi „czciciele gwiazd”, których miasto leży zaledwie 40 kilometrów od Göbekli Tepe, wyznawcy boga mądrości odbywający tajemnicze pielgrzymki do piramid w Gizie.

16. ZAPISANE W GWIAZDACH

W rozdziałach od ósmego do jedenastego analizowaliśmy sekretną tradycję mędrców, podtrzymywaną w Egipcie przez tysiące lat, przekazywaną w łańcuchu wtajemniczonych na przestrzeni wieków. I rozważaliśmy możliwość, że ci „tajemniczy nauczyciele z nieba”, owi „Towarzysze Horusa”, „Magowie Bogów”, odegrali kluczową rolę – nie raz, lecz wielokrotnie, w przełomowych momentach historii Egiptu, w rozwijaniu tej niezwykłej kultury.

W rozdziale dwunastym przyjrzelśmy się związkom między niesamowitym megalitycznym stanowiskiem Baalbek a zagadkową grupą kolonistów ze starożytnego Kanaanu, którzy osiedlili się niedaleko Gizy w Egipcie, gdzie regularnie składali pobożne ofiary Sfinkswi, zwanemu przez nich Hauronem lub Hurna, na cześć kananejskiego boga sokoła.

W rozdziale czternastym dowiedzieliśmy się, że inna grupa, zwana Sabejczykami i słynąca jako „czciciele gwiazd”, odbywała z jeszcze większej odległości pielgrzymki do piramid w Gizie. Przychodzili z miasta Harran, niedaleko Göbekli Tepe w południowo-wschodniej Turcji. Żadne źródła nie podają, kiedy zaczęły się te pielgrzymki, ale Harran był zamieszkanym już od tysięcy lat¹, kiedy w inskrypcji datowanej na około 2000 rok p.n.e.² pojawiła się najstarsza znana wzmianka o tym mieście. Niezwykle jest to, że Sabejczycy pielgrzymowali do Gizy jeszcze w 1228 roku n.e., kiedy arabski geograf Jakut al-Hamawi wspominał o nich w swoim *Mu'dżam al-Buldan* [Słowniku krajów]. Jak zauważył egiptolog Selim Hassan we fragmencie cytowanym w rozdziale czternastym, relacja Hamawiego wskazuje, że Sabejczycy „uważali piramidy Chufu i Chafre za monumenty związane z kultem gwiazd”³.



Il. 57.

Ta informacja może się wydawać drobnym szczegółem i „eksperti od Sabejczyków” nie zwrócili na nią uwagi, ale dowodzi kontynuacji pewnej tajemnej tradycji. Starożytna egipska religia i kultura przestały istnieć setki lat przed 1228 rokiem n.e. (ostatnia znana inskrypcja zapisana w hieroglifach pochodzi z 394 roku n.e.), zaś egiptolodzy odkryli świadectwa gwiazdnej natury „kultu” piramid dopiero na początku XX wieku⁴. Zatem nic innego niż sekretna tradycja nie może tłumaczyć wiedzy sabejskich „czcicieli gwiazd” o związkach piramid z gwiazdami i tylko taka tradycja mogła ich skłonić do odbywania pielgrzymek do Gizy.

Ale Harran... Harran – legendarne miasto Sabejczyków. Jak żałośnie dzisiaj wygląda. Przetrwowało tylko kilka tradycyjnych, budowanych z suszonej cegły domów w kształcie ula, w których urządzono sklepy sprzedające pamiątki dla turystów. Zapuszczone współczesne miasteczko jest usytuowane pośrodku rozległej, pustej równiny; na północy, w odległości 40 kilometrów, mającą zamglone szczyty Taurusu. Göbekli Tepe znajduje się na jednym z takich grzbietów; przy dobrej pogodzie z Harranu można zobaczyć Göbekli Tepe i na odwrót⁵.

W starożytności byłoby jeszcze łatwiej, ponieważ przy stojącej tu niegdyś świątyni – dedykowanej sabejskiemu bogu księżyca *Su-En* (co zwykle skracano do *Sin*) – wznosiła się wysoka wieża⁶. Grecki filozof Libanios (314–393 n.e.) informuje nas, że „w tej świątyni były potężne wizerunki”, a dalej

opisuje wieżę, zaznaczając, że „z jej szczytu można oglądać całą równinę Harranu”⁷.

Świątynia boga księżyca była uważana za starożytną już w pierwszym tysiącleciu p.n.e., kiedy – jak wskazują inskrypcje – poddawano ją restauracji. Na przykład naprawiali ją asyryjscy królowie Salmanasar III (859–824 p.n.e.) i Aszurbanipal (685–627 p.n.e.); później odbudował ją Nabonid, który władał państwem nowobabilońskim w latach 556–539 p.n.e.⁸ Podobnie jak w Egipcie Thotmesa IV, który odnowił Sfinksa w Gizie, Nabonida zainspirował do tego przedsięwzięcia sen⁹.

Godne uwagi jest to, że „pogańska” religia Harranu przetrwała kilkaset lat pod panowaniem islamu. Wynikało to w znacznym stopniu z uznania Sabejczyków za „lud księgi” (jak czytelnicy pamiętają z rozdziału czternastego, przedstawili oni Hermesa jako swojego proroka i kompilację tekstów hermetycznych jako swoją świętą księgę). Kiedy więc arabski wódz Ibn Ghanam podbił Harran w VII wieku n.e., zaadaptował miejsce, gdzie niegdyś stała świątynia boga księżyca, z jej słynną wieżą, na budowę Wielkiego Meczetu. Wydaje się, że świątynia została zburzona, żeby zrobić miejsce dla meczetu, ale Ibn Ghanam wskazał Sabejczykom inne miejsce, gdzie pozwolił im wznieść nową świątynię¹⁰. Tam nadal praktykowali swój „kult gwiazd” bez większych przeszkód, aż do XI wieku, kiedy w 1032 lub 1081 roku – źródła są sprzeczne – nowe pokolenie muzułmańskich władców zwróciło się przeciwko nim, zakazując ich wiary i niszcząc ostatnią świątynię¹¹.

Dwa stulecia później zaczęła się mongolska inwazja i Harran stał się sceną zaciekłych walk. W 1259, 1262 i 1271 roku niszczone były islamskie miejsca kultu¹². Wielki Meczet do dzisiaj leży w ruinie, lecz kiedy przypomnimy sobie, że niegdyś stała tu świątynia boga księżyca z wyniosłą wieżą, wydaje się zastanawiające, że jedyna częściowo ocalała budowla, o podstawie kwadratu o boku 4 metrów, wznosi się na wysokość ponad 50 metrów ponad równiną Harranu, podobnie jak jej sabejska poprzedniczka. Nie ulega wątpliwości, że jest to ocalały minaret Wielkiego Meczetu Ibn Ghanama – jego architektura jest wyraźnie muzułmańska. Jednak daje do myślenia fakt, że miejscowa ludność do dziś nazywa tę budowlę „Wieżą Astronomiczną”, jakby przechowując wspomnienie z czasów, kiedy ich sabejscy przodkowie wspinali się po spiralnych schodach na od dawna nieistniejącą wieżę świątyni księżyca, żeby obserwować niebo.

Nieliczne ekspedycje archeologiczne, jakie pracowały w Harranie od lat 50. XX wieku, znalazły mnóstwo inskrypcji wzmiankujących boga księżyca, ale

jak dotąd nie natrafiły na żadne ślady przedislamskich świątyń¹³. Ekipa z Chicago Oriental Institute miała zacząć wykopaliska w obrębie Wielkiego Meczetu w 1986 roku, ale władze tureckie narzuciły takie restrykcje, że ostatecznie projekt został porzucony¹⁴. Uniwersytet w Harranie i Dyrekcja Muzeum w Şanlıurfi, które obecnie prowadzą wykopaliska, wydają się niezainteresowane zabytkami z czasów przedmuzułmańskich¹⁵.

Dotychczas, po prowadzonych w minimalnym zakresie pracach archeologicznych, dające się datować artefakty z Harranu sięgają około 5000 roku p.n.e.¹⁶, chociaż nie można wykluczyć, że dalsze wykopaliska dostarczą jeszcze starszych zabytków. Na wzgórzu znanym jako Aşağı Yarımca, kilka kilometrów na północny zachód od miasta, zebrano charakterystyczną monochromatyczną ceramikę kultury Halaf datowaną na około 6000 p.n.e.¹⁷ A 6 kilometrów na południe od Harranu, wykopaliska prowadzone od 2006 roku przez tureckiego archeologa Nurettina Yardimciego potwierdziły istnienie jeszcze wcześniejszej stałej osady około 8000 roku p.n.e.¹⁸

Rok 8000 p.n.e. – 10 000 lat temu – to w przybliżeniu okres, kiedy Göbekli Tepe zostało opuszczone, a ostatni z jego kamiennych kręgów celowo zakopano. Dlatego zaintrygowała mnie informacja, że stanowisko, na którym prowadzi wykopaliska Yardimci, jest od niepamiętnych czasów znane jako *Tell Idris* – czyli „Wzgórze Idrisa”. To ciekawe, ponieważ pod imieniem Idrisa w Koranie występuje biblijny prorok Henoch, siódmy z 10 patriarchów, którzy żyli przed Potopem¹⁹. Henoch był synem Jereda, ojcem Matuzalema, dziadkiem Lamecha i pradziadkiem Noego²⁰. Co więcej, muzułmańskie legendy łączą Idrisa/Henocha z Hermesem²¹. Perski filozof Abu Ma’szar (787–886 n.e.) przedstawia to następująco:

Imię Hermes jest tytułem. Pierwszym, który go nosił, był żyjący przed Potopem... ten, którego Hebrajczycy nazywają Henochem, a którego imię po arabsku brzmi Idris. Harrańczycy uważają go za proroka²².

Przedpotopowy Henoch/Idris/Hermes był biegły w naukach, „a zwłaszcza w astronomii”. Ponadto:

*Napisał wiele ksiąg, których mądrość przechował na ścianach egipskich świątyń, aby nie zaginęła. To właśnie on zbudował piramidy*²³.

W komentarzach Abu Ma’szara słychać echo *Tekstów Budowlanych* z Edfu, również podobno pochodzących z zaginionych przedpotopowych ksiąg i zapisanych na ścianach świątyni w Edfu, aby ich przesłanie nie zaginęło. A stwierdzenie, że piramidy są niezmiernie stare i zostały zbudowane przez Hermesa – „mistrza astronomii”, egipskiego Thota, jak zapewne czytelnicy

pamiętają – przywodzi na myśl legendę o „liczbie sekretnych komór w świątyni Thota”, którą w czasach historycznych król Chufu chciał poznać i skopiować w swoim projekcie budowlanym w Gizie, o czym pisałem w rozdziale jedenastym.

I jeszcze raz w obliczu takiego materiału nie wydaje się pozbawione sensu przypuszczenie, że mogliśmy się natknąć na ślady projektu mającego na celu „wskrzeszenie dawnego świata bogów”, a zainicjowanego przez ocalałych z globalnego kataklizmu. Odnoszę wrażenie, że istotą tego projektu była tradycja, przekazywana z pokolenia na pokolenie przez wtajemniczonych mistrzów, a więc teoretycznie mogła być zastosowana w praktyce w każdym miejscu i w każdej epoce, kiedy nadchodziła odpowiednia pora.

Sabejczycy z Harranu – którzy tak doskonale umieli dostosowywać się do zmiennych okoliczności, przechowali wiedzę o astronomicznych właściwościach piramid aż do XIII wieku n.e. i sami siebie określali słowem wywodzącym się od egipskiego seba, „gwiazda”²⁴, i jak słusznie zauważył Selim Hassan – mieli wszystkie cechy powierników tej sekretnej tradycji.

Tajemnica Czuwających

Poza genealogią Henocha w linii przodków Noego i enigmatycznym stwierdzeniem, że „chodził z Bogiem” i został „zabrany” przez Boga, a nie umarł²⁵, kanoniczna Biblia nie mówi o nim nic więcej. Na szczęście znacznie więcej informacji możemy znaleźć w kilku niekanonicznych księgach, czyli tekstach, których redaktorzy Biblii z takich lub innych powodów postanowili nie włączać do oficjalnie uznanych ksiąg biblijnych. Najśłynniejszą z nich jest Księga Henocha. Aż do XVIII wieku naukowcy uważali ją za bezpowrotnie zaginioną. Spisana na długo przed narodzeniem Chrystusa²⁶ i uważana za jedno z najważniejszych dzieł żydowskiej literatury mistycznej, była znana jedynie z fragmentów i wzmianek w innych tekstach. Wszystko jednak się zmieniło, kiedy podróżnik i uczonego James Bruce z Kinnaird odwiedził Etiopię w latach 1770–1772. Dokonał tam wielu niezwykłych rzeczy²⁷, a między innymi zdobył i przywiózł do Anglii kilka kopii Księgi Henocha, która została przetłumaczona na gyyz, dawny święty język Etiopii. Były to pierwsze pełne kopie tego tekstu, jakie trafiły do Europy²⁸.

Warto wspomnieć, że Księga Henocha była zawsze bardzo ważna dla wolnomularzy. Co więcej, niektóre masońskie rytuały – w dziwnej harmonii z tradycją muzułmańską – identyfikują Henocha z bogiem mądrości Thotem, a

także z jego greckim awatarem Hermesem²⁹. Hasło w *Royal Masonic Cyclopaedia*, opublikowanej po raz pierwszy w 1877 roku, mówi, że Henoch był wynalazcą pisma, „nauczył ludzi sztuki budowania”, a przed Potopem „obawiał się, że prawdziwe tajemnice przepadną – i żeby temu zapobiec, ukrył Wielki Sekret, zapisany na kamieniu z orientalnego białego porfiru, w trzewiach ziemi”³⁰. *Cyclopaedia* dodaje jeszcze jedną wskazówkę dotyczącą sekretnej tradycji przekazywanej przez wieki, kiedy sugeruje, że Henoch był masonem i na koniec swoich dni na ziemi „przekazał urząd Wielkiego Mistrza Lamechowi”³¹.

Księga Henocha jest bardzo dziwnym dokumentem, zawierającym między innymi wizję przyszłego Potopu i wyjaśniającym, dlaczego ten kataklizm zostanie zesłany na świat. W serii snów³² Henoch otrzymał zapowiedź ostrzeżenia, które Bóg da jego potomkowi Noemu, o „potopie, który spadnie na ziemię i zniszczy wszystko, co na niej jest”³³. To oczywiście sprawy już nam znane – mamy tu powtórzenie lub doprecyzowanie tego, co możemy przeczytać w Księdze Rodzaju. Podobnie kolejny fragment, w którym Henoch dowiadyuje się, że zostaną poczynione przygotowania, aby Noe ocalał, żeby „jego nasienie przetrwało wszystkie pokolenia świata”³⁴.

Intrygujące jest to, co następuje dalej. Niezależnie od tego, że celem zesłanego przez Boga Potopu jest zgładzenie ludzkości – oczywiście z wyjątkiem Noego i jego potomków – czytamy też o konieczności:

*(...) uzdrowienia ziemi, którą zepsuli aniołowie... aby dzieci ludzkie nie zginęły przez wszystkie sekretne rzeczy, które Czuwający wyjawili i których nauczyli swoich synów*³⁵.

To już druga wzmianka o tajemniczych Czuwających w Księdze Henocha. Pierwsza, kilka stron wcześniej, nie mówi nic ponad to, że „zadrzą” w obliczu nadchodzących wydarzeń³⁶. Na razie nie wiemy, kim albo czym byli, poza tym, że złamali jakieś boskie prawo i nauczyli ludzi „sekretnych rzeczy” – najwyraźniej niebezpiecznych – oraz że mieli zostać z tego powodu surowo ukarani (wraz z większą częścią rasy ludzkiej).

Poznajemy kilka imion Czuwających, a w każdym razie ich przywódców. Są to Azazel, Szemihaza, Armen, Ramiel, Turiel, Armaros, Daniał, Kokabiel i około tuzina innych³⁷. Dowiadujemy się też nieco więcej o „sekretnych rzeczach”, których nauczyli ludzkość.

Azazel nauczył ludzi wyrabiać miecze, sztylety, tarcze i napierśniki. Pokazał im metale i sposób ich obróbki: bransolety i ozdoby, sztukę malowania oczu i upiększania powiek, bardzo cenne i wyszukane kamienie i wszelki [rodzaj] kolorowych barwników. I świat uległ zmianie. Nastąpiła wielka niegodziwość i wielki nierząd. Poblądzili, a wszystkie ich drogi stały się zepsute. Amezarak wyuczył zaklinaczy i nacinaczy korzeni, Armaros [nauczył] odklinania, Barakiel [wychował] astrologów, Kokabiel nauczył konstelacji, Ezekiel wiedzy o

*chmurach, Arakiel znaków na ziemi, Szamsiel znaków słońca, a Sariel nauczył dróg księżycy...*³⁸

Wkrótce dowiadujemy się, że Czuwający byli podzieleni na dwie rywalizujące grupy, ponieważ czytamy, że przywódca jednej z grup wezwali Henocha – pamiętajmy, że wszystko to dzieje się, kiedy jest on pogrążony we śnie – aby przekazał wiadomość przywódcom drugiej grupy, zwanej „Czuwającymi nieba”³⁹. Wydaje się, że to właśnie owi „Czuwający nieba” (czasem zwani „świętymi czuwającymi”⁴⁰) „skalali się kobietami i postąpili tak, jak czynią synowie ludzcy, wzięli sobie żony i zupełnie się zepsuli na ziemi”⁴¹. Spowodowali też „wiele niegodziwości na ziemi”⁴². Dlatego mieli zostać ukarani na różne nieprzyjemne i przerażające sposoby⁴³.

Połusznym Henoch rusza w drogę, niosąc ponurą wiadomość o śmierci i zniszczeniu od Czuwających do... Czuwających.

O co tu chodzi?

Dokładna lektura pozwala poznać tło tej historii.

Kiedy ludzie rozmnożyli się, urodziły im się w owych dniach ładne i piękne córki. Ujrzeni je synowie nieba, aniołowie, i zapragnęli ich. Jeden drugiemu powiedział: „Chodźmy, wybierzmy sobie żony z córek ludzkich i spłodźmy sobie dzieci”. Szemihaza, który był ich dowódcą, powiedział do nich: „Obawiam się, że może nie zechcecie tego zrobić i że tylko ja sam poniosę karę za ten wielki grzech”. Wszyscy, odpowiadając mu, rzekli: „Przysięgijmy wszyscy i zwiążmy się przekleństwami, że nie zmienimy tego planu, ale doprowadzimy zamiar do skutku”. Następnie wszyscy razem przysięgli i związali się wzajemnie przekleństwami. Było ich wszystkich dwustu. Zstąpili na Ardis, szczyt góry Hermon...”⁴⁴

Teraz sytuacja staje się jaśniejsza. „Czuwający” to ogólny termin określający aniołów. Są wśród nich źli aniołowie. Chcą uprawiać seks i mieć dzieci z pięknymi kobietami, a przy okazji zamierzali nauczyć ludzi tego i owego na temat metali, konstelacji oraz dróg słońca i księżycy (czyli ekliptyki, jak to nazywają dzisiaj astronomowie). W pierwszym etapie realizacji tego niegodziwego planu źli Czuwający zstępują na górę Hermon, która – tak się składa – leży w starożytnym Kanaanie, a dzisiaj w Libanie, zaledwie 73 kilometry od Baalbek.

Ale są też dobrzy, „święci czuwający aniołowie”⁴⁵, wśród nich Uriel, Rafał, Raguel, Michał, Sarakael, Gabriel i Ramiel⁴⁶. To właśnie owi dobrzy Czuwający ukazują się we śnie Henochowi i przekazują mu wiadomość o śmierci i zniszczeniu, którą miał zanieść złym Czuwającym aniołom na górę Hermon. Henoch mówi dokładnie, gdzie miał ten sen.

I poszedłem, i usiadłem nad wodami Dana w Dan, które znajdują się na południowy zachód od Hermonu. Zanim zasnąłem, odczytałem ich pisemną prośbę. I oto ogarnął mnie sen i doznałem widzeń. Ujrzałem wizję gniewu, [mianowicie] że mam mówić do synów nieba i mam ich zganić. I obudziłem się i poszedłem do nich...”⁴⁷

Kiedy czytałem o tych wydarzeniach, rozgrywających się przed Potopem, gdy ludy Libanu i starożytnej Turcji wciąż jeszcze były prymitywnymi myśliwymi i zbieraczami, stawało się dla mnie coraz bardziej oczywiste, że Henoch był kimś w rodzaju szamana. I jak wszyscy szamani na całym świecie i we wszystkich epokach, przywiązywał wielką wagę do wizji – a w tym przypadku wizja miała formę snu. Co jednak ciekawe, kiedy budzi się z tego stanu, może wstać i pójść w rzeczywiste miejsce na górze Hermon, gdzie przebywają źli Czuwający, i rozmawiać z nimi twarzą w twarz.

Opowiedziałem im wszystkie wizje, których doznałem w moim śnie, i zacząłem mówić te słowa sprawiedliwości i ganić Czuwających nieba⁴⁸.

Czy to nie świadczy, że źli Czuwający są fizycznymi istotami? Nie wiem, kim są dobrzy Czuwający, ponieważ pojawiają się tylko w snach Henocha. Możliwe, że na jakimś poziomie są także realni. Czytelnicy mojej książki o szamanizmie, *Supernatural*, znają mój pogląd, że w odmiennych stanach świadomości (włączając w to sny) „długość fali odbiornika” w mózgu może być tak dostrojona żeby umożliwić kontakt z innymi wymiarami rzeczywistości⁴⁹. Ale w opowieści Henocha źli Czuwający muszą być realni – realni na poziomie ziemskiej, fizycznej egzystencji – ponieważ może on po przebudzeniu iść i zganić ich.

Musimy też brać pod uwagę możliwość, że źli Czuwający – kimkolwiek lub czymkolwiek byli – w rzeczywistości wcale nie byli źli. Wszystko, co możemy powiedzieć, to że zostali uznani za złych i przedstawieni jako źli w wizjach Henocha. Nie można też wykluczyć, że Księga Henocha jest tylko starożytną fikcją literacką, ale równie możliwe jest to, że Henoch rzeczywiście spotykał się ze złymi Czuwającymi i że nienawidził ich z powodu zmian, jakie starali się wprowadzić w życiu jego prymitywnego ludu. Wtedy reprimendy, których im udzielał i które jego podświadomość przedstawiała mu jako pochodzące od dobrych Czuwających, mogą być wyrazem jego głęboko zakorzenionych poglądów dogmatycznego starego szamana, który czuje się zagrożony z powodu zmian – nawet jeśli w wyniku kontaktów z Czuwającymi on także się zmienia.

Nie miejsce tutaj na zgłębianie całego dziwaczного, niezrozumiałego i niezmiernie sugestywnego tekstu Księgi Henocha. Teraz interesuje mnie tylko to, czy Czuwający, których 200 „zstąpiło” na górę Hermon, mogli być rzeczywistymi istotami, a nie wytworem fantazji. Chciałbym lepiej zrozumieć, kim byli, i chciałbym się dokładniej przyjrzeć ich wizerunkowi przedstawionemu przez Henocha. Mimo wyraźnej nienawiści i resentymentu opisuje ich jako tych, którzy przynieśli naszym przodkom umiejętności i

wiedzę – umiejętności i wiedzę, które z czasem dobrzy Czuwający objawili również jemu i które w legendach i tradycji zostały na wieki skojarzone z jego imieniem⁵⁰.

Tajemnica Nefilim

Czuwający rozpoczęli swój program edukacyjny od drobnych rzeczy: nauki „zakłęk i nacinania korzeni” oraz zaznajamiania ludzi z roślinami⁵¹. Brzmi to raczej niegroźnie; poza „zakłęciami” nie ma tu nic wykraczającego poza podstawowe umiejętności myśliwych i zbieraczy. Wkrótce jednak, jak pamiętamy, zaczęli wprowadzać naszych przodków w tajemnice metali, uczyć, jak wytwarzać noże i miecze, jak studiować niebo – a także: jak się upiększać makijażem i biżuterią.

W zamian za to (nieco podobnie do amerykańskich żołnierzy w czasie drugiej wojny światowej, podobno zjednujących sobie względy brytyjskich kobiet nylonowymi pończochami, papierosami i gumą do żucia)⁵² Czuwający dostawali seks – i wydaje się, że to najbardziej złościło Henocha. Raz po raz potępia „nierząd” Czuwających⁵³, to, że pożąдали pięknych ludzkich kobiet⁵⁴, które „spały z nimi”⁵⁵, „przestawały” i „grzeszyły” z nimi,⁵⁷ i którym pokazali wszelkie rodzaje grzechu⁵⁸.

Na podstawie takich napomnień możemy wiele wywnioskować na temat Czuwających – choćby to, że musieli być odpowiedniej wielkości i kształtu, a także wyposażeni w odpowiednie organy i popędy, by chcieć, móc i cieszyć się uprawianiem seksu z ludzkimi kobietami. Moim zdaniem nasuwa się oczywisty wniosek, że Czuwający byli ludźmi, a w każdym razie genetycznie bardzo bliscy anatomicznie współczesnym ludziom – na tyle bliscy, że ludzkie kobiety mogły z nimi zachodzić w ciążę i mieć z nimi „synów z nierządu”⁵⁹. Takie potomstwo wcale nie było słabowite, jak można by oczekiwać w przypadku choćby niewielkich niezgodności genetycznych. Wręcz przeciwnie, rozwijało się tak energicznie, że Henoch – albo przemawiające przez niego „dobre” anioły – chciał nie tylko zgładzić Czuwających, ale także ich dzieci⁶⁰.

Ale było coś dziwnego w tym hybrydowym potomstwie – w każdym razie jeśli wierzyć Henochowi, który mówi, że kiedy ludzkie kobiety zaszły w ciążę z Czuwającymi, urodziły:

(...) wielkich gigantów. Ich wysokość wynosiła trzy tysiące łokci. Pożerali oni wszelki żnój ludzki, a ludzie nie potrafili ich utrzymać. Giganci obrócili się przeciwko ludziom, aby ich pożreć⁶¹.

Trzy tysiące łokci to około 1371 metrów. Niezależnie od tego, jaka prawda kryła się za tą relacją, nie ulega wątpliwości, że zirytowany stary szaman nieco przesadził w tym miejscu, żeby zdyskredytować Czuwających. Pomysł rodzenia przez ludzkie kobiety dzieci, które miałyby osiągnąć ponad kilometr wzrostu, to oczywisty absurd. Niemniej jednak wracamy tutaj na znajomy biblijny grunt – a dokładniej do jednego z bardziej znanych fragmentów Księgi Rodzaju, w którym czytamy:

A kiedy ludzie zaczęli rozmnażać się na ziemi i rodziły im się córki, ujrzeni synowie boży, że córki ludzkie były piękne. Wzięli więc sobie za żony te wszystkie, które sobie upatrzyli. I rzekł Pan: „Nie będzie przebywał duch mój w człowieku na zawsze, gdyż jest on tylko ciałem. Będzie więc życie jego trwać sto dwadzieścia lat”. A w owych czasach, również i potem, gdy synowie boży obcowali z córkami ludzkimi, byli na ziemi olbrzymi, których im one rodziły. To są mocarze, którzy z dawien dawna byli sławni⁶².

Tak brzmi ten fragment w Biblii Warszawskiej^[2] (dodałem podkreślenie w ostatnich liniach), ale inne przekłady Biblii używają słowa Nefilim, które Biblia Warszawska tłumaczy jako „olbrzymi”, i wówczas czytamy:

A w owych czasach byli na ziemi Nefilim; a także później, gdy synowie Boga zbliżali się do córek człowieczych, te im rodziły. Byli to więc owi mocarze, mający sławę w owych dawnych czasach.⁶³

A więc sytuacja wyjaśnia się coraz bardziej. Grupa złych aniołów, „Czuwających nieba”, przybyła na ziemię – a mówiąc dokładniej, „zstąpiła” na górę Hermon w Libanie – przekazała ludziom niektóre technologie, współżyła z ludzkimi kobietami i miała z nimi potomstwo zwane Nefilim, które było pod jakimś względem gigantyczne. Oto, co czytamy w następnych wersetach:

A gdy Pan widział, że wielka jest złość człowieka na ziemi i że wszelkie jego myśli oraz dążenia jego serca są ustawicznie złe, żałował Pan, że uczynił człowieka na ziemi i bolał nad tym w sercu swoim. I rzekł Pan: „Zgladzę człowieka, którego stworzyłem, z powierzchni ziemi, poczynszyszy od człowieka aż do bydłęcia, aż do płazów i ptactwa niebios, gdyż żałuję, że je uczyniłem”. Ale Noe znalazł łaskę w oczach Pana⁶⁴.

W ostatnich latach napisano w Internecie na temat tych wersetów zdumiewająco dużo nonsensów, w większości wywodzących się z powieści science fiction Zecharii Sitchina, przede wszystkim z serii *Kroniki Ziemi*, które udało mu się z powodzeniem przedstawić czytelnikom jako poważne prace naukowe. Wspomniałem już w rozdziale trzynastym o jego całkowicie błędnej interpretacji Baalbek, a choć nie twierdzą, że wszystko, co pisał, jest fikcją – Sitchin zwrócił uwagę na kilka cennych i naprawdę interesujących faktów – ogólnie rzecz ujmując, jego książki zawierają tyle wierutnych bzdur i przeinaczeń, że należy je czytać z dużą dozą rezerwy, a z pewnością nie przyjmować w całości na wiarę.

Doskonale to ilustruje sposób, w jaki podszedł do sprawy Nefilim. Przedstawiając się jako ekspert w dziedzinie języków biblijnych, zadaje pytanie:

A więc co znaczy termin Nefilim? Wywodzi się od semickiego rdzenia NFL („być straconym”) i oznacza dokładnie to, co mówi. Oznacza tych, którzy zostali strąceni na ziemię!⁶⁵

Jednak, co udowodnił Michael S. Heiser, autentyczny biblista i znawca starożytnych języków semickich, problem polega na tym, że:

(...) Sitchin zakłada, że „nefilim” pochodzi od hebrajskiego słowa „nafal”, które zwykle znaczy „upaść”. Następnie nakłada na nie znaczenie „schodzić”, tworząc swoje tłumaczenie „zstąpić z góry”. Gdyby słowo *nefilim* pochodziło od hebrajskiego *nafal*, nie byłoby zapisane tak, jak jest w hebrajskiej Biblii. Forma *nefilim* nie może oznaczać „upadłych” (co brzmiałoby *nefulim*). Nefilim nie znaczy też „ci, którzy spadają” ani „ci, którzy odpadną” (*nofelim*). Jedyнным sposobem uzyskania słowa *nefilim* od *nafal* zgodnie z zasadami hebrajskiej morfologii (tworzenia słów) byłoby założenie istnienia rzeczownika *nafil* i spluralizowanie go. Piszę „założenie”, ponieważ taki rzeczownik nie istnieje w biblijnym hebrajskim – jeśli nie liczyć wersetów Księgi Rodzaju 6:4 i Liczb 13:33, jedynych wystąpień słowa *nefilim* – ale to oznaczałoby przyjęcie za założenie tego, co zamierzamy udowodnić! Jednak rzeczownik *nafil(a)* istnieje w języku aramejskim. Znaczy on „olbrzym”, więc łatwo zrozumieć, dlaczego w Septuagincie (starożytnym greckim przekładzie hebrajskiej Biblii) słowo *nefilim* zostało przetłumaczone jako „olbrzymi”⁶⁶.

Heiser oczywiście ma rację, ponieważ – jak zauważył – w dalszej części Starego Testamentu (w Księdze Liczb 13:33) słowo Nefilim pojawia się ponownie. Jest to tysiące lat po Potopie, w czasach historycznych, lecz nie później niż około 1200 roku p.n.e., kiedy Izraelici wkroczyli do Kanaanu po wyjściu z Egiptu. Zwiadowcy donosili Mojżeszowi, że:

(...) *wszystek lud, który w niej widzieliśmy, to mężowie rośli. Widzieliśmy też tam Nefilim... i wydawaliśmy się sobie w porównaniu z nimi jak szarańcza, i takimi też byliśmy w ich oczach*⁶⁷.

Kontekst nie pozostawia wątpliwości, że Nefilim to „mężowie rośli”, a zatem wzmianki o nich jako o olbrzymach w różnych przekładach Biblii mają sens, a tłumaczenie, jakie podaje Sitchin, jest fałszywe. Czy on sam zdawał sobie z tego sprawę, kiedy je zamieszczał w swoich książkach? Tego nie możemy być pewni, ponieważ – jak dowodzi Heiser – Sitchin na tyle słabo znał języki biblijne, że nie umiał odróżnić aramejskiego od hebrajskiego⁶⁸. Koncepcja Nefilim jako istot, które „zstąpiły z nieba” lub zostały „strącone z nieba”, została przyjęta przez Sitchina, ponieważ pasowała do jego tezy i pozwoliła mu „przedstawić *nefilim* jako starożytnych astronautów”⁶⁹.

Ta krytyka jest w pełni usprawiedliwiona, ponieważ Sitchin nie ogranicza się do tego, co mogłoby być niewinnym błędem, lecz daje kolejne „tłumaczenia” słowa Nefilim, jeszcze bardziej marne, za to doskonale pasujące

do jego teorii. Na przykład pisze o nich jako o „bogach z nieba na ziemi”⁷⁰ albo – co gorsza – „ludziach z pojazdów raketowych”⁷¹. Taka interpretacja nie znajduje uzasadnienia w żadnym starożytnym tekście, ale pozwala Sitchinowi pisać – wśród licznych innych wierutnych bzdur – o „Administracji Aeronautyki i Lotów Kosmicznych Nefilim”⁷².

Co bardzo ważne w dyskusji nad materiałem, który miał tak potężny wpływ na nasze wyobrażenie o przeszłości, trzeba jasno powiedzieć, że Czuwający, o których nie ma żadnej wzmianki w Biblii, ale według Księgi Henocha zstąpili z nieba, nie są identyczni z Nefilim. W Księdze Henocha nigdzie nie jest powiedziane, że Nefilim spadli, zostali strąceni albo zstąpili z nieba. Z księgi tej możemy się dowiedzieć najwyżej, że Nefilim byli owocem związku Czuwających z ludzkimi kobietami, ale nawet ta sprawa jest bardziej skomplikowana.

Angielski przekład etiopskiego tekstu przywiezionego przez Bruce’a, dokonany przez wielebnego R.H. Charlesa, został opublikowany w 1917 roku⁷³. Nie ma w nim żadnej wzmianki o Nefilim, natomiast potomstwo Czuwających i ludzi jest opisane po prostu jako „giganci”⁷⁴. Słowo Nefilim nie pojawia się także w przekładzie profesora Michaela A. Knibba z 1979 roku, który oprócz tekstu etiopskiego uwzględnił niedawno odkryte aramejskie fragmenty ze Zwójów znad Morza Martwego⁷⁵. Jednak jeszcze nowszy przekład, George’a W. Nickelsburga i Jamesa C. VanderKama, opublikowany w 2012 roku, uwzględnił nowe fragmenty, nieznane Knibbowi. Tutaj, w rozdziale 7., wersecie 12., słowo Nefilim pojawia się dwukrotnie:

*I [ludzkie kobiety] poczęły z nimi [Czuwającymi] i urodziły im wielkich gigantów. A giganci zrodzili Nefilim, a Nefilim urodzili Elioud. I rośli stosownie do swojej wielkości*⁷⁶.

To jedyna wzmianka o Nefilim u Nickelsburga i VanderKama. Ale zacytowany powyżej werset nie pozostawia wątpliwości: nic nie wskazuje, żeby Nefilim „spadli”, „zstąpili” czy zostali „strąceni”, lecz byli po prostu potomkami Czuwających i ludzi. I to nie pierwsze pokolenie, „wielcy giganci” jest nazywane Nefilim, lecz drugie, czyli dzieci gigantów, natomiast ich potomstwem byli „Elioud”.

Jeśli chodzi o owych Elioud, o których wiemy bardzo mało, jeśli nie liczyć żydowskich tradycji mistycznych, stanowią kolejny dowód na bliskie genetyczne pokrewieństwo między Czuwającymi i ludźmi – tak bliskie, że trzeba ich uznać za ten sam gatunek. Zwykle kiedy dochodzi do skrzyżowania dwóch odrębnych gatunków, to nawet gdy są one spokrewnione na tyle blisko, by mieć potomstwo, jest ono bezpłodne – nawet w przypadku tak blisko spokrewnionych gatunków jak na przykład koń i osioł. Ale w odróżnieniu od

bezpłodnych mułów, które są krzyżówką konia i osła, Nefilim najwyraźniej nie byli bezpłodni, ponieważ sami również mieli dzieci – właśnie Elioud.

Jak już sygnalizowałem, jedyny rozsądny wniosek, jaki się nasuwa, jest taki, że Czuwający byli ludźmi – niewątpliwie otoczonymi szczególną aurą wynikającą z ich znajomości nauki i technologii, lecz ani mniej, ani bardziej ludzkimi niż kobiety, z którymi się wiązali – a zatem ich potomstwo także było ludzkie. Możliwe, że byli potężnej budowy. Może przypisany im epitet „giganci” odnosił się do ich możliwości intelektualnych, które wydawały się nadludzkie. Ale mimo wszystko byli ludźmi i nie widzę powodu, by twierdzić inaczej.

Tymczasem, ponieważ narosło wokół tego wiele nieporozumień, chciałbym jeszcze raz podkreślić, że ani w Księdze Rodzaju, ani Liczb – jedynych księgach biblijnych, które o nich wspominają – nic nie wskazuje, żeby Nefilim „upadli”, choćby w metaforycznym znaczeniu. Wręcz przeciwnie, są opisywani jako „mocarze”, „mający sławę w owych dawnych czasach”. Księga Rodzaju stwierdza jednoznacznie, co czytelnik może sprawdzić, sięgając do cytowanych powyżej wersetów, że to z powodu ludzkiej niegodziwości i zła w ludzkim sercu Bóg postanowił zesłać Potop, kataklizm, który przetrwali nie tylko potomkowie Noego, ale również sami Nefilim, którzy wciąż żyli w Kanaanie – i zachowali potężną posturę, jak wynika z Księgi Liczb – kiedy Izraelici przybyli do Ziemi Obiecanej.

Emisariusze

Po krótkiej dygresji na temat podstaw stworzonego przez Sitchina kultu Nefilim wróćmy do Czuwających i tego, kim lub czym mogli być.

Potępienie ich przez Henocha za „rozpustę” z ludzkimi kobietami znajduje analogię w Księdze Rodzaju. Choć nie nazwani, są najpewniej „synami bożymi”, którzy ujrzeni, „że córki ludzkie były piękne. Wzięli więc sobie za żony te wszystkie, które sobie upatrzyli”. O tym, co zdarzyło się dalej, dowiadujemy się tylko z Księgi Henocha, która wskazuje, że to Czuwający

(...) nauczyli wszelkiej niegodziwości na ziemi i odstonili odwieczne tajemnice przechowywane w niebie⁷⁷.

Przejdźmy teraz do innego pozakanonicznego tekstu, Księgi Jubileuszów, która ma być objawieniem zesłanym przez Boga Mojżeszowi. Znajdujemy w niej kolejną wzmiankę o Czuwających, tym razem w kontekście, który kieruje nas znowu do Harranu i Sabejczyków. Zarówno według islamskiego historyka

Al-Mas'udiego, jak i chrześcijańskiego kronikarza Grzegorza Bar Hebraeusa Harran został założony przez Kainama⁷⁸, prawnuka Noego⁷⁹. Zatem z definicji Harran jest miastem popotopowym (choć wczesnym). Kainam był synem Arfaksada.

I jego syn dorastał, a ojciec nauczył go pisma, i poszedł szukać dla siebie miejsca, gdzie mógłby założyć sobie miasto. I znalazł pismo, które wcześniejsze pokolenia wryły na skale, i przeczytał je, i przepisał, i zgrzeszył z jego powodu, zawierało bowiem nauki Czuwających zgodne z tym, jak zwykli obserwować znaki słońca, księżyca i gwiazd, i wszystkie znaki na niebie⁸⁰.

A zatem sabejski kult gwiazd wywodził się aż od tajemniczych Czuwających – kimkolwiek, czymkolwiek byli – którzy osiedlili się na Bliskim Wschodzie w czasach przedpotopowych, nauczyli naszych przodków zakazanej wiedzy, złamali jakiś fundamentalny zakaz, zadając się z ludzkimi kobietami, i w efekcie zostali zapamiętani jako odpowiedzialni za globalny kataklizm Potopu.

Czy owi Czuwający byli emisariuszami z zaginionej cywilizacji epoki lodowcowej? Może cywilizacji tak wyprzedzającej myśliwych i zbieraczy z górnego paleolitu, jak my dzisiaj wyprzedzamy odizolowane plemiona żyjące gdzieś w lasach deszczowych nad Amazonką? Oczywiście kiedy mówię o „wyprzedzaniu”, nie mam na myśli wartości moralnych ani duchowych, a jedynie naukę i technologię. Ponieważ takie różnice wciąż istnieją w XXI wieku, nie widzę powodu, by nie mogły istnieć w zamierzonych czasach przed wielkimi kataklizmami młodszego dryasu, między 10 800 a 9600 rokiem p.n.e.

Idąc dalej tym tokiem rozumowania, czy już przed tymi kataklizmami mógł być prowadzony jakiś program badawczy?

Bardzo ostrożny, wyważony, przemyślany program polegający na obserwacji, badaniu populacji myśliwych i zbieraczy – innymi słowy, na czuwaniu nad nimi – ale nieprzewidujący wchodzenia z nimi w skomplikowane relacje seksualne i rodzinne, a przede wszystkim przekazywania im technologii?

Można sobie wyobrazić, że grupę antropologów i naukowców wyruszającą dzisiaj do odizolowanego plemienia nad Amazonką obowiązywałyby podobne zasady. Ale przypuśćmy, że niektórzy z nich złamali te zasady. Że „stali się tubylcami” – jak mawiało się w czasach Imperium Brytyjskiego o kolonialistach, którzy za bardzo zbliżyli się do miejscowej ludności.

Czy właśnie coś takiego mogło się przydarzyć oddziałowi 200 „Czuwających” stacjonującemu na górze Hermon? Czy około 10 800 roku p.n.e. złamali zasady własnej kultury i „stali się tubylcami” wśród myśliwych i zbieraczy z Bliskiego Wschodu? I czy zostali z powodu swojego moralnego

upadku obciążeni winą za pierwsze spotkanie Ziemi z fragmentami gigantycznej komety, które nastąpiło około 100 lat później?

I jeszcze kilka ostatnich przemyśleń. Czy ich cywilizacja przetrwała, choć w okaleczonej, skarłajej formie, przez trudny czas młodszego dryasu aż do drugiego, tragicznego w skutkach spotkania z pozostałościami komety w 9600 roku p.n.e., które zakończyło „długą, zgubną zimę”, ale doprowadziło też do ostatecznego zatopienia i zagłady Ojczyzny Pradawnych?

Tego wyspiarskiego królestwa, położonego gdzieś daleko na oceanie, tak uderzająco podobnego do Atlantydy Platona.

Czy właśnie wtedy ostatni ocaleni z niegdyś kwitnącej, zaawansowanej cywilizacji, wyruszyli w świat, żeby wcielić w życie swój wielki plan, który w końcu, być może po tysiącach lat, miał doprowadzić do wskrzeszenia dawnego świata bogów?

I czy Egipt, Baalbek i Göbekli Tepe były jednymi z miejsc, w których „Magowie Bogów” osiedlili się, żeby realizować swój plan – może dlatego, że przed kataklizmem prowadzili w tych regionach swój projekt badawczy, a więc znali możliwości i charakter tubylców?

Czy Harran był sceną drugiego etapu tego planu, kiedy zadanie ostatnich wtajemniczonych z Göbekli Tepe zostało wykonane i ich „kapsuła czasu” zakopana czekała na odkrycie w przyszłości?

Zakopana w ziemi, jak „kamień z białego porfiru”, o którym mówiła cytowana wcześniej tradycja masońska.

A może jak „pismo wyryte na skale” zawierające nauki Czuwających, które Kainam znalazł i przepisał, kiedy zakładał Harran, dając swojemu miastu wiedzę o znakach słońca, księżyca i gwiazd oraz „wszystkich znakach na niebie”.

Właśnie taką wiedzę, która miałaby kluczowe znaczenie dla tajemniczej gwiazdnej religii Sabejczyków w nadchodzących tysiącletniach...

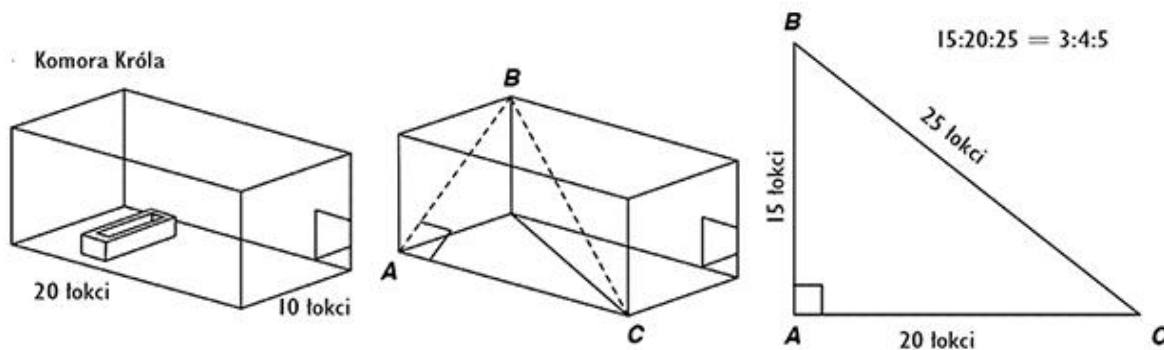
Astronomia i mierzenie ziemi

Archeoastronom James Q. Jacobs zwrócił w Harranie uwagę na coś dziwnego. Szerokość geograficzna tego miasta, 36,87 stopni na północ od równika, wydaje się nieprzypadkowa, ponieważ właśnie tyle wynosi miara kąta ostrego w trójkącie prostokątnym o proporcjach 3:4:5⁸¹ – czyli trójkąta, który ma jeden kąt prosty i boki, których długości tworzą proporcję 3:4:5. We wszystkich takich trójkątach – które są podstawą trygonometrii i tym samym

mają kluczowe znaczenie dla astronomii i geodezji – dwa pozostałe kąty mają 53,13 i 36,87 stopni.

Czy to tylko zbieg okoliczności, że trójkąt prostokątny 3:4:5 o takich samych kątach istnieje w Komorze Króla w egipskiej Wielkiej Piramidzie? Podłoga tego surowego, pozbawionego jakiegokolwiek dekoracji pomieszczenia z czerwonego granitu, w którym nigdy nie został pochowany żaden faraon, jest prostokątem o stosunku boków 2:1; ma 20 egipskich łokci królewskich długości i 10 łokci królewskich szerokości (10,46 na 5,23 metra). Najkrótszy bok trójkąta prostokątnego (15 łokci) tworzy przekątna zachodniej ściany, poprowadzona od dolnego południowo-zachodniego do górnego północno-zachodniego narożnika; drugi bok (20 łokci) tworzy cała długość podłogi po południowej stronie komory; najdłuższy bok (25 łokci) tworzy linia łącząca górny północno-zachodni z dolnym południowo-wschodnim narożnikiem komory⁸².

Te długości boków – 15, 20 i 25 łokci – można wyrazić proporcją 3:4:5, ponieważ jeśli przypiszemy wartość „3” 15 łokciom, to oczywiście 20 łokci odpowiada wartości „4”, a 25 łokci – wartości „5”. Wszystkie trójkąty prostokątne o takich proporcjach boków nazywa się pitagorejskimi – od imienia Pitagorasa, greckiego filozofa i matematyka z VI wieku p.n.e., który podobno pierwszy odkrył, że mają one pewną wyjątkową właściwość: suma podniesionych do kwadratu długości krótszego (3 jednostki x 3 jednostki = 9) i średniego boku (4 jednostki x 4 jednostki = 16) jest równa podniesionej do kwadratu długości najdłuższego boku (5 jednostek x 5 jednostek = 25)⁸³. Ale prawdziwa magia takiego trójkąta – jak zauważył islandzki matematyk Einar Palsson – ujawnia się dopiero po podniesieniu tych liczb do trzeciej potęgi⁸⁴. Wówczas otrzymujemy:



Il. 58. Trójkąt prostokątny o proporcjach 3:4:5 ukryty w Komorze Króla w Wielkiej Piramidzie.

$$3 \times 3 \times 3 = 27$$

$$4 \times 4 \times 4 = 64$$

$$5 \times 5 \times 5 = 125$$

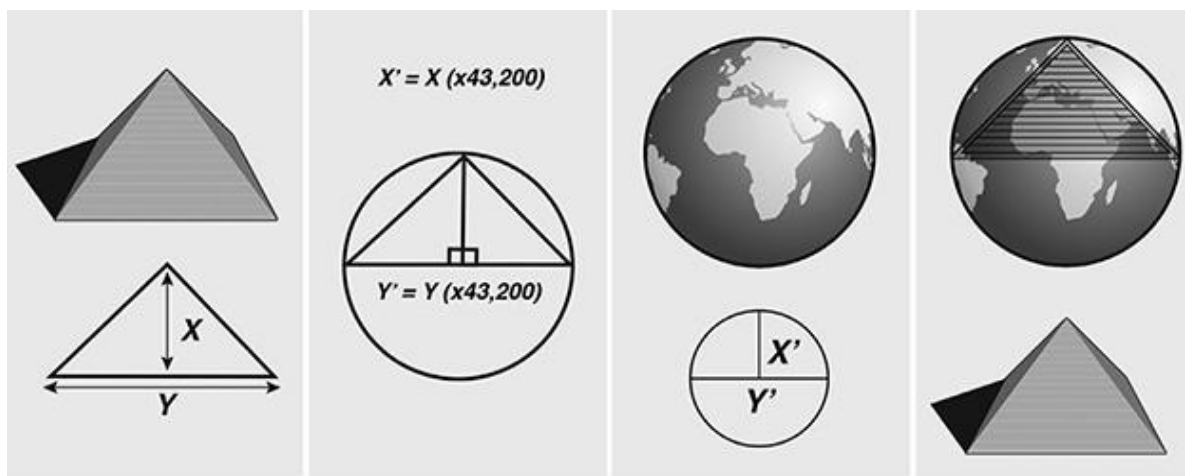
Suma 27 plus 64 plus 125 wynosi 216, a jak czytelnicy pamiętają z wcześniejszych rozdziałów, 216 jest jedną ze zidentyfikowanych przez historyków nauki, Giorgia de Santillanę i Herthę von Dechend, liczb wywodzących się z dokładnych obserwacji precesji równonocy – powolnych zmian na niebie, zachodzących w tempie jednego stopnia na 72 lata. Okazuje się, że liczby należące do tej precesyjnej sekwencji są zakodowane w starożytnych mitach i monumentach na całym świecie. De Santillana i von Dechend prześledzili ich historię aż do, jak napisali, „niemal niewiarygodnej” prehistorycznej cywilizacji, która „jako pierwsza odważyła się rozumieć świat jako stworzony według liczb, miar i wag”⁸⁵.

Jak pamiętamy, uderzeniem serca odmierzającym rytm tego cyklu jest liczba 72 – tyle lat trwa precesyjny ruch o jeden stopień. Mówiąc w kategoriach prowadzenia obserwacji, przesunięcie o jeden stopień w ciągu 72 lat – praktycznie całego ludzkiego życia – jest ledwie zauważalne; odpowiada mniej więcej szerokości uniesionego palca na tle horyzontu. Obrótu o 30 stopni – przez całą jedną konstelację zodiaku, co trwa $30 \times 72 = 2160$ lat – nie sposób nie zauważyć, ale jest to możliwe tylko wtedy, kiedy obserwacje są prowadzone przez wiele pokoleń świadomych i dokładnych astronomów. Przesunięcie o 60 stopni, czyli o dwie konstelacje, trwa 4320 lat ($2160 \times 2 = 4320$), zaś pełen obrót o 360 stopni (12 konstelacji, czyli „Wielki Rok”) zajmuje 25 920 lat.

Jak udowodnili de Santillana i von Dechend, w obrębie tego „kodu precesyjnego” dopuszczalne jest mnożenie i dzielenie podstawowej liczby 72 (liczby lat potrzebnych na jeden stopień zmian precesyjnych). Powstałe w ten sposób liczby są zakodowane w mitach i monumentach na całym świecie (na przykład w Angkor w Kambodży, co widzieliśmy w rozdziale dwunastym, i w Borobudur w Indonezji, o czym będzie mowa w rozdziale osiemnastym). I tak liczba 216 to 3×72 (albo 2160 podzielone przez 10). Dlatego wydaje się bardzo mało prawdopodobne, aby jej wyprowadzenie z trójkąta 3:4:5 w Komorze Króla w Wielkiej Piramidzie było przypadkowe, a związek między tym wszystkim a astronomią i geodezją – mierzeniem ziemi – nie ulega wątpliwości. Dodatkowo potwierdzają to zewnętrzne wymiary Wielkiej Piramidy, w których – o czym pisałem w *Śladach palców bogów* – zostały zakodowane wymiary naszej planety w precesyjnej skali 1:43 200⁸⁶.

Mówiąc najkrócej, jeśli zmierzymy wysokość Wielkiej Piramidy i pomnożymy ją przez 43 200, otrzymamy długość polarnego promienia Ziemi,

zaś obwód podstawy pomnożony przez 43 200 jest równy równikowemu obwodowi. Fakt, że 43 200 jest jedną z serii liczb precesyjnych zidentyfikowanych przez de Santillanę i von Dechend, nie pozwala uznać tego za zbieg okoliczności i każe nam poważnie wziąć pod uwagę możliwość, że patrzymy na część intelektualnej spuścizny jakiejś „niemal niewiarygodnej” cywilizacji, która z naukową dokładnością mierzyła ziemię i obserwowała zmiany na niebie na długo przed początkiem tego, co uważamy za „historię”.



Il 59. W Wielkiej Piramidzie są zakodowane wymiary naszej planety w precesyjnej skali 1:43 200. Wysokość Wielkiej Piramidy pomnożona przez 43 200 daje polarny promień Ziemi, zaś obwód podstawy pomnożony przez 43 200 jest równy jej równikowemu obwodowi, z niewielkim marginesem błędów w obu przypadkach.

Wracając do Harranu, odkrycie Jamesa Q. Jacobsa niewątpliwie wskazuje, że założyciele tego miasta dokonali celowego wyboru, kierując się danymi geodezyjnymi, kiedy umieścili je na 36,87 stopniu szerokości północnej. Dodatkowo przemawia na korzyść takiego przypuszczenia to, że Jacobs znalazł również geodezyjną zależność między Harranem a słynnym miastem Ur w Mezopotamii, z którym w starożytności łączyły go bliskie więzi⁸⁷:

Według historii/mitów Mezopotamii Ur i Harran były dwoma ważnymi, zależnymi od siebie sumeryjskimi ośrodkami, związanymi z kultem księżyca. Sprawdziłem [szerokość geograficzną] ziguratu w Ur, na 30,963 stopniu. W pierwszej chwili nie zauważyłem, że dopełnienie szerokości ekliptycznej wynosi 5/3 arcus tangens (arctg). Dopełnienie szerokości ekliptycznej jest odległością między najbliższym biegunem a geodezyjnym punktem odniesienia. Szerokość geograficzna odnosi się do równika, płaszczyzny prostopadłej do osi obrotu, znajdującej się w połowie odległości między biegunami. Płaszczyzna szerokości geograficznej Harranu dzieli oś obrotu pod kątem 4/3 arctg, tworząc

trójkąt prostokątny 3:4:5, podobnie jak szerokość geograficzna w stosunku do równika i geodezyjnego środka. Podsumowując, dopełnienie szerokości geograficznej dla Harranu wynosi $\frac{4}{3}$ arctg, zaś dla Ur $\frac{3}{5}$ arctg. Może więc ci „bałwochwalcy” znali się na astronomii?⁸⁸

Poszedłbym jeszcze dalej i powiedział, że sabejscy „czciciele gwiazd” niewątpliwie znali się na astronomii. A biorąc pod uwagę świadectwa precyzyjnych pomiarów precesji prowadzonych przez budowniczych Göbekli Tepe, które omówiłem w rozdziale czternastym i piętnastym – tak precyzyjne, że pozwoliły im stworzyć symboliczny wizerunek nieba w dniu zimowego przesilenia za 11 600 lat, czyli w naszej epoce – wcale mnie nie dziwią kolejne dowody znajomości astronomii i geodezji na tych terenach, w zamierzchłej starożytności. Dowody te wykraczają daleko poza wiedzę i umiejętności zwykle przypisywane historycznej cywilizacji Mezopotamii, co każe nam zajrzeć jeszcze głębiej w prehistorię i ponownie wywołuje widmo zaginionej cywilizacji.

Jacobs zwrócił na to uwagę i przyznał, że był zdumiony. Ostatnie z jego odkryć, ważnych dla naszych rozważań, dotyczy geodezyjnej zależności między Göbekli Tepe a Harranem:

Każde z tych miejsc można zobaczyć z drugiego, dzieli je nieco ponad 40 kilometrów. Różnica szerokości geograficznej wynosi dokładnie $\frac{1}{1000}$ obwodu Ziemi. Tu wkraczamy w strefę mroku starożytnej astronomii. Oczywiście, jeśli chodzi o płynące stąd wnioski, słuszniej byłoby mówić o „świcie” starożytnej astronomii. W Göbekli Tepe znajduje się najstarsze znane pomieszczenie zorientowane na osi północ-południe, świadczące o praktycznym zastosowaniu astronomii.

Nawet nie-archeolodzy rozumieją podstawy stratygrafii – im głębiej, tym wcześniej. Göbekli Tepe liczy 12 000 lat. Harran jest porównywany... z Ur w Sumerze, „Cywilizowaną Ziemią” i „kolebką cywilizacji”. Uważa się, że owa kolebka astronomii liczy 4000 do 5000 lat, a nie 12 000. Harran leży na szerokości $\frac{3}{4}$ arctg (stały parametr), a różnica szerokości między Harranem a Göbekli Tepe jest specyficzna. Ponieważ stały parametr musi być rozpatrywany pierwszy, różnica szerokości wynosząca dokładnie $\frac{1}{1000}$ obwodu albo jest przypadkowa, albo starożytna astronomia istniała już 12 000 lat temu⁸⁹.

Rozumiem, że Jacobs nie jest miłośnikiem alternatywnej historii i skomentował bez ogródek mnóstwo przejawów „kompletnie niewiarygodnej pseudonauki” dotyczących Göbekli Tepe, krążących w Internecie i w mediach⁹⁰. Tym większe należy mu się uznanie za to, że odważył się wyruszyć tam, dokąd prowadziła go prawdziwa nauka, i za to, że podszedł z otwartym umysłem do możliwości, że starożytna astronomia i naukowe pomiary Ziemi mogą mieć znacznie dłuższą historię, niż dotychczas przypuszczała ortodoksyjna archeologia.

Magowie z Harranu

Harran był w swoich początkach ośrodkiem „nauk ścisłych” – jak sugeruje Jacobs⁹¹ – i najwyraźniej pozostał nim również tysiące lat później, kiedy Sabejczycy praktykowali tam „kult gwiazd”. Jeszcze w IX wieku n.e. al-Battani, na Zachodzie lepiej znany jako Albatęgnius, niewątpliwie najwybitniejszy astronom i matematyk średniowiecza, urodził się w Harranie, a w ciągu długiego i pracowitego życia⁹² mógł się pochwalić wieloma ważnymi osiągnięciami naukowymi.

Na szczególną uwagę zasługuje – ponieważ wymagało połączenia precyzyjnej astronomii z precyzyjną geodezją – obliczenie przez niego największej odległości Księżyca od Ziemi (ponieważ orbita Księżyca jest eliptyczna, ma zarówno perygeum, czyli punkt najbliższy Ziemi, jak i apogeum – najdalszy). Obliczona przez al-Battaniego odległość odbiega zaledwie o 0,6% od współcześnie przyjmowanej wartości⁹³. Wsławił się również obliczeniem długości roku solarnego na 365 dni, 5 godzin, 46 minut i 24 sekundy⁹⁴ – błąd w stosunku do dzisiejszych ustaleń astronomów, korzystających z zaawansowanej technologii, wynosi zaledwie 2 minuty i 22 sekundy⁹⁵. Al-Battani skatalogował 489 gwiazd⁹⁶, jego obliczenia ruchu Słońca są dokładniejsze od tych, które 600 lat później prowadził Kopernik⁹⁷; ponadto stworzył podstawy nowoczesnej trygonometrii⁹⁸, co wydaje się istotne w świetle omówionych wyżej związków między szerokością geograficzną Harranu a trójkątem prostokątnym o proporcjach 3:4:5.

Pełne imię al-Battaniego, które zawiera kilka wiele mówiących epitetów, brzmiało: Abu Abdallah al-Battani Ibn Dżabir Ibn Sinan al-Raqqi al-Harrani al-Sabi. Pochodzenie samego epitetu „al-Battani” jest nieznane, ale przypuszczalnie odnosił się do ulicy lub dzielnicy Harranu – jego rodzinnego miasta, od którego, oczywiście, pochodzi element al-Harrani. Al-Raqqi wskazuje na miasto al-Raqqa nad Eufratem w Syrii, gdzie al-Battani spędził większą część aktywnego życia. Najbardziej interesujący jest jednak epitet al-Sabi, który – według szacownego *Dictionary of Scientific Biography* – wskazuje, że przodkowie al-Battaniego, o ile nie on sam:

(...) wyznawał religię harrańskich Sabejczyków, w której, jak się wydaje, przetrwała znaczna część starożytnej mezopotamskiej astralnej teologii i wiedzy o gwiazdach i która – tolerowana przez muzułmańskich władców – przetrwała do połowy XI wieku. Fakt, że współczesny al-Battaniemu, nieco starszy od niego wielki astronom i matematyk Thabit Ibn Qurra pochodził z tego samego regionu i wyznawał sabejską religię, wydaje się wskazywać na żywe zainteresowanie astronomią, charakteryzujące nawet tę ostatnią fazę mezopotamskiej gwiazdnej idolatrii⁹⁹.

Thabit Ibn Qurra (836–901 n.e.), również urodzony w Harranie, nie byłby zachwycony takimi wartościującymi określeniami jak „idolatria”, które stawiają „pogańską” religię Sabejczyków na niższym poziomie niż nietolerancyjny, dogmatyczny, często fanatyczny i nienaukowy klerykalny monoteizm takich religii jak chrześcijaństwo, judaizm i islam. Thabit doskonale zdawał sobie sprawę, że u podstaw starożytnych sabejskich praktyk, błędnie interpretowanych przez te młodsze religie jako „gwiezdna idolatria”, leżały nauki ściśle przynoszące ogromną korzyść ludzkości, dlatego pisał:

Któż inny cywilizował świat i budował miasta, jeśli nie pogańscy królowie i dostojnicy? Któż inny dbał o porty i rzeki? Kto nauczał tajemnej wiedzy? Komu innemu Bóstwo się objawiło, dawało wyrocznie i mówiło o przyszłości, jeśli nie słynnym ludziom wśród pogan? Poganie rozślawili to wszystko. To oni odkryli sztukę leczenia ciała. Napelnili ziemię ustalonymi formami rządów i mądrością, która jest najwyższym dobrem. Bez pogaństwa świat byłby pusty i nieszczęśliwy¹⁰⁰.

Do tego trzeba dodać, że powyższe tłumaczenie nie oddaje w pełni tego, co Thabit chciał tu przekazać. Syryjskie słowo *hanputho* użyte w oryginalnym tekście i przetłumaczone jako „pogaństwo” w rzeczywistości oznacza „czystą religię”¹⁰¹. Spokrewnione z nim arabskie słowo *hanif* jest używane w Koranie w odniesieniu do przedislamskich religii, które były uważane za czyste i dlatego nieprześladowane¹⁰².

Wielu wybitnych myślicieli w pierwszych wiekach islamu uważało Sabejczyków za archetyp *hanifów*¹⁰³ i właśnie to, obok faktu, że sami podawali się za „lud księgi”, było jedną z przyczyn, dla których tak długo mogli się cieszyć swoim tradycyjnym stylem życia.

Wiemy już, że Sabejczykom pozwolono zbudować nową świątynię boga księżyca i praktykować obrzędy religijne po tym, jak arabski wódz Ibn Ghanam podbił Harran w VII wieku n.e. To samo w sobie było oznaką nadzwyczajnej łaski, ponieważ islamskie armie zwykle dawały „poganom” możliwość wyboru między nawróceniem lub śmiercią. Ale jeszcze bardziej interesujące jest spotkanie Sabejczyków z abbasydzkim kalifem Abu Dżafarem Abdallahem al-Ma'munem, który przejeżdżał przez Harran w 830 roku n.e. i podobno wypytywał ich na temat ich religii¹⁰⁴.

Pamiętając o pielgrzymkach Sabejczyków do Gizy, możemy się zastanawiać, czy wizyta al-Ma'muna w Harranie miała jakiś związek z tym, że dekadę wcześniej to właśnie on wykuł tunel do wnętrza Wielkiej Piramidy i stworzył nieznane wcześniej ukryte tunele i komory. Do dzisiaj wchodzi się do piramidy przez „tunel al-Ma'muna”¹⁰⁵. Wydaje się, że do podjęcia poszukiwań skłoniły al-Ma'muna, nazywanego przez Gibbona „księciem wyjątkowo

uczonym”¹⁰⁶. informacje, jakie otrzymał na temat Wielkiej Piramidy, a zwłaszcza to, że zawiera ona:

(...) sekretną komnatę z mapami i tablicami sfer ziemskich i niebieskich. Choć zostały wykonane w zamierzchłej przeszłości, miały być podobno bardzo dokładne¹⁰⁷.

Podobnie jak jego ojciec Harun al-Raszid, słynny z opowieści z tysiąca i jednej nocy, al-Ma'mun był kalifem o wielkiej wiedzy i otwartym umyśle. Jednak w XI wieku, kiedy ostatnia świątynia boga księżyca w Harranie została zniszczona, nowa, bardziej fundamentalistyczna i mniej tolerancyjna frakcja objęła władzę w świecie islamu i zaczęło się prześladowanie „czystej religii” Sabejczyków. Wiemy, że odbywali pielgrzymki do Gizy aż do XIII wieku, później jednak zniknęli z kart historii i – choć niektórzy naukowcy uważają, że pewne elementy ich religii przetrwały wśród takich sekt jak mandejczycy i jazydzi z Iraku¹⁰⁸ (którzy również byli prześladowani w świecie islamu) – dziś nie pozostał żaden ślad po Sabejczykach.

Z wyjątkiem jednej niepokojącej i intrygującej myśli.

Święta księga Sabejczyków była kompilacją tekstów, dzisiaj znaną jako *Hermetica*¹⁰⁹, której kopia w tajemniczy sposób wpadła w ręce Leonarda de Pistoia, agenta Cosima de Medici, założyciela politycznej dynastii Medyceuszy z Florencji. W roku 1460 Pistoia podróżował po Macedonii, lecz nagle wrócił do Florencji ze skarbnicą starożytnej wiedzy, którą zdobył. Z równym pośpiechem Cosimo rozkazał swojemu adoptowanemu synowi Marsiliowi Ficino odłożyć tłumaczenie dzieł Platona, nad którym pracował, i zająć się przekładem tekstów hermetycznych¹¹⁰. Jak napisała nieżyjąca już Frances Yates, jedna z najwybitniejszych znawców renesansu, była to „nadzwyczajna sytuacja”¹¹¹.

Rzeczywiście – zwłaszcza że wiele wskazuje, że to właśnie sprowadzenie do Europy idei hermetycznych w XV wieku było impulsem, który przyspieszył rozwój renesansu i przyczynił się do narodzin współczesnego świata¹¹².

A może były to nie tyle narodziny nowego świata, ile raczej odrodzenie – „zmartwychwstanie”, mówiąc językiem tekstów z Edfu – dawnego świata bogów?

Ślady rąk

Jak pamiętamy, teksty z Edfu mówią o Siedmiu Mędrkach, którzy przynieśli ludzkości wiedzę – dali ludziom naukę i magię. Również mezopotamskie teksty mówią o Siedmiu Mędrkach – Apkallu – którzy pełnili funkcję

identyczną, jak ich egipscy odpowiednicy. Zajmowaliśmy się wszystkimi tymi sprawami w poprzednich rozdziałach i nie ma potrzeby tutaj tego powtarzać. Jednak dopóki nie zająłem się badaniem legendy o Czuwających z Księgi Henocha, Księgi Jubileuszów i innych tekstów, nie zdawałem sobie sprawy, że uczeni odkryli bliskie związki między Czuwającymi i Apkallu.

Na przykład „figurki Apkallu były składane w depozytach fundacyjnych w mezopotamskich budowlach dla ochrony przed złem... określano je terminem *massare*, Czuwający”¹¹³. Apkallu mieli przekazać ludzkości przedpotopową wiedzę, podobnie jak Czuwający¹¹⁴. Jeden z uczonych zauważył jednak, że „żydowscy autorzy często odwracali mezopotamskie tradycje intelektualne, z zamiarem wykazania wyższości własnej kultury. [Tak więc]... przedpotopowi mędrcy, mezopotamscy Apkallu, zostali zdemonizowani jako »synowie boży« i... występują jako Czuwający... bezprawni nauczyciele ludzkości sprzed potopu”¹¹⁵.

Podsumowując, badania te wskazują na powiązania między Czuwającymi i Apkallu – powiązania tak bliskie, że mamy prawo przypuszczać, że były to dwa różne określenia lub tytuły tych samych istot¹¹⁶. Nie ma tutaj ani miejsca, ani potrzeby na bardziej dogłębną analizę tego materiału, z jego rozlicznymi powiązaniem, ale wydaje mi się bardzo kusząca myśl, że to właśnie te istoty – Czuwający, Mędrcy – zostały przedstawione na monolitycznych filarach w Göbekli Tepe.

Pomimo ich podobieństwa do symboli mezopotamskich bóstw (patrz rozdział piętnasty) obecność przypominających torby obiektów w górnym rejestrze dekoracji Filaru 43 w Okręgu D, na które zwróciłem uwagę w rozdziale pierwszym, nadal mnie intryguje, ponieważ są one podobne do przedmiotów, które Apkallu trzymają na wielu starożytnych przedstawieniach. I to podobieństwo, jak pamiętają czytelnicy, nie ogranicza się do Bliskiego Wschodu. Przedstawiony na reliefie z olmeckiego stanowiska La Venta nad Zatoką Meksykańską Quetzalcoatl – Pierzasty Wąż – który przyniósł cywilizację ludom Ameryki Środkowej, trzyma identyczną torbę.

Przed opuszczeniem Turcji w lipcu 2014 roku pojechaliśmy jeszcze raz do Göbekli Tepe. Trudno mi było patrzeć na ohydny, ciężki drewniany dach, rzucający ponury cień na wszystkie cztery główne okręgi. Ale miałem ważny powód, żeby jeszcze raz zobaczyć Okręg D – tym razem nie Filar 43, lecz dwa centralne filary ze zgiętymi rękami i dłońmi o długich palcach, które niemal stykają się na ich kamiennych brzuchach.

Kiedy już zobaczyłem wszystko, co chciałem, poprosiliśmy kierowcę, żeby zawiózł nas do muzeum w Şanlıurfa, gdzie są wystawione liczne artefakty z

Göbekli Tepe, zbyt cenne, żeby je zostawić na stanowisku. Wprawdzie widziałem je już wcześniej, ale chciałem sobie przypomnieć kilka szczegółów.

Dłuższy czas spędziłem przed hipnotyzującą rzeźbą przedstawiającą ludzką postać. Nie pochodzi ona z Göbekli Tepe, lecz została przypadkowo odkryta w latach 80. w samej Şanlıurfi, w sercu starego miasta, w głębokim wykopie pod fundamenty parkingu. Jest datowana na okres Göbekli Tepe – około 9000 roku p.n.e. – i, jak napisał Klaus Schmidt, „zyska sławę jako najstarsza całkowicie zachowana naturalnej wielkości rzeźba człowieka”¹¹⁷.

W odróżnieniu od megalitycznych filarów w Göbekli Tepe, których „głowy” są stylizowane – przypominają górną, poziomą kreskę litery T – ta figura ma w pełni wymodelowaną ludzką głowę z twarzą o oczach wykonanych z czarnego, lśniącego obsydianu i wydatnym podbródkiem sprawiającym wrażenie zarostu, pektorał w kształcie dużego podwójnego V wyrzeźbionego na piersi i ręce zgięte podobnie jak filary z Göbekli Tepe, o palcach niemal stykających się na brzuchu.

Drugim obiektem, który chciałem obejrzeć, był tak zwany Totem, jeszcze dziwniejszy niż poprzednia rzeźba. Również jest niemal naturalnej wielkości, lecz nie przedstawia czysto ludzkiej postaci. Jest to skomplikowana hybryda o cechach wielu różnych istot. Głowa uległa uszkodzeniu, ale zachowały się uszy i oczy, przypominające jakiegoś drapieżnika, być może niedźwiedzia albo lwa lub lamparta. Jest to więc teriantrop. Wzdłuż nóg wiją się węże o nadnaturalnie dużych głowach skierowanych do przodu, mniej więcej na wysokości łędźwi.

Figura wydaje się mieć dwie pary rąk. Górna para jest zgięta, jak u postaci z Göbekli Tepe, palce niemal stykają się na piersi. Druga para wydaje się składać tylko z przedramion i dłoni, których palce również prawie stykają się na brzuchu, mniej więcej na wysokości pępka.

Jeszcze niżej, na poziomie genitaliów, na osi figury widać małą głowę i dwie kolejne ręce. Ich długie palce również niemal się stykają, lecz tym razem wydają się grać na bębnie. Tuż poniżej widoczne są ślady mocno uszkodzonej jeszcze jednej pary rąk.

Figura ma wiele cech, które wydają mi się znajome.

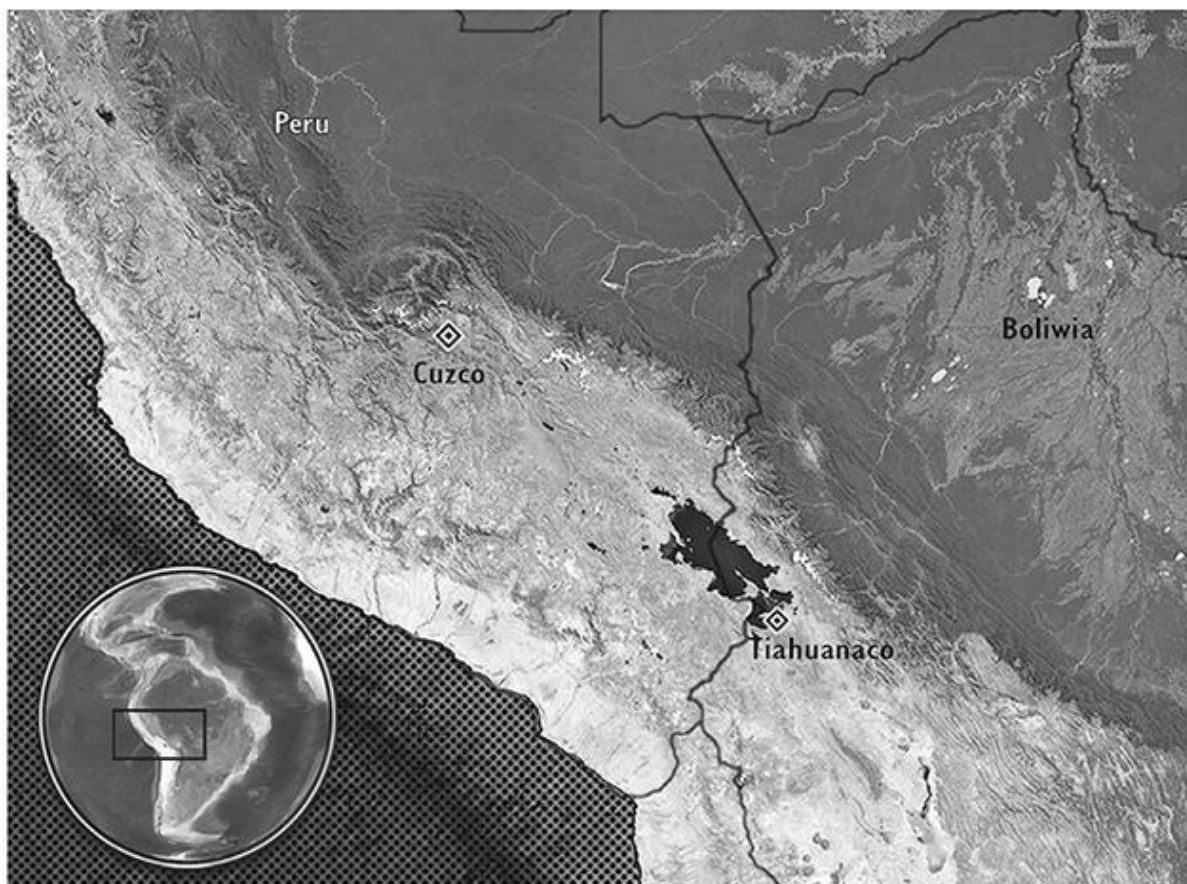
Bardzo znajome.

Ale nie z Göbekli Tepe, lecz – jak zobaczymy w następnym rozdziale – z drugiego końca świata.

VII. DYSTANS

17. GÓRA

W październiku 2013 roku w peruwiańskich Andach ponad miastem Cuzco, zwiedzałem niesamowite megalityczne stanowisko Sacsayhuaman z Jesusem Gamarrą, potomkiem Inków. Gamarra ma ponad 70 lat, ponad 10 więcej ode mnie, ale widząc go, nikt by się tego nie domyślił. Jest zwinny jak kozica, doskonale przyzwyczajony do wysokości 3701 metrów i sprawny niczym olimpijczyk, dzięki całemu życiu spędzonemu na wspinaczce po górskich ścieżkach i przełęczach swojej ojczyzny w poszukiwaniu początków inkaskiej kultury.



Il. 60.

Moja pierwsza wizyta w Sacsayhuaman odbyła się w 1992 roku; później wracałem tam wielokrotnie, za każdym razem dowiadując się czegoś nowego. W *Śladach palców bogów*, opublikowanych w 1995 roku, wyraziłem swój sceptycyzm co do ortodoksyjnej teorii, że praktycznie wszystkie wielkie monumenty Andów są dziełem Inków – których imperium liczyło niewiele ponad 100 lat w początkach podboju Peru przez Hiszpanów w 1531 roku. „Ponieważ wiadomo, że Inkowie wykorzystywali Sacsayhuaman – pisałem w *Śladach palców* – można łatwo zrozumieć, dlaczego się zakłada, że je zbudowali. Ale między tymi dwoma stwierdzeniami nie ma oczywistego ani koniecznego powiązania. Inkowie mogli równie dobrze zastać te struktury i wprowadzić się do nich”¹. W *Zwierciadle niebios* (1998) rozwinąłem teorię, że gigantyczne megality i kute w skale struktury w Andach, które wcale nie są ograniczone do Sacsayhuaman, lecz rozsiane po całym regionie, nie były dziełem Inków, lecz znacznie wcześniejszej cywilizacji, nieznannej historii:

W takiej sytuacji nie musimy sobie wyobrażać całkowitego braku ciągłości między hipotetyczną „starszą kulturą” i Inkami; przeciwnie, Inkowie mogli odziedziczyć część jej

tradycji oraz wiedzy i starać się – na mniejszą skalę – naśladować jej cyklopowy świat².

Kiedy pisałem te słowa, nie wiedziałem nic o Gamarrze i jego pracy. Ale kiedy oprowadzał mnie po Sacsayhuaman, cierpliwie i szczegółowo objaśniając wszystko, co chciał mi pokazać, zabierając w ukryte zakamarki i miejsca, z których istnienia nie zdawałem sobie wcześniej sprawy, otwierał mi oczy na najróżniejsze detale, wspierające i potwierdzające moje przypuszczenia. Co więcej, przedstawił mi solidną archeologiczną teorię, wcześniej opracowaną przez jego ojca, Alfreda Gamarrę, a potem rozwiniętą i udoskonaloną przez niego samego, która zasługiwałaby, moim zdaniem, na poważne potraktowanie przez mainstreamowych naukowców – oczywiście gdyby nie mieli oni kłapek na oczach i nie byli przywiązani do swojego założenia, że wszystkie te monumenty liczą zaledwie kilkaset lat i są wyłącznie dziełem Inków³.

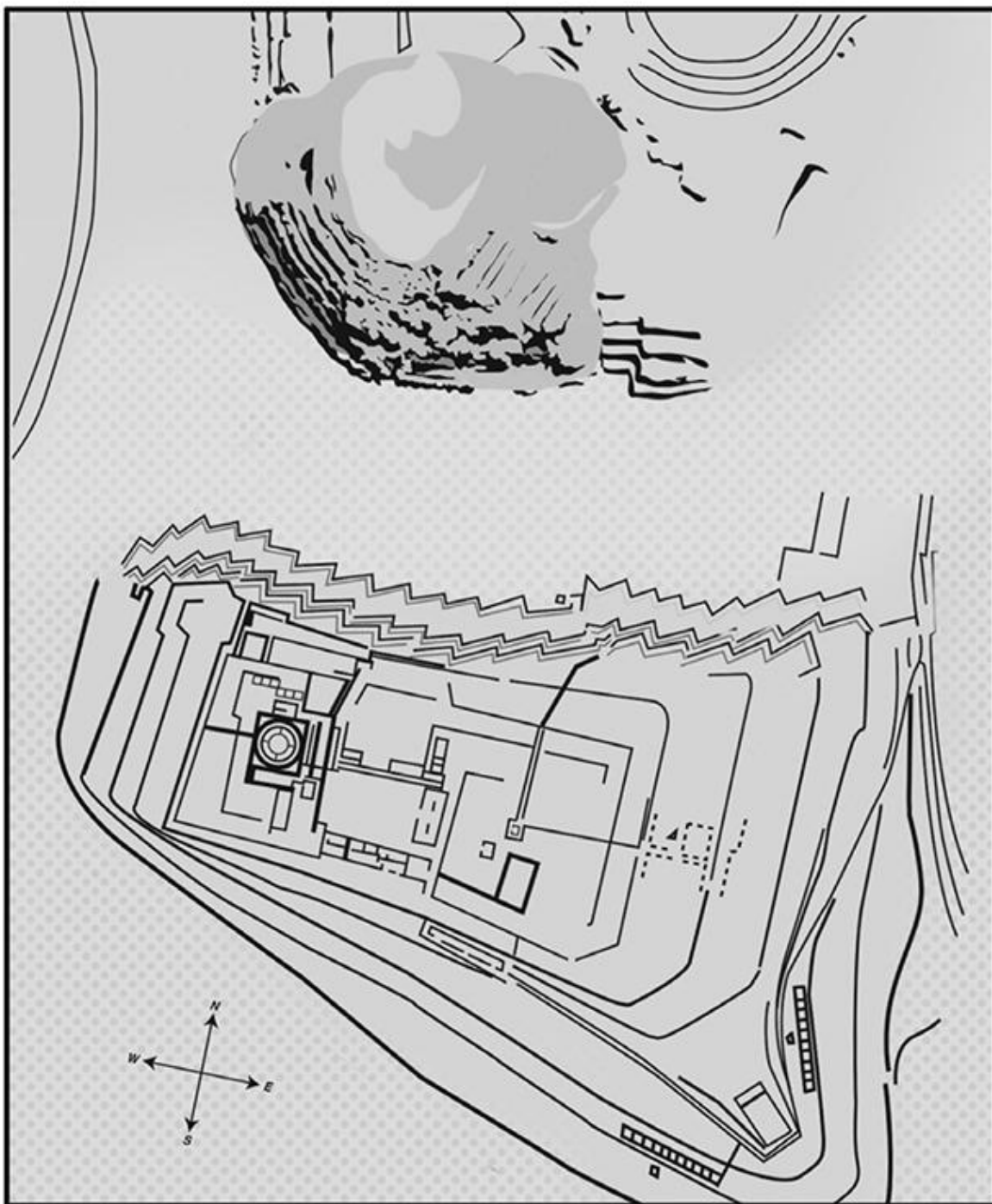
Dobrze wiemy, jak trudno jest ustalić wiek anonimowych, pozbawionych jakichkolwiek inskrypcji, kamiennych monumentów. Datowanie radiowęglowe związanych z nimi materiałów organicznych ma sens tylko wtedy, gdy możemy być pewni, że zostały one zdeponowane w tym samym czasie, kiedy zostały przycięte i ułożone interesujące nas kamienie. W przypadku wielu megalitycznych konstrukcji jest to niemożliwe. Datowanie luminescencyjne, które – jak pisałem w rozdziale dziesiątym – dało intrygujące wyniki dla piramidy Menkaure oraz Sfinksa i dolnych świątyń w Gizie, jeszcze nie zostało powszechnie zaakceptowane przez archeologiczny establishment i nigdy nie zastosowano tej metody w Andach. Zatem wobec braku obiektywnych testów, następną rutynowo stosowaną metodą jest analiza stylu architektonicznego i technik budowlanych. Podobnie jak różnice w stylu ceramiki mogą często dostarczyć wiarygodnych wskazówek co do jej datowania, to samo dotyczy architektury. Podstawową zasadą jest to, że różnice w stylu i metodach wykonania kamiennych budowli, nawet jeśli stoją one tuż obok siebie, każą je przypisać różnym kulturom, działającym w różnych epokach.

Niestety, ta logiczna i rozsądna metoda datowania stylistycznego nie jest popularna wśród archeologów badających andyjskie monumenty – być może dlatego, że gdyby mieli ją tutaj zastosować tak samo jak na innych stanowiskach, musieliby zakwestionować przyjętą teorię, że wszystko jest dziełem Inków. Archeologia jest dyscypliną niezwykle konserwatywną i przekonałem się, że archeolodzy, bez względu na to, czym się zajmują, boją się kwestionować coś, co ich poprzednicy i koledzy uznali za prawdę. Gdyby to zrobili, ryzykowaliby własną karierę. W rezultacie skupiają się – być może w znacznym stopniu podświadomie – na świadectwach i argumentach, które nie

podważają zaakceptowanej wizji świata. Można pogrzebać gdzieś na obrzeżach, udoskonalić jakieś ortodoksyjne idee, ale niech Bóg broni odkryć coś, co zagroziłoby przyjętym paradygmatom.

Oprowadzając mnie po Sacsayhuaman, Gamarra pokazał mi trzy wyraźnie odmienne style architektury – prawdę mówiąc, tak różne, że trudno zrozumieć, dlaczego archeolodzy upierają się, że wszystkie są dziełem tej samej inkaskiej kultury i wszystkie powstały w ciągu mniej więcej 100 lat przed przybyciem Hiszpanów. Nie ma potrzeby powtarzać tutaj szczegółowych opisów stanowiska, które zawarłem w moich wcześniejszych książkach. Podsumowując – Sacsayhuaman wznosi się na zboczu ponad miastem Cuzco i składa się z serii trzech równoległych murów, każdy o wysokości 6 metrów, zbudowanych z wielkich megalitów, z których wiele waży ponad 350 ton⁴. Mury są wzniesione na planie zygzaka, wbudowane w zbocze i ułożone schodkowo jeden nad drugim. Za najwyższym murem zbocze wznosi się dalej w kierunku południowym i jest usiane ruinami licznych, znacznie mniejszych budowli; jedna z nich, na samym szczycie, składa się z trzech koncentrycznych kręgów ze starannie dopasowanych bloków. Zachowała się tylko na poziomie fundamentów, ale musiała wyglądać imponująco. Dalej na południe zbocze stromo opada, tworząc porośniętą drzewami i gęstymi krzewami dolinę, na której dnie leży Cuzco.

Około 100 metrów na północ od najniższego z trzech megalitycznych murów, na całej jego szerokości – około 400 metrów – rozciąga się trawiasty płaskowyż. Po północnej stronie płaskowyżu znajduje się naturalne skalne wzniesienie z wulkanicznego diorytu, które zostało wykute i przycięte w skomplikowane terasy i schodkowe struktury. Kiedy tam dotarliśmy, Gamarra zaczął swój wykład.



Il. 61. Plan Sacsayhuaman, z zygakowatymi megalitycznymi murami na południu i opracowanym skalnym wzniesieniem na północy.

– To jest dzieło „Hanan Pacha” – powiedział, wskazując na pięknie wykute diorytowe terasy pod naszymi nogami. – Pierwszego świata. Powstało tysiące

lat przed Inkami. Oni wtedy wiedzieli, jak ciąć kamień. – Uśmiechnął się filuternie. – Mogli z nim robić, cokolwiek zechcieli. Może to było dla nich łatwe.

Pochylił się i skinął na mnie, pokazując, abym przyjrzał się powierzchni skały.

– Widzisz?

Wzruszyłem ramionami. Nie miałem pojęcia, co chce mi pokazać.

– Nie ma śladów narzędzi – wyjaśnił. Wskazał z dumą na cały ogromny, rzeźbiony artefakt, gigantyczne dzieło sztuki, w które zostało przekształcone wzniesienie. – Nigdzie nie ma śladów narzędzi.

– A więc co zrobili? Zatarli ślady po przycięciu kamienia?

– Nie – odparł Gamarra. – Nie potrzebowali narzędzi. Mieli inny sposób. Podobnie było w drugim świecie, który nazywam „Uran Pacha”. – Wskazał potężne megalityczne mury naprzeciwko.

Eksperci nie są zgodni co do tego, z jakiego kamienia je wzniesiono i skąd został wydobyty. Wiadomo, że użyto tu trochę zielonego diorytowego porfiru i trochę andezytu, ale same megality są wykonane z miejscowej, bardzo twardej odmiany wapienia o dużej gęstości. Kamieniołomy, w których był wydobywany, zidentyfikowano w odległości 15 i 3 kilometrów⁵.

Ostrożnie zeszliśmy ze wzniesienia i przez trawiasty plac doszliśmy do potężnych megalitów, którym Sacsayhuaman zawdzięcza dziś światową sławę. Zawsze, kiedy tu jestem, czuję przede wszystkim podziw. Przy nich czuję się małe. I nie chodzi tylko o to, że mury i bloki, z których je zbudowano, są wielkie. Wydają się mieć własną osobowość – i jest to osobowość olbrzyma.

Niezwykła w tych murach, poza ich wielkością i poza faktem, że składają się z co najmniej tysiąca ogromnych bloków, jest wirtuozeria, z jaką je połączono. Kiedy budujesz mur, w którym najmniejszy blok, jakiego zamierzasz użyć, waży tonę, większość ponad 20 ton, niektóre 200, a kilka ponad 300 ton, stajesz przed nie lada wyzwaniem logistycznym.

Ale załóżmy, że chcesz sobie dodatkowo utrudnić zadanie i żeby podnieść jeszcze wyżej poprzeczkę, postanawiasz zbudować mur tak, żeby tworzył gigantyczne trójwymiarowe puzzle. Każdy blok musi być wielobokiem – mającym od sześciu do dziesięciu boków – każdy wielobok musi być inny i muszą do siebie pasować tak dokładnie, żeby w spoiny nie dało się wcisnąć nawet żyłki.

Nie mogę nic powiedzieć o tylnej stronie bloków, gdzie stykają się z blokami znajdującymi się za nimi – i zapewne również są starannie dopasowane – ale już układ połączeń w niesamowitej, cyklopiej fasadzie jest wystarczająco skomplikowany, żeby nie było trzeba zastanawiać się nad tym,

czego nie widać. Dla każdego, kto patrzył z zachwytem i osłupieniem na skalę i stopień trudności tego projektu, jest oczywiste, że jego realizacja musiała być niewyobrażalnie trudna. Megalityczną fazę Sacsayhuaman mogli wznieść wyłącznie najwyższej klasy profesjonaliści, mający za sobą długie lata doświadczenia i zasób sprawdzonej wiedzy, z której mogli korzystać. Nie da się wymyślić, zaprojektować i zbudować czegoś takiego po zaledwie 100 latach pracy metodą prób i błędów – a tak miałoby być w przypadku Inków. Megality Sacsayhuaman są dojrzałym dziełem doświadczonych kamieniarzy.

Co więcej, w całych Andach nie ma żadnego śladu wskazującego, że uczyli się budować, żadnych prototypów, które byłyby dobre, lecz nie do końca udane. Inne konstrukcje może nie dorównują Sacsayhuaman skalą (choć niewiele mu ustępują), ale wszystkie – w Pisac, Ollantaytambo, Machu Picchu i na dziesiątkach innych stanowisk – wykazują ten sam stopień skomplikowania, niejednokrotnie w połączeniu z trudniejszymi wyzwaniem (takimi jak na przykład położenie daleko od kamieniołomów), jakich nie mieli budowniczy Sacsayhuaman. Wszystkie są doskonałe. Zupełnie jakby – jak powiedział Gamarra – „to było dla nich łatwe”.

Wiem, że Gamarra ma teorię wyjaśniającą to wszystko. Teoria ta głosi, że siła grawitacji była mniejsza w czasie jego pierwszych dwóch „światów” – *Hanan Pacha* i *Uran Pacha* – więc kamienie były mniejsze i łatwiejsze do przemieszczania. Jego zdaniem słabsza grawitacja była związana z tym, że Ziemia krążyła niegdyś po orbitach znacznie bliższych Słońca – po orbicie 225-dniowej i 260-dniowej – nim znalazła się na dzisiejszej, 365-dniowej⁶. Gamarra może mieć rację: najnowsze badania naukowe dowodzą, że orbity planet nie są stałe i stabilne, lecz mogą podlegać radykalnym zmianom, które – między innymi – mają wpływ na dostęp komet do wewnętrznej części Układu Słonecznego⁷.

Ale to nie ta część teorii mnie zainteresowała. Moim zdaniem szczególnie przekonujące są jego obserwacje na temat wyjątkowego charakteru andyjskich monumentów – obserwacje oparte na 50 latach pracy w terenie i 60 latach pracy jego ojca. Obaj Gamarrowie wiedzą, o czym mówią, i mają prawo wypowiadać się na ten temat, a kiedy się wypowiadają, to – mimo że są inkaskiego pochodzenia – ich przesłanie jest jasne: wiele dzieł architektury przypisywanych Inkom nie jest dziełem Inków. Mamy tu ślady zaginionej cywilizacji. A właściwie nie jednej zaginionej cywilizacji, lecz – jeśli przypuszczenia Gamarra są słuszne – dwóch.

– Wszystkie wielkie bloki w Sacsayhuaman pochodzą z okresu Uran Pacha – powiedział. Staliśmy przy narożniku, gdzie styka się około tuzina tych niesamowitych bloków. Gamarra jeszcze raz podkreśla ich zdumiewająco

skomplikowany układ i precyzję, z jaką są do siebie dopasowane, zupełnie jakby użyto do ich obróbki jakiegoś nowoczesnego, mechanicznego narzędzia. Potem zwraca moją uwagę na coś jeszcze. Na powierzchni kilku bloków widać dziwne okrągłe zagłębienia i płytkie bruzdy o wypukłych krawędziach, a także inne, na pozór przypadkowe, wzory.

– Nie ma śladów narzędzi – przypomina. – Żadnych dłut. Żadnych młotków.

– A więc jak to zrobili?

– Czy to nie wygląda – spytał Gamarra – jakby obrabiali kamień, kiedy był miękki? – Przesunął dłonią wzdłuż wielobocznej spoiny. – Jak masło? I mogli go uformować, jak chcieli?

Nagle wszystko stało się dla mnie jasne. Dziwne kształty, które widziałem w skale, byłoby łatwo wykonać, gdyby bloki miały taką konsystencję jak masło w temperaturze pokojowej. Można by nie tylko dopasować je do siebie, ale i czymś przypominającym czubek noża wyryć płytkie bruzdy, a łyżeczką zagłębienia.

To bardzo atrakcyjny pomysł i nie muszę się zagłębiać w teorii Gamarry dotyczące orbit i grawitacji, żeby go dokładniej zrozumieć. Są inne sposoby wyjaśnienia tych wzorów. Na przykład technologia zaginionej cywilizacji mogła być w stanie zmiękczyć skałę na tyle, żeby dało się ją kształtować jak masło. Może przy użyciu wysokich temperatur? Intrygujące badania przeprowadzone w Instytucie Tektoniki i Geofizyki Rosyjskiej Akademii Nauk, we współpracy z peruwiańskim ministerstwem kultury, wskazują, że wapień użyty w megalitycznych konstrukcjach w Sacsayhuaman był poddany temperaturom przekraczającym 900 stopni, a być może nawet 1100 stopni Celsjusza.

Kiedy rosyjscy naukowcy udali się do kamieniołomów, z których miały podobno zostać wydobyte te bloki, znaleźli naturalny wapień zawierający mnóstwo drobnych skamielin. Można było tego oczekiwać, ponieważ wapień jest skałą osadową, która powstawała na dnach prehistorycznych mórz i składa się głównie z resztek maleńkich muszli i mikroskopijnych szkieletów morskich organizmów. Kiedy badacze poddali analizom próbki pobrane z megalitów w Sacsayhuaman, potwierdzili, że skała jest rzeczywiście wapieniem o „wysokiej gęstości”⁸. Co ciekawe jednak, nie było w niej

(...) żadnych widocznych skamielin, a jedynie wyraźnie widoczna drobnoziarnista struktura⁹.

Doszli do wniosku, że bloki były poddane działaniu bardzo wysokich temperatur między momentem, kiedy zostały wydobyte z kamieniołomu a ułożeniem w murze, i była to temperatura wystarczająco wysoka, by

skamieliny zostały zredukowane do bliżej nieokreślonej drobnoziarnistej struktury.

Oczywiście są potrzebne bardziej szczegółowe badania i analizy, aby określić prawdziwą przyczynę efektów termicznych w badanym wapieniu... Ale fakt pozostaje faktem – rekrytalizacja biogenicznego krzemionkowego wapienia w mikrokrystaliczny wapień krzemionkowy. Skutki tego procesu można zobaczyć w materiale tworzącym poligonalne bloki w Sacsayhuaman. W normalnych warunkach przyrodniczych taki proces jest absolutnie niemożliwy¹⁰.

„Jakaś magia czuwała nad jego budową...”

Wspięliśmy się z Jesusem Gamarrą po schodach ponad megalityczne mury, aż wyszliśmy na zbocze i mogliśmy podejść do rozpadających się ruin, którymi usiany jest szczyt.

– To przykład tego – powiedział Gamarra, wskazując na ruiny – co powstawało w okresie Ukun Pacha; dzieło Inków.

Niektóre z tych budowli, jak przyznał, na przykład konstrukcja składająca się z trzech koncentrycznych murów na planie koła, są bardzo solidnie zbudowane. Inkowie nazywali ją *Muyuc Marca* – wyjaśnił. Była to wieża, niegdyś wznosząca się na wysokość 30 metrów, służąca jako rezydencja władcy, którego tytuł brzmiał „Inka”. Dopiero później cały naród zaczęło określać mianem Inków.

Gamarra twierdzi, że budowle takie jak *Muyuc Marca* były szczytem możliwości Inków. A jednak są one tak wyraźnie gorszej jakości niż megality – i tak od nich różne – że trzeba je uznać za dzieło innej kultury.

Co ciekawe, choć takie idee są przez dzisiejszych archeologów uważane za herezję, zupełnie inaczej było, kiedy prowadzono w Andach pierwsze naukowe badania, na przełomie XIX i XX wieku. Na przykład wielki geograf, sir Clements Markham, który podróżował po Peru i napisał klasyczne studium *The Incas of Peru* [Inkowie z Peru], stwierdził, że „Inkowie nic nie wiedzieli” o pochodzeniu Sacsayhuaman.

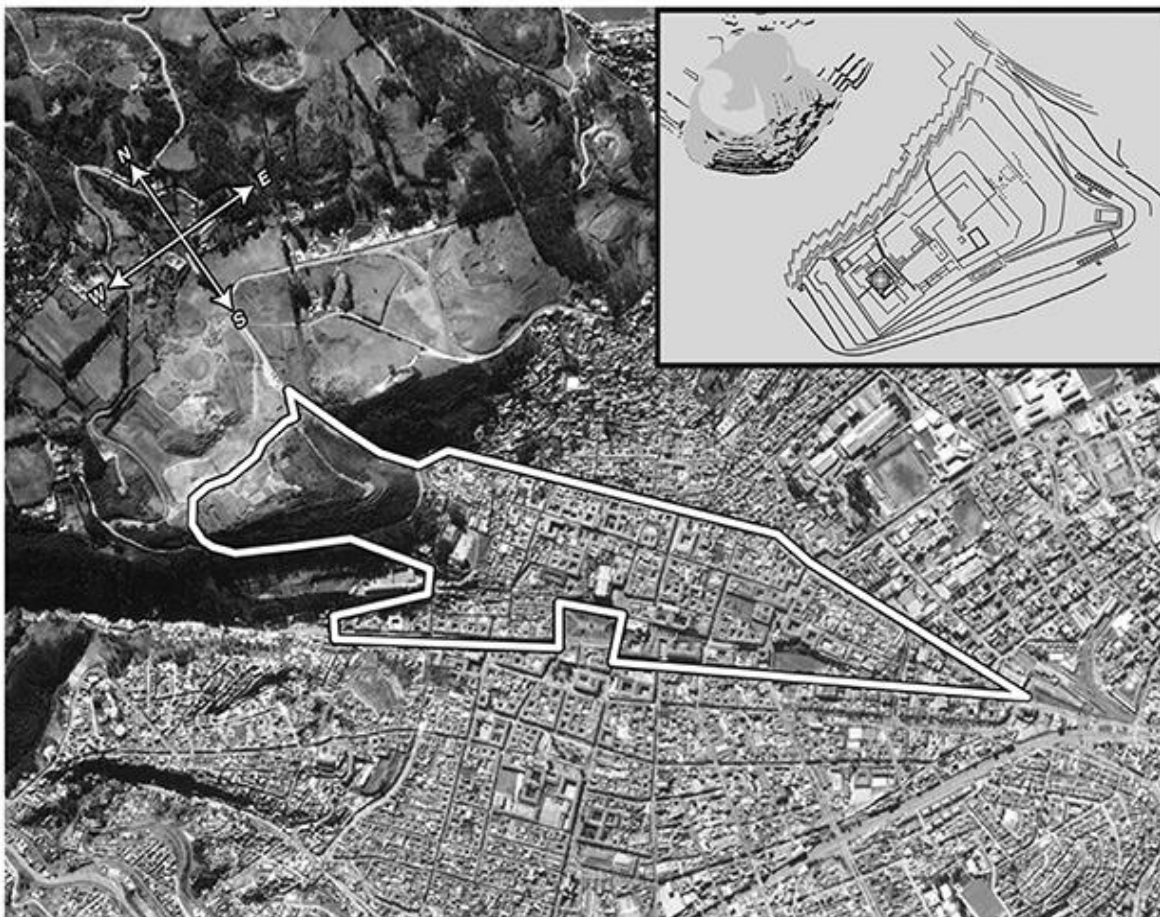
Garcilaso wspomina o wieżach, murach i bramach zbudowanych przez Inków i nawet podaje imiona architektów; ale chodziło tu o późniejsze fortyfikacje wzniesione w obrębie wielkiej cyklopiej forticy. Zewnętrzne mury musimy datować na epokę megalityczną. Na całym świecie nie ma niczego, co można by z nimi porównać¹¹.

„Garcilaso” wspomniany przez Markhama to kronikarz Garcilaso Inca de la Vega, syn hiszpańskiego konkwistadora i inkaskiej księżniczki. Takie pochodzenie dawało mu dostęp do oryginalnych inkaskich przekazów, zwłaszcza że urodził się i wychował w Cuzco, a jego ojczystym językiem był

keczua, język Inków. Gdyby megalityczne konstrukcje w Sacsayhuaman powstały niedawno, w granicach 100 lat przed narodzeniem Garcilasa, wspomnienia o takim dokonaniu byłyby jeszcze świeże, mogliby nawet żyć jeszcze naoczni świadkowie budowy. Ale Garcilaso nie wspomina o niczym takim, a jako wyjaśnienie tego, co nazywa „zagadką jeszcze większą niż siedem cudów świata”, wskazuje jedynie magię. Oto co napisał na temat Sacsayhuaman w swoich *Królewskich komentarzach*:

Nie sposób sobie wyobrazić jego proporcji, jeśli się go nie zobaczyło; a kto obejrzał je uważnie i dokładnie zbadał, temu wyda się tak nadzwyczajne, jakby jakaś magia czuwała nad jego budową; jakby musiało być dziełem demonów, a nie ludzkich istot... Kiedy pomyślimy, że to niebywałe dzieło zostało wykonane bez użycia choćby jednej maszyny, to czyż nie stanowi ono jeszcze większej zagadki niż siedem cudów świata? Jak możemy wyjaśnić fakt, że owi peruwiańscy Indianie byli w stanie rozbijać, rzeźbić, podnosić, przesuwać i opuszczać tak ogromne bloki kamienia, które są bardziej kawałkami góry niż kamieniami budowlanymi, i że dokonali tego, jak powiedziałem wcześniej, bez pomocy choćby jednej maszyny albo instrumentu? Takiej zagadki nie da się rozwiązać bez pomocy magii¹².

Czy znowu mamy przed sobą dzieło Magów Bogów? Skoro pamiętamy, że wielka świątynia w Edfu w Górnym Egipcie była dedykowana bogu Horusowi, którego czasem przedstawiano jako sokoła, a czasem jako lwa, powinno nas zainteresować, że sama nazwa Sacsayhuaman oznacza sokoła (a mówiąc ściślej, znaczy „Zadowolony Sokół”). Poza tym dawno już ustalono, że Sacsayhuaman jest częścią wielkiego geoglifu, niegdyś widocznego z okolicznych górskich szczytów: wraz z najstarszymi dzielnicami Cuzco tworzy sylwetkę ogromnego kota – pumy, najbliższego krewnego lwa w Nowym Świecie. Rzeka Tullumayo (obecnie poprowadzona pod miastem podziemnym tunelem) tworzyła kręgosłup tego starożytnego lwa. Torsiem był obszar między Tullamayo na wschodzie a rzeką Huatnay (dzisiaj także płynącą pod ziemią) na zachodzie. W Sacsayhuaman wciąż można rozpoznać głowę lwa. Zygzakowate mury, które Jesus Gamarra datuje na drugą (*Uran Pacha*) erę cywilizacji w Andach, tworzą górną linię głowy i pyska, skierowanego dokładnie na zachód, w stronę punktu zachodu słońca w dniu równonocy, podobnie jak Wielki Sfinks w Gizie patrzy dokładnie na wschód, w stronę punktu wschodu słońca w dniu równonocy¹³.



Il. 62. Puma w Cuzco-Sacsayhuaman.

Legendy, które wydają się znajdować potwierdzenie w najnowszych badaniach wykopaliskowych, mówią o sieci podziemnych tuneli pod Sfinksem, w których mają podobno być ukryte tajemnicze światła¹⁴. Praktycznie identyczne legendy – również potwierdzone przez wykopaliska – mówią o labiryncie niezmiernie długich tuneli pod głową lwa w Sacsayhuaman, „do których ludzie wchodzili i ginęli na zawsze albo wychodzili bełkoczący, szaleni, ściskając w rękach skarby”¹⁵.

Zanim opuściliśmy Sacsayhuaman, Jesus Gamarra zabrał mnie w bardzo dziwne miejsce położone kilkaset metrów na północny wschód od megalitycznych murów, gdzie wąskie schody o kilkunastu stopniach wyglądają, jakby były odlane, a nie wykute, pośrodku ogromnego głazu, o wysokości i szerokości około sześciu metrów. Schody, kiedy zostały wykonane, były widoczne tylko z góry, ale głaz pękł na dwie części – w wyniku trzęsienia ziemi, jak sądzi Gamarra – z których jedna stoi pionowo,

druga zaś opiera się o nią pod kątem około 40 stopni, dlatego schody są widoczne, kiedy zbliżamy się do nich na poziomie gruntu. W miejscu, gdzie najniższy stopień pierwotnie stykał się z ziemią, Gamarra pokazuje mi wejście do czegoś, co wygląda jak głęboka, ciemna dziura, całkowicie zasypana kawałkami skały.

– To tunel – wyjaśnia. – Biegnie pod ziemią aż do Cuzco, ale rząd zasypał wejście, żeby ludzie tam nie wchodzili.

Misja cywilizacyjna

W ciągu następnych kilku dni Jesus Gamarra pokazał mi jeszcze więcej dowodów na potwierdzenie jego teorii. Rzeczywiście, kiedy zrozumiałem jego tok myślenia, wszędzie dookoła widziałem dowody.

W centrum Cuzco – ta nazwa oznacza „pępek ziemi” w języku Inków, keczua – Gamarra zabrał mnie do starożytnej świątyni zwanej Coricancha, która po hiszpańskim podboju została przekształcona w katedrę. Świątynia była wykorzystywana przez Inków, a właściwie pełniła kluczową rolę w ich życiu religijnym, lecz Gamarra nie wierzy, że to Inkowie ją zbudowali. Jego zdaniem przeprowadzili tylko kilka napraw i dodali parę pomniejszych struktur, ale większość murów, precyzyjnie wzniesionych ze starannie przyciętych, wypolerowanych bloków szarego granitu, pochodzi z okresu *Uran Pacha* („drugiego świata”), tysiące lat przed Inkami. Gamarra niechętnie podaje dokładniejsze daty, ale sugeruje, że Coricancha została wybudowana „ponad 20 000 lat temu, dla uczczenia jeszcze starszej monolitycznej struktury z *Hanan Pacha* („pierwszego świata”) – oryginalnego „kamienia pępka”, od którego pochodzi nazwa miasta¹⁷.

Inkowie przechowali legendę, przekazaną nam przez Garcilasa de la Vege, o założeniu Cuzco. Wydaje się, że świat dotknął jakiś kataklizm, jakaś katastrofa, co postawiło mieszkańców Andów w tragicznej sytuacji. Garcilaso usłyszał od swojego wuja, inkaskiego arystokraty, że ludzie w tamtych zamierzchłych czasach „żyli jak dzikie bestie, bez ładu i religii, bez osad i domów, pól ani ubrań... Mieszkali w grotach i jaskiniach i jak dzikie zwierzęta żywili się trawą, korzeniami, owocami, a nawet ludzkim mięsem... Widząc stan, w jakim się znaleźli, nasz ojciec Słońce wstydził się za nich i postanowił wysłać jednego ze swych synów i jedną z córek z nieba na ziemię”, aby przynieśli im dar cywilizacji i nauczyli ich „podporządkowywać się jego prawom i zaleceniom... budować domy i gromadzić się w osadach”¹⁸.

Ta królewska para – gdyż, podobnie jak Ozyrys i Izyda, byli nie tylko rodzeństwem, ale i małżeństwem – podróżowała po ziemi ze złotym prętem; dostali go od boga słońca, który polecił im wbijać go w ziemię w różnych miejscach; tam, gdzie pręt bez trudu wbije się w ziemię, mieli założyć miasto. W końcu „Inka i jego żona weszli do doliny Cuzco. Tam [w miejscu zwanym *Cuzco Cara Urumi*, czyli »Odkrytym Kamieniem Pępka«] sprawdzili swoim prętem, który nie tylko wbił się w ziemię, ale zniknął w niej zupełnie... Tak powstało nasze cesarskie miasto”¹⁹.

Znajdujemy tu bezpośrednią analogię do historii zaratusztriańskiego patriarchy Jimy, o którym była mowa w rozdziale siódmym, który dostał od boga złoty sztylet i który także wbił w ziemię, dokonując aktu założycielskiego cywilizacji.

A cóż to za cywilizacja rozkwitała w Andach! Niewątpliwie tak nieprzeciętne osiągnięcie, jakim było wzniesienie gigantycznych konstrukcji Coricancha, wskazuje na zastosowanie czegoś więcej niż przeciętne umiejętności. Wielkie granitowe bloki zostały tak precyzyjnie przycięte – Gamarra twierdzi, że odlane – że wielkie wewnętrzne komory sprawiają wrażenie raczej elementów jakiegoś gigantycznego, wymyślnego mechanizmu niż świątyni. Wrażenie to dodatkowo pogłębiają wycięte w kilku blokach serie skomplikowanych bruzd, kanałów, otworów i nisz, które nadają im wygląd drukowanych obwodów, z których usunięto elektroniczne elementy, pozostawiając tylko puste ścieżki.

Po kilku godzinach spędzonych wewnątrz Coricancha Gamarra zabrał mnie na zewnątrz, na pobliską ulicę Loreto, gdzie obiecał mi pokazać szczególnie obrazowe potwierdzenie swojej teorii. Ulica Loreto jest wąska, flankowana przez wysokie mury, zwieńczone współczesnymi sztukateriami. W murach tych wyraźnie widać cztery różne style kamieniarki. Dwa z nich pochodzą z czasów inkaskich, *Ukun Pacha*, jeden z okresu kolonialnego, około XVII lub XVIII wieku, jeden zaś sięga czasów *Uran Pacha*.

W dużej części muru po jednej stronie ulicy znajdują się granitowe bloki, dokładnie tak samo starannie przycięte i dopasowane, jak te w Coricancha. Ta część muru jest zewnętrzną elewacją jednego z dużych pomieszczeń w Coricancha, a więc – jak twierdzi Gamarra – pochodzi z okresu *Uran Pacha*. Szczeliny między blokami są tak wąskie, a jednocześnie tak skomplikowane, z zazębiającymi się elementami, że istotnie wyglądają, jakby były odlane z formy. Poza tym – i już wcześniej pokazywał mi podobne przykłady w Sacsayhuaman – wzdłuż spoin widać dziwny szklisty połysk, który zdaniem Gamarry jest świadectwem „zeszklenia spowodowanego przez wysoką temperaturę”. Gamarra przekonująco dowodzi, że ten połysk różni się od

takiego, który jest wynikiem wypolerowania kamienia przez dłonie niezliczonych przechodniów, dotykających i pocierających go w ciągu setek lat. Rzeczywiście, „zeszklone” elementy – choć nie twierdzą, że właśnie tym są – są pokryte rodzajem przezroczystej powłoki, co jest szczególnie dobrze widoczne na blokach pękniętych lub uszkodzonych.

Obok bloków z okresu *Uran Pacha*, choć nie sięgają tej samej wysokości, znajdują się inne – na pierwszy rzut oka podobne, lecz jeśli przyjrzeć się dokładniej, można zauważyć, że są mniej starannie wykonane, z wyraźnymi śladami narzędzi, bez szklanego połysku i z szerokimi szczelinami w niektórych spoinach.

– Dobra robota *Ukun Pacha* – skomentował Gamarra. – Zbudowane przez Inków. Starali się, jak umieli, naśladować styl *Uran Pacha*, ale nie do końca im się udało i ich konstrukcje były coraz gorszej jakości.

Pokazał mi cztery warstwy nieregularnych kamieni w wyższej części muru, ze spoinami wypełnionymi gliną.

– Okres kolonialny – wyjaśnił.

Na koniec zabrał mnie na drugą stronę ulicy i pokazał długi odcinek muru wzniesionego bez zaprawy. Kamienie zostały z grubsza ociosane, ale nie dopasowane do siebie dokładnie; szerokie szczeliny między nimi wypełniono gliną.

– Zbudowane przez Inków – wyjaśnił Gamarra.

– A co o tym myślą archeolodzy? – spytałem.

Uśmiechnął się szeroko.

– Rozpoznają kolonialne mury, ale wmówili sobie, że wszystko inne jest dziełem Inków. Tak głęboko wierzą, że nie było żadnej wcześniejszej, bardziej zaawansowanej cywilizacji, że nie dostrzegają ogromnych różnic między blokami *Uran Pacha* a rzemiosłem inkaskim.

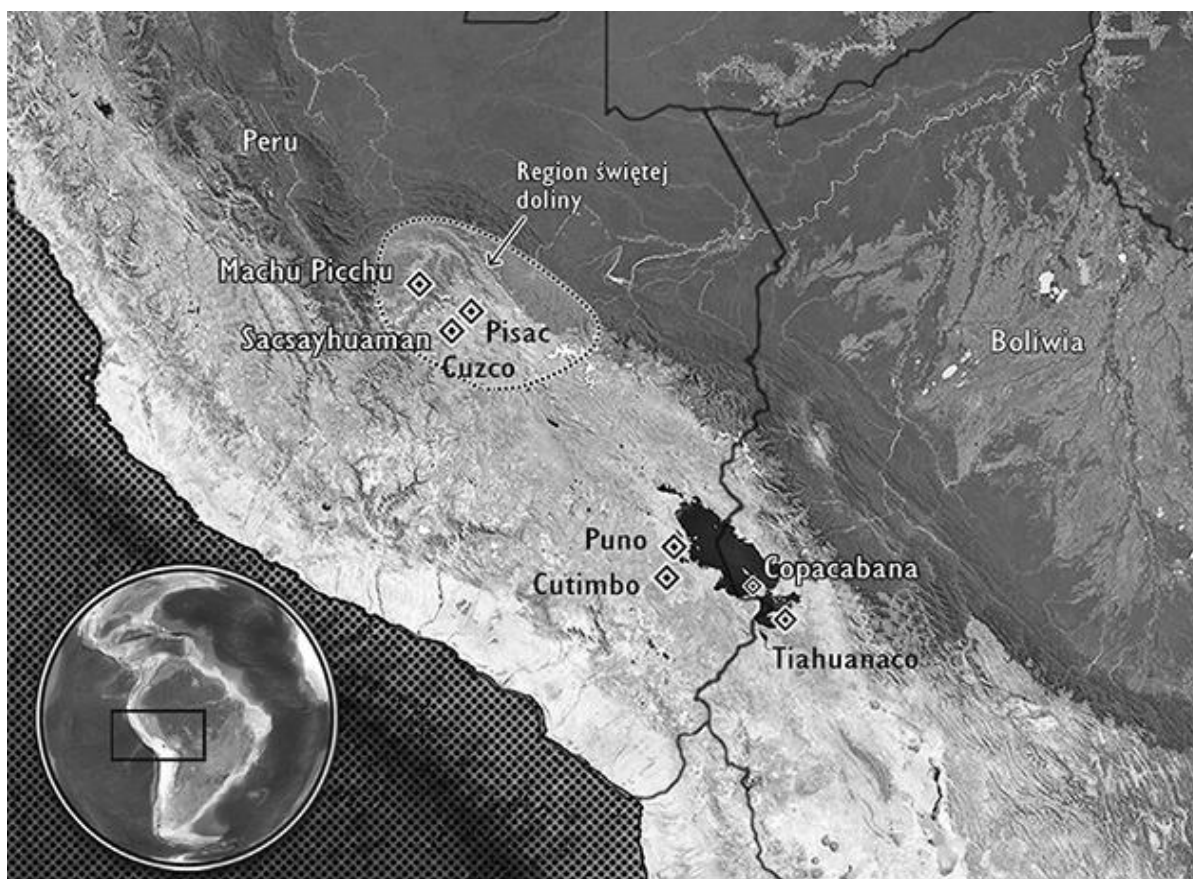
– Jak przypuszczam, fakt, że sami Inkowie starali się naśladować styl *Uran Pacha*, przynajmniej w tej sekcji, dodatkowo utrudnia sprawę?

– Tak, utrudnia. Ale i tak powinni to widzieć. Tak wielkie zmiany w jakości wykonania, zwłaszcza jeśli dowody widać wszędzie w okolicy, powinny ich przekonać, że brały w tym udział różne kultury.

Święta dolina

Piękne megalityczne mury *Coricancha* Gamarra kojarzy z okresem *Uran Pacha*, ale w pobliżu znajduje się wiele budowli, które uważa on za dzieło

Hanan Pacha – najstarszej fazy andyjskiej cywilizacji – gdzie kamienne obiekty są całkowicie monolityczne. Kilka wielkich skalnych wzniesień ukształtowano w dziwaczne zespoły schodów, tarasów i nisz. W Qenko, jednej z takich skał niedaleko Sacsayhuaman, liczne bruzdy i kanały w kształcie węży wiją się na bokach tajemniczej kopuły pełnej jaskiń, półek, przejść i ukrytych nisz. Na samym szczycie, również wykuty – albo odlany – znajduje się owalny występ zwieńczony dwoma niskimi „kołkami”. Widać też zarysy różnych zwierząt – pumy, kondora, lamy – i mnóstwo tarasów oraz schodów prowadzących donikąd.



Il. 63.

Poszliśmy na inną rzeźbioną skałę, wysoką na około 100 metrów, znaną w okolicy jako Świątynia Księżyca. U podstawy skały znajduje się ciemna, tajemnicza szczelina prowadząca do wnętrza. Przy jej krawędzi, mniej więcej na wysokości ramion, wije się rzeźbiony wąż o dziwnej, pękatej głowie. Na prawo od wejścia skała ma kształt głowy słonia, z trąbą, oczami i uszami. Co

do węża, nie ma wątpliwości, ale czy słoń nie jest przykładem czegoś, co psychologowie nazywają *pareidolią* – skłonnością do dopatrywania się znajomych kształtów i wzorów, które w rzeczywistości nie istnieją? A może jakiś zręczny artysta w starożytności naprawdę wyrzeźbił kształt słonia wyłaniającego się ze skały? Jeśli tak, to historycy mają problem, ponieważ ostatni gatunek spokrewniony ze słoniem, jaki mógł być tutaj przedstawiony – *Cuvieronius* – wymarł w Ameryce Południowej co najmniej 6000 lat temu, zaś Inkowie, którzy podobno są twórcami Świątyni Księżyca, pojawili się niecały 1000 lat temu.

Dokładniej zajmiemy się słoniem i wężem nieco później. Tymczasem, kiedy pochylony przechodziłem przez szczelinę do wnętrza świątyni, zauważyłem przy moich stopach kolejne kamienne zwierzę – tym razem pumę, nieco uszkodzoną.

Poczułem się, jakbym wszedł do łona góry; ogarnęła mnie aksamitna ciemność. Jaskinia ma 5 metrów szerokości i jest kręta i jakby organiczna, ale po mojej lewej stronie w ścianie wykuto kilka głębokich nisz, zaś 20 metrów przed nami złocisty snop światła wpada przez jakiś otwór w skale powyżej, oświetlając kamienny cokół, wysoki na około pół metra, z dwoma dużymi stopniami. Wszedłem na cokół i oparłem się o skałę, pogrążony w myślach.

Gamarra twierdzi, że to miejsce pochodzi z najstarszej epoki *Hanan Pacha*, która nie ma nic wspólnego z Inkami i była o tysiące lat wcześniejsza od *Uran Pacha*, kiedy powstały megality Sacsayhuaman i oszałamiająca konstrukcja Coricancha. Rozglądając się dookoła, byłem coraz bardziej skłonny przyznać mu rację. Ludzie, którzy wykonali tę świątynię w jaskini, nie byli tymi samymi, którzy zbudowali Coricancha. Nie chodzi tylko o różnicę w stylach architektury, ale o zupełnie inną etykę, innego ducha.

Ze Świątyni Księżyca udaliśmy się wprost do Pisac, położonego w odległości 18 kilometrów wzdłuż krawędzi Świętej Doliny rzeki Vilcanota. Jej wody skrzyły się w dole, gdy jechaliśmy przez widowiskowy górski krajobraz, szmaragdowy od niezliczonych stworzonych przez Inków żyznych teras, które przyniosły ich imperium wielkie bogactwo. Nakład pracy, jakiego wymagało zaplanowanie i zbudowanie tysięcy schludnych murów oporowych ograniczających te terasy – które znajdują się w każdym dostępnym miejscu, jak Andy długie i szerokie – zapiera dech w piersiach. Podobnie jak wiele innych aspektów inkaskiej cywilizacji, której zasług absolutnie nie zamierzam umniejszać sugestią, że istniały wcześniejsze od niej kultury. Wręcz przeciwnie – przypuszczam, że Inkowie byli tak niezwykli po części właśnie dlatego, że odziedziczyli z przeszłości niebywałą spuściznę wiedzy i nauki.

Tak więc wśród naturalnego piękna przyrody w Świętej Dolinie zwiedzaliśmy Pisac – stanowisko mniej sławne, lecz pod wieloma względami bardziej spektakularne niż Machu Picchu, leżące 70 kilometrów dalej na północny zachód.

Podobnie jak w Machu Picchu, centralnym obiektem w Pisac, wokół którego wszystko inne wydaje się skupione, jest Intihuatana (to słowo oznacza „miejsce ukrycia słońca”) – potężny występ skalny ukształtowany ludzkimi rękami w stylu, który Gamarra nazywa *Hanan Pacha*, z zegarem słonecznym na szczycie. Wokół niego, niekiedy wtopione w jego powierzchnię, stoją mury z pięknie uformowanych wielobocznych bloków w późniejszym stylu *Uran Pacha*, które wydają się mieć na celu osłanianie i chronienie *Intihuatany*. Wokół nich zaś znajdują się znacznie prostsze, mniej starannie wykonane konstrukcje w inkaskim stylu *Ukun Pacha*.

– Każda z tych kultur – wyjaśniał Gamarra – poważała i czciła swoją poprzedniczkę. Ludzie wyrażali swój szacunek, budując wokół i na dziełach poprzedników, a także starając się je naśladować. Jak pokazałem ci na ulicy Loreto, Inkowie naśladowali styl *Uran Pacha*, lecz nie mieli wiedzy albo odpowiednich warunków, by robić to dobrze.

Przez „odpowiednie warunki” Gamarra rozumie mniejszą siłę grawitacji i większą podatność kamienia na kształtowanie, co przewiduje jego teoria, ale ja nie muszę podzielać tej opinii, żeby przyznać, że jego obserwacje dotyczące różnych stylów architektury oraz ich prawdopodobnego pochodzenia z różnych kultur, nadają sens wszystkiemu, co mogłem oglądać.

Widziałem o wiele więcej przykładów tych trzech wyraźnie różnych stylów, czasem oprowadzany przez Gamarrę, czasem nie. Samo Machu Picchu, o którym pisałem obszernie w poprzednich książkach, jest oczywiście archetypem stylu *Hanan Pacha*, przejętym i rozbudowanym przez późniejsze kultury. Jest też tajemnicza mała jaskinia ponad odciętą od świata doliną, której dnem biegnie linia kolejowa łącząca Cuzco z Machu Picchu²⁰. Żeby się do niej dostać, trzeba się wspiąć prawie 300 metrów w górę po niemal pionowym zboczu doliny, wąską ścieżką, ale to, co możemy tam zobaczyć, jest warte każdego wysiłku. W przedniej części jaskini (patrz zdjęcie 60. we wkładce) w czarnym andezytowym gładzie została wyrzeźbiona (lub odlana?) dziwnie wyglądająca kaplica ozdobiona motywem schodkowej piramidy.

Łowcy skarbów już tu dotarli i wysadzili kaplicę dynamitem, ale ocalało dość, by dać pojęcie o tym, jak piękna musiała być niegdyś. Jaskinia jest utrzymana w tym samym stylu *Hanan Pacha*; jedna jej ściana jest gładka, wykuto w niej niszę o idealnie prostych krawędziach, jakby wyciętą jakąś nowoczesną maszyną. Ale po drugiej stronie – na prawo ode mnie, kiedy

wychodzę z jaskini – wznosi się inkaski mur z nierównych kamieni spojonych gliną. W tym nierównym murze uformowano sześć nisz, wyraźnie starając się naśladować precyzję wykutej w skale niszy naprzeciwko. Jakość i styl wykonania są tak odmienne, że moim zdaniem nie ma sensu twierdzenie – dziś powszechnie zaakceptowane – że obie części stworzyła ta sama kultura. Teoria Gamarry, że Inkowie czcili i próbowali kopiować dzieło wcześniejszej cywilizacji, o wiele bardziej pasuje do świadectw, które miałem przed oczami.

Déja`vu

Opuszczając Peru i kierując się do Boliwii, zatrzymaliśmy się w miasteczku Puno nad brzegiem jeziora Titicaca, 3812 metrów nad poziomem morza, a stamtąd pojechaliśmy 22 kilometry na południe, na widowiskowy płaskowyż na wysokości 4023 metrów, na którego szczycie znajduje się stanowisko archeologiczne Cutimbo. Najbardziej charakterystyczny element tego stanowiska: kilka wysokich wież – niektóre na planie koła, inne kwadratu – zwanych *chullapas*, są dobrze widoczne z drogi. Uważa się, że powstały jako grobowce dla arystokratów miejscowej kultury Indian Lupaka, którzy byli wasalami Inków między 1470 a 1532 rokiem²¹. Niewątpliwie w tym okresie złożono w *chullapas* pochówki²², ale musimy wziąć pod uwagę możliwość, że wykorzystano w tym celu znacznie starsze wieże, wzniesione ze starannie dopasowanych, wielobocznych bloków, typowych dla stylu *Uran Pacha* według Jesusa Gamarry.

Zacząłem się już przyzwyczajać do rozrzedzonego andyjskiego powietrza, ale żeby dostać się na szczyt płaskowyżu, trzeba przejść długą drogę wśród pożółkłej trawy w palącym porannym słońcu. Jednak kiedy stanęliśmy na szczycie, natychmiast zapomniałem o zmęczeniu, ponieważ zacząłem znajdować – a Santha fotografować – naprawdę interesujące wyobrażenia wyrzeźbione w wypukłym reliefie na ścianach wielu wież i na luźnych blokach porozrzucanych tu i ówdzie za sprawą poszukiwaczy skarbów.

To właśnie te wyobrażenia – na drugim końcu świata – między innymi kamiennego węża w Świątyni Księżycy przypomniałem sobie nagle rok później w muzeum w Şanlıurfi, oglądając reliefy z Göbekli Tepe. Czytelnicy zapewne wyrobią sobie własne zdanie na podstawie zdjęć 61–72, ale pewne zbieżności są oczywiste.

²¹ W Göbekli Tepe wyrzeźbiono w reliefie stworzenie, przez Klause Schmidta opisane jako drapieżnik o rozpostartych szponach i potężnych barkach, z ogonem wygiętym w lewo,

ponad tułowiem. Bardzo podobne zwierzę można zobaczyć w Cutimbo – z podobnie rozczapierzonymi pazurami, choć ogon ma wygięty w prawo zamiast w lewo.

I w Göbekli Tepe, i w Cutimbo znajdują się reliefy przedstawiające salamandry i węże. Styl reliefu jest w obu przypadkach bardzo podobny.

Mniej więcej na poziomie genitaliów tak zwanego Totemu z Göbekli Tepe widać niewielką głowę i dwie ręce. Głowa ma bardzo zdecydowany wygląd, o wyraźnie zarysowanych brwiach. Długie palce dłoni niemal się stykają. Pozycja przypomina mężczyznę wychylającego się z kamienia i uderzającego w bębenek. W tej samej pozycji przedstawiono dwie postacie w Cutimbo, wyłaniające się z wypukłego bloku w jednej z okrągłych wież. Mają one taki sam zdecydowany wyraz twarzy i wydatne łuki brwiowe, jak figura na „Totemie”.

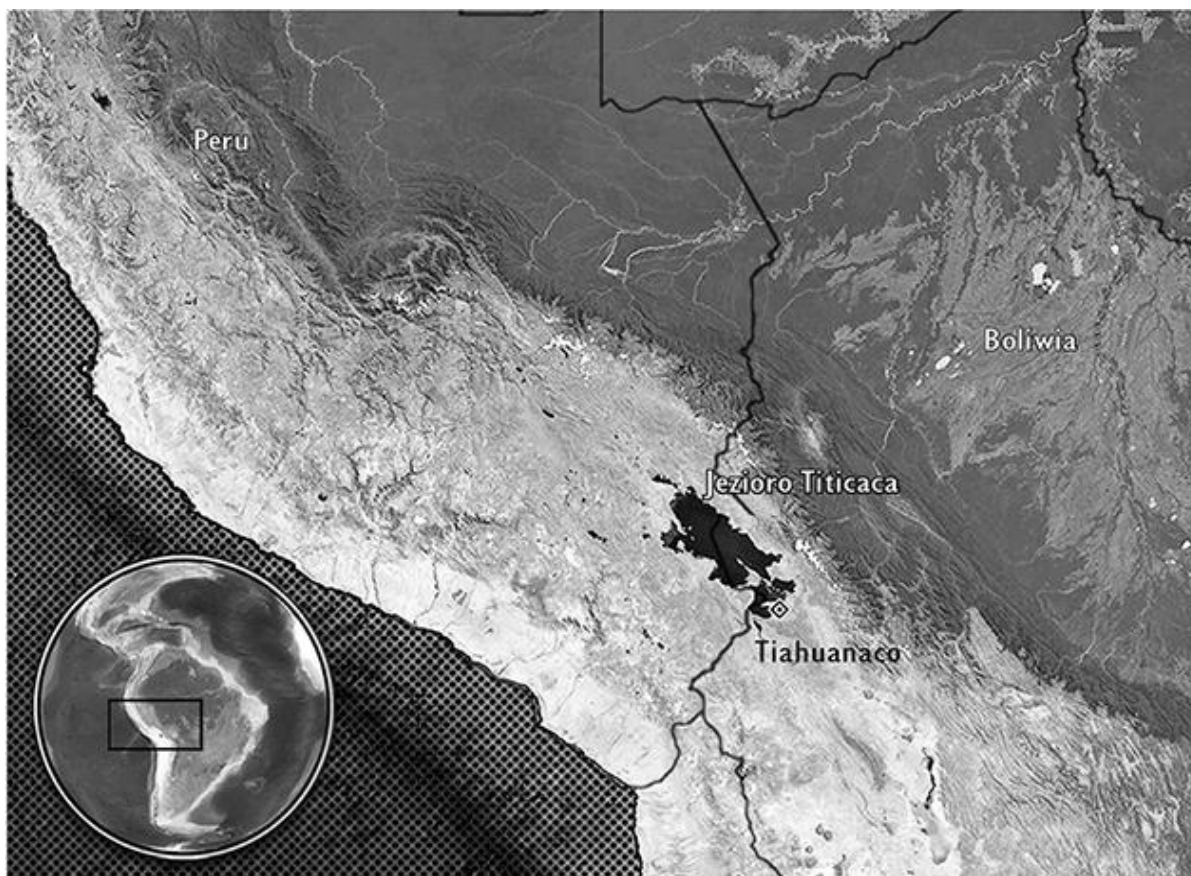
Dwa węże na bokach „Totemu” mają niezwykle duże głowy, przez co wyglądają niemal jak plemniki. Bardzo podobny wąż wyłania się z ciemnego, wąskiego wejścia do Świątyni Księżyca ponad Cuzco.

W reliefach w Göbekli Tepe występują lwy, w Cutimbo – pумы; sposób przedstawienia tych zwierząt jest bardzo podobny.

Nie wiem, co sądzić o tych podobieństwach. Czy to tylko zbieg okoliczności? Możliwe. Ale i zastanawiające.

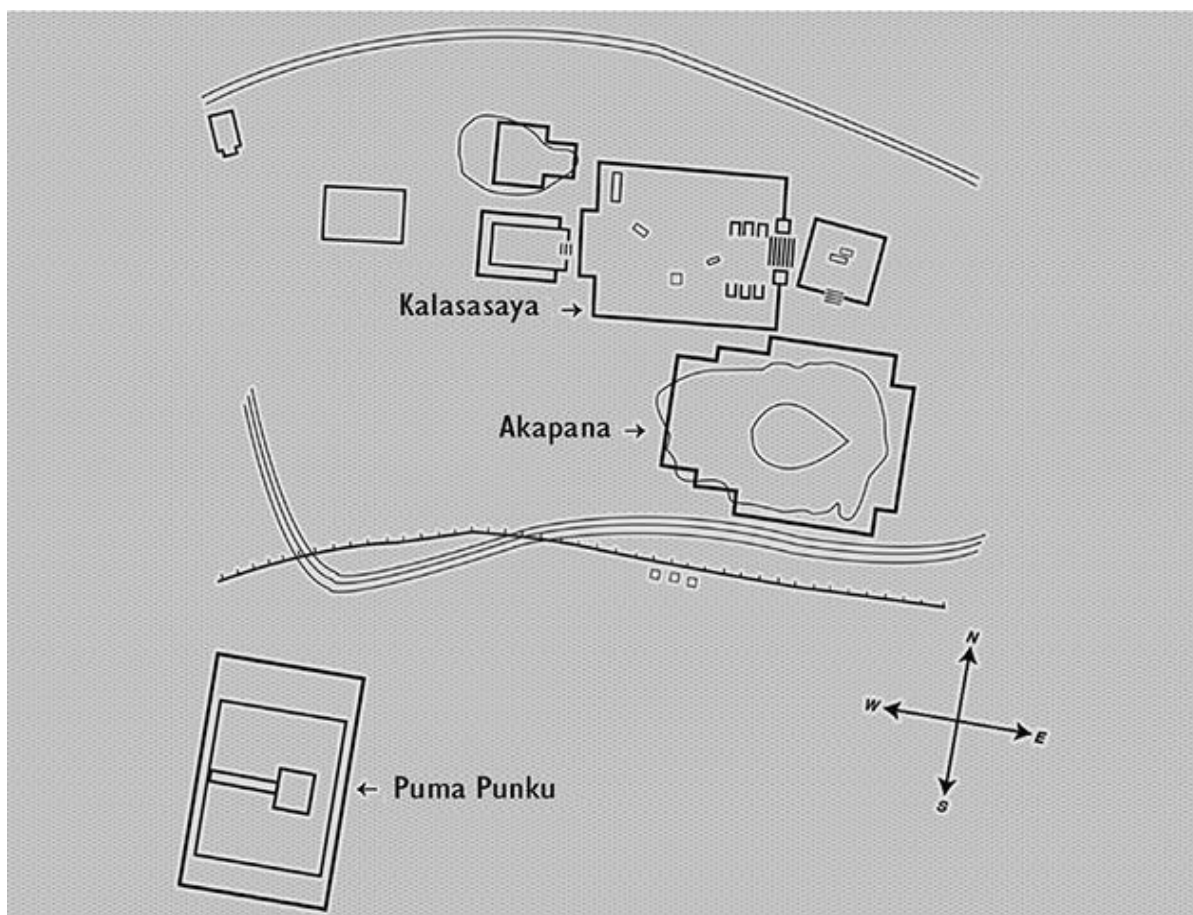
Miasto Wirakoczy

Przejście lądowej granicy między Peru i Boliwią jest sporym wyzwaniem z powodu rozbudowanej biurokracji i długich kolejek, ale w pobliżu znajduje się miasteczko o uroczej nazwie Copacabana z bardzo wygodnym hotelem nad jeziorem Titicaca. Gdybyśmy mieli więcej czasu, moglibyśmy wybrać się stamtąd łodzią na Wyspy Słońca i Księżyca, ale byliśmy na nich już kilka razy i teraz nie były celem naszej podróży. Jest nim Tiahuanaco na Altiplano, na wysokości 3900 metrów nad poziomem morza, niedaleko południowo-wschodniego brzegu tego ogromnego jeziora.



Il. 64.

Ortodoksyjna archeologia datuje Tiahuanaco na okres między 1580 rokiem p.n.e. a 740 rokiem n.e., ale w *Śladach palców bogów* i *Zwierciadle niebios* sugerowałem, że może się ono okazać o tysiące lat starsze. Do dzisiaj odkopano niecałe 2 procent stanowiska i sądzę, że dalsze prace wymuszą zmianę archeologicznego paradygmatu. Może zapowiedzią tego, co nadchodzi, był fakt, że 27 marca 2015 roku boliwijskie Tiahuanaco Archaeological Research Center poinformowało, że testy georadarowe ujawniły istnienie „pogrzebanej piramidy” we wcześniej niebadanej części stanowiska, a także „liczne podziemne anomalie”, które interpretuje się jako monolity. Obecnie trwa 5-letni program prac archeologicznych, mających poszerzyć naszą wiedzę o tych tajemniczych strukturach²³.

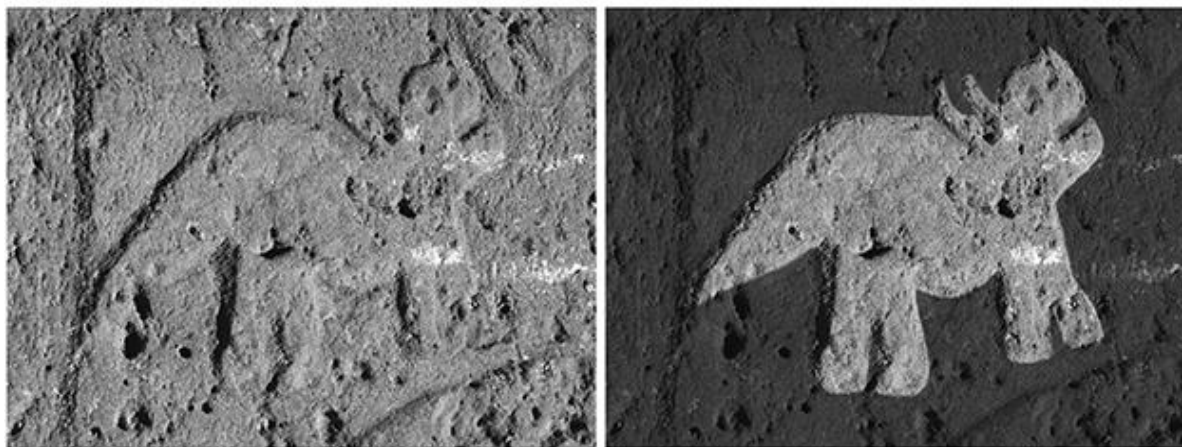
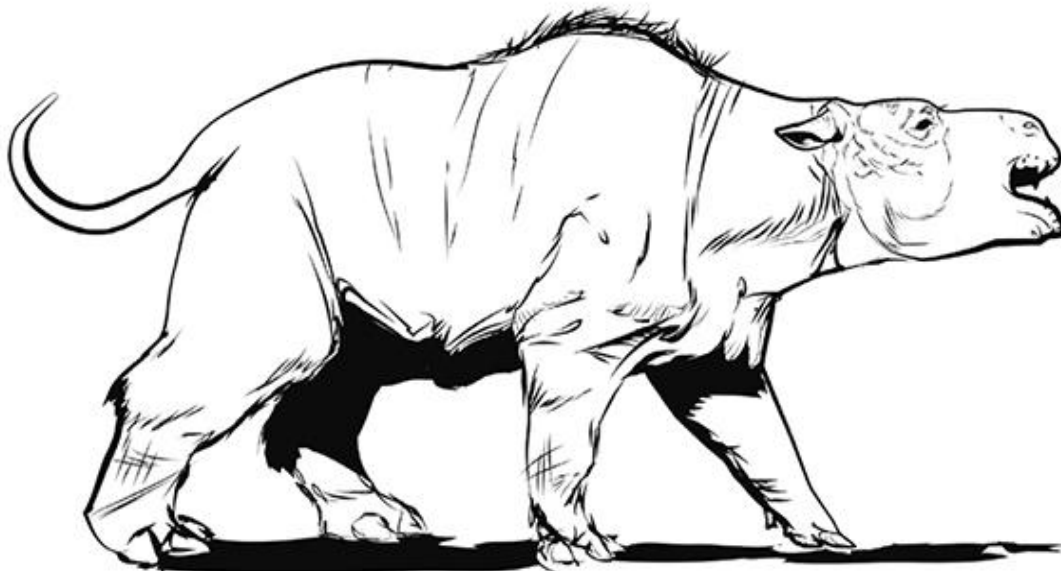


Il. 65.

Ponieważ w moich wcześniejszych książkach opisałem szczegółowo Tiahuanaco, wydaje mi się, że nie ma potrzeby powtarzać tutaj takiego opisu. Będąc tam w październiku 2013 roku, miałem okazję znacznie dokładniej niż poprzednio obejrzeć wykonane z maszynową precyzją megality na ogromnej platformie Puma Punku oraz sposób, w jaki cięto kamienne bloki – a może odlewano, jak zapewne powiedziałyby Jesus Gamarra. Podobnie jak w Coricancha, znalazłem wiele megalitów, które przypominają obwody drukowane pozbawione elementów elektronicznych. Inne mają wgłębienia w kształcie krzyża i wyglądają, jakby były częściami jakiegoś urządzenia – na przykład jakby miały być w nich umieszczone metalowe osie lub elementy mocujące, które dawno temu zniszczyła korozja lub zabrali złodzieje.

Szczególne wrażenie zrobiły na mnie – może dlatego, że nie obejrzałem ich w czasie poprzednich wizyt – rzędy identycznych, potężnych andezytowych bloków, jakby odcisniętych w tej samej formie, mających kształt litery H. Trudno oprzeć się skojarzeniu z motywem przypominającym literę H w

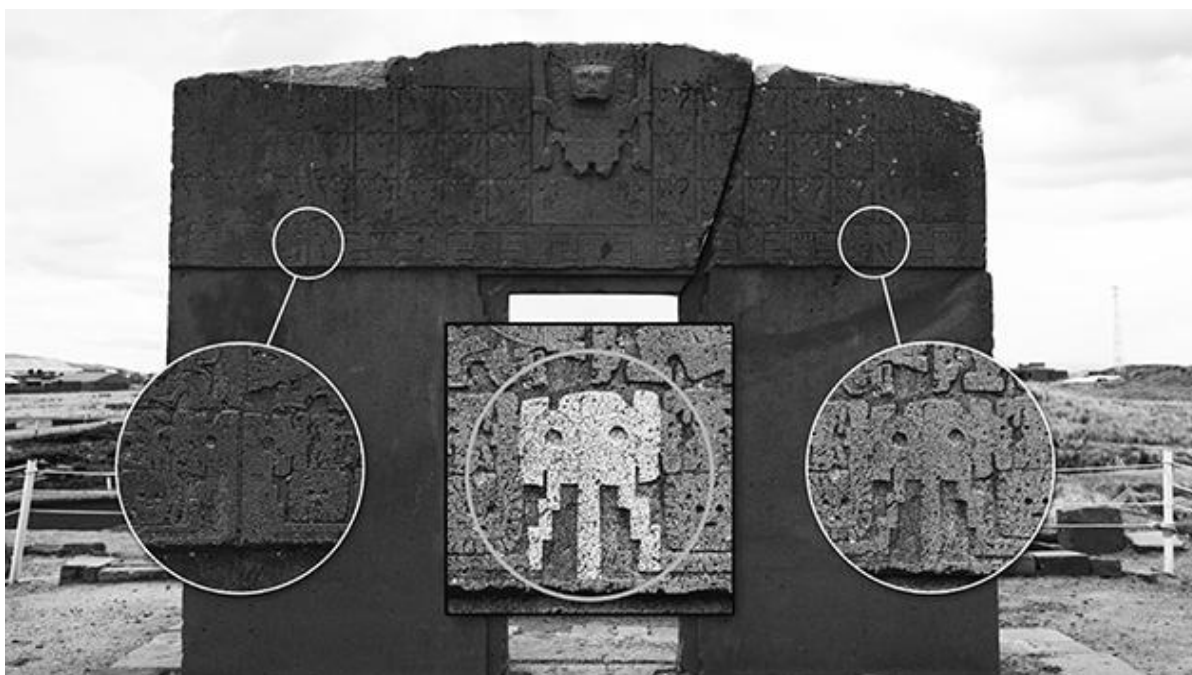
Göbekli Tepe, na przykład na pasach filarów – nawet jeśli to tylko kolejny zbieg okoliczności (patrz zdjęcia 75 i 76).



Il. 66. Powyżej – artystyczna wizja toxodona. Poniżej – wizerunek na filarze w zagłębionej świątyni w Tiahuanaco (z lewej – fotografia, z prawej – wyróżniona postać zwierzęcia).

Muszę też wspomnieć o filarze posągu w częściowo zagłębionej w podłożu świątyni w Tiahuanaco. Podobnie jak Totem z Göbekli Tepe, jest on antropomorficzny. Podobnie jak Totem z Göbekli Tepe, ma węże wijące się na bokach. Podobnie jak w Totemie z Göbekli Tepe, długie palce jego dłoni prawie stykają się na brzuchu. Twarz jest jednak ludzka, nie zwierzęca, i ma długą brodę. Niemniej, z boku głowy została wyrzeźbiona figura zwierzęcia,

które żadnego znanego gatunku nie przypomina bardziej niż toxodona (patrz ilustracja powyżej) – rodzaj nosorożca z Nowego Świata, który wymarł w czasie kataklizmów końca epoki lodowcowej około 12 000 lat temu. To nie *pareidolia* – ta figura jest wyraźnie widoczna. Nasuwa się więc tylko jedno pytanie – na które trudno udzielić odpowiedzi: czy to przedstawienie toxodona, czy też jakiegoś fantastycznego zwierzęcia, wymyślonego przez artystę?



Il. 67. Słoń na Bramie Słońca? Czy tylko dwa kondory obok siebie?

Poszedłem dalej do Kalasasaya, wielkiego prostokątnego placu otoczonego megalitycznymi murami, który, jak się wydaje, był głównym ceremonialnym obszarem starożytnego Tiahuanaco. Na monolitycznej Bramie Słońca jest wyrzeźbiony kolejny wizerunek słonia z kłami i trąbą, podobnie jak na skale Świątyni Księżycy w pobliżu Sacsayhuaman. Krytycy odrzucają „słonia” z Tiahuanaco, twierdząc, że są to tylko dwie głowy kondorów umieszczone obok siebie, w lustrzanym odbiciu, ale gdyby tak było, to daje do myślenia odpowiadający mu wizerunek po drugiej stronie bramy, który niewątpliwie przedstawia dwa kondory, a jednak różni się od wyobrażenia słonia.

Jeśli przedstawienie było wzorowane na naturze, to nie musi być bardzo stare – jak wspomniałem wcześniej, *Cuvieronius* żył w Ameryce Południowej jeszcze około 6000 lat temu. Z drugiej strony, najbliższy gatunek mastodonta wymarł w młodszym dryasie, między 12 800 a 11 600 lat temu.

Kalასasaya to wielka, otwarta, prawie pusta przestrzeń. Ale znajdują się tam dwa posągi, którym chciałbym się bliżej przyjrzeć – Monolit Ponce’a, nazwany na cześć Carlosa Ponce’a Sanginésa, „ojca chrzestnego” boliwijskiej archeologii, oraz *El Fraile* („Zakonnik”), monument nieco mniejszy, lecz wykonany w tym samym stylu.

W obu zwraca uwagę przede wszystkim ułożenie rąk, z palcami prawie stykającymi się na brzuchu – właściwie identyczne z pozycją rąk na filarach i Totemie z Göbekli Tepe. Ale figury z Tiahuanaco, podobnie jak mezopotamscy Apkallu, trzymają w dłoniach przedmioty – nie szyszkę i wiadro, lecz, co udowodnił archeolog i etnobotanik Constantino Manuel Torres, paletki do zażywania halucynogennej tabaki zawierającej DMT z Amazonii²⁴.

Ten widok przypomina, nawet tutaj, w zimnym, surowym krajobrazie Altiplano, że pełna głośnego, bujnego życia Amazonia znajduje się całkiem niedaleko. Kiedy szukamy pozostałości zaginionej cywilizacji, która niegdyś mogła obejmować cały świat, może nie jest to pierwsze miejsce, jakie przychodzi nam do głowy, ale gęstwina dżungli także skrywa tajemnice, a całkiem niedawno, przy okazji wycinki, znaleziono pozostałości starożytnych miast, megality, gigantyczne umocnienia i gleby wzbogacone w jakimś zagadkowym procesie, który utrzymał ich żyźność przez tysiące lat²⁵.

Nie ulega też wątpliwości, że zaawansowana naukowa wiedza, skądś odziedziczona, była przekazywana z pokolenia na pokolenie wśród szamanów. Przygotowanie zawierającego DMT halucynogennego napoju *ayahuaska* z dwóch występujących w dżungli roślin, z których żadna sama w sobie nie jest aktywnym psychodelikiem, stanowi niezwykle osiągnięcie farmakologii, zwłaszcza jeśli pamiętamy, że w dżungli rośnie 150 000 różnych gatunków roślin. Podobnie kurara, neurotoksyna przyrządzana z 11 różnych składników i wytwarzająca trujące opary w czasie przygotowywania, nie jest czymś, co można wymyślić przypadkowo, lecz wymaga specjalistycznej wiedzy i umiejętności.

Kolejną interesującą cechą monolitycznych posągów z Tiahuanaco jest to, że ich strój od pasa w dół został ozdobiony motywem rybiej łuski. To również przywodzi na myśl Apkallu – brodate postacie w rybich strojach, które przyniosły cywilizację do Mezopotamii i których tajemnice zgłębialiśmy w poprzednich rozdziałach. I w Tiahuanaco nie zabrakło brodaczy. Zachowały się dwie brodate postacie, a jedna z nich – na filarze w częściowo zagłębionej w ziemi świątyni – jest od niepamiętnych czasów identyfikowana z wielkim cywilizującym bóstwem imieniem Kon-Tiki Wirakocza, o którym pisałem obszernie w moich poprzednich książkach. Liczne mity i legendy opisują go

jako brodatą postać o jasnej skórze. Garcilaso Inca de la Vega, który żył w ostatnich latach konkwisty i wychował się w Cuzco, pisał, że Wirakocza:

(...) nosił gęstą brodą – podczas gdy Indianie są gładko ogoleni – a jego szata sięgała do ziemi, zaś inkaskie tylko do kolan; to właśnie dlatego peruwiański lud nazwał Hiszpanów „Wirakoczami”, ledwie ich zobaczył... Indianie bez trudu uwierzyli, że wszyscy Hiszpanie byli synami Boga...²⁶

Innymi słowy, Hiszpanie, ze swoimi brodami i jasną skórą, pasowali do starożytnych plemiennych wspomnień, przekazywanych z pokolenia na pokolenie, o herosach, którzy w zamierzchłej prehistorii przybyli w Andy, niosąc cywilizację i nauczyli miejscowe ludy rolnictwa, architektury i inżynierii.

A co z samym Kon-Tiki Wirakoczą? Co się z nim stało?

Wygląda na to, że po cywilizacyjnej misji w Amerykach:

(...) wędrówki zaprowadziły go do Manty (Ekwadoru), skąd przepłynął się przez Ocean Spokojny, idąc po wodzie²⁷.

Nie zamierzam powtarzać tutaj legend i opowieści o Wirakoczy, które przedstawiłem w moich poprzednich książkach, ale to on jest Ozyrysem i Quetzalcoatlem Andów, który przybył w czasach mroku, po wielkim potopie, niosąc dar cywilizacji.

Fakt, że ostatecznie odszedł, korzystając z jakiejś technologii, która pozwoliła mu „iść po wodzie”, wydaje się intrygujący.

Pójdźmy za nim i zobaczmy, dokąd mógł się udać...

18. OCEAN

Według najstarszych mezopotamskich legend ludzkość została stworzona w „pępku ziemi”, w *uzu* (ciało), *sar* (połączenie), *ki* (ziemia, miejsce)¹. W Rygwedzie, najstarszym świętym piśmie Indii, wszechświat narodził się i rozwinął „z rdzenia, centralnego punktu”². *Szetija* – Kamień Podstawy – na Wzgórzu Świątynnym w Jerozolimie, dzisiaj „skała” w Kopule Skały (patrz rozdział dwunasty), który Jesus Gamarra z pewnością przypisałby do najstarszej andyjskiej epoki *Hanan Pacha*, jest uważany za „środek ziemi”³. Koncepcja pierwotnych ośrodków stworzenia, z których rozwinęło się wszystko inne, jest wątkiem powtarzającym się we wszystkich starożytnych religiach i mitologiach na całym świecie.

Najświętszy stworzył świat niczym embrion. Jak embrion wyrasta z pępka, tak i Bóg zaczął dzieło stworzenia od pępka i z tego miejsca świat zaczął się rozprzestrzeniać na wszystkie strony⁴.

W greckim micie o Potopie, zesłanym przez Zeusa, aby ukarać ludzkość, jedynymi ocalałymi są Deukalion i Pyrra. Ich arka osiadła na górze Parnas, wysoko nad Delfami, miejscem uważanym przez całą klasyczną starożytność za „pępek ziemi”⁵. Podobnie jak Heliopolis w Egipcie miało świątynię Benben, kamienny *betyl*, który spadł z nieba (patrz rozdział jedenasty), również w Delfach znajdował się *betyl* uważany za omfalos, „kamień pępka”. Grecka mitologia identyfikowała go z kamieniem, którym został nakarmiony monstrualny bóg czasu Kronos – pożerający własne dzieci – zamiast małym Zeusem. Kiedy Zeus dorósł, zemścił się na Kronosie, „strącając go z nieba na samo dno wszechświata”, wcześniej zmuszając do zwiątowania kamienia – co przywodzi na myśl strumień fragmentów komety⁶. Kamień „spadł w samym środku świata, w świątyni w Delfach”⁷.

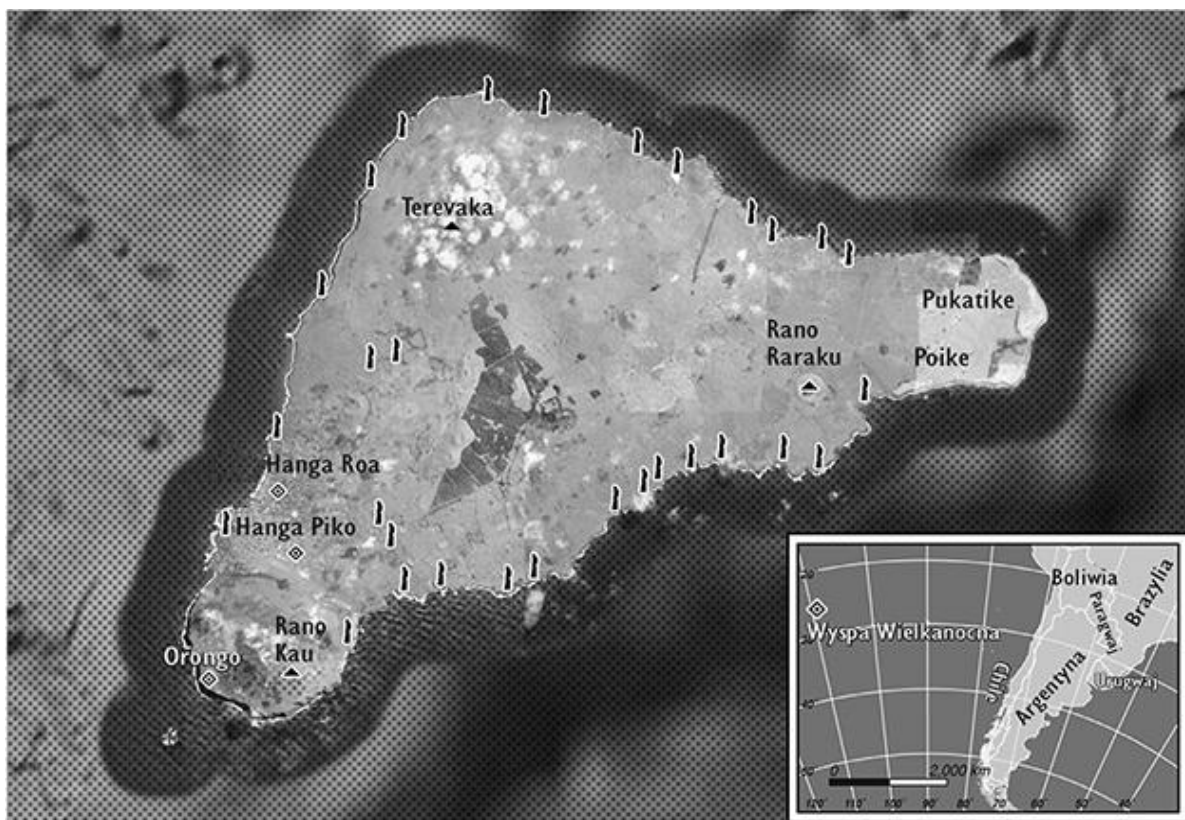
Jak pamiętamy z poprzedniego rozdziału, nazwa Cuzco, megalitycznego miasta w peruwiańskich Andach, oznacza „pępek ziemi”. Ponad 4000 kilometrów na południowy zachód od Cuzco, po drugiej stronie Pacyfiku, leży Wyspa Wielkanocna, której starożytna nazwa, *Te-Pito-O-Te-Henua*, znaczy również „pępek ziemi”⁸ – co łączy ją ze starożytną nazwą Tiahuanaco,

Taipcala, czyli „kamień środka”⁹. Na brzegu Zatoki La Perouse na Wyspie Wielkanocnej leży tajemniczy, kulisty, starannie wykonany kamień zwany *Te-Pito-Kura* – „złotym kamieniem pępka” – uważany za pępek wyspy¹⁰.

Legendy głoszą, że w dawnych czasach „wielcy magowie” używali tego kamienia, by skupiać swoją *manę* – dosłownie „magię” – dzięki czemu słynne megalityczne posągi *Moai* „szły” z kamieniołomów do miejsc, gdzie miały być ustawione¹¹. Niemal identyczna legenda przetrwała wśród Indian Ajmara z Boliwii, od niepamiętnych czasów mieszkających w okolicy Tiahuanaco. Według tych legend tajemnicze miasto z niezwykłymi megalitycznymi posągami zostało zbudowane za pomocą magii w ciągu jednej nocy, a kamienie „schodziły same, albo na dźwięk trąbki, z kamieniołomów w górach i zajmowały swoje miejsca”¹².

Na tym podobieństwa się nie kończą. Pod koniec lat 40., kiedy Thor Heyerdahl odbył wyprawę Kon-Tiki (nazwaną na cześć Kon-Tiki Wirakoczy, niosącego cywilizację boga z Tiahuanaco, którego poznaliśmy pod koniec poprzedniego rozdziału) zwrócono uwagę na podobieństwa między posągami z Tiahuanaco a *Moai* z Wyspy Wielkanocnej. Na przykład, jak pamiętamy, posągi Wirakoczy z Tiahuanaco mają wyraźnie zarysowane, długie brody (co dziwnie kontrastuje z rdzennymi mieszkańcami Andów, którzy nie mają bujnego zarostu) i nie ulega wątpliwości, że wydatne podbródki rzeźb z Wyspy Wielkanocnej mają również przedstawiać brody (zdjęcia 78 i 79). Heyerdahl napisał:

Posągi na Wyspie Wielkanocnej... mają szpiczaste, wystające podbródki, ponieważ sami rzeźbiarze nosili brody¹³.



Il. 68. Wyspa Wielkanocna i jej położenie (za: Eric Gaba, Wikimedia Commons).

Norweski podróżnik zwrócił też uwagę na sposób, w jaki posągi z Wyspy Wielkanocnej i posągi z Tiahuanaco mają „ręce ułożone na brzuchach”¹⁴. I jedne, i drugie noszą też charakterystyczne szerokie pasy. Heyerdahl pisał:

Jedyną ozdobą posągów z Wyspy Wielkanocnej jest pas, zawsze wyrzeźbiony dookoła brzucha figury. Taki sam symboliczny pas znajduje się na każdym posągu w starożytnych ruinach Kon-Tiki nad jeziorem Titicaca¹⁵.

Heyerdahl, którego miałem zaszczyt poznać i który mocno popierał hipotezę zaginionej cywilizacji¹⁶, nie zdążył odwiedzić Göbekli Tepe przed śmiercią w 2002 roku. Jednak głęboko wierzę, że gdyby zdążył, zwróciłby uwagę na podobieństwo układu rąk postaci przedstawionej na „Totemie” z Göbekli Tepe i na posągu Wirakoczy oraz monolitech Ponce’a i *El Fraile* w Tiahuanaco. Wspomniałem o tym w poprzednim rozdziale, ale to nie wszystko.

Na przykład większe antropomorficzne filary w Göbekli Tepe mają szerokie, rzeźbione pasy, bardzo podobne do tych na figurach z Tiahuanaco i Wyspy Wielkanocnej. Warto też zwrócić uwagę na ułożenie rąk na większych filarach w Göbekli Tepe, z palcami niemal stykającymi się na brzuchu. Identycznie

ułożone ręce mają Moai z Wyspy Wielkanocnej. Nie można też zapomnieć, że podobnie jak Wyspa Wielkanocna, Tiahuanaco i Cuzco były uważane za „pępek ziemi”, taka koncepcja pojawia się i w związku z Göbekli Tepe; zarówno turecka, jak i ormiańska wersja, *Portasar*, znaczy „wzgórze pępka”¹⁷.

Jeśli te wszystkie zbieżności są przypadkowe, to samo ich nagromadzenie wydaje się niezwykle – chyba że ci sami Magowie Bogów, którzy zbudowali i zakopali kapsułę czasu, Göbekli Tepe, pod koniec młodszego dryasu, około 11 600 lat temu, działali również na Wyspie Wielkanocnej.

Innymi słowy – chyba że Moai z Wyspy Wielkanocnej są starsi – znacznie starsi, niż sądzą archeolodzy...

Pozostałości przedpotopowych ziem?

Archeolodzy uważają, że najstarsze Moai na Wyspie Wielkanocnej zostały wykonane około 690 roku n.e., zaś ostatnie około 1000 lat później, w 1650 roku. Ta chronologia jest oparta na datowaniu radiowęglowym, które wskazuje, że pierwsza ludzka osada na wyspie powstała w 318 roku n.e.¹⁸ Jednak, jak pamiętamy, metodą radiowęglową nie można bezpośrednio datować kamiennych monumentów. Potrzebne jest potwierdzone powiązanie między dającym się datować materiałem organicznym i kamieniem, a czasem takie powiązania mogą być bardzo mylące.

Na przykład błędem byłoby zakładać, że wiek Ahu (platformy) w Ahu Nau Nau nad Zatoką Anakena jest taki sam, jak siedmiu ustawionych na niej Moai. Platforma musi być dziełem późniejszej kultury, która ponownie ustawiła posągi, ponieważ w wątku jej muru została użyta jako materiał budowlany silnie zerodowana głowa Moai.

Jeśli, na przykład, ludzie osiedlili się tutaj w młodszym dryasie, kiedy poziom morza był znacznie niższy niż dzisiaj, a Wyspa Wielkanocna była częścią łańcucha wąskich i stromych przedpotopowych wysp, długością dorównującego pasmu Andów, to jak dużo substancji organicznych mogło zostać dla archeologów do badań radiowęglowych? Może szczyt Grzbietu Wschodniopacyficznego, który dzisiaj znamy pod nazwą Wyspy Wielkanocnej, nie był w ogóle zasiedlony, lecz wykorzystywany jedynie do ceremonii religijnych, w których odgrywały jakąś rolę wielkie monolityczne posągi? Może ludzie przybywali tutaj z innych części archipelagu, aby brać udział w ceremoniach, a potem wracali na swoje rodzinne wyspy – wyspy, które dzisiaj znajdują się pod wodą?

To jest oczywiście tylko przypuszczenie, czysta spekulacja, ale taką hipotezę podsuwa legenda z Wyspy Wielkanocnej, mówiąca o nadnaturalnej istocie zwanej Uoke, który w zamierzchłej przeszłości:

(...) podróżował po Pacyfiku z gigantyczną dźwignią, którą podwazał całe wyspy i wrzucał je do morza, gdzie znikają na wieczność pod falami. Kiedy już zniszczył tak wiele wysp, przybył w końcu na wybrzeże *Te-Pito-O-Te-Henua*, która wówczas była znacznie większa niż dzisiaj. Zaczął podwazać jej części i wrzucać je do morza. Wreszcie dotarł do miejsca zwanego Puko Pihipuhi... w pobliżu Hanga Hoonu [Zatoki La Perouse, gdzie znajduje się „złoty kamień pępka”]. Tutaj skały wyspy były zbyt mocne dla dźwigni Uoke, która się złamała. Uoke nie mógł poruszyć ostatniej części, która pozostała na miejscu, jako znana nam dzisiaj wyspa. Tak więc *Te-Pito-O-Te-Henua* istnieje tylko dzięki temu, że Uoke przypadkowo złamał swoją dźwignię¹⁹.

Legendy opowiadają też o pradawnej ojczyźnie na Pacyfiku, zwanej Hiva, skąd przybyli pierwsi mieszkańcy Wyspy Wielkanocnej – wyspie, która także padła ofiarą „dźwigni Uoke” i „zatonęła w morzu”. Jest to szczególnie intrygujące, ponieważ kojarzy się z Siedmioma Mędrkami Apkallu z mezopotamskiej przedpotopowej tradycji, a także z Siedmioma Mędrkami z *Tekstów Budowlanych* z Edfu, poszukującymi nowych lądów, na których mogliby odtworzyć zatopiony i zniszczony świat bogów, w pierwszym zasiedleniu Wyspy Wielkanocnej także odegrało kluczową rolę Siedmiu Mędrców, „królewskich synów, ludzi wtajemniczonych”²⁰. Dokładnie tak samo, jak w przypadku Apkallu, którzy położyli fundamenty wszystkich przyszłych świątyń Mezopotamii, i Mędrców z Edfu, którzy przewędrowali cały Egipt, zakładając święte pagórki, bo miały być tam zbudowane wszystkie przyszłe piramidy i świątynie, pierwszym zadaniem Siedmiu Mędrców z Hiva po przybyciu na Wyspę Wielkanocną było „zbudowanie kamiennych wzgórz”²¹.

Czy to może coś znaczyć? Czy posągi Moai z Wyspy Wielkanocnej mogą być dziełem ocalonych przedstawicieli zaginionej cywilizacji, która istniała w epoce lodowcowej, ponad 12 000 lat temu?

Być może pewną wskazówkę może stanowić odkrycie dokonane przez dr. Roberta J. Menzies, dyrektora badań oceanicznych w Marine Laboratory na Uniwersytecie Duke w Beaufort w Karolinie Północnej. W 1966 roku Menzies prowadził przez sześć tygodni badania oceanograficzne na Pacyfiku, przy wybrzeżu Peru i Ekwadoru, w wodach tak zwanej Głębi Milne-Edwardsa, która miejscami osiąga głębokość 5791 metrów. Statek badawczy dr. Menzies, „Anton Bruun”, był wyposażony w najnowocześniejsze podwodne kamery; około 88 kilometrów na zachód od Callao (portu stolicy Peru, Limy), na głębokości 1828 metrów sfotografowano na morskim dnie „dziwne, rzeźbione kamienne kolumny”²².

Zauważono dwie pionowe kolumny, o średnicy około 60 centymetrów, wystające na około półtora metra z mułu. Dwie kolejne były przewrócone i częściowo zagrzebane w mule, widać też było regularny, mniej więcej kwadratowy blok²³.

„Nigdzie indziej nie znaleźliśmy podobnych struktur – powiedział dr Menzies w wywiadzie dla »Science News« – Nigdy wcześniej nie widziałem czegoś podobnego”²⁴. W późniejszym oficjalnym raporcie z wyprawy napisano, że na jednej z kolumn widoczne były znaki, które wyglądały jak „inskrypcje”²⁵.

Na razie udało mi się ustalić, że odkryciem dr. Menziesa, które może wskazywać na zatopiony ląd Hiva, nikt się później nie zajmował. A co z samą Wyspą Wielkanocną, gdzie mieli się osiedlić ocaleni, aby odtworzyć swój zaginiony świat? Pewnych poszlak dostarcza nam geologia.

Co jest pod spodem...

Profesor Robert Schoch z Bostońskiego Uniwersytetu, słynny dzięki temu, że na podstawie danych geologicznych podał nową datę powstania Wielkiego Sfinksa w Gizie, nie zwykł pochopnie przypisywać zabytkom wieku starszego, niż przyjmuje mainstreamowa archeologia. Najczęściej zgadza się z ortodoksyjną chronologią, ale jeśli od niej odchodzi – jak było w przypadku Wielkiego Sfinksa i indonezyjskiego Gunung Padang (patrz rozdział drugi) – decyduje się na to tylko dlatego, że przekonały go mocne geologiczne dowody, pominięte przez archeologów.

To samo dotyczy jego analizy posągów Moai z Wyspy Wielkanocnej. Oto jego przemyślana opinia po wizycie na wyspie:

Szczególne wrażenie zrobiło na mnie zróżnicowanie śladów erozji na różnych Moai, co może być oznaką różnic w ich wieku. Zwróciłem również uwagę na warstwy osadów wokół niektórych Moai. Niektóre z nich są zakopane w nawarstwieniach osadów sięgających 6 metrów i więcej, dlatego mimo iż stoją pionowo, tylko ich głowy wystają nad obecną powierzchnią gruntu. Tak wysokie sekwencje osadów mogą powstać szybko, na przykład jeżeli wystąpiły katastrofalne osunięcia ziemi, strumienie mułu albo tsunami przetaczały się przez wyspę, ale nie znajduję śladów żadnego z takich zjawisk (poza tym osunięcia ziemi i tsunami przewróciłyby wysokie posągi). Moim zdaniem osady wokół niektórych Moai wskazują, że są one znacznie starsze, niż sądzi większość archeologów i historyków – albo niż uważają za możliwe²⁶.

Schoch dodaje, że zaczął zbierać na Wyspie Wielkanocnej świadectwa typowego wietrzenia, erozji i sedymentacji w czasach nowożytnych. „Na razie wygląda na to, że sedymentacja w ciągu ostatniego stulecia była raczej umiarkowana”²⁷.

Schoch jak zwykle wypowiada się bardzo ostrożnie, co najlepiej pokazuje krater Rano Raraku, wygasła kaldera wulkaniczna, która służyła jako główny kamieniołom, gdzie wykuwano Moai z Wyspy Wielkanocnej. Wewnętrzne zbocza kaldery, opadające ku małemu jezioru o brzegach porośniętych trzcina, są usiane około 270 posągami w różnym stanie ukończenia. Niektóre z nich leżą na plecach lub na boku, wiele stoi pionowo, inne wystają pod dziwnymi kątami z ziemi. Całość sprawia wrażenie jakiegoś wielkiego surrealistycznego przedstawienia, przerwane w trakcie przygotowań i na zawsze porzuconego przez artystę.

O co w tym chodziło, czemu to miało służyć, nikt dzisiaj nie jest pewien, choć przedstawiano różne teorie. Niemniej jednak miejsce ma niewątpliwie geologiczny charakter, a same posągi są przecież geologicznymi artefaktami oddzielonymi od skalnego podłoża, ale wciąż pozostającymi w swoim oryginalnym otoczeniu. Najczęściej można zobaczyć – wędrując między nimi w zamyśleniu – ich poważne, brodate twarze, głowy o długich uszach, ramiona i części torsów.

Można zrozumieć ludzi, którzy sądzą, że to właśnie są całe Moai – że tkwią wkopane na jakiś metr w ziemię, na tyle, żeby je ustabilizować, i ani trochę głębiej. Ale Thor Heyerdahl, ów niez mordowany podróżnik i odkrywca, udowodnił, że było inaczej, kiedy odkopał wiele Moai na Rano Raraku w 1956 i 1987 roku. Okazało się, że jest z nimi jak z górami lodowymi – większa część kryje się pod powierzchnią. Fotografie z wykopalisk pokazują posągi tkwiące na ponad 9 metrów w warstwach żółtej gliny²⁸. Oglądając te zdjęcia, nie sposób nie dojść do wniosku, że Schoch ma rację i nie jest możliwe, by w ciągu zaledwie kilkuset lat (jak wspomniałem wcześniej, archeolodzy twierdzą, że ostatnie Moai zostały wykonane w 1650 roku) nagromadziła się tak wysoka sekwencja osadów.

Mogłoby się tak stać, gdyby Wyspa Wielkanocna była częścią większego lądu, gdzie wiatr i woda mogły przenosić glebę z jednego miejsca i deponować w innym. Ale Wyspa Wielkanocna, jaką znamy dzisiaj, choć stanowi wielką zagadkę, jest tylko maleńką kropką na mapie, pośrodku największego i najgłębszego oceanu świata. Leży nie tylko ponad 3200 kilometrów od wybrzeża Ameryki Południowej, ale również ponad 3200 kilometrów od Tahiti, najbliższej większej grupy wysp²⁹. Trudno sobie wyobrazić, by sama Wyspa Wielkanocna, o powierzchni zaledwie 163,6 kilometrów kwadratowych, mogła dostarczyć materiału na 9 metrów osadów, jakie nagromadziły się wokół Moai w kraterze Rano Raraku. Taka ilość osadów mogłaby jednak powstać 12 000 lat temu, kiedy poziom mórz był niższy, a Wyspa Wielkanocna stanowiła część większego archipelagu.

Tutaj może też leżeć rozwiązanie innej zagadki zauważonej przez Schocha, a mianowicie niewielkiej liczby Moai wyrzeźbionych z bazaltu. Problem polega na tym, że na Wyspie Wielkanocnej nie ma bazaltu. Schoch przypuszcza, że:

(...) „zaginiony kamieniołom bazaltu” może się dzisiaj znajdować poniżej poziomu morza, ponieważ jest niezmiernie stary, a co za tym idzie, wyrzeźbione z tego kamienia Moai są również bardzo stare. Poziom morza podniósł się dramatycznie od końca ostatniego zlodowacenia, około 10 000 lat temu, i jeśli bazaltowe Moai zostały wykute przy wybrzeżu Wyspy Wielkanocnej, na obszarach obecnie znajdujących się pod wodą, może to pomóc w datowaniu bazaltowych Moai i wskazuje, że są one o tysiące lat starsze, niż się powszechnie przyjmuje³⁰.

To samo wyjaśnienie – że Wyspa Wielkanocna była niegdyś częścią większej masy lądu – rozwiązywałoby też inną zagadkę, a mianowicie tak zwane pismo rongorongo³¹. Wynalezienie i zastosowanie w pełni rozwiniętego pisma w maleńkiej, odizolowanej wyspiarskiej społeczności, jest zjawiskiem bezprecedensowym. A jednak Wyspa Wielkanocna ma swoje pismo, którego przykłady, najczęściej wyryte na drewnianych tabliczkach – kopie kopii kopii znacznie starszych, zaginionych oryginałów – zostały zebrane pod koniec XIX wieku i trafiły do różnych muzeów na całym świecie. Ani jedna tabliczka nie została na Wyspie Wielkanocnej, jednak nawet wtedy, gdy je zbierano, nikt z mieszkańców wyspy nie potrafił ich odczytać. Pismo do dzisiaj pozostaje nieodczytane – jeszcze jedna zagadka tej wyspy tajemnic.

Mędrzec z doliny Bada

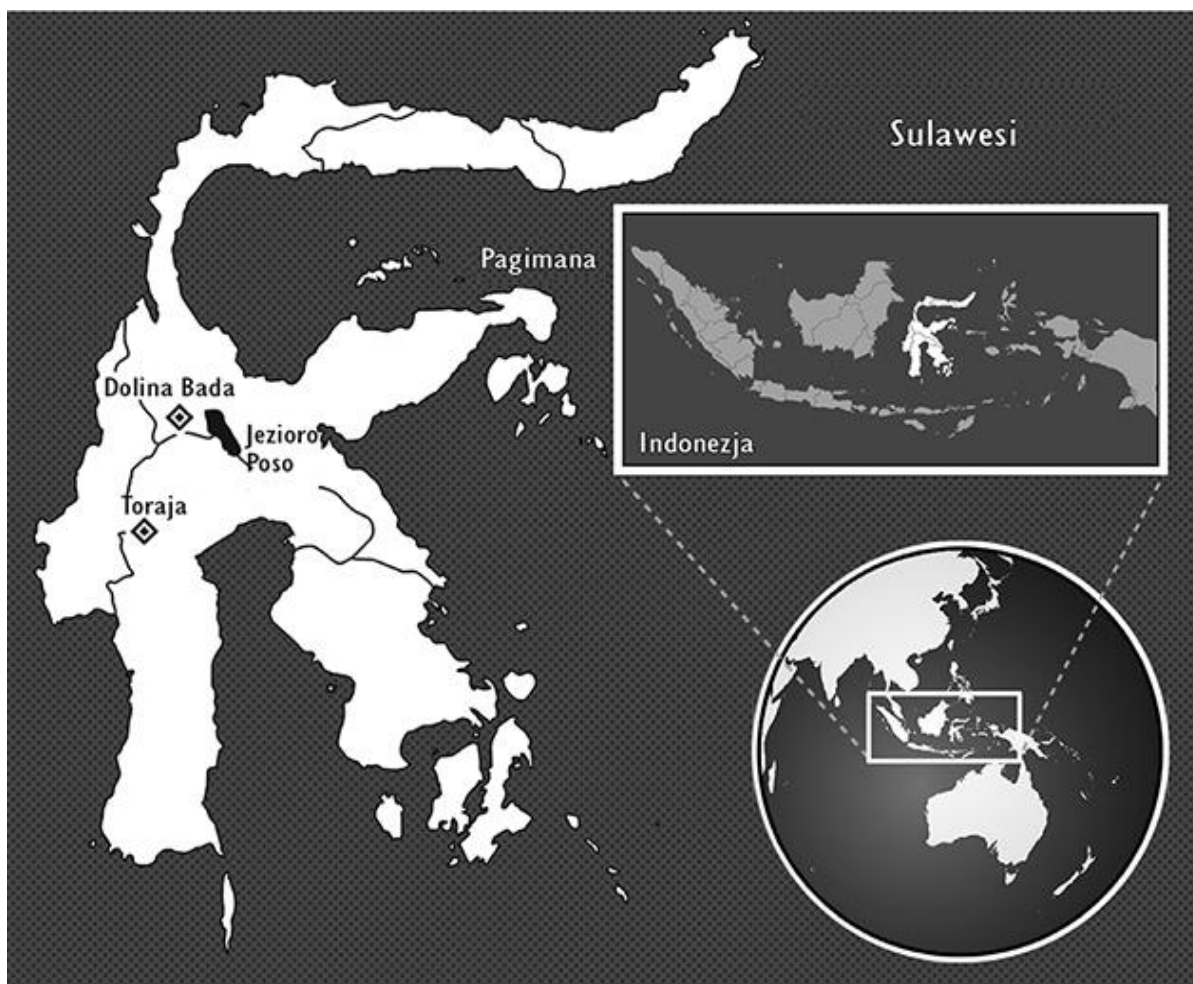
Dwudziestego ósmego maja 2014 roku znalazłem się tysiące kilometrów od Wyspy Wielkanocnej, pośrodku doliny Bada na środkowym Sulawesie w Indonezji. Stałem przed wielkim posągiem przypominającym Moai, wyrzeźbionym z litego bazaltu i tkwiącym głęboko w porośniętej trawą ziemi. Oprócz ogromnych rozmiarów posągu – widoczna część, przechylona w swoją lewą stronę, wystaje z ziemi na ponad 4 metry – zwraca uwagę ułożenie jego rąk i dłoni. Ich układ jest dokładnie taki sam jak u Moai na Wyspie Wielkanocnej i figur w Göbekli Tepe – lekko ugięte w łokciach, z dłońmi złożonymi na brzuchu tak, że palce niemal się stykają. Różnica polega na tym, że ten posąg, znany w okolicy jako *Watu Palindo*, „Mądry Człowiek”³², ma między palcami penis w stanie erekcji, z parą jąder.

Kiedy powstał Mądry Człowiek?

– Tego nikt nie wie – przyznał Iksam Kailey, kurator muzeum prowincji Sulawesie Środkowa, który uprzejmie towarzyszył mi w tej części długiej

podróży badawczej po Indonezji. – Archeologia na naszej wyspie jest jeszcze w powijkach.

Sam Kailey uważa, że ten posąg, i około tuzina podobnych do niego, jakie znajdują się w dolinie Bada, ma co najmniej 4000 lat³³. Inne oceny wahają się między 5000 a 1000 lat³⁴, ale żadna z nich nie ma wartości, ponieważ nigdy nie przeprowadzono żadnych badań datujących – i nie da się takich badań przeprowadzić. Po różnych kulturach, które od tysiącleci mieszkaly i uprawiały ziemię w tej dolinie, od czasu do czasu wykopując *Watu Palindo* w poszukiwaniu skarbów, pozostało tyle materiału organicznego, że nigdy nie poznamy prawdy. Artefakty z niezbyt odległej doliny Besoa zostały wydatowane metodą radiowęglową na 2890 lat³⁵, ale co z tego? Nic nam to nie mówi o wieku Mądrygo Człowieka.



Il. 69. Wyspa Sulawesi i jej położenie.

Dotarcie do doliny Bada wymaga prawdziwej wyprawy. Podróżowaliśmy z Santhą i Dannym Hilmanem Natawidją, geologiem, który zwrócił uwagę świata na tajemniczą piramidę Gunung Padang na zachodniej Jawie (patrz rozdział drugi). Towarzyszył nam też przyjaciel Danny'ego Wisnu Ariastika, który zajął się logistyczną stroną naszej wyprawy. Wyruszyliśmy z Dżakarty 26 maja i poleciliśmy do Palu, stolicy prowincji Sulawesi Środkowa, gdzie rankiem 27 maja dołączył do nas Iksam Kailey. Potem jechaliśmy cały dzień niewyobrażalnie złą drogą wśród spektakularnych górskich krajobrazów i jeszcze wieczorem dotarliśmy do miasteczka Tentana nad wielkim jeziorem Poso. Następnego dnia, 28 maja, musieliśmy przejechać jeszcze 50 kilometrów, żeby dotrzeć do wsi Bomba w dolinie Bada, która – podobnie jak wiele innych miejsc w Indonezji – jest przepiękną płaską równiną otoczoną wysokimi zielonymi górami, a w połyskujących ryżowych polach odbijają się srebrzyste chmury. Dotarliśmy do Bomba wczesnym przedpołudniem, zameldowaliśmy się w skromnym, lecz wygodnym pensjonacie i natychmiast wyruszyliśmy na polowanie na megality.

W dolinie można znaleźć – mówiąc najogólniej – dwa rodzaje megalitów: wielkie kamienne cysterny zwane *Kalamba*, precyzyjnie wycięte i wydrążone, o wadze niekiedy przekraczającej tonę, oraz posągi podobne do *Watu Palindo*, ważące do 20 ton. Przez dwa dni wędrowaliśmy po miedzach między zalanymi wodą polami ryżowymi i po wąskich leśnych ścieżkach. W pewnym momencie dotarliśmy do posągu leżącego na plecach pośrodku polany, wpatrującego się w niebo. Chwilę później znaleźliśmy następny, również leżący na plecach, tym razem w rzece. Oba miały taki sam układ rąk jak *Watu Palindo*, Mędrzec. Trzecia figura, o dziwnych, jakby rybich rysach, tkwi zakopana po szyję w ryżowym polu. Czwarta stoi samotnie na wzniesieniu, wpatrując się w odległe górskie szczyty.

Najbardziej frustrujące jest to, że nic – naprawdę zupełnie nic – nie wiadomo o tych megalitach. Kto je wyrzeźbił? Kiedy? Dlaczego? Wszystko skrywa mrok tajemnicy.

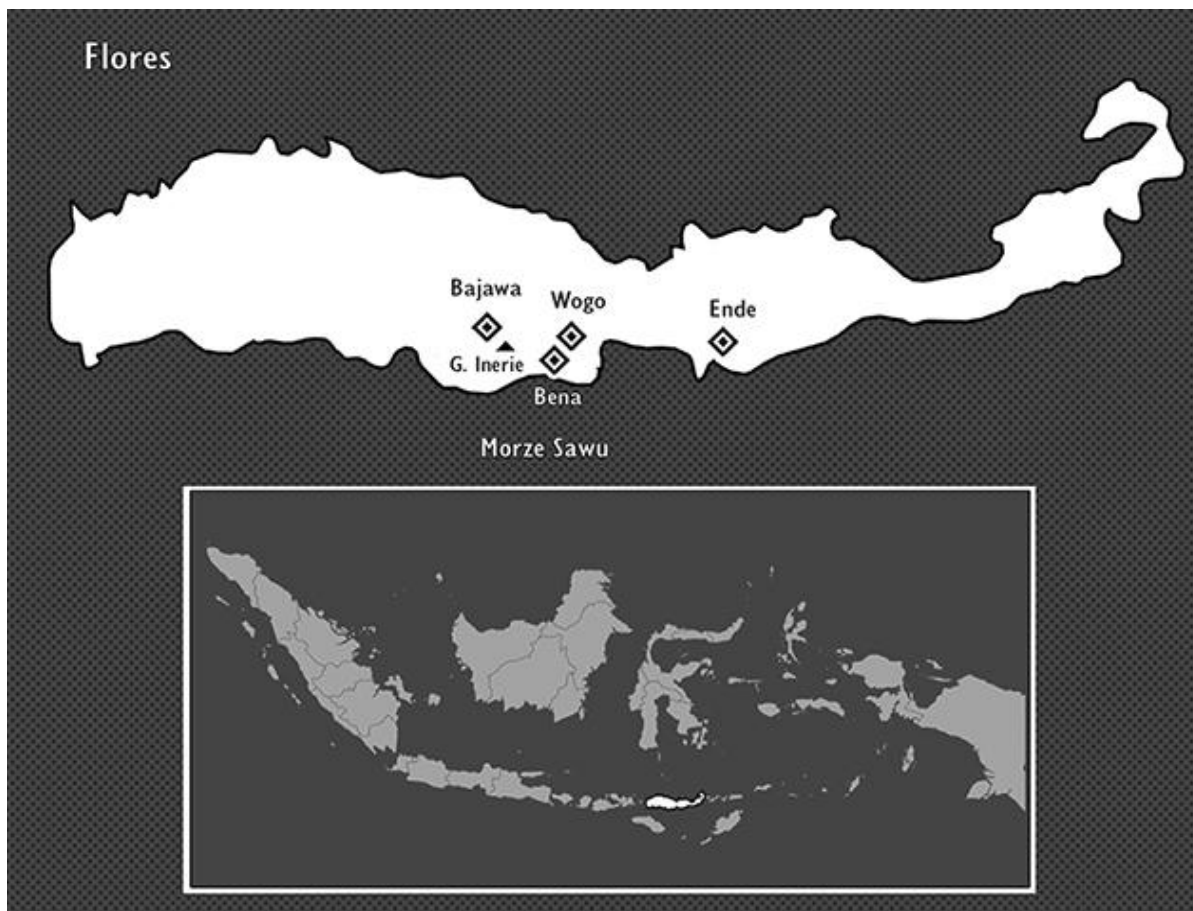
Hobbity, smoki i Potop

Z doliny Bada wyruszyliśmy w długą podróż do Toraja w Sulawesi Południowej – tutaj wszystkie podróże są długie; Sulawesi jest 11. co do wielkości wyspą na świecie. Spędziliśmy tam kilka dni. W tej okolicy jest praktykowany dziwny kult zmarłych, który każe raz do roku wykopywać ciała

zmarłych. Zakłada się na nie nowe ubrania, czesze ich rozpadające się włosy, czyści trumny i urządza powtórny pochówek. W niszach kutyh wysoko w skalnych klifach umieszcza się podobizny zmarłych. Są też jaskinie pełne kości.

Ale my nie przyjechaliśmy tu po to, żeby oglądać śmierć, lecz megality. Ponieważ jednak jesteśmy w Toraja, wszystkie megality mają związek ze śmiercią i, inaczej niż w innych częściach świata – a nawet niż w innych częściach Indonezji – nie są relikami zamierzchłej, zapomnianej przeszłości, lecz częścią żywego, funkcjonującego kultu. Odwiedziliśmy Bori Parinding, stanowisko, nad którym dominuje grupa wysokich, przypominających iglice menhirów, które bez trudu mogłyby stanąć na którymkolwiek z europejskich stanowisk sprzed 5000 lat i starszych. Ale Bori Parinding liczy zaledwie 200 lat.

Najstarszy megalit został ustawiony w 1817 roku. Każdy z nich jest pomnikiem jakiegoś zmarłego notabla z Toraja, a co roku są wykuwane i ustawiane nowe menhiry. Te z andezytu pochodzą z pobliskiego złoża i wykuto je za pomocą młotków i metalowych dłut – jeden z miejscowej starszyny pokazał mi, jak to się robi. Ekipy liczące setki ludzi, pracujące na zmiany przez ponad tydzień, przeciągały na drewnianych rolkach z kamieniołomu odległego o 5 kilometrów wapienne bloki, z których wiele waży ponad 15 ton.



Il. 70. Wyspa Flores i jej położenie.

Zaczynam sobie uświadamiać, że Indonezja to kraj, gdzie fascynujące starożytne tradycje są ciągle żywe, a więz z zamierzchłą przeszłością jest zawsze utrzymywana.

Uświadomiłem to sobie jeszcze dobitniej na naszym następnym przystanku – wyspie Flores. Dotarliśmy tam, jadąc przez cały dzień z Toraja, gdzie złapaliśmy samolot na Bali, stamtąd zaś, przez Komodo – słynne z wielkich jaszczurów znanych jako smoki z Komodo – do Ende, głównego miasta Flores, liczącego zaledwie 60 000 mieszkańców. Ostatnio wyspa Flores stała się sławna dzięki odkryciu na niej szczątków *Homo floresiensis*, wymarłego gatunku hominida, który, nawet jako dorosły, osiągał zaledwie 110 centymetrów wzrostu i dlatego został nazwany „Hobbitem”. Później będę miał więcej do powiedzenia na temat tych istot, ale kiedy wylądowałem w Ende, pomyślałem, że Indonezja jest naprawdę magiczną krainą – jedynym miejscem na świecie, gdzie smoki i hobbity nie są wytworem fantazji, lecz faktem naukowym.

Flores jest urokliwą wyspą – leży na końcu świata, brakuje tam wielu udogodnień współczesnej cywilizacji, ale ma wspaniałą, łagodną duszę. Założyliśmy bazę w miasteczku Bajawa i w ciągu kilku dni, które tam spędziliśmy, odwiedziliśmy wiele wiosek, w których schludne bambusowe chatki kryte strzechą stoją na megalitycznych monumentach i pośród nich.

W wiosce Bena, około 16 kilometrów od Bajawa, skąd widać w oddali morze Sawu i górę Inerie, oprowadzał nas po okolicy Joseph, szacowny 88-latek. Wioska składa się z dwóch równoległych rzędów domów o wysokich, krytych strzechą dachach, trójkątnych w przekroju, charakterystycznych dla tej okolicy. Między domami znajduje się rozległy publiczny plac z mnóstwem menhirów i dolmenów, które, podobnie jak te w Toraja, wcale nie wyglądałyby obco, gdyby zostały znalezione na jakimś neolitycznym stanowisku w Europie. Joseph wyjaśnił, że te dolmeny nie są grobami (jak zwykle bywa w Europie), lecz ołtarzami używanymi przez członków różnych klanów mieszkających w wiosce. Od czasu do czasu składa się na nich w ofierze na cześć zmarłych notabli bawoły, zaś megality pomagają w nawiązywaniu łączności między światem ziemskim a nadprzyrodzonym.

Takie koncepcje nie współgrają dobrze z chrześcijaństwem, które także jest tu częścią codziennego życia. Rzeczywiście, na końcu wioski znajduje się kaplica Marii Panny. Joseph wyjaśnił, że dolmeny i menhiry wciąż jeszcze ustawiano w czasach jego młodości, teraz jednak już się tego nie robi i tradycja umiera. Kiedy zapytałem go o początki tego megalitycznego kultu, opowiedział mi niezwykłą historię.

– Nasi przodkowie – powiedział – przyплыли tu statkiem około 12 000 lat temu, w czasie wielkiej powodzi.

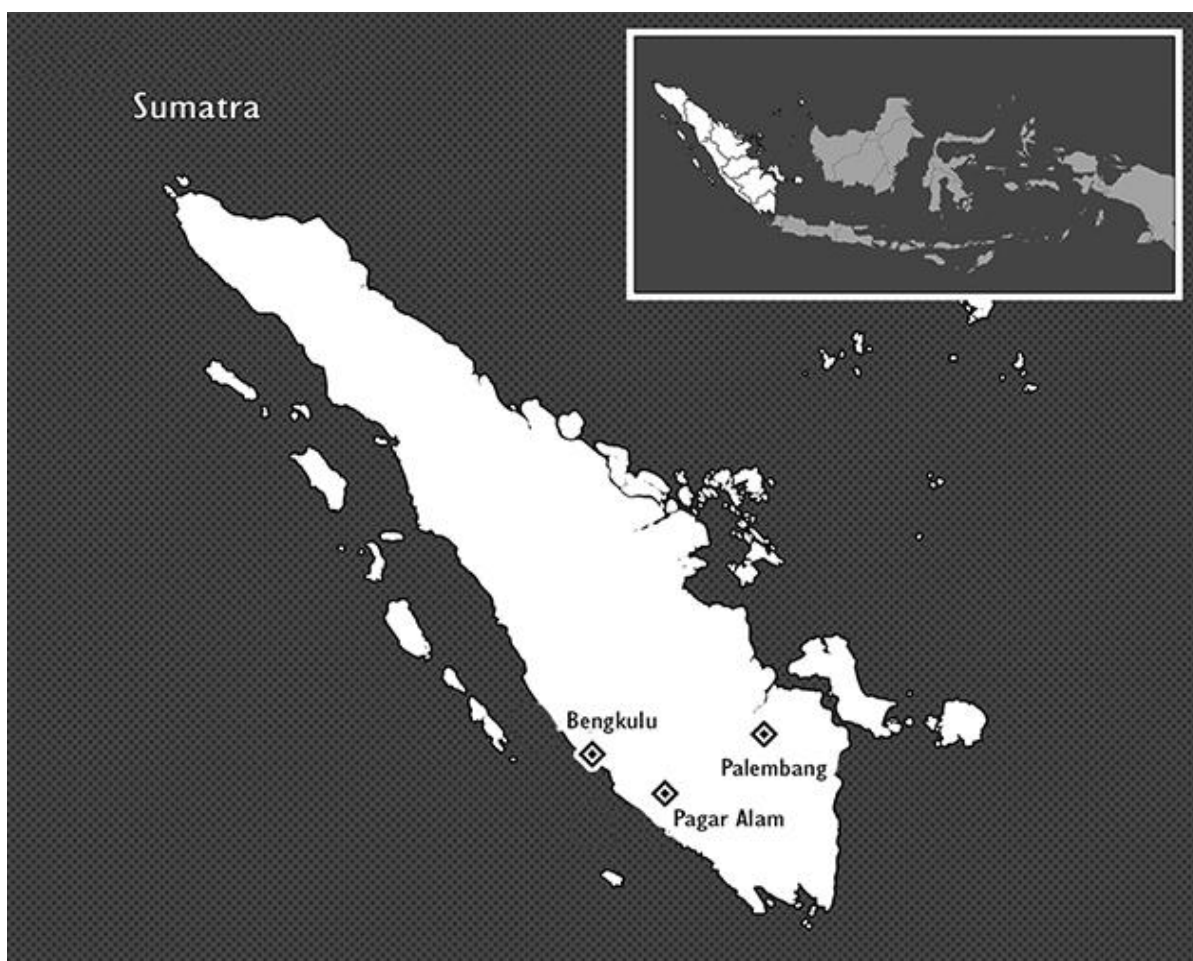
Podobno nawet plan wioski upamiętnia ów statek, który nie był napędzany żaglem, lecz „silnikiem”. Joseph pokazał mi megalityczną komorę, mniej więcej pośrodku wioski, symbolizującą miejsce, gdzie na statku znajdował się „dom silnika”. Gdy zapytałem go, skąd pochodzą wszystkie megality, powiedział, że zostały sprowadzone ze zboczy góry Inerie i ustawione dzięki specjalnym „mocom”, którymi byli obdarzeni przodkowie. Dodał też, że „pewien amerykański uczonec, profesor Smith”, potwierdził tę historię.

Wzmianka o cudzoziemskim badaczu – którego tożsamości nie udało mi się później ustalić – nasuwa mi niepokojące przypuszczenie, że cała ta sprawa może nie być miejscową legendą, lecz importowaną opowieścią – może wręcz zupełnie fantastyczną – którą Joseph uważał za prawdziwą. W innych megalitycznych wioskach na Flores słyszeliśmy zupełnie inne historie. Na przykład w Wogo Baru starszyzna opowiadała o „olbrzymie” imieniem Dhake, który był tak wielki, że własnoręcznie przynosił megality z góry Inerie.

Tym, co łączy te wszystkie opowieści, jest aura magii i cudów.

Królowa Oceanu Południowego

Po opuszczeniu Flores poleciliśmy z Ende, przez Denpasar na Bali, do miasta Palembang na Sumatrze, a potem odbyliśmy dwudniową podróż ze wschodu na zachód, przez południową Sumatrę. Również tutaj szukaliśmy megalitów, ale większość tych, które widzieliśmy, zdradzała wyraźne cechy sztuki hinduskiej i buddyjskiej, więc z pewnością nie były prehistoryczne. Dopiero gdy przyjechaliśmy na plantację kawy w górach niedaleko miasta Pagar Alam, znaleźliśmy coś naprawdę interesującego – serię gigantycznych podziemnych megalitycznych komór (patrz zdjęcie 81). W niektórych czerwoną ochrą i czarnym węglem zostały namalowane spiralne wzory, wśród nich zaś można dostrzec ludzkie postaci.



Il. 71. Sumatra i jej położenie.

Nigdy nie przeprowadzono żadnych badań, które pozwoliłyby ustalić datę ich powstania, lecz podobne komory, na przykład West Kennet Long Barrow w Anglii lub Gavrinis w bretońskim Carnac, liczą ponad 5000 lat, zaś ozdobione malowidłami jaskinie we Francji i Hiszpanii są jeszcze starsze – na przykład Chauvet jest datowana na 33 000 lat. Malowidła na Sumatrze mają wiele wspólnego z malowidłami w południowej Europie, z charakterystycznymi „psychedelicznymi” wzorami, które wskazują, że ich twórcami byli szamani, doświadczający wizji w odmiennych stanach świadomości, wywołanych przez psychoaktywne rośliny lub grzyby³⁶.



Il. 72. Jawa i jej położenie.

Pojechaliśmy dalej, do miasta Bengkulu, a stamtąd poleciliśmy do Dżakarty, wielkiej stolicy Indonezji na wyspie Jawa. Dżakarta przypomina

ogromną ośmiornicę; jeśli wpadniesz w macki jej wiecznie zakorkowanych ulic, niezwykle trudno jest się z nich wydostać. Jednak wieczorem tego samego dnia dotarliśmy do naszego następnego celu, Pelabuhan Ratu na południowo-zachodnim wybrzeżu Jawy, nad Oceanem Indyjskim. Zatrzymaliśmy się tu tylko na noc, żeby następnego ranka ruszyć w kierunku kolejnego megalitycznego stanowiska w głębi lądu, lecz samo Pelabuhan Ratu (co znaczy „Port Królowej”) okazało się interesującym miejscem. W hotelu Samudra Beach, gdzie się zatrzymaliśmy, jest jeden pokój – numer 308 – którego nikomu nie wolno zająć, ponieważ jest zawsze zarezerwowany dla Królowej Oceanu Południowego, kogoś w rodzaju morskiej wróżki lub bogini, władającej zatopionym miastem, a od czasu do czasu wychodzącej na ląd, żeby spotkać się ze śmiertelnymi ludźmi.

Oczywiście interesują mnie zatopione miasta, a zwłaszcza zatopione miasta wokół wysp Indonezji, które były niegdyś częścią jednego wielkiego kontynentu, zwanego przez geologów lądem sundajskim, który znajdował się ponad wodą i był połączony z resztą południowo-wschodniej Azji do około 11 600 lat temu. Kiedy poziom mórz podniósł się dramatycznie na koniec młodszego dryasu, ten region stracił więcej nadającej się do zamieszkania ziemi – między innymi wielką, nisko położoną równinę – niż jakkolwiek inny na Ziemi³⁷. Zatem, choć zbliżała się już północ, uparłem się, żeby odwiedzić pokój 308, umeblowany i wyposażony jak królewski buduar, łącznie z portretami Ndjai Lara Kidul, Królowej Oceanu Południowego.

To romantyczna historia i, kto wie, może jest w niej jakieś ziarno prawdy? Na pewno starając się odkryć tajemnicę początków ludzkiej cywilizacji, nie można zignorować zatopionego w krótkim czasie lądu sundajskiego, żyznego, nawadnianego przez cztery główne systemy rzeczne³⁸. Właśnie z tego powodu i ponieważ zdarzyło się to około 11 600 lat temu, nasz towarzysz podróży, geolog Danny Natawidjaja uważa, że Indonezja jest Atlantyda³⁹, i włożył tyle wysiłku w badanie niezwyklej megalitycznej piramidy Gunung Padang.

Od Gunung Padang, które po raz pierwszy odwiedziłem w grudniu 2013 roku (o czym pisałem w rozdziale drugim), dzieliło nas 120 kilometrów i zamierzaliśmy się tam udać na koniec podróży. Wcześniej jednak chcieliśmy zobaczyć jeszcze jedno miejsce. Nosi ono nazwę Tugu Gede i leży w pobliżu wioski Cengkuk, 20 kilometrów w głąb gór, na północ od Pelabuhan Ratu.

Wyruszamy o świcie, jeszcze jedną z tych stromych i nieco niepokojących dróg, których tak wiele jest w Indonezji, ale i tym razem cel podróży jest wart poświęcenia. Dopóki się dało, jechaliśmy samochodem, a dalej czekał nas długi spacer, najpierw przez wioskę pośród plantacji bananów, potem przez

dość gęsty las, a w końcu wyszliśmy na polanę, pośrodku której wystawał na 3 metry z ziemi potężny menhir, o wyrównanych bokach i zwięzający się na szczycie jak obelisk. Otaczał go pierścień mniejszych menhirów; niektóre z nich wciąż jeszcze stały, inne były przewrócone, dookoła zaś leżało mnóstwo opracowanych kamieni, wiele z okrągłymi zagłębieniami podobnymi do tych, które widzieliśmy na stanowisku Karahan Tepe w Turcji.

W Tugu Gede były prowadzone raczej pobieżne wykopaliska, ale wygląda na to, że nie ma jednej opinii co do jego wieku. Same megality uważa się za prehistoryczne – „liczące tysiące lat”, choć nie wiadomo dokładnie, ile tysięcy – ale są też późniejsze warstwy osadnicze, w których znaleziono ceramikę i artefakty sprzed zaledwie kilkuset lat; poza tym w pobliżu znajdują się dzisiejsze osady, co niewątpliwie wpływa na stanowisko. Jednym z najbardziej niezwykłych znalezisk jest mała figurka. Archeolodzy, bez żadnych solidnych podstaw, uważają ją za wyobrażenie hinduskiego boga Śiwy, lecz moim zdaniem nie jest podobna do żadnego przedstawienia Śiwy, jakie widziałem, a przypomina raczej prymitywnie wykonaną starożytną egipską figurkę ze skrzyżowanymi rękoma i charakterystycznym nakryciem głowy.

Ortodoksyjna archeologia przyjmuje, że starożytni Egipcjanie nie mogli dotrzeć do Indonezji, więc nigdy nie rozważano takiej możliwości. Jednak istnieją przekonujące dowody, że Egipcjanie w czasach faraonów podejmowali dalekie oceaniczne podróże – na przykład w dwóch mumiach datowanych na okres między 1070 rokiem p.n.e. a 395 rokiem n.e. znaleziono kokainę i tytoń – rośliny pochodzące z Ameryki, które – jak dotychczas sądzono – nie były znane w Starym Świecie przed czasami Kolumba⁴⁰.

Te odkrycia, dokonane przez S. Balabanową, F. Parschego i W. Pirsiga, były kwestionowane przez innych uczonych, którzy a priori uważają tak dalekie podróże starożytnych Egipcjan za niemożliwe. Na przykład według egiptologa Johna Bainesa: „Pomysł, że Egipcjanie mieliby podróżować do Ameryki jest absurdalny... i nie znam nikogo, kto poświęcałby czas na badania w zakresie tych tematów, ponieważ nie uważa się, żeby miały one jakiegokolwiek znaczenie”⁴¹. Jednak według mnie ten komentarz Bainesa wskazuje na to, że to raczej egiptologia i ogólnie archeologia mają pewien głęboko zakorzeniony problem, niż na mankamenty odkrycia Balabanowej, Parschego i Pirsiga. Archeologia jest nadmiernie ograniczona sztywnym gorsetem określającym, co jest możliwe, a co nie, i ma tendencję do ignorowania, unikania lub wyśmiewania wszystkiego, co wykracza poza te ramy lub je podważa. To samo dotyczy teorii zaginionej cywilizacji epoki lodowcowej – która również jest odrzucana tylko dlatego, że a priori uważa się ją za niemożliwą.

Tymczasem, ponieważ wiarygodność odkryć Balabanovej została później potwierdzona⁴², musimy przyjąć, że starożytni Egipcjanie rzeczywiście podróżowali aż do Ameryk. Nie widzę żadnego powodu, by odrzucać możliwość podejmowania przez nich wypraw również w innym kierunku – na wschód, do Indonezji i dalej. Starożytne inskrypcje hieroglificzne – również kwestionowane – znaleziono nawet niedaleko Gosford, na północ od Sydney we wschodniej Australii. Miałem okazję osobiście obejrzeć te hieroglify i nie zgadzam się z ortodoksyjną opinią, że należy je uznać za XX-wieczne fałszerstwo. Wręcz przeciwnie, ostatnio (w październiku 2014 roku) inskrypcje zostały odczytane przez ekspertów, Mohameda Ibrahima i Yousefa Abd el-Hakima, którzy stwierdzili:

Glify z Gosford są nie tylko autentyczne, ale skrybowie użyli kilku starożytnych hieroglifów i wariantów gramatycznych, które aż do 2012 roku nie były udokumentowane w egipskich tekstach hieroglificznych, co obala wszelkie od dawna stawiane zarzuty „oszustwa”. Specyficzny styl użytych hieroglifów stanowi też przesłankę lingwistyczną, datującą egipską obecność w Australii na co najmniej 2500 lat, zaś przetłumaczony tekst jest tak szczegółowy, że identyfikuje nawet starożytnych skrybów z imienia i profesji⁴³.

Nie twierdzą, że sprawa nie budzi wątpliwości; hieroglify z Gosford mogą być oszustwem lub nie i trzeba jeszcze dalszych badań, żeby ją rozstrzygnąć. Teraz chodzi mi o to, że zaniechanie badań tylko z powodu przyjętego przez ortodoksyjnych archeologów a priori założenia odnośnie do tego, co mogło się zdarzyć w przeszłości, nie jest dobrą praktyką naukową. Dlatego moim zdaniem, zamiast z góry wykluczać możliwość, że starożytni Egipcjanie dotarli nie tylko do Ameryk, ale także Indonezji i Australii, powinniśmy zadać sobie pytanie, dlaczego i jak długo mogli odbywać takie podróże. Przede wszystkim zastanawiam się, na ile legenda o zatopionej ojczyźnie bogów gdzieś na wschodzie, tak dobitnie wyrażona w *Tekstach Budowlanych* z Edfu, mogła mieć związek z tą zagadką.

A mówiąc dokładniej, czy Indonezja, która niegdyś stanowiła część stałego lądu południowo-wschodniej Azji, lecz po katastrofalnym podniesieniu poziomu morza pod koniec ostatniego zlodowacenia została podzielona na ponad 13 000 wysp – a może przede wszystkim Jawa, z jej 45 czynnymi wulkanami – mogła być przez starożytnych Egipcjan kojarzona z Wyspą Ognia, którą R.T. Rundle Clark opisał jako „tajemniczą ziemię ojczyzną za horyzontem”⁴⁴?

To właśnie z Wyspy Ognia – jak pamiętamy z rozdziału jedenastego – Feniks przyniósł *Heka*, magiczną esencję życiową, do Heliopolis, symbolicznego środka i pępka ziemi⁴⁵.

Z Wyspą Ognia był bezpośrednio łączony Horus z Edfu⁴⁶ i to tam Thot, Mędrzec, Pan Mądrości, „uczynił kaplice dla bogów i bogiń”⁴⁷.

Martwa ręka ortodoksyjnej archeologii

Ostatni etap naszej podróży po Indonezji w 2014 roku prowadził do Gunung Padang – tajemniczej piramidy, długo uważanej za naturalne wzgórze, na którą zwrócił uwagę świata geolog Danny Natawidjaja. Nie będę jej ponownie opisywał, ponieważ zrobiłem to już w rozdziale drugim.

Jak pamiętamy, megalityczna konstrukcja ze słupów bazaltowych, widoczna na najwyższych poziomach Gunung Padang jest tylko ostatnim etapem w jego długiej historii, a Danny ze swoim zespołem użył tomografii sejsmicznej, georadaru i innych nowoczesnych technologii, by wykazać, że struktury zbudowane przez człowieka znajdują się dziesiątki metrów pod powierzchnią ziemi. W obrębie tych podziemnych konstrukcji wykonano odwierty, z których pozyskano próbki materiału organicznego, te zaś poddano datowaniu radiowęglowemu, otrzymując daty sięgające 22 000 lat temu, przed końcem ostatniego zlodowacenia, kiedy nasi przodkowie byli (według ortodoksyjnej archeologii) prymitywnymi myśliwymi i zbieraczami, niezdolnymi do podejmowania większych prac budowlanych. Co intrygujące (również pisałem o tym w rozdziale drugim), badania geofizyczne wykazały obecność – głęboko wewnątrz piramidy – trzech podziemnych komór, o kształcie tak regularnym, że nie mogą być tworem naturalnym. Największa z nich znajduje się na głębokości między 21,3 a 27,4 metrów i ma 5,5 metra wysokości, 13,7 metra długości i 9,1 metra szerokości⁴⁸.

W czasie naszej wizyty w Gunung Padang na początku czerwca 2014 roku wykopaliska wciąż jeszcze nie mogły się rozpocząć z powodu sprzeciwu archeologów, lecz w sierpniu, po zdecydowanej interwencji prezydenta Indonezji Susila Bambang Yudhoyona, Danny i jego zespół mogli w końcu przystąpić do pierwszego krótkiego sezonu prac. Niestety jednak zostały one wstrzymane krótko później, w październiku 2014 roku, kiedy prezydent Yudhoyono ustąpił z urzędu po drugiej kadencji. Jego następca, prezydent Joko Widodo, nie podszedł tak entuzjastycznie do projektu, być może z powodu obiekcji szefa Centrum Archeologicznego w Bandung, Desril Shanti. Shanti przypuściła publiczny atak na wykopaliska w Gunung Padang pod koniec września 2014 roku, twierdząc, że nie są prowadzone zgodnie z zasadami stosowanymi w badaniach archeologicznych. „Jeszcze nie byłam na tym

stanowisku – powiedziała – ale mogę to ocenić na podstawie fotografii. Wykopaliska archeologiczne nie powinny być prowadzone w taki sposób”⁴⁹. Zaprotestowała też przeciwko finansowaniu tego projektu; fundusze powinny przyspaść, jak powiedziała, jej departamentowi⁵⁰.

Na początku października 2014 roku, jak czytelnicy pamiętają z rozdziału drugiego, Danny pisał do mnie z entuzjazmem:

Badania postępują doskonale. W ostatnich tygodniach odkopaliśmy na szczycie megalitycznego stanowiska jeszcze trzy miejsca, które dostarczyły więcej dowodów i informacji o pogrzebanych strukturach. Odkryliśmy mnóstwo kamiennych artefaktów. Istnienie pod megalitami kamiennej konstrukcji podobnej do piramidy nie ulega już wątpliwości; nawet ktoś, kto nie jest specjalistą, zrozumie to, jeśli przyjedzie i sam zobaczy. Znaleźliśmy rodzaj otwartej hali, pod warstwą ziemi grubą na 5 do 7 metrów, chociaż nie dotarliśmy jeszcze do głównej komory. Teraz prowadzimy wiercenia w miejscu, gdzie przypuszczamy, że powinna się znajdować (na postawie badań geofizycznych na powierzchni), pośrodku megalitycznego stanowiska⁵¹.

Zaledwie kilka dni później nastąpiła zmiana na stanowisku prezydenta i wykopaliska oraz wiercenia zostały zatrzymane. Niemniej jednak ten pierwszy, krótki, przedwcześnie przerwany sezon dostarczył ważnych informacji. Jak napisał Danny w e-mailu do mnie, nawet stosunkowo późna warstwa, którą zdążyli odkopać – druga warstwa bazaltowych słupów poniżej megalitycznych struktur widocznych na powierzchni – dała radiowęglową datę 5200 p.n.e. (czyli 7200 lat temu, prawie 3000 lat wcześniej niż ortodoksyjna data powstania piramid w Gizie), a badania geofizyczne i odwierty dowodzą istnienia starszych warstw poniżej⁵². Krótko mówiąc, nie ulega już wątpliwości, że Gunung Padang jest znacznie starsze niż 3000 lat, jak od dziesięcioleci twierdzili archeolodzy. Nawet najzacieklejsi wśród nich zaczęli rewidować swoje poglądy i mówić o „gigantycznym tarasowym grobowcu, który był wytworem największej megalitycznej kultury w tym archipelagu”⁵³.

W czasie pisania tej książki pozostawałem w kontakcie z Dannym. Czternastego stycznia 2015 roku otrzymałem od niego rozczarowującą wiadomość, że nie dostał zgody na prowadzenie dalszych prac. „Wciąż czekamy, aż nowy rząd podejmie działania na rzecz kontynuacji prac w Gunung Padang”, pisał. Dodał też, że niepokoją go prace budowlane rozpoczęte tymczasem w Gunung Padang „przez Departament Robót Publicznych, Turystyki i inne... Są prowadzone bez żadnego planu i konsultacji z nami, więc niszczą stanowisko”. Nie tracił jednak nadziei, że wkrótce on i jego ekipa będą mogli kontynuować wykopaliska. A wtedy, pisał, „do końca 2015 roku mam nadzieję dowiedzieć się znacznie więcej o drugiej warstwie (konstrukcjach liczących 7000 lat) i zacząć rozumieć trzecią (sprzed ponad 10 000 lat)”⁵⁴.

Dziesiątego marca dostałem kolejną wiadomość od Danny'ego. Niestety, informował mnie tylko, że od 14 stycznia sytuacja się nie zmieniła:

Nowe ministerstwo kultury ciągle nie uruchomiło państwowego zespołu. Wciąż czekamy i mamy nadzieję, że nowe ministerstwo będzie życzliwie nastawione do badań w Gunung Padang⁵⁵.

Czas pokaże... Jednak perspektywy nie wyglądają dobrze i w chwili, gdy *Magowie bogów* idą do druku, obawiam się, że ortodoksyjna archeologia mogła znowu postawić na swoim, realizując celową strategię – takie można odnieść wrażenie – mającą uniemożliwić poznanie prawdy o naszej przeszłości. Poniżej warstw pochodzących sprzed 7000 i 10 000 lat w Gunung Padang znajdują się jeszcze starsze warstwy struktur będących dziełem człowieka. Warstwy te, dotychczas nieodkopane, a zidentyfikowane jedynie na podstawie odwiertów i teledetekcji, pochodzą z czasów przed katastroficznym epizodem młodszego dryasu (12 800 do 11 600 lat temu), gdy w czasie ostatniego zlodowacenia jeszcze rozkwitała zaginiona cywilizacja – cywilizacja, którą znamy tylko z mitów i legend oraz dzieł stworzonych przez jej ocalałych przedstawicieli, starających się odtworzyć „dawny świat bogów”.

Indonezja jest jednym z najbardziej prawdopodobnych kandydatów, kiedy szukamy miejsca, gdzie cywilizacja mogła powstać i osiągnąć dojrzałość. Zdając sobie z tego sprawę, wielu poważnych uczonych, wśród nich Danny Natawidjaja i profesor Arysio Santos, przedstawiało dowody wskazujące, że Platon pomylił się, umieszczając Atlantydeę na Oceanie Atlantyckim⁵⁶. W rzeczywistości wszystkie poszlaki wskazują na wschód i umieszczają zaginioną cywilizację między Oceanem Indyjskim a Spokojnym – czyli dokładnie tam, gdzie w epoce lodowcowej znajdował się zatopiony ląd sundajski, którego jedyną pozostałością są dzisiaj wyspy Indonezji. Ortodoksyjna archeologia stanowczo odrzuca istnienie jakiegokolwiek zaginionej cywilizacji, bez względu na to, czy miałyby się znajdować na wschodzie, czy na zachodzie. Moim zdaniem jednak w całej Indonezji znaleziono tak liczne ślady pochodzące z „dziwnie zamierzchłej” starożytności, by postawić taką opinię pod znakiem zapytania. Oto kilka przykładów:

- Wspomniałem już o *Homo floresiensis*, „hobbicie”, który mógł być całkowicie odrębnym od naszego gatunkiem hominida⁵⁷, a przetrwał dziesiątki tysięcy lat po tym, jak nasi kuzyni neandertalczyki i denisowianie zniknęli z powierzchni ziemi. Co intrygujące, *Homo floresiensis* wymarł około 12 000 lat temu, w apokaliptycznej epoce młodszego dryasu.
- W wydaniu z 8 października 2014 roku prestiżowe czasopismo naukowe „Nature” doniosło – w tonie zaskoczenia – że na indonezyjskiej wyspie Sulawesi znaleziono wymyślne, skomplikowane malowidła jaskiniowe, liczące co najmniej 39 900 lat; są więc

one równie stare lub starsze od wszystkich podobnych zabytków odkrytych w Europie, wcześniej uważanej za ojczyznę tak wczesnej, zaawansowanej symbolicznej twórczości⁵⁹.

• Również czasopismo „Nature”, 12 lutego 2015 roku, poinformowało o odkryciu na Jawie geometrycznych rytów naskalnych „powszechnie uważanych za oznakę współczesnego rozumowania i zachowania”, lecz pochodzących sprzed 500 000 lat – czyli wyprzedzających o 300 000 lat pojawienie się na naszej planecie anatomicznie współczesnych ludzi⁶⁰.

Skoro takie świadectwa, które piszą na nowo historię ludzkości, zostały dopiero niedawno odkryte na indonezyjskich wyspach, to ile jeszcze musi czekać na odkrycie nieznana dotychczas cywilizacja i dlaczego łopata archeologa nie miała jej odsłonić? Biorąc pod uwagę, jaki obszar zniknął pod wodą, kiedy poziom mórz podniósł się o ponad 100 metrów pod koniec ostatniego zlodowacenia, niczego nie można wykluczyć. Właśnie dlatego Gunung Padang jest tak ważne. A być może najważniejsza okaże się wielka komora zidentyfikowana georadarem i innymi metodami teledetekcji głęboko wewnątrz piramidy, ponad 20 metrów poniżej jej wierzchołka.

Czy to jest archiwum zaginionej cywilizacji?

Również to czas pokaże...

Góry ognia i popiołu

Gunung Padang nie było końcem naszej podróży badawczej w czerwcu 2014 roku. Kiedy obejrzelismy to zdumiewające stanowisko, chłonąc jego starożytną, nieco niepokojącą atmosferę, i uświadomiliśmy sobie ponownie – jeszcze wyraźniej niż poprzednio – dlaczego okoliczna ludność do dzisiaj kocha to miejsce, czci i nazywa Górą Światła, udaliśmy się z Santhą do Bandung, stolicy regionu. Tam następnego ranka wsiedliśmy do pociągu, który po siedmiu godzinach dowiózł nas do Yogyakarta w środkowej części Jawy, gdzie zamierzaliśmy spędzić kilka dni w okolicy słynnej buddyjskiej świątyni Borobudur.

Podróż pociągiem jest... urokliwa, a widok niekończących się pól ryżowych, gór i zielonych drzew oraz przyjaznych, zabieganych ludzi to prawdziwa przyjemność. Dotarliśmy do Yogyakarta wieczorem, a nazajutrz wstaliśmy o czwartej nad ranem, żeby pojechać do Punthuk Setumbu na zboczu nad doliną, w której wznosi się Borobudur. Powietrze nie było chłodne – tutaj nigdy nie jest chłodno – ale rześkie, a pod nami rozciągała się ciemność... ciemność kryjąca tajemnicę, ponieważ to właśnie tam znajduje się Borobudur, który za chwilę miały oświetlić promienie słońca.

Ale słońce wschodziło powoli, światło sączyło się na niebo, stopniowo oświetlając porośnięte gęstym lasem zbocze i dolinę poniżej, ukazując nam w oddali dwa wulkaniczne szczyty górujące ponad Borobudur – Merapi (co znaczy „Góra Ognia”), wciąż aktywny, i uśpiony Merbabu („Górę Popiołu”). Około piątej rano gęste drzewa porastające dno doliny zaczęły być widoczne, choć spowite mgłą. Wkrótce jednak wiatr poruszył opary i mogliśmy w końcu zobaczyć potężny, piramidalny kształt Borobudur, zwieńczony wyniosłą stupą, która wydaje się sięgać niebios, niczym kosmiczna oś przebijająca pępek ziemi, by połączyć niebo ze światem podziemnym. Gdy słońce wschodziło wyżej, mgła wirowała i rozpełzała się, owijając się między drzewami i zbierając w głębszych częściach doliny, ale ponad tym wszystkim wznosiło się Borobudur, jak mityczna wyspa z zarania dziejów.

Po tak kuszącym powitaniu nie mogliśmy się doczekać wizyty w świątyni, ale na ten dzień mieliśmy inne plany, więc pojechaliśmy z Yogyakarty na wschód, najpierw do miasta Surakata (przez mieszkańców zwykle nazywanego Solo), a potem dalej na górę Lawu, jeszcze jeden potężny, uśpiony wulkan. Wydaje się, jakby cała Jawa była usiana tymi śpiącymi olbrzymami. Ich wybuchy obdarzały wyspę pożytecznymi składnikami, dzięki którym gleby stawały się niebywale żyzne i urodzajne.

Jechaliśmy po stromych zboczach Lawu przez jaskrawozielone plantacje herbaty, aż na wysokości 910 metrów nad poziomem morza, gdzie szczyt wulkanu wznosił się ponad 2000 metrów nad nami, dotarliśmy do małej wioski, w której Danny Natawidjaja polecił nam poszukać Candi Sukuh – dziwnej i tajemniczej małej świątyni.

– Wydaje się zupełnie nie pasować do Indonezji – powiedział. – Wygląda raczej jak schodkowa piramida Majów.

Jak się okazało, miał absolutną rację. Sukuh, choć mniejsza, jest zaskakująco podobna do schodkowej piramidy Kukulkana/Quetzalcoatla w Chichen Itza na Jukatanie. Sukuh została zbudowana w XV wieku, tuż przed nawróceniem Indonezji z hinduizmu i buddyzmu na islam. Dlaczego jednak ją zbudowano i dlaczego jej styl jest tak charakterystyczny i nietypowy dla Indonezji, nauka nie potrafi odpowiedzieć. Uważa się, że piramida Kukulkana, w swoim obecnym wcieleniu – choć zawiera w swoim wnętrzu starszą konstrukcję – została zbudowana między IX a XII wiekiem. A zatem te dwie budowle dzielą tysiące kilometrów i setki lat, więc prawdopodobieństwo bezpośredniej inspiracji jest nikłe. Jednak kiedy zwiedzałem Sukuh – a panuje w niej dziwna, tajemnicza atmosfera, którą dodatkowo wzmacnia przedwieczorna mgła spowijająca całe zbocze – zastanawiałem się, czy te podobieństwa są czysto

przypadkowe, czy nie lepiej wyjaśniłoby ich założenie, że oba miejsca podlegały wpływom z tego samego, prastarego źródła.

Sygnal

Na pewno takie wpływy można zauważyć w Borobudur, świątyni piramidzie składającej się z 1,6 miliona bloków wulkanicznego andezytu⁶¹, budowanej przez 50 lat, od ostatniej ćwierci VIII do pierwszej IX wieku n.e.⁶². Nie ma w niej żadnej inskrypcji dedykacyjnej – mówiąc ściśle, nie ma prawie żadnej inskrypcji⁶³. Jest to jednak z pewnością buddyjski monument – nie może być co do tego wątpliwości, ponieważ pokrywające ją przepiękne reliefy przedstawiają w większości historie z życia Buddy. W myśl buddyjskich idei świątynia ta miała być:

(...) kosmiczną górą, świętą repliką wszechświata, stworzoną, by prowadzić pielgrzymów do pełnego oświecenia, *sambodhi*, dzięki któremu Bodhisattva staje się Buddą – co jest ostatecznym celem buddyzmu... Wierny podąża ścieżką na szczyt góry, cały czas zwrócony do monumentu prawym ramieniem. Następnie droga prowadzi go wzdłuż... licznych galerii ozdobionych kamiennymi panelami z reliefowymi scenami o wyraźnie buddyjskim charakterze, przedstawiającymi starożytne buddyjskie teksty⁶⁴.

Okrążając monument w kierunku ruchu wskazówek zegara i powoli wznosząc się z ziemi ku niebu, mijamy 504 naturalnej wielkości posągi Buddy, z których 432 znajdują się na kwadratowych, schodkowych tarasach, zaś pozostałe 72 na trzech najwyższych, na planie koła, otaczających centralną stupę. Poza tym obliczenia prawidłowego szlaku pielgrzyma przez cztery galerie z reliefami wykazały, że trasę:

(...) a także to, ile razy trzeba przejść każdą galerię określają reliefy po obu stronach galerii. Aby „odczytać” cały ich zespół w prawidłowej kolejności, wierni muszą wykonać 10 okrążeń w kierunku zgodnym z ruchem wskazówek zegara. W ten sposób wierny mija posąg Buddy 2160 razy, zanim dotrze na szczyt...⁶⁵

Czytelnicy zorientują się natychmiast, podobnie jak ja, kiedy szedłem wokół Borobudur, że te liczby prowadzą nas znowu do tajemniczego, uniwersalnego kodu liczbowego opisanego w poprzednich rozdziałach. Kod ten, jak pamiętamy, jest oparty na trudnym do zaobserwowania zjawisku precesji równonocy, które przebiega w tempie 1 stopnia na 72 lata i powoduje, że co 2160 lat zmienia się znak zodiaku, na którego tle wschodzi słońce w dniu równonocy. Ten sam kod został użyty przy projektowaniu Wielkiej Piramidy w Gizie jako modelu naszej planety w skali 1:43 200.

Obecność tego kodu również w Baalbek, w Göbekli Tepe, a teraz i w Borobudur, podobnie jak w mitach i przekazach z całego świata, można wyjaśnić tylko wspólnym źródłem wpływów manifestujących się we wszystkich tych miejscach i formach – „niemal niewiarygodną” cywilizacją przodkiem zidentyfikowaną przez Giorgia de Santillanę i Herthę von Dechend, którzy „pierwsi odważyli się zrozumieć świat jako stworzony według liczb, miar i wag”⁶⁶.

Intuicja podpowiada mi, o czym wspominałem już kilkakrotnie w tej książce, że ta zaginiona cywilizacja starała się wysłać sygnał w przyszłość – do naszych czasów, w XXI wiek – a nośnikiem tego sygnału jest kod precesyjny.

Dwa różne zabezpieczenia zostały zastosowane, aby ten sygnał przetrwał upływ czasu.

Po pierwsze, został on zapisany w mitach, legendach oraz matematycznych i architektonicznych zasadach, podtrzymywanych i przekazywanych dalej przez różne kultury, które je odbierały; to wzmacniało sygnał i sprawiło, że przetrwał nietknięty przez tysiące lat. Nawet jeśli ci, przez których ręce i umysły przechodził sygnał, nie rozumieli go, waga tej tradycji, uświęconej przez jej wiek, kazała im przekazywać ją dalej i za wszelką cenę chronić przed zniekształceniem.

Po drugie, sygnał został zakodowany w pewnych megalitycznych konstrukcjach. Niektóre z nich są doskonale widoczne, jak kompleks budowli w Gizie, konserwowany i udoskonalany przez kolejne kultury na przestrzeni tysiącleci zgodnie z „boskim” kanonem. Inne zostały zakopane w ziemi – kapsuły czasu jak Göbekli Tepe i być może jak tajemnicza komora pod Gunung Padang – i czekają na odkrycie, kiedy nadejdzie odpowiedni czas.

„Po potężnych pomnikach, dziełach ich rąk na ziemi – czytamy w Świętym Kazaniu Hermesa – zostanie ledwie błady ślad, kiedy cykle się odnowią”⁶⁷.

Według G.R.S. Meada, pioniera studiów nad gnostycyzmem i hermetyzmem, słowa te miały skierować naszą uwagę ku przeszłości:

(...) kiedy potężna rasa, oddana rozwojowi w mądrości, żyła na ziemi i pozostawiła po sobie wielkie pomniki swej wiedzy, dzieło ich rąk, których ślady będzie można zobaczyć w „odnowieniu się czasu”...⁶⁸

Mead znajduje w tym echo starożytnego przekonania, „że następowały na przemian okresy zniszczenia przez wodę i ogień, i odnowy”⁶⁹.

W Egipcie wierzono... że ostatni świat został zniszczony przez wodę i powódź. Przed owym Potopem żyła potężna rasa Egipcjan, rasa pierwszego Hermesa... Mgliste ślady potężnych dzieł tej minionej, miłującej mądrość cywilizacji można do dziś zobaczyć...⁷⁰

I Mead dodaje – na co poważyłoby się niewielu współczesnych uczonych:

Ja sam jestem skłonny uwierzyć w tę tradycję; i czasami rozważałem możliwość, że pod jedną lub więcej piramidami spoczywają pogrzebane pozostałości jakichś prehistorycznych budowli, które przetrwały Potop⁷¹.

W tekstach hermetycznych jest więcej wątków związanych z tym tematem, a przede wszystkim wzmianka o Księgach Thota, o ich stworzeniu przez samego Thota Hermesa i o ich przeznaczeniu:

To bowiem, co wiedział, wyrzył w kamieniu; a jednak, choć wyrzył je w kamieniu, ukrył je, zachowując milczenie w mowie, aby każde późniejsze pokolenie kosmicznego czasu mogło ich poszukiwać⁷².

Ukrywając swoje księgi, bóg mądrości wygłosił te oto słowa, wspominając przy okazji o swojej śmiertelności – a zatem zapewne nie był bogiem, lecz zwykłą ludzką istotą:

O Święte Księgi, spisane przez moje śmiertelne ręce, ale namaszczone eliksirem niezniszczalności... pozostańcie niewidoczne i nieodkryte przez wszystkich ludzi, którzy będą przychodzić i odchodzić z tej ziemi, aż nadejdzie czas, kiedy Niebo zestarzeje się i zacznie rodzić organizmy was godne...⁷³

Mead nie wyjaśnił dziwnego słowa „organizmy” – czasami tłumaczonego jako „instrumenty” – ale skomentował je sir Walter Scott w swojej edycji *Hermetica*. „Po długich wiekach – pisał – narodzą się ludzie, którzy będą godni odczytać księgi Hermesa”⁷⁴.

Czy ten czas nadszedł?

Czy jesteśmy godni przeczytać te „księgi” zaginionej mądrości, ukryte przed Potopem?

A jeśli tak, to czego możemy się z nich dowiedzieć?

VIII. ZAMKNIĘCIE

19. NASTĘPNA ZAGINIONA CYWILIZACJA?

Mity o potopie, których ponad 2000 przetrwało do naszych czasów z zamierzchłej przeszłości, są ze sobą zdumiewająco zgodne w pewnych punktach, a zwłaszcza w jednym: że kataklizm nie wydarzył się przypadkowo, lecz sami go na siebie ściągnęliśmy naszym postępowaniem.

Nasza arogancja, okrucieństwo wobec siebie nawzajem, nasz zgiełk, konflikty i niegodziwość rozwścieczyły bogów. Przestaliśmy rozwijać ducha. Przestaliśmy kochać ziemię i dbać o nią, nie patrzymy już na świat z szacunkiem i podziwem. Oszołomieni własnymi sukcesami, zapomnieliśmy, jak rozsądnie wykorzystywać nasz dobrobyt.

Tak właśnie było, jak mówi Platon, z niegdyś dobrymi i hojnymi mieszkańcami Atlantydy, których postawa duchowa w dawnych czasach „nacechowana była prawdą i ze wszech miar wielkością. Łagodność i rozsądek objawiali w stosunku do nieszczęść, które się zawsze zdarzają”. Jednak z czasem ogarnęła ich nadmierna pycha z powodu własnych osiągnięć; ulegli materializmowi, chciwości i przemocy:

(...) kto umiał patrzeć, ten widział już ich brzydotę, kiedy ztracali to, co najpiękniejsze, pośród największych dóbr. Tym, którzy nie potrafili dojrzeć życia naprawdę szczęśliwego, wydawało się właśnie wtedy, że są osobliwie piękni i szczęśliwi, kiedy ich napełniała chciwość niesprawiedliwa i potęga¹.

Jeśli można powiedzieć o jakimś społeczeństwie, że spełnia mitologiczne kryteria – wszystkie kryteria – następnej zaginionej cywilizacji, to czy nie jest

oczywiste, że chodzi o nas samych? Skalaliśmy i zaniedbaliśmy majestatyczne ogrody ziemi, grabimy jej zasoby, niszczymy oceany i lasy deszczowe; naszą wzajemną nienawiść, strach i podejrzliwość podsycają setki zacieklej konfliktów regionalnych i religijnych; mamy ogromne doświadczenie w biernym przyglądaniu się, jak miliony ludzi cierpią; zapomnieliśmy, że wszyscy jesteśmy braćmi i siostrami; popełniamy bezmyślne okrucieństwa w imię narodu, religii lub chciwości, obsesyjnie wytwarzamy i konsumujemy dobra materialne; coraz częściej wierzymy, że istnieje tylko materia i nie ma czegoś takiego jak duch, że jesteśmy tylko przypadkowym produktem chemii i biologii; wreszcie nasza ignorancja, rasizm, nietolerancyjne religie, wojowniczy szowinizm i wiele podobnych zjawisk – wszystko to, przynajmniej w kategoriach mitologicznych, nie wróży nam dobrze.

Tymczasem opanowaliśmy technologie tak zaawansowane, że wydają się niemal magią, nawet jeśli używamy ich na co dzień. Komputery, Internet, lotnictwo, telewizja, telekomunikacja, badania kosmosu, inżynieria genetyczna, broń nuklearna, nanotechnologia, transplantologia... lista może być bardzo długa, ale niewielu spośród nas rozumie, jak to wszystko działa, a w miarę rozwoju technologii nasz duch marnieje i wdajemy się we „wszelkiego rodzaju zuchwałę zbrodnie, wojny, grabieże i oszustwa, i wszelkie rzeczy sprzeczne z naturą duszy”².

Załóżmy, że dosięgnie nas kataklizm, kataklizm tak ogromny, że nasza skomplikowana, wysoce wyspecjalizowana cywilizacja upadnie – upadnie całkowicie, bez żadnej szansy na ratunek. Gdyby doszło do takiego scenariusza, to wydaje się prawdopodobne, że najpotulniejsi i najbardziej zmarginalizowani ludzie, jacy żyją w dzisiejszym świecie – myśliwi i zbieracze z Amazonii albo pustyni Kalahari, którzy mają bardzo niewielkie potrzeby, ale wręcz legendarne umiejętności przetrwania – będą jedynymi, którzy ocaleją, i to właśnie oni przekażą historię ludzkości epoce po kataklizmie.

Jak będą nas pamiętać ich potomkowie za 1000 albo 10 000 lat? Jak zostanie utrwalone w mitach i legendach coś, co uważamy za codzienność – na przykład nasza umiejętność przyjmowania przez 24 godziny na dobę wiadomości z telewizji, słuchania dźwięków i oglądania obrazów ze wszystkich stron świata, a nawet z kosmosu? Czy nie będą o nas mówić z podziwem, jak o „Prajcach” upamiętnionych w *Popol Vuh*, świętej księdze starożytnych Majów Kicze:

Byli obdarzeni inteligencją; patrzyli i widzieli daleko; widzieli i wiedzieli wszystko, co jest na świecie. Kiedy patrzyli, natychmiast widzieli wszystko wokół siebie i kontemplowali łuk niebios i okrągłe oblicze ziemi. Rzeczy ukryte w oddali widzieli, nie musząc ruszać się z

miejsca; w jednej chwili widzieli świat i widzieli go stamtąd, gdzie byli. Wielka była ich mądrość; ich wzrok sięgał lasów, jezior, mórz, gór i dolin³.

A jednak, podobnie jak w wielu innych wspomnieniach sięgających czasów zaginionej, zaawansowanej cywilizacji z prehistorycznej starożytności, dowiadujemy się, że z czasem „Praojcowie” stali się aroganccy i dumni; przekraczali wszelkie granice, więc bogowie zapytali: „Czyżby oni byli równi nam, ich stwórcom? Poddajmy próbie ich pragnienia, bo to, co widzimy, nie jest dobre”⁴. Wkrótce nastąpiła kara:

Serce Niebios dmuchnęło mgłą w ich oczy, co zaćmiło ich wzrok jak lustro, kiedy się na nie chuchnie. Ich oczy były zakryte i widzieli tylko to, co było bliskie; tylko to było dla nich wyraźne. W ten sposób cała mądrość i cała wiedza [Praojców] zostały zniszczone⁵.

Warto zwrócić uwagę na mechanizm, jakiego użyli bogowie, by pokazać naszym przodkom, gdzie jest ich miejsce. *Popol Vuh* opisuje:

Potop został sprowadzony przez Serce Niebios... Gęsta żywica padała z nieba... oblicze ziemi pociemniało i czarny deszcz zaczął padać w dzień i noc...⁶ Oblicza słońca i księżyca były zasłonięte...⁷ Był grad, czarny deszcz, mgła i nieopisane zimno...⁸

Wszystkie te zjawiska odzwierciedlają złożony charakter kataklizmu, który spadł na Ziemię 12 800 lat temu, na początku zimnego epizodu młodszego dryasu, kiedy – jak wskazują liczne dowody przedstawione w części drugiej, a wielu naukowców nie ma już co do tego wątpliwości – w Ziemię uderzyło kilka dużych fragmentów rozpadającej się komety.

Moim zdaniem – i to właśnie była główna przyczyna napisania tej książki – powinniśmy zwrócić baczną uwagę na takie relacje i na łączące je szczegóły, niezależnie od tego, czy pochodzą z Peru, Wyspy Wielkanocnej, Mezopotamii, Egiptu, Kanaanu czy z Turcji. Intrygujące jest na przykład – zwłaszcza w kontekście opisanego w nim potopu – że *Popol Vuh* wspomina o „ludziach rybach”⁹, przywodzących na myśl mezopotamskich mędrców Apkallu (którzy mieli „całe ciało ryby, ale pod spodem, połączona z głową ryby, była druga głowa – człowieka, a z rybim ogonem były połączone stopy jak ludzkie”)¹⁰. I tak samo jak Apkallu, owi ludzie ryby z legend starożytnych Majów byli obdarzeni mocami magicznymi i „czynili wiele cudów”¹¹.

Może więc nie powinno nas dziwić, że Quetzalcoatl, Pierzasty Wąż, który przyniósł cywilizację i występuje w *Popol Vuh* pod imieniem Gucumatza,¹² jest wyobrażony na starożytnym przedstawieniu z LaVenta nad Zatoką Meksykańską z taką samą torbą, czy też wiadrem, jakie trzymali Apkallu na reliefach z Mezopotamii i jakie można zobaczyć na Filarze 43 w Göbekli Tepe w Turcji. La Venta było jednym z ośrodków tajemniczej cywilizacji Olmeków,

którzy pozostawili rzeźby przedstawiające brodatych mężczyzn o rysach nieprzypominających rdzennych Amerykanów, lecz podobnych do brodatych postaci mezopotamskich Apkallu oraz posągów Kon-Tiki Wirakoczy w Tiahuanaco w Boliwii. Również to wskazuje na uniwersalną symbolikę związaną z grupą osób, które starały się zaszczerpieć dary cywilizacji na całym świecie. Co więcej, powszechnie uważa się, że niezwykła wiedza astronomiczna, z której słynęli Majowie, stanowiła część znacznie obszerniejszego zasobu zaawansowanej wiedzy przekazanej im przez Olmeków i nawet sam kalendarz Majów jest jednym z elementów tej olmeckiej spuścizny.

Jak pamiętamy z rozdziału piętnastego, wielki cykl majańskiego kalendarza skończył się 21 grudnia 2012 roku. Ta końcowa data została tak obliczona, by przypadła na zdarzającą się raz na 26 000 lat koniunkcję słońca w dniu zimowego przesilenia ze środkiem galaktyki – koniunkcję, która, z powodu średnicy Słońca i ograniczeń obserwacji astronomicznych prowadzonych gołym okiem, nie jest precyzyjnie określonym momentem, lecz mieści się w 80-letnim „oknie” obejmującym lata 1960–2040. Widzieliśmy też, jak Filar 43 w Göbekli Tepe wykorzystuje tę samą astronomiczną symbolikę, by przedstawić dokładnie te same ramy, w których – co można sprawdzić, korzystając z symulacji komputerowych – słońce w dniu zimowego przesilenia pojawia się również dzisiaj.

Intuicja podpowiada mi, że zarówno kalendarz Majów, jak i filar w Göbekli Tepe stanowią próbę wysłania wiadomości w przyszłość przy użyciu kodu precesyjnego. Widzę cechy takiej wiadomości również w wielkim astronomicznym geoglifie, jaki tworzą piramidy i Wielki Sfinks w Gizie. Przy użyciu tego samego kodu oraz odwołań do konstelacji Oriona i Lwa, monumenty te kierują naszą uwagę na epokę młodszego dryasu, między 12 800 a 11 600 lat temu, a przez symbolikę powrotu Feniksa – na epokę przypadającą pół precesyjnego cyklu później, czyli znowu na nasze czasy (patrz rozdział jedenasty).

Tutaj wskazanie nie jest tak precyzyjne, jak w przypadku kalendarza Majów i Filaru 43 w Göbekli Tepe, ale podobnie nieprecyzyjnie nauka datuje uderzenia meteorytów, które zapoczątkowały młodszy dryas, na 12 800 lat temu. Dokładność datowania metodą radiowęglową, na której naukowcy opierają tę chronologię, każe przyjąć margines błędu 150 lat w jedną lub w drugą stronę. Innymi słowy, kometa młodszego dryasu – dla uproszczenia nazwijmy ją „Feniksem” – równie dobrze mogła uderzyć w Ziemię 12 650 lat temu (czyli w 10 635 roku p.n.e., ponieważ piszę te słowa w 2015 roku), jak i 12 950 lat temu (czyli w 10 935 p.n.e.).

Pamiętając, że połowa cyklu precesyjnego to 12 960 lat (albo 12 954 lata w wyjątkowo precyzyjnych obliczeniach momentu powrotu Feniksa podanych przez Solinusa¹³), powinniśmy brać pod uwagę okres, który zacznie się zaledwie 10 lat po wydaniu tej książki, czyli około 2025 roku n.e., a zakończy dopiero około 2325 roku – czyli po upływie 12 960 lat od najpóźniejszej możliwej daty uderzenia Feniksa. Jak jednak pamiętamy, kalendarz Majów i Filar 43 w Göbekli Tepe zawierają te obliczenia. Jeśli prawidłowo odczytujemy tę wiadomość, to właśnie teraz jesteśmy w strefie zagrożenia i pozostaniemy w niej aż do 2040 roku. Przypomina mi się tu legenda Odżibwejów cytowana w rozdziale trzecim:

Gwiazda z długim, szerokim ogonem zniszczy świat pewnego dnia, kiedy znowu się zbliży. To kometa zwana Niebiańską Wznoszącą się Gwiazdą o Długim Ogonie. Zbliżyła się tutaj już raz, tysiące lat temu. Tak jak słońce. Promieniowała i miała w ogonie palący żar.

Kometa spaliła wszystko do gołej ziemi. Nie zostało nic. Indianie byli tutaj, zanim to się stało, żyli na ziemi. Ale stało się coś złego: mnóstwo ludzi zeszło z duchowej ścieżki. Wielki Duch ostrzegł ich na długo przed nadejściem komety. Medycy mówili wszystkim, żeby się przygotowali.

W przyrodzie na ziemi stało się coś złego... Potem przeszła tędy kometa. Miała długi, szeroki ogon i spaliła wszystko. Leciła tak nisko, że jej ogon spalił ziemię... Kometa zmieniła świat. Tych, którzy przeżyli, czekała ciężka praca. Pogoda stała się zimniejsza niż przedtem...¹⁴

Czy będzie sianiem paniki sugestia, że kometa upamiętniona w tym i tak wielu innych mitach i legendach z całego świata może szykować się właśnie do wielkiego powrotu?

Czy naczytałem się za dużo o starożytnych monumentach i kalendarzach, a także o tym, że zawsze i wszędzie, we wszystkich kulturach, na komety patrzono z lękiem i odrazą, jak na zapowiedź nadchodzącej zagłady i zniszczenia?¹⁵

Nie mam pewności, jakie są prawidłowe odpowiedzi na te pytania. Z mojego osobistego punktu widzenia, jako kochającego ojca i dziadka, wolałbym, żeby takie zagrożenie nie istniało, a zarazem, jeżeli zagrożenie jest, to byłoby głupotą chować głowę w piasek i udawać, że nie ma się czym przejmować i nie musimy nic robić. Dlatego czuję się w obowiązku zwrócić uwagę, że najnowsze badania naukowe na ten temat są całkowicie zgodne ze starożytną mądrością.

Niebezpieczeństwo istnieje.

Gmach historii jest zbudowany na piasku

Właśnie teraz możemy obserwować radykalną zmianę paradygmatu dotyczącą naszego spojrzenia na ewolucję człowieka. Jak wspomniałem pod koniec rozdziału piątego, archeolodzy zwykli uważać, że kosmiczne zderzenia, podobno zdarzające się raz na miliony lat, nie mają żadnego znaczenia w liczącej 200 000 lat historii anatomicznie współczesnego człowieka. Kiedy sądziliśmy, że ostatnim wielkim impaktem było uderzenie asteroidy, która zabiła dinozaury 65 000 000 lat temu, próby powiązania takich kataklizmów o niemal niewyobrażalnej skali ze znacznie węższymi ramami czasowymi „historii” nie miały większego sensu. Ale koszmarny scenariusz przedstawiony przez grupę naukowców związanych z hipotezą młodszego dryasu i mający na poparcie przekonujące dowody zaprezentowane w części drugiej – że ogromny, wstrząsający, będący przyczyną masowego wymierania gatunków kataklizm wydarzył się stosunkowo niedawno, bo zaledwie 12 800 lat temu – zmienia wszystko...

Przede wszystkim oznacza to, że historyczna linia czasu, jaką poznajemy w szkołach i na uczelniach, ten mozolny marsz od paleolitu do neolitu, rozwój rolnictwa, powstanie pierwszych miast i tak dalej – krótko mówiąc, wszystko, co archeologia ma do powiedzenia na temat początków cywilizacji – opiera się na fałszywych fundamentach. Jakim innym słowem niż „fałszywe” można określić podstawy obecnie przyjmowanego historycznego paradygmatu, skoro już wiemy, że zostały stworzone bez uwzględnienia największego kataklizmu, jaki wstrząsnął Ziemią, odkąd wyginęły dinozaury. Co więcej, kataklizm ten wydarzył się w bardzo konkretnym i bardzo niedawnym okresie – w młodszym dryasie, między 12 800 a 11 600 lat temu – a tuż po nim pojawiły się pierwsze oznaki cywilizacji, najpierw w Göbekli Tepe w Turcji, a niedługo później na całym globie.

Uznanie, że te pierwsze eksperymenty z cywilizacją wystąpiły tuż po młodszym dryasie, bez wzięcia pod uwagę ogromnej traumy i zniszczeń, wywołanych przez kosmiczne impakty, które były przyczyną młodszego dryasu, jest prawdziwym błędem nauki. Jeszcze poważniejszym błędem jest to, że nie dopuszcza się możliwości, że te wybuchy, powodzie, czarny deszcz, czas ciemności i trudnego do opisanego zimy, zatarły wszelkie ślady po kluczowych rozdziałach w dziejach ludzkości – być może nawet całą cywilizację prehistorycznej starożytności.

Jeśli naszą cywilizację miałby spotkać podobny ciąg zdarzeń, czy przetrwalibyśmy?

Wszystko wskazuje, że nie, i właśnie dlatego, moim zdaniem, coraz większa wiedza o komecie młodszego dryasu nakłada na archeologów obowiązek zaprzestania – co najmniej – kpin z Atlantydy i innych pogłosek o zaginionej

cywilizacji epoki lodowcowej, których istna powódź zalewała nas w przeszłości. Zamiast robić wszystko, by odrzucać, lekceważyć i wyśmiewać mity, niepasujące do paradygmatu monumenty i inne intrygujące świadectwa, ślady i poszlaki wskazujące na wielki zaginiony epizod w dziejach ludzkości, archeolodzy powinni raczej dokładnie, po raz pierwszy w dziejach, zbadać przy wykorzystaniu wszystkich możliwości nauki świadectwa uderzenia komety 12 800 lat temu.

Agenda?

Trzeba będzie przewyciężyć silny opór, zanim uda się przeprowadzić takie badania – z tych samych powodów, dla których James Kennett, Allen West, Richard Firestone i inni czołowi badacze impaktów młodszego dryasu napotkali opór ze strony swoich „uniformitariańskich” kolegów gradualistów. Jak zauważył Kennett, hipoteza impaktu młodszego dryasu podważa istniejące paradygmaty wielu dyscyplin nauki – nie tylko archeologii, ale także paleontologii, paleoceanografii, paleoklimatologii i dynamiki zderzeń¹⁶.

Oczywiście, ktoś, kto przedstawia nowe świadectwa, które mogą nadeprnąć na tak wiele odcisków, musi liczyć się ze sprzeciwem. Ale akademickie wojny terytorialne to jedna sprawa; trzymanie nas w nieświadomości co do realnego zagrożenia dla przyszłości całego rodzaju ludzkiego tylko dlatego, że jego uznanie wymagałoby od niektórych uczonych porzucenia wygodnych stanowisk – to już coś zupełnie innego.

A jednak wydaje się, że właśnie o to chodzi w ideologicznych atakach, przedstawianych jako uczciwa krytyka, jakie zostały przypuszczone na prace Kennetta, Westa, Firestone’a i innych – ataków, jak pamiętamy z części drugiej, za każdym razem skutecznie odpieranych. Możemy się jednak spodziewać, że ataki te będą trwały nadal, dopóki krótkowzroczny terytorializm będzie dominował w nauce nad racjonalną oceną niepokojących – i w przypadku komety młodszego dryasu absolutnie przekonujących – nowych dowodów.

Ale nie można wykluczyć, że jest to więcej niż tylko akademicka wojna terytorialna, a wręcz coś, co przypomina spisek mający na celu ukrycie niewygodnej prawdy. Kiedy zbierałem materiał do *Magów bogów*, korespondowałem z Allenem Westem, ponieważ chciałem sprawdzić fakty, a on jest członkiem zespołu wymienionym jako autor-korespondent większości

artykułów na temat hipotezy młodszego dryasu. Poruszaliśmy w dyskusji wiele różnych tematów, a w pewnym momencie West napisał:

Myślę, że twoja nowa książka przybliży hipotezę komety wielu ludziom i to będzie bardzo dobre dla naszej planety, ponieważ sprawa tego uderzenia jest nie tylko interesującą częścią historii. Impakt młodszego dryasu był druzgocący, ale znacznie mniejsze uderzenia mogłyby dzisiaj zniszczyć miasto, region albo cały kraj, a zdarzają się one znacznie częściej, niż przyznaje NASA czy ESA [Europejska Agencja Kosmiczna], choć świadomość tego jest coraz silniejsza¹⁷.

Podjmując wątek być może celowego zatajania informacji o takich uderzeniach, a zwłaszcza o komecie młodszego dryasu, napisałem do Westa:

Widząc, w jak podły sposób katastroficzne idee były traktowane przez lata, pewnie nie powinienem być zaskoczony zgodną wrogością waszych krytyków, tym, jak knują, co rusz ogłaszają „requiem” dla teorii komety – co za każdym razem okazuje się nie requiem, lecz tylko propagandą! A jednak nie mogę pozbyć się uczucia, że jest coś dziwnego w sposobie, w jaki krytycy niemal rozmyślnie ignorują kluczowe dowody, jakie przedstawiliście, aby formułować nagłówki typu „badania stawiają pod znakiem zapytania kataklizm, który zabił mamuty” albo mówić, że „co do tego stanowiska w Syrii, teoria impaktu jest skończona”, podczas gdy w rzeczywistości wcale nie jest skończona!¹⁸

Czy chodzi tylko o to, że rozpaczliwie pragną, aby świat był bezpiecznym, przewidywalnym miejscem, i starają się zrealizować swoje pragnienie, fałszując fakty w swoich artykułach? A może mają jakąś inną agendę?

Odpowiedź Westa była intrygująca:

To z pewnością jest jakimś aspektem tej sprawy. Jeden z krytyków narzekał przy mnie: „West, jeśli masz rację, będziemy musieli napisać podręczniki na nowo!” Jakby to było coś złego... [Ale], co ciekawe, niektórzy z naszych najbardziej zaciekle krytyków są związani z NASA i rządem. Pewien pracownik NASA powiedział mi, że taki sprzeciw wobec teorii impaktu jest mocno zakorzeniony w NASA i dopiero teraz powoli zaczyna się to zmieniać. Kiedy kilkadziesiąt lat temu stało się dla NASA oczywiste, że asteroidy i komety stanowią poważne zagrożenie, pracownicy agencji zostali poinstruowani przez najwyższych urzędników państwowych, by starali się bagatelizować ryzyko. Rząd martwił się, że ludzie wpadną w panikę z powodu skał z kosmosu i będą się domagać działania, podczas gdy NASA nie mogło zrobić nic w tej sprawie i nie chciało się do tego przyznać. Poza tym, próby zminimalizowania tego zagrożenia pochłonęłyby fundusze, które chcieli przeznaczyć na co innego¹⁹.

Mroczny wędrowiec

Już w 1990 roku, zanim odkryto fizyczne i geologiczne ślady uderzenia komety młodszego dryasu, astrofizyk Victor Clube i astronom Bill Napier ostrzegali przed traktowaniem:

(...) wszystkich zagrożeń z kosmosu jako nieszkodliwego tła ludzkich spraw; pogląd ten akademicy uznają za stosowne podtrzymywać, a Kościół i państwo chętnie się pod nim podpisują²⁰.

Taki pogląd, co Clube i Napier przewidzieli już w 1990 roku, jest o tyle niebezpieczny, że stawia ludzkość w pozycji „niewiele lepszej niż strusia, czekającego z głową w piasku na to, aż podzieli los dinozaurów”²¹.

Jak można wnioskować z reakcji niektórych „akademików” na hipotezę komety młodszego dryasu, ten pogląd i wynikające z niej coś, co Clube i Napier nazwali „wielką iluzją kosmicznego bezpieczeństwa”²², są wciąż potężnymi siłami działającymi w dzisiejszym świecie. Co więcej, stawką w grze jest prawda o naszej przeszłości, ponieważ można zauważyć niepokojącą zbieżność między odkryciami Clube’a i Napiera oraz ustaleniami Kennetta, Westa i Firestone’a na temat tego, jakie znaczenie dla ludzkości ma kometa młodszego dryasu.

Aby w pełni uświadomić sobie wnioski płynące z tej zbieżności, musimy się zapoznać z niektórymi odkryciami, jakich dokonali Clube, Napier i inni w latach 80. i 90. – odkryciami, pamiętajmy, wykonanymi całkowicie niezależnie od późniejszych badań zespołu Kennetta, Westa i Firestone’a nad kometa młodszego dryasu. By streścić tę długą historię, o czym wspominałem już w rozdziale jedenastym, odkrycia te wskazują, że jest możliwe – wręcz bardzo prawdopodobne – że jeszcze nie mamy całkiem z głowy komety, która zmieniła oblicze ziemi między 12 800 a 11 600 lat temu. Badania Clube’a i Napiera, do których znaczący wkład wnieśli nieżyjący już sir Fred Hoyle oraz matematyk i astronom, profesor Chandra Wickramasinghe, wskazują na niepokojącą możliwość, że sama kometa młodszego dryasu była tylko fragmentem znacznie większej, gigantycznej komety – mogącej niegdyś mieć nawet 100 kilometrów średnicy – która weszła w wewnętrzną część Układu Słonecznego około 30 000 lat temu, została przechwycona przez Słońce i znalazła się na orbicie przecinającej ziemską. Pozostała stosunkowo blisko przez następne 10 000 lat. Około 20 000 lat temu nastąpiła jej fragmentacja, w wyniku czego przekształciła się z jednego zabójczego obiektu, który mógłby zniszczyć cały świat, w wiele mniejszych, o średnicy od 1 do 5 kilometrów, z których każdy nadal może spowodować kataklizm o globalnej skali²³.

Świadectwa wskazują, że kilka obiektów o takiej skali uderzyło w Ziemię około 12 800 lat temu, zapoczątkowując młodszy dryas²⁴. a 11 600 lat temu ponownie przeszliśmy przez strumień gruzu z komety, z równie dramatycznymi skutkami, które zakończyły młodszy dryas²⁵. Co więcej, wiele wskazuje, że w przyszłości mogą nas czekać kolejne spotkania z pozostałymi fragmentami tej komety²⁶. „Ten wyjątkowy zbiór gruzu – pisali Clube i Napier – tworzy niewątpliwie największe zagrożenie kolizją, na jakie jest obecnie narażona Ziemia”²⁶.

Taurydy, rój meteorów nazwany tak, ponieważ jest źródłem „spadających gwiazd”, które sprawiają wrażenie, jakby pochodziły z konstelacji Byka (Taurus), jest najbardziej znanym skutkiem fragmentacji oryginalnej komety. Rój ten rozciąga się w poprzek orbity ziemskiej – ponad 300 000 000 kilometrów – i przecina ją w dwóch punktach tak, że nasza planeta musi przejść przez nią dwa razy w ciągu roku: na przełomie czerwca i lipca (kiedy „spadające gwiazdy” nie są widoczne, ponieważ dzieje się to w ciągu dnia) i na przełomie października i listopada, gdy przybiera widowiskową formę²⁸. Ponieważ Ziemia każdego dnia przebywa wzdłuż orbity odległość ponad 2 500 000 kilometrów, a każde przejście przez rój meteorów trwa około 12 dni, można łatwo policzyć, że rój Taurydów ma co najmniej 30 000 000 kilometrów „szerokości”. To, z czym Ziemia spotyka się dwukrotnie w ciągu roku, możemy sobie wyobrazić jako rodzaj „rury” kosmicznego gruzu o kształcie ogromnego pączka z dziurką. W geometrii taki kształt nazywa się „torusem”.

„Spadające gwiazdy” są nieszkodliwe – to tylko małe meteory spalające się w atmosferze – więc dlaczego mielibyśmy się przejmować rojem meteorów? W przypadku około 50 rojów meteorów odkrytych dotąd przez astronomów – takich jak Leonidy, Perseidy, Andromedydy itd. – zapewne rzeczywiście nie ma się czego obawiać. Większość wchodzących w ich skład obiektów jest istotnie niewielka i nie stanowi zagrożenia dla Ziemi.

Inaczej jest jednak z Taurydami. Jak udowodnili Clube, Napier, Hoyle i Wickramasinghe, rój Taurydów zawiera mnóstwo znacznie większych obiektów, czasem widocznych, czasem ukrytych w obłokach pyłu, lecących przez kosmos z zatrważającą prędkością i przecinających orbitę Ziemi dwa razy do roku, regularnie jak w zegarku. Wśród wielkich, niebezpiecznych krewnych roju Taurydów jest kometa Enckego, której średnicę ocenia się na około 5 kilometrów. Ale kometa Enckego nie jest sama. Według Clube’a i Napiera:

(...) w roku meteorów orbituje od 100 do 200 asteroidów o średnicy ponad kilometra. Wydaje się oczywiste, że patrzymy na gruz pozostały po rozpadzie wyjątkowo dużego obiektu. Taki rozpad, albo wiele rozpadów, musiał nastąpić w ciągu ostatnich 20 000 lub 30 000 lat, gdyż w innym wypadku asteroidy rozprzestrzeniłyby się i nie byłyby rozpoznawalne jako rój²⁹.

Oprócz komety Enckego w roju są co najmniej dwie inne komety – Rudnickiego, której średnicę ocenia się na około 5 kilometrów, oraz tajemniczy obiekt zwany Oljiato o średnicy około 1,5 kilometra³⁰. Początkowo uważany za asteroidę, ten ciemny, przecinający orbitę ziemską pocisk czasami zdradza oznaki – widoczne przez teleskop – niestabilności i odgazowania, dlatego większość astronomów sądzi, że jest on nieaktywną kometą, która właśnie się

budzi³¹. Wiadomo, że kometa Enckego była przez długi czas nieaktywna, aż nagle ożyła i została po raz pierwszy zaobserwowana przez astronomów w 1876 roku³². Obecnie uważa się, że cyklicznie przechodzi ze stanu nieaktywnego w aktywny.

Badania Clube'a i Napiera przekonały ich, że dotąd niewykryty towarzysz komety Enckego orbituje w roju Taurydów³³. Ich zdaniem obiekt ten jest bardzo duży, jest kometą i – podobnie jak komety Enckego i Oljiato – na długi czas przechodzi w stan uśpienia. Dzieje się tak, kiedy smoliste substancje sączące się nieustannie z jego wnętrza w czasie epizodów odgazowania nagromadzą się w takiej ilości, że pokryją całą powierzchnię grubą, twardniejącą skorupą, zamykając ją całkowicie – nawet na tysiące lat³⁴. Kiedy żarząca się koma i warkocz wygasną, na zewnątrz taki obiekt wydaje się bardzo spokojny i przemierza przestrzeń kosmiczną z prędkością dziesiątków kilometrów na sekundę. Jednak aktywność w jego wnętrzu trwa nadal, powodując narastanie ciśnienia. Niczym przegrzany bojler pozbawiony zaworu bezpieczeństwa, w końcu eksploduje, rozpadając się na fragmenty, z których każdy może stać się kometą zagrażającą Ziemi.

Obliczenia wskazują, że niewidoczny obecnie obiekt w roju Taurydów może mieć średnicę nawet 30 kilometrów³⁵. Co więcej, uważa się, że mogą mu towarzyszyć inne duże fragmenty. Według profesora Emilia Spedicata z Uniwersytetu w Bergamo:

Obliczono parametry orbitalne, które mogą prowadzić do znalezienia go i obserwacji. Przewiduje się, że w niedalekiej przyszłości (około roku 2030) Ziemia przetnie ponownie tę część torusa, która zawiera te fragmenty; takie spotkanie w przeszłości miało dramatyczny wpływ na ludzkość³⁶.

Odrodzenie

Rok 2030 przypada oczywiście w oknie czasowym wskazanym przez kalendarz Majów i Filar 43 w Göbekli Tepe. Asteroida, która zgładziła dinozaury 65 000 000 lat temu, miała tylko 10 kilometrów średnicy, a jednak spowodowała globalny kataklizm i zmieniła świat na zawsze. Zderzenie z obiektem o średnicy 30 kilometrów oznaczałoby – w najlepszym razie – koniec cywilizacji, jaką znamy, a może wręcz koniec wszelkiego życia na naszej planecie. Jego konsekwencje – o czym pisałem w rozdziale jedenastym – byłyby wielokrotnie większe niż impakty młodszego dryasu 12 800 lat temu, które były tysiące razy potężniejsze od połączonej mocy całej broni nuklearnej zmagazynowanej na świecie. A jednak tamten kataklizm sprawił, że

doznaliśmy – jako gatunek – amnezji i musieliśmy zacząć wszystko na nowo, niczym dzieci niemające pojęcia o tym, co działo się wcześniej.

Ale nie musi tak być. Przede wszystkim wszechświat może nas jednak oszczędzić. Wyobraźmy sobie przejście przez torus Taurydów jak przejście przez sześciopasmową autostradę – pieszo i z zasłoniętymi oczami. Na nasze szczęście na drodze nie ma dużego ruchu, więc choć musimy przez nią przechodzić dwa razy do roku, zwykle nie spotyka nas nic złego. Niektóre przejścia są jednak bardziej ryzykowne niż inne, ponieważ wielkie ciężarówki i inne samochody mają tendencję do zbierania się w grupy. Obliczenia Clube'a i Napiera, którzy prześledzili trasy znanych obiektów na „autostradzie” Taurydów, wskazują, że obecnie i w nadchodzących dekadach grozi nam większe natężenie ruchu.

Świadectwa wskazują, że właśnie taki szereg kolizji nastąpił między 12 800 a 11 600 lat temu i że jego przyczyną była fragmentacja pierwotnej komety, która dała początek Taurydom. To powinno co najmniej dać nam do myślenia. Nie mówimy już o czymś, co zdarza się raz na miliony lat, lecz raczej o katastroficznym procesie, który trwa w naszych ramach czasowych.

Mimo to nie powinniśmy porzucić nadziei ani marnować cennych chwil życia na popadanie w rozpacz i depresję. Wprawdzie jestem przekonany, że cywilizacja w epoce lodowcowej rozkwitała i rozwinęła zaawansowaną naukę, która bardziej prymitywnym ludom wydawała się magią, nie sądzę, żeby szła ona naszą ścieżką technologicznego rozwoju. Tamta ścieżka miała liczne negatywne konsekwencje, ale wyposażyła nas w umiejętności, których tamtej cywilizacji najwyraźniej brakowało – a przede wszystkim możliwość interweniowania w naszym najbliższym kosmicznym otoczeniu i zniszczenia lub skierowania na inny tor komet i asteroidów, które mogłyby zagrażać całej ludzkości.

Żeby tak się stało, musimy tylko zrozumieć, że jesteśmy jednym gatunkiem, jedną rodziną i zamiast tracić energię na mordercze konflikty w imię „Boga”, „kraju”, ideologii politycznej czy chciwości, zaczęli żyć w miłości i harmonii, uwolnili wszystkie aspekty życia od lęków i niepokojów, aby móc zadbać o naszą przyszłość. Jeżeli ma nam się to udać, musimy przestać patrzeć we własne odbicie w lustrze i zamiast tego spojrzeć w kosmos; musimy pozbyć się nienawiści i podejrzliwości, a nauczyć się wykorzystywać nasze możliwości, inteligencję i talent we wspólnym wysiłku dla ratowania ludzkości.

Krótko mówiąc, musimy się ocknąć, dostrzec wspaniały dar świadomości i uzmysłwić sobie, że nie możemy go trwonić już ani chwili dłużej.

Taka też była obietnica kalendarza Majów – że my, żyjący dzisiaj, staniemy na progu nowej ery ludzkiej świadomości. Jeśli uda nam się doprowadzić do

narodzin tej ery, to uchronienie Ziemi przed pozostałymi fragmentami komety młodszego dryasu będzie dziecinnie proste, a przy okazji dowiemy się – być może po raz pierwszy od ponad 12 000 lat – kim naprawdę jesteśmy.

Decyzja należy do nas.

Zawsze do nas należała.

Nic nie stoi nam na przeszkodzie, oprócz nas samych.

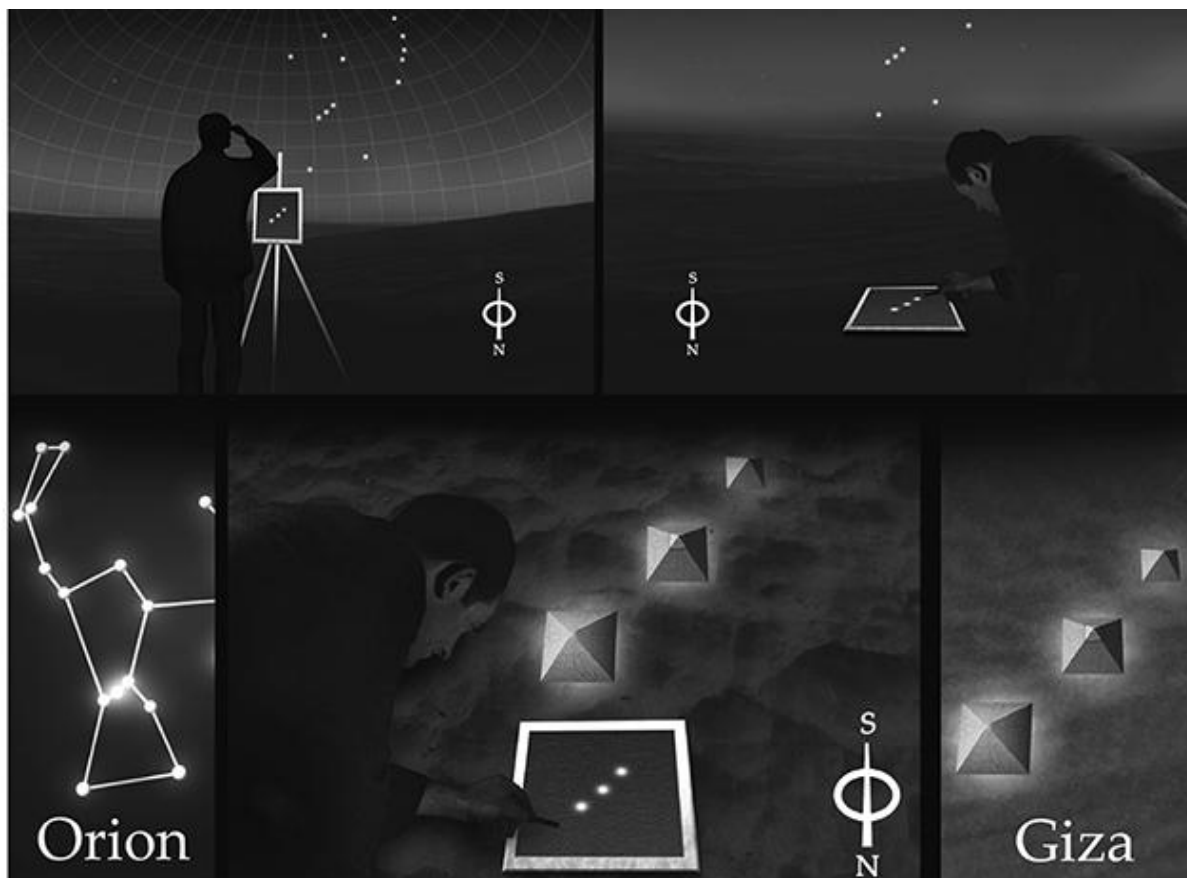
Załącznik

KORELACJA ORIONA NIE JEST ODWRÓCONA

Współcześni astronomowie patrzą na niebo jak na kopułę nad naszymi głowami. Dlatego rysownik na ilustracji na sąsiedniej stronie patrzy na południe, w kierunku Oriona, a korelacja z Orionem oznacza, że trzy gwiazdy pasa Oriona są przedstawione jako trzy piramidy na Ziemi. Najniższą gwiazdę przedstawia Wielka Piramida, środkową piramida Chafre (druga piramida), zaś najwyższą – piramida Menkaure (trzecia i najmniejsza z piramid, podobnie jak najwyższa z trzech gwiazd jest również wizualnie najmniejszą – najmniej jasną).

To znaczy, że Wielka Piramida odpowiada północnej z trzech gwiazd, druga piramida środkowej, a trzecia – oczywiście południowej gwieździe. Zarzuty astronomów takich jak Ed Krupp z Griffiths Observatory w Los Angeles są oparte na przyjmowanej dzisiaj konwencji, że niebo jest kopułą nad naszymi głowami. Jeśli spojrzymy na niebo w taki sposób, to istotnie najwyższa gwiazda – którą przedstawia piramida Menkaure – znajduje się na północy (pamiętajmy, że patrzymy na południe, a niebo jest kopułą, czyli im wyżej się znajdujemy, tym bliżej północnego bieguna nieba, który na ilustracji znajduje się za rysownikiem), a najniższa gwiazda, przedstawiona jako Wielka Piramida według korelacji Oriona, znajduje się na południu. Na ziemi jednak Wielka Piramida jest wysunięta najdalej na północ, a piramida Menkaure – na południe. Dlatego dr Krupp twierdzi, że korelacja jest „odwrócona do góry nogami”.

Ilustracja 73 pokazuje, że ten zarzut jest prawdziwy tylko przy przyjęciu współczesnej konwencji wyobrażania sobie nieba jako kopuły nad naszymi głowami. Jeśli popatrzymy na nią jak na projekt artystyczny – namalujemy (albo zrobimy trójwymiarowy model) trzech piramid (gwiazd pasa Oriona) i położymy obrazek (albo model) poziomo przed sobą w najbardziej naturalny sposób, przekonamy się, że będzie pasował dokładnie do pozycji trzech piramid na ziemi.



Il. 73. Konstelacja Oriona nie jest „odwrócona do góry nogami”. Jeśli popatrzymy na nią jak na projekt artystyczny – namalujemy (albo zrobimy trójwymiarowy model) trzech piramid (gwiazd pasa Oriona) i położymy obrazek (albo model) poziomo przed sobą w najbardziej naturalny sposób, przekonamy się, że będzie pasował dokładnie do pozycji trzech piramid na ziemi.

ŹRÓDŁA ZDJĘĆ I ILUSTRACJI

Zdjęcia

Wszystkie zdjęcia Santha Faiia, poza następującymi:

1 i 62: Nico Becker, Niemiecki Instytut Archeologiczny, Wydział Orientalny.

7: Klaus Schmidt, Niemiecki Instytut Archeologiczny, Wydział Orientalny.

41: Daniel Lohmann (archeolog, który odkopał bęben kolumny).

Interpretacje astronomiczne Filaru 43 w Göbekli Tepe, zdjęcia 50 i 51, przedstawił w formie graficznej Luke Hancock.

Ilustracje

Camron Wiltshire (www.sacredgeometryinternational.com): ilustracje 1, 2, 3, 7, 10, 11, 12, 13, 14, 15, 16, 17, 18, 19 (z Randallem Carlsonem), 20, 21, 22, 23, 24, 25, 26, 27, 32, 33, 34, 35, 36, 40, 41, 42, 43, 44, 45, 47, 48, 49, 51, 53 do 56 (z Afuą Richardson), 57, 58, 59, 60, 61, 62, 63, 64, 65, 68, 69, 70, 71, 72.

Afua Richardson: ilustracje 4, 8 (górny rząd), 46, 50 (z Lukiem Hancockiem), 52, 53 do 56 (z Camronem Wiltshire'em), 66 (z Lukiem Hancockiem).

Luke Hancock: ilustracje 37, 38, 46, 50, 66 (z Afuą Richardson), 67, 73.

Michael Mauldin: ilustracje 6, 8 (u dołu z prawej), 28, 29, 30.

Samuel Parker: ilustracje 5, 8 (u dołu z lewej).

Pon S. Purajatnika: ilustracja 9.

Przypisy oraz indeks do książki zostały zamieszczone na stronie internetowej: <http://www.wydawnictwoamber.pl/kategorie/historia/magowie-bogow,p19653033>

PODZIĘKOWANIA

Wyrazy miłości i wdzięczności kieruję przede wszystkim do fotograf Santhy Faii, która 20 lat temu uczyniła mi ten zaszczyt i została moją żoną. Robiła świetną karierę na długo zanim mnie poznała, ale uprzejmie zgodziła się pracować ze mną. Santha wykonała większość fotografii w tej książce, podobnie jak w wielu poprzednich, i towarzyszyła mi na każdym kroku długiej podróży od *Śladów palców bogów* po *Magów bogów*. Dziękuję! Dziękuję także naszym dzieciom: Seanowi, Shanti, Raviemu, Leili, Luke'owi i Gabrielle. Kiedy pisałem *Magów bogów*, urodziła się nasza pierwsza wnuczka, Nyla, i z radością powitaliśmy ją w naszej wielkiej, hałaśliwej rodzinie. Dziękuję też mojej mamie, Muriel Hancock, i mojemu wujowi Jamesowi Macaulayowi. Zawsze towarzyszą mi wspomnienia o moim tacie, Donaldzie Hancocku, który tyle mnie nauczył i niezmiennie wspierał przez długie lata; odszedł w 2003 roku.

Moja świetna agentka literacka, Sonia Land, dokonywała cudów i jest dokładnie taka, jaki powinien być wspaniały agent. Moi redaktorzy: brytyjski Mark Booth i amerykański Peter Wolverton, przyczynili się do powstania *Magów bogów* i zaprezentowania ich czytelnikom w najodpowiedniejszy sposób i w najodpowiedniejszym momencie.

Zespół grafików, którzy stworzyli mapy, wykresy, schematy i diagramy do tej książki, tworzyli Camron Wiltshire i Afua Richardson, przy wsparciu Michaela Maudlina i Samuela Parkera. Wiele rysunków przygotował mój syn, Luke Hancock. Wszyscy artyści zostali wymienieni indywidualnie, ale tutaj chciałbym podziękować im jeszcze raz za ich poświęcenie, talent, inteligencję i ciężką pracę.

Nieżyjący już profesor Klaus Schmidt z Niemieckiego Instytutu Archeologicznego zrobił znacznie więcej, niż musiał, kiedy w 2013 roku oprowadzał mnie po Göbekli Tepe w Turcji. Jako człowiek, który odkrył i badał to niezwykle stanowisko, Klaus znał je jak nikt inny i szczerze dzielił się ze mną tą wiedzą w czasie moich wizyt i wywiadów. Żałuję, że już go nie ma wśród nas, ale wierzę, że jego imię zostanie zapamiętane przez historię.

W 2014 roku byłem w Libanie. Pracę tam ogromnie ułatwiła mi życzliwość, dobra wola i wsparcie logistyczne moich przyjaciół, Ramziego Najjara oraz Samira i Sandry Jarmakani. Po tamtej podróży ogromnie pomogła mi korespondencja na temat Baalbek z archeologiem i architektem Danielem Lohmannem. Cierpliwie, elokwentnie i niezmordowanie starał się przekonać mnie o słuszności mainstreamowych opinii.

W Indonezji szczególne podziękowania należą się Danny'emu Hilmanowi Natawidjai, badaczowi nadzwyczajnej starożytnej piramidy w Gunung Padang. Dziękuję też jego kolegom, Wisnu Ariestice i Bambangowi Widyoko Suwargadiemu, którzy towarzyszyli nam w długiej podróży po Jawie, Sumatrze, Flores i Sulawesi.

W Stanach Zjednoczonych podziękowania kieruję do Randalla Carlsona za jego głębokie przemyślenia na temat geologii kataklizmów i wiedzę, którą dzielił się ze mną w drodze z Portland w Oregonie do Minneapolis w Minnesocie, dokąd jechaliśmy badać wpływ katastrofalnych powodzi, jakie nawiedziły ten region pod koniec epoki lodowcowej. Dziękuję także Bradleyowi Youngowi, który towarzyszył nam w tej podróży i bohaterko prowadził samochód.

Jestem wdzięczny Allenowi Westowi, jednemu z licznej grupy naukowców badających ślady katastrofy kosmicznej w młodszym dryasie. Opowiedziałem obszerniej o ich pracy w rozdziale 3 i 6, a Allen bardzo mi pomógł, dbając o to, abym zrozumiał wszystkie fakty, i dzieląc się ze mną przemyśleniami na temat konsekwencji tego kataklizmu.

Serdecznie dziękuję naszym przyjaciołom Chrisowi i Cathy Foyle'om za ich solidarność i cenne rady.

Na koniec chciałbym podziękować moim lojalnym i wiernym czytelnikom na całym świecie, którzy trwali przy mnie przez ponad 20 lat poszukiwań zaginionej cywilizacji. *Magowie bogów* są najnowszym celem tej podróży i choć to zupełnie nowe dzieło, musiałem oczywiście w kilku punktach wrócić do problemów, którymi zajmowałem się w *Śladach palców bogów* i innych książkach, aby osadzić w odpowiednim kontekście nowe dowody, które prezentuję tutaj.

Nie muszę chyba dodawać, że żadna z osób wymienionych powyżej nie ponosi odpowiedzialności za jakiegokolwiek błędy lub niedopatrzenia, jakie mogłem popełnić w *Magach bogów*.

Graham Hancock
Bath, Anglia, wrzesień 2015

ZDJĘCIA



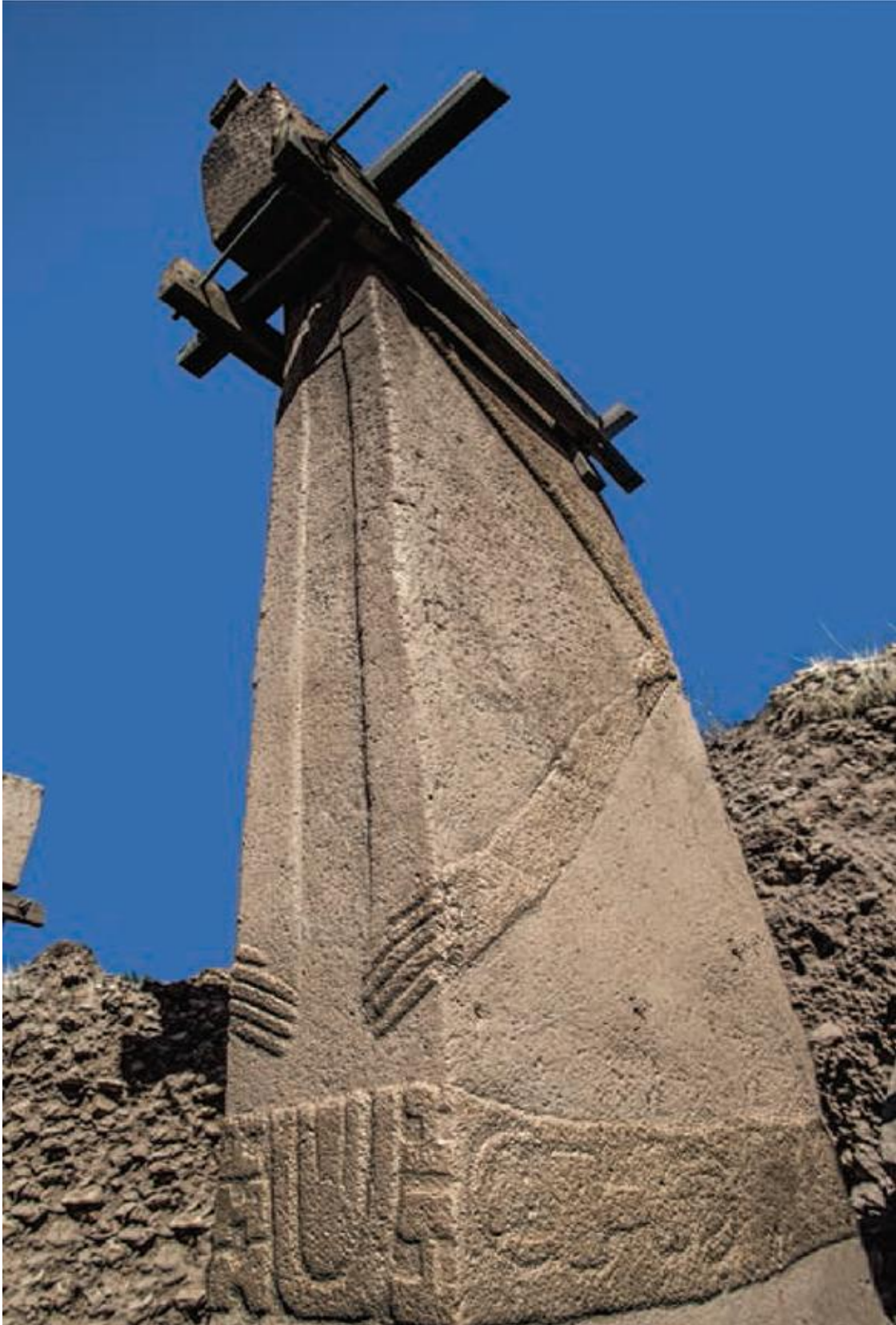
1. Ogólny widok Göbekli Tepe, z Okręgiem D na pierwszym planie.



2. Okręg D z zagadkowym Filarem 43 po lewej stronie.



3. Autor z profesorem Klausem Schmidtem w Göbekli Tepe w 2013 roku.
Profesor Schmidt (na zdjęciu z lewej) zmarł w 2014 roku.



4. Wschodni centralny filar, Okręg D.



5. Podstawa filaru.



6. Detal zachodniej strony pasa figury.



7. Filar 43 Okręgu D w Göbekli Tepe. Fotografia wykonana przez odkrywcę, Klause Schmidta. Później dolna część filaru, z przedstawieniem skorpiona, została przysypana.



8. Okręg B w Göbekli Tepe.



9. Autor przy niedokończonym filarze porzuconym w kamieniołomie w Göbekli Tepe.



10. Autor z geologami Robertem Schochem z Uniwersytetu Bostońskiego (z lewej) i Dannym Natawidjają (pośrodku) w Gunung Padang (Indonezja) studiuje skany wnętrza piramidy.



11. Autor z Dannym Natawidjają w Gunung Padang.





12, 13. Ogólny widok głównych tarasów w Gunung Padang. W tej formie stanowisko było znane archeologii od 100 lat, ale dopiero badania geofizyczne rozpoczęte w 2011 roku pokazały, że pod terasami kryją się wcześniejsze konstrukcje.



14. Autor z Randallem Carlsonem w Dry Falls.



15. Przełęcz Wallula, „zgrupowanie wód” i widoczne w tle „Bliźniaczki”.



16. Ogromne ripplemarki na Camas Prairie; niektóre osiągnęły wysokość 15 metrów.



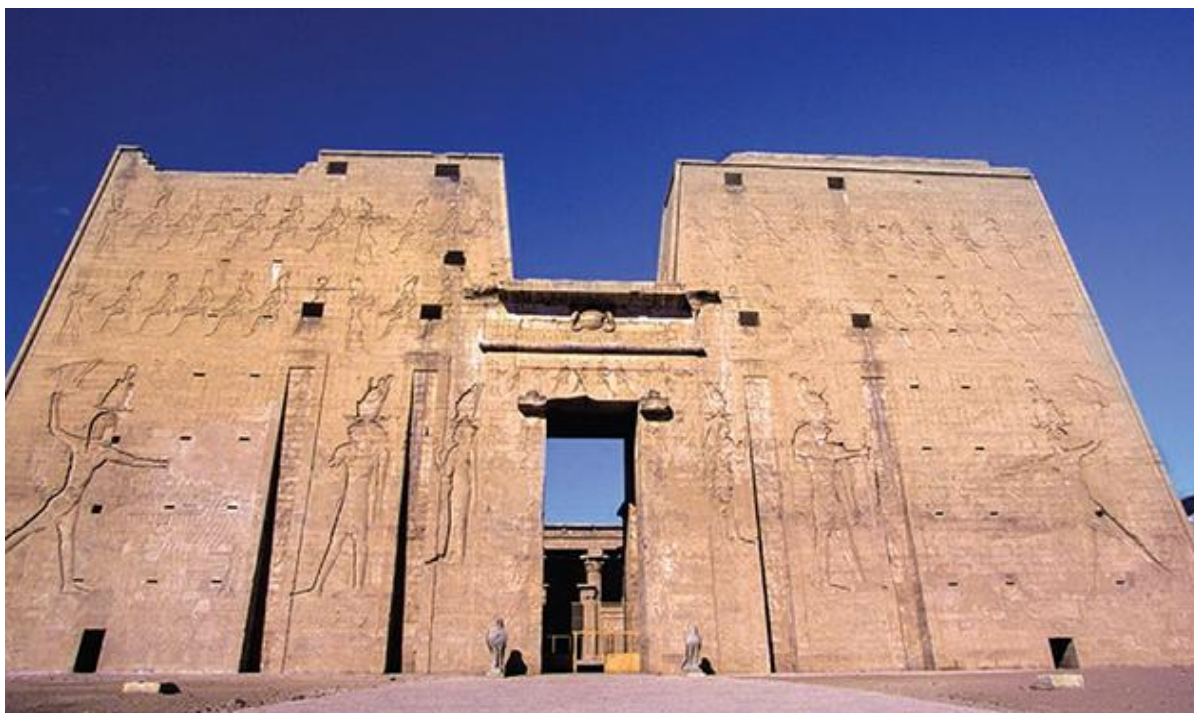
17. Boulder Park w stanie Waszyngton. Głazy o wadze ponad 10 000 ton zostały tu przyniesione w górach lodowych przez katastroficzne powodzie pod koniec epoki lodowcowej.



18. Góra Ararat widoczna ponad ruinami katedry Zvartnots, Armenia.



19. Korytarz wejściowy i kamienne drzwi – podziemne miasto Derinkuyu w Turcji.



20. Świątynia Horusa w Edfu, Górny Egipt.



21. Winieta tajemniczych *Tekstów Budowlanych* z Edfu. Teksty te nie pozostawiają wątpliwości, że „bogowie” z „pierwotnej epoki” byli żeglarzami i nawigatorami. Po zniszczeniu ich ojczystej wyspy podobno podróżowali po świecie statkami.



22–27. Zagadkowe *Teksty Budowlane* i sceny ze świątyni Horusa w Edfu.



28. Scena ze świątyni Horusa w Edfu. Horus walczy ze swoim rywalem Sethem, który przybrał postać hipopotama.



29. Hieroglify w Edfu.



30. Thot, skryba bogów, który spisał słowa Siedmiu Mędrców.



31, 32. Zorientowane astronomicznie monumenty w Gizie: księga zesłana z nieba?



33. Zdjęcie lotnicze Sfinksa i jego świątyń



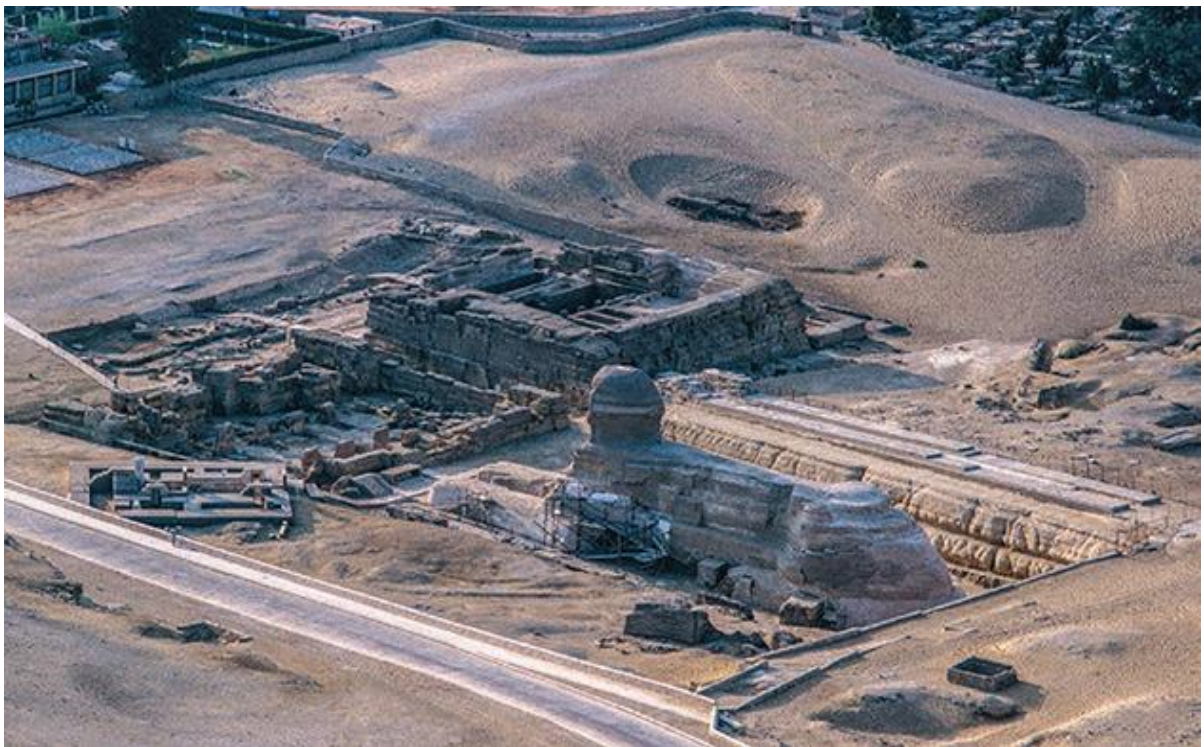
34. Starożytny megalityczny wapienny rdzeń Dolnej Świątyni. Niektóre bloki osiągają wagę 100 ton.



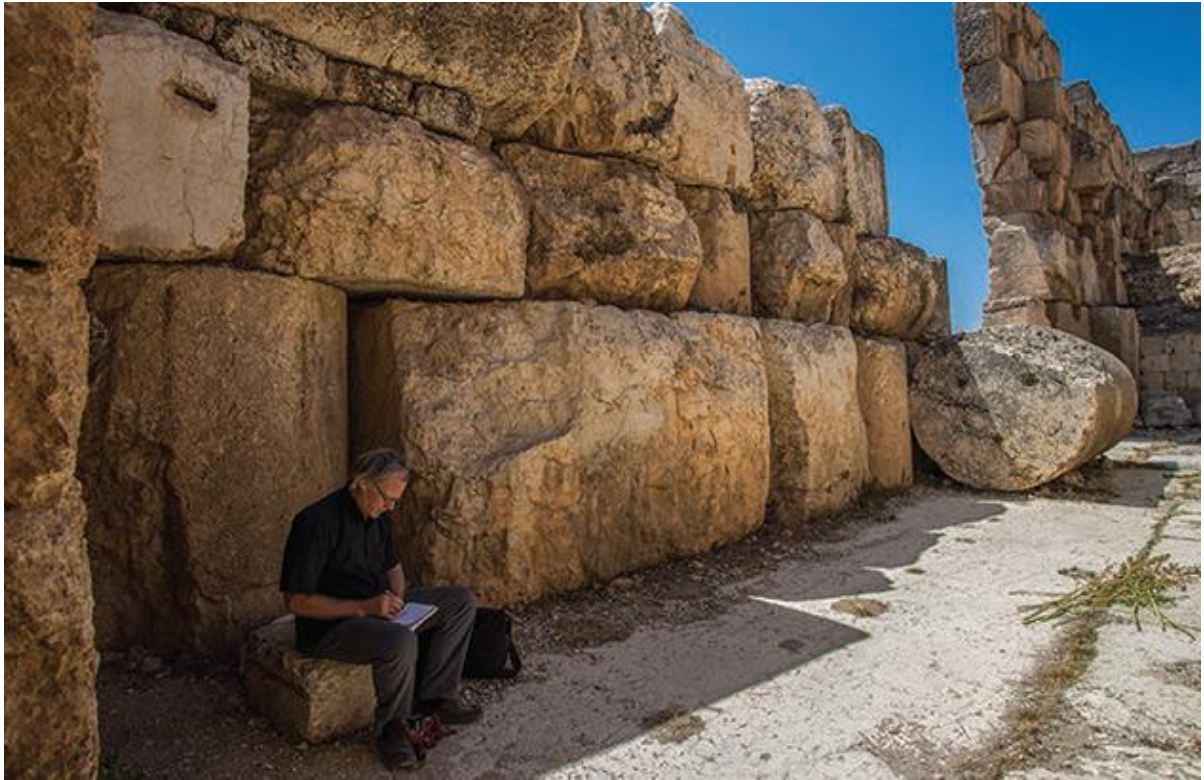
35. Sfinks ze Stelą Snu pomiędzy łapami.



36. Granitowe elementy Dolnej Świątyni zostały dodane w czasach dynastycznych do znacznie starszej wapiennej budowli.



37. Wielkie wapienne bloki Dolnej Świątyni zostały wydobyte ze skalnego podłoża, w którym wykuto Sfinksa, a zatem są dziełem tej samej kultury.



38. Autor w Baalbek z południowym trylitem pod stopami. Mur za nim, stojący na trylicie, jest częścią późniejszych arabskich fortyfikacji.



39. Trzy wielkie trylity w zachodnim boku megalitycznego muru na planie litery U, który flankuje platformę świątyni Jowisza, lecz jej nie dotyka.



40. Lewa stopa autora opiera się przed fragmentem bębna rzymskiej kolumny użytego w fundamentach pod trylitem.



41. Bęben rzymskiej kolumny został odkopany i zmierzony przez naukowców z Niemieckiego Instytutu Archeologicznego, którzy uważają, że nie może on być elementem późniejszych napraw fundamentu przeprowadzanych przez Arabów, a zatem musi być dziełem Rzymian.



42. Mur fortyfikacji zbudowanych w Baalbek przez Arabów z użyciem starszych rzymskich bloków. Na prawo od łuku widać ułożony poziomo bęben kolumny.



43. Zbliżenie bębna kolumny wtórnie użytego w murze arabskich fortyfikacji. Warto zauważyć, że bęben jest spłaszczony u dołu i u góry, tak samo jak bęben kolumny w fundamentach pod trylitem. Tym samym argument, że Arabowie nie mieli dostatecznego doświadczenia i umiejętności technicznych, by tak dokładnie dopasować bloki, nie ma sensu.



44. Północny bok megalitycznego muru na planie litery U otaczającego platformę świątyni Jowisza. Zwróćmy uwagę, że platforma (z lewej strony zdjęcia) została zbudowana ze znacznie mniejszych bloków.



45. Autor stojący na południowym odcinku megalitycznego muru na planie litery U; w głębi widoczne są zachowane kolumny świątyni Jowisza, stojące przy krawędzi platformy.



46. Autor (dla porównania wielkości) na ważącym 970 ton Kamieniu Ciężarnej Kobiety, leżącym in situ w kamieniołomie w Baalbek. Blok widoczny poniżej, z lewej strony, został odsłonięty w 2014 roku; jego wagę ocenia się na 1650 ton.



47. Trzeci blok w kamieniołomach, o wadze 1250 ton.



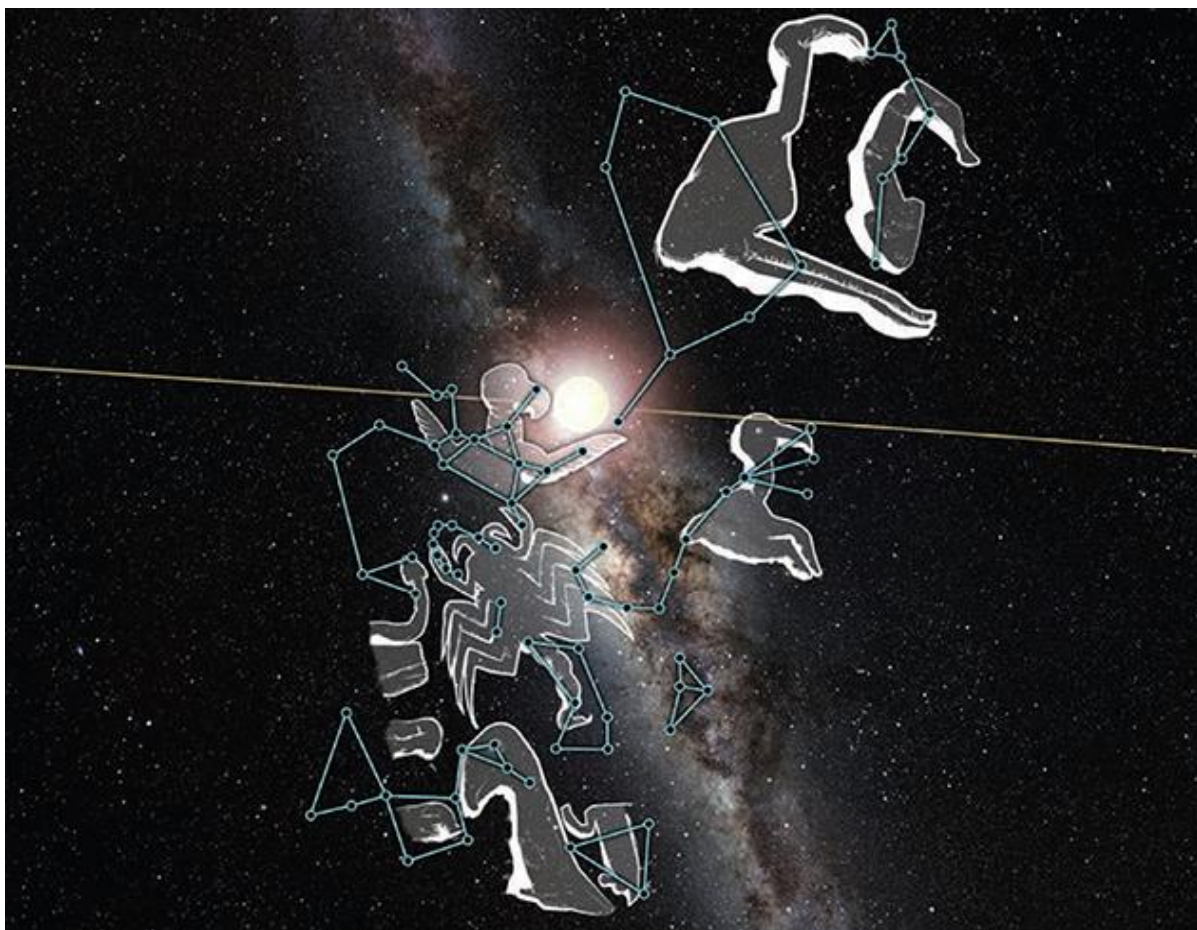
48. Szczyty megalitycznych filarów wystające ze zbocza wzgórza w Karahan Tepe, bliźniaczym stanowisku Göbekli Tepe.



49. Wieża Astronomiczna w Harranie. W swojej obecnej formie pochodzi z czasów islamskich, ale stoi w miejscu wcześniejszej wieży, wzniesionej w świątyni dedykowanej sabejskiemu bóstwu księżyca.



50. Konstelacje – w postaci, jaką znamy dzisiaj – tej części nieba, która została przedstawiona na Filarze 43 w Göbekli Tepe.



51. Te same konstelacje nałożone na dekorację Filaru 43 w Göbekli Tepe (por. dyskusję w rozdziale 15 i il. 50).



52. (z lewej) Niezwykły wapienny Totem z Göbekli Tepe – skomplikowana, hybrydowa istota.

53. (z prawej) Człowiek z Urfy, najstarsze na świecie trójwymiarowe wyobrażenie postaci ludzkiej, jakie zostało dotąd znalezione. Pochodzi z tych samych czasów, co Göbekli Tepe i znajduje się niedaleko tego stanowiska. Zwróćmy uwagę na ułożenie rąk, przypominające antropomorficzne filary z Göbekli Tepe (por. na przykład zdjęcie. 4).



54. Gigantyczne mury w Sacsayhuaman, według Jesusa Gamarry, zbudowane tysiące lat przed Inkami.



55. (z lewej) Ulica Loreto w Cuzco. Różne style architektoniczne wskazują na dzieła różnych kultur. 56. (z prawej) Gorsza pod względem jakości architektura Domu Dziewic Słońca, o którym wiadomo, że został zbudowany przez Inków.



57. W pobliżu Cuzco, Peru.



58. Alaca Höyük, Turcja. Czy ta sama prehistoryczna kultura mogła „działać” na obu megalitycznych stanowiskach?



59. Autor z Jesusem Gamarą w Pisac.



60. Sanktuarium w grocie. Różne style architektoniczne widoczne tutaj i w Pisac wskazują na działalność różnych kultur. Zdaniem Gamarry przypisywanie wszystkiego Inkom jest absurdem.



- 61. Cutimbo, Peru.
- 62. Göbekli Tepe, Turcja.
- 63. Cutimbo.
- 64. Göbekli Tepe.
- 65. Cutimbo.
- 66. Göbekli Tepe.
- 67. Göbekli Tepe.
- 68. Cutimbo.



- 69. (z lewej) Autor studiuje wizerunek węża o wyjątkowo dużej głowie wyrzeźbiony w Świątyni Księżyca niedaleko Cuzco.
- 70. (z prawej) Relief przedstawiający węża o wyjątkowo dużej głowie wyrzeźbiony w Göbekli Tepe.



71. (z lewej) Cutimbo. (por. ze zdjęciem 72).
72. (z prawej) Göbekli Tepe.



73. Wyspa Wielkanocna.



74. Człowiek z Urfy, Turcja.



75. Bloki H, Tiahuanaco.



76. Filar w Göbekli Tepe. Zwróćmy uwagę na podobne ułożenie rąk na zdjęciach 73, 74 i 76 oraz motyw litery H na zdjęciach 75 i 76.



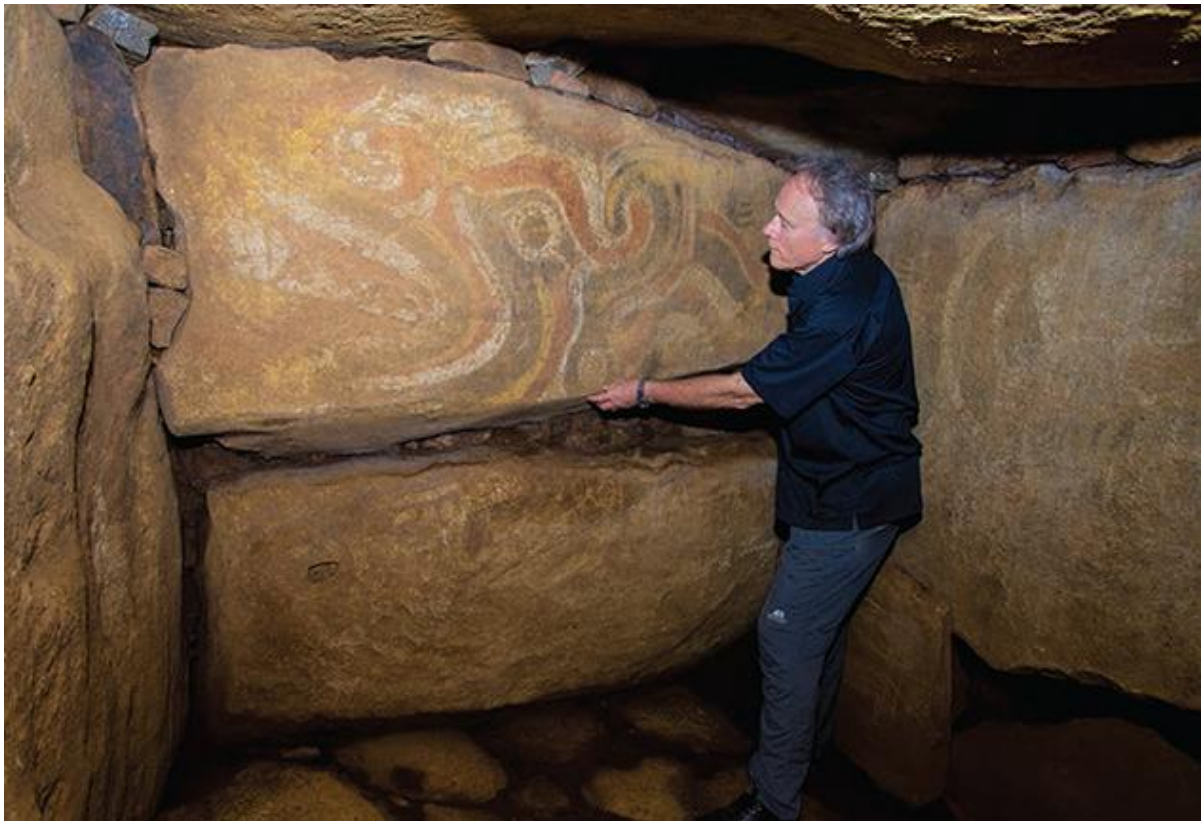
77. Wtórne użycie starożytnej głowy z Wyspy Wielkanocnej jako bloku konstrukcyjnego wskazuje, że mur jest o wiele młodszy niż figury.



78. (z lewej) Brodata twarz Wirakoczy w Tiahuanaco.
79. (z prawej) Brodata głowa z Wyspy Wielkanocnej, w kamieniołomie Rano Raraku. Korpusy figur w kamieniołomie są zakopane w osadach sięgających 10 metrów, co wskazuje, że są niezmiernie stare.



80. *Watu Palindo*, „Mędrzec z Doliny Bada”, Sulawesi, Indonezja.



81. Malowana megalityczna komora niedaleko Pagar Alam, Sumatra.

PRZYPISY

[1] Przypisy oraz indeks zaostały zamieszczone na stronie:
<http://www.wydawnictwoamber.pl/kategorie/historia/magowie-bogow,p19653033> (przyp. wyd.).

[2] W oryginale: w Biblii Króla Jakuba – (przyp. tłum.).

Table of Contents

TYTUŁOWA

REDAKCYJNA

Wprowadzenie PIASEK

I. ANOMALIE

1. „TO WSZYSTKO JEST BARDZO TAJEMNICZE...”

2. GÓRA ŚWIATŁA

II. KOMETA

3. ŚCIANA ZIEŁONEJ WODY NISZCZĄCA WSZYSTKO NA SWEJ DRODZE

4. PODRÓŻ PRZEZ SCABLANDS

5. NANODIAMENTY SĄ WIECZNE

6. ŚLADY PALCÓW KOMETY

III. MĘDRCY

7. NASTĘPNY OGIEŃ

8. PRZEDPOTOPOWI

IV. ZMARTWYCHWSTANIE

9. WYSPA KA

10. KLASZTOR SIĘDMIU MĘDRCÓW

11. KSIĘGI THOTA

V. KAMIENIE

12. BAALBEK

13. A POTEM PRZYSZEDŁ POTOP

VI. GWIAZDY

14. BRAMY SŁOŃCA

15. MIEJSCE STWORZENIA

16. ZAPISANE W GWIAZDACH

VII. DYSTANS

17. GÓRA

18. OCEAN

VIII. ZAMKNIĘCIE

19. NASTĘPNA ZAGINIONA CYWILIZACJA?

Załącznik KORELACJA ORIONA NIE JEST ODWRÓCONA

ŹRÓDŁA ZDJĘĆ I ILUSTRACJI

PODZIĘKOWANIA

ZDJĘCIA

PRZYPISY